

Ignatius David

Siro

Przekład Agnieszka Jacewicz

NASI BOGOWIE

Starsi od nas, lecz tylko trochę, mężczyźni, akurat Z tego pokolenia, które nie zostało obrzezane,
Episkopalni Złotego Wieku światli, Uwielbiali przegrywać w dobrym stylu

i wciąż pozostawać przy sterach Zawsze tam, przed nami, niczym miraż, Który rozplywa się, gdy
próbujemy podejść bliżej, Zawsze tam, dopóki nie zniknęli.

Ostatni z ginącej rasy, tak ich widzieli inni -

Bezkształtne tweedowe garnitury. Obnażeni, w przebieralni

Klubu tenisowego, stawali się niewidzialni,

Tylko ich czarne sylwetki, niczym głowy

I torsy policyjnych celów na strzelnicy, takie co czują i słyszą.

Szereg nagich ciał i ich namalowanych głów

Gładko uczesanych. Ostatni z białych anglosaskich protestantów.

Zachowywali się jak chłopcy, mówili jak ich dziadkowie -Publiczni słudzy tajni, ostatnie

Pokolenie mężczyzn, którzy kąpiel przedkładali nad prysznic.

Tacy byli chłopcy z CIA, i tylko ich oczy

I profile niczym groty strzał zdradzały ich tożsamość.

Szron rozkwitał na metalowych naczyniach do mieszania martini

W te magiczne wieczory, które mogli spędzić w domu.

Publiczni słudzy tajni nie byli sługami.

O nie. Byli naszymi bogami pracującymi całą noc

Aby Achillesowi wypadły włosy z brody i by podeprzeć

Dom Priama. Wystarczył ich gest, aby na powierzchni wód

Korytarza pojawiła się szybko mknąca płetwa rekina,

Niemal przezroczysta, niczym znak wodny.

Frederick Seidel TheseDays

Od autora

Powieść ta powstała wyłącznie w wyobraźni autora. Czytelnicy na próżno będą szukać w niej odniesień do prawdziwych wydarzeń i osób. Takie nie istnieją. Nie jest to żadna powieść z kluczem ani zawołowane przedstawienie rzeczywistych zdarzeń. To dzieło fikcji, co stwierdzą wszyscy znający prawdziwą historię tamtego okresu.

Chciałbym podziękować tym, którzy pomogli mi w przygotowaniu tej książki: mojej żonie i pierwszej czytelniczce, Eve Ignatius; moim rodzicom, Paulowi i Nancy Ignatiu-som i siostrze, Sarah Ignatius, która czytała i oceniała rękopis; moim przyjaciołom Garret-towi Eppsowi i Lincolnowi Caplanowi; niezrównanemu agentowi, Raphaelowi Sagalyno-wi, a zwłaszcza mojemu wydawcy, Lindzie Healey, której zachęty i mądre rady pomogły nadać kształt każdej stronie tej książki. Jest ona takim wydawcą, o jakim marzą pisarze.

Dziękuję także moim przewodnikom po miejscach, o których traktuje powieść: w Stambule pomagali mi Thomas Goltz i Stephanie Capparell; w Moskwie, Erewanie, Taszkencie i Samarkandzie - wielu radzieckich i amerykańskich przyjaciół, którzy pomogli mi także w zrozumieniu narodowej rewolucji, jaka przeszła przez republiki radzieckie w 1990 roku. Wdzięczny jestem również Rusi Nasar z Central Asian Affaire Consultants za podzielenie się ze mną wiedzą na temat Uzbekistanu oraz pułkownikowi Barneyowi Oldfiel-dowi za jego zbiór dowcipów Radia Erewan. Specjalne podziękowania pragnę złożyć trzem historykom, specjalistom z zakresu dziejów imperium osmańskiego: Sukni Hanioglu, który opisał swoje badania nad dokumentami Ibrahima Temo oraz Serifowi Mardinowi i Yvonne Seng, którzy zgodzili się przeczytać manuskrypt i zrobić jego korektę merytoryczną, ale absolutnie nie są odpowiedzialni za jakiegokolwiek błędy i niedociągnięcia. Chciałbym także podziękować wielu innym osobom, których nie wymienię tu z nazwiska, a które podzieliły się ze mną swoimi spostrzeżeniami i wiadomościami na temat Wielkiej Gry.

Od autora

Powieść ta powstała wyłącznie w wyobraźni autora. Czytelnicy na próżno będą szukać w niej odniesień do prawdziwych wydarzeń i osób. Takie nie istnieją. Nie jest to żadna powieść z kluczem ani zawołowane przedstawienie rzeczywistych zdarzeń. To dzieło fikcji, co stwierdzą wszyscy znający prawdziwą historię tamtego okresu.

Chciałbym podziękować tym, którzy pomogli mi w przygotowaniu tej książki: mojej żonie i pierwszej czytelniczce, Eve Ignatius; moim rodzicom, Paulowi i Nancy Ignatiu-som i siostrze, Sarah Ignatius, która czytała i oceniała rękopis; moim przyjaciołom Garret-towi Eppsowi i Lincolnowi Caplanowi; niezrównanemu agentowi, Raphaelowi Sagalyno-wi, a zwłaszcza mojemu wydawcy, Lindzie Healey,

której zachęty i mądre rady pomogły nadać kształt każdej stronie tej książki. Jest ona takim wydawcą, o jakim marzą pisarze.

Dziękuję także moim przewodnikom po miejscach, o których traktuje powieść: w Stambule pomagali mi Thomas Goltz i Stephanie Capparell; w Moskwie, Erewanie, Taszkencie i Samarkandzie - wielu radzieckich i amerykańskich przyjaciół, którzy pomogli mi także w zrozumieniu narodowej rewolucji, jaka przeszła przez republiki radzieckie w 1990 roku. Wdzięczny jestem również Rusi Nasar z Central Asian Affaire Consultants za podzielenie się ze mną wiedzą na temat Uzbekistanu oraz pułkownikowi Bameyowi Oldfiel-dowi za jego zbiór dowcipów Radia Erewan. Specjalne podziękowania pragnę złożyć trzem historykom, specjalistom z zakresu dziejów imperium osmańskiego: Sukru Hanioglu, który opisał swoje badania nad dokumentami Ibrahima Temo oraz Serifowi Mardinowi i Yvonne Seng, którzy zgodzili się przeczytać manuskrypt i zrobić jego korektę merytoryczną, ale absolutnie nie są odpowiedzialni za jakiegokolwiek błędy i niedociągnięcia. Chciałbym także podziękować wielu innym osobom, których nie wymienię tu z nazwiska, a które podzieliły się ze mną swoimi spostrzeżeniami i wiadomościami na temat Wielkiej Gry.

I

Amy L. Gunderson Waszyngton/Samarkanda

styczeń 1979

1

Anna Bames ukończyła szkolenie w trzecią środę stycznia tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego dziewiątego roku, w dzień po tym, jak szach opuścił Iran. Nie był to najlepszy moment na to, by zostać oficerem amerykańskiego wywiadu. CIA miała kłopoty w całej Europie i na Bliskim Wschodzie. Próbowano uratować tysiące Irańczyków, którzy w swojej głupocie uwierzyli, że Imperium Americanum przetrwa w tej części świata dłużej niż kilka marnych dekad. Agencja nie wywiązywała się dobrze z tego zadania. Przyjaciele Ameryki (wielu trudno było nazwać porządnymi ludźmi) wpadali w sieć zastawioną przez Teheran; kilku z nich już zabito.

Tego stycznia zdarzyło się coś, czego agencja zawsze się obawiała: podano w wątpliwość sens istnienia całej organizacji. Agencja wywiadowcza budowana jest wokół pewnej bezwarunkowej zasady: ludzie muszą ufać, że nigdy ich nie zdradzi ani nie pozostawi na łasce wrogów. Kto jednak mógł teraz uwierzyć w taką obietnicę ze strony Ameryki? Przecież nawet w najlepszych czasach było to kłamstwem. Agencje wywiadowcze codziennie zdradzały ludzi. Nie podobało im się jednak, gdy fakt ten stawał się aż tak oczywisty jak w tamtych gorączkowych tygodniach na początku siedemdziesiątego dziewiątego roku, kiedy Stany Zjednoczone zostały zmuszone do odwrotu, a ich przyjaciel prześladowano i szlachtowano niczym świnie w rzeźni. Wyglądało to bardzo źle. Nowi rekruci byli przerażeni.

Dlatego też Anna Bames nie odbyła żadnej oficjalnej ceremonii na koniec szkolenia.

W środę, późnym popołudniem, jej instruktor skończył wykład na temat rozwoju agencji i stwierdził: „To by było na tyle”. Ucisnął jej dłoń i wyszedł z pokoju motelu w Arlington, gdzie przez ostatnie dwa tygodnie odbywały się zajęcia. I koniec.

Żadnego dyplomu, żadnych gratulacji od dyrektora, żadnych ciepłych pożegnań współuczestników kursu, żadnych planów, że umówią się na wakacje następnego lata w Wiedniu albo w Peszawarze. Dla Anny jedynym świadectwem ukończenia szkolenia był list, który otrzymała kilka dni później oficjalnie przyznający jej pseudonim - Amy L. Gunderson - którego miała używać w komunikowaniu się z agencją.

Przecież to chyba nie wszystko, myślała Anna. Jednak w jej przypadku tak właśnie było. Nie wysłano jej na trening na „Farmę”. Nie miała i nawet zbliżyć się do kwatery głównej. Nie brała udziału w jakimkolwiek wykładzie, treningu czy sesji orientacyjnej, przy której obecny byłby [rekrut. Jej szkolenie składało się wyłącznie ze spotkań w czterech czy w pięciu pokojach i tak zwanych bezpiecznych domach w rejonie Waszyngtonu. Sesje te obejmowały standardowy program szkolenia: „kopertowy”! otwierania poczty, kurs szybkiej jazdy i samoobrony, a także wiele godzin zajęć na temat rekrutowania agentów i wprowadzania ich w tajniki służby. Za każdym razem Anna była jedyną studentką.

Bardzo jej to pochlebiało, ale jednocześnie czuła się trochę samotnie. Ledwie przed rokiem robiła doktorat z historii imperium osmańskiego. „Pani wyjątkowa” - powiedział jej instruktor na początku szkolenia. Zabrano to tak, jakby program przeznaczony był dla dzieci, które miały kłopoty z językiem. Jednak mandaryni doskonale wiedzieli, co robią. Anna musiała przejść przez coś w rodzaju kwarantanny, która miała zagwarantować, że przez jej agentki będzie otoczona jak największą tajemnicą, niedostępną dla większości kolegów po fachu. Działo się tak dlatego, że Anna miała stać tajnym agentem wywiadu, w języku tego świata znanym jako NC.

Za najbliższe ceremonii ukończenia szkolenia można było uznać nie ze starszym członkiem tajnych służb, Edwardem Stone'em. Odbył on pod koniec stycznia. Stone był szefem działu Bliskiego Wschodu, ponad dziesięć lat, ale od osoby, która to spotkanie zorganizowała, wiedziała się, że teraz zajmował się czymś innym, choć niedokładnie się dowiedziała, o co naprawdę chodziło. Powiedziano jej tylko tyle, że pan Stone usłyszał o jej niezwykłych zdolnościach językowych - w trakcie studiów historią osmańską Anna uczyła się francuskiego, tureckiego, perskiego i arabskiego - i chciał się z nią spotkać przed jej wyjazdem za granicę.

W dawnych, dobrych czy złych czasach takie spotkanie odbyło się w apartamencie hotelu Madison, w prywatnych salach przy Rive Ga w salonie byłego ambasadora w Georgetown. W roku siedemdziesiątym Anna musiała się zadowolić „Holiday Inn” przy miasteczku Meridian, siedemset dwadzieścia, w pobliżu podmiejskiego kompleksu biurowego z tych nowych restauracji, przerobionych ze starych ciężarówek.

14

była wina Stone'a. Po prostu tak to teraz wyglądało. Jakiś kongresman mógłby narobić szumu, gdyby wydało się, że starsi oficerowie CIA spotykają się z młodymi rekrutami we francuskich restauracjach.

Anna chciała zrobić na Stone'ie dobre wrażenie, wciąż jednak, mimo tylu miesięcy szkolenia, nie miała pewności, jak ma wyglądać agentka wywiadu. Czy powinna ubierać się porządnie, czy byle jak? Ma być pospolita czy ładna? Surowa czy miła? Anna podejrzewała, że inni też tego nie wiedzieli. W tamtych czasach rzadko spotykało się kobietę na stanowisku oficera wywiadu, a tajne agentki prawie

w ogóle nie istniały. Uznała więc, że może wyglądać tak, jak chce. Wybrała stonowany strój: niebieski kostium i białą bawełnianą bluzkę. Przypominał trochę mundurek. Nawet w tak nieciekawym ubraniu Anna była atrakcyjną dziewczyną. Uwagę przyciągały jej błyszczące, niebieskozielone oczy i czarne włosy do ramion, przedzielone kilkoma przedwcześnie siwiejącymi pasmami. Przypominała trochę oswojone zwierzątko, które, choć dobrze ułożone, wciąż pamięta życie na wolności.

Jako pierwsza przybyła do „Holiday Inn” i poszła prosto do pokoju. Był pospolity i przygnębiający, jak większość motelowych pokoi przy między-stanowych drogach. Zasunęła zasłony, a potem usiadła na łóżku i rozejrzała się. W całym pomieszczeniu nie zauważyła nawet jednej rzeczy wykonanej z naturalnego surowca. Brązowe zasłony ze specjalnego, odpornego na ogień materiału; zielona, poliestrowa narzuta z frędzlami; malowane na kolor drewna plastikowe stoliki przy łóżku; przybrudzony beżowy chodnik i okropna pościel. Anna właśnie przyglądała się cukierkowemu widoczkowi na ścianie, kiedy usłyszała pukanie do drzwi. Do pokoju wszedł mężczyzna ubrany, o dziwo, w skórę, wełnę i wykrochmaloną bawełnę.

- Witaj, moja droga - odezwał się Edward Stone, wyciągając dłoń. Był wytwornym mężczyzną około sześćdziesiątki, elegancko ubranym i starannie dobierającym słowa.
- Dzień dobry, jak się pan miewa? - Anna chciała, aby jej głos zabrzmiał jak głos oficera, którym w pewnym sensie była.
- Miewam się dobrze, ale nie mów do mnie „pan”. Czuję się przez to staro.

Jest flirciarzem, pomyślała Anna.

- Przyniosłem małe co nieco. - Stone podszedł do łóżka, usiadł na nim i z brązowej papierowej torby wyciągnął butelkę francuskiego szampana. Poluzował korek, który z głośnym hukem uderzył w sufit zaledwie kilka centymetrów od czujnika alarmu przeciwpożarowego.
- Niestety, nie mam kieliszków - przyznał Stone. Poszedł do łazienki i przyniósł stamtąd dwa motelowe kubki, które napełnił szampanem aż po brzegi.

15

- Witaj w klubie - powiedział wznosząc toast.

Anna podniosła swój kubek i upiła spory łyk. Bąbelki łaskotały jej i gardło.

- Za sukces - powiedział Stone.
- Za unikanie wpadek - odparła Anna.

Stone uśmiechnął się.

- Nic się nie martw. Zobaczysz, że praca jest bardzo prosta. I absuri nie łatwa, kiedy wszystko idzie zgodnie z planem.

Usiedli przy oknie, w dwóch fotelach oznaczonych jako własność „f day Inn”. Stone rozsunął zasłony zaciągnięte wcześniej przez Annę dla pieczeństwa. Promienie zimowego słońca odbijały się od

kafelków na pustego basenu. Zdjął marynarkę w szare prążki i rozpiął kamizelkę. W wyglądał elegancko, ale jednocześnie sprawiał wrażenie zmęczonego.

- Zawsze zaciągaj zasłony - przypomniała Anna, cytując jedną z: znych reguł sztuki szpiegowskiej, którą instruktor starał się jej wpoić p kilkoma miesiącami.

- Jesteśmy w Rockville - stwierdził Stone. - Tutaj nikogo to ni« chodzi.

Anna poczuła się jak żółtodziób.

Stone upił łyk szampana i zwrócił się do swojej młodej towarzyszk

- Opowiedz mi o sobie. Słyszałem, że studiowałaś historię Turcji brzmi interesująco.

- Mało kto tak uważa. Temat mojej pracy brzmiał: „Praktyki admin cyjne w późnym imperium osmańskim”.

- A czego dokładnie dotyczyła?

- Opisywała, jak imperia próbowały się ratować w obliczu zagład

- Bardzo na czasie - zauważył Stone. - W jaki to sposób Turcy os scy próbowali ocalić samych siebie, jeżeli mogę spytać?

- Doprowadzając do tego, że ich poddani rzucali się sobie nawzajf gardeł. Turcy byli mistrzami w sianiu niezgody. Prawdę mówiąc, w nie dziedzinach osiągnęli aż taką doskonałość.

- Niestety, ta metoda nie nadaje się dla nas, prawda?

Anna pokręciła głową.

- Dlaczego porzuciłaś taką wspaniałą pracę i postanowiłaś 2 agentką?

- Nudziłam się. - Anna powiedziała prawdę, a przynajmniej jej 1 Po trzecim roku pisania pracy czuła się równie martwa jak tureckie t które studiowała. Przeszło jej też uczucie do profesora wykładającej gielski, którego ulubioną rozrywką było kupowanie lodów u Steve'a. pragnęła odmiany. Kiedyś wygłosiła krótki wykład na temat Turków o skich podczas konferencji sponsorowanej przez agencję. Właśnie wte stała zwerbowana. Potem już nigdy nie oglądała się za siebie.

- To wątpliwa motywacja - stwierdził Stone.

- Dlaczego?

- Sama się przekonasz, że praca agenta wywiadu, oczywiście wykonywana kompetentnie, jest także wyjątkowo nudna.

Anna przyjrzała się twarzy swojego rozmówcy. Nie wyglądał na znudzonego. Sprawiał tylko wrażenie zmęczonego.

- Jeszcze szampana?

- Chętnie - zgodziła się. Stone napełnił oba kubki.

- W jaki sposób zdołałaś się nauczyć tylu języków?
- Musiałam. W pewnym sensie to konieczność dla historyka specjalizującego się w dziejach imperium osmańskiego.
- Naprawdę?
- Między historykami krąży taki dowcip: świeżo upieczony magister zgłasza się do profesora twierdząc, że chce zostać specjalistą historii osmańskiej. „Znasz turecki?” pyta profesor. „Tak”. „Znasz arabski?” „Tak”. „Znasz perski?” „Tak”. „Znasz niemiecki?” „Tak”. „Znasz rosyjski?” „Nie”. „W takim razie zgłoś się do mnie, jak nauczysz się rosyjskiego”.

Stone roześmiał się.

- To zabawne.
- Ja też tak myślałam, dopóki nie spróbowałam nauki rosyjskiego.
- A więc - powiedział Stone wesoło, wreszcie zmierzając do sedna - pewnie zastanawiasz się, jaki cel ma nasze spotkanie.
- Prawdę mówiąc, tak.
- Nie obawiaj się, nie zamierzam wygłosić wykładu na temat tego, jak ciężko jest kobietom, które decydują się zostać tajnymi agentkami.
- To dobrze. Już słyszałam podobne wykłady. Wielokrotnie.
- Nie powinnaś brać tego, co zamierzam ci powiedzieć, zbyt poważnie, ponieważ nie będziesz pracowała dla mnie. Trafisz do szefa placówki londyńskiej, który z kolei podlega szefowi wydziału europejskiego. Jednak chciałem spotkać się z tobą ponieważ na podstawie twojego życiorysu mogę stwierdzić, że zapowiadasz się na dobrego oficera.

Oczy Anny zwęziły się.

- A czego ty jesteś szefem, jeżeli wolno mi spytać?
- Dobre pytanie - przyznał. Anna czekała na odpowiedź, ale nie usłyszała jej. Najwidoczniej pytanie wcale nie było takie dobre albo Stone po prostu nie zamierzał udzielić jej odpowiedzi. Siedział w fotelu z kubkiem w dłoni i przyglądał się bąbelkom szampana.
- Nie jest to najszcześniejszy okres dla Stanów Zjednoczonych - podjął przerwany wątek po kilku chwilach. - A szczególnie przykry dla organizacji, do której właśnie wstępujesz. Nie powinienem tak mówić, ale dla każdego inteligentnego człowieka jest to oczywiste.
- Nie mam porównania - stwierdziła Anna

2-Siro

17

- Tak, oczywiście, ale możesz mi wierzyć na słowo. Ile masz lat?

- Dwadzieścia dziewięć. Skończę za miesiąc.

Stone westchnął i pokręcił głową.

- Sama wkrótce się przekonasz, że działanie w takich okoliczności to nic przyjemnego. O wiele łatwiej jest, gdy stoi się na szczycie góry wtedy wszyscy chcą się z tobą zaprzyjaźnić. Gdy jest się królem gry, nie trzeba rekrutować nowych agentów. Sami przychodzą. Wierzą, że jeśli pora Stanom Zjednoczonym, zyskają majątek i wpływy. Niestety, teraz ludzie wierzą, że przez taką przyjaźń mogą zginąć.

- No, nie. Chyba nie jest aż tak źle.

Stone uśmiechnął się słabo. Wydawał się tak zmęczony i zniechęcony; Anna miała ochotę jakoś go rozweselić. Przypominał jej trochę profesora filozofii, do którego chodziła na wykłady w Harvardzie, człowieka, który (późno w życiu stwierdził, iż na świecie panuje taki bałagan, że jakakolwiek praca intelektualna nie ma sensu. Jego także próbowała jakoś rozchmurzyć. Zachęcała go, aby wrócił do pisania i prowadzenia wykładów - aż do czasu kiedy zdała sobie sprawę, że rozpaczający profesor próbował po prostu uwieść. Przestała się przejmować jego przygnębieniem i potraktowała go jak na to zasługiwał. Nie wierzyła jednak, że Stone mógł być równie flegmatyczny.

- Prawdę mówiąc, już bym chciała zacząć pracę - powiedziała wesoło

- Cieszę się. Naprawdę się cieszę. Pojedziesz do Londynu jako moja agentka, zgadza się?

- Tak.

- A oficjalnie masz być pracownikiem banku Halcyon?

- Tak. - Anna zastanawiała się, skąd Stone znał te szczegóły. Po prostu powiedziano jej, że informacje na temat jej nowej tożsamości miały pozostać ścisłą tajemnicą.

- Kim masz się właściwie zajmować?

Anna zastanawiała się przez moment.

- Nie jestem pewna. Ludźmi przejeżdżającymi przez Londyn. Irańczykami, Arabami, Turkami. Prawdę mówiąc, nikt mi dokładnie nie wyjaśnił

- To dość spora gromada.

- Chyba tak.

- A Uzbeki?

- Kto taki?

- Ludzie z Uzbekistanu, jednej z radzieckich republik. Czy ktokolwiek sugerował ci, że powinnaś się z nimi skontaktować?

- Nie.

- A ci z Azerbejdżanu? Z Armenii albo z Republiki Abchaskiej? !■ z Kazachstanu? Z twoimi zdolnościami językowymi jesteś idealną kandyką do pracy z takimi ludźmi. Czy ktokolwiek ci o nich wspominał?

18

- Nie.

Stone pokiwał głową.

- No jasne. Niby dlaczego mieliby to robić? Ludzie z regionu między Kaukazem a Azją Środkową rzadko przyjeżdżają do Londynu. Zresztą nie wyjeżdżają też nigdzie indziej. A szkoda.

- Dlaczego?

- Ponieważ, moja droga, to oni są kluczem do zagadki.

Anna przyjrzała mu się uważnie, próbując odgadnąć, o co mu chodzi. Jakim kluczem? Do jakiej zagadki?

- Na pewno zdążyłaś się zorientować z prasy, że mamy problem ze Związkiem Radzieckim - ciągnął Stone. - A wiesz, na czym tak naprawdę ten problem polega?

Anna wzruszyła ramionami.

- Otóż na tym, że Rosjanie sprawiają wrażenie silnych i pewnych siebie, natomiast Stany Zjednoczone wydają się niepewne i słabe. Jest to szczególnie widoczne w tym regionie, który ciągnie się od Turcji aż po Afganistan. Dziennikarze zaczęli pisać o „pełni kryzysu”. Właśnie tak postrzega to większość ludzi, prawda?

- Tak - przyznała Anna, zastanawiając się, po co Stone mówi jej o tym.

- Prawda jednak jest zupełnie inna, a dostrzeżlibyśmy ją, gdybyśmy mieli bystrzejszy umysł. - Stone podniósł palec wskazujący, jakby za chwilę zamierzał przedstawić swoje wnioski. - W tej części świata to właśnie Związek Radziecki jest słaby. Bardzo słaby. Natomiast Stany Zjednoczone dysponują odpowiednią siłą, wystarczyłoby ją tylko wykorzystać. Związek Radziecki jest, mówiąc wprost, domkiem z kart, który tylko czeka na silniejszy podmuch wiatru.

- Według mnie sprawia dość solidne wrażenie.

- Oczywiście, że tak. Centrum jest mocne, nawet zbyt mocne. Za to brzegi... wszystko wokół tego środka jest bliskie rozpadu. Panuje tam niezły bałagan. Wystarczy, że ktoś mocniej dmuchnie, a cały kraj się rozsypie. Zapytaj tych z Armenii, Gruzji albo Uzbekistanu. Oni ci powiedzą.

Anna spojrzała na niego z zainteresowaniem. Wydawało jej się, że zaczyna go rozumieć.

- Gdzie można spotkać Uzbeka? Sam mówiłeś, że nieczęsto trafiają do Londynu.

- Miej oczy szeroko otwarte.

- Więc takie jest moje zadanie?
- Oczywiście, że nie. - Stone odsunął fotel. - Nie do mnie należy określanie twoich zadań. Byłoby to sprzeczne z oficjalną polityką.
- Z jaką polityką?
- Stany Zjednoczone stanowczo sprzeciwiają się popieraniu ruchów secesyjnych w którejkolwiek z radzieckich republik.

19

- Nie.

Stone pokiwał głową.

- No jasne. Niby dlaczego mieliby to robić? Ludzie z regionu między Kaukazem a Azją Środkową rzadko przyjeżdżają do Londynu. Zresztą nie wyjeżdżają też nigdzie indziej. A szkoda.
- Dlaczego?
- Ponieważ, moja droga, to oni są kluczem do zagadki.

Anna przyjrzała mu się uważnie, próbując odgadnąć, o co mu chodzi. Jakim kluczem? Do jakiej zagadki?

- Na pewno zdążyłaś się zorientować z prasy, że mamy problem ze Związkiem Radzieckim - ciągnął Stone. - A wiesz, na czym tak naprawdę ten problem polega?

Anna wzruszyła ramionami.

- Otóż na tym, że Rosjanie sprawiają wrażenie silnych i pewnych siebie, natomiast Stany Zjednoczone wydają się niepewne i słabe. Jest to szczególnie widoczne w tym regionie, który ciągnie się od Turcji aż po Afganistan. Dziennikarze zaczęli pisać o „pełni kryzysu”. Właśnie tak postrzega to większość ludzi, prawda?
- Tak - przyznała Anna, zastanawiając się, po co Stone mówi jej o tym.
- Prawda jednak jest zupełnie inna, a dostrzegliśmy ją, gdybyśmy mieli bystrzejszy umysł. - Stone podniósł palec wskazujący, jakby za chwilę zamierzał przedstawić swoje wnioski. - W tej części świata to właśnie Związek Radziecki jest słaby. Bardzo słaby. Natomiast Stany Zjednoczone dysponują odpowiednią siłą, wystarczyoby ją tylko wykorzystać. Związek Radziecki jest, mówiąc wprost, domkiem z kart, który tylko czeka na silniejszy podmuch wiatru.
- Według mnie sprawia dość solidne wrażenie.
- Oczywiście, że tak. Centrum jest mocne, nawet zbyt mocne. Za to brzegi... wszystko wokół tego środka jest bliskie rozpadu. Panuje tam niezły bałagan. Wystarczy, że ktoś mocniej dmuchnie, a cały kraj się rozsypie. Zapytaj tych z Armenii, Gruzji albo Uzbekistanu. Oni ci powiedzą.

Anna spojrzała na niego z zainteresowaniem. Wydawało jej się, że zaczyna go rozumieć.

- Gdzie można spotkać Uzbeka? Sam mówiłeś, że nieczęsto trafiają do Londynu.
- Miej oczy szeroko otwarte.
- Więc takie jest moje zadanie?
- Oczywiście, że nie. - Stone odsunął fotel. - Nie do mnie należy określanie twoich zadań. Byłoby to sprzeczne z oficjalną polityką.
- Z jaką polityką?
- Stany Zjednoczone stanowczo sprzeciwiają się popieraniu ruchów secesyjnych w którejkolwiek z radzieckich republik.

i

19

- Dlaczego? Mam nadzieję, że wolno mi o to spytać.
- Ponieważ jest to uważane za zbyt niebezpieczne. Byłoby to prz) jak bezpośredni atak. Mnie taki pomysł odpowiada, ale nasi przyjaciele z parlamentu Stanu obawiają się, że to doprowadziłoby do wojny nuklear
- Och.
- A zatem nie powinienem zachęcać cię do niczego podobnego.
- Rozumiem - stwierdziła Anna. Nie mogła powstrzymać uśmiech)
- To byłoby niewłaściwe - dodał Stone i odwzajemnił jej uśmiech.
- A w mało prawdopodobnej sytuacji spotkania jednej z tych niec galnych postaci, kogo powinnam zawiadomić?
- Przypuszczam, że jestem równie dobrym słuchaczem jak inni. - St wciąż się uśmiechał. Już nie wyglądał na zmęczonego.

Wypił szampana do końca i spojrzął na zegarek.

- Niestety, muszę stawić się na spotkanie w kwaterze głównej. Przyzn że wolałbym spędzić to popołudnie rozmawiając z tobą o prawdziwej pi w agencji. Obawiam się jednak, że obraziłbym tym przekładaczy papier

Wstał z fotela i uściśnął dłoń świeżo upieczonej agentce.

- Jesteś bardzo utalentowana. Spodziewam się, że wiele osiągniesz
- Dziękuję - powiedziała Anna.

- Musisz mnie odwiedzić, kiedy przyjedziesz do domu.
- Chciałabym. Bardzo.

Miała właśnie zapytać, jak może się z nim skontaktować w sytuacji, w której by musiała nagle z nim porozmawiać, ale on już zamykał za sobą drzwi.

2

Wieczorem, dzień przed wyjazdem do Londynu, Anna Barnes umówiła się na kolację z Margaret Houghton. Spotkanie to przypominało ciche pożegnanie, ponieważ w pewnym sensie wszystko zaczęło się w domu od Margaret. „Ciotka Margaret”, szczupła, nigdy nie podnosząca głosu starsza pani, choć nie była krewną Anny, należała do bliskich przyjaciół rodziny i co roku zapraszano ją na kolację w dzień Bożego Narodzenia czy na Wielkanoc. Zawsze przywoziła dzieciom egzotyczne prezenty z całego świata.

Anna od lat wiedziała - jak to zwykle bywa w rodzinnych układach w których sprawom lekko skandalicznych nie da się utrzymać w sekrecie - ciotka pracuje w jakimś tajemniczym miejscu. Nikt nigdy nie mówił o tym; co robiła; podobno nie wypadało o tym opowiadać.

20

Anna postanowiła dowiedzieć się czegoś więcej i raz w święta Bożego Narodzenia zapytała ojca, gdzie pracuje Margaret. Ten tylko przewrócił oczami i powiedział: „No wiesz... przy rzece”. Annie nie wiadomo dlaczego wydawało się, że mówi o Amazonce. Dopiero po jakimś czasie zaczęła kojarzyć fakty. Kiedy w końcu się domyśliła, stwierdziła, że to bardzo ekscytujące. Ciotka Margaret pracowała dla CIA!

Margaret utrzymywała pozory dzięki swojej elegancji. Była drobną kobietą po sześćdziesiątce. Włosy związywała w bardzo porządnym kok, od czasu do czasu odsuwając niewidoczny kosmyk z niemal gładkiego czoła. Miała piękną, długą szyję i doskonałą figurę. W jej głosie dawało się wyczuć cień południowego akcentu. Miała w sobie coś, co kazało przypuszczać, że swojego czasu przeżyła niejedną przygodę. Może jakiś tragiczny romans albo utratę fortuny. Przed stu laty mówiono by o niej „europejska”, wcale nie uważając tego za komplement.

Na kolację wybrały się do restauracji Jean-Pierre przy ulicy K. Wcale nie przypominały agentek: Margaret miała na sobie brązowy tweedowy kostium, kryjący zalety jej figury; Anna włożyła szarą kaszmirową sukienkę, która podkreślała jej kształty. Pochodziły z dwóch różnych pokoleń. Obie były przystojne i wszechstronnie wykształcone. Wyglądały jak matka i córka albo raczej jak elegancka samotna ciotka, która zabrała swoją ukochaną siostrzenicę na kolację. Gość przy sąsiednim stoliku właśnie tak by o nich pomyślał. I te pozory, jak lubiła powtarzać Margaret, były tylko jedną z zalet, które w wywiadzie dawały kobietom przewagę nad mężczyznami.

Anna pozwoliła, aby maître do hotelu zdjął jej płaszcz. Na zewnątrz było chłodno. Pochyliła głowę, zdejmując jedwabny szalik, a potem odchyliła ją w tył, pozwalając długim czarnym włosom opaść swobodnie na ramiona. Za kelnerem i Margaret ruszyła do stolika w głębi sali. Poruszała się swobodnie, plecy miała wyprostowane, kilku siedzących w restauracji mężczyzn zwróciło na nią uwagę.

- Wciąż jeszcze mam jedno zastrzeżenie co do ciebie - powiedziała Margaret, kiedy już usiadły.
- Jesteś chyba zbyt atrakcyjna do tego rodzaju pracy.

Wygłosiła podobną uwagę już rok wcześniej, gdy Anna po raz pierwszy wyraziła zainteresowanie pracą w służbach wywiadowczych. Wtedy wciąż jeszcze była na studiach podyplomowych, pisała pracę, której nie mogła skończyć, mieszkała z mężczyzną, którego właściwie nie kochała i miała wrażenie, że jeszcze trochę, a wybuchnie. Początkowo Margaret próbowała zniechęcić ją do pracy w agencji., Jeżeli chcesz tylko coś sobie udowodnić, trzymaj się lepiej z dala od wywiadu - powiedziała wtedy Annie. - Nie potrzebujemy pretensjonalnych kobiet z rozporkami w spódnicach". Nie była to uwaga sprawiedliwa w stosunku do Anny, ale dziewczyna zrozumiała, o co chodziło. Uroda nie sprzyjała bezpieczeństwu. Zwracała uwagę.

- Dzisiaj świętuję! - stwierdziła Anna zapalając papierosa.

21

Niezależnie od swojej urody, Anna wydawała się wszystkim idealną kandydatką do pracy w CIA. Jej ojciec pracował w służbach dyplomatycznych, więc w dzieciństwie Anna wiele podróżowała, ucząc się języków i poznając obce kultury.

Matka zmarła na raka, gdy Anna miała kilkanaście lat i od tamtej pory dziewczyna jeszcze mocniej żyła się z ojcem. Nie przestała być córką ambasadora - wciąż fascynował ją jego świat, lubiła zaglądać przez uchylone drzwi do wypełnionego tytoniowym dymem gabinetu ojca, gdzie czytał książki i przygotowywał depesze. Tylko że teraz już drzwi były otwarte na oścież i Anna mogła tam wejść, kiedy chciała. Takie właśnie tendencje zapanowały w latach siedemdziesiątych wśród dzieci establishmentu. Synowie mogli sobie przez cały rok mieszkać w letnim domku w Maine albo studiować astrologię w Nowym Meksyku; za to córki cierpliwie trwały przy ojcach, czekając, aż będą mogły zająć swoje miejsce w wielkich firmach prawniczych albo w bankach. A nawet w CIA.

- Kim jest Edward Stone? - spytała Anna Margaret, wypuszczając kłąb papierosowego dymu.
- Dlaczego o to pytasz?
- Poznałam go kilka dni temu. Sprawia wrażenie bardzo miłego człowieka, ale nie mogłam rozgryźć, o co mu chodziło.
- To w jego stylu. Nigdy nie mówi wprost, czego naprawdę chce. Woli, żebyś sama się tego domyśliła.
- To ty go znasz?
- Oczywiście, że znam. Zapomniałaś chyba, że ja znam wszystkich.
- Czym on się zajmuje?
- Tego nie jestem pewna. Kiedyś kierował sekcją bliskowschodnią. Teraz chyba ma własny wydział.
- Co to znaczy?

- Tylko tyle, że nie wiem, co robi.
- Czyjego praca ma coś wspólnego ze Związkiem Radzieckim?
- Ciii...

Kiedy do stolika podszedł kelner, Margaret zamówiła martini Tanqueray z odrobiną soku z cytryny. Anna poprosiła o to samo. W końcu przecież chciała uczcić przyjęcie jej do agencji. Kelner zdziwił się. Wśród personelu restauracji panowała powszechna opinia, że kobiety jedzące razem kolację raczej nie wydają zbyt wiele. Nie piją, zamawiają tylko sałatki i zostawiają napiwek w wysokości dokładnie dziesięciu procent rachunku. Szastanie pieniędzmi w restauracjach nie podbudowuje ich poczucia własnej wartości, jak to bywa z mężczyznami. Wiele lat temu Margaret odkryła, że jeżeli zamawia jedzenie i drinki jak mężczyzna, tak też jest traktowana, przynajmniej przez kelnerów.

- Jaki on jest?- spytała Anna.
- Kto?
- Stone.
- To jeden z oldboyów. Przypuszczam, że jest taki jak cała reszta... no, może trochę od nich mądrzejszy. Prawdę mówiąc, kiedy ma się z nimi do czynienia tak długo jak ja, można stracić rozeznanie.
- A jacy są ci oldboye?
- Sama dobrze wiesz, jacy są. Za dużo piją. Za dużo pieprzą. Są pewni siebie i głośno rozmawiają w restauracjach.
- Stone wcale nie był hałaśliwy.
- On należy do tych cichszych, ale poza tym niewiele się różni od reszty. Nie zapominaj, że prawie całe życie spędziłam obserwując tych ludzi, zwykle z pozycji podwładnej. Wiem o nich takie rzeczy, których oni nie wiedzą o sobie nawzajem.
- Na przykład jakie?
- Wiem o ich ambicjach. O obawach. O słabościach. Kobietom łatwiej dowiedzieć się różnych rzeczy o mężczyznach. Chociaż w przypadku Stonek... muszę przyznać, że nigdy nie słyszałam, aby kiedykolwiek wspominał, iż się czegoś boi albo w coś wątpi.

Kelner przyniósł im drinki.

- Za Londyn! - Margaret lekko stuknęła swoim kieliszkiem w szkło Anny.
- Za sukces! - odparła Anna Coraz bardziej podobała jej się wizja tajnego klubu, którego misja polegała na podróżowaniu za granicę, jadaniu w dobrych restauracjach i ocalaniu świata.
- Wydał mi się dość atrakcyjny jak na mężczyznę po sześćdziesiątce -zauważyła Anna.
- Kto?

- Stone.

Margaret roześmiała się.

- Bez wątplenia. Oni wszyscy sprawiają takie wrażenie. Właśnie tak działa aura tajemnicy. Dzięki niej wydaje się, że facet wie, co robi, nawet wtedy, gdy nie ma o tym zielonego pojęcia. Myślę, że właśnie dlatego wszyscy zostali w służbie tak długo.

- Żeby zwabiać panienki do łóżka?

- Och, Anno! - Margaret spojrzała na młodszą koleżankę z udanym przerażeniem. Było jasne, że właśnie o to jej chodziło.

- Jak wyglądałaby praca dla niego?

- Dlaczego pytasz? Zaproponował ci coś?

- Nie. Tylko jestem ciekawa.

- Pewnie byłby w porządku do pewnego momentu. Musisz zrozumieć jedno: oldboyom trudno zobaczyć w kobiecie koleżankę po fachu. Oni nas

23

traktują tak jak dorośli traktują dzieci. Lubią nas, odpowiada im nasze tczystwo. Nawet nas szanują. Jednak uważają że należymy do innej kateg

- Stone wyglądał na zmęczonego.

- Oni wszyscy tak wyglądają. Zresztą, nic w tym dziwnego. Naprawdę są wyczerpani. Pewnie sama zdążyłaś zauważyć, że sprawy nie układają pomyślnie dla oldboyów. Ich świat rozpada się na kawałki, a oni nie wiedzą co mają robić.

- A młodsi?

- Oni są zupełnie zagubieni.

- Jak to?

- Chcieliby być tacy jak oldboye, ale nie mogą bo świat za bardzo* zmienić. Ci głupszy wciąż jeszcze próbują, ale mądrzejszy wiedzą, że to nieć liwe.

- I co robią ci mądrzejszy?

- Nie można na nich polegać. Powoli się wykruszają albo od razu chodzą.

Kelner jeszcze raz podszedł do ich stolika i wyrecytował wszystkie cjalności dnia.

- Poproszę sałatkę z fasolki szparagowej - powiedziała Anna. - i tego solę z grilla bez sosu. - Kelner zmarszczył brwi z dezaprobatą.

- To żadne jedzenie - stwierdziła stanowczo Margaret. - Ja wezmę o si i stek. - Nie zamierzała udawać wegetarianki.
- Zmieniłam zdanie - stwierdziła Anna. - Poproszę o to samo. Osi i stek.
- Tak jest, proszę pani. - Kelner rozjaśnił się na myśl o hojnym za wieniu. - Czy mam paniom podać kartę win?
- Oczywiście. - Anna bez wahania wybrała dobrego czerwonego gunda.

Anna nie była zupełnie szczerą ani ze Stone'em, ani z Margaret. P czyny, dla których pociągała ją praca w CIA, były znacznie bardziej skon kowane niż zwykła nuda. Dziewczyna zaraziła się wirusem bardzo powsz nym wśród agentów wywiadu i niekiedy fatalnym w skutkach. Chciała u2 wiać świat. Miała zgubną ambicję czynienia dobra. Rosnąca wrażliwość wi chaosu i nędzy tego świata kazała jej zrezygnować z Harvardu. Czytała < bańczykach mordowanych na ulicach Bejrutu i o masakrach urządzaj przez Czerwonych Khmerów i chciała jakoś temu zaradzić. Ci, którzy świadczyli takich uczuć w wieku kilkunastu lat, brali udział w marszach testacyjnych; starsi natomiast niekiedy wstępowali w szeregi agentów C

Anna nie była też zupełnie szczerą w sprawie swojej pracy doktors Nie były to bynajmniej pozbawione emocji poszukiwania, jakie opisała

24

ie'owi. To, czego się dowiedziała, ociekało krwią całych pokoleń ofiar Tur-[ów osmańskich. Doktorat uświadomił Annie jedną z największych klęsk v dziejach ludzkości - upadek imperium osmańskiego podczas pierwszej wojny światowej i rzeź Ormian i Turków we wschodniej Anatolii. Zaintere-jowała się tym tematem jeszcze na pierwszym roku studiów w Radcliffe, za iprawą koleżanki z pokoju, Ruth Mugrditchian, która pochodziła z armeń->ko-amerykańskiej rodziny. Biedna Ruth, z trudnym do wymówienia nazwi-kiem i wielkimi, smutnymi oczami, mieszkała w Worcester. Kiedy zaprosiła współlokatorkę do siebie na święto Dziękczynienia, Anna - księżniczka Oz ikademika - nie wiedziała, czy powinna tam jechać. W końcu jednak się zgo-izowała, a opowieści o masakrach tysiąc dziewięćset piętnastego roku, które usłyszała w ciągu tych czterech dni, zrobiły na niej ogromne wrażenie. Słuchała) tym, jak Ahvanie, cioteczna prababka Ruth, brnęła pieszo przez pustynię .yryjską Biblią w rękę, aż w końcu, wyczerpana i głodna, upadła i pozosta-sviono ją rowie jako martwą. Jednak cudem zdołała zebrać w sobie jeszcze yle siły, aby dotrzeć, wciąż ze swoją Biblią, do Aleppo, a potem do Amery-d. Anna poznała historię Surena, dziadka kuzyna Ruth, którego matka przekupiła Araba, aby zabrał jej małego synka i ukrywał go w studni, dopóki Turcy lie odejdą. Surenowi także udało się w końcu dotrzeć do Ameryki. Słucha-ąc tych opowieści o cierpieniu i niewoli, Anna czuła się tak, jakby dopuszczono ją do jakiegoś spisku. Młoda studentka z Radcliffe, dziewczyna ze starego jankeskiego rodu, jeszcze długo potem czuła smak tych historii, równie wyraźny i niezapomniany, jak smak dojrzałych fig.

Jedynym problemem Anny było to, że choć lubiła Ormian, sympatią darzyła także Turków. Uważała ich za naród zdyscyplinowany i niezwykle interesujący. To tylko pogłębiało tajemnicę wokół wydarzeń końca dziewiętnastego i początku dwudziestego wieku w Turcji. Na pewno łatwiej mogłaby to

zrozumieć, gdyby masakry dokonał lud godny jednoznacznego potępienia. Jednak wtedy rozwiązanie moralnego dylematu byłoby zbyt proste. Anna doszła do wniosku, że interesuje ją właśnie problem, dlaczego cywilizowani ludzie byli zdolni do tak potwornych czynów. Dlatego tamte wydarzenia wydały jej się warte głębszego poznania.

Kiedy na serio zajęła się historią imperium osmańskiego, skoncentrowała się na poszukiwaniu momentu, w którym świat wyskoczył ze swoich kolein. Chciała wiedzieć, kiedy straszna historia wieku dwudziestego - dwie wojny światowe, rzeź sześciu milionów Żydów, śmierć dwudziestu milionów Sowieców podczas drugiej wojny światowej i takiej samej liczby w obozach stalinowskich - miała swój początek. Podejrzewała, że prawdziwą odpowiedź na to pytanie знаła właśnie Ruth Mugrditchian. Świat oszalał ósmego kwietnia tysiąc dziewięćset piętnastego roku, w dzień, kiedy Turcy osmańscy pognali armeńską ludność Anatolii, ponad milion ludzi, przez pustynię ku śmierci. Jak przystało na solidnego uczonego, Anna zaczęła od poszukiwań korze-

•

' 25

ni tego szaleństwa i wyruszyła do tajemniczego świata, gdzie swój poc miały wszystkie wielkie tragedie. W końcu jeden z profesorów popro o spotkanie i powiedział, o co chodzi. Docenił w Annie zdolność do s dzielnej pracy, jaką musi posiadać każdy uczoney, a także idealizm i pot działania, którą można wykorzystać dla celów Centralnej Agencji Wj dowczej.

Anna wypła spory łyk martini z ginem.

- Piję za kobiety w tym interesie! - Choć powiedziała to głośno, nie była ukryć cienia niepokoju w głosie.
- Ciii... - uciszyła ją Margaret i spełniła toast.
- Pewnie nie powinnam tak mówić - stwierdziła Anna. - Ale przyz że trochę się denerwuję.
- To zupełnie naturalne. Martwiłabym się, gdybyś się nie przejmio
- Powiedz mi, tylko uczciwie, czy kobieta może naprawdę wykon tę pracę równie dobrze jak mężczyzna?
- Bez wątpienia - odparła Margaret. - Jestem tego żywym dowodi

Anna uśmiechnęła się. Wiedziała już wystarczająco dużo, aby rozui

jak ograniczone było doświadczenie i osiągnięcia Margaret. Owszem, p: wała w agencji, ale głównie w kwaterze głównej i najczęściej miała do nienia ze sprawami administracyjnymi. Rekrutowała prawie wyłącznie rykańskich profesorów i biznesmenów, miłych, łagodnych, kochających kraj ludzi, którzy jeździli na konferencje do państw bloku wschodniego, dy w końcu zlecono jej kierowanie placówką, dostała przydział do jed z niewielkich państw Europy Zachodniej, w którym za największe zag nie bezpieczeństwa narodowego uważano by, gdyby ktoś zechciał wyl sekretny przepis na wyrób regionalnego sera.

- Chyba dobrze by mi zrobiło, gdyby mnie ktoś potrzywał za rękę -tchnęła Anna.

Margaret wzięła dłoń dziewczyny w swoje.

- Nie mówiłam w sensie dosłownym - stwierdziła młodsza kobiet! przez chwilę nie cofała ręki.
- Nie zapominaj, że jako kobiety mamy kilka zalet w tego rot pracy.
- Wymień choć jedną.
- Proszę bardzo, nawet kilka. Kontrolujemy nasze emocje lepiej niż i czyżni. Bywamy odważniejsze, bardziej zdyscyplinowane, dyskretnie Poza tym pozostajemy niewidzialne tam, gdzie mężczyzna od razu rzuć się w oczy.
- Jak to niewidzialne?
- To, co jest zwyczajne, staje się niezauważalne. Przecież nie mi bardziej normalnego niż kobieta spotykająca się z mężczyzną. Dlatego śnie Amerykanki mogą umawiać się na kolację z różnymi panami nawet w

26

'e, nie wzbudzając podejrzeń. Ludzie zobaczą, że taka para pije drinki i rozmawia, i przyjmą to za zupełnie naturalne.

Anna rozejrzała się po restauracji szukając stolików, przy których siedział mężczyzna z kobietą. Rzeczywiście, trudno byłoby o lepszą przykrywkę.

- Niestety, jest też jeden wielki minus w pracy kobiet.
- Jaki?
- Muszą pracować z mężczyznami.

Anna roześmiała się.

- To jest smutna prawda - ciągnęła Margaret. - Ci, którzy znają tajemnice, przeważnie są mężczyznami. A kolejną prawdą jest to, że mężczyźni nie uważają kobiet za równe sobie. W konsekwencji nie ufają im, a to oznacza, że nie czują się zbyt pewnie, gdy ich życie spoczywa w rękach kobiet.
- Woleliby raczej je podrywać.
- Słucham?
- To takie wyrażenie. Kiedy mężczyzna podrywa kobietę, oznacza to, że chciałby się z nią przespać.
- Właśnie o to mi chodziło - przyznała Margaret. - A to oczywiście stanowi wielki problem w naszej pracy. We wczesnym stadium każdej sprawy będziesz musiała przebywać sam na sam z mężczyzną, którego zechcesz zwerbować. Wtedy jeszcze nie musisz mu mówić, czym naprawdę się

zajmujesz, ale on i tak wie, że są tylko dwie możliwości, które wyjaśniłyby twoje zainteresowanie akurat jego osobą. Albo chcesz się z nim przespać...

- Albo jesteś szpiegiem.

Margaret skinęła głową.

- Tak czy inaczej, masz problem. Dlatego właśnie w sprawach zawodowych łatwiej jest kobietom mniej atrakcyjnym. Nie chcę cię za bardzo nudzić swoimi wywodami i oczywiście nie spodziewam się, że nagle przytyjesz dwadzieścia pięć kilo dla dobra firmy. Choć to by bardzo pomogło.

- Przecież ty nie jesteś gruba.

- Nie, ale jestem stara.

Przyniesiono ostrygi. Anna wzięła jedną z talerza, podniosła ją do ust i przechyliła, pozwalając, aby mięso delikatnie wysunęło się z muszli. Margaret użyła widelca.

- Pozwól, że przedstawię ci opis idealnej kobiety agentki - powiedziała Margaret, kiedy kelner oddalił się od ich stolika. - Powinna być atrakcyjna, ale nie seksowna. Pewna siebie, ale nie pretensjonalna. Musi czuć się dobrze ze swoją kobiecością, ale nie powinna być zwolenniczką ruchu wyzwolenia kobiet.

- A jaki jest idealny agent - mężczyzna?

- Tacy nie istnieją.

- No dobrze, w takim razie jaki jest przeciętny oficer wywiadu?

27

M

"Sr

skie, nie wzbudzając podejrzeń. Ludzie zobaczą że taka para pije drinki i rozmawia, i przyjmą to za zupełnie naturalne.

Anna rozejrzała się po restauracji szukając stolików, przy których siedział mężczyzna z kobietą. Rzeczywiście, trudno byłoby o lepszą przykrywkę.

- Niestety, jest też jeden wielki minus w pracy kobiet.

- Jaki?

- Muszą pracować z mężczyznami.

Anna roześmiała się.

- To jest smutna prawda - ciągnęła Margaret. - Ci, którzy znają tajemnice, przeważnie są mężczyznami. A kolejną prawdą jest to, że mężczyźni nie uważają kobiet za równe sobie. W

konsekwencji nie ufają im, a to oznacza, że nie czują się zbyt pewnie, gdy ich życie spoczywa w rękach kobiet.

- Woleliby raczej je podrywać.
- Słucham?
- To takie wyrażenie. Kiedy mężczyzna podrywa kobietę, oznacza to, że chciałby się z nią przespać.
- Właśnie o to mi chodziło - przyznała Margaret. - A to oczywiście stanowi wielki problem w naszej pracy. We wczesnym stadium każdej sprawy będziesz musiała przebywać sam na sam z mężczyzną którego zechcesz zwerbować. Wtedy jeszcze nie musisz mu mówić, czym naprawdę się zajmujesz, ale on i tak wie, że są tylko dwie możliwości, które wyjaśniłyby twoje zainteresowanie akurat jego osobą. Albo chcesz się z nim przespać...
- Albo jesteś szpiegiem.

Margaret skinęła głową.

- Tak czy inaczej, masz problem. Dlatego właśnie w sprawach zawodowych łatwiej jest kobietom mniej atrakcyjnym. Nie chcę cię za bardzo nudzić swoimi wywodami i oczywiście nie spodziewam się, że nagle przytyjesz dwadzieścia pięć kilo dla dobra firmy. Choć to by bardzo pomogło.
- Przecież ty nie jesteś gruba.
- Nie, ale jestem stara.

Przyniesiono ostrygi. Anna wzięła jedną z talerza, podniosła ją do ust i przechyliła, pozwalając, aby mięso delikatnie wysunęło się z muszli. Margaret użyła widelca.

- Pozwól, że przedstawię ci opis idealnej kobiety agentki - powiedziała Margaret, kiedy kelner oddalił się od ich stolika. - Powinna być atrakcyjna, ale nie seksowna. Pewna siebie, ale nie pretensjonalna. Musi czuć się dobrze ze swoją kobiecością ale nie powinna być zwolenniczką ruchu wyzwolenia kobiet.
- A jaki jest idealny agent - mężczyzna?
- Tacy nie istnieją.
- No dobrze, w takim razie jaki jest przeciętny oficer wywiadu?

27

- Z twojego punktu widzenia jest tylko jedno pozytywne uogólnienie Twoi koledzy na pewno wydadzą ci się niezmiernie kuszący jako part seksualni, ponieważ tylko z nimi będziesz mogła w pełni się zrelaksować. Dam ci dobrą radę: nie rób tego.
- A ty?

- Co ja?
- Ty z nimi sypiałaś?
- Oczywiście, że tak. Za każdym razem, jak tylko nadarzyła się ol Aleja wciąż jestem samotna, a oni nadal są żonaci.

Anna chwilę zastanawiała się nad słowami starszej koleżanki. San zamierzała wychodzić za mąż w najbliższym czasie, ale jednocześnie nie < ła zakończyć życia samotnie, wspominając wszystkich żonatych mężc z którymi spała.

- Chciałabyś posłuchać kilku opowieści o kobietach, które odniosł; ces? - spytała Margaret.
- Oczywiście. Im większy sukces, tym chętniej posłucham.
- Mogą ci się nie spodobać - ostrzegła Margaret.
- Nie wierzę.
- No dobrze, ale pamiętaj, że cię uprzedzałam. - Margaret jesch dziej zniżyła głos, mówiła teraz prawie szeptem. - Nasza najzdolniejszy ratorka zaczynała jako sekretarka. Chyba miała na imię Audrey. Po sko niu szkoły średniej wyszła za mąż za listonosza.

- Za listonosza? - Anna zapaliła kolejnego papierosa. - Nic dziw że zdecydowała się na pracę w naszej branży.

- Listonosz rozwiódł się z nią, zostawiając jej trójkę dzieci na utn niu. Audrey musiała więcej zarabiać. Wszyscy w tajnych służbach ją więc awansowano ją na urzędniczkę w rejestracji. Okazało się, że ma styczną pamięć do nazwisk i dat, i znowu dostała awans na analityka riałów badawczych dla kontrwywiadu. Wspaniale sprawdziła się w tej j więc postanowiliśmy dać jej szansę sprawdzenia się w Europie. Została agentką. Czy już wiesz, o co w tym wszystkim chodziło?

- Chyba nie.
- Tajemnica Audrey polegała na tym, że wszyscy ją lubili. Po pros nie można było na to poradzić. Miała tę niezwykłą cechę, którą czasar siadają dobre sprzedawczynie w domach towarowych: emanują takii płem i przyjaźnią, że ani się spostrzeżesz, jak przymierzając sukienki zac: opowiadać im historię swojego życia i w rezultacie kupisz coś znacznie szego niż zamierzałaś.

Audrey była właśnie taka. Poza tym miała trójkę dzieci, których isti zapewniało jej bezpieczeństwo, zniechęcając mężczyzn do jakichś gh A przecież była bardzo atrakcyjną kobietą. Miała spory biust, bardzo włosy, zawsze polakierowane paznokcie... możesz ją sobie wyobrazić'

28

- Wydaje mi się, że wyglądała tanio.

- Nie. Nie tanio. Po prostu dość zwyczajnie. Wystaliśmy ją do Europy, ficjalnie jako sekretarkę w jednej z naszych większych ambasad. Jej celem był pewien inżynier, który miał dostęp do niezwykle tajnych badań. Miał icoło sześćdziesiątki, jego żona mieszkała na prowincji, więc czuł się samotny. Audrey zaczęła spotykać się z nim wieczorami. Szli do restauracji albo o kina, nigdy jednak do łóżka. Audrey od razu go uprzedziła, że nic z tego, trójka dzieci bardzo jej w tym pomogła. Kiedy robiło się późno, przypomniała inżynierowi, że musi wracać do domu, do swoich pociech. Czasami sama ipraszała go na kolację i wtedy on miał okazję pobawić się z maluchami, Audrey i jej dzieci stały się jego drugą rodziną.

- W jaki sposób zdołała go zwerbować? A może zostawiła to jakiemuś oledze?

- Zaraz do tego dojdę. Audrey zachęcała inżyniera, aby opowiadał jej swojej pracy, jak każda kobieta starająca się przypodobać mężczyźnie, na którym jej zależy. Pewnego dnia powiedziała do niego: „Słuchaj, ktoś z mo-go biura bardzo interesuje się tym tematem. Może pomógłbyś nam, wskazując odpowiednie materiały, jakie ukazały się w prasie?” Kilka miesięcy óżniej poprosiła go, aby napisał własną analizę jakiegoś zagadnienia, a po-;m dłuższy wywód na ten temat. Inżynier nawet się nie spostrzegł, jak za-zał przynosić Audrey dokumenty ze swojego sejfu. Kochał ją, chociaż to czucie nie miało nic wspólnego z seksem. W pewnym sensie można to uznać a klasyczny przypadek.

- To bardzo przyjemna opowieść, ale wolałabym usłyszeć historię, w któ-;j nie występuje była sekretarka o złotym sercu.

- Nie bądź snobką, kochana.

- Przepraszam. Nie chciałam, żeby to tak zabrzmiało. Chodzi mi o to, że odejście Audrey, trójka dzieci i tak dalej, nie bardzo daje się zastosować r przypadku samotnej, bezdzietnej, niedoszłej specjalistki od historii impe-um osmańskiego.

- To prawda - przyznała Margaret. - Dam ci inny przykład, ale mam Tażenie, że ten nie spodoba ci się tak samo jak pierwszy.

- Spróbuj.

- Tym razem chodzi o kobietę, której losy były trochę podobne do two-;h. Była ekonomistką z dyplomem z Bryn Mawr i doktoratem z jakiegoś mego znanego miejsca. Urocza, dobrze wykształcona i kulturalna kobieta dobrej rodziny. Okazała się jedną z najlepszych przy werbowaniu nowych gentów.

- Na czym polegał jej sekret?

- Wykorzystywała swoje mocne strony. Takiej eleganckiej kobiecie, po-hodzącej z wyższej warstwy klasy średniej, podróżowanie po świecie nie sprawiało żadnych problemów, toteż traktowała to jako swój atut. Umieścili-

29

śmy ją w Europie Zachodniej, w odpowiednim środowisku, które pozw jej na utrzymywanie kontaktów z obcokrajowcami o podobnym poch niu. Przyznaliśmy jej właściwą rangę w dyplomacji, wystarczająco w> aby mogła się spotykać z liczącymi się w świecie ludźmi. W końcu zj docierać do ważnych informacji.

- Wspaniale. Dlaczego sądziłaś, że to mi się nie spodoba?
- Ponieważ kobiecie, o której mowa, daleko było do piękności. Pr podobnie należało to uważać za jedną z jej zalet. Jej przyjaciele mężc dzięki temu czuli się przy niej bardziej swobodnie. Nie istniała kwest pięcia seksualnego.

Anna zmarszczyła brwi.

- Mam wrażenie, że według ciebie mężczyźni mogą czuć się swob tylko w towarzystwie brzydkich kobiet.
- Źle mnie zrozumiałaś. - Margaret skończyła jeść ostatnią oi i ułożyła muszle w równym rzędzie. - Chciałam tylko powiedzieć, że v ce swobody seksualnej młodej, atrakcyjnej Amerykance znacznie tr nakłonić obcokrajowca do myślenia o czymś innym niż seks. Amerj mają w świecie opinię kobiet łatwych.
- To oburzające! - Anna przyglądała się równemu rzędowi mus ostrygach. Jak na tak bardzo osobisty temat, ich rozmowa sprawiała \ nie okropnie bezosobowej. - Margaret? - Anna zdobyła się na odwag
- Tak.
- Co robiłaś, kiedy ktoś, kogo ty próbowałaś zwerbować, robił c rodzaju propozycje?
- Jak by to ująć... - Margaret zamknęła oczy i odsunęła niewid kosmyk włosów z twarzy. - Co robiłam? Zwykle udawałam, że nic fe nie miało miejsca. Starłam się zachować dystans, uciekając się do t różnych subtelnych sposobów, jakie ma do dyspozycji kobieta. Niektc nie, często nie zdając sobie z tego sprawy, mówią „tak" tonem głosu, sf niem, sposobem, w jaki siedzą w fotelu. Przeważnie starałam się upew mówię „nie".
- Przeważnie?
- Za każdym razem jest inaczej. Czasem warto trochę pokazać m
- Czy kiedykolwiek spałaś z jakimś agentem?
- Nigdy - odparła Margaret szybko. Zbyt szybko. - Nigdy z pn zawodowych - dodała tonem, który oznaczał, że chciałaby skończyć r wę na ten temat.
- Co to znaczy? - drążyła Anna, lecz przyjaciółka nie dała się w tc gnąć.

Do ich stolika podszedł kelner, otworzył burgunda i z wielką ci nią podał im steki. Chyba uważał dwie kobiety sprawiające sobie taki za coś niezwyklego. A one bawiły się znakomicie. Jadły, piły i rozmi

30

'od koniec kolacji Anna dostała rumieńców. Czuła, że wino dodało jej od-vagi.

- Tylko poczekaj, aż ja się za nich zabiorę! - stwierdziła wylewnie. - Namierzam skopać im tyłki! Tylko poczekaj.

- Nie mów tak, kochana.
- Dlaczego nie? Zrobię to tak, jak oldboye. Będę twarda i zimna. Żadnych bzdur. Żadnych jeńców.
- Przestań! - ucięła Margaret ostro.
- Co w tym złego? Przecież tak właśnie się w to gra.
- Nie. Wcale nie musi tak być.
- A skąd ty możesz wiedzieć? - Było to najokrutniejsze, co Anna mogła »owiedzieć. Żałowała swoich słów już w chwili, gdy usłyszała, jak sama je wypowiada.

Starsza kobieta odsunęła kolejne niewidzialne pasmo włosów z twarzy.

- Moja droga Anno, zamierzam dać ci ostatnią radę i mam nadzieję, że ą zapamiętasz.
- Przepraszam. Słucham.
- Nie musisz wcale stosować zasad gry, jakimi kierują się mężczyźni. Dni zawsze gadają o skopaniu komuś tyłka, o wyciśnięciu z kogoś informa-:ji, o utrzymaniu kogoś za jaja, o tym, jakimi to są twardzielami i o tego typu zeczach. Mam wrażenie, że wszystkie te gadki w jakiś sposób im pomagają. Ue przecież nie na tym polega praca. No, chyba że się jest nazistą.

Anna przyjrzała się sceptycznie swojej rozmówczyni.

- Więc jak to działa, jeżeli nie jest się nazistą?
- Najlepiej pracować w spokoju. Zwykle wyciągniesz z ludzi więcej in-ormacji głaskaniem niż groźbami. Rozmawiasz z nimi, przypochlebiasz się m, wysłuchujesz ich nudnych opowieści, czasami pozwalasz im myśleć, że ch uwodzisz.
- Czyli, innymi słowy, działasz jak kobieta. - Ostatnie słowo Anna wy-nówiła ironicznie, ale Margaret zignorowała to.
- Właśnie tak. Nie obawiaj się łagodnego podejścia. Wszystkie te bzdu-y z męskiej szatni są głupie i zwykle nie działają.
- Przemyślę to sobie.

Margaret uśmiechnęła się.

- - Teraz wiesz już tyle, co ja. - Ujęła dłoń Anny i uścisnęła ją mocno, i potem pocałowała młodą protegowaną w policzek.
- Wcale nie - zaprzeczyła Anna.
- O czymś zapomniałam?
- Wyjaśniłaś mi, na jakich zasadach toczy się gra, ale nadal nie wiem, v co gramy. Nie powiedziałaś też, jak ty trafiłaś do tego biznesu.

- Zostawmy to na inny wieczór.
- Jutro wyjeżdżam.

31

- Wystarczy ci wiedzieć, że jestem z tego samego pokolenia co Ec Stone. Przeszliśmy przez tę samą wojnę. Życie nauczyło nas tego sami
- Och, daj spokój! Czego konkretnie?
- Nauczyliśmy się manipulować ludźmi i nauczyliśmy się to lubić Anna pokiwała głową na znak, że rozumie, ale prawda była taka, że

chała już tylko jednym uchem.

- Za Londyn! - powiedziała, wznosząc kieliszek po raz ostatni. G nosiła studencką czapkę, pewnie wyrzuciłaby ją teraz w powietrze.

statnia wyprawa krzyżowa Edwarda Stone'a rozpoczęła się w sty

w Samarkandzie, w radzieckiej republice Uzbekistanu. Oczywiście pojechał tam osobiście. Tkwił na drugiej półkuli, w biurze w Langley, gły o kilka piętér i przynajmniej o jedno pokolenie od tych, którym się\ wało, że rządzą teraz amerykańskim wywiadem. Jednak Stone był w S; kandzie duchem, a prócz tego miał tam swojego pełnomocnika. Bo w długich lat spędzonych w szpiegowskim biznesie Edward Stone zdoł pracować na przyjaźń i współpracę innych mistrzów tego fachu, co kręgu nazywano „liaison”.

Przez trzydzieści pięć lat Stone gromadził kontakty, z których mógł korzystać - z Brytyjczykami, Francuzami, Niemcami, Libańczykami, A mi, Irańczykami, mieszkańcami Pakistanu i Afganistanu. Można powie że w niektórych krajach praktycznie zbudował służby wywiadowcze o< staw. Powstałe przy tym więzy lojalności były znacznie silniejsze niż z relacje między agentami, a stworzona w ten sposób sieć wzajemnych wiązań - o wiele mocniejsza, znacznie szersza i mniej dostrzegalna, powiązania były jedyną formą działalności wywiadowczej Stanów Zj czonych, która pozostała niedostępna dla ciekawskich oczu - nie pod Kongresowi, a czasem nawet w Białym Domu nie składano raportów z tań w tym zakresie. To dawało Stone'owi i jego zagranicznym przyjąć znaczne pole manewru, nawet w siedemdziesiątym dziewiątym roku, to należało działać niezwykle delikatnie, nawet na zakurzonych ulica« markandy.

Tego szczególnego poranka słońce wschodzące ponad Gur Emir bowcem wielkiego emira Timura - oświetliło jego niebieską kopułę di

tym światłem równin Uzbekistanu. Kilku muzułmańskich pielgrzymów przy->ło o świcie do świątyni, aby pomodlić się przy grobie wielkiego zdobyw-:y, znanego Europejczykom jako Tamerlan. Tutejsi wicekrólowie material-i-mu dialektycznego niechętnie patrzyli na takie praktyki wiary ludowej, ale władze nie zdobyły się na to, aby położyć im kres. Każdego ranka przybywali utaj pielgrzymi: Uzbekcy o okrągłych twarzach osłoniętych czapkami i po-iążające krok za nimi żony w jedwabnych sukniach aberband, o barwach jwowych jak kolory witraży; a także nieliczni Turcy w długich niebieskich płasz-zach i farbowanych na błękitny kolor turbanach, raz po raz gładzący kosmyki rozwidlonych bród.

Pielgrzymi siadali pod drzewami morwy, które otaczały świątynię, i cze-calili, aż strażnicy otworzą wielką kłódkę na frontowych wrotach, zbiorą po czterdzieści kopiejek i wpuszczą wiernych do środka. Mogliby się włamać do świątyni, gdyby tylko chcieli. Wielkiej, otwartej przestrzeni strzegły jedy-lie chwiejące się, drewniane drzwi i niski murek, który nie stanowiłby wiel-dej przeszkody nawet dla małego dziecka. Wokół wznosiło się mnóstwo domostw, z których każdy krył swoje sekrety wewnątrz bielonych ścian. Sowieckie władze nawet nie zwracały sobie głowy wystawianiem ubranych na niebiesko milicjantów, aby chronili to miejsce w nocy. Czy w tej pogańskiej świątyni zostało coś, czego warto było pilnować? Każdy odpowiedzialny urzędnik okręgu Samarkandy potraktowałby to niemal jak żart.

W końcu strażnicy otworzyli bramę i pozwolili wiernym wejść do grobowca. Szli ostrożnie pod łukami z kruszącej się cegły, przez szeroki zewnętrzny dziedziniec świątyni do wewnętrznego sanktuarium. W środku unosił się zapach wilgoci i było tak ciemno, że ledwo dostrzegało się niebieskie kafelki na ścianach. Centralna komora mieściła sarkofag Timura. Nawet Uzbegy o bystrym wzroku potrzebowali chwili, zanim ich oczy oswoiły się z mrokiem. Mężczyźni szurali nogami i mruczeli; kobiety osłaniały dłońmi twarze i szeptały modlitwy. Nagle stara kobieta, o figurze zaokrąglonej po niezliczonych porodach, spostrzegła, że coś było nie tak.

- O Allah! - zawołała, wskazując na grobowiec.

Pozostali pielgrzymi spojrzeli w kierunku sarkofagu z jadeitu, który niegdyś był zielony, ale w miarę upływających wieków stawał się coraz ciemniejszy. Ciężka pokrywa sarkofagu została odsunięta o metr, ukazując wejście do grobowca wielkiego wojownika.

- O Allah! - powtórzyła staruszka drżącym głosem.

- Książę Wojny uciekł! - szepnął najstarszy mężczyzna w grupie. Powiedział to niepewnie, z nadzieją, podobnie jak jeden z wyznawców Jezusa mógłby powiedzieć: „Chrystus zmartwychwstał!” pierwszego poranka świąt Wielkanocy.

Małe pomieszczenie rozbrzmiało echem, kiedy inni powtórzyli jego słowa. Gł się od ścian niewielkiej ceglanej komory. Stara kobieta

3-Siro

nagle wydała okrzyk i wskazała coś powyżej marmurowej płaszczyzny czającej miejsce spoczynku Timura, obok prostszego, glinianego grobu (zwanego Grobem Nieznanej Świętej). Wbity w kopiec tkwił pień topoli, sokiej jak słup telegraficzny. Na jego szczycie zawieszono na sznurze p tę z arabskim napisem: Allahu akhbar! - Bóg jest wielki!

- Allahu akhbar! - zawołał czcigodny starzec, który jako chłopiec uczył się czytać Koran, zanim jeszcze ciemnota współczesności ogarnęła Środkową.

- Auu-jęknęło kilku Uzbeków.

- La ilaha illa-Llah - powiedział staruszek, powtarzając jeden z n zów Koranu: „Nie ma boga poza Allahem”.

- Allah! Allah! - zaintonował jeden z Turków. Wypowiedział te s szybko, jedno po drugim, niczym mistyk sufi. Inni zawtórowali mu, połączone głosy brzmiały coraz głośniejsze, aż zmieniły się w gardłową p a mała komora wypełniła się jękiem pielgrzymów.

Hałas zaalarmował strażnika, który natychmiast wbiegł do mauzolu. Na widok otwartego grobowca i napisu w mgnieniu oka zawrócił i poszedł przez dziedziniec do telefonu. Muzułmańscy pielgrzymi wypadli za niego zewnątrz. Zawodząc i łkając, rozproszyli się i znikli w małych uliczkach i alejkach, które biegły od placu promieniście we wszystkich kierunkach. Dziesięć minut później na miejsce przybył pierwszy oddział milicji na kołowych motocyklach, potem pojawił się drugi i trzeci, aż w końcu otoczyli całą świątynię. Po półgodzinie ściągnięto także wojsko i bliski garnizon. W armii, podobnie jak w milicji, w większości byli Uzbeki. Wszyscy wyglądali na przerażonych. Już w drodze do Gur Emir szli o tym, co pielgrzymi zastali w grobowcu.

Uzbeki wiedzieli, że zdarzyło się to już wcześniej, przed niemal czterdziestu laty. Wtedy także otwarty został grobowiec Timura i książę W rzeczywistości zapanował nad światem. Do poprzedniego kataklizmu doszło, gdy zwolennicy Lenina, apostołowie nauki i postępu, ruszyli na wschód swymi tabelami i instrumentami, aby w grobowcu przeprowadzić eksperymenty. Znaleźli się tam na żądanie znanego naukowca, profesora Gierasimowa, na którego nazwisko i autorytet naukowy powoływano się wobec niosącej ludności niczym na słowa wodza tegoż plemienia. Mówiono, że ten genialny akademik, ekspert w dziedzinie rekonstrukcji twarzy z kości na podstawie zachowanych kości czaszki oraz pyłu, zaproponował zastosować swoją magię na twarzy wspaniałego zdobywcy i wodza Timura, który zrównywał z ziemią całe miasta, zabijając mężczyzn, kobiety i dzieci, jeżeli z ich strony pojawił się choćby ślady sprzeciwu. I takiemu czterdziestemu Gierasimowowi chciał zmierzyć odległość pomiędzy grzbietem i

34

nagle wydała okrzyk i wskazała coś powyżej marmurowej płaszczyzny czającej miejsce spoczynku Timura, obok prostszego, glinianego grobu zwanego Grobem Nieznanej Świętej. Wbity w kopiec tkwił pień topoli sokiej jak słup telegraficzny. Na jego szczycie zawieszono na sznurze { tę z arabskim napisem: Allahu akhbar! - Bóg jest wielki!

- Allahu akhbar! - zawołał czcigodny starzec, który jako chłopiec uczył się czytać Koran, zanim jeszcze ciemnota współczesności ogarnęła Środkową.

- Auu - jęknęło kilku Uzbeków.

- La ilaha illa-Llah - powiedział staruszek, powtarzając jeden z wersetów Koranu: „Nie ma boga poza Allahem”.

- Allah! Allah! - zaintonował jeden z Turków. Wypowiedział te i szybko, jedno po drugim, niczym mistyk sufi. Inni zawtórowali mu, połączone głosy brzmiały coraz głośniejsze, aż zmieniły się w gardłową i a mała komora wypełniła się jękiem pielgrzymów.

Hałas zaalarmował strażnika, który natychmiast wbiegł do mauzolu. Na widok otwartego grobowca i napisu w mgnieniu oka zawrócił i poszedł przez dziedziniec do telefonu. Muzułmańscy pielgrzymi wypadli za niego zewnątrz. Zawodząc i łkając, rozproszyli się i znikli w małych uliczkach i alejkach, które biegły od placu promieniście we wszystkich kierunkach. Dziesięć minut później na miejsce przybył pierwszy oddział milicji na kołowych motocyklach, potem pojawił się drugi i trzeci, aż w końcu otoczyli

całą świątynię. Po półgodzinie ściągnięto także wojsko bliskiego garnizonu. W armii, podobnie jak w milicji, w większości s! Uzbegy. Wszyscy wyglądali na przerażonych. Już w drodze do Gur Emi szeli o tym, co pielgrzymi zastali w grobowcu.

Uzbegy wiedzieli, że zdarzyło się to już wcześniej, przed niemal c dziesiętu laty. Wtedy także otwarty został grobowiec Timura i Książę W rzeczywistości zapanował nad światem. Do poprzedniego kataklizmu do gdy zwolennicy Lenina, apostołowie nauki i postępu, ruszyli na wschód swymi tabelami i instrumentami, aby w grobowcu przeprowadzić eksperymenty. Znaleźli się tam na żądanie znanego naukowca, profesora Gierasimowa, na którego nazwisko i autorytet naukowy powoływano się wobec i scowej ludności niczym na słowa wodza tutejszego plemienia. Mówiono że ten genialny akademik, ekspert w dziedzinie rekonstrukcji twarzy z tych na podstawie zachowanych kości czaszki oraz pyłu, zaproponował zastosować swoją magię na twarzy wspaniałego zdobywcy i wodza Tin męża, który zrównywał z ziemią całe miasta, zabijając mężczyzn, kot i dzieci, jeżeli z ich strony pojawił się choćby cień sprzeciwu. I takiemu < wiekowi Gierasimow chciał zmierzyć odległość pomiędzy grzbietem :

34

kością potyliczną, odtworzyć jego szczękę i rozpiąć sztuczną skórę na tym, :o pozostało z królewskich kości policzkowych. Uzbegy sprzeciwiali się, błagali, aby tego nie robić, jednak moskiewscy akademicy nie zważali na ich jrosby.

Ludzie Gierasimowa przybyli do Samarkandy, odbili wieko wielkiego adeitowego sarkofagu i zabrali królewskie szczątki Timura. Mówili, że chcą »badać, czy rzeczywistość był kulawy, jak mówiła legenda. Zmierzyli więc cości udowe i piszczelę władcy i przeprowadzili wiele innych badań. Może nawet przerwali na chwilę prace, aby przeczytać inskrypcję na wieku sarkofagu: „W tym grobowcu spoczywa Duch Wojny" - co prawdopodobnie należało uznać za prastarą wersję „Nie przeszkadzać". Być może wzbudziła w nich tylko śmiech. Oparli się o łomy i odsunęli ciężki jadeit...

Akademicy otworzyli grobowiec Timura dwudziestego pierwszego czerwca tysiąc dziewięćset czterdziestego pierwszego roku. Właśnie tego dnia Hitler dokonał inwazji na Związek Radziecki. Był to dzień, w którym Duch Wojny rzucił się naprzód ze zwielokrotnioną siłą - i na pewno z większą brutalnością niż przed pięcioma stuleciami, gdy po ziemi stąpał Timur. Przesądny lud Azji Środkowej wiedział, co się stało. Znał przyczynę i skutek.

Zresztą każdy człowiek uznałby to za oczywiste - czy to student etnologii orientalnej, czy też Amerykanin, który przypadkiem usłyszał tę zdumiewającą historię od kilku pakistańskich przyjaciół, jak Edward Stone pewnego wieczoru podczas wizyty w Peszawarze. Ktoś taki jak on nie mógłby się powstrzymać od przeprowadzenia eksperymentu i sprawdzenia, co się stanie w rozległych i milczących krainach Azji Środkowej, gdy grobowiec otworzy się raz jeszcze. Nie trzeba było nawet zbytnio się wysilać - wystarczyło kilku uzbeckich działaczy stacjonujących w Peszawarze - żeby wywołać tak wielkie zamieszanie. Przede wszystkim jednak Stone uważał to za rodzaj gry pozwalającej na sprawdzenie jego sieci powiązań, zbadanie, czy maszyna jest odpowiednio naoliwiona i w krytycznym momencie zadziała. Dałoby mu to także możliwość sprawdzenia swojej tezy, że sowiecka konstrukcja wzniesiona w Azji Środkowej jest krucha i chyli się ku upadkowi.

Na dowody nie musiał długo czekać. Już w godzinę po odkryciu otwartego grobowca Radio Samarkanda umilkło. Kiedy w kilka minut potem podjęto nadawanie, spiker zaczął czytać materiały

propagandowe przygotowane na tak wyjątkowe chwile przez Komitet Centralny Komunistycznej Partii Uzbekistanu. Jego głos brzmiał bezbarwnie i mdło.

- Wszystko, co radosne i szczęśliwe w życiu ludu Samarkandy i całego radzieckiego Wschodu, wiąże się z heroicznymi działaniami Partii Komunistycznej i z wielkim wodzem rewolucji, Leninem - mówił spiker. - Wielka Socjalistyczna Rewolucja Październikowa wyznaczyła początek odrodzenia

35

starożytnego miasta. Pod przywództwem Partii Komunistycznej lud Samarkandy podjął rewolucyjne kroki w celu stworzenia nowych szkół, ośrodków medycznych, zakładów przemysłowych oraz wdrożenia rolniczej reformy regionu. Towarzysze! W godzinie próby lud Samarkandy ślubował Lenino-wi. Pisał: „Drogi Włodzimierzu Iljiczu. Przyszekamy, że się nie ugniemy i będziemy bronić zdobyczy władzy radzieckiej. Raczej zginiemy w walce, niż pozwolimy wrogom rewolucji socjalistycznej obalić radziecką władzę w Uzbekistanie!”.

Do południa wieść rozeszła się po mieście z szybkością płomieni obejmujących suchą trawę. Plotka błyskawicznie pokonała kilkanaście kilometrów dzielących mauzoleum od bazaru, gdzie codziennie zbierali się rolnicy sprzedający owoce i warzywa ze swoich sadów i ogrodów. Bazar był niezwykle miejscem, niemal niedostępnym dla władzy radzieckiej. Rolnicy i kupcy przepychali się między sobą, zachęcając kupujących w tym samym hałaśliwym języku, którym mówiono pięćset lat temu, gdy nieopodal przebiegał Jedwabny Szlak.

Teraz tak samo jak dawniej, na bazarze najlepiej sprzedawały się plotki. Sprzedawczynie moreli w czerwonej chuście na głowie opowiedziały o otwartym grobowcu kobiecie handlującej migdałami, która podeszła do straganu z przyprawami i powiedziała wszystko starowince sprzedającej kardamon. Mąż staruszki usłyszał nowiny i krzyknął do swojego przyjaciela, sprzedawcy cebuli. Wiadomość migmie obiegła cały rząd straganów. Dotarła do sprzedających kapustę i rzodkiewkę i do kobiet układających marchew w równe piramidy. Szybko trafiła w głąb bazaru, do sprzedawców materiałów, butów, książek i wyrobów z żelaza. Ludzie biegli do telefonicznych budek z czarnymi, męfalowymi dachami przypominającymi kształtem rogatywki i dzwonili do swoich przyjaciół.

Jeszcze nie minęła połowa dnia, a cały bazar wrzał. W czasie modlitwy mułta wspinał się na dach kawiarenki stojącej przy końcu bazaru i krzyknął: Allahu akhbar zawodzącym głosem muezzina. Milicjanci byli na rynku już od rana. Paru z nich ruszyło w pościg za nierozważnym mułtą, ale nie zdołali go dogonić. Na ich drodze stali krzepcy Uzbegy i niscy, szurający nogami Turcy. Nie robili tego celowo, po prostu nie usuwali się ze swoich miejsc, tłocząc się w drzwiach kawiarni. Ruszali się powoli i z rozmysłem, jak wszyscy mieszkańcy Azji Środkowej, kiedy nie chcą, aby ich ktoś popędzał. Wtedy nawet wielki bóg historii nie jest w stanie usunąć ich z drogi.

Radio Samarkanda wciąż nadawało słowa, które miały działać na słuchaczy niczym balsam:

36

- Towarzysze, istnieje uzbecka legenda o złotej księdze w złotej skrzyni, którą zakopano w ziemi w czasach, gdy złe plemiona dokonywały krwawych najazdów na ludność. Od tamtej pory minęły stulecia. Lud wierzył, że kiedyś narodzi się wojownik, który odnajdzie tę księgę i zwróci ją

ludziom. W końcu pojawił się taki wojownik: jego umysł jaśniejszy był od słońca, oczy łagodne, a uśmiech przywracający radość i nadzieję przynosił ulgę zmęczonym, niczym źródło wody na pustyni. Jego słowa przepęniała wielka mądrość. Wojownikiem tym był wielki Lenin. Odnalazł on złotą skrzynię ze wspaniałą księgą i otworzył ją przed narodem uzbeckim i innymi zniewolonymi ludami świata.

Na całym bazarze ludzie zaczęli wyłączać radioodbiorniki. Umilkły radia u fryzjera i nawet w barakach milicji. Mimo to głos ciągnął dalej:

- Lenin sprawił, że legenda stała się długo oczekiwaną rzeczywistością. Pod jego przewodnictwem naród uzbecki dołączył do robotniczych klas Rosji i swoich braci w całym kraju, rozpoczynając walkę o wolność i socjalizm.

Wszystkie radia już milczały, ale bezbarwny głos wciąż mówił:

- Socjalistyczna rewolucja wniosła szczęście do domu każdego Uzbecka. Dla uzbeckiego narodu oznaczała ona wolność od społecznych, gospodarczych i nacjonalistycznych prześladowań. Lenin umarł, lecz leninizm wciąż żyje - twardy i nieruchomy niczym skała.

Stone instynktownie pojmował, że materiał utkany z kłamstw nie przetrwa kolejnego pokolenia. Bunt narastał każdego dnia, w małych, pojedynczych przejawach, choćby tak prostych jak zapewnienie, że Bóg istnieje w oficjalnie bezbożnym państwie. Dowody istnienia islamskiego buntu były równie wszechobecne i niewidzialne, co pył w powietrzu. Przejawiały się wszędzie i nigdzie; wierzyli wszyscy i nikt. Odnosiło się wrażenie, że wszyscy Uzbeki brali udział w genialnym planie oszukania sowieckich zwierzchników - byli przyjacielscy, uśmiechali się, przyjmowali pieniądze i wszelkie nowoczesne udogodnienia, które oferowała Moskwa; nosili swoje wojenne medale i odznaki partyjne, nadawali swoim żonom tytuł heroicznej matki, kiedy rodziły im dziesiąte dziecko, ale nie wierzyli w ani jedno słowo z marksistowskich frazesów, którymi ich karmiono. Zawsze czekali tylko na chwilę, gdy będą mogli głośno powiedzieć imię Boga.

Gdyby Stone zjawił się tego dnia przy grobowcu Quthama Ibn Abbasa wraz ze swoim znajomym korespondentem, dostrzegłby jeszcze jeden przejaw nadchodzącego buntu. Sam w sobie nie miałby znaczenia, ale był przecież jednym z tysięcy nasion rebelii, które rozrzucono po równinach Azji Środkowej. Wszystkie miały lada chwila wykiełkować. Do tego szczególnego incydentu doszło wczesnym popołudniem, kiedy grupa uzbeckich rolników szła drogą od bazaru do świątyni Ibn Abbasa, kuzyna proroka Mahometa.

37

Stało się to bardzo szybko. Rolnicy zeszli schodami do grobowca. W małym pomieszczeniu tłoczyli się rosyjscy turyści, których tu przywieźli autokarem. Słuchali wykładu na temat rodzimego folkloru wygłaszanego przez gorliwego armeńskiego przewodnika. Chodzili po komnacie w swoich ciężkich rosyjskich butach, nie zastanawiając się nawet nad tym, że są w meczecie i stąpają po świętej ziemi. Oni widzieli w tym jedynie ciekawostkę, pozostałość po pogańskiej przeszłości, dzięki której Aga Środkowa przyciągała turystów.

Grupa Uzbeków ustąpiła z drogi i stanęła na uboczu, z czią wpatrując się w drewnianą osłonę zakrywającą grobowiec - odgradzała ich od niego ściana Rosjan błyskających fleszami aparatów

fotograficznych i głośno rozmawiających. Przewodnik właśnie opowiadał jakieś zabawne anegdoty na temat muzułmańskich praktyk religijnych. Akt buntu dokonał się w mgnieniu oka. Kiedy Rosjanie zaczęli wychodzić z grobowca, jeden z Uzbeków nakazał swoim braciom i siostrą usiąść. Przykucnęli zwróceniem plecami do północnej ściany, kobiety i mężczyźni oddzielnie, tak jak nakazywał Koran. Pieśń popłynęła, gdy tylko zajęli swoje miejsca.

- Allahu akhbar - zaintonował mułła. W rzeczywistości był zwykłym rolnikiem, nie ukończył medresy i na pewno nie miał własnego Koranu; zresztą gdyby miał, pewnie nie potrafiłby go przeczytać. Tego jednak dnia, na tę krótką chwilę stał się mułłą, nawołującym swój lud do modlitwy.
- Ashhadu anna la ilaha illa-Llah. - Świadczę, że nie ma boga poza Allahem.

Maleńkie zgromadzenie odpowiedziało mu spod ściany:

- Ashhadu anna Muhammadan rasulu-Llah. - Świadczę, że Mahomet jest posłańcem Boga.

Mężczyzna szybko odmawiał modlitwę. Następną grupą rosyjskich turystów mogła w każdej chwili pojawić się w bramie, przy sklepieniu z książkami, w którym sprzedawano ateistyczną literaturę i traktaty antyislamskie. Mułła spieszył się. Imię Boga nie traciło swojej mocy, gdy wypowiedziano je szybko.

- Allahu akhbar - rozpoczął ponownie, powtarzając wezwanie do modłów.
- Ashhadu anna la ilaha illa-Llah.

Niewykształcony mułła recytował pierwszą surę Koranu.

Modlitwa należy do Boga, Pana Światów,

Litościwego i Łaskawego,

Króla dnia Sądu Ostatecznego,

To Ciebie czcimy i Ciebie o pomoc prosimy.

Prowadź nas prostą ścieżką,

Ścieżką tych, których Ty wybrałeś,

Nie ścieżką tych, którzy na gniew Twój zasłużyli,

ani tych, którzy z niej zbczyli.

38

Mężczyźni i kobiety zakryli dłońmi twarze i pokłonili się. W małym po-nieszczeniu dźwięk odbijał się echem i wibrował w powietrzu, przez co ich »łosy brzmiały niczym wielki chór muzułmanów, a nie jak ośmioro zakurzo-lych uzbeckich chłopów. W drzwiach stanął stary Turek w niebieskim płasz--zu i białym turbanie. Jego oczy jaśniały radością cieszył się, słysząc modli-wę. Zasłonił dłońmi twarz w chwili, gdy wszedł do grobowca i dołączył do jwiernych. Jeszcze kilkoro starszych mężczyzn przybyło i przyłączyło się do >ieśni, choć kroki ciężkich butów i rosyjskie głosy zbliżały się nieubłaganie.

Wszystko skończyło się równie nagle, jak się zaczęło. Mułta przerwał jstątnią strofę, wstał i wyprowadził niewielki szereg wiernych na zewnątrz, w świat bożej łaski i sowieckiej władzy.

Prawie miesiąc upłynął, zanim opowieść o tych wydarzeniach - i o kilku Dodobnych - dotarła do Edwarda Stone'a, do Waszyngtonu. Opóźnieniu temu nie należało się dziwić. Informacje przebyły długą drogę. Przenosił je patań-ski handlarz końmi, Mahbub Ali, który przemierzał dziwne krainy zwane przez Kiplinga „zapleczem świata”. Handlarz, który akurat wtedy znalazł się na bazarze w Samarkandzie, wyruszył w dalszą drogę rozklekotanym radzieckim autobusem do Termezu, przy południowej granicy Uzbekistanu. Jedną noc spędził w Karszy, na dwie zatrzymał się w Szerabadzie. Kiedy wreszcie dotarł do Termezu, odnalazł drogę na zaplecze pewnej kawiarenki i odbył długą rozmowę z pewnym starszym uzbeckim dżentelmenem, który miał krewnych w Kabulu. Jakimś cudem - lepiej nigdy nie pytać jakim - nowina przedostała się przez oficjalnie nieprzepuszczalną granicę radziecką szybko rozniosła po Mazar-i-Szarif oraz po Baghlanie, a potem trafiła prostą drogą do Kabulu. Stamtąd już rozprzestrzeniała się bez przeszkód, niczym woda spływająca ze wzgórze, szczytami i przełęczami południowego Afganistanu, a potem przez granicę do Pakistanu. Gdy wiadomość dotarła do Peszawaru, przyciągnęła uwagę pewnego szczególnego przyjaciela Edwarda Stone'a, pakistańskiego dżentelmena, który pracował dla organizacji o bezbarwnej nazwie Rada Wewnętrzna Służb Wywiadowczych. On także, podobnie jak Stone, brał udział w Wielkiej Grze.

Kiedy Stone wreszcie o wszystkim usłyszał, uśmiechnął się i dłuższą chwilę zastanawiał, co może przynieść przyszłość.

II

Amos B. Garret

Stambuł/Waszyngton

23 - 26 stycznia 1979

//

4

\ merykański konsul w Stambule mieścił się w pięknym, starym marmurowym budynku w centrum miasta i w słoneczne dni, z flagą poruszaną wiatrem od strony Złotego Rogu, wyglądał naprawdę okazale. Co prawda nie imponująco jak konsul radziecki, łososiowy pałac odległy od placówki merykańskiej o kilka przecznic, ale zupełnie odpowiednio do zadań, jakie meryka postawiła sobie w tej części świata.

Budynek został zbudowany w latach siedemdziesiątych dziewiętnastego wieku przez genueńskiego właściciela okrętów, niejakiego pana Corpi. Nie kąpił on pieniędzy. Marmur i palisander sprowadził z Włoch. Niektórzy spośród członków personelu konsulatu wciąż jeszcze nazywali budynek „Pałac Corpi”. Signor Corpi zmarł kilka miesięcy po ukończeniu budowy wymarzonego domu i nie zdążył nacieszyć się freskami przedstawiającymi nimfy satyrów płasających po suficie jadalni. Zresztą Amerykanie także nie mieli okazji podziwiać tych malowideł. Stany Zjednoczone zakupiły okazałą biurowicę w tysiąc dziewięćset siódmym roku, wraz z freskami i wszystkim innym, rzekomo dzięki temu,

że amerykański ambasador w Turcji wygrał z przewodniczącym Izby Reprezentantów w pokera. Niestety, w latach trzydziestych jakaś szczególnie pruderyjna żona konsula generalnego orzekła, iż freski i pornografia i kazała je zamalować.

Spoglądając na nudny biały sufit, Taylor za każdym razem myślał o dawno zmarłej żonie ambasadora i przeklinał ją myślach. Była typową purytanką, losobieniem amerykańskiego pragnienia zamalowania i zamazania wszystkiego, co burzyło porządek świata. Być może niektórzy wciąż jeszcze uważali takich Amerykanów za nieszkodliwych, ale w siedemdziesiątym pierwszym roku Taylor miał ich dość.

43

Alan Taylor był szefem bazy CIA w Stambule. Przydzielono mu właśnie tę niezbyt dużą placówkę, zamiast bardziej rozbudowanej, o znacznie większych obowiązkach administracyjnych, ponieważ należał do ludzi, których agencja nazywała „specjalistami od rekrutacji”. Bynajmniej nie traktowane tego jako komplement. Taylor był przystojnym mężczyzną, miał prawie metry osiemdziesiąt wzrostu, szczupłe biodra i szerokie ramiona, przez co niekiedy, pomimo subtelnych rysów, wyglądał jak bokser albo barowy wykidajło. Ciemne włosy zaczesywał do tyłu i chociaż nie należał do osób pedantycznych, jego fryzura zawsze była nienaganna.

Miał około czterdziestu lat, a więc znajdował się u progu wieku średniego. Lekko kontynentalny typ urody, sposób ubierania się oraz maniery sprawiały, że ludzie brali go za Anglika albo Francuza. W rzeczywistości był jednak równie amerykański jak tamta żona ambasadora. Mówiono o nim, że to typ buntownika, niegrzecznego chłopca z dobrej rodziny, który ponoc wszystko uwielbia powtarzać całemu światu, że ma wszystko gdzieś. Żarów no kobiety, jak i mężczyźni oceniali Taylora podobnie: wydawał im się najmiłszym człowiekiem pod słońcem. Właśnie na tym polegał naturalny talent do rekrutacji.

Takich ludzi było coraz mniej w ujednoczonym światku amerykańskiego wywiadu. W kwaterze głównej myśleli sobie: i chwała Bogu! Do diabła z twardzielami z ekstraklasy, z chłopcami z Beacon Hill, którzy umieli kłamać jakby pochodzili z południowego Bostonu. W Langley zapanowała teraz moda na zatrudnianie sprzedawców i robienie z nich oficerów. Oczywiście nie chodziło o żadnych tam zwyczajnych sprzedawców używanych samochodów ale o poważnych kandydatów do tego fachu. O takich, którzy znaleźli się na czele klasyfikacji swojej grupy w Penn State, a potem zostali zatrudnieni w General Electric, gdzie mieli sprzedawać turbiny po milion dolarów. Po trafili cały rok spokojnie i bez emocji przygotowywać klienta do jednej wielkiego kontraktu. Należeli do tych, którzy, patrząc prosto w oczy, opowiadali kłamstwa i to w taki sposób, że im wierzono. Taylor może i miał swoje wady, ale na pewno nie zaliczał się do tego typu ludzi.

On nigdy nie nazywał budynku konsulatu „Palazzo Corpi”. Jego żona używała tego określenia, dopóki nie spakowała się i nie opuściła Stambułu. Była to jedna z tych małych spraw, które działały mu na nerwy. Pani Taylor powinna była raczej wyjść za dyplomatę, za jednego z tych silnych facetów, którzy cały dzień poświęcali sporządzeniu depeszy nie do odszyfrowania na temat wizyty POLOFF u FORMIN z GOT. Żona Taylora nienawidziła CIA, co także zbliżało ją do kręgu dyplomatów. Nazywała agencję „Piasków nicą”.

Departament Stanu używał nieco bardziej wyszukanego kodu. Wszyc stali się tak przewrażliwieni na punkcie agencji, że nawet w tajnych depe szach określano ją eufemistycznie jako „Specjalne Służby Informacyjne”

44

I gdy nawet i to wyrażenie zaczęło im się wydawać zbyt oczywiste, stworzyli nowe, czteroliterowe słowo - SIRO - które brzmiało interesująco, coś jak seraj" albo „sirocco", ale w rzeczywistości nie znaczyło nic.

Taylor pojawiał się w ozdobnym budynku tylko wtedy, gdy było to abso-łutnie konieczne. Sam mieszkał w odrapanym biurze obok, w szarawej, stiu-owej budowli, kolorem przypominającej brudne wody Bosforu. Prócz biura àylora mieściła się tam sekcja konsularna.

Z okna w dobudówce miał widok na mury starego hotelu „Pera Palas", łożącego przy tej samej ulicy. Kiedy jego myśli zaczynały wędrować - co darzało się dość często - wyobrażał sobie, jak to musiało wyglądać we wspa-iałych dla szpiegowskiego interesu czasach. Hotelowe lobby pełne absur-alnie rzucających się w oczy oficerów wywiadu ze wszystkich stolic Euro-y, dym z cygar i wymienianie wiadomości. Tajemnicze orientalne postacie rzemykające pomiędzy nimi i sprzedające informacje. Upadłe kobiety o eg-otycznej urodzie, wjeżdżające windami na górne piętra. Mówiono nawet, że imma Mata Hari zatrzymała się raz w tym hotelu. Taylor nigdy nie brał jej oważnie, dopóki nie przeczytał, że mimo na pozór idealnej figury, Mata [ari miała płaską klatkę piersiową i nosiła wypchany stanik nawet do łóżka. >d tamtej chwili uważał ją za najwyższej klasy agentkę wywiadu, królową odstępu, a kiedy po pracy szedł do „Pera Palas" na drinka, próbował wywo-łć jej ducha. Zawsze jednak spotykało go rozczarowanie. Bar wypełniały iemieckie turystki o ciężkich piersiach i głupkowate amerykańskie dziewczyny szukające dwutygodniowej przygody. Żadna z nich nie była Matą Hari, le pomagały jakoś zabić czas.

Tego stycznia Taylor dużo myślał o Turkach. Turcja była jednym z waż-ych filarów świata, ale w ogólnym zamieszaniu wokół sytuacji w Iranie nikt dawał się tego nie dostrzegać. Wyjazd szacha i zamęt na rynku ropy naf-)wej wstrząsnęły giełdami w Nowym Jorku i Londynie i rozeszły się falą derzeniową, sięgając Stambułu i Ankar. Fala ta nabierała niszczącej siły. ĩoblemem w Stambule nie były długie kolejki na stacjach benzynowych. Po rostu tej zimy paliwa brak wało i nigdzie nie można go było kupić. Ceny Dpy wzrosły o osiemdzies. i procent na początku roku i przez cały czas pię-f się w górę. W Stambule już nawet w dzień zarządzano przerwy w dopłynę energii, a półki w sklepach świeciły pustkami. Turcy reagowali na te ieszczęścia robiąc to, co jeszcze było w ich zasięgu - zabijając się nawza-an.

Zima we wschodniej Turcji rozpoczęła się masakrą w miejscowości Kah-imanmaras. Do zamieszek doszło na kilka dni przed świętami Bożego Na-adzenia. Miejscowa lewica zorganizowała marsz protestacyjny, aby uczcić tnięć dwóch nauczycieli. Lewicowcy malowali na ścianach swoje hasła, wykrzykiwali epitety przeciwko reżimowi i rzucali kamieniami. Armia otwo-żyła do protestujących ogień. W dzień Bożego Narodzenia w Kahramanma-

i

45

■ V

ras zginęło sto dziewięć osób, a ponad tysiąc zostało rannych. Zniszczono około pięciuset sklepów. Przemoc wkrótce ogarnęła inne miasta i dwudziestego szóstego grudnia w trzynastu prowincjach wprowadzono stan wojenny. Liczba ofiar terroryzmu wzrosła kilkunastokrotnie. Na początku siedemdziesiątego dziewiątego roku wszystko wskazywało na to, że Turcja pójdzie w ślady Iranu.

Dlaczego Ameryka pozwoliła, aby do tego doszło? Właśnie to chcieli wiedzieć Turcy. Dlaczego nikt nic nie zrobił? Amerykański ambasador w Ankarze wysłał do kraju więźniów depezę: „Wątpliwości Turków co do wiarygodności USA jako sojusznika pogłębiły się w rezultacie tego, że nie potrafiliśmy zapobiec upadkowi szacha w Iranie. Uważają oni, iż Stany Zjednoczone nie tracą wpływy i potęgę na rzecz Związku Radzieckiego”. Już bardziej dosadnie nie można było tego określić, ale nazwanie spraw po imieniu wcale nie pomogło. Kiedy temat Turcji poruszono w Ameryce, wydawało się, nikt nie jest w stanie wyjść poza dyskusję o prawach człowieka.

Taylor nie wiedział, co ma mówić swoim tureckim przyjaciołom, więc zazwyczaj nie mówił nic. Szef personelu tureckich sił lotniczych odszukał go na przyjęciu organizowanym w Stambule pod koniec stycznia i ostrzegł, że sytuację w Iranie uważano za klęskę strategiczną. Dlaczego Ameryka nic w tej sprawie nie zrobiła?

- Nie jestem upoważniony do rozmowy na ten temat - stwierdził wtedy Taylor.

Generał sprawiał wrażenie, jakby słowa Taylora przyniosły mu ulgę. Był oczywiste, że Amerykanie starali się jakoś temu zaradzić; tylko po prostu nie mogli nic o tym mówić.

Taylor lubił codziennie rano sprawdzać depeze. W nadziei, że wśród nie kończących się serii biurokratycznych dyrektyw i raportów z kwatery głównej znajdzie jakiś nieoszlifowany klejnot: ciekawą wiadomość, nowy plan działania, wskazówkę, że ktoś tam, w samym mózgu centrali wiedział, co naprawdę działo w odległych od głowy fragmentach świata. Prawie zawsze się zawodził, ale mimo to każdego ranka wracał z nową ciekawością. Ciąkał, aż coś się wydarzy, coś, co zmusi go do znalezienia rozwiązania i i rządkuje układankę jego życia. I wreszcie tak się stało tamtego dnia pod koniec stycznia.

Dzień zaczął się bardzo źle, kiedy szyfiant przyniósł ostatnią wiadomość z centrum. Taylor najpierw pomyślał, że to jakiś żart, skomplikowana para dia biurokratycznego bagna, w którym agencja tonęła przez ostatnie lata. Była to dość długa depeza od „Edwarda J. Ganina”, czyli od Charlesa (Chuck Hinkle'a, nowego dyrektora wywiadu, który używał tego pseudonimu, słano ją specjalnym dyrektorskim kanałem komunikacyjnym, w którym

46

*

»mości opatrywano kryptonimem LWSURF, ale powszechnie nazywano je [huckgramami”.

Narządzenie według założeń”, głosił tytuł. Taylor przekartkował długie memorandum. Napisano je poważnym bełkotem, jakiego używano podczas minarów w Dale Carnegie. Dołączono też listę dziesięciu zasad bardziej efektywnego zarządzania (Punkt 6. Nie wahać się przed udzielaniem pełno-ocnictwa!) oraz bardzo kolorową stronę formatu plakatowego, na której idniało hasło: SUROWY, ALE

SPRAWIEDLIWY - CREDO MENEDE-A! Taylor pobieżnie przeczytał dokument i doszedł do „planu działania” na iatniej stronie. Nakazywał on każdej bazie i placówce CIA na świecie spo-ądzić listy bieżących „celów” wywiadowczych i potwierdzić, że pokrywa-się one z główną listą znajdującą się w centrali. Gdyby potraktować to ważne, wszystkich czekało wiele dni harówki. Taylor postanowił najpierw idzwonić do swojego zwierzchnika, Stanleya Timmons, szefa bazy w An-lrze.

- Czy ktoś w naszej ojczyźnie przypadkiem nie oszalał? - spytał na stępie.
- Co takiego? - Timmons był spokojnym człowiekiem tuż przed emery-trą i nie miał najmniejszej ochoty kołysać łodzią w której siedział. Więk-raść czasu spędzał, martwiąc się o punkty podsłuchowe CIA na Morzu Czar-ym oraz grając w golfa.
- Co to jest, do chole y to Narządzanie według założeń”?
- Przeczytaj sobie.
- Już to zrobiłem. Ni. wierzę, żeby ktokolwiek mógł to brać na poważnie.
- No to uwierz. Oczekuję twojej listy za tydzień.

Taylor jęknął.

- Skąd Hinkle wziął ten idiotyczny pomysł?
- Od prezydenta.
- Też mi pocieszenie. Może siedzę nie w tym biznesie co trzeba.
- Może - uciał Timmons. - A tak przy okazji, nie zapomnij o Bułga-ich.
- Pracuję nad tym, ale nie mam pewności, że właśnie tam znajduje się dpowiedź.
- No to pracuj jeszcze więcej. Ci z Białego Domu są przekonani, że to Jułgarzy dostarczają broń Turcji. Chcemy mieć dowody.
- Skąd o tym wiedzą?
- Od Rumunów. Od Francuzów. Nie mam pojęcia. Po prostu zajmij się ym.

Taylor miał już powiedzieć: „Chrzańić Biały Dom”, ale Timmons odłó-ył słuchawkę. Taylor odsunął aparat telefoniczny i spojrział na Narządzanie redług założeń”. Przeczytał paragraf, na którym akurat zatrzymał wzrok:

47

„Konkurencję można wyprzedzić, mądrze myśląc i postępując, a mądre postępowanie polega na unikaniu tych błędów, które przyczyniają się do wywołania negatywnej reakcji, uniemożliwiającej realizację obranych celów!”.

- Co za kretyn - mruknął Taylor. Spojrział na dokument i wysunął w górę środkowy palec. Był to dziecinny gest, ale jakaś część osobowości Taylora nigdy nie wyszła poza szkołę średnią. Należał do

tych ludzi, którzy swój kodeks moralny opierali na przekonaniu, że zasady to poroniony pomysł, a wszyscy powinni robić to, co sami uważają za stosowne.

- Alan, telefon do ciebie - krzyknęła sekretarka Taylora z pokoju obok Taylor zawsze nalegał, aby pracownicy zwracali się do siebie po imieniu Jednym ze zwyczajów, jakich nie znosił w CIA było to, że wszyscy zwracali się do siebie per „pan”, zupełnie jak w Departamencie Stanu.

- Kto dzwoni?

- Nie chciał powiedzieć.

Punkt dla niego, pomyślał Taylor. Ktoś, kto nie daje się obsadzać w ramki

Dzwonił oficer tureckiego wywiadu, Serif Osman. Prowadził stambulski« biuro Milli Istihbarat Teskilati, tureckiej organizacji wywiadowczej. Ame rykanie zwykle nazywali ją w skrócie TNIO, tak jak na turecki rząd mówił GOT. Taylor uparcie używał pierwszych liter nazwy tureckiej, MIT. Serif by jego głównym kontaktem w Stambule. Już prawie od roku starał się go „uro bić”, choć słowo to nie najlepiej określało relacje między nimi. Zaprosił Tur ka dwukrotnie na obiad i próbował go upić, raz skutecznie, a raz nie.

Oficer MIT zaproponował, aby się spotkali na kawie. Taylor na miejsc spotkania wybrał „Hilton” przy placu Taksim, odległy mniej więcej o półtora kilometra od siedziby MIT w Besiktas. Turek wołał jednak umówić się w tań szym i mniej rzucającym się w oczy hoteliku nieopodal. To wzbudziło cieką wość Taylora. Zadzwoił na dół po kierowcę i kilka minut później wyjechał jednym z kuloodpornych chevroletów konsulatu, zadowolony, że ma okazję choć na chwilę wyrwać się ze swojego bunkra.

Serif czekał na niego w hotelowym lobby. Ten mocno zbudowany czło wiek miał wystające kości policzkowe i równo przystryżoną kozią bródki Podobnie jak wielu Turków, zachowywał najczęściej kamienną twarz. Kied coś mu się nie podobało, lekko mrużył oczy, i to wszystko. Taylor uśmiechnął się i na powitanie serdecznie uściśnął mu dłoń, ale Serif tylko spojrzał n niego z ukosa.

48

Niedługo po przyjeździe do Turcji Taylor stwierdził, że jej mieszkańcy są ziwni: najeżeni i trudni, tacy sami jak język, którym się posługiwali. Nie opo-riadali dowcipów i rzadko się śmiali. Niechętnie też rozmawiali z obcokrajow-ami. Spełniali swoje zadanie w NATO, ale uważali, że są wykorzystywani.

W agencji panowała opinia, że Turków bardzo trudno zwerbować. Tay->r początkowo w to nie wierzył, ale po kilku miesiącach wiedział już, dla-zego tak się dzieje. Turcy nie ukrywali niczego, nie mieli też żadnych ukry-ych pragnień. Nie byli chciwi, więc przekupienie ich nie wchodziło w grę. ch sposób myślenia i postrzegania świata był o wiele prostszy niż Arabów, tórzy potrafili racjonalnie wytłumaczyć zdradę. Turcy odznaczeni się wyjąt-owym patriotyzmem. Można ich było zmusić do działania tylko w jeden sposób: przekonać, że tak będzie najlepiej dla Turcji.

Serif odezwał się dopiero, gdy usiedli przy stoliku w głębi kawiarenki.

- Mam dla ciebie coś wyjątkowego - powiedział z powagą. Pomimo po-ważnej miny wyglądał na zadowolonego z siebie. - Coś, czego my nie może-ny wykorzystać.

- Co to takiego? - ,

- Znasz Kunajewa?
- Oczywiście. - Kunajew był radzieckim konsulem generalnym, dość interesującą postacią. Jego kuzyn sprawował funkcję pierwszego sekretarza partii w Kazachstanie, a żona była piękną blondynką z Wilna.
- Dziś rano udał się do Bit Pazar przy ulicy Horhor, aby obejrzeć jakieś stare meble... - Serif zrobił przerwę dla podkreślenia wagi informacji i po chwili podjął wątek. - Znalazł tam coś, co mu się spodobało... - Turek odchrząknął. - Osmański fotel.

Taylor nie od razu zrozumiał. Wielka mi rzecz, pomyślał.

- Fotel? - zapytał bez zainteresowania.
- Tak. Osmański fotel. Kunajew kazał właścicielowi sklepu go wyczyścić. On jest w połowie Kazachem z Ałma Aty. Sądźmy, że jutro tam wróci i go kupi. Może do swojego biura.
- O Jezu! - Taylor wreszcie pojął, o czym mówi Turek. Serif z właściwą sobie powagą podsunął mu pomysł, o jakim marzą ambitni szefowie placówek czekający na sposobność wybicia się. Taka okazja nadarzała się zwykle wtedy, gdy przeciwnik popełnił jakiś głupi błąd, dzięki któremu można było wykazać się sprytem. I na przykład zainstalować podsłuch w meblu, który zamierzał kupić. Taylor zdołał jedynie wykrztusić z siebie:
- Bez jaj?

Turek wyglądał na zażenowanego. Podobnie jak większość jego rodaków nie pochwalał takich wyrażań.

- Jak udało ci się zdobyć taką wspaniałą informację? - spytał Taylor.

4 - Siro 49

- Właściciel sąsiedniego sklepu powiedział nam o wszystkim. Jest K gizem. Nienawidzi Rosjan.
- Dlaczego akurat mnie o tym mówisz?
- Ponieważ my nie możemy tego wykorzystać. Za mało czasu na za stalowanie mikrofonu, którego nie dałoby się wykryć. Nie mamy odpowiedniego sprzętu. Sowieci by go znaleźli i mielibyśmy wpadkę z Moskwą. D tego wolimy sami nic nie robić. Doszliśmy jednak do wniosku, że szkoda zmarnować taką okazję.
- Pewnie, że tak-zgodził się Taylor.-Trzeba to wykorzystać!

Amerikanin przez chwilę zastanawiał się nad sytuacją. Założenie pc

śluchu w meblu wcale nie było takie łatwe, jak sądził Serif. Należało tak brać pod uwagę możliwość, że Turek został przez kogoś wprowadzony w błąd;

- Czy w Ankarze wiedzą o naszym spotkaniu?
- Oczywiście! - stwierdził Serif. - Masz mnie za szaleńca? Wszyst odbywa się oficjalnie!

- Tylko spytałem.
- To nasz prezent dla was.
- Jesteśmy niezmiernie wdzięczni. - Taylor położył dłoń na sercu.
- Jest tylko jedna prośba. - Turek powrócił do swojego poważnego tonu. - Chcemy, żebyście podzielili się z nami rezultatami tej operacji. W przeciwnym razie nie ma układu.
- Z tym nie powinno być żadnego problemu - powiedział Taylor, ci nie miał pojęcia, jak zareagują w kwaterze głównej.
- Mam na to twoje słowo?
- Pewnie - zgodził się Amerykanin. A co tam, do diabła.

Turek uśmiechnął się chytrze i wstał od stolika. Jednocześnie wyjął z kieszeni kartkę papieru i dyskretnie położył ją na blacie. Zawierała nazwę sklepu z antykami oraz opis fotela, który spodobał się Sowietowi.

- Bądź bardzo ostrożny. Jeżeli was złapią, ja nigdy o tobie nie słyszę. - Po tych słowach Turek odwrócił się i wyszedł z kawiarni. Taylor nie ośmielił się go ucałować. W kruchej mozaice stambulskiego świata nareszcie jawiło się coś nieoczekiwanego.

Samochód Taylora wyjechał z hotelowego parkingu i wolno ruszył w kierunku Dolmabahce. Zwykle Taylorowi nie przeszkadzała droga, bo mógł bez przeszkód przyglądać się kobietom na ulicach. Jed

- Właściciel sąsiedniego sklepu powiedział nam o wszystkim. Jest Kirgizem. Nienawidzi Rosjan.
- Dlaczego akurat mnie o tym mówisz?
- Ponieważ my nie możemy tego wykorzystać. Za mało czasu na zainstalowanie mikrofonu, którego nie dałoby się wykryć. Nie mamy odpowiedniego sprzętu. Sowieci by go znaleźli i mielibyśmy wpadkę z Moskwą. Dlatego wolimy sami nic nie robić. Doszliśmy jednak do wniosku, że szkoda zmarnować taką okazję.
- Pewnie, że tak - zgodził się Taylor. - Trzeba to wykorzystać!

Amerykanin przez chwilę zastanawiał się nad sytuacją. Założenie podsłuchu w meblu wcale nie było takie łatwe, jak sądził Serif. Należało także brać pod uwagę możliwość, że Turek został przez kogoś wprowadzony w błąd.

- Czy w Ankarze wiedzą o naszym spotkaniu?
- Oczywiście! - stwierdził Serif. - Masz mnie za szaleńca? Wszystko odbywa się oficjalnie!
- Tylko spytałem.
- To nasz prezent dla was.
- Jesteśmy niezmiernie wdzięczni. - Taylor położył dłoń na sercu.

- Jest tylko jedna prośba. - Turek powrócił do swojego poważnego tonu. - Chcemy, żebyście podzielili się z nami rezultatami tej operacji. W przeciwnym razie nie ma układu.
- Z tym nie powinno być żadnego problemu - powiedział Taylor, choć nie miał pojęcia, jak zareagują w kwaterze głównej.
- Mam na to twoje słowo?
- Pewnie - zgodził się Amerykanin. A co tam, do diabła.

Turek uśmiechnął się chytrze i wstał od stolika. Jednocześnie wyjął z kieszeni kartkę papieru i dyskretnie położył ją na blacie. Zawierała nazwę sklepu z antykami oraz opis fotela, który spodobał się Sowietowi.

- Bądź bardzo ostrożny. Jeżeli was złapią ja nigdy o tobie nie słyszałem. - Po tych słowach Turek odwrócił się i wyszedł z kawiarni. Taylor miał ochotę go ucałować. W kruchej mozaice stambulskiego świata nareszcie pojawiło się coś nieoczekiwanego.

6

Samochód Taylora wyjechał z hotelowego parkingu i wolno ruszył aleją Dolmabahce w kierunku miasta. Zwykle Taylorowi nie przeszkadzał duży ruch, bo mógł bez przeszkód przyglądać się kobietom na ulicach. Jednak

zisiaj się niecierpliwił. Spojrzał na zegarek. Minęła trzecia, co oznaczało, że zostało mu jeszcze piętnaście godzin. Wychylił się przez okno i obrugał oźnicę wozu z warzywami, a potem na powrót skrył się we wnętrzu samochodu. Oczy piekły go od zimowego smogu, który zawisał nad miastem listopadzie, kiedy mieszkańcy Stambułu zaczęli palić w węglowych piecach, i zniknął dopiero w kwietniu. Taylor spojrzął przez wody zatoki Złoty óg w kierunku starego miasta. We mgle ledwie dostrzegał wieżyczki meczetów: Aja Sofia, Sultanhmet i Sulejmanije - rozmyte kontury kamienneo lasu.

Bizancjum. Miasto, w którym wynaleziono szpiegostwo. Jego nazwa na przestrzeni wieków stała się synonimem oszustwa i podwójnej gry - tego, co cię określał elegancko jako „sztukę wieczności”.

W czasach imperium osmańskiego samo funkcjonowanie królestwa stało się tajemnicą. Strzegły jej wrota tego miasta, w którym za panowania przedostatniego sułtana, Abdula Hamida Drugiego, połowa mieszkańców podob-

nie zajmowała się szpiegowaniem drugiej połowy. Miasta - królestwa jan-zarów, haremów i czarnych eunuchów. I czym się to skończyło? gigantycznymi korkami i smogiem o zapachu siarki.

To właśnie było takie zaskakujące w egzotycznych miejscach, takich jak Stambuł. Były tak bardzo zwyczajne. Kraina serajów stała się typowym państwem Trzeciego Świata, które z trudem utrzymywało się na powierzchni życia politycznego i gospodarczego. Kraj miał premiera z umiarkowanej lewicy, ciężką zagraniczną dźwigów i populację tak drastycznie podzieloną kwestiami politycznymi, że prawica i lewica stały się powoli dwiema odrębnymi kulturami. Generalnie Turcja przypominała wiele innych krajów, przyjaznych lub zależnych od Stanów Zjednoczonych w latach siedemdziesiątych. Była laństwem „pomiędzy”: pomiędzy Europą a Azją; pomiędzy kapitalizmem

1 socjalizmem; pomiędzy Trzecim a Pierwszym Światem. Sam premier uosabiał schizofrenię swojego narodu. Jako poeta amator przełożył na turecki ltwory T. S. Eliota i Ezry Pounda, podobno uwielbiał także modernizm. Mimo o nie kochał Ameryki.

Po powrocie do konsulatu, Taylor próbował skontaktować się ze swoim szefem w Ankarze. Niestety, Timmonsa nie zastał w biurze. Jego sekretarka powiedziała, że chyba poszedł grać w golfa. Taylor uznał, że to nawet lepiej. Timmons mógł mu tylko przeszkodzić. Sam już wiedział, jak powinien postąpić, a co ważniejsze - wiedział, kto powinien wykonać tę robotę. Natychmiast wysłał depezę z prośbą o niezwłoczne przysłanie do Stambułu Geor-ge'a Trumbo z ateńskiego biura sekcji służb technicznych. Kopie depezy dostarczył do kwatery głównej oraz do gabinetu Timmonsa, aby w razie kłopotów mieć jakieś wytłumaczenie. Gdyby nie spodobało im się to, co zamie-

51

rzeł zrobić, mieli jeszcze kilka godzin na zgłoszenie weta. Minęła już czwarta; sklep z antykami otwierano nazajutrz o ósmej rano. Na szczęście George Trumbo akurat był w biurze w Atenach, gdy dotarła tam depeza Taylora. Zdążył jeszcze złapać ostatni rejsowy samolot z Aten do Stambułu, a co najważniejsze, nie był pijany.

George był geniuszem w dziedzinie techniki, który według wszelkich rozsądnych miar zmarnował swój talent, pracując całe życie w agencji. Specjalizował się głównie w elektronicznych urządzeniach podsłuchowych. Uważał, i brał to za punkt swojego zawodowego honoru, że absolutnie każdą rozmowę można podsłuchać - podobnie jak sprzedawca biletów na Broadwayu mógł się upierać, że nie istnieje coś takiego jak całkowicie wyprzedany spektakl. George wielokrotnie dowodził swojej słuszności. Agencja lubiła umieszczać ludzi takich jak on w dużych placówkach na całym świecie - w Londynie, Rzymie, Atenach, Bangkoku, Hongkongu - aby mogli się włączać w sytuacjach awaryjnych. Pomysł był dobry, tyle że ludzie z sekcji technicznej zwykle po jakimś czasie stawali się rozleniwieni. Na świecie przeprowadzano zbyt mało operacji z udziałem techników, a zbyt wiele barów stanowiło pokusę nie do odparcia.

George'owi właśnie coś takiego się przytrafiło. Między innymi dlatego Taylor go lubił. George był dużym, przyjaznym facetem. Kiedy uczęszczał do katolickiego college'u, z powodzeniem uprawiał lekkoatletykę. Agencja zwerbowała go w połowie lat sześćdziesiątych, gdy po kontuzji kolana chłopak stracił szansę na karierę sportową. Elektroniką zajmował się dla przyjemności, podobnie jak naprawianiem samochodów. W agencyjnym żargonie nazywano go „gorylem”. Wszyscy, którzy zajmowali się pracą „manualną” - instalowali podsłuch albo przeprowadzali operacje paramilitarne - otrzymywali małe przydomki. George rzeczywiście sprawiał wrażenie niezbyt bystrego, dopóki nie zaczynał rozbierać jakiegoś urządzenia elektronicznego, wtedy bowiem, jeżeli nie był akurat bardzo pijany, działał jak geniusz.

Taylor lubił go tak samo, jak lubił wszystkich, którzy nie okazali się niekompetentni albo beznadziejnie nudni. Dlatego właśnie uważano go za naturalnego „zwabiacza”. Mówił do technika „Georgie”, a ten nazywał go „Alem”. Wspólnie włamywali się do domów różnych ludzi i zakładali im podsłuchy w telefonach.

Następne kilka godzin Taylor chodził jak w transie. Najpierw zorganizował pomoc dla George'a, dwóch tureckich agentów, których zawiózł na Hor-hor, żeby zbadali miejsce. Potem wrócił do

konsulatu i wysłał kolejną depeszę do Timmonsa i centrali. Szczegółowo przedstawił w niej możliwość, że Kunajew jest agentem KGB i raz jeszcze podkreślał, że ograniczenia czasu-

52

e nie pozwoliły mu czekać na odgórne zatwierdzenie operacji zwykłą drogą. Dołączył nawet uwagę na temat potencjalnego wywiadu w sprawie do- w broni z Bułgarii do Turcji. Depeszę podpisał pseudonimem, którego wał - Amos B. Garret - po czym pojechał na lotnisko odebrać George'a. Dochodziła dziewiąta wieczorem, kiedy wielki, uśmiechnięty Ameryka-wszedł na halę przylotów, niosąc płócienną torbę zawierającą narzędzia.

- Ty draniu - powiedział George głośno, podając Taylorowi rękę. - Mia-m dzisiaj randkę. Lepiej, żeby ta robota była dobra. - Kilku Turków odwró-iło się w ich stronę.
- I jest - odparł Taylor, kładąc jednocześnie palec na ustach.
- Tak samo dobra jak ostatnia? - Wielkolud nie zamierzał ściszyć głosu.
- Odwal się - uciął Taylor. -1 bądź cicho.
- Tamta to było istne cudo! - przypomniał George odrobinę ciszej. -ała moja praca poszła z dymem.

Rzeczywiście dosłownie tak się stało. Gdy Taylor ostatnim razem korzystał z technicznej pomocy George'a, chodziło o zainstalowanie mikrofonu osmańskim pistolecie do pojedynków. Taylor zorganizował to tak, że pe-en turecki biznesmen miał dać broń w prezencie bułgarskiemu attache ojskowemu w Stambule. Razem z George'em udali się wtedy do małego sklepu w Kapali Carsi, kupili pistolet i pieczołowicie zainstalowali w nim dsłuch - genialne urządzenie, absolutnie nie do wykrycia. Bułgarowi pre-ent bardzo się spodobał. Umieścił go na biurku w swoim gabinecie i przez dzień nadawał cudowny strumień wiadomości (niestety, ani słowa na temat ostaw broni dla Turcji). Potem bułgarski pułkownik zrobił coś, czego nikt 'e przewidział. Zabrał pistolet do domu, kupił trochę prochu i śrut, po czym próbował z niego strzelać. Oczywiście broń służy zwykle właśnie do tego, 'e ten antyk po prostu eksplodował. Bułgarowi udało się uniknąć poważ-niejszych obrażeń, za to mikrofon, niestety, został śmiertelnie ranny.

Taylor wysłał George'owi taśmę z zapisem kilku ostatnich minut życia luskwy: bułgarski oficer radośnie gadający do siebie w ojczystym języku;

głosy czyszczenia lufy, wprowadzania prochu i śrutu. Dyplomata wyszedł rzęd budynek, potem nastąpiła dłuższa przerwa, podczas której prawdopo-obnie obierał cel i nagle BUM! Potworny wybuch i pusta cisza. Taylor uwa-ał, że to zabawne, ale George był zły. Swoje urządzenia traktował jak dzieci, wysyłał je w świat z całąmiłością opieką na jaką było go stać. Nie podobało mu się, gdy ginęły przedwcześnie.

Obaj mężczyźni szybko przeszli przez terminal lotniska.

- No to bierzemy się do roboty - stwierdził George entuzjastycznie, kiedy wsiedli do samochodu.

- Jeszcze za wcześnie. - Taylor spojrzął na zegarek. Właśnie minęła dziewiąta piętnaście. Dwóch tureckich agentów miało czekać na nich przy ulicy Horhor o północy. Musieli więc gdzieś wytrwać prawie trzy godziny.

53

/e nie pozwoliły mu czekać na odgórne zatwierdzenie operacji zwykłą dro-ą. Dołączył nawet uwagę na temat potencjalnego wywiadu w sprawie do-taw broni z Bułgarii do Turcji. Depeszę podpisał pseudonimem, którego żywał - Amos B. Garret - po czym pojechał na lotnisko odebrać George'a.

Dochodziła dziewiąta wieczorem, kiedy wielki, uśmiechnięty Ameryka-in wszedł na halę przylotów, niosąc płócienną torbę zawierającą narzędzia.

- Ty draniu - powiedział George głośno, podając Taylorowi rękę. - Mia-em dzisiaj randkę. Lepiej, żeby ta robota była dobra. - Kilku Turków odwró-iło się w ich stronę.

- I jest - odparł Taylor, kładąc jednocześnie palec na ustach.

- Tak samo dobra jak ostatnia? - Wielkolud nie zamierzał ściszyć głosu.

- Odwal się - uciął Taylor. -1 bądź cicho.

- Tamta to było istne чудо! - przypomniał George odrobinę ciszej. -Zala moja praca poszła z dymem.

Rzeczywiście dosłownie tak się stało. Gdy Taylor ostatnim razem korzy-tał z technicznej pomocy George'a, chodziło o zainstalowanie mikrofonu v osmańskim pistolecie do pojedynków. Taylor zorganizował to tak, że pe-vien turecki biznesmen miał dać broń w prezencie bułgarskiemu attache wojskowemu w Stambule. Razem z George'em udali się wtedy do małego įklepu w Kapali Carsi, kupili pistolet i pieczołowicie zainstalowali w nim jodstuch - genialne urządzenie, absolutnie nie do wykrycia. Bułgarowi pre-ient bardzo się spodobał. Umieścił go na biurku w swoim gabinecie i przez ydzień nadawał cudowny strumień wiadomości (niestety, ani słowa na temat lostaw broni dla Turcji). Potem bułgarski pułkownik zrobił coś, czego nikt lie przewidział. Zabrał pistolet do domu, kupił trochę prochu i śrut, po czym įpróbował z niego strzelać. Oczywiście broń służy zwykle właśnie do tego, ile ten antyk po prostu eksplodował. Bułgarowi udało się uniknąć poważ-liej szych obrażeń, za to mikrofon, niestety, został śmiertelnie ranny.

Taylor wysłał George'owi taśmę z zapisem kilku ostatnich minut życia)luskwy: bułgarski oficer radośnie gadający do siebie w ojczystym języku; adgłosy czyszczenia lufy, wprowadzania prochu i śrutu. Dyplomata wyszedł įrzed budynek, potem nastąpiła dłuższa przerwa, podczas której prawdopodobnie obierał cel i nagle BUM! Potworny wybuch i pusta cisza. Taylor uważał, że to zabawne, ale George był zły. Swoje urządzenia traktował jak dzieci, wysyłał je w świat z całąmiłością opieką, na jaką było go stać. Nie podobało mu się, gdy ginęły przedwcześnie.

Obaj mężczyźni szybko przeszli przez terminal lotniska.

- No to bierzemy się do roboty - stwierdził George entuzjastycznie, kiedy wsiedli do samochodu.

- Jeszcze za wcześnie. - Taylor spojrzął na zegarek. Właśnie minęła dziewiąta piętnaście. Dwóch tureckich agentów miało czekać na nich przy ulicy Horhor o północy. Musieli więc gdzieś wytrwać prawie trzy godziny.

53

PL_

- Jadłeś już?

George skinął głową.

- To zjesz jeszcze raz.

Pojechali do rybnej restauracji w Kumkapi, dzielnicy starej części S bufu, sąsiadującej z morzem Marmara. Mieszkali tutaj przedstawiciele \ narodowości: Ormianie, Gruzini, Bułgarzy, Kurdowie. Taylor wybrał j dajnię o nazwie „Ucler”, prowadzoną przez trzech Albańczyków. Wss wyglądali podejrzanie i spędzali wieczory, wyglądając za drzwi, by sp dzić, czy nie nadchodzą kłopoty.

- Co im jest? - spytał George, kiedy jeden z Albańczyków podsze drzwi po raz dwudziesty.

- Tak właśnie zachowują się ludzie w tej części świata. Jeszcze teg zauważyłeś? Nikomu nie ufaj ą. Albańczycy nienawidzą Bułgarów, Bułj nienawidzą Turków, Turcy nienawidzą Kurdów, Kurdowie nienawidzi mian. Dlatego większość czasu spędzają, obserwując siebie nawzajem tym polega sekret polityki tych regionów. Zagrać tak, żeby wszyscy z\ ludzie skakali sobie do gardeł.

Albańscy restauratorzy tak bardzo przejmowali się tym, co mogli dzieć na ich ulicy, że zupełnie ignorowali dwóch Amerykanów siedź? w ich restauracji. To akurat bardzo odpowiadało Taylorowi. Przedstawił rge'owi podstawowe punkty operacji: pomysł nieostrożnego radziecl dyplomaty, który postanowił zakupić stary osmański fotel; plan bazaru tykami; plan wejścia do budynku; dwóch agentów, którzy mieli im tow szyć.

George kiwał głową i wydawał z siebie pomruki między kolejnymi mi. Pomimo jego wcześniejszego zapewnienia, że jadł kolację, wydaw zdumiewająco głodny. Pochłonał całą rybę i tuzin wielkich krewetek, zamówił Taylor, ale nie skończył swojej porcji. Popił to wszystko wi połową butelki wina i na koniec jeszcze jednym kieliszkiem wódki. T nie protestował. George był profesjonalistą. Jeżeli miał ochotę zalać się] zainstalowaniem czułego mikrofonu w stuletnim meblu, jego sprawa. / cja i tak miała już zbyt wiele nianiek, a Taylor nie zamierzał dołączać c grona. Jednak w miarę zbliżania się północy zamówił dla George'a dużą po turecku, którą technik postusznie wypił.

- No to dalej, Georgie - powiedział Taylor. - Może poszlibyśmy 1 jakieś antyki. - George nie odpowiedział. Był artystą, a jego przedstaw właśnie miało się rozpocząć.

Ulica Horhor znajdowała się w Fatih, zakurzonej dzielnicy rozw; cych się tanich domów i słabo oświetlonych warsztatów na obrzeżach części miasta. Taylor znał te okolice aż za dobrze. W ciągu ostatniego

- Jadłeś już?

George skinął głową.

- To zjesz jeszcze raz.

Pojechali do rybnej restauracji w Kumkapi, dzielnicy starej części Stambułu, sąsiadującej z morzem Marmara. Mieszkali tutaj przedstawiciele wielu narodowości: Ormianie, Gruzini, Bułgarzy, Kurdowie. Taylor wybrał jadłodajnię o nazwie „Ucler”, prowadzoną przez trzech Albańczyków. Wszyscy wyglądali podejrzanie i spędzali wieczory, wyglądając za drzwi, by sprawdzić, czy nie nadchodzą kłopoty.

- Co im jest? - spytał George, kiedy jeden z Albańczyków podszedł do drzwi po raz dwudziesty.

- Tak właśnie zachowują się ludzie w tej części świata. Jeszcze tego nie zauważyłeś? Nikomu nie ufają. Albańczycy nienawidzą Bułgarów, Bułgarzy nienawidzą Turków, Turcy nienawidzą Kurdów, Kurdowie nienawidzą Ormian. Dlatego większość czasu spędzają, obserwując siebie nawzajem. Na tym polega sekret polityki tych regionów. Zagrać tak, żeby wszyscy zwykli ludzie skakali sobie do gardeł.

Albańscy restauratorzy tak bardzo przejmowali się tym, co mogło się dzieć na ich ulicy, że zupełnie ignorowali dwóch Amerykanów siedzących w ich restauracji. To akurat bardzo odpowiadało Taylorowi. Przedstawił George'owi podstawowe punkty operacji: pomysł nieostrożnego radzieckiego dyplomaty, który postanowił kupić stary osmański hotel; plan bazaru z antykami; plan wejścia do budynku; dwóch agentów, którzy mieli im towarzyszyć.

George kiwał głową i wydawał z siebie pomruki między kolejnymi kęsami. Pomimo jego wcześniejszego zapewnienia, że jadł kolację, wydawał się zdumiewająco głodny. Pochłonął całą rybę i tuzin wielkich krewetek, które zamówił Taylor, ale nie skończył swojej porcji. Popił to wszystko wódką połową butelki wina i na koniec jeszcze jednym kieliszkiem wódki. Taylor nie protestował. George był profesjonalistą. Jeżeli miał ochotę zalać się przed zainstalowaniem czułego mikrofonu w stuletnim meblu, jego sprawa. Agencja i tak miała już zbyt wiele nianiek, a Taylor nie zamierzał dołączać do ich grona. Jednak w miarę zbliżania się północy zamówił dla George'a duży kawę po turecku, którą technik posłusznie wypił.

- No to dalej, George - powiedział Taylor. - Może poszlibyśmy kupić jakieś antyki. - George nie odpowiedział. Był artystą, a jego przedstawieni« właśnie miało się rozpocząć.

Ulica Horhor znajdowała się w Fatih, zakurzonej dzielnicy rozwalających się tanich domów i słabo oświetlonych warsztatów na obrzeżach starej części miasta. Taylor znał te okolice aż za dobrze. W ciągu ostatniego roku

Łączyły się one miejscem, w którym zbierali się irańscy emigranci polityczni, także domem wielu domniemyanych agentów.

Mimo pozornego opanowania Taylor denerwował się. Miał wrażenie, że ołówek zamienił mi się w kłębek wełny, z którego ktoś ma robić sweter. Porali szli ulicą, mijając rzędy bloków z ciemnymi kwadratami okien.

U wylotu ulicy Taylor skręcił w prawo, w małą alejkę o nazwie Kirik ulumba. W mroku dojrzał Hasana i Hamida, dwóch tureckich agentów przyłanych im do pomocy. Stali oparci plecami o ścianę budynku i palili papie-osy. Za nimi znajdował się bazar z antykami.

- To tu? - spytał George z powątpiewaniem, wskazując na nowoczesny, »ięciopiętrowy budynek.

Taylor przytaknął. Rzeczywiście to miejsce nie przypominało pchlich argów. Bardzo różniło się od zwykłego mrowiska straganów, w którym palował wieczny bałagan, nie było wind, nowoczesnych zamków w drzwiach stróża nocnego. Kilka lat wcześniej większość najlepszych handlarzy antykami przeniosła się tutaj, kiedy stary rynek antyków w Kuledibi został znisz-zony.

Turcy zgasili papierosy. Taylor szepnął coś po turecku do młodszego i nich. Ten natychmiast zniknął w mroku obok budynku i kilka minut póź-liej powrócił, dając Amerykanom znak, że mają wolną drogę.

- Hamid - szepnął Taylor do starszego Turka.

- Ja nazywam się Hasan.

- Wszystko jedno. Jesteś gotowy? - Turek przytaknął. Taylor gestem lakazał mu, aby ruszał.

Turek skierował się do głównego wejścia. Miał odwrócić uwagę stróża -zając go rozmową, wypić z nim herbatę, poczęstować go whisky, zaproponować łąpówkę, w ostateczności przytrzymać go siłą - na pół godziny, aby pozostali zdążyli wejść do sklepu z antykami. Taylor zaczekał, aż Hasan znalazł się przy wejściu, po czym ruszył za Hamidem alejką biegnącą wzdłuż budynku. W nocnej ciszy rozlegał się tylko dźwięk arabskiej muzyki z magnetofonu, dochodzący z sąsiedniej ulicy.

Hamid włączył małą latarkę i skierował ją na ścianę. W słabym świetle Taylor dojrzał sznurową drabinkę prowadzącą do otwartego okna na drugim piętrze. Turek już wykonał najtrudniejszą robotę, umożliwiając im wejście do sklepu po kryjomu. Teraz wystarczyło, aby Taylor trzymał się ustalonego scenariusza.

Ruszył jako pierwszy. Wszedł ostrożnie, szczebel po szczeblu. Drabinka kołysała się, lekko uderzając o betonową ścianę budynku, nie robiła wiele hałasu. Taylor dotarł do framugi okna, zatrzymał się i powoli wychylił ponad nią głowę, aby zajrzeć do wnętrza budynku. W środku było ciemno, tylko z klatki schodowej docierało blade światło. Taylor podciągnął się na parapet i wolno opuścił nogi na podłogę. George wspiał się za nim z zadzi-

5

n

wiającą sprawnością. Następny szedł Hamid. Kiedy Turek znalazł się już w środku, wciągnął drabinkę za sobą położył ją na podłodze i zamknął okno.

Taylor wyjął z kieszeni szkic. Sklep, do którego mieli się dostać, nosił nazwę Ozcan. Znajdował się mniej więcej dwadzieścia metrów od nich. Cicho podszedł do drzwi. Były zamknięte na głucho dwiema zasuwami. Taylor usłyszał głosy dochodzące z dołu i zamarł w bezruchu. Dopiero po chwili stwierdził, że jednym z mówiących jest Hasan.

George sięgnął do torby z narzędziami i wyjął z niej mały skórzany pokrowiec przypominający kosmetyczkę. Zawierał zestaw trzydziestu dwóch wytrychów zrobionych ze stalowego drutu. Każdy miał końcówkę o innym kształcie, która naciskała na zapadki zamka, podczas gdy napinacz w kształcie litery L delikatnie otwierał mechanizm.

Pierwszy zamek nie przysporzył żadnych trudności. George wstrzyknął do środka odrobinę grafitu, potem wsunął napinacz, wybrał wytrych z trójkątną końcówką wepchnął go do samego końca i gwałtownie pociągnął. Po czwartym ruchu zamek otworzył się.

Do drugiego George zabrał się w taki sam sposób, ale po kilkunastu pociągnięciach mechanizm ani drgnął. Technik przyjrzał się zamkowi bliżej, aby sprawdzić, czy przypadkiem nie jest to urządzenie o specjalnej konstrukcji. Mechanizm wyglądał na zupełnie zwyczajny. George ostrożnie spróbował otworzyć go innymi narzędziami, po czym westchnął i pokręcił głową.

- Specjalne zapadki - powiedział szeptem.

- To źle?

George przytaknął. Zwyczajne zapadki bez trudu chowały się przy odpowiednim podciągnięciu, zapadki specjalne miały kształt litery H i zwykle blokowały się przy próbie popchnięcia ich.

Taylor spojrzał na zegarek. Za kwadrans pierwsza. George męczył się z drugim zamkiem już prawie od dwudziestu minut. Na dole Hasan i strażnik żywo rozmawiali o rywalizacji miejscowych drużyn piłki nożnej - awanturników z Fenerbahce i dżentelmenów z Galatasaray. Był to w Stambule ulubiony temat, ale Taylor wiedział, że nie mogą rozprawić o tym bez końca. Strażnik musiał zrobić obchód. Taylor raz jeszcze spojrzał na zegarek, a potem na George'a.

- Muszę użyć broni - szepnął George.

Cholera, pomyślał Taylor. Rozwali zamek strzałem.

George sięgnął do torby i wyjął z niej mały czarny przedmiot z dużym

spustem. Taylor już zamierzał go powstrzymać, ale technik położył palec na ustach.

- Spokojnie. To tylko ślusarski pomocnik. - Czarny przedmiot służył do automatycznego podciągania zapadek. Spust urządzenia uruchamiał mały, prosty wytrych, który mocno chwycił zapadki. Jedyne problemy polegały na tym, że urządzenie nie pracowało cicho.

5

Dochodząca z dołu rozmowa stała się głośniejsza. Pół godziny Hasana >liżało się do końca. Strażnik przeproszał bardzo, zapewniał, że pogawędka trawiła mu wielką przyjemność, dziękował za nią i za whisky Hasanowi, izywając go bratem, ale tłumaczył, że teraz musi udać się na obchód. Hasan

[proponował, aby po raz ostatni napili się razem, ale strażnik odmawiał, Iylor pochylił się ku George'owi.

- Teraz - szepnął.

Technik uśmiechnął się niewyraźnie. Włożył broń w zamek i pociągnął i spust. Zgrzytnęło. Jeszcze tylko przekręcił napinacz i drugi zamek został twarty.

Z dołu doszedł ich odgłos kroków. Strażnik rozpoczął obchód pierwsze-o piętra. Taylor trącił George'a łokciem. Technik otworzył drzwi. Wszyscy zej bezgłośnie weszli do środka i zamknęli je za sobą. Strażnik właśnie rchodził po schodach. Taylor gestem nakazał pozostałym położyć się na odłódze, ukryć za większymi meblami i pozostać w ukryciu aż do odejścia róża. Leżeli cicho, wsłuchując się w kroki i właśnie wtedy Taylor przypo-miał sobie o sznurowej drabince.

Kroki stawały się coraz głośniejsze. Potem nagle ucichły. Stróż doszedł o okna. Rozległo się skrzypienie, którego Taylor początkowo nie rozpo-nał. Potem uświadomił sobie, że to dźwięk otwieranego okna. Katastrofa, tróż na pewno znalazł drabinę, a teraz zastanawiał się, skąd przyszli winowajcy. Taylor wsłuchiwał się w oddech George'a przez dziesięć czy piętna-cie sekund. Potem usłyszał odgłos, co do którego nie miał żadnych wątpliwości. Strażnik wcale nie zauważył drabiny, po prostu postanowił wysikać ię przez okno. Musi być bardzo pijany, pomyślał Taylor. Trzeźwy Turek ligdy by w ten sposób nie postąpił.

Reszta była już łatwa. Taylor odszukał fotel, o który chodziło, wspaniałą, tary osmański mebel, bogato zdobiony, w kolorze ciemnego głębokiego brą-u'. Drewno ozdobiono wspaniałą orientálną inkrustacją z masy perłowej, »tary Kunajew ma dobry gust, pomyślał Taylor. Przynajmniej w wyborze nebli. George rozłożył swój przenośny warsztat. Z płóciennej torby wyjął nały, ale bardzo jasny reflektor, cichą szybkoobrotową wiertarkę, paletę la-derów w różnych odcieniach i w końcu małe metalowe pudełko zawierające ego elektroniczne skarby.

Taylor patrzył na niego z niekłamanym podziwem. Każdą czynność echnik wykonywał ostrożnie i niemal z czułością. Najpierw w jednej z nóg fotela wywiercił otwór o małej średnicy, głęboki na dziesięć centymetrów. Do niego wprowadził maleńkie urządzenie, długości zaledwie kilku centymetrów, które po aktywacji miało nadawać dźwięki do odbiornika znajdującego się kilka przecnic dalej. W pobliżu górnej części tego urządzenia George wywiercił jeszcze jeden otwór, niemal niewidoczny, średnicy małej igły. Do niego wprowadził mikroskopijny mikrofon, który miał przenosić

dźwięki na nadajnik. Wszystko razem tworzyło całkiem zmyślny system. Nie był to może sprzęt mistrzowskiej klasy, ale działał bez zarzutu. Fotel mógł sobie spokojnie stać przez całe tygodnie, a nawet miesiące i można go było włączyć, gdy zachodziła taka potrzeba, niczym elektronicznego, uśpionego agenta.

- Jaka jest częstotliwość? - spytał George.

- Co takiego?

- Częstotliwość radzieckiego konsulatu. Na jakiej częstotliwości nadaj < tajne depesze?

- Skąd mam to wiedzieć? Zresztą, co to za różnica?

- Muszę nastawić odpowiednio nasz nadajnik. Zwykle wybieram częstotliwość najbliższą tej, z jakiej korzystają Sowieci. Przeważnie tego zakresu w ogóle nie sprawdzają.
- Przykro mi. To nie moja działka.
- Są leniwi - mruknął George. - Pewnie korzystają tu z tej samej częstotliwości co w Atenach i w Rzymie. Zaparkuję gdzieś w pobliżu i ściszę nadajnik.

Wyjął urządzenie, ustawił je i ponownie wsunął w nogę mebla. Potem wypełnił otwór szybko schnącą szpachlą do drewna, dopasował odcień koloru i zamalował znak. Hamid siedział bez ruchu, czekając aż technik skończy. W pewnej chwili wyjął papierosa i popatrzył na niego tęsknie, wyobrażając sobie pewnie, jak wspaniale będzie smakował po skończonej robocie Taylor spojrzął na zegarek. Minęła druga. Musieli wyjść z budynku przez światło.

George wydawał się całkowicie pochłonięty pracą i jakby zapomniał o upływających minutach. Kiedy skończył z pierwszą nogą fotela, zainstalował identyczne urządzenie zapasowe w drugiej nodze. Zrobił to tak samo precyzyjnie. O trzeciej trzydziści ostrożnie skończył lakierowanie.

- Niestety - powiedział George czekając, aż lakier wyschnie - to dość przestarzała operacja.
- O czym ty mówisz? - spytał szeptem Taylor.
- Tak naprawdę, Al, to teraz nikomu już nie jest potrzebny mikrofon. Nie trzeba instalować nadajnika na terenie bazy. Wystarczy sam rezonator.

Taylor nie zwracał uwagi na wywody technika.

- Czy to już wyszło? - spytał niecierpliwie, wskazując na lakier.
- Widzisz, wszystko, co oscyluje, może być mikrofonem - kontynuował George zaabsorbowany techniczną stroną swoich wyjaśnień. - Okno może być mikrofonem. Nawet drucik żarowy w żarówce może być mikrofonem. Wystarczy tylko mieć źródło mocy, aby odczytać drgania, na przykład sztycy kościomierz za ścianą albo laser po drugiej stronie ulicy, albo specjalnie dostrajaną antenę. Wiedzieliście o tym? Czy to nie wspaniale?
- Jezu - syknął Taylor. - To już chyba wyszło.

- Jeśli się nad tym zastanowić, to nasza operacja jest przestarzała. Mimo to całkiem fajnie jest tak działać.

- Pieprzę to. Nie czekamy aż wyschnie, dobra?

George uśmiechnął się przyjaźnie i zebrał narzędzia. Taylor i Hamid już byli w drzwiach i szli w kierunku okna, kiedy George ich zatrzymał.

- Musimy zamknąć drzwi.

- Użyj swojej broni - powiedział Taylor. George wyglądał na zawieszonoego, niczym wędkarz, któremu kazano łowić ryby na lśniącą błystkę, nie na własnoręcznie wykonaną przynętę. Wsunął urządzenie w zamek.

Taylor miał nadzieję, że stróż już śpi. Jeden zamek zaskoczył z cichym zaskiem, po nim drugi. Hamid otworzył okno i rozwinął drabinę. George szedł pierwszy, za nim Taylor. Potem Hamid zsunął się po zaczepionej o krawędź parapetu linie. Zabrał drabinę, zamknął okno i zgrabnie ześliznął się o sznurze.

Prawie świtało, kiedy w końcu opuścili Horhor. Po ulicach zaczęły już jeździć żółte taksówki. W powietrzu unosił się zapach pieczonego chleba i ka-vy po turecku. Taylor czuł się jak odurzony. Hamid zaproponował mu papie-osa i chociaż Amerykanin nie palił już od ponad roku, chętnie skorzystał.)laczego by nie? Przecież odmowa w takiej sytuacji byłaby metafizycznie liezdrowa.

Kunajew nie pojawił się na bazarze z antykami przez cały następny ra-lek. W ogóle nie wychodził ze swojego gabinetu w łososiowym pałacu przy Mei Istiklal. Taylor zaczynał się niepokoić. Siedział w swoim biurze razem z George'em, jedząc pączki, pijąc kawę i wysłuchując regularnych raportów rrupy wywiadu tureckiego, która obserwowała konsulat radziecki z punktu)o przeciwnej stronie ulicy.

Kiedy minął ranek, Taylor zaczął wątpić w to, że konsul w ogóle zamie-zał udać się na ulicę Horhor. To byłby błąd, poważne naruszenie zasad bez-jieczeństwa, a Sowietci nie popełniali takich błędów. Uważano to raczej za specjalność Amerykanów. Wreszcie, zaraz po trzeciej, obserwatorzy donieśli, że ktoś - Kunajew - wyjechał z konsulatu wielką limuzyną i ruszył wzdłuż Alei Istiklal.

Kiedy grupa tureckiego wywiadu zawiadomiła, że limuzyna zbliżała się do dzielnicy Faith, Taylor wstrzymał oddech. Radziecki dyplomata skręcił w lewo, w ulicę Atatiirka, a potem jeszcze raz w lewo. W Horhor.

- Powtórzcie raz jeszcze - warknął Taylor w radionadajnik.

- W ulicę Horhor.

Taylor uśmiechnął się. Oczy mu błysnęły. Obserwatorzy przekazali, że dyplomata zaparkował samochód, potem ruszył w kierunku bazaru z antykami w towarzystwie ochroniarza i wszedł do budynku.

5

Jl 1

- Jeśli się nad tym zastanowić, to nasza operacja jest przestarzała. Mimo t całkiem fajnie jest tak działać.

- Pieprzę to. Nie czekamy aż wyschnie, dobra?

George uśmiechnął się przyjaźnie i zebrał narzędzia. Taylor i Hamid już yli w drzwiach i szli w kierunku okna, kiedy George ich zatrzymał.

- Musimy zamknąć drzwi.
- Użyj swojej broni - powiedział Taylor. George wyglądał na zawieszionego, niczym wędkarz, któremu kazano łowić ryby na lśniąca błystkę, nie na własnoręcznie wykonaną przynętę. Wsunął urządzenie w zamek.

Taylor miał nadzieję, że stróż już śpi. Jeden zamek zaskoczył z cichym zaskiem, po nim drugi. Hamid otworzył okno i rozwinął drabinkę. George szedł pierwszy, za nim Taylor. Potem Hamid zsunął się po zaczepionej o kra-rzędź parapetu linie. Zabrał drabinkę, zamknął okno i zgrabnie ześliznął się o sznurze.

Prawie świtało, kiedy w końcu opuścili Horhor. Po ulicach zaczęły już iździć żółte taksówki. W powietrzu unosił się zapach pieczonego chleba i ka-vy po turecku. Taylor czuł się jak odurzony. Hamid zaproponował mu papie-osa i chociaż Amerykanin nie palił już od ponad roku, chętnie skorzystał.)laczego by nie? Przecież odmowa w takiej sytuacji byłaby metafizycznie iezdrowa.

Kunajew nie pojawił się na bazarze z antykami przez cały następny radek. W ogóle nie wychodził ze swojego gabinetu w łososiowym pałacu przy Uei Istiklal. Taylor zaczynał się niepokoić. Siedział w swoim biurze razem : George'em, jedząc pączki, pijąc kawę i wysłuchując regularnych raportów jrupy wywiadu tureckiego, która obserwowała konsulat radziecki z punktu >o przeciwnej stronie ulicy.

Kiedy minął ranek, Taylor zaczął wątpić w to, że konsul w ogóle zamie-zał udać się na ulicę Horhor. To byłby bład, poważne naruszenie zasad bez-jiecieństwa, a Soweci nie popełniali takich błędów. Uważano to raczej za ipecjalność Amerykanów. Wreszcie, zaraz po trzeciej, obserwatorzy donieśli, że ktoś - Kunajew - wyjechał z konsulatu wielką limuzyną i ruszył wzdłuż Mei Istiklal.

Kiedy grupa tureckiego wywiadu zawiadomiła, że limuzyna zbliżała się do dzielnicy Faith, Taylor wstrzymał oddech. Radziecki dyplomata skręcił w lewo, w ulicę Atatiirka, a potem jeszcze raz w lewo. W Horhor.

- Powtórzcie raz jeszcze - warknął Taylor w radionadajnik.
- W ulicę Horhor.

Taylor uśmiechnął się. Oczy mu błysnęły. Obserwatorzy przekazali, że dyplomata zaparkował samochód, potem ruszył w kierunku bazaru z antykami w towarzystwie ochroniarza i wszedł do budynku.

5

- Teraz kup ten fotel, ty kretynie! - zawołał Taylor.
- Mam nadzieję, że lakier wysechł - wtrącił George.
- Zamknij się - rzucił Taylor, ale zaraz potem przeprosił technika za ten wybuch.

Kunajew wyszedł z budynku po dwudziestu pięciu minutach. Z pustymi rękami. Taylor z zapartym tchem czekał na kolejny radiowy komunikat. Za dyplomatą szedł jego ochroniarz, niosąc duży brązowy fotel.

- Uaaa! - zawył Taylor, kiedy otrzymał ostatnią wiadomość. - Kunajew, jesteś pieprzonym, kretyńskim palantem! - Uderzył dłonią w stół, ucałował swoją sekretarką i ponownie zawył niczym bezpieczki pies, który chce, żeby usłyszeli go wszyscy sąsiedzi.
- Mam nadzieję, że mikrofon działa - powiedział George. - Nie miałem zbyt wiele czasu.
- Oczywiście, że działa - przerwał mu Taylor. - Jutro sobie posłuchamy. A dziś musimy to uczcić!
- Masz coś konkretnego na myśli?
- Georgie, mój kochany, radzę ci teraz wrócić do hotelu i przespać się kilka godzin, bo dzisiaj wieczorem zamierzam pokazać ci nocne życie Stambułu.
- Nocne życie? Jak to?
- Zobaczysz. Potworności pierwsza klasa. Wszystko co najobrzydliwsze. Dziś, mój przyjacielu, zobaczysz taką różnorodność ludzkich doświadczeń, jakiej nawet nie mógłbyś sobie wyobrazić.
- No, nie wiem. Byłem w Bangkoku.
- Zaufaj mi. Bangkok jest bardzo spokojny w porównaniu ze Stambułem.

7

Kopia depeszy Taylora opisującej operację na ulicy Horhor dotarła do Waszyngtonu, do Edwarda Stone'a późnym popołudniem. Prawdą mówiąc, Stone nie powinien w ogóle jej otrzymać. Jego nazwiska nie było na liście szefów działów i personelu oraz oficerów, do których zwykle docierała korespondencja tego typu. Miał jednak przyjaciół. Jeden z nich, człowiek-iskra, Harry Peltz, wpadł do Stone'a w chwili, gdy ten właśnie miał zamiar wybrać się na kolejne z nie kończącej się serii przyjęć na cześć odchodzących na emeryturę kolegów. Peltz pracował ze Stone'em przed trzydziestu laty w Berlinie. Potem dostał synekurę w wydziale europejskim.

0

Stone zawsze się dziwił, że ludzie go odwiedzali, nawet kiedy robili to k regularnie jak Peltz. Zaskakiwało go to, ponieważ starał się pozostać nie-idzialny. Jego gabinet, niewielkie i skromne pomieszczenie, znajdował się dala od ruchliwych korytarzy siódmego piętra zajętego przez Hinkle'a i klikę go asystentów.

Biuro Stone'a przypominało trochę londyńskie kluby, które nawet nie mają wywieszki z nazwą na drzwiach, więc nie można ich odszukać, jeśli się nie wie, jak do nich trafić. Kiedy przenosił się do swojej kryjówki z prze-ronnego gabinetu, który zajmował jako szef wydziału bliskowschodniego, ibrął ze sobą tylko jedną rzecz - oprawiony w ramki epigramat z książki ietzschego Poza dobrem i złem. Tekst zalecał, by nie spoglądać zbyt długo otchłań, ale pozwolić, by to ona spojrzała na nas.

- Jesteś zajęty? - spytał Peltz.
- Nie. Właśnie wybierałem się na przyjęcie do Crane'a.
- Mam coś, co ci się spodoba. - Peltz puścił oko do kolegi. Wszedł do oknoju, zamknął za sobą drzwi i podał Stone'owi depeszę ze Stambułu.

Stone przeczytał wiadomość i uśmiechnął się.

- To niemądra operacja. Dlaczego miałyby mi się podobać?
- Bo to przejaw inicjatywy.
- Może i tak. Przynajmniej niektórzy jeszcze się zabawiają. A tak przy okazji, kim jest ten Amos B. Garrett?
- To Alan Taylor. Niezły chłopak. Choć, prawdę mówiąc, to już nie chłó-ak. Ma prawie czterdzieści lat.
- Według mojej definicji wciąż jeszcze chłopak - stwierdził Stone, od-ając depeszę Peltzowi. - Stawiam dolara przeciwko pączkowi, że ta cała keja nic nie da. Czy to wciąż jeszcze jest dobra stawka, dolar za pączka?
- No, jeżeli kupuje się tanie pączki.
- Daj mi znać, jak się czegoś dowiesz, dobrze?
- Oczywiście. Możesz na to liczyć tak długo, jak długo tu zostanę.

Stone pokręcił głową.

- Tylko mi nie mów, że jesteś na liście do odstawki.
- Tak słyszałem.
- Przykro mi. Może mógłbym z kimś porozmawiać? Chociaż oficjalne liuro niezbyt poważnie traktuje teraz moje sugestie.
- Zapomnij o tym - Peltz machnął ręką. - Kto by chciał pracować dla ych kretynów, no nie?

Stone raz jeszcze pokręcił głową i spojrzął na zegarek.

- Wybacz mi. Jestem już spóźniony na to przyjęcie u Crane'a. Ty też się am wybierasz? Napilibyśmy się na koszt Hinkle'a.
- Nie ma mowy. Przez ostatnich kilka miesięcy byłem na tylu takich irzyjęciach, że wystarczy mi do końca życia. Zresztą, gdybym zobaczył Hin-de'a, pewnie bym go rąbnął. Dokąd idziecie po imprezie?

\ " ' 61

>>

Stone zawsze się dziwił, że ludzie go odwiedzali, nawet kiedy robili to nie regularnie jak Peltz. Zaskakiwało go to, ponieważ starał się pozostać nie-ridzialny. Jego gabinet, niewielkie i skromne pomieszczenie, znajdował się daleko od ruchliwych korytarzy siódmego piętra zajętego przez Hinkle'a i klikę jego asystentów.

Biuro Stone'a przypominało trochę londyńskie kluby, które nawet nie mają wywieszki z nazwą na drzwiach, więc nie można ich odszukać, jeśli się nie wie, jak do nich trafić. Kiedy przenościł się do swojej kryjówki z przed-tronowego gabinetu, który zajmował jako szef wydziału bliskowschodniego,abrał ze sobą tylko jedną rzecz - oprawiony w ramki epigramat z książki lietzschego Poza dobrem i złem. Tekst zalecał, by nie spoglądać zbyt długo w otchłań, ale pozwolić, by to ona spojrzała na nas.

- Jesteś zajęty? - spytał Peltz.
- Nie. Właśnie wybierałem się na przyjęcie do Crane'a.
- Mam coś, co ci się spodoba. - Peltz puścił oko do kolegi. Wszedł do okna, zamknął za sobą drzwi i podał Stone'owi depeszę ze Stambułu.

Stone przeczytał wiadomość i uśmiechnął się.

- To niemądra operacja. Dlaczego miałyby mi się podobać?
- Bo to przejaw inicjatywy.
- Może i tak. Przynajmniej niektórzy jeszcze się zabawiają. A tak przy okazji, kim jest ten Amos B. Garrett?
- To Alan Taylor. Niezły chłopak. Choć, prawdę mówiąc, to już nie chłopak. Ma prawie czterdzieści lat.
- Według mojej definicji wciąż jeszcze chłopak - stwierdził Stone, odkładając depeszę Peltzowi. - Stawiam dolara przeciwko pańkowi, że ta cała keja nic nie da. Czy to wciąż jeszcze jest dobra stawka, dolar za pańka?
- No, jeżeli kupuje się tanie pańki.
- Daj mi znać, jak się czegoś dowiesz, dobrze?
- Oczywiście. Możesz na to liczyć tak długo, jak długo tu zostanę.

Stone pokręcił głową.

- Tylko mi nie mów, że jesteś na liście do odstawki.
- Tak słyszałem.
- Przykro mi. Może mógłbym z kimś porozmawiać? Chociaż oficjalnie liuro niezbyt poważnie traktuje teraz moje sugestie.
- Zapomnij o tym - Peltz machnął ręką. - Kto by chciał pracować dla tych kretynów, no nie?

Stone raz jeszcze pokręcił głową i spojrzął na zegarek.

- Wybacz mi. Jestem już spóźniony na to przyjęcie u Crane'a. Ty też się am wybierasz? Napilibyśmy się na koszt Hinkle'a.

- Nie ma mowy. Przez ostatnich kilka miesięcy byłem na tyłu takich »rzyjęciach, że wystarczy mi do końca życia. Zresztą, gdybym zobaczył Hin-de'a, pewnie bym go rąbnął. Dokąd idziecie po imprezie?

\

- Nie wiem. Pewnie do klubu „Oak Hill”. Tam kończą się zwykle wszystkie takie przyjęcia.

- Może tam do was dołączę - powiedział Peltz, otworzył drzwi i z depeszą w dłoni wolno ruszył korytarzem w stronę centrum operacyjnego.

Przyjęcie wydane na cześć Altona Crane'a, który opuszczał służby wywiadowcze po dwudziestu pięciu latach pracy, odbyło się w sali jadalnej na siódmym piętrze, na którym znajdował się także gabinet dyrektora. Gości przyjmowała żona Crane'a, alkoholiczka Betty oraz dwóch jego synów - jeden z długimi włosami i z brodą, „robiący w stolarce”, i drugi, na co dzień zajmujący się sprzedażą akcji rodzinnej firmy. Ten miał dla odmiany krótką ulizaną fryzurę. Wszyscy w eleganckich, choć niedbałych strojach, niczym standardowa rodzinka białych protestantów z Waszyngtonu końca lat siedemdziesiątych. Obecni udawali wesołość, rozprawiając o tym, jaką wspaniałą karierę zrobił Alton i jak to na pewno się cieszy, że w końcu będzie miał więcej czasu na żeglowanie, łowienie ryb i na wszystko, o czym mógł tylko marzyć przez te wszystkie lata pracy. Każdy z gości wiedział jednak doskonale, że Altona po prostu wypchnięto za drzwi.

Hinkle wpadł na krótko, podziękował Crane'owi za lata wzorowej służby i wręczył mu medal z rodzaju tych, które wręczano zwykle nowym nabytkom z KGB, aby poczuli się ważniejsi. Potem Hinkle opuścił przyjęcie i powrócił do swojego gabinetu na tym samym piętrze. Nie pozostał nawet na tyle długo, aby przywitać się z obecnymi. Nowy dyrektor chyba rozumiał, że jest bardzo nie lubiany przez prawie wszystkich, którzy znajdowali się na sali. Miał przynajmniej tyle wyczucia.

Stone rozejrzał się wokół. Miał przed sobą obraz pokolenia, które odchodziło w przeszłość.

W jednym kącie stała grupka Chińczyków, którzy połamali sobie kilofy na niemożliwym do pokonania Murze Chińskim za czasów Mao, po czym na początku lat siedemdziesiątych musieli przyglądać się, jak nagle wrota Chir otwierają się przed Ameryką. Wciąż jeszcze nie mogli uwierzyć w to, że Stany Zjednoczone i Pekin prowadzą wspólne operacje wywiadowcze. Nieopodal stanęli rozbitkowie wojny, która wciąż toczyła się w południowo-wschodniej Azji. W sennych koszmarach nadal nawiedzali ich agenci, którzy podczas ostatnich desperackich dni pozostali na wzgórzach Laosu i na ulicach Sajgonu. W przeciwległym kącie zgromadzili się Arabowie, którzy przez wielu lat próbowali bezskutecznie zapanować nad najtrudniejszym w dziejach świata konfliktem i w rezultacie stali się równie przebiegli i wyszukanie grzeczni co ich agenci w Bejrucie i Kairze. Pośrodku sali ulokowali się Rosjanie, łącząc wszystkie pozostałe fiakcje; dla nich błogosławieństwem byłoby do trwanie do emerytury bez fałszywych oskarżeń o szpiegowanie dla Moskwy

k wiele talentów i wspaniałych karier poświęcono przekraczaniu wód po-■nych podczas Zimnej Wojny.

Jedyną całkowicie odprężoną osobą w tym pokoju był sam Crane. Wlał ż w siebie kilka martini i próbował jakoś pobudzić do życia ponurych kole-iw, którzy próbowali mu współczuć. Prawdę mówiąc, Crane odczuwał ulgę, ma to już za sobą. Edward Stone podszedł do niego, jak tylko Hinkle mścił salę.

- Gratulacje - powiedział.

- Z-jakiego powodu?

- Otrzymania medalu.

- Daj spokój - stwierdził Crane. - Chcesz znać prawdę? Nie mogłem ż się doczekać, kiedy się stąd wydostanę. Żał mi was, biedaków, bo musicie szcze w tym tkwić. Utrzymujecie pozory. Ja już nie. Swoje zrobiłem. La terre est finie. - Mówił z uśmiechem, tak że niemal można było uwierzyć jego słowa.

- Trafił ci się niezły kawałek służby, Alton. - Stone powtórzył to, co ówili wszyscy. Próbował przypomnieć sobie, co takiego robił Crane. Niemcy, k jak wszyscy; Meksyk; Manila; Rzym. Żadnych wielkich sukcesów. Żad-fch wielkich wpadek. Może rzeczywiście trafiła mu się niezła służba.

- Słyszałeś może o prawnikach? - spytał Crane, wciąż uśmiechnięty.

- Chyba nie.

- To nowe zarządzenie Hinkle'a. Ogłoszone dzisiaj. Będą angażowali ■awników na stałe we wszystkich większych bazach w Europie, tak aby mogli ii znaleźć się bliżej akcji. Pewnie chcą mieć pewność, że nikt nie robi nic rórczego.

- Kiedyś sam chciałem zostać prawnikiem - przyznał Stone. - Może po-ełniłem błąd.

- Bzdura. Byłbyś kiepskim prawnikiem. Zresztą tylko ty tutaj zostałeś, otrzębują cię.

Stone rozejrzał się po sali, patrząc na zebranych tam oldboyów, bardziej lb mniej podstarzałych.

- Do czego?

Crane roześmiał się.

- Biedni jesteście - powtórzył. Kiedy wypowiadał te słowa, podszedł olejny gość, aby życzyć odchodzącemu powodzenia. Korzystając z tego, tonę szybko wycofał się w kierunku drzwi.

- Do zobaczenia później - zawołał za nim Crane.

- Dokąd idziecie potem?

- Do knajpy „Oak Hill Inn”. Przyjdź. Moja żona chciała z tobą porozmawiać.

Stone jęknął.

- Może przyjdę.

- Liczę na to.

- Spróbuję.

Stone rzeczywiście na bardzo krótko wpadł do „Oak Hill Inn”, porządnego pubu stojącego na wzgórzu przy drodze numer sto dwadzieścia trzy, który miał tę zaletę, że znajdował się niedaleko od kwatery CIA. Zanim przyszedł, Betty Crane zdążyła się upić i kłóciła się teraz z każdym, kto stanął jej na drodze. Alton śpiewał piosenki Cole'a Portera swojej sekretarce, młodej dwudziestokilkuletniej Hiszpance o grubych udach i dużym biuście. Stone odetchnął z ulgą widząc, że z tytoniowej chmury otaczającej bar wyłania się Harry Peltz.

- Co pijesz? - spytał go Stone.

- Podwójną whisky, bez wody, bez lodu. Bez niczego.

Stone zamówił to samo i jeszcze jedną kolejkę dla przyjaciela. Tej nocy

nie musiał być trzeźwy. Wziął drinki i pociągnął Peltza w kąć sali, dalej od Crane'ów.

- Czy Alton zabawia się ze swoją sekretarką? - spytał Peltz, oglądając się na honorowego gościa i jego latynoską towarzyszkę.

- Nie mnie powinieneś o to pytać - odparł Stone. - Do dziś nie miałem pojęcia, że Alton w ogóle ma sekretarkę.

- Pewnie nie będzie mu się podobało na emeryturze. Przez całą czas; z Betty. Facet zwariuje.

- On mówi zupełnie co innego. Na przyjęciu powiedział mi, że cieszył się z odejścia.

- Bzdury. Twierdzi tak tylko dlatego, że nienawidzi Hinkle'a. Żadnemu z oldboyów nie podoba się perspektywa odejścia. Nawet mnie.

Stone miał ochotę zmienić temat. Męczyło go to ciągłe gadanie o emeryturze. Miał dość wrażenia, że stale uczestniczy w czymś pogrzebie.

- A co tam w twoim dziale? - spytał. - Jakież wieści ze Stambułu?

- Jeszcze nie - powiedział Peltz. - Dlaczego jesteś taki przekonany, że operacja jest z góry przegrana?

- Dlaczego? - powtórzył Stone, przyglądając się szklaneczce whisky) Zwykle nie rozmawiał o operacjach nawet ze starymi przyjaciółmi. Upił ły szkockiej i spojrzał na Peltza. - Ponieważ jest zbyt staromodna. Nawet jeżeli da jakieś rezultaty, to co z tego? Kogo obchodzi, o czym gadają w sowieckim konsulacie w Stambule? To tylko przykrywka. Rozumiesz?

- Niezupełnie.
- Chodzi mi o to, że tam nic się nie dzieje. Właśnie w tym tkwi nas problem. Już tak długo obserwujemy Sowietów, że zaczęliśmy wszystko po strzegąc podobnie do nich. Oni twierdzą, że są supermocarstwem, a my w to wierzymy i próbujemy zakładać podsłuch w ich biurach i werbować ich li

64

zi. Po co? To jedno wielkie oszustwo. Domek z kart. Nie musimy dłużej się tym zajmować. Wystarczy go tylko trącić. Może to trochę heretyckie podejście, ale teraz już chyba rozumiesz, o co mi chodzi?

- Prawdę mówiąc, nie. Mówisz zagadkami. Co tam się takiego szykuje?
- Niewiele.
- Och, daj spokój.
- To samo co zwykle. Gra jak zawsze. Pukanie do drzwi, żeby sprawdzić, kto się za nimi kryje. Prawdę mówiąc, nie jest tego wiele.
- Przestań chrzanić. Co się kroi?

Stone uśmiechnął się pogodnie.

- Przykro mi, ale nie mogę ci nic powiedzieć.
- W porządku. Kogo to obchodzi? Zamówmy lepiej jeszcze jedną zcocką.
- Mam tylko do ciebie prośbę - powiedział Stone. - Jeżeli ten gość w Stambule, Taylor, natknie się na coś, o czym warto wiedzieć, daj mi znać. "a część świata bardzo mnie interesuje.
- Oczywiście - stwierdził Peltz. Poszedł do baru i po chwili wrócił : dwiema szklaneczkami podwójnej whisky.
- Za przyszłość - Stone podniósł swojego drinka.
- O nie - zaprzeczył Peltz. - Za przeszłość.

Wypili więc toast za wspaniałą przeszłość i mizerną teraźniejszość, a także a wiele innych rzeczy. Kiedy sekretarka Crane'a ogłosiła, że pora na ogólne ańce, a Crane ustawił się za nią i mocno chwycił ją za tyłek, Stone stwierdził, że czas opuścić towarzystwo. Żegnając hałaśliwą grupę miał dziwne i wrażenie, że teraz kwatery główna przypomina starzejący się i trochę nie na :zasie statek wycieczkowy, który bez celu dryfuje po morzach. Na lądzie, dw placówkach, które wciąż jeszcze uchodziły za rzeczywisty świat, legiony imperium ze wszystkich sił starały się utrzymać porządek. Wyglądało to za-ośnie. Stone wpadł na pewien pomysł, który przybierał coraz wyraźniejsze kształty w uporządkowanych szufladkach jego umysłu. Na razie jednak mógł tylko oglądać to przykre przedstawienie - i czekać, aż trafi się jakaś solidniejsza kłoda, do której mógłby się podczepić.

/

Dochodziła północ, kiedy Taylor przyszedł do hotelu po George'a. Aleja Istiklal wypełniła się jej nocnymi bywalcami: alfonsami, ulicznymi sprzedawcami, chłopcami czyszczącymi buty, transwestytami oraz politycznymi

S-Siro

65

i

pamflecistami. Większość z tych ludzi nocy miała ciemne twarze, zdradzające kurdyjskie pochodzenie. Oczy mieli tak czarne, że przypominały głębię, w której nic nie dało się dojrzeć, a ciemne włosy przypominały zwierzęce futro. Wąska uliczka Istiklal biegła po szczycie wzgórza. Kupcy i stragania-rze kurczowo trzymali się tego pasma asfaltu, jakby obawiali się, że mogą spaść z krawędzi świata, jeżeli za bardzo się wychylą.

Dla kurdyjskich sprzedawców aleja Istiklal była kawałkiem lepszego świata. Podobnie jak ulica Hamra w Bejrucie albo Connaught w Hongkongu. W takim miejscu stroje, akcenty i myśli były powszechne i swobodne, nie zaś narodowe i ograniczające. Podobnie wyglądało to przed stu laty, kiedy okręg ten znano pod nazwą Pera. Całe bogactwo i wyniosłość Europy skupiły się na tych kilku uliczkach na szczycie wzgórza. Teraz te okolice stały się bardziej tureckie; w kafejkach częściej słyszało się Bulenta Ersoya niż Brahmsa, ale zachowały one swój urok. Dla biednych Kurdów z Erzurum na Wschodzie każdy kawałek Zachodu był błogostawieństwem. Może nigdy nie jechali mercedesem wzdłuż pięknego bulwaru, ale przynajmniej mogli sobie stanąć nocą na chodniku i wypalić marlboro.

- Pierwszy przystanek, ulica Żyrafy - powiedział Taylor, witając Georgea.
- Co to takiego?
- Zobaczysz. - Taylor uśmiechnął się. Zauważył, że George wciąż ma przy sobie torbę z narzędziami. - To ci nie będzie potrzebne tam, dokąd idziemy.
- Nigdzie się bez nich nie ruszam.

Taylor przewrócił oczami.

Kierowca wysadził ich przy wieży Galata, prastarym monumencie wzniesionym przez genewskich kupców, którzy swego czasu oznaczali krańce dzielnicy czerwonych latarni. Stamtąd obaj Amerykanie zeszli stromym zboczem w kierunku żelaznej bramy pilnowanej przez dwóch nieporządnie wyglądających policjantów. Wąska aleja za bramą roiła się od Turków w różnym wieku i z wąsami różnej długości. Na tabliczce widniała nazwa: „Zurafa Ca-dessi”.

- Ulica Żyrafy - powiedział Taylor, uśmiechając się do policjantów i przepychając George'a przez bramę.
- Dlaczego tak się nazywa? - spytał George, kiedy skierowali się w dół łagodnego wzgórza ku pierwszej grupie ludzi. Kiedy zbliżyli się do nich, wszystko stało się jasne. Stał tam kilka tuzinów Turków wyciągających szyje, aby zajrzeć przez okno niewielkiego budynku i popatrzeć na ciała półnagich kobiet.

- Zobaczmy, co tam takiego jest! - zaproponował George.
- Dobrze - zgodził się Taylor, popychając przyjaciela przez tłum. - Ale pamiętaj, że sam o to proszę.

Przed nimi znajdowała się wystawa odległa zaledwie o kilka metrów, świetlona jasnym, fluorescencyjnym światłem. Siedziały w nim dwie naj-irzydsze kobiety, jakie Taylor kiedykolwiek widział. Pozowały dla zebrane-;o tłum. Jedna z nich, wysoka i chuda, miała na sobie czarne majtki i uciętą oszulkę odsłaniającą obwisłe piersi. Druga, niska i bardzo gruba, ubrana była tylko w różowe figi. Odwróciła się tyłem do okna, aby wszyscy mogli ją przyjrzeć jej tyłkowi. Co za niezwykły widok! Taylor patrzył na różową kaninę zasłaniającą pofałdowane pośladki. Z powodu sporych rozmiarów rabyty materiał był napięty do granic możliwości i szwy zaczynały się pruć.

*- Może być. twoja. - Taylor wskazał grubaskę. - Za jedyne dwa dolary. Mus oczywiście napiwki i plus pościel.

Kobieta w różowych majtkach puściła do George'a oko. Uśmiechnęła się do niego. Przez chwilę Taylorowi wydawało się, że jego kompan rzeczywiście wejdzie do środka i zapłaci jej za usługę.

- Posłuchaj tylko rady przyjaciela - powiedział. - Nie pozwól, żeby na obie usiadła.
- Jest dokładnie w moim typie - stwierdził George. - Ale może powinniśmy jeszcze trochę się rozejrzeć.

Kilka metrów dalej, przy tej samej brukowanej ulicy, stał następny budy-lek, równie jasno oświetlony co pierwszy. To miejsce wyglądało znacznie lepiej. Kobiety były młodsze i ładniejsze, ale ponieważ miały zakryte piersi, wokół nie zbierało się aż tylu gapiów.

- Nasi tureccy przyjaciele wolą patrzeć niż kupować - wyjaśnił Taylor, przepychając się w stronę okna. - Wielu z nich przychodzi tu tylko po to, żeby za darmo zobaczyć cycki.

Kiedy wyszli przed gapiów, zobaczyli dwie kobiety upozowane na tle taniej mozaiki przedstawiającej scenę plaży nad Morzem Śródziemnym. Jedna z nich miała na sobie żółte body wysoko wycięte, odsłaniające uda; wyglądała tak, jakby właśnie urwała się z zajęć tureckiego aerobiku. Druga była bardzo młoda, mogła mieć najwyżej szesnaście lub siedemnaście lat. Siedziała na stołku i z wyższością patrzyła na tłum - nie poruszyła ani jednym mięśnieniem, podczas gdy tuziny mężczyzn oglądały jej ciało. Taylor pomyślał, że to triumf opanowania i samoobrzydzenia.

- Może wejdziemy i potargujemy się trochę - zaproponował.
- Uhm - zgodził się George.

Gdy Taylor otworzył przeszklone drzwi, zza schodów wyłonił się sute-ner, niski i gruby facet ubrany w koszulkę bez rękawów. Z kącika ust zwiisał mu gruby papieros.

- Witaj, bracie - powiedział Taylor po turecku. - Masz tu wspaniałe dziewczęta, świeże jak kwiaty. - Dziewczyna w żółtym kostiumie uśmiechnęła się do niego, a potem zachichotała. Zaskoczyła ją że człowiek z Zachodu zna język turecki.

- Dziękuję ci, abi - odparł sutener. - Są także czyste, dzięki ci, Allahu.
- Czy mógłbym z nimi porozmawiać?
- Jeżeli sobie tego życzysz, abi. - Turek przyglądał się Taylorowi coraz bardziej podejrzliwie. Poza hałaśliwymi marynarzami niewielu obcokrajowców odwiedzało ulicę Żyrafy.

Taylor spojrział przez okno i zauważył, że tłum gapiów powiększył się. Patrząc na przyciśnięte do szyby, anonimowe twarze podnieconych mężczyzn, żałował, że nie może uwolnić tego małego stadka tureckich ptaków z ich klatki.

- Mnie podoba się ta żółta - stwierdził George.
- Mądry wybór - stwierdził Taylor, popychając towarzysza ku dziewczynie w kostiumie, która teraz trzepotała zalotnie rzęsami.
- Witaj, pistacyjko - powiedział. W języku tureckim słowa fistik, oznaczającego pistację, używano jako pieszczotliwego określenia kształtnych kobiet. Dziewczyna uśmiechnęła się.
- Jak masz na imię? - spytał Taylor po turecku.
- Gungor.
- Co ona mówi? - chciał wiedzieć George.
- Gungor. To jej imię.
- Co to za imię?
- Tureckie, ty inteligencie.

George roześmiał się. Młoda dziewczyna w żółtym stroju także się uśmiechnęła, choć nie miała pojęcia, o czym rozmawiali przybysze. Turecki sutener nie śmiał się. Denerwowała go ta dwujęzyczna rozmowa, śmiech i ogólne zamieszanie, które Amerykanie wywołali swoim pojawieniem się.

- Tutaj jest Turcja - powiedział jak najgodniejszym tonem. - Mówimy po turecku!
- Kasura bakma - powiedział uprzejmie Taylor. - Bardzo przepraszam. Proszę nie brać tego do siebie.

Godność Turka została chyba podbudowana i Taylor właśnie zamierzał zacząć się targować, kiedy w oczach sutenera dojrzał strach.

- Co się stało? - spytał.
- Madame Mazloumian!

Taylor odwrócił się i zobaczył niską, siwowłosą starą kobietą, która weszła do pokoju od strony zaplecza.

- Przyszła po pieniądze - jęknął Turek. Wyglądał na autentycznie przestraszonego. Dziewczyna w żółtym kostiumie, także zdenerwowana, zniknęła za zasłoną. Królowa lodu nadal tkwiła na swoim stołku.

- Lepiej się stąd wynieśmy - powiedział Taylor. - To mi wygląda na poważną sprawę.

- Kto to był, do cholery? - spytał George, gdy już wydostali się na zewnątrz.

68

\

- Ormianka nazywana panią Mazlounian. Jest właścicielką większości tych domów. Podobno też płaci największe podatki w całym Stambule.

- Ormianka?

- W tej lidze są to ludzie, którym z góry wyznaczono rolę tych złych. Są irześcijanami, więc mogą robić wszystkie złe rzeczy, których zabrania się obrym muzułmanom. Mogą na przykład prowadzić burdele dla dobrych muzułmanów.

- No dobra, Al - przerwał George. - Całe to targowanie zaostriżyło mi petyt. Muszę znaleźć jakąś laskę.

- Nie obawiaj się, ta właściwa już czeka.

Znowu ruszyli w dół ulicy. Taylor zajął jedno okno, przyjrzał się wy-hudzonej kobiecie i pchnął George'a dalej, w stronę tłumu - jak dotąd największego - który zebrał się przed jedną z witryn.

- Co my tutaj mamy? - spytał, torując sobie drogę łokciami.

W środku dojrzał idealnie piękną brunetkę, nagą od pasa w górę, z największymi piersiami, jakie Taylor kiedykolwiek widział poza zdjęciami w męskich magazynach. Były bardzo duże, ale jednocześnie jędrne. Sutki miały kolor ciemnoczerwony, zupełnie jakby zostały pomalowane. Kobieta miała długie czarne włosy, połyskujące niczym końska grzywa. Kiedy dostrzegła dwóch Amerykanów, odchyliła głowę w tył i z rozmysłem odrzuciła włosy na plecy.

- Mój Boże! Ale dupa - zachwycił się George.

- Może wejdziemy i przyjrzymy się jej z bliska? - zaproponował Taylor, otwierając żelazne drzwi. George deptał mu po piętach. Kilku Turków zaczęło bić brawo - dziewczyna zdobyła sobie klientów.

Taylor od razu przystąpił do rzeczy.

- Ile za nią? - spytał alfonsa. George wciąż z zachwytem wpatrywał się w piersi kobiety.

- Nie mówmy o pieniądzach, mój bracie - odparł sutener, wyczuwając, że oto nadarzyli mu się klienci, którzy mogli zapłacić cenę trzy- albo czterokrotnie wyższą od tej, której zwykle żądał.

Taylor nie dawał za wygraną.

- Powiedz ile, przyjacielu?
- Dwadzieścia tysięcy tureckich lirów.
- Jest piękna, ale za taką sumę mógłbym się z nią ożenić.
- Piętnaście tysięcy tureckich lirów - powiedział sutener.
- Al - wtrącił George, przyglądając się kobiecie. - Chodź tutaj, chcę ci coś pokazać.
- Zaraz. Tylko skończę się targować. - Taylor znowu odwrócił się do alfonsa. - Pięć tysięcy tureckich lirów - powiedział.
- Dziesięć tysięcy - odparł alfons.

Taylor uściskał jego dłoń.

69

- Witaj, olbrzymie - odezwała się turecka piękność do George'a. Chyba niezbyt dobrze znała angielski.
- Al! - ponaglił George. - Chodź tutaj.

Taylor podszedł do przyjaciela, przyglądając się jednocześnie piersiom

kobiety. \

- Podobają się moje cycki? - spytała brunetka gardłowym angielskim.
- Tak.
- Masz ochotę na pieprzonko? - spytała ochryple.
- Mój przyjaciel ma.
- Al, na litość boską. Mówię serio. Chcę, żebyś coś zobaczył.

Taylor podszedł do George'a, a ten szepnął mu do ucha:

- Popatrz na jej szyję. —
- Pieprzonko? - powtórzyła kobieta. - Pójdziemy na górę! - Sutener także zaczął zachęcać George'a, żeby udał się na górę do jednej z maleńkich sypialni.
- Mój Boże, masz rację - stwierdził Taylor. - Ona ma jabłko Adama!
- Nie tylko - szepnął George. - Spójrz na jej nadgarstki. Są tak samo grube jak twoje.
- Nie mogę w to uwierzyć! - Taylor pokręcił głową.
- Pięć tysięcy tureckich lirów - powiedział sutener.
- Pieprz się - rzucił George w jego stronę.

Zakłopotana „kobieta” zniknęła za schodami. Wróciła osłonięta ręcznikiem. Tłum mężczyzn na zewnątrz zaczął gwizdać i wyć, co tylko ściągnęło kolejnych gapiów.

- Aptal jabanci! - krzyknął jeden z Turków do George'a. Było to wulgarnie tureckie określenie głupiego obcokrajowca.
- Has siktir! - zawołał inny. Oznaczało to tyle, co „spieprzaj”.
- Cholera! Lepiej znikajmy, zanim zrobi się gorąco. - Taylor popchnął George'a do drzwi w chwili, gdy tłum zaczął napierać w ich kierunku. Ledwo zdołali się przecisnąć. Ich wyjście rozjuszyło tureckich gapiów. Jakiś dwudziestokilkuletni chłopak chwycił amerykańskiego technika za ramię; inny mocno pchnął Taylora. Taylor złapał George'a za łokieć i dosłownie wyrwał go z ciżby. Szybko ruszyli pod górę, w stronę żelaznej bramy. Grupa tureckich żandarmów, zaalarmowana poruszeniem, minęła ich kierując się ku tłumowi. Taylor ukłonił się uprzejmie, ale policjanci w pośpiechu nie zwrócili na niego uwagi.

Gdy Amerykanie bezpiecznie wyszli poza bramę, George objął Taylora ramieniem.

- Mój przyjacielu! - powiedział. - Po raz ostatni pozwoliłem ci zaprowadzić się do burdelu.
- Daj spokój, Georgie. To tylko początek wprowadzania cię w mistykę Wschodu.

- Witaj, olbrzymie - odezwała się turecka piękność do George'a. Chyba niezbyt dobrze znała angielski.

- Al! - ponaglił George. - Chodź tutaj.

Taylor podszedł do przyjaciela, przyglądając się jednocześnie piersiom kobiety. \

- Podobają się moje cycki? - spytała brunetka gardłowym angielskim.
- Tak.
- Masz ochotę na pieprzonko? - spytała ochryple.
- Mój przyjaciel ma.
- Al, na litość boską. Mówię serio. Chcę, żebyś coś zobaczył.

Taylor podszedł do George'a, a ten szepnął mu do ucha:

- Popatrz na jej szyję. --
- Pieprzonko? - powtórzyła kobieta. - Pójdziemy na górę! - Sutener także zaczął zachęcać George'a, żeby udał się na górę do jednej z maleńkich sypialni.
- Mój Boże, masz rację - stwierdził Taylor. - Ona ma jabłko Adama!

- Nie tylko - szepnął George. - Spójrz na jej nadgarstki. Są tak samo grube jak twoje.
- Nie mogę w to uwierzyć! - Taylor pokręcił głową.
- Pięć tysięcy tureckich lirów - powiedział sutener.
- Pieprz się - rzucił George w jego stronę.

Zakłopotana „kobieta” zniknęła za schodami. Wróciła osłonięta rącznikiem. Tłum mężczyzn na zewnątrz zaczął gwizdać i wyć, co tylko ściągnęło kolejnych gapiów.

- Aptal jabanci! - krzyknął jeden z Turków do George'a. Było to wulgarnie tureckie określenie głupiego obcokrajowca.
- Has siktir! - zawołał inny. Oznaczało to tyle, co „spieprzaj”.
- Cholera! Lepiej znikajmy, zanim zrobi się gorąco. - Taylor popchnął George'a do drzwi w chwili, gdy tłum zaczął napierać w ich kierunku. Ledwo zdołali się przecisnąć. Ich wyjście rozjuszyło tureckich gapiów. Jakiś dwudziestokilkuletni chłopak chwycił amerykańskiego technika za ramię; inny mocno pchnął Taylora. Taylor złapał George'a za łokieć i dosłownie wyrwał go z ciżby. Szybko ruszyli pod górę, w stronę żelaznej bramy. Grupa tureckich żandarmów, zaalarmowana poruszeniem, minęła ich kierując się ku tłumowi. Taylor uklonił się uprzejmie, ale policjanci w pośpiechu nie zwrócili na niego uwagi.

Gdy Amerykanie bezpiecznie wyszli poza bramę, George objął Taylora ramieniem.

- Mój przyjacielu! - powiedział. - Po raz ostatni pozwoliłem ci zaprowadzić się do burdelu.
- Daj spokój, Georgie. To tylko początek wprowadzania cię w mistykę Wschodu.

70

* tl

- Ciekawe, czy miała obciętego kutasa.
- Nigdy się tego nie dowiemy. Chyba że masz ochotę wydać pięć tysięcy ireckich lirów.
- Nawet o tym nie mów!

Wrócili do wieży Galata. Taylor obudził kierowcę z konsulatu, który drzemnął się, oczekując na swoich pasażerów.

- Postawię ci drinka. Noc jeszcze młoda - powiedział do George'a.
- Mam ochotę na jakąś akcyjkę. Serio!
- Wiem, wiem - Taylor pokręcił głową. Nie sprawdził się j ako dostawca jwaru. W myślach przejrzał listę możliwości, rozważając zarazem, która nich niesie najmniejsze ryzyko wywołania kolejnej katastrofy. - Już wiem - owiedział w końcu. Wymamrotał kilka słów do kierowcy i wsiadł do wozu.

- Co teraz? - spytał George. - Owce?

- Pojedziemy w miejsce, które nazywa się „U Omara”. Tam pracuje moja awna dziewczyna. Wspaniała. Ma na imię Sonia. Spodobaś się jej.

9

Knajpce „U Omara” panowała atmosfera niczym jak w kafejkach w Taszkencie albo Tbilisi. Pachniało tam tytoniem i turecką kawą. N powietrzu unosił się też słodki, lukrecjowy zapach anyżku; no i oczywiście, dla klientów z całego świata, nie tylko muzułmanów, woń piwa albo yhisky. Bar znajdował się w pobliżu uniwersytetu, tuż przy Kumkapi, w dzielicy, w której mieszkało wielu imigrantów - Tatarów, Kazachów, Uzbeków, \zerów i pół tuzina innych narodowości z Azji Środkowej.

Knajpa zajmowała najwyższe piętro taniego hotelu, który gościł podróżnych ze Wschodu i szczylił się wspaniałymi widokami na zatokę z jej niezwykłymi pasmami iluminacji: jasnymi światłami dzielnicy urzędów po drugiej stronie zatoki Złoty Róg; odległymi mrugającymi iskierkami światła na łzatyckim wybrzeżu Bosforu; pływającymi reflektorami radzieckich frachtowców na morzu Marmara, oczekujących na swoją kolej, a potem pokonuących wąską cieśninę w kierunku Morza Czarnego. Wszystko to otaczały oświetlone przez księżyc iglice pięciu minaretów górujących nad starym miastem.

Właściciel, Omar Gaspraly, był Tatarem. Pochodził z Krymu. Uczynił z baru miejsce spotkań wszystkich emigrantów-intelektualistów z Kaukazu i Azji Środkowej. Czasem słyszało się ludzi klnących naraz w kilku językach. Przychodzili tutaj napić się i zjeść, czytać poezje w ojczystym języku,

71

i.

głosić niezbywalne prawa narodów, które już nie istniały, a przede wszystkim, aby narzekać na rządzących w tej części świata Rosjan. W Stambule intelektualiści z Uzbekistanu czy z Azerbejdżanu znali pewną niepisaną zasadę: „Wszyscy spotykają się «U Omara»”.

- Al-an - huknął głos z wyraźnym obcym akcentem, gdy Taylor wszedł do baru. Gaspraly uściskał nowego gościa i ucałował go w oba policzki. Był dużym mężczyzną o falujących, siwych włosach i zmarszczkach uśmiechu stale obecnych na twarzy. Taylor odwzajemnił uścisk. Za gościnnym Tatarem stała szczupła Kirgizka po trzydziestce, ubrana w wydekoltowaną suknię wyszywaną cekinami. Przypominała smutną piosenkarkę kabaretową, która zbyt wiele razy zaśpiewała „postawiłam swoje serce w San Francisco”. Tyle że w jej przypadku tytuł brzmiałby raczej: „Zostawiłam swoje serce w Sewastopolu”.

- Sonia - odezwał się Omar, wyciągając ją z cienia. - Zobacz, kto do nas zawitał! - Taylor ucałował kobietę w oba policzki. Był to pocałunek dawnych kochanków, zarazem czuły i daleki. - Poznaj mojego przyjaciela. - Taylor poprowadził ją ku George'owi. - Ma na imię Henry i nie zna w Stambule nikogo.

- Witaj, Henry - powiedziała Sonia.
- Cześć - odparł George. Patrzył na nią szeroko otwartymi oczami w całkowitym osłupieniu. Może to kontrast między Sonią a wulgarnymi kobietami, które widzieli tego wieczoru, sprawił, że George wyglądał, jakby się w niej zakochał. - Może się do nas przysiądziesz. - Zabrzmiało to niemal jak propozycja małżeństwa.
- Jeszcze tylko raz zaśpiewam - powiedziała. - Potem do was dołączę.

Omar zaprowadził ich do zacisznego stolika w rogu sali, oddzielonego

od pozostałych miejsc. W pomieszczeniu unosiło się tyle dymu, że początkowo w ogóle nie zauważało się wspaniałej panoramy Stambułu. Bar, tonący w szarej chmurze i otoczony światłami miasta, zdawał się płynąć ponad nierzeczywistym obłok.

- Wódka? - spytał Omar. Przytaknęli. Już po chwili na stole pojawiła się butelka wódki i trzy kieliszki. - Zaraz wrócę - powiedział Omar.
- Skąd tak dobrze znasz tego gościa? - chciał wiedzieć George.
- Po wojnie trochę dla nas pracował. Usunęliśmy kilku jego kumpli. Mimo to wciąż nas lubi. - Taylor opróżnił kieliszek i nalał drugi sobie i koledze.
- Dużo rzeczy spieprzyliśmy, nie?
- Oczywiście - zgodził się Taylor. - Na tym polega nasza misja. Musi my dać przykład niekompetencji, do którego mogą przymierzać inne bazy. -Przez kilka minut obaj zastanawiali się nad tym w milczeniu, chłodząc ust; zimną, mocną wódką.
- Zamierzamy rozwiązać ten problem za ciebie, Al.
- Jaki problem?

72

- Ten z zostawianiem ludzi. I z zabijaniem ich.
- Tak? A w jaki sposób?
- Dzięki szczurom.
- Zwariowałaś?
- Nie. - George pochylił się ku Taylorowi i ściszył głos. - W technicznym opracowaliśmy nowy projekt. Instalujemy teraz przekaźniki w ciałach zczurów. Potem uczymy gryzonie, aby trzymały się bardzo dokładnie opracowanych tras, czasami długich na kilka kilometrów. Jeżeli skręcą w złą stronę, aplikujemy im wstrząs elektryczny. I tak do skutku, aż odnajdą właściwą drogę.
- No i?
- No i kiedy takie szczury dostaną się tam, gdzie miały się dostać, wysyłają sygnał, który je zabija - pyk! - i uruchamia jednocześnie mikrofon i przełącznik. Taki martwy szczur staje się punktem

podśluchowym. Pomysł jest taki, aby wypuścić naszych małych sprzymierzeńców w pewnym punkcie moskiewskiego systemu kanalizacji i kazać im dojść do Kremla, dokładnie w ścianę łydnyku, w którym spotyka się to pieprzone Politbiuro. Nasz nieżywy szczurek będzie tkwił po drugiej stronie ściany, nadając wszystko, co dzieje się za nią. Niesamowite, co? To jak zatrudnianie miniaturowych agentów.

- Z sierścią i wielkimi zębami.
- Poważnie, Al, właśnie tego wam potrzeba. Nikt nie będzie się wściekał z powodu straty kilku szczurków.
- I jak idzie ten wasz eksperyment?
- Prawdę mówiąc, wciąż jeszcze mamy kilka problemów. Szczury guzią się, chociaż są szkolone. Może to trema przed zadaniem. Poza tym czasu nie giną wtedy, kiedy powinny. Nie podoba im się noszenie żelastwa, więc próbują sobie wydrapać albo wygryźć, przez co robią trochę bałaganu. Ale mój pomysł jest bardzo obiecujący, nie sądzisz?
- Bardzo - przyznał Taylor. - Może jeden z nich mógłby przejąć moje obowiązki. - Alan napełnił sobie kieliszek. Zespół właśnie zaczynał grać lastępną kawalek. Taylor z przyjemnością rozejrzał się wokół. Właśnie o to w tym wszystkim chodziło: żeby napić się z przyjacielem w jakimś egzotycznym barze słuchając, jak muzycy grają krymskie pieśni miłosne.
- Dlaczego tak bardzo lubisz bary i burdele? - spytał George. - Wcale nie wyglądasz na takiego, któremu to odpowiada.

Taylor zastanawiał się przez chwilę. Pytanie było dobre.

- Ponieważ jestem negatywem - powiedział w końcu.
- Co to, do cholery, znaczy?
- To dość długa historia. Kiedyś ci ją opowiem. Teraz lepiej posłuchajmy muzyki.

73

Była to najprawdziwsza rzecz, jaką Taylor mógł o sobie powiedzieć. W college'u, do którego przez krótki okres uczęszczał w Nowej Anglii pod koniec lat pięćdziesiątych, uczniowie dzielili świat na pozytywów i negatywów. Pozytywi wierzyli we wszystko. Zawsze przychodzili na zajęcia punktualnie, pilnie studiowali, pnąc się po kolejnych szczeblach hierarchii i nosili szkolne sweterki na prawą stronę. Na seminariach bez skrępowania siadali na „miejscach dla lizusów”, jak najbliżej nauczyciela. Nie upijali się i nie zaliczali dziewczyn; ale z drugiej strony wcale nie byli pewni, czy tego chcieli. Mówiono o nich: wspaniali, młodzi ludzie. Na życie patrzyli bez poczucia humoru.

Negatywi przeciwnie; twierdzili, że nie wierzą nic. Czas spędzali głównie w świetlicy akademika, palili papierosy pod napisem głoścącym „Recre-ant in Pacem”. Czytali poezję zen i słuchali nagrań Milesa Davisa. Potrafili recytować z pamięci długie fragmenty kultowych tekstów. Nawet kiedy pilnie się uczyli, udawali, że wcale tego nie robią. Poszukiwali doświadczeń i „autentyczności”. Najbardziej obawiali się szarości codziennego życia. W pewnym sensie byli profesjonalnymi malkontentami. Gdy nauczyciel spotykał studenta, który od jakiegoś czasu spoglądał na świat tak jak James Dean, mógł go zagadnąć: „Panie Jones, chyba nie staje się pan jednym z negatywów?”.

Taylor zaliczał się właśnie do takich. Do tego stopnia, że został wydalony ze szkoły w połowie ostatniego roku. W slangu negatywów nazywało się to „wysiudany”. Oficjalnie oskarżono go o hazard, bo grał w brydża w świetlicy akademika, ale wielu innych robiło tak samo, a mimo to nie wylatywali ze szkoły. W przypadku Taylora przewinienia się nawarstwiały: jednego popołudnia podczas weekendu rodziców sikał z okna akademika; odmówił wzięcia udziału w standardowym teście osobowości i zdolności. Na tysiąc małych i większych sposobów sygnalizował swojaniechęć do szkoły i jej tradycji. W końcu uczelnia mu się odwzajemniła.

Taylor wrócił do domu z nosem na kwintę i musiał skończyć ostatni rok w rodzinnym mieście w Connecticut. Miał doskonałe stopnie i bardzo dobre wyniki z testów, ale ze względu na czarną plamę w jego życiorysie, jaką było wydalenie z college'u, nie dostał się ani do Harvardu, ani do Yale. Zamiast tego zaczął studiować na uniwersytecie w Chicago. Ojciec Taylora uznał to za hańbę. W jego pojęciu na chicagowskiej uczelni studiowali sami Żydzi. Taylorowi jednak uniwersytet się spodobał. Chicago było rajem negatywów, Chłopak znalazł kilka nowych sposobów, jak wyłazić z własnej skóry i zała-zić za skórę innym. Uwielbiał przesiadywać w bluesowych klubach południowej dzielnicy, słuchając Elmore'a Jamesa i paląc trawkę. Lubił też jeździć wzdłuż brzegów jeziora Michigan, w kierunku połyskliwych wód zatok Indiana i portu Gary. Grał w bilard z robotnikami stalowni kończącymi zmianę. Wszystko to wydawało mu się niezwykle romantyczne - wszystko poza szkołą

74

óra była parodią. Traktując to jako wyraz swojego nihilizmu i przekory, ko główny kierunek wybrał języki Bliskiego Wschodu. Uznał, że pozwoli u to uniknąć uczelni prawniczej. I rzeczywiście. Nie uniknął tylko CIA.

Taylor nigdy nie wstąpiłby do .CIA w latach innych niż sześćdziesiąte; cazał przez to, że jest jeszcze bardziej przekorny, niż się wszystkim wyda-ało. Oczywiście do tego doszły jeszcze inne rzeczy; chciał uniknąć wojska, o i wojny w Wietnamie, która nawet w tamtych czasach wydawała mu się szczególnie idiotycznym posunięciem. Wszystko było znacznie bardziej skom-likowane. Na fali powszechnego negatywizmu, który szerzył się po zabój-wie Kennedy'ego, ludzie, od których Taylor starał się uciekać przez całą tfojąmłodość, teraz przejmowali jego poglądy. Młodzi, inteligentni, nie mieli iż żadnych złudzeń. Pozytywi nie chcieli dłużej być szpiegami. Wstępowali o Korpusu Pokoju, brali udział w marszach wyzwolenicznych, przesiadywali r klubach jazzowych. Nawet ci z Yale zmieniali światopogląd. Taylor nie lógł tego znieść. Pozytywi opanowywali jego podwórko. Postanowił więc ić w przeciwną stronę. Buntownik stał się kontrbuntownikiem. Centralna Lgencja Wywiadowcza, do której zgłaszało się coraz mniej właściwych lu-zi z odpowiednich uczelni, chętnie go przyjęła. W pewnym sensie stała się wówczas rajem negatywów. Taylor szybko odkrył, że tutaj w nic nie musi /ierzyć.

Być może George zdołałby namówić Taylora do powiedzenia mu czegoś więcej, zdradzenia odrobiny tego, co składało się na jego „naturalny dar rekru-owania”, jak nazywali to koledzy po fachu. Niestety, właśnie w tym momen-ie rozległ się nad nimi grzmiący głos Omara, który podszedł do ich stolika.

- Mogę do was dołączyć, Al-an? - spytał właściciel knajpy. - Nie za-liorę wam dużo czasu. Tylko chcę się przywitać.
- Oczywiście - powiedział Taylor, nalewając wódkę do trzeciego kie-iszka.
- Co za zbieg okoliczności! - zauważył Omar.

- Jak to?
- Dziś w barze mam jeszcze jednego Amerykanina.
- Tak? Gdzie?

Omar wskazał stolik w przeciwnym krańcu sali, przy którym dwudzie-»toparoletni blondyn rozmawiał z dwoma starszymi, ciemnowłosymi mężczyznami.

- Myślałem, że to może jakiś wasz przyjaciel, co? Przychodzi tu dwa, trzy razy przez ostatnie tygodnie. Rozmawia z ludźmi z Azerbejdżanu, z Talarami. Dziś chyba z Uzbekami. Przypomina mi ciebie, tak pomyślałem.

Taylor spojrział na mężczyznę w drugim końcu sali z mieszaniną ciekawości i niepokoju.

7

óra była parodią. Traktując to jako wyraz swojego nihilizmu i przekory, ko główny kierunek wybrał języki Bliskiego Wschodu. Uznał, że pozwoli u to uniknąć uczelni prawniczej. I rzeczywiście. Nie uniknął tylko CIA.

Taylor nigdy nie wstąpiłby do CIA w latach innych niż sześćdziesiąte; cazał przez to, że jest jeszcze bardziej przekorny, niż się wszystkim wyda-ąło. Oczywiście do tego doszły jeszcze inne rzeczy; chciał uniknąć wojska, a i wojny w Wietnamie, która nawet w tamtych czasach wydawała mu się iczególnie idiotycznym posunięciem. Wszystko było znacznie bardziej skom-likowane. Na fali powszechnego negatywizmu, który szerzył się po zabój-wie Kennedy'ego, ludzie, od których Taylor starał się uciekać przez całą wojąmłodość, teraz przejmowali jego poglądy. Młodzi, inteligentni, nie mieli iż żadnych złudzeń. Pozytywi nie chcieli dłużej być szpiegami. Wstępowali o Korpusu Pokoju, brali udział w marszach wyzwolenicznych, przesiadywali ' klubach jazzowych. Nawet ci z Yale zmieniali światopogląd. Taylor nie JÓgł tego znieść. Pozytywi opanowywali jego podwórko. Postanowił więc ić w przeciwną stronę. Buntownik stał się kontrbuntownikiem. Centralna agencja Wywiadowcza, do której zgłaszało się coraz mniej właściwych lu-zi z odpowiednich uczelni, chętnie go przyjęła. W pewnym sensie stała się 'ówczas rajem negatywów. Taylor szybko odkrył, że tutaj w nic nie musi wierzyć.

Być może George zdołałby namówić Taylora do powiedzenia mu czegoś więcej, zdradzenia odrobiny tego, co składało się na jego „naturalny dar rekru-awania", jak nazywali to koledzy po fachu. Niestety, właśnie w tym momen-ie rozległ się nad nimi grzmiący głos Omara, który podszedł do ich stolika.

Mogę do was dołączyć, Al-an? - spytał właściciel knajpy - Nie za-»iorę wam dużo czasu. Tylko chcę się przywitać.

- Oczywiście - powiedział Taylor, nalewając wódkę do trzeciego kie-iszka.
- Co za zbieg okoliczności! - zauważył Omar.
- Jak to?
- Dziś w barze mam jeszcze jednego Amerykanina.
- Tak? Gdzie?

Omar wskazał stolik w przeciwnym krańcu sali, przy którym dwudzie-itoparoletni blondyn rozmawiał z dwoma starszymi, ciemnowłosymi męż-:yznami.

- Myślałem, że to może jakiś wasz przyjaciel, co? Przychodzi tu dwa, izy razy przez ostatnie tygodnie. Rozmawia z ludźmi z Azerbejdżanu, z Talarami. Dziś chyba z Uzbekami. Przypomina mi ciebie, tak pomyślałem.

Taylor spojrział na mężczyznę w drugim końcu sali z mieszaniną ciekawości i niepokoju.

7

óra była parodią. Traktując to jako wyraz swojego nihilizmu i przekory, ko główny kierunek wybrał języki Bliskiego Wschodu. Uznał, że pozwoli iu to uniknąć uczelni prawniczej. I rzeczywiście. Nie uniknął tylko CIA.

Taylor nigdy nie wstąpiłby do .CIA w latach innych niż sześćdziesiąte; cazał przez to, że jest jeszcze bardziej przekorny, niż się wszystkim wydarło. Oczywiście do tego doszły jeszcze inne rzeczy; chciał uniknąć wojska, o i wojny w Wietnamie, która nawet w tamtych czasach wydawała mu się ?czególnie idiotycznym posunięciem. Wszystko było znacznie bardziej skom-likowane. Na fali powszechnego negatywizmu, który szerzył się po zabój-wie Kennedy'ego, ludzie, od których Taylor starał się uciekać przez całą ivojąmłodość, teraz przejmowali jego poglądy. Młodzi, inteligentni, nie mieli iż żadnych złudzeń. Pozytywi nie chcieli dłużej być szpiegami. Wstępowali o Korpusu Pokoju, brali udział w marszach wyzwoleńczych, przesiadywali r klubach jazzowych. Nawet ci z Yale zmieniali światopogląd. Taylor nie lógł tego znieść. Pozytywi opanowywali jego podwórko. Postanowił więc ić w przeciwną stronę. Buntownik stał się kontrbuntownikiem. Centralna Lgencja Wywiadowcza, do której zgłaszało się coraz mniej właściwych lu-zi z odpowiednich uczelni, chętnie go przyjęła. W pewnym sensie stała się wówczas rajem negatywów. Taylor szybko odkrył, że tutaj w nic nie musi wierzyć.

Być może George zdołałby namówić Taylora do powiedzenia mu czegoś więcej, zdradzenia odrobiny tego, co składało się na jego „naturalny dar rekru-owania", jak nazywali to koledzy po fachu. Niestety, właśnie w tym momen-ie rozległ się nad nimi grzmiący głos Omara, który podszedł do ich stolika.

- Mogę do was dołączyć, Al-an? - spytał właściciel knajpy. - Nie za->iorę wam dużo czasu. Tylko chcę się przywitać.

- Oczywiście - powiedział Taylor, nalewając wódkę do trzeciego kie-iszka.

- Co za zbieg okoliczności! - zauważył Omar.

- Jak to?

- Dziś w barze mam jeszcze jednego Amerykanina.

- Tak? Gdzie?

Omar wskazał stolik w przeciwnym krańcu sali, przy którym dwudzie-itoparoletni blondyn rozmawiał z dwoma starszymi, ciemnowłosymi męż-;yznami.

- Myślałem, że to może jakiś wasz przyjaciel, co? Przychodzi tu dwa, trzy razy przez ostatnie tygodnie. Rozmawia z ludźmi z Azerbejdżanu, z Ta-arami. Dziś chyba z Uzbekami. Przypomina mi ciebie, tak pomyślałem.

Taylor spojrzął na mężczyznę w drugim końcu sali z mieszaniną ciekawości i niepokoju.

7

:óra była parodią. Traktując to jako wyraz swojego nihilizmu i przekory, ko główny kierunek wybrał języki Bliskiego Wschodu. Uznał, że pozwoli mu to uniknąć uczelni prawniczej. I rzeczywiście. Nie uniknął tylko CIA.

Taylor nigdy nie wstąpiłby do CIA w latach innych niż sześćdziesiąte; czuł przez to, że jest jeszcze bardziej przekorny, niż się wszystkim wydało. Oczywiście do tego doszły jeszcze inne rzeczy; chciał uniknąć wojska, o i wojny w Wietnamie, która nawet w tamtych czasach wydawała mu się iczegołnie idiotycznym posunięciem. Wszystko było znacznie bardziej skom-ikowane. Na fali powszechnego negatywizmu, który szerzył się po zabój-wie Kennedy'ego, ludzie, od których Taylor starał się uciekać przez całą yojamłodość, teraz przejmowali jego poglądy. Młodzi, inteligentni, nie mieli iż żadnych złudzeń. Pozytywi nie chcieli dłużej być szpiegami. Wstępowali o Korpusu Pokoju, brali udział w marszach wyzwoleniczych, przesiadywali klubach jazzowych. Nawet ci z Yale zmieniali światopogląd. Taylor nie łógł tego znieść. Pozytywi opanowywali jego podwórko. Postanowił więc ic w przeciwną stronę. Buntownik stał się kontrbuntownikiem. Centralna .gencja Wywiadowcza, do której zgłaszało się coraz mniej właściwych lu-zi z odpowiednich uczelni, chętnie go przyjęła. W pewnym sensie stała się 'ówczas rajem negatywów. Taylor szybko odkrył, że tutaj w nic nie musi 'ierzyć.

Być może George zdołałby namówić Taylora do powiedzenia mu czegoś rięcej, zdradzenia odrobiny tego, co składało się na jego „naturalny dar rekru-)wania", jak nazywali to koledzy po fachu. Niestety, właśnie w tym momen-ie rozległ się nad nimi grzmiący głos Omara, który podszedł do ich stolika.

- Mogę do was dołączyć, Al-an? - spytał właściciel knajpy. - Nie za-iorę wam dużo czasu. Tylko chcę się przywitać.

- Oczywiście - powiedział Taylor, nalewając wódkę do trzeciego kie-szka.

- Co za zbieg okoliczności! - zauważył Omar.

- Jak to?

- Dziś w barze mam jeszcze jednego Amerykanina.

- Tak? Gdzie?

Omar wskazał stolik w przeciwnym krańcu sali, przy którym dwudzie-itoparoletni blondyn rozmawiał z dwoma starszymi, ciemnowłosymi męż-;yznami.

- Myślałem, że to może jakiś wasz przyjaciel, co? Przychodzi tu dwa, trzy razy przez ostatnie tygodnie. Rozmawia z ludźmi z Azerbejdżanu, z Ta-arami. Dziś chyba z Uzbekami. Przypomina mi ciebie, tak pomyślałem.

Taylor spojrzął na mężczyznę w drugim końcu sali z mieszaniną ciekawości i niepokoju.

- Nie sądzę, abym znał tego pana.
- Szkoda - stwierdził Omar, opróżniając kieliszek. - Może Omar się myli.
- Omar nigdy się nie myli - powiedział Taylor.

Przez kilka minut rozmawiali o wspaniałościach starego kraju i perfidii Stalina, bo do tego właśnie ograniczały się tematy interesujące Omara. Słuchając tego, co mówił, można było pomyśleć, że stary Józef Dżugaszwili wciąż rządzi Związkiem Radzieckim.

W końcu kelner odwołał Omara do kuchni, bo wybuchła kłótnia między kurdyjskim pomocnikiem i sudańskim pomywaczem. Omar przeprosił ich i odszedł. Gdy znikł, oczy Taylora zwróciły się na Amerykanina, którego wcześniej wskazał mu właściciel baru.

- Muszę iść do toalety - powiedział do George'a.

Upił jeszcze łyk wódki, wstał z krzesła i ruszył w kierunku łazienki. Wybrał drogę, która prowadziła w pobliżu tajemniczego mężczyzny. Nieznajomy był wysoki i opalony. Miał jasne włosy i ciało sportowca. Mijając jego stolik, Taylor usłyszał, że mężczyzna mówi po turecku - nie idealnie, ale całkiem niezłe. Rozmawiając, gestykulował żywo. Przypominał Taylorowi jednego z tych młodych, gładkich komentatorów telewizyjnych, którzy produkują się w niedzielne poranki przed meczem piłki nożnej. Po wyjściu z toalety Taylor wrócił do swojego stolika jeszcze bardziej zaintrygowany mówiącym po turecku Amerykaninem. Musiał dowiedzieć się o nim więcej, ak nie chciał sam się w to mieszać.

- Georgie - Taylor położył dłoń na ramieniu przyjaciela. - Przeprowadź dla mnie mały rekonesans, co? Dowiedz się, kim jest ten facet.
- Akimjamambyć?
- Biznesmenem pracującym dla amerykańskiej firmy w Atenach. - George skinął głową i ruszył w kierunku Amerykanina, uśmiechając się jak fa ceł, który właśnie wyruszył na nocne podboje w mieście.
- Hej, kretynie! - zawołał George, zbliżając się do stolika. Blondyn pod skoczył na krzesło i gwałtownie się odwrócił.
- Kogo nazywasz kretynem?

George uśmiechnął się szeroko.

- Przepraszam, kolego. Chciałem się tylko przekonać, czy mam do czy nienia z ziomkiem z Ameryki.
- Z Ameryki Północnej - sprecyzował blondyn.

- Jak to?
- Jestem Kanadyjczykiem. „
- Nie żartuj. A to dopiero!
- O co ci, do diabła, chodzi?
- Spokojnie. Nazywam się Henry. Właśnie przyjechałem z Aten. - Georg wyciągnął tłustą dłoń do uścisku czekając, aż młodszy mężczyzna poda mu swoją i przedstawi się. Nie zrobił tego.

76

- Ty też przybyłeś tu pozwiedzać? - George mówił z wymuszoną uprzejmością charakterystyczną dla Amerykanów za granicą.
- Ja tu pracuję.
- Żartujesz. A czym się zajmujesz? Ja jestem handlowcem. Sprzęt elektryczny z Korei.
- Robię filmy - odparł młody mężczyzna, mając nadzieję, że George końcu sobie pójdzie. Skinął przepaszająco w kierunku swoich uzbeckich gości.
- Tak? A jakie? - George pochylił się nad stolikiem.
- Dokumentalne. Teraz pracuję nad filmem o radzieckich uchodźcach Turcji.
- Hej. To niezłe. A kim są ci faceci?
- To jedni z bohaterów mojego filmu. Są z Uzbekistanu.
- Czołem, panowie - powiedział George, zwracając się do Uzbeków. - [ogę postawić wam drinka? - Nieznajomi uśmiechnęli się i pokiwali głowami nie rozumiejąc nic z tego, co powiedział.
- Nie - uciął filmowiec. - Zaraz muszę wyjść. Właśnie kończyliśmy rozprawę, a ty nam przeszkodziłeś.
- Och, przepraszam. No to zostawiam was samych. Masz jakąś wizytówkę?

Kanadyjczyk niechętnie wręczył mu bilecik w nadziei, że w ten sposób zbędzie się natręta. Według wizytówki nazywał się Jack Rawls i pracował w koncernie o nazwie „Filmworks” z adresem w Vancouver.

- Ja pochodzę z Ohio - powiedział George.

Kanadyjczyk przerwał mu.

- Miło mi było, kretynie - oznajmił. Uśmiechnął się blado i odwrócił do Uzbeków.

George wrócił do stolika, gdzie Taylor kończył już butelkę wódki.

- To Kanadyjczyk. Nazywa się Jack Rawls. A przynajmniej tak się przedstawia. Twierdzi, że jest filmowcem. - George podał Taylorowi wizytówkę firmy Filmworks. Taylor studiował ją przez chwilę.

- Bzdura - powiedział w końcu. - Kto słyszał o kanadyjskich filmow-ach kręcących w Stambule?
To śmieszne.

- Zgadzam się.

- Jaki on jest?

- Dziwny. Mówi śmiesznie. Pewnie tak jak Kanadyjczycy.

- Z branży?

- Może - George zawahał się. - Trochę na to wygląda, nie? Co on tutaj f ogóle robi?

- Nie mam pojęcia. Ale jeżeli ktoś z naszych próbuje wprowadzić tajne-;o agenta w mój rewir,
to chciałbym o tym wiedzieć. Mam już dość przepy-hanek.

77

_■/

- Uspokój się, Al.

- Pieprz się. - Taylor był pijany i zły. Zaczynał szukać kłopotów. Podobnie czuł się dwadzieścia
lat wcześniej, kiedy w pewne sobotnie popołuc nie stanął w oknie swojego pokoju w akademiku,
rozpiął rozporek i wysikał się przez okno. W drugim końcu sali Rawls wstał właśnie od stolika i
podszedł do baru, aby uregulować rachunek.

Oczy Taylora rozbłyły.

- Słuchaj, Georgie, może byśmy tak sprawdzili, gdzie mieszka pan Rawls, kiedy nie przebywa w
Vancouver.

- Jak?

- Pójdziemy za nim.

- Zauważy nas.

- Wcale nie. Mój kierowca jest specem.

- Nie teraz - poprosił George. Światła przygasaly. Za chwilę Sonia miała zaśpiewać ostatni
kawałek tego wieczoru. Zespół zaczął dostrajać instrumenty.

- Właśnie, że teraz - powiedział Taylor. - Daj spokój. To ważne. To dla jego dobra. On pewnie
nie zna okolicy.

Taylor obejrzał się przez ramię. Rawls podchodził właśnie do drzwi.

- No, Georgie, do cholery! Obiecuję, że ci to wynagrodzę. Przecież przed stawiłem cię Soni,
prawda?

Grubas jęknął na samo wspomnienie jej imienia.

- Ruszamy stąd!

George był żołnierzem. Posłusznie wziął swoją płócienną torbę i ruszył w ślad za Taylorem, który lekko chwiał się od nadmiaru alkoholu. Już przy drzwiach dojrzał piosenkarkę w jej scenicznym przebraniu. Wyglądała jeszcze piękniej niż przedtem.

- Wróć tutaj - powiedziała, przesyłając mu całusa.

Rawls wyszedł już na ulicę. Wezwał taksówkę. Taylor zaczekał w mro

ku, dopóki taksówkarz nie odjechał, po czym wezwał swojego kierowcę i kazał mu jechać za nimi w bezpiecznej odległości.

Ta podróż potwierdziła podejrzenia Taylora. Rawls przejechał przez mos Galata do Pery i kazał taksówkarzowi wysadzić się przy dojeździe do domów pasmówki, która biegła wzdłuż brzegów Złotego Rogu. Potem przeszedł przez wysepkę dzielącą oba pasma drogi i złapał drugą taksówkę - sedan z wgniecionymi drzwiami - jadącą w przeciwnym kierunku. Taylor uważnie obserwował to małe uliczne przedstawienie. Rawls raczej go nie zauważył, ale gdyby nadal jechali za nim tym samym wozem, w końcu by ich spostrzegł.

- Szpieg na sto procent! - stwierdził George. - Tego samego manewru nauczyli mnie na szkoleniu.

- Zastrana piątka z plusem.

78

- No to teraz jesteśmy załatwieni.

- Wcale nie.

- Jak to nie?

- Mam numer boczny tej drugiej taksówki.

Rawls prawie na pewno kierował się z powrotem przez most Atatiirka do swojego miasta. Taylor poprosił kierowcę, aby poczekał kilka minut, a potem dojechał na postój taksówek przy placu Sultanhamet, gdzie o tej porze nocy jękali się wszyscy taksówkarze. Kiedy tam dojechali, Taylor zapisał i zapalił ętany numer boczny na kawałku papieru i dał go kierowcy razem z pięćdziesięciu tysiącami lirów prosząc, aby trochę powęszył. Poszukiwania nie trwały długo. Właśnie w tej samej chwili żółty sedan z wgniecionymi drzwiami ustawił się na końcu kolejki taksówek.

Wystarczyło tysiąc lirów, aby zachęcić taksówkarza do wyjawienia, że rzekomo zawiózł wysokiego blondyna na adres przy ulicy Jeniceriler. Kiedy w kilka minut później tam dotarli, Taylor rozczarowany stwierdził, że niemal wrócili do punktu wyjścia - dzielnicy imigrantów w pobliżu uniwersytetu.

- Ten facet zaczyna mnie wkurzać - stwierdził ponuro. Kazał kierowcy przejechać jeszcze dwie przecznice i zatrzymać się. Razem z George'em powoli wrócili pod dom Rawlsa. W budynku paliło się tylko jedno światło, mieszkanie na trzecim piętrze po prawej stronie. Taylor uznał, że właśnie ję

lokal zajmował Rawls. Wiedzieli już więc, gdzie blondyn mieszka, ale co tego? Amerykanin stał w mroku i zastanawiał się, co dalej robić, kiedy świa-

0 na trzecim piętrze zgasło.

- Dobranocka - powiedział George.

Rawls jednak wcale nie zamierzał jeszcze kłaść się spać. Kilka sekund óżniej wyszedł frontowymi drzwiami i szybko rozglądając się wokół, ru-jył w stronę ulicy Jeniceriler. Dokąd on się, u diabła, wybierał? Co robił r Stambule?

- Co teraz? - spytał George. - Idziemy za nim?

Taylor wiedział, że to nie byłoby właściwe posunięcie. Na jego twarzy agościł dziwny wyraz. Uśmiechnął się tak szeroko, że zęby błysnęły mu r świetle księżyca. Uświadomił sobie, że po raz drugi w ciągu czterdziestu śmiu godzin przypadkowo natrafił na coś ważnego. Szansę, która wymaga-

1 przebiegłości i szybkiej reakcji.

- Olewamy go - stwierdził. Dla niego był to termin zawodowy. George kinął głową. Nie przyszło mu nawet do głowy, aby kwestionować decyzję aylora. Myślenie zostawiał prawnikom i kongresmanom.

- Masz swoje narzędzia?

George przytaknął. Oczywiście, że je miał. Ciągnął je wszędzie ze sobą rzez całą noc, od tamtego burdelu aż tutaj.

- Co ci jeszcze zostało?

79

- Wszystko.

- Mikrofon?

- No.

- Magnetofon?

- No.

- W takim razie odrutujmy gnojka, niech ma nauczka.

- Oszalałeś?

- Absolutnie tak.

Przeszli przez ulicę. Drzwi frontowe nie były zamknięte. Taylor uznał to za dodatkową zachętę. Sprawdził, czy w pobliżu nie ma dozorczy, który mógł im narobić kłopotów, ale w mrocznym i zakurzoneym korytarzu nie dostrzegł nikogo. Ostrożnie ruszył pierwszy na górę, na trzecie piętro i stanął na czatach, podczas gdy George po raz kolejny uruchomił orkiestrę swoich elektronicznych

gadżetów. Założenie podsłuchu w pokoju okazało się banalnie proste. Wywiercił w ścianie tunel, do którego wprowadził specjalny mikrofon mogący odbierać dźwięki z drugiej strony ściany. Miał on wbudowany przekaźnik. Kiedy George zaszpachlował otwór, urzędnika nie było widać z żadnej strony. Pozostało jeszcze tylko znaleźć odpowiednie miejsce na odbiornik i magnetofon. George umieścił go pod deskami podłogowymi na schodach prowadzących na dach budynku.

- To cacuszko - stwierdził. - Powinien działać przez miesiąc, chyba że gość ma zwyczaj gadać przez sen.

- Wspaniale. - Taylor zdążył już wytrzeźwieć. Przyjemność, jaką czerpał z tej drugiej, całkowicie nieoficjalnej akcji, dodała mu nowej energii. Oba Amerykanie wrócili do samochodu i obudzili nieszczęsnego kierowcę, który zdążył już mocno zasnąć. Taylor kazał mu zawieźć się z powrotem do Oma ra. Dotarli tam dopiero o piątej. Sonia już dawno wyszła, a jedyną osobą którą zastali w barze, był nocny stróż. Alan zaproponował koledze inne rozrywki. Znał pewną call-girl z Cihangir. Lubiła pracować rankami. Wspomniał też o zawsze otwartym klubie po stronie azjatyckiej. George nie chciał jednak słyszeć o nikim prócz Soni.

Poza tym przyznał, że jest już trochę zmęczony.

George wrócił do Aten następnego dnia. Taylor tego nie planował. Kazi przyjacielowi spędzić jeden dzień w łóżku, marząc o Soni, z którą na pewno na sto procent, miał mieć randkę tego wieczoru. Niestety, już o jedenaste musiał zadzwonić do technika i przekazać mu, że szef bazy w Atenach nie rzeka na nieusprawiedliwioną nieobecność George'a i chce natychmiast w dzieć go z powrotem u siebie. Nie wspominał, że w tej samej sprawie dzwonił do niego Timmons z Ankary i że w rozmowie powołał się na opinię kwi tery głównej.

80

Najwyraźniej nie zabezpieczył swojego tyłka wystarczająco dobrze, aby odwołać agencyjnych biurokratów. Nie chcąc pogarszać sytuacji, poradził George'owi, by nikomu nie wspominał o małym wyskoku z ostatniej nocy. Łoże uda się spotkanie z panem Rawlsem zatrzymać tylko dla siebie. George wyjaśnił Taylorowi, jak ma wyjąć taśmę z magnetofonu zainstalowanego przy mieszkaniu i delikatnie przypomniał, że musi swoje zapasy uzupełnić mikrofon i magnetofon, które wykorzystał poprzedniego wieczoru.

- Nie ma sprawy - zapewnił go Taylor. Sam był o tym przekonany. Niewielka wpadka z nieautoryzowaną nieobecnością George'a i tak nie mogła wać dłużej niż letnia ulewa. Na moment naruszył zasady zarządzania według określonych dyrektyw, ale wiedział, że wszyscy będą zadowoleni, kiedy zaczną się odczyty z podsłuchu założonego w fotelu, który miał trafić do izraelskiego konsulatu. Może nawet doczekają się bajeczek o Bułgarach szmuglowaniu broni. Być może ktoś nawet za to na awans.

Dsmański fotel, jak się okazało, wcale nie był przeznaczony na wyposażenie biura Kunajewa. Trzy dni leżał w piwnicy radzieckiego konsula-u, skąd transmitował odgłosy gryzoni i karaluchów. Potem przeniesiono go do rezydencji Kunajewa w Bebek na przedmieściach Stambułu, niedaleko ujścia Bosfor. Taylor przyjął tę wiadomość ze stoickim spokojem. Opera-ja nie poszła jeszcze całkiem na marne. Kunajew sprawiał wrażenie interesującego człowieka. Być może miał romans z pokojówką. Albo jeszcze le-iej, z szoferem.

Niestety, jak się okazało, radziecki dyplomata nie był aż tak interesujący. Powadził całkiem zwyczajne i raczej nienaganne życie. Lubił napić się whisky, czasami krzyczał na żonę, puszczał płyty Benny'ego Goodmana na starym adapterze i zabawiał kilku dyplomatów z państw wschodniego bloku, którzy z pewnością zaliczali się do najnudniej szych osób w Stambule. Jego żona, Litwinka, słuchała lepszej niż on muzyki, ale poza tym jej życie wydawało się równie nienaganne jak życie jej męża. Była kobietą dość zajęta, często wychodziła z domu na zakupy albo załatwiała jakieś sprawy, ale nic nie wskazywało na to, żeby miała kochanka.

Taylor uznał, że problemem Kunajewa jest jego towarzystwo. W pierwszym tygodniu od założenia podsłuchu dyplomata wydał w domu dwa oficjalne przyjęcia. Jedno na cześć delegacji metalurgów z Ukrainy, którzy przyjechali na konferencję organizowaną przez politechnikę w Stambule. Trans-

6-Siro 81

krypcja rozmów zajęła wiele stron. Przeważnie przypominały one negocjacje handlowe. Rozmawiano o najnowszych międzynarodowych trendach w przemyśle metalurgicznym. W końcu jeden z Ukraińców upił się i obraził innego członka grupy, przez co impreza szybko się skończyła. Drugim dużym wydarzeniem tygodnia był obiad wydany na cześć jugosłowiańskiego konsula generalnego i jego żony. Kunajew skorzystał ze swojej wersji hierarchii ważności. Stawili się przedstawiciele Niemiec Wschodnich, Rumunii, południowego Jemenu. Radziecki dyplomata z całych sił starał się wyciągnąć informacje od jemeńskiego konsula, ale oczywiste było, że ten biedak nie miał najmniejszego pojęcia, co działo się w Adenie. Taylor współczuł Kunajewowi. Praca Rosjanina wydała mu się jeszcze nudniejsza od jego własnej.

Po dwóch tygodniach Amerykanin niechętnie przyznał, że operacja założenia podsłuchu u Kunajewa nie przyniosła spodziewanych rezultatów i nie należało oczekiwać, iż odtworzy ona historię zimnej wojny. Prawdę mówiąc, pomimo wcześniejszych zapewnień Taylora, wątpiono teraz, czy Kunajew w ogóle miał do czynienia ze służbami wywiadowczymi.

Turkom to wcale nie przeszkadzało. Taylor ceremonialnie wręczył Seri-fowi Osmanowi cały materiał z dwóch pierwszych tygodni. Serif był zadowolony. Odwołał się nawet do przyjacielskich stosunków pomiędzy tureckimi służbami MIT a CIA i obiecał, że przestudiuje wszystko z największą uwagą. Kwatera główna także zareagowała spokojnie. Timmons wyraził nawet swój zachwyt. Podobnie jego szefowie i szefowie szefów. Studiowanie transkrypcji przynajmniej zajęło im trochę wolnego czasu. Uznano je za „produkt”. Nie miało znaczenia, że był to produkt bezwartościowy, ponieważ nie przeczytał ich nikt dysponujący zdrowym rozsądkiem - to znaczy nikt, kto odważyłby się zapytać: „Co nas obchodzi ukraińska metalurgia?”

Nadali Kunajewowi kryptonim CKJACK i zaczęli zadawać najróżniejsze pytania na jego temat. Czy uprawia hazard? Ile szklanek wody wypija dziennie? Ile ma dzieci i gdzie się uczą? Czy ma jakieś szczególne upodobania seksualne? Im więcej pytań zadawano, tym więcej papieru zapisywano, co wpływało na podniesienie statusu operacji. Timmons zasugerował, żeby jeden z jego ludzi w Ankarze, ktoś, kto płynnie mówił po rosyjsku, przejął sprawę i Taylor chętnie na to przystał. Cały ten interes zaczął go już przyprawiać o zażenowanie.

Tylko jedno zwróciło uwagę Taylora w materiałach o Kunajewie: jego żona bardzo interesowała się islamem. Spędzała długie godziny na słuchaniu taśm z nagraniami przypominającymi kazania w

tureckim dialekcie, niezrozumiałym dla Alana. Często też wspominała o tym w domu. Kunajew, który w połowie był Kazachem, zupełnie się tym nie interesował. Taylor początkowo sądził, że kobieta starała się po prostu zaimponować mężowi, próbując

82

znać jego religię i zostać przykładną żoną według tradycji Azji Środko-j. Ale nie chodziło wyłącznie o to. Pewnego dnia pani Kunajew włożyła istę na głowę i poszła na spotkanie z miejscowym mułłą który podobno yjaźnił się z ambasadorem Iranu. Innym razem udała się na wykład na nat rytuałów i obrzędów bractwa sufi, znanych także jako derwisze, orga-owane przez Islamskie Towarzystwo Literackie w pałacu Yildiz.

Taylor starał się czytać raport agenta z poważną miną. Dowiedział się, że nieli wirujący derwisze, wyjący derwisze, czekający derwisze, łkający rwisze, zawodzący derwisze. Jeden z zakonów derwiszów nakazał swoim emym powtarzać imię Allaha siedemdziesiąt osiem tysięcy pięćset osiem-iesiąt sześć razy, aby mogli oni osiągnąć oświecenie. Zamiast tego mogli yć słowa wahid wyrażającego jedyność Boga, które należało wypowiadać iewięćdziesiąt trzy tysiące czterysta dwadzieścia razy. Bądź też słowa aziz, naczającego wielkość Boga, które powtarzano siedemdziesiąt cztery tysią-sześćset czterdzieści cztery razy. Prócz tych niezwykłości, wykładowca yjaśnił też jeszcze jeden interesujący aspekt bractw sufi. Tworzyły one nie-działny łańcuch ciągnący się od Turcji na wschód przez całą Azję Środko-ą. Z tego powodu władze radzieckie od lat dwudziestych bez powodzenia iłowały je zniszczyć. Według raportu, przez cały czas trwania tego długie-) wywodu żona konsula radzieckiego pilnie robiła notatki.

Niezwykła kobieta, podsumował ją Taylor. Silwana Kunajewa miała jesz-;e jeden dziwny zwyczaj. Często znikwała. Tureccy obserwatorzy wchodzili i nią do zatłoczonego sklepu albo szli chodnikiem, na którym w godzinach czytu aż roilo się od przechodniów, i nagle tracili ją z oczu. Nie robiła nic Kłejrzanego. W ogóle nic nie robiła. Po prostu nagle ją gubili.

Potem, pewnego wiosennego dnia, wszystko się skończyło. Do rezyden-i Kunajewa przyjechali radzieccy robotnicy i wsadzili osmański fotel do ewnianej skrzyni. Dźwięk wbijania gwoździ niemal ogłuszył biednych pod-uchujących techników. Skrzynię zabrano z powrotem do konsulatu, gdzie ozostawiono ją na wiele dni. Potem załadowano ją na ciężarówkę ambasa-y, zabrano na lotnisko i umieszczono na pokładzie radzieckiego samolotu.

Taylor najpierw obawiał się najgorszego: odkryli podstuch i teraz wysy-iją fotel do centrum w Moskwie, żeby dokładniej go zbadać. Niesłusznie się ał. Mały wywiad na lotnisku pozwolił ustalić, że fotela wcale nie zabierano o Moskwy, tylko do Ałma Aty. Sam Kunajew osobiście go odstawił. Dys-retne wypytywanie zaprzyjaźnionych dyplomatów ujawniło, że radziecki onsul generalny wracał do rodzinnej republiki na krótki urlop. Pochwalił ię nawet hinduskiemu dyplomacie, że w domu ma się spotkać ze swoim uzynem, pierwszym sekretarzem partii Kazachstanu. Fotel, jak zrozumiał aylor, miał być podarunkiem - rodzajem bardzo wyszukanej łapówki. Ame-

rykanin poczuł nawet coś na kształt szacunku dla Kunajewa. Skorumpowany mały człowieczek próbował pocałować w tyłek swojego politycznego patrona Taylor wysłał do Stanów szczegółową depeszę streszczającą rozwój sytuacji, ale w centrali wcale nie uznali jej za zabawną. Kontynuowanie obserwacji w Afma Acie było praktycznie niemożliwe. Operację uznano za skończoną. Transkrypcje CKJACK już nie dawały zarobić analitykom i planistom „Produkt” zniknął z półek; sumy dla wywiadu musiały zostać pomniejszone Wszystko to traktowano bardzo poważnie. Jedyną osobą w centrali, szczerą zadowoloną z takiego rozwoju sytuacji, był Edward Stone. Regularny czytelnik raportów oznaczonych CKJACK, Stone, miał wrażenie, że kolejny fragment układanki trafił na swoje miejsce.

III

SDROTTEN Londyn/Stambuł

luty - marzec 1979

A nna Bames przybyła do Londynu w dniu, w którym ajatollah Chomeini

powrócił do Teheranu. W agencji panowała ogólna panika. Wszystkie większe bazy w Europie postawiono w stan alarmu. Miały szukać ludzi, któ-zy mogli cokolwiek zdziałać i pomogliby odbudować kontakty z nowym re-imem. Otwierano akta starych programów, dawniej odrzucone jako mało nteresujące albo nieefektywne. Wykorzystywano wszelkie możliwości i kon-akty agencji - dzikookich kurdyjskich nacjonalistów, chciwych na pienią-ize irańskich dziennikarzy, francuskich lewicowców - nikt nie był zbyt dziwaczny teraz, gdy agencja znalazła się w kłopotach.

Co to miało wspólnego z młodą ciemnowłosą Amerykanką, która przy-eciała lotem numer sto sześć linii Pan American z Dulles? Absolutnie nic. >rzez całą drogę zatopiona była w lekturze „Institutional Investor”, a po przytyciu na Heathrow kupiła najnowszy numer „Euromoney”. Pewnie pracowa-a w bankowości. Młoda kobieta u progu kariery. W tym roku wszędzie moż-ia było trafić na podobne kobiety-prawników, kobiety-bankierów świeżo po Oksfordzie, Yale oraz Ecole Nationale d'Administration, czekające w kolejce na swoje miejsce w globalnym pociągu z pieniędzmi.

Spółka Halcyon miała swoje biuro przy jednym z tych licznych placów w pobliżu Holbom Circus, których nazwy tak łatwo wylatywały z pamięci. Pierwszego dnia Anna przysła do pracy ubrana w oficjalny kostium w paski, lekko umalowana, słowem - kobieta biznesu. Cały ranek spędziła na porządkowaniu akt dla pani Sanchez, głównej sekretarki, która była jedyną osobą przychodzącą do biura przed jedenastą.

87

- To pani jest PNS, tak? - spytała pani Sanchez.
- Słucham?
- To znaczy przeniesiona na stałe, a może tylko na jakiś czas?
- Prawdą mówiąc, to moja pierwsza praca - przyznała Anna.

Pani Sanchez przewróciła oczami, jakby chciała powiedzieć: właśnie tego

się domyślałam. Zaprowadziła Annę do jej gabinetu, dała klucz do damskiej toalety, pokazała, gdzie trzymają spinacze i ołówki, wręczyła kilka formularzy depesz i w ogóle starała się robić wszystko tak, aby Anna poczuła się jak idiotka. Najwyraźniej pani Sanchez nie czuła się zbyt pewnie wobec kobiety--oficera, wkraczającej na jej podwórko. W końcu przybyli pozostali pracownicy i zgotowali Annie przynajmniej namiastkę prawdziwego powitania.

Spółką Halcyon zarządzał Dennis Rigg, mężczyzna po pięćdziesiątce, dość przystojny, z dowcipnym błyskiem w oku. Pracował jako tajny agent przez ponad dwadzieścia lat i widać było po nim, że wszystkie te lata ukrywania się i niepokojów całkowicie pochłonęły jego osobowość, pozostawiając tylko wesołkowatą skorupę. Dwaj pozostali wspólnicy spółki także pracowali dla agencji - obaj nie przekroczyli jeszcze trzydziestki i starali się uchodzić za tych z pierwszej ligi, choć tak naprawdę kończyli stanowe uniwersytety na środkowym wschodzie. Pani Sanchez oraz inne sekretarki także pracowały dla CIA.

Jedyną osobą w ogóle nie związaną z agencją był emerytowany woj sko-wy, admirał Hawes albo Dawes - Anna nie usłyszała dokładnie, ponieważ admirał połykał sylaby. Oficjalnie zajmował stanowisko prezesa firmy, który miał robić dobre wrażenie na gościach i potencjalnych klientach. Admirał zwykle robił sobie bardzo długie przerwy na lunch. Czasem rozciągały się one na cały dzień.

Spółka Halcyon stanowiła gniazdo tajnych agentów: niewielkiej grupy oficerów wywiadu, działających pod nieoficjalną przykrywką. Był to starannie dopracowany układ. Tajni agenci z Halcyon podlegali szefowi londyńskiej bazy, podobnie jak oficerowie ambasady, z tą różnicą, że ci pierwsi spotykali się ze swoimi informatorami w tak zwanych bezpiecznych domach. Mieli taką samą przewagę nad tymi, którzy działali „od wewnątrz”, jak pozostali tajni agenci. Mogli wynajdywać kandydatów i pracować nad nim bez konieczności ujawniania interesów Stanów Zjednoczonych. Mieli dostęp do ludzi i miejsc, które dla resztek personelu ambasady pozostawały nieosiągalne. Bez przeszkód spotykali się z innymi agentami. Dzięki temu ryzyko wpadki było znacznie mniejsze. Oczywiście pod warunkiem, że nie dali się złapać.

Halcyon była produktem nieustającej walki agencji o bezpieczną przykrywkę. Wszyscy wiedzieli, że praca w ambasadzie - wszystko jedno, czy na

88

stanowisku politycznym, czy też handlowym - nie dawała właściwie żadnego zabezpieczenia. Wszystko było jasne jak na dłoni. Jeżeli Rosjanie przeglądając listę dyplomatów nie potrafili sami domyślić się, który z nich szpieguje, mieli do pomocy żony członków Departamentu Stanu, które bez końca nażekały, że ci z CIA lepiej zarabiają, mają większe mieszkania i większe Hiity na wydatki reprezentacyjne, częściej także podróżują. Departament stanu starał się jakoś temu zaradzić opracowując coś, co nazwano „programem integracji”. Oficerowie CIA wysyłani za żelazną kurtynę szkolili się trenowali razem ze zwykłymi oficerami służb zagranicznych - rzekomo nie dało się ich odróżnić. Jednak w chwili, gdy trafiali do ambasad, zaczynali tworzyć kliki i zdradzali w ten sposób zasady gry.

I By jakoś temu zaradzić, wysyłano więcej tajnych agentów. Takie rozwiązanie zaleciły grupy operacyjne, które w latach pięćdziesiątych zajmowały się problemem tajności operacji. Tłumacząc tę

decyzję, podawano nieodmiennie ten sam argument: tajni agenci zawsze działali w ścisłej tajemnicy. Argument przeciwko tajniakom też się nie zmieniał: przysparzali mnóstwo kłopotów. W Halcyon dostrzegało się dowody i jednego, i drugiego. Oficjalnie firma specjalizowała się w projektach inwestycji dla krajów Trzeciego Świata, zwłaszcza Bliskiego Wschodu. „Pracownicy” mogli bez przeszkód podróżować i spotykać się z różnymi ludźmi, nie wzbudzając przy tym podejrzeń, Minusem tego, z punktu widzenia szefa londyńskiej bazy, był fakt, że kierowanie tajnymi agentami sprawiało wiele trudności.

I Powszechnie uważano agentów za neurotyków. Musieli tacy być, skoro zapuszczali się na tak niegościnne tereny. Wracali po kilku latach udawania, że pracują dla agencji reklamowej albo dla linii lotniczych, i w głowach mie-I zupełny mętlik. Czasami ich przykrywkowa praca tak bardzo ich absorbowowała, że taki tajny agent zaczynał sobie wyobrażać, iż to wszystko jest rzeczywiste - duży samochód, podróże do Nicei - i zapominał o tym, że nadal jest GS-14. Nawet mężczyznom przychodziło to z trudem. Przez wiele lat zakładano, że kobiety absolutnie się do tego nie nadają. Stawały się samotniczkami i dziwaczkami żyjącymi w odosobnieniu. Zakochiwały się w agentach albo oficerach operacyjnych, albo w pierwszym lepszym Johnie, który pechciał porozmawiać z nimi na ulicy. Te dawne wyobrażenia powoli ulegały zmianie. Mimo to agencjni mandaryni pewnie wcale nie wysyłałiby Anny Bames tak chętnie, gdyby nie powszechna świadomość, że świat tego roku zmierzał prosto do piekła.

Po pierwszym tygodniu Anna doszła do wniosku, że główny problem każdego oficera wywiadu polegał na tym, iż brakowało pracy. Banda z Hal-;yon nie mogła działać samodzielnie, wyznaczać sobie celów i narzucać wymagań. Wszystko należało uzgadniać z londyńską bazą, potem z Langley

89

i znowu z bazą, i dopiero po tym Halcyon mogła zacząć działać. Cały ten sznureczek tylko dodawał papierkowej roboty i przyczyniał się do powstawania opóźnień.

Na początku Anna sądziła, że ma tak mało oficjalnej pracy, ponieważ jest nowa. Z czasem przekonała się jednak, że z innymi było dokładnie tak samo. Codziennie rano okropnie długo czytali poranne gazety. Za piętnaście pierwsza wszyscy mężczyźni udawali się na lunch, przeważnie na wystawne posiłki w restauracjach w Mayfair, podczas których rzekomo „szukali” potencjalnych talentów albo „pracowali nad nimi”. Wracali zwykli około trzeciej, odrobinę wstawieni, i przez wiele godzin zajmowali się papierkową robotą. Czasem nawet prowadzili jakieś interesy z zakresu bankowości kupieckiej, aby uwiarygodnić swoje oficjalne posady. Mimo to odnosiło się wrażenie, że mieli za mało zajęć. Anna przypominała sobie, cc Edward Stone powiedział jej o pracy agenta i o nudzie. Być może się nie mylił.

Przez pierwszy tydzień Anna miała sporo pracy z wprowadzaniem się do mieszkania w modnej dzielnicy Notting Hill Gate. („Tak, usłyszała od Den nisa, właśnie tam zamieszkaż”.) Mogła na nowo zapoznać się z Londynem miastem, w którym bywała wielokrotnie, często w towarzystwie ojca. Podczas przerwy na lunch - w Halcyon trwała ona mniej więcej dwie godziny -odwiedzała miejsca, po których dawniej chodziła z ojcem. Udała się do jeg< ulubionego sklepu z koszulami przy ulicy Jermyn i do ulubionego sklepi obuwniczego na King Street. Po dwóch dniach wędrówki po kolejnych przy Stankach swojej dawnej drogi krzyżowej poczuła się zmęczona - w końcu w sklepach z męskimi rzeczami niewiele można było zobaczyć - więc wy brała się na zakupy na New Bond Street.

Kilka razy w ciągu tego pierwszego tygodnia Anna skarżyła się swojemu gwiazdociemu szefowi, że ma za mało pracy. Na takie pretensje Dennis odpowiadał zwykle aforyzmami, których zdążył zgromadzić mnóstwo przez całą szpiegowską karierę. - Rozglądaj się! - powiedział jej. - Zawsze mie oczy szeroko otwarte! - Pod koniec pierwszego tygodnia, wyczuwając, że nowa dziewczyna nie jest całkiem zadowolona, Dennis wysłał ją na seminarium na temat planowania rozwojowego w Arabii Saudyjskiej. Myślał, że to poprawi jej humor.

Anna nie musiała się wcale tak przejmować. Koła biurokracji, choć dla niej niewidoczne, rzeczywiście się obracały. Na początku drugiego tygodnia pracy odebrała telefon od człowieka z ambasady, Howarda Hamblya. Pełnił on funkcję drugiego sekretarza w sekcji gospodarczej, ale był przed wszystkim oficerem, któremu powierzono opiekę nad Anną Barnes. Dzwonił z budki telefonicznej, aby umówić się na spotkanie.

9

Spotkali się w bezpiecznym domu w Stoke Newington. Był to niewielki robotniczy domek przy cichej ulicy o nazwie Carysfort Road, leżącej zaledwie jedną przecznicę od parku Clissold. W tej okolicy mieszkali rozejści: mlekarze i kierowcy autobusów, którzy na kolację kupowali sobie dania z jadłodajni za rogiem. Anna uznała, że to niezbyt mądra lokalizacja bezpiecznego domu. Pusty lokal, od czasu do czasu zajmowany przez Amerykanów, raczej rzucał się w oczy, niż wtapiał w tło. Jednak ona dopiero zaczynała pracę w tym interesie.

Howard czekał na nią przy drzwiach. Był łysiejącym mężczyzną po czterdziestce. Sprawiał wrażenie niezbyt szczęśliwego i niepozornego, jakby piasek w klepsydrze jego kariery właśnie kończył się przesypaniem. Wyślano go do Londynu w nagrodę za wiele lat służby w afrykańskich krajach w rejonie Sahary i chyba uważał swoją obecną rolę w londyńskiej placówce za odskocznnię od ważnej pracy, polegającej na chodzeniu do teatru i odwiedzaniu pubów. Prowadzenie tajnego agenta zupełnie mu nie odpowiadało. Uważał, że oni wszyscy są kompletnie popieprzeni. Nawet mężczyźni.

- No to jak tam początki? - spytał Howard troskliwie. Naprawdę chciał wiedzieć: „I co, już się łamiesz?”

- W porządku! - odparła Anna pogodnie.

- Masz mieszkanie?

- Tak. Naprawdę ładne. Nad sklepem z antykami.

Howard uważnie przyjrzał się dziewczynie. Z pewnością nie sprawiała wrażenia szalonej, co w jego pojęciu stanowiło synonim brzydoty. Ubrała się starannie, a nawet atrakcyjnie, w spódniczkę i kaszmirowy sweterek. Wyglądała na osobkę dość pewną siebie. Nie narzekała.

- Mam dla ciebie niewielkie zadanie - powiedział Howard.

- Wspaniale! O co chodzi?

- Jest taki jeden facet, który bardzo stara się nawiązać z nami kontakt. To Irańczyk. Wciąż wydzwaniał do ambasady, zostawiając wiadomości. Twierdzi, że należy do tajnych służb wywiadowczych Chomeiniego, co brzmi dość dziwnie, ponieważ według nas Chomeini takich służb

nie ma. Twierdzi też, że ma dla nas bardzo gorącą wiadomość. Dotąd nie wiedzieliśmy, co z nim zrobić, więc nie robiliśmy nic. Prawdę mówiąc, sprawia wrażenie postrzeleńca. Nie sądzę, aby to było interesujące zadanie.

- Żartujesz? Oczywiście, że będzie interesujące. Kiedy zaczynam?

Pracownik ambasady uśmiechnął się. Anna miała w sobie coś, co sprawiało, że ludzie przypominali sobie swój własny entuzjazm i zapał na początku kariery.

- Posłuchaj, muszę cię ostrzec. Może się okazać, że ten facet to wielkie zero. Poza tym, oczywiście, jest dziwny.

- To nic - stwierdziła Anna. - Jak się nazywa?

91

- Ali Ascari. Takie imię nam podał.

- Kiedy możemy zorganizować spotkanie?

- Chwila, moja mała. Najpierw musimy czegoś się o nim dowiedzieć. Spytamy tych z centrali i ludzi w Teheranie, czy mają coś o Ascarim, jakiegokolwiek dawne kontakty z nami albo z kimkolwiek innym. Z tego, co wiem, już ma swoją teczkę w kwaterze głównej, tylko na inne nazwisko.

- W jaki sposób mam się umówić z panem Ascarim?

- To nie powinno być zbyt trudne. Wykorzystamy SDFIBBER.

- Kto to taki?

- Irański dziennikarz pracujący tutaj, w Londynie. Naprawdę nazywa się Farduz albo Marduz czy coś w tym rodzaju. Zna wszystkich i widuje się ze wszystkimi. Jest doskonały jako agent kontaktowy. Poprosimy go, aby umówił cię z Ascarim na lunch.

- Czy SD to przedrostek oznaczający Iran?

- Właśnie tak.

- Jak mam uzasadnić swoją tam obecność? Przepraszam, że zadaję takie głupie pytanie.

- Pytanie wcale nie jest głupie. Jest dobre. Pomyślmy. Jesteś ładną kobietą, przyjaciółką SDFIBBER i lubisz spotykać się z interesującymi ludźmi.

- Absolutnie nie. Weźmie mnie za prostytutkę.

- No dobrze. Jesteś okropnie poważną, młodą przedstawicielką banku inwestycyjnego i pasjonuje cię gospodarka Iranu. Czy to ci bardziej odpowiada?

- O wiele bardziej.

- Dowiem się, co na ten temat sądzą w centrali i odezwę się do ciebie. Myślę, że powinni to kupić. W naszym kraju wszyscy oszaleli na punkcie Iranu, kiedy inne rzeczy zaczęły się walić.

Zatwierdzą niemal wszystko. -Anna już prawie nie słyszała końca. Miała poprowadzić swoją pierwszą sprawę. Miała wskoczyć do wielkiego basenu.

Leżąc w łóżku tego wieczoru i rozmyślając o swoim pierwszym zadaniu Anna przypominała sobie doktora Marcusa, agencyjnego psychiatrę. By jej instruktorem podczas dwutygodniowego kursu pod nazwą „Psychologii rekrutacji agentów” prowadzonego w jednym z drogich motelowych pokoi w Arlington. Tak jak to mają w zwyczaju psychiatrzy, nawet gdy prowadzi zwyczajną rozmowę podczas koktajlu, Marcus przepytывał ją, kiwał głową

92

powagą i mówił: „Mmm”, podczas gdy ona świadomie starała się odpowiedzieć na pytania. Początkowo nie miała pewności, czy jest uczennicą, czy też częściej pacjentką doktora. Dopiero potem uświadomiła sobie, że traktował ją k jedno i drugie.

Kiedy po raz pierwszy zobaczyła doktora Marcusa, była zaskoczona, że oś taki jak on pracuje dla CIA. Wyglądał jak starzejący się student, wyso-i niedbale ubrany, lekko tysięjący, z grzywką matowych, rudych włosów :ieniami pod oczami. Miał twarz człowieka, który w ciągu wielu lat pracy lał w siebie zbyt dużo kofeiny i zbyt mało sypiał. Prawdę mówiąc, wyglądał jak chodzący dowód swoich teorii na temat rekrutacji: człowiek, który życiu nie osiągnął wszystkiego, co mógł i dlatego stanowił łatwy cel dla erbujących. Z tym, że on wcale nie był celem. To on zadawał wszystkie ytania.

Pierwszych kilka sesji przypominało psychoterapię. Doktor Marcus na-azał Annie po prostu mówić o wszystkich szczegółach życia osobistego, tóre mogły zostać pominięte w teście wstępnym. Wkrótce przekonała się, s Marcus miał zwyczaj robienia przerw w środku rozmowy, często nawet oś długich.

W takich chwilach zaczynała paplać, aby jakoś wypełnić ciszę, zdradzane różne dziwne rzeczy na swój temat. Chciała mu jakoś pomóc. Doktor larcus zadawał proste pytanie dotyczące jej studiów podyplomowych, a Anna dpowiadała i dodawała:

- Mój ojciec nigdy nie chciał, żebym rozpoczynała te studia.
- Mmm - kwitował to Marcus płaskim głosem pozbawionym wszelkich mocji. - A to dlaczego?
- Chyba chciał, żebym pracowała w służbach dyplomatycznych.
- Mmm.
- Ale raczej nie w CIA.
- A dlaczego nie?
- Nie wiem. Może bał się tego. Dyplomaci zwykle nie przepadają za :ia.
- Czy właśnie dlatego CIA bardziej cię pociąga, Anno? Czy fakt, że ijciec tego nie pochwałał, ma znaczenie?

W tym momencie Anna miała ochotę walnąć doktora Marcusa w nos, v końcu jednak wydał jej się taki bezbronny, że wkrótce sprzedawała mu lalsze kawałki swojego życia.

Opowiadała o niepoprawnym bracie, który zamieszkał w Meksyku, o by-ym chłopaku z Cambridge oraz o swoim krótkim i śmiesznym doświadczeniu z marihuaną w college'u. Mówiła wszystko, byleby tylko biedny doktor Marcus przestał się tak strasznie smucić. Chyba najbardziej interesowała go cobięca strona natury Anny.

- Czy nazwałabyś siebie feministką? - spytał podczas drugiej sesji.

V

93

- Tak, oczywiście - odparła Anna.

- Dlaczego mówisz „oczywiście”?

- Ponieważ dla każdej kobiety w moim wieku jest to równoznaczne z byciem kobietą.

- Mmm. A to dlaczego?

- Dlatego. Tak po prostu jest. Jeżeli mieszka się w Ameryce i wierzy w swój kraj, to nazywa się siebie Amerykaninem. Jeżeli jest się kobietą i wierzy się w siebie, to określa się mianem feministki. Nic w tym szczególnie wielkiego.

- Dlaczego nie?

- No, dobra. Dla niektórych ma to wielkie znaczenie.

- Ale nie dla ciebie.

- Owszem, dla mnie też.

- A co według ciebie oznacza bycie feministką?

- Samodzielność i samostanowienie. Sama podejmuję decyzje. Nie robię wyłącznie tego, co powiedzą mężczyźni.

- A co, jeżeli mężczyźni polecają, żebyś zrobiła coś sensownego?

- Wtedy oczywiście tak robię. Już wystarczy, doktorze Marcus.

- Rozumiem. Lubisz mężczyzn?

- Oczywiście.

- Dlaczego „oczywiście”?

- Chodzi mi o to, że ich lubię. Lubię rozmawiać z mężczyznami. Chodzić z nimi do kina. Sypiać z nimi. Lubię mężczyzn. Czy to jasne?

- A czy feministki lubią mężczyzn?

- Jezu Chryste! Skąd ja mam wiedzieć? Niektóre tak. Niektóre nie. Wszystko zależy od ich osobistych doświadczeń.

- Rozumiem. A jakie miałaś osobiste doświadczenia?
- W większości dobre. Czasami złe, ale staram się uważać.
- Uważać na co?
- Na to, żeby za mocno nie zaangażować się w związek z nieodpowiednim mężczyzną. Żeby nie stracić kontroli.
- Co masz na myśli mówiąc „nie stracić kontroli”?
- Sam pan wie. Nie pozwolić, aby sytuacja stała się niebezpieczna, albo żeby ja stała się zbyt słaba. To tak jak górską kolejką bez hamulców.
- Mmm. - Doktor Marcus pokiwał głową z powagą.

I tak ich rozmowy ciągnęły się godzinami. Analityczne dialogi wily się w nieskończoność. Na początku Annę intrygował sam doktor Marcus i stała się zadowolona go, udzielając właściwych odpowiedzi. Potem uznała że jego pytania są natrętne i nudne i stwierdziła, że nie lubi swojego rozmówcy. Wreszcie, trzeciego dnia, rozluźniła się i dała ponieść fali zwiędzeń, mówiąc wszystko to, co przyszło jej do głowy, bez cienia zażenowania. Wtedy właśnie doktora Marcusa zmęczyło całe to doświadczenie i za

94

skupiać się podczas sesji na konkretnych zagadnieniach rzemiosła szpiegowskiego.

Przed spotkaniem z doktorem Marcusem Anna nie zdawała sobie sprawy, do jakiego stopnia operacje CIA kształtowane są przy użyciu psychologii. Im dłużej go słuchała, tym bardziej była przekonana, że praca współczesnego szpiega polega na zrozumieniu słabych stron oraz predyspozycji, na niechęci dostrzegania tych szczególnych cech, które z jednej osoby czynią idealnego rekruta, a z drugiej - chodzącą katastrofę. Pojęła też rolę pozytywnego i negatywnego wpływu, który pozwalał jednemu człowiekowi warunkować zachowanie innego.

- Sowieci uczą swoich agentów, że istnieją cztery metody werbowania - wiedział Marcus pewnego dnia. - Nazywają to w skrócie PISE, czyli Pie-dze, Ideologia, Seks, Ego. Ale oni nie mają racji, Anno.
- Dlaczego? - Według niej brzmiało to dość rozsądnie. Pieniądze, ideologia, seks i ego wyznaczały cztery kierunki w kompasie.
- Ponieważ tylko jedno ma naprawdę znaczenie, a jest to ego. Właśnie ono prowadzi do tego, że ktoś zostaje szpiegiem, zdradza swój kraj. Może to zwać inaczej. Może twierdzić, że służy wyższym celom albo może marzyć o tych wszystkich pieniądzach, jakie mu obiecano. Albo może mu się dawać, że chce pieprzyć nastolatki z Kalifornii przez resztę swojego życia. Jednak to są wyłącznie świadome wyrazy czegoś, co tkwi głębiej. Ideologia nie jest najważniejszym motywem. W ten sposób agent może tłumaczyć swoją zdradę, ale prawdziwą motywacją jego postępku jest coś znaczącego: bardziej pierwotnego, między innymi pragnienie posiadania władzy.

Anna pamiętała ten wykład niemal słowo w słowo. Leżąc w łóżku w swoim małym mieszkaniu w Notting Hill Gate i rozmyślając o tym, co miała zrobić; następnego dnia, przypomniała sobie rady doktora Marcusa, jak gracz przed ważnym meczem przegląda w myślach podręcznik gry.

- Zdrada ma swój cykl życiowy - mawiał Marcus. - Czytałaś kiedyś Passages?

Anna przytaknęła. Każdy czytał Passages.

- W takim razie wiesz wiele na temat werbowania agenta, ponieważ tu działają takie same czynniki. Badałem przypadki wielu szpiegów i zdrajców i stwierdziłem, że zwykle człowiek dojrze do zdrady zbliżając się do trzydziestki i jest skłonny ją popełnić jeszcze przez kilka lat. Jest to czas, który znajduje się w połowie kariery, w połowie małżeństwa i zaczyna inżynierację. W pewnym sensie zachodzi w nim przemiana.

- A zatem zdrada jest wynikiem kryzysu wieku średniego - zażartowała ona, ale doktor Marcus nie roześmiał się. Miała rację. Rzeczywiście zdrada była wynikiem kryzysu wieku średniego.

- Jeżeli spotkasz człowieka, którego kariera świetnie się układa - ciągnął Marcus - który jest szczęśliwy w małżeństwie i nie trapią go żadne oba-

95

wy dopadające ludzi w średnim wieku, prawdopodobnie nie jest on dobrym celem dla werbującego. Zdrada możliwa jest wtedy, gdy człowiek jest sfrustrowany, a jego ego stłamszone. Dochodzi do wniosku, że nie osiągnął wszystkiego, o czym marzył, w jednym systemie, więc wybiera inny.

- Jak rozpoznać, że ktoś jest gotowy do takiego skoku?

- Szuka się wskaźników kryzysu wieku średniego. Małżeństwa, które się nie układa. Kariery, która nie rozkwita tak szybko, jak powinna. Kiedy znajdzie się ktoś w takiej sytuacji, należy przyjrzeć się tej osobie bliżej i sprawdzić, co ją napędza, czego naprawdę pragnie w życiu. Potem można spróbować jej to dać.

- Jak?

- W każdy sposób, jaki przyjdzie do głowy. Sowieci zwerbowali kiedyś szwedzkiego oficera, który był wściekły, ponieważ nie dostał awansu na pułkownika. Pierwszą rzeczą, jaką zrobili, kiedy już mieli go na sznurku, był wspaniała tajna ceremonia, podczas której mianowali go generałem KG1 i dali mu medal. Robi się wszystko, co trzeba. Medale, odznaki, dowody uznania. Wszystko, co zaspokoi ego takiego człowieka. Chodzi o to, aby znaleźć odpowiedź w lustrzanym zwierciadle, jaki się wtedy tworzy, na szczególną potrzebę, której nie zaspokojono w normalnym życiu tej osoby.

- Ale skąd można wiedzieć, kto będzie dobrym agentem? - chciała wiedzieć Anna.

- Nie można. Ale można zgadywać. Zdrada polega na odrzuceniu atrybutu i oczywiście trzeba znaleźć kogoś, kto jest gotów to zrobić. Tylko że w pojęciu operacyjnym konieczna jest szczególna forma takiego odrzucenia. Niektórzy wolą sprzeciwić się władzy bezpośrednio. Przypadkiem ekstremalnym jest ktoś taki jak Solżenicyn, który nienawidzi systemu i chce, aby cały świat o tym

wiedział, bez względu na ryzyko. Taka osoba je odważna i można ją podziwiać, być może nawet będzie z niej świetny p szar, ale w wywiadzie taki ktoś nic nie osiągnie, ponieważ jego poglądy i zbyt oczywiste.

A zatem werbowanie Solżenicyna nie miało sensu.

- Są też oczywiście ludzie, którzy chcą zerwać z władzą, jakiej podlegają, ale nie zamierzają robić tego w sposób tak rewolucyjny. Taki ktoś odsz dłby od żony albo porzucił pracę, gdyby nie był szczęśliwy. On nadawał! się na zdrajcę, bo próbowałby się wydostać, ale byłby kiepskim agentem.

- A kto byłby dobrym agentem? - spytała Anna.

- Dam pani wskazówkę. Jest dwóch mężczyzn. Obaj mają kłopot w małżeństwie. Jeden przez cały czas urządza głośne awantury. Drugi ji pozornie zupełnie spokojny, nikomu nie mówi o swoich problemach, i potajemnie spotyka się z kochanką. Taki mężczyzna jest pani kandydate na agenta. Dowodzi tego, że potrafi żyć w sprzecznościach i umie dzie lojalność.

96

- Na mnie zrobiłby okropne wrażenie.

- Być może, ale w naszej grze to on jest pani człowiekiem.

13

Kiedy Ali Ascari wszedł do restauracji, Anna pomyślała: „Co za brzydki

mały człowieczek!" Był niski i krępy, miał wielki nos i wyłupiaste oczy, tórymi wodził w różne strony, rozglądając się po sali. Był też bardzo owło-ony - dosłownie pokryty włosami, od szczeciniastej brody aż po zewnątrz-ą stronę dłoni. Prawdę mówiąc, jego brzydota przyniosła Annie ulgę. Oba-iała się, że zobaczy przystojnego mężczyznę w typie Omara Shariffa, o spojeniu zapraszającym do sypialni.

Ascari podszedł do osłoniętego stolika w kącie sali, przy którym Anna edziała w towarzystwie SDFIBBER-a. Irańczyk najpierw przywitał się ze woim ziomkiem, całując go w oba policzki. Potem zwrócił się do Anny. Jieznacznie pokiwał głową i zaszeleścił ubraniem jak gołąb straszący pióra. DFIBBER przedstawił ich sobie, podając pseudonimy, zgodnie z instruk-jami.

- To moja przyjaciółka, o której wspominałem ci przez telefon, Alison ames. Pracuje w bankowości.

- Witam panią - powiedział Ascari.

- Dzień dobry. - Anna wyciągnęła do niego dłoń. Zauważyła, że Ascari už nie patrzy jej w oczy. Jego wzrok zatrzymał się na poziomie jej piersi, •rzesunęła torebkę pod ramię, aby częściowo przesłonić mu widok.

- Pan Farduz mówił mi, że interesuje panią Iran - powiedział Ascari, liadając obok Anny. Wciąż lekko kiwał głową.

- Tak - odparła. - Nawet bardzo. Jesteśmy przedstawicielami wielu poważnych klientów, których bardzo interesuje rejon Środkowego Wschodu. Szukamy możliwości nowych inwestycji.

Rozwoju gospodarczego. Zwłaszcza; za teraz, gdy rosną ceny ropy naftowej i plany rozwojowe mogą ulec zmianę,

- Mhm. - Ascari wyjął sznur paciorków. Anna odniosła wrażenie, że wcale jej nie słuchał.
- Zajmujemy się także udzielaniem pożyczek - powiedziała. - Część naszych klientów to banki handlowe.
- To miło - stwierdził Ascari. - Pan Farduz nie wspominał mi, że pani jest taka ładna.
- Dziękuję - powiedziała Anna uprzejmie.

/

7 - Siro 97

Ascari zwrócił się do SDFIBBER-a i zaświergotał coś po persku. Anna ze skupieniem przysłuchiwała się konwersacji, a kiedy wreszcie ją zrozumiała, poczuła, że robi jej się gorąco.

- Popatrz tylko na ten tyłeczek - powiedział Ascari.
- I długie nogi - zawtórował mu SDFIBBER.

Anna ugryzła się w język.

- Ma ładne piersi - ciągnął Ascari. - Nie za duże, ale ładne.

Wystarczy tego, pomyślała Anna. Odchrząknęła i zaczęła mówić wyraźnie w tym samym języku.

- Przepraszam, panowie, ale uważajcie na to, co mówicie. Przecież nie chcielibyście obrazić kobiety.

Obaj mężczyźni zakłopotani zaczęli ją gwałtownie przeproszać, zwłaszcza SDFIBBER, który obawiał się, że Anna może złożyć na niego skargę i odciąć go od źródła. Zamówili drinki. Ascari, nie bacząc na swoją brodę mułty, zamówił dżin z tonikiem. Drugi Irańczyk silił się na uprzejmości. Opowiedział najnowsze plotki o szachu. Jego żonie Farah niezbyt się podobało życie na emigracji w Maroku. Chciała wyruszyć dalej, do Stanów Zjednoczonych. A ta siostra szacha, nierządnica! W Paryżu zabawiała różnych facetów i wydawała masę pieniędzy. Irańczyk gadał tak przez niema pół godziny bez przerwy. Ascari głównie przyglądał się Annie i bawił się paciorkami.

Wreszcie SDFIBBER spojrział na zegarek.

- A to dopiero! Przykro mi, ale muszę już iść.
- Nie - powiedziała Anna stanowczo. - Powinien pan zostać.
- Bardzo przepraszam, ale naprawdę muszę iść. Mam spotkanie. Wy powinniście jeszcze tu zostać i porozmawiać. O Iranie.
- Czy pana spotkanie nie może zaczekać?
- Niestety, nie.

- W takim razie może ja też powinnam pójść. - Anna również spojrzah na zegarek, zastanawiając się jednocześnie co nakazywałyby zasady jej bran ży. Co zrobiłaby osoba zajmująca się bankowością inwestycyjną i zainteresowana Iranem? Zostałaby, oczywiście. Ale co ta sama osoba zrobiłaby, gdy by klient nie spuszczał oczu z jej piersi? Anna wstała z krzesła.

- Proszę zostać - powiedział SDFIBBER.

- Proszę zostać - powtórzył Ascari. - Chciałbym pani opowiedzieć o kil ku sprawach. O Iranie. - Wyglądał poważnie. I już nie kiwał głową.

Anna powoli usiadła.

- Dobrze, w takim razie zostawiam was oboje. Porozmawiajcie sobie Do widzenia! - SDFIBBER uścisnął dłoń Anny, ucałował Ascariego trz] razy i ruszył do wyjścia. Odprowadzając go wzrokiem do drzwi, Anna za stanawiała się, co by tu zrobić, aby trochę uprzykrzyć temu człowiekowi życie.

98

i

Kiedy zostali sami, Ascari zwrócił się do dziewczyny z powagą w oczach ezwał się nosowym głosem, którym Irańczycy mówili chyba w każdym ku:

- Czy pani jest z CIA?

Anna wyprostowała się na krześle. Ostrożnie, ostrzegła siebie w myślach, spokojnie i naturalnie.

- Nie - odparła. - Już panu mówiłam. Pracuję w banku, w dziale inwe-cji. Jesteśmy zainteresowani robieniem interesów z Iranem.

- Nie jest pani z CIA?

- Nie. - Odzyskała równowagę na tyle, aby móc się roześmiać. - To "emądre. Dlaczego pan tak pomyślał?

- Nie jest pani z CIA. - Tym razem powiedział to tonem stwierdzają-ym fakt.

- Nie - powtórzyła.

- To dla mnie wielkie rozczarowanie. Bardzo wielkie.

- Dlaczego?

- Ponieważ chciałem skontaktować się z CIA. Mam im do przekazania aźne informacje na temat Iranu. Próbuję już od trzech tygodni, odkąd szach puścił kraj. Dzwonię do ambasady. Zostawiam wiadomości. Żadnej odpo-

edzi. Myślałem, że może panią wysłali. Wyglądał na bardzo zawiedzonego. Marszczył brwi i przesuwał pa-iorki to w jedną, to w drugą stronę. Anna przez chwilę myślała. Nie mogła sobie przypomnieć ani jednego etapu szkolenia, który uwzględniałby taką sytuację. Prawdę mówiąc, nie

pamiętała nic, do czego mogłaby odnieść spotkanie, w którym uczestniczyła. Tylko jedno wydawało jej się oczywiste - cel spotkania z Ascarim. Musiała dowiedzieć się, co miał do powiedzenia.

- Panie Ascari... - zaczęła Anna.
- Tak, słucham - powiedział ponuro.
- Znam kilka osób w ambasadzie. Może mogłabym pomóc? Mogę przekazać im wiadomości od pana.
- Zna pani ludzi z ambasady? Anna przytaknęła.
- Tak. Kilku. Znamy się od strony towarzyskiej.
- A ci ludzie są z CIA?
- Nie wiem. Ale chyba w ambasadzie to wszystko jedno, prawda?
- Tak, może i tak. No dobrze. Porozmawiajmy. - Ascari uśmiechnął się, kładąc dłoń na kolanie Anny. Odepchnęła jego rękę, ale nie odezwała się, że nic się nie stało.
- No dobrze, proszę pani. Porozmawiajmy o Iranie. Potem pani powtórzy to przyjaciółom z ambasady. Tak?
- Tak.

99

- To dobrze. Pracuję z ludźmi Chomeiniego. Z jego ochroną. Ze szpiegami. Rozumie pani?

Anna właśnie miała odpowiedzieć twierdząco, kiedy uświadomiła sobie, że tak naprawdę nie rozumie go.

- Nie. Nie pojmuję.
- Czego pani nie pojmuje?
- Skąd Chomeini ma szpiegów? - spytała cicho. - Przecież dopiero powrócił do Iranu.

Ascari przewrócił oczami i mlasnął językiem.

- To oczywiste, że ma szpiegów! Jak pani sądzi, co on robił przez te wszystkie lata? Czytał Koran?
- Nie musi pan mówić aż tak głośno. - Anna rozejrzała się wokół. Nie dostrzegła nikogo, kto mógłby podsłuchiwać, ale nigdy nie wiadomo. - Może lepiej byłoby, gdybyśmy mówili w pana języku - zaproponowała.
- Nie. Angielski jest dobry. Nie ma problemu. - Chyba nie podobało mu się wyobrażenie Amerykanki postępującej się jego ojczystą mową.
- W porządku. W takim razie proszę mówić dalej.

- No więc pracuję dla ludzi Chomeiniego, ale pracuję też dla siebie. Pomyślałem sobie, że może Amerykanie teraz zechcą spotkać się z człowiekiem Chomeiniego, takim jak ja. Bo oni znają tylko ludzi szacha, a tamci są skończeni. Ja sporo wiem.

- Na jaki temat?

- Wiem, że niektórzy wielcy terroryści pracują dla Chomeiniego. Szkołą się razem z Organizacją Wyzwolenia Palestyny w Libanie. Szkołą się z syryjskimi moukhabarat. Szkołą się z Rosjanami. Wiem, kim oni są.

- Tak.

- Powie to pani w ambasadzie, dobrze?

Anna przytaknęła.

- Wiem, kim są ci terroryści. Wiem, gdzie mają obozy szkoleniowe. Znam dokładną lokalizację. Może uda mi się dowiedzieć, jakie mają plany. Kto wie. Co pani na to?

- Jestem pewna, że ambasada zainteresuje się tym.

Ascari uśmiechnął się. Znowu położył dłoń na nodze Anny, tym razem wyżej, na udzie. Chyba uważał to za nagrodę należną mu za wiadomość, którą właśnie przekazał. Dziewczyna ponownie zepchnęła jego rękę, tym razem bardziej stanowczo.

- Proszę mówić dalej - powiedziała - i niech pan przestanie mnie dotykać.

- Dobrze, dobrze. Powiem pani coś bardzo interesującego. W następnym miesiącu Chomeini wysyła swoich szpiegów do ambasad Iranu w Londynie, w Paryżu, w Brukseli. Ci ludzie są bardzo niebezpieczni, ale łatwo można ich rozpoznać.

- Jak to?

100

- Wszyscy mają brody!

Anna uśmiechnęła się. Nie wiedziała, czyjej rozmówca żartuje czy nie.

Ascari pogroził jej palcem.

- Hej, proszę pani, ja mówię poważnie. Proszę powiedzieć swoim przy-iciołom z ambasady, żeby uważali na brody!

Uśmiech znikł z twarzy Anny.

- Dobrze - powiedziała. - Kogo jeszcze wysyła Chomeini?

- Wysyła ludzi, żeby kupowali broń. Handlarzy bronią! Jeden z nich jest loim przyjacielem. Jego siostra wyszła za brata męża mojej siostry. On jest rzywódcą.

- Jak się nazywa?

- Powie pani w ambasadzie?
- Oczywiście.
- Hussein Madaressi.
- Hussein Madaressi - powtórzyła, zapisując to imię w pamięci.
- Ma pani piękne oczy - powiedział Ascari.

Anna zignorowała to.

- Co mam jeszcze powiedzieć tym z ambasady?
- Tyle wystarczy. Myśli pani, że ja to robię za darmo? Proszę im powtórzyć to, co powiedziałem. Wiem o wiele więcej. Zbyt wiele. To poważne sprawy. Pani przedstawiłem tylko darmową próbkę. Jeżeli chcą ze mną porozmawiać, znajdą mnie.
- Jak?
- Proszę ze mną iść, to pokażę pani, gdzie mieszkam. - Wziął ją za rękę chciał pomóc wstać.
- Wystarczy, aby podał mi pan adres i numer telefonu.

Ascari zapisał je na kartce papieru. Przykrywka, przypomniała sobie Anna.

- A jeżeli chodzi o irańską gospodarkę... - zaczęła poważnie, podczas gdy jej rozmówca pisał - proszę powiedzieć mi coś, co mogłabym wykorzystać w moim banku. *
- Nie znam się na gospodarce - powiedział Ascari. Znowu przybrał znudzony wyraz twarzy.
- Jak pan sądzi, ile z wielkich projektów szacha nowy rząd będzie kontynuował?
- Nie znam się na gospodarce - powtórzył Irańczyk. Wzrok wlepił w piersi Anny.
- A ropa naftowa? O ile wzrosną jej ceny?
- Proszę pani, pyta pani niewłaściwą osobę. Skąd Ali Ascari ma wiedzieć, co się stanie z cenami ropy?
- To bardzo ważne dla mojego banku.
- Mmm. - Ascari raz jeszcze położył dłoń na kolanie Anny i zaczął je głaskać. - Nic o tym nie wiem, ale może mógłbym się dla pani dowiedzieć.

101

Tym razem Anna uderzyła jego rękę i wstała.

- Dość tego - powiedziała. - Muszę już iść. Kelner! - Poprosiła o rachunek.
- Ja płacę - zaznaczył Irańczyk.

- Kelner!
- Ciii - powiedział Ascari. - Przecież powiedziałem, że ja zapłacę.
- Dobrze - zgodziła się Anna. W tej chwili chciała tylko wyjść z restauracji. - Dziękuję bardzo.
- Pani przyjaciele do mnie zadzwonią, prawda?
- Do widzenia - pożegnała się. Nie uścisnęła nawet jego dłoni.

Co za obrzydliwy śmierdziel! - myślała, wychodząc z restauracji w szary chłód popołudnia londyńskiej zimy. Ohydna ropucha!

Jeszcze tego samego wieczoru Anna wróciła do bezpiecznego domu w Stoke Newington. Rozwoziciele mleka siedzieli w swoich mieszkaniach. Przy ulicy stały ich samochody.

Dziewczyna zdołała już ochłonąć po spotkaniu w restauracji. Postanowiła w ogóle nie wspominać o karygodnym zachowaniu Ascariego. Obawiała się, że opowiadając o tym wyjdzie na kobietę małostkową i pospolitą, a co najgorsze, niekompetentną pracownicę, bo nie potrafiła zapanować nad werbowanym agentem. Nie chciała od razu w pierwszym miesiącu zapracować sobie na reputację skarżypyty. Poza tym Anna uznała, że jeżeli to, co mówił Ascari, było prawdą, cała sprawa mogła okazać się warta odrobiny poświęcenia.

Streściła Howardowi główne wiadomości przekazane przez Ascariego. Wspomniała o irańskich terrorystach i o obozach szkoleniowych. O ostrzeżeniu, że ludzie Chomeiniego mają już w marcu trafić do europejskich ambasad. Przekazała również, że Ascari obiecał podać imię człowieka, który kupował broń dla irańskiego przywódcy.

- Nieźle - skwitował Howard. Anna domyślała się, że w jego przypadku był to wyraz zachwyty. - Jak udało ci się nakłonić go do wyjawienia tego wszystkiego?

Anna opowiedziała o swoim małym podstępie z „przyjaciółmi z ambasady”. Howard przewrócił oczami.

- Niedobrze - powiedział - ale nie koszmarne.
- Nic innego nie przyszło mi do głowy.
- Czy uwierzył, że naprawdę pracujesz w banku?
- Chyba tak. - Anna przypomniała sobie dotyk dłoni Irańczyka na swo im kolanie.
- To dobrze. Przynajmniej nie straciłaś swojej oficjalnej przykrywki. Tc bardzo ważne. Nie chcemy żadnych bezpośrednich kontaktów z tym czło

102

iekiem. Jeszcze nie teraz. Chomeini nie może pomyśleć, że zaglądamy mu) tyłka, przepraszam za wyrażenie.

- Daj spokój.

- Co to w ogóle za gość ten Ascari?
- Głupek.
- Jak to?
- No wiesz, Pers. Obrzydliwy robak. Niby taki wrażliwy. No i oczywi-:ie chce pieniędzy.
- Wiadomo, że chce pieniędzy. Bardzo bym się denerwował, gdyby nic e chciał. Forsa to najczystsza rzecz w świecie.
- Możemy mu zapłacić?
- To zależy. Porównamy to, co ci powiedział, z tym, co mają w centrali w Teheranie.
- A potem?
- Trudno powiedzieć. Sądysz, że dojdziecie z nim do porozumienia? ędziesz mogła z nim pracować?

Anna zamyśliła się na chwilę. Czy mogłaby pracować z tym parszywym ieprzem? Na pewno nie, jeżeli nadal będzie próbował ją obmacywać. Mu-ałaby popracować nad stworzeniem dystansu. Obłeśne zachowanie tego trę-owatego człowieczka skończyłoby się. Alternatywą było przyznanie się do obraźki już przy pierwszym zadaniu w funkcji oficera.

- Tak - powiedziała. - Mogę z nim pracować.
- Wspaniale - stwierdził Howard. - Bo mam wrażenie, że powinniśmy arganizować jeszcze jedno spotkanie z nim.
- Świetnie! Atak przy okazji, nie jestem pewna, czy SDFIBBER jest fart tego, co mu płacimy.
- Tak? Dlaczego nie?
- Dziś zachował się bardzo nieprofesjonalnie. Wyszedł po półgodzinie, lało brakowało, a wypaplałby wszystko o mojej przykrywce. Nieładnie.
- Dzięki za ostrzeżenie - powiedział Howard. - Dołączymy to do jego

kt.

Informacje uzyskane od Alego Ascariiego okazały się prawdziwe. Te-eran szybko sprawdził Husseina Madaressiego i zidentyfikował go jako rańskiego biznesmena mieszkającego w Stuttgarcie. Pomagał on Chome-liemu zbierać pieniądze, gdy ten przebywał na wygnaniu. Centrala popro-iła o pomoc szefa placówki w Stuttgarcie, który od swoich miejscowych aformatorów dowiedział się, że Irańczyk o nazwisku Madaressi rzeczywi-cie spotkał się w poprzednim miesiącu ze znanym europejskim handla-zem bronią. Co do rewelacji o inwazji brodatych agentów Chomeiniego ia europejskie ambasady, Teheran nie mógł potwierdzić tej wiadomości,

choć jeden z miejscowych pracowników wspominał w minionym tygodniu, iż mułłowie być może organizują coś na kształt gabinetu cieni służb dyplomatycznych.

- W centrali uważają, że twój człowiek ma możliwości - powiedział Howard podczas kolejnego spotkania z Anną kilka dni później. - Potrzebują jednak więcej informacji, aby ostatecznie go ocenić.

- Czy chcą mieć KDO? - zapytała Anna. Howard i Dennis lubili właśnie tak się porozumiewać, bełkotem skrótów, który w tym przypadku oznaczał ustalenie przeszłości werbowanego agenta, czyli dokładnie Kwestionariusz Danych Osobowych.

- Chwila, zwolnij trochę - powiedział Howard. - Jeszcze wiele przed nami, zanim do tego dojdzie. Nie chcemy przecież, żeby zorientował się, kim jesteś naprawdę.

- Czego zatem oczekujesz?

- Podstawowych informacji. Data i miejsce urodzenia. Jak zarabia na życie. Dla kogo pracował w przeszłości. Dane z paszportu.

- Czy to nie będzie nieco dziwnie wyglądało? Urzędniczka banku wypytuje go o datę urodzenia?

- Powiedz mu tylko, że twoi przyjaciele z ambasady chcą dowiedzieć się o nim więcej. Przekaż, że zainteresowały ich informacje, które dotąd uzyskali, ale muszą wiedzieć więcej o nim samym. W przeciwnym razie nie będą mogli go ocenić.

- Gdzie mam się z nim spotkać? W bezpiecznym domu?

- Absolutnie nie. Skąd urzędniczce banku przyszedł do głowy taki po myśł, na litość boską? Umów się z nim w restauracji. Zadzwoń do niego i po proś o spotkanie.

- Może mnie źle zrozumieć.

- To znaczy?

- Może myśleć, że chcę go zaprosić na randkę. Sam wiesz, chłopak dziewczyna, buzi-buzi.

- I co z tego. Niech myśli sobie, co tylko chce. Wszystko jedno, co mi się wydaje, przecież to ty pociągasz za sznurki, zgadza się?

- Oczywiście. - Anna skinęła głową. Dla niej zabrzmiało to jak wyrok

Nawet Howard zauważył jej wątpliwości, bo na chwilę przerwał i podgrą

pał się w głowę.

- A jak się w ogóle między wami układa?

- O co ci chodzi?

- Właśnie o to, jak się między wami układa. Podobasz mu się? On ci si podoba? No wiesz, jak wygląda kontakt między wami.

- W porządku. Czasem posuwa się trochę za daleko. Muszę być przy nim bardziej stanowcza. Mężczyźni ze środkowego wschodu patrzą na Amerykanki, a widzą dziwki. Przepraszam za wyrażenie.

104

Howard roześmiał się, słysząc słowa Anny. Może jednak zaliczała się do >na chłopaków.

Jeszcze tego popołudnia Anna zadzwoniła do Ascariego i zaproponowała, aby nazajutrz spotkali się w porze lunchu w cichej restauracji przy Ed-are Road.

- Wiedziałem, że pani zadzwoni - powiedział Irańczyk.

- Wiedział pan?

- O tak! Wiedziałem.

Przy drugim spotkaniu Ascari stawiał się w jedwabnym krawacie, a pachniał tak mocno, jakby wykąpał się w kolońskiej wodzie. Skrócił też brodę. Wyglądał jeszcze mniej atrakcyjnie niż przy pierwszym spotkaniu. Anna postanowiła, że tym razem będzie bardzo oficjalna, nieugięta i rzeczowa. Ubrała się w najbrzydszy strój, jaki znalazła - bezkształtną brązową sukienkę z wełny, która przypominała dywan, a Ascari nie umyła tego ranka włosów i nie umalowała się. Po raz pierwszy w życiu marzyła, żeby wyskoczył jej na nosie pryszcz.

Restauracja była dość obskurnym lokalem, wciśniętym między sklepy i radiami samochodowymi i elektronicznymi gadżetami przy Edgware Road w części za Ogradami Sussex. Według nazwy w restauracji serwowano kuchnię włoską, ale w Londynie mogło to oznaczać cokolwiek: grecką, turecką, portugalską. Takiego miejsca ludzie szukali, kiedy chcieli się ukryć. Zastępy ławki zaciągano, a kelnerzy nigdy nie patrzyli gościom w oczy. Restaurację tę polecił Dennis, ale w chwili, gdy Anna do niej weszła, domyśliła się, że właśnie w takim miejscu spotykają się szpiegi i prostytutki. Nie mogła się więc obrazić, gdy kelner potraktował ją jak ten drugi gatunek, mimo jej wrodzonej brązowej sukienki.

- Kocham panią - powiedział Ascari, gdy tylko usiedli, i pochylił się ku niej kładąc dłoń na sercu.

- Dość tego! - Anna wypowiedziała to głośno. Restauracja była niemal pusta i nie przejmowała się tym, że wszyscy ją słyszą. Nie zamierzała tolerować więcej takich bzdur ze strony Irańczyka. - Wyjaśnijmy sobie jedno, panie Ascari. Jestem kobietą interesu i chcę, aby mnie traktowano z szacunkiem. Zrozumiano?

- O tak - odparł Ascari uspokajająco. - Ja znam amerykańskie kobiety. Chcecie być takie jak mężczyźni. To nic. Mnie to nie przeszkadza. I tak panią kocham.

105

- Niech się pan przymknie! Mówię serio!

- Dobrze. Może pani do mnie mówić ostro. Mnie to nie przeszkadza. Wszystko, co tylko się pani podoba.

Co takiego w tym człowieku sprawiało, że nie dało się go znieść? Zupełnie lekceważył zwyczajowe tory konwersacji i zbaczał w jakimś sobie tylko znanym, idiotycznym kierunku. Wcale nie onieśmiał Annę. Był grubym, brzydkim, niskim facetem bez żadnych zalet ani uroku. Anna podejrzewała, że z łatwością złamałaby mu rękę, gdyby musiała. Przeszkadzało jej to, że nie chciał grać według zasad. Należał do tego rodzaju mężczyzn, którymi ona gardziła. Jako inteligentna i ładna dziewczyna z zamożnej rodziny mogła unikać kontaktów z takimi typami. Teraz jednak nie dany jej był ten luksus.

- Niech pan mnie posłucha - zaczęła ostrożnie. - Mam dla pana wiadomość od moich przyjaciół z ambasady. - Na sam dźwięk słowa „ambasada” Ascari ochłonął. Usiadł prosto na krześle. - Moi przyjaciele - ciągnęła Anna - mówili, że bardzo zainteresowały ich informacje, które przekazał mi pan przy naszym poprzednim spotkaniu. Poprosili, abym spotkała się z panem raz jeszcze.

- Zainteresowały? - Ascari rozjaśnił się.

- Tak. Bardzo zainteresowały.

- Dzięki niech będą Allahowi! Ile mi zapłacą?

- Jeszcze nie są gotowi, aby rozmawiać o pieniądzach.

- W takim razie trudno - stwierdził Irańczyk. - Bez pieniędzy możecie o wszystkim zapomnieć. - Założył ręce i wyduł wargi jak ktoś, kogo okrutnie obrażono. Nienawidzę tego człowieka, pomyślała Anna. Nie cierpię go. Wiedziała jednak, że nie może sobie na to pozwolić, w końcu była profesjonalistką, a przynajmniej za taką chciała uchodzić, on zaś klientem.

- Proszę się uspokoić. Przecież nie powiedziałam, że nie chcą zapłacić. Po prostu jeszcze nie teraz.

- Bez pieniędzy możecie o wszystkim zapomnieć - powtórzył Ascari.

- Przekazą to moim przyjaciołom w ambasadzie. Zaznaczyli jednak, że najpierw muszą więcej wiedzieć o panu.

- Dobrze. W porządku. Co chcą wiedzieć? - Irańczyk poprawił krawat. Był dość próżny jak na tak brzydkiego mężczyznę.

- Kiedy się pan urodził?

- W tysiąc dziewięćset czterdziestym albo w czterdziestym drugim. Nii pamiętam.

- A co ma pan zapisane w paszporcie?

- W którym?

- Ile ich pan ma?

- Chyba dwa. Nie, trzy.

- Kto je wystawiał?

- Jeden jest z Iranu.
- Ma go pan przy sobie? Proszę mi pokazać.
- Tak. Dobrze. - Podał jej swój irański paszport. Anna zaczęła spisywać le do małego notatnika.
- Chwila! - powiedziała ostro. - Tutaj jest napisane, że urodził się pan Jaku, w radzieckiej republice Azerbejdżanu.
- Zgadza się. W Baku.
- To jak pan trafił do Iranu?
- Podczas wojny. Wszyscy tam wyjeżdżali. Nie było problemów.
- Ale co pana ojciec robił w Baku?
- Mieszkał tam, droga pani. Tam był nasz dom. Ale teraz już nie. Teraz mem Alego Ascari jest Teheran. Rozumie pani?

Spojrzała na niego z powątpiewaniem.

- A z jakich państw pochodzą pozostałe paszporty?
- Jeden chyba z Hiszpanii. - Irańczyk pogrzebał chwilę w torbie z kro-dylej skóry i wyjął z niej hiszpański paszport. Wyglądał na nowiutki. Anna isała z niego dane, które absolutnie nie przypominały danych z paszpor-irańskiego. Według dokumentu hiszpańskiego, Ascari urodził się w Ma-ycie.
- Niezła robota - stwierdziła Anna, oddając paszport Ascariemu. Popatrzył na nią dziwnym wzrokiem.
- Dziękuję-powiedział.
- A trzeci?
- Jest z Grecji - wyjaśnił. - Ale tego nie pokażę. Muszę zachować ja-eś tajemnice, nawet przed panią i pani przyjaciółmi z ambasady.
- Będą zawiedzeni, kiedy im powiem, że mi go pan nie pokazał..
- Aha. I co z tego?

Anna postanowiła nie naciskać. Dwa paszporty na razie wystarczyły. Po-ncjalny problem stanowiło owo Baku, ale zmartwienia pozostawiła cen-ali.

- Podoba mi się pani sukienka - powiedział Ascari, znowu pochylając ę ku niej na krześle. - Brązowy to doskonały kolor dla pani.

Ignoruj go, pomyślała Anna. Nie odpowiadaj. Trzymaj się zasad gry.

- W jaki sposób zarabia pan na życie? - spytała.

- Robię interesy.
- Jakie?

Irańczyk pochylił się jeszcze bliżej ku Annie, tak blisko, że czuła za-ach czosnku w jego oddechu, niezupełnie zagłuszony miętowym płynem o płukania ust. Wytężyła słuch, sądząc, że powie jej, czym się zajmuje, liestety.

- Proszę pani, wiem, że chce się pani ze mną przespać. Anna cofnęła się zdumiona.

107

- Myli się pan! - powiedziała. - Bardzo się pan myli! Już mówiłam, że nie pozwolę na takie zachowanie z pana strony.

- Nie chce pani wiedzieć, skąd ja o tym wiem? - ciągnął Ascari, nie zważając na jej protesty. - Wiem, bo sama pani do mnie zadzwoniła. Po tym, jak położyłem rękę na pani kolanie. Wtedy powiedziałem sobie: jeżeli ta amerykańska pani nie jest z CIA i pozwoliła mi położyć rękę na swoim kolanie, to musi mnie bardzo lubić. A może chce pieniędzy. Czy chce pani pieniędzy Alego? - Ascari puścił do niej oko.

- Nie - wyszczała Anna przez zęby. - Nie chcę.

- W takim razie musi mnie pani rzeczywiście bardzo lubić. I prześni su pani ze mną. Jestem szczęśliwy. Napijemy się szampana.

- Nie! Nie napijemy się szampana. I na pewno nie zamierzam pójść z panem do łóżka. To jest absolutnie wykluczone. Słyszysz mnie pan?

Anna bała się, że zaczyna wpadać w histeryczny ton, ale nawet kelne nie zwracał na nich uwagi. Tych kilka osób siedzących w restauracji myślał zapewne, że każda kobieta z Zachodu, umawiając się z mężczyzną takim jak Ascari, sama prosi się o kłopoty. Trzymaj się, Anno, powtarzała sobie w myślach. Zachowaj spokój.

- Mam dla pani niespodziankę - powiedział Irańczyk słodko. - A właściwie dla pani przyjaciół z ambasady. Dużą niespodziankę.

- To miło, ale najpierw skończmy z pana danymi. Jaki ma pan zawód?

- Robię interesy, już pani mówiłem.

- Jakie interesy?

- No wie pani, interesy. Wszystkie. Jak pani chce kupić, to ja sprzedam. Jak pani chce sprzedać, ja kupię. Po prostu interes.

- Może więc nazwiemy to „handlem” - zaproponowała Anna. Otworzyła notatnik i zapisała: „Handlowiec”. Robiąc to zauważyła, że Ascari pochylał się jeszcze niżej i przyglądał się teraz jej nogom.

- Wie pani co?
- Nie. Co takiego?
- Nie cierpię majtek. Nie znoszę ich.
- Niech się pan zamknie! - Głos Anny przeszedł w krzyk.
- A wie pani dlaczego!
- Zamknij się! Przestań! - Czuła, że traci nad sobą panowanie.
- Dlatego - Irańczyk zachichotał - że nie da się wsadzić palca (środką!
- Ty ohydna glisto! - Uderzyła go mocno w twarz, po czym wyszła i toalety.

W łazience spryskała twarz zimną wodą i zastanowiła się nad sytuacją; Czuła wściekłość, zarówno na siebie, jak i na Ascariego. To ona straciła ko

108

ę, najpierw nad nim, a potem nad swoimi emocjami. Czuła się upokorzona i wykorzystana, a co gorsza, niekompetentna. Po kilku chwilach trzeźwego rozmyślenia postanowiła, że czas powetować sobie straty. Z jakiegoś nie-identycznego źródła Ascariego miał jej numer telefonu. Zamierzała zostawić tę awę - po prostu wyjść z restauracji, zadzwonić do Howarda z budki telefonicznej i powiedzieć mu, żeby znalazł sobie kogoś innego. Właśnie czesała włosy, kiedy przypomniała sobie o „wielkiej niespodziance” Ascariego. Wiedział, że ma wielką niespodziankę dla ambasady. O co mu, do diabła, było chodzić? Powinna się tego dowiedzieć. Przynajmniej go zapytać. To był jego ostatni kontakt z Ascarim, absolutnie ostatnia rozmowa. Potem nie chciała wyjść. Anna skończyła czesać włosy, przez długą chwilę przyglądała się sobie w lustrze, po czym wróciła do stolika. Kiedy weszła na salę, Ascariego siedział zadowolony na swoim miejscu, niechając się i pijąc whisky. Wyglądał jak baran, o ile wiesz mógł wyglądać: jak baran.

- Proszę nigdy więcej tego nie robić - powiedziała Anna. - Rozumie i?

Ascariego skinął głową. Przez dłuższą chwilę milczeli oboje. W końcu ciszę przerwał Irańczyk.

- Przepraszam, że potraktowałem panią jak prostytutkę - powiedział. - Jest pani prostytutką. Pracuje pani dla CIA.

- Już panu mówiłam, gdzie pracuję - stwierdziła Anna spokojnie.

- To jasne, że jest pani z CIA! - powtórzył Ascariego. - Nie jestem głupi. Anna nie odpowiedziała. Niech ten konus myśli, co mu się podoba, po-

edziła sobie w duchu.

- Powinna mi pani o tym powiedzieć. Wtedy nie byłbym taki pewien, że ce pani ze mną iść do łóżka.

- Proszę zostawić ten temat. Niech pan powie lepiej, co to za wielka ispodzianka.
- Aha, moja niespodzianka? Dobrze. Proszę słuchać bardzo uważnie, to wielka rzecz. Wielka rzecz.
- Słucham - powiedziała Anna, a w myślach dodała: „Kończ jak naj-pbciej i uciekaj stąd”.
- Ludzie Chomeiniego nienawidzą Ameryki. Wie pani o tym? Ameryka jrowadziła na tron szacha. Ameryka zrobiła z Iranu swoją dziwkę i trakto-iła ten kraj jak tanią prostytutkę. Dlatego właśnie ludzie Chomeiniego nie-widzą Ameryki.
- Tak. Wiem o tym. Wiem, że nienawidzą Ameryki.
- Knują plan zemsty. Za rok macie wybory prezydenckie, prawda? Anna przytaknęła.
- I dlatego ludzie Chomeiniego planują zabić wszystkich kandydatów prezydenta.

109

- Co?
- Właśnie tak. Zabić. Bum! Trach!
- Których?
- Prezydenta i pozostałych kandydatów. I ludzi, którzy dla nich pracują
- Co takiego? - Anna poczuła, że kręci jej się w głowie.
- Przecież powiedziałem. Ludzie Chomeiniego planują zabić wszystkie kandydatów na prezydenta w następnym roku. Innych wysoko postawionyc Amerykanów też.
- Gdzie? Podczas zjazdów?
- Nie wiem. Może podczas zjazdów.
- Skąd pan o tym wie?
- Teraz mogę tylko tyle powiedzieć. Za resztę musicie zapłacić.
- Kto jest w to zamieszany? Jakies nazwiska?
- Hej! Już powiedziałem. Nie zdradzę nic więcej, dopóki mi nie zapłać cie. Proszę to przekazać swoim przyjaciołom w ambasadzie. Koniec bzdur
- Jak mogę się z panem skontaktować?
- Pod tym samym numerem, który pani podałem. Z tym, że jutro jeżdżam w interesach. \
- Dokąd?
- Do Turcji.

- Gdzie się pan zatrzyma?
- W Stambule. Oczywiście w „Hiltonie”. To najlepszy hotel.
- Z jakim paszportem będzie pan podróżował?
- Z irańskim. Inne trzymam do bardziej skomplikowanych interesów.
- Kiedy pan wraca?
- Za tydzień. Może dwa. Nie wiem.
- Dziękuję za informacje. Co nie znaczy, że przestałam uważać pana skunksa. - Anna wstała od stolika.
- Chwila! Proszę zaczekać! - powiedział Ascari.
- Tym razem nie zjemy razem lunchu, zgoda? - Anna szybko ruszyła drzwi. Po raz pierwszy w życiu tak bardzo cieszyła się z zakończenia jakiejś sprawy.
- Dynamit! - stwierdził Howard kilka godzin później, gdy Anna z mu dokładną relację ze spotkania. Tym razem w sprawozdaniu niczego pominęła. Przedstawiła wszystkie obrzydliwe gesty, insynuacje, każde 'nie pieniędzy, wszystkie zuchwałe twierdzenia, że Anna pracuje dla agencji. Miała zamiar poprosić o odebranie jej tej sprawy, tylko że nie zdążyła trzeci do tego punktu swojego planu. Howarda za bardzo podekscytował seks zamachowców.

Anna próbowała go trochę ochłodzić.

110

- Co?
- Właśnie tak. Zabić. Bum! Trach!
- Których?
- Prezydenta i pozostałych kandydatów. I ludzi, którzy dla nich pracują
- Co takiego? - Anna poczuła, że kręci jej się w głowie.
- Przecież powiedziałem. Ludzie Chomeiniego planują zabić wszystkich kandydatów na prezydenta w następnym roku. Innych wysoko postawionych Amerykanów też.
- Gdzie? Podczas zjazdów?
- Nie wiem. Może podczas zjazdów.
- Skąd pan o tym wie?
- Teraz mogę tylko tyle powiedzieć. Za resztę musicie zapłacić.
- Kto jest w to zamieszany? Jakieś nazwiska?

- Hej! Już powiedziałem. Nie zdradzę nic więcej, dopóki mi nie zapłać cie. Proszę to przekazać swoim przyjaciołom w ambasadzie. Koniec bzdur
- Jak mogę się z panem skontaktować?
- Pod tym samym numerem, który pani podałem. Z tym, że jutro jeżdżam w interesach.
- Dokąd?
- Do Turcji.
- Gdzie się pan zatrzyma?
- W Stambule. Oczywiście w „Hiltonie”. To najlepszy hotel.
- Z jakim paszportem będzie pan podróżował?
- Z irańskim. Inne trzymam do bardziej skomplikowanych interesów
- Kiedy pan wraca?
- Za tydzień. Może dwa. Nie wiem.
- Dziękuję za informacje. Co nie znaczy, że przestałam uważać pana skunksa. - Anna wstała od stolika.
- Chwila! Proszę zaczekać! - powiedział Ascari.
- Tym razem nie zjemy razem lunchu, zgoda? - Anna szybko ruszyła drzwi. Po raz pierwszy w życiu tak bardzo cieszyła się z zakończenia j sprawy.
- Dynamit! - stwierdził Howard kilka godzin później, gdy Anna z mu dokładną relację ze spotkania. Tym razem w sprawozdaniu niczego pominęła. Przedstawiła wszystkie obrzydliwe gesty, insynuacje, każde ' nie pieniędzy, wszystkie zuchwałe twierdzenia, że Anna pracuje dla age Miała zamiar poprosić o odebranie jej tej sprawy, tylko że nie zdążyła trzeci do tego punktu swojego planu. Howarda za bardzo podekscytował sek zamachowców.

Anna próbowała go trochę ochłodzić.

- Przez niego nie mam przykrywki. Wie, że pracuję dla agencji.
- Nieee! Przecież nie potwierdziłaś, prawda?
- Nie. Oczywiście, że nie.
- W takim razie nie przejmuj się tym za bardzo. Irańczycy mają świra na nkie szpiegów. Wydaje im się, że wszyscy pracują dla CIA, więc co to ma znaczenie?

Anna zmarszczyła brwi.

- Dobrze - zgodziła się, choć wciąż nie była co do tego przekonana.
- Naprawdę powiedział to o majtkach?
- Daj spokój, Howard, nie jestem w nastroju.
- No dobra, przepraszam. Zresztą, czeka nas kupa roboty. Musimy jak i szybciej przekazać do centrali to, czego się dowiedziałaś. Pronto. Oznaj to, że będziesz pomagała w przygotowaniu twojego pierwszego raportu eracyjnego.

Howard wyjął z teczki gotowy formularz i pokazał go Annie.

- Wiesz, jak działa system gradacji? - spytał.
- Niezupełnie.
- No tak. - Dyplomata przybrał ton profesorski. - Oceniamy każdy raport wywiadowczy według dwóch norm: jakości źródła i wiarygodności informacji. Źródło otrzymuje oceny od A do F. A oznacza całkowicie godne ufania. B - zwykle godne zaufania. C - dość wiarygodne. D - zwykle mało wiarygodne. E - niegodne zaufania. F oznacza, że wiarygodności źródła nie się ocenić. Rozumiesz?
- Pewnie. Przecież nie jest to aż tak skomplikowane.

Howard wyglądał na lekko rozczarowanego.

- Nie. Rzeczywiście nie jest - przyznał. - Treść informacji oceniamy taki sam sposób, od jednego do sześciu. Jedynka oznacza, że wiadomość stała potwierdzona przez inne, niezależne i wiarygodne źródła, dwa, że >t prawdopodobnie prawdziwa, trzy - przypuszczalnie prawdziwa, cztery - wątpliwa, pięć - prawdopodobnie fałszywa, sześć - jej ocena jest niemożliwa. Łatwe, prawda?
- Łatwe - potwierdziła Anna. - Tak jak skala nasycenia barwy. Z tym, akurat tutaj wszystko jest przeważnie szare.
- Łapiesz. W praktyce nie ma czegoś takiego jak A-jeden. Przynajmniej nie na tym świecie. Większość z tego, co otrzymujemy, oceniana jest na C-ry. Przypuszczalnie prawdziwa informacja z dość wiarygodnego źródła, innymi słowy środek skali szarości.
- Mój ulubiony kolor.
- A zatem pytanie brzmi: „Jak powinniśmy ocenić twojego kolegę, pana Scari?”
- Czy istnieje jakaś oddzielna kategoria dla „kompletnych kretynów”?
- Niestety, nie.
- No to będę musiała określić go na F-sześć. Nie mam pojęcia, czy można mu wierzyć. Nie wiem, czy to, co mówi jest prawdziwe.
- Zgadza się - stwierdził Howard. - Zostaje F-sześć. - Spojrzał na formularz. - Następny punkt: „Kiedy i gdzie uzyskano informacje”. Zapisuję: Londyn. Jaką dziś mamy datę?

- Dwudziestego piątego lutego.

Howard zapisał datę i miejsce.

- A teraz musimy mieć charakterystykę.

- Co takiego?

- Krótki opis Ascariego, który zamieścimy w raporcie. O tutaj, w punkcie „źródło”.

- No, nie wiem - Anna zawahała się. - Może określimy go jako Irańczyka, który utrzymuje, że ma kontakty z kręgiem Chomeiniego i którego wiarygodność nie została dowiedziona.

- Wspaniale. - Howard zapisał jej opis słowo w słowo. - A teraz soczyste kawałki.

- Nie ma tego wiele. Informator doniósł o planowanym przez Irańczyków skupionych wokół Chomeiniego zamachu na kandydatów do prezydenckich wyborów w kampanii tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego roku, również na prezydenta i członków jego kancelarii, prawdopodobnie w okresie zgłaszania kandydatur. To wszystko.

- W zupełności wystarczy, kochana - stwierdził Howard. - Uwierzyć to obudzi tych w domu.

- A fakt, że Ascari urodził się w Związku Radzieckim? Czy to nie stał się nowym problemem?

- Jeżeli chodzi o mnie, to nie. Z Azerbejdżanu, z Iranu... co za różnica? Przynajmniej ludzie z agencji będą mieli coś do roboty. Jeżeli ktoś uzna, i mu to przeszkadza, na pewno się o tym dowiemy.

Ascari wcisnął odpowiedni przycisk. Zrobił to tak, jakby dokładnie wiedział, w jaki sposób działa amerykański rząd. Musiał wiedzieć, że w chwili gdy rządowa agencja otrzyma ostrzeżenie o zamachu na prezydenta lub kandydatów na to stanowisko, informacja ta zyska zupełnie inny status niż zwykły agencyjny wywiad, a zatem nie będzie podlegała takim samym normom oceny. Po śmierci Kennedy'ego w sześćdziesiątym trzecim roku żadna rzeczowa agencja nie chciała mieć w swoich aktach ostrzeżenia o zamachu, które zignorowano, ponieważ jego źródło uznano za niewiarygodne.

Centrala odezwała się już w nocy. Londyn. Wiadomość priorytetowa. Wielki huk. Chcieli zdobyć od Ascariego więcej informacji tak szybko, jak to było możliwe i zezwalali na agresywne przeprowadzenie negocjacji z nim łącznie z jednorazową zapłatą w wysokości tysiąca dolarów za informację

112

z przekazane. Nadali mu kryptonim - SDROTTEN, który na chybił trafił /brano ze słownika.

Upoważniali też oficera zajmującego się sprawą, Amy Gunderson, do natychmiastowego wyjazdu do Stambułu. Miała ona nadal rzymywać, że jest pośrednikiem pomiędzy Ascariem i ambasadą.

Anna nagle stwierdziła, że stała się gwiazdą. Pięknooki Dennis ucałował, kiedy przyszła do pracy następnego dnia rano. Nieco później przybył ku niej z „bohaterogramem” od S/NE, czyli szefa działu północno-wschodnie-). „Gratuluję Gunderson profesjonalnego przeprowadzenia trudnej sprawy, zedmiot jest niezwykle interesujący i bardzo na czasie. Raport wykorzystany w porannym biuletynie oraz w memorandum do dyrektora NFAC”. Co najważniejsze, otrzymała osobistą wiadomość od

Margaret Houghton, przeizaną przez placówkę londyńską. Anna nie miała pojęcia, skąd Margaret »wiedziała się o sprawie. Wiadomość była krótka: „Dobra robota!”. Wszystko i bardzo utrudniało Annie zrobienie tego, co planowała - porzucenie sprawy Ascariego.

Następnego dnia do spółki Halcyon przyniesiono paczkę adresowaną do innej Bames. Dostarczył ją posłaniec. Poza adresem odbiorcy nie było na niej żadnych innych oznaczeń. Anna zastanawiała się, co przesyłka mogła awierać. Nowe dokumenty dla podtrzymania jej oficjalnego wizerunku? Formularze ubezpieczeniowe z działu personalnego? Nowy podręcznik szkoleniowy? Z ciekawością otworzyła paczkę. W środku, ku swojemu zaskoczeniu, znalazła starą książkę ze zniszczonymi rogami. Liczne ślady użytkowania ugerowały, że przeszła ona przez wiele rąk, zanim dotarła do niej. Anna stworzyła okładkę. Książka została napisana cyrylicą w języku tureckim, ale łatwo widząc datę i miejsce wydania na stronie tytułowej: - „Baku 1967”, Anna domyśliła się, co to takiego.

Książka nosiła tytuł Islam din galgylary - „Relikty islamu” - a napisali ją lewicowi M. M. Sattarow. Anna przerzuciła kilka kartek. Przypuszczała, że jest o studium współczesnej religii islamskiej w Azerbejdżanie, przedstawiające także szczegółowe opisy świętych miejsc i kultów sufi w Republice Związku Radzieckiego. Kiedy przewracała strony, pomiędzy kartkami wypadła ręcznie napisana notatka. Anna podniosła ją.

„To może być wspaniałym prezentem dla twojego nowego przyjaciela - rzeczyła. - Powodzenia w Stambule”. Wiadomość podpisano „Stone”.

- Przywieź mi trochę tureckich irysów - powiedział Howard, kiedy spotkali się wieczorem, aby zaplanować następną fazę sprawy.
- W Stambule nie mają tureckich irysów.
- No to przywieź mi turecki ręcznik.

8-Siro

113

- Tego także tam nie mają.
- No to nic nie przywoź.

Zaczął przedstawiać plan.

- Podróż musisz zorganizować sobie sama. Możesz poprosić dział administracji w Halcyon, żeby dokonali za ciebie koniecznych rezerwacji. Proszę, żebyś poleciała klasą „economy”. Potem masz dotrzeć na miejsce jak najszybciej,pronto, zanim Ascari wybierze się gdzie indziej.
- A pieniądze?
- Zapłacisz mu tysiąc gotówką.
- Może uznać, że to za mało. Może zażądać więcej.

- Wtedy zagraj na czas. Powiedz, że musisz to ustalić ze swoimi przyjaciółmi w ambasadzie. I uprzedź go, że kiedy wróci do Londynu, będziemy musieli wpisać go do akt, jeżeli chce dostać więcej pieniędzy. Czas zakręcić się wokół tego gościa.
- Czy mogę mu powiedzieć, że jestem z CIA?
- Nie, na litość boską. Przecież jesteś tajną agentką.
- Proszę, Howard. Naprawdę uważam, że tak będzie lepiej. On i tak już to wie.
- Nic nie wie. Może tylko podejrzewa. To wielka różnica. Zresztą, czy to ma jakieś znaczenie?
- Dla mnie ma. - Anna zastanawiała się, w jaki sposób ma wyjaśnić drażliwą naturę problemów, jakie miała z Ascarim i nie wyjść przy tym na mal-kontentkę. - Posłuchaj, będę z tobą szczerą. Jeżeli dowie się, że jestem z agencji, to może przestanie mi się tak naprzykrzać. Potraktuje mnie jak oficera wywiadu, a nie jak obiekt seksualny.
- Aha. - Howard nie był o tym przekonany. - Mogę sprawdzić to z centralą, ale wydawali się dość nieugięci. Według nich należy zostawić ten figowy listek. Raczej nie zmienią w tej sprawie zdania. Chyba że jest jakiś poważny problem. - Słowa „poważny problem” wypowiedział tak, jakby chodziło o jakąś chorobę.
- Nie - westchnęła Anna. - Na razie wszystko w porządku. - Z rezygnacją podparła głowę dłońmi.
- O co chodzi, złotko? - Howard starał się dać swojej podwładnej jakieś oparcie. - Dopadła cię trema?
- Nie o to chodzi. Nie jestem pewna, czy to właśnie ja powinnam zająć się tym człowiekiem.
- Dlaczego nie? Jak na razie idzie ci świetnie.
- Wcale nie. Idzie mi fatalnie. Nic się nie układa tak jak powinno. Jak to nazwałś? Relacje. Otóż nie ma żadnych relacji.
- To znaczy?
- To znaczy, że nienawidzę tego człowieka. Jest obrzydliwym chamem. Naprawdę się ucieszę, jeżeli nie będę go musiała oglądać już nigdy więcej.

114

I - Posłuchaj, przecież nie wychodzisz za niego za mąż. Tylko nad nim lacujesz. Jak dotąd wszystko szło doskonale. Głowa do góry! Jesteś wspa-pła.

I - Brzydzę się nim.

I - Powiem ci coś. - Howard objął Annę ramieniem. - Jeżeli nie zmienisz lania po spotkaniu w Stambule, zastanowimy się, czy nie przekazać go ko-uś z ambasady. Dobrze?

- Dobrze - zgodziła się. Odetchnęła głęboko. - Jeszcze tylko jedno.
- Co takiego?
- Co mam robić w nagłym wypadku?
- Na przykład jakim?
- Nie mam pojęcia. Jeżeli w Stambule pojawi się jakiś problem. Z Asca-p. Jeżeli będę musiała skontaktować się z kimś z centrali.
- Zadzwoń do szefa bazy w Stambule. Nazywa się Taylor. Prześlemy m depeszę uprzedzając, że wejdiesz w jego rewir. Zanim wyjedziesz, mu-imy jeszcze opracować jakiś rozpoznawczy kod. Nie dzwoń do niego, jeżeli ie będzie to absolutnie konieczne. Takie rozwiązanie nie jest bezpieczne.
- W porządku.
- I nie martw się, na litość boską! Świetnie sobie dasz radę. Tylko nie awal. - Roześmiał się głośno. Anna próbowała mu zawtórować, ale nie mogła musić się do śmiechu.

1A nna przybyła do Stambułu późnym popołudniem. Samolot wylądował |i \ w szarej chmurze smogu, która przykrywała lotnisko i ciągnęła się przez pały Bosfor aż po Anatolię. Lotnisko wyglądało jak wojskowa baza w jednym z państw Trzeciego Świata: wieże obserwacyjne i drut kolczasty odgradzający pasy startowe; biedni poborowi stojący na warcie w zimowym chłodzie, odmrażający sobie tyłki, żeby generałowie mogli udawać, iż panująnad sytuacją. Wszędzie królowały kurz i gruzy, nieodmiennie zdobiące publiczne miejsca w krajach Trzeciego Świata, podobnie jak falujące tłumy, których nie dało się ustawić w równe szeregi.

Dla samotnie podróżującej kobiety przybycie do takiego miasta nigdy nie jest łatwe. Zbyt wiele par oczu ją obserwuje, zbyt wiele rąk wyciąga się po bagaż, zbyt wielu kierowców taksówek usiłuje zdobyć klientkę. Annie tego dnia wszystkie nieprzyjemności wydawały się bardziej przykre niż zwykle. Krępy, niski mężczyzna na lotnisku zbyt długo sprawdzał jej paszport:

studiował dokument, przyglądał się jej twarzy, patrzył w paszport raz jeszcze, porównywał dane z czarną listą numerów. Anna starała się zachować obojętność, nic po sobie nie zdradzić, nawet się nie uśmiechać - ale czuła, że nogi uginają się jej w kolanach. W końcu urzędnik podstemplował dokument i dał jej znak, że może przejść.

Anna podniosła torbę i ruszyła w kierunku przejścia oznaczonego zielonym napisem „Nic do oclenia”. Zatrzymał ją celnik. Czyżby ją przejrzeni? Czy mimowolnie zwróciła na siebie ich uwagę, skłaniając do sprawdzenia bagażu? Może miała winę wymalowaną na twarzy? A może sam fakt, że była samotnie podróżującą kobietą robił z niej podejrzaną? Przeszukano jej walizkę, grzebiąc w ubraniach, a potem kazano iść dalej. Nieprzyjemny stary portier gwałtownie chwycił jej torbę i odniósł do wejścia na terminal; Anna nie miała tureckich pieniędzy, więc dała mu brytyjskiego funta, a kiedy zaczął narzekać, dołożyła drugiego.

Kiedy w końcu znalazła taksówkę i usadowiła się na sztucznej skórze lamparta wyściełającej siedzenie, miała ochotę zacząć krzyczeć. W drodze z lotniska jej humor odrobinę się poprawił. W

smogu rozpoznawała kontury krajobrazu: rdzewiejące frachtowce kotwiczące na morzu Marmara; mrowie samochodów, łodzi i ludzprzymocie Galata.

Stambuł wyglądał okropnie. Anna ze zdumieniem patrzyła, jak bardzo miasto podupadło przez dwa lata, od czasu kiedy je odwiedziła po raz ostatni. Przypominało zajęętą przez wroga stolicę: wyblakłe plakaty polityczne na każdym murze; na placach i skrzyżowaniach blaszane dźwięki tanich głośników, z których płynęły teksty propagandy politycznej; ochroniarze przyglądający się ludziom z hotelowych korytarzy i wind. Anna przypomniała sobie stare powiedzenie: „Wszyscy Turcy są tacy sami: dwoje oczu i wąsy”. To się nie zmieniło.

Zameldowała się w hotelu w Taksim - średniej rangi, nie za ładnym, nie za brzydkim. Potem kupiła kilka tureckich gazet, poszła na górę i przeczytała je w spokoju. Pierwsze strony każdej z nich zajmowały artykuły na temat terroryzmu. „Cumhuriyet” pisała o podłożeniu bomb w lewicowej księgarni w Stambule. „Tercuman” powiadamiała o ataku na prawicową kawiarnię w Malatya. Odnosiło się wrażenie, że w całym kraju źle się działo.

Anna zdecydowała, że nie powinna dzwonić do Ascariego od razu pierwszego wieczoru. Plan operacyjny nie określał ściśle tej kwestii. Ustalono, że sama podejmie decyzję w zależności od tego, jak się będzie czuła, a czuła się i okropnie. Nie miała ochoty z nikim rozmawiać, nawet z turecką pokojówką która widząc, że Anna jest sama, starała się być dla niej miłą. Zamówiła kolację do pokoju i obejrzała jakiś teleturniej w tureckiej telewizji. Potem zajrzała do książki, którą przywiozła ze sobą Rubajatów Omara Khayyama. Dostała ją od ojca wiele lat temu, kiedy zdała na studia. Dotarła zaledwie do siódmego czterowersza i zasnęła.

116

ikże następnego ranka nie zadzwoniła do Ascariego. Ciągle jeszcze nie a się pozbierać. Nie chodziło o to, że nie znała miasta. Dwa lata temu zwiedziła każdy centymetr Stambułu - spędziła wtedy lato na zbieraniu materiałów do doktoratu w tutejszych archiwach - ale miała wrażenie, że się to w poprzednim życiu, gdy wciąż jeszcze była niewinną, może inę znudzoną doktorantką, a Stambuł traktowała jak plac zabaw.)dczas śniadania, które zjadła w pokoju, postanowiła najpierw odwiedzić jakieś miejsca w mieście. Archiwa Basbakanlik, gdzie zbierała materiały - może nawet tamtejszą herbaciarnię, w której poderwała pewnego tu-go profesora. Mogła nawet przeprowadzić małe poszukiwania i sprawozdania Turków osmańskich i rodów książęcych w dawnym Baku. ro potem, po odzyskaniu równowagi, zamierzała zadzwonić do Alego iego.

Topkapi Sarayi, Lutfen - powiedziała taksówkarzowi. Po dwudziestu latach przepychania i przedzierania się przez ruch panujący na ulicach lali do murów pałacu Topkapi. Stamtąd Anna przeszła kilkadziesiąt w do szarego budynku mieszczącego archiwa Wielkich Wezyrów, pre-w imperium osmańskiego. Ta ponura budowla była jej ulubionym miejscem w Stambule, ponieważ stanowiła kwintesencję wszystkiego, co czyniło ją tak tajemniczym i śmiesznym zarazem. Anna pokazała swoją dawną ustkę czytelnika w głównym wejściu i skierowała się do czytelnika, zytelnia w Basbakanlik była sceną, jaką mógłby sobie wyobrazić leński odpowiednik Charlesa Dickensa. Opiekę nad nią sprawowała starożytna, którą odwiedzający bibliotekę obcokrajowcy oczywiście prze-i Smoczą Damą. Jej główna przyjemność polegała na odmawianiu nam dostępu do materiałów archiwalnych. Często nie musiała się zbytnio ić, ponieważ katalogi prowadzono mało systematycznie i niekonse-ktnie, tak więc trudno w nich było znaleźć cokolwiek. Niemcy porwali irawdzie na skatfiogowanie całych archiwów w ciągu kilku

dziesięcio-jednocześnie których odgrywali wobec Turków rolę Wielkiego Brata, ale : oni musieli skapitulować. Biblioteka mieściła dziesiątki tysięcy doku->w, pisanych ręcznie w języku tureckim, a ich część pochodziła jeszcze z następnego wieku. Nikt jednak nie wiedział nigdy, gdzie dokładnie się znajdowały. Pewne było jedynie to, że wszystko, co uznawano za politycznie niebezpieczne - a zatem dotyczące konfliktów z Armenią, Bułgarami czy choćby z Grekami - zostało usunięte z półek.

Oczywiście żaden badacz nie miał dostępu do bibliotecznych regałów. To by było wbrew zasadom. Smocza Dama wysyłała jednego ze swoich faworytów do magazynu, gdzie trzymano prawie wszystkie materiały, aby odnalazł tom, o który prosił czytelnik, zakładając, że dostęp do dzieła nie za-

kazano, no i oczywiście że dało się je odnaleźć. Zakazów było całe mnóstwo. Stworzono nawet oficjalną listę dwudziestu jeden zasad w prawniczym języku tureckim i wywieszono ją na ścianie czytelni Basbakanlik. „W czytelni zabrania się używania długopisów, używać można tylko ołówków; jedynie biblioteczne rewery czytelnicy muszą podpisać atramentem”. „Zabrania się naukowcom opuszczać Turcję na dłużej niż miesiąc bez zezwolenia”. I tak dalej. Niestety, nie były to wszystkie zasady. Istniały też takie, których nigdzie nie wywieszono. Należało się ich domyślać.

Anna rozejrzała się po sali czytelni. Nic się nie zmieniła w ciągu dwóch lat. Lista dwudziestu jeden zasad wciąż wisiała na ścianie; Smocza Dama nadal tkwiła za swoim biurkiem; wewnętrzny system kamer śledził wszystko, co działo się w pomieszczeniu, zwykle skupiając się na czytelniczkach za każdym razem, gdy zdejmowały nogę z nogi. Przy bibliotecznych stołach tak jak zawsze siedziało kilku okulamików-obcokrajowców, wpatrujących się w osmańskie teksty.

Basbakanlik odwiedzał także kontyngent naukowców tureckich, którzy, wśród wszystkich dziwaków przychodzących do czytelni, zawsze należeli do ulubieńców Anny. Większość z nich zajmowała się historią „zawodowo” - głównie starsi mężczyźni, którzy zgłębili niuanse osmańskiego tureckiego i jako tacy oferowali swoje usługi naukowcom. Często wykonanie zadania zabierało takim tureckim badaczom całe lata. Do długości badań przyczyniły się na pewno całe godziny, jakie ludzie ci przesyпали nad stołami. Rozglądając się po sali, Anna dostrzegła czterech czy pięciu takich „zawodowych” historyków, którzy odpłynęli w świat sennych marzeń.

- Ufuk! - szepnęła, widząc znajomego idącego w jej kierunku. Był to Ufuk Celebi, jeden z asystentów Smoczej Damy. Podczas tamtych trzech miesięcy, które Anna spędziła w Basbakanlik, Ufuk odwracał dla niej strony (Zagraniczni naukowcy nie mogli sami kartkować osmańskich dokumentów tak brzmiała jeszcze jedna z zasad czytelni.) Przed wyjazdem ze Stambułu pod koniec lata Anna kupiła swojemu pomocnikowi pudełko belgijskich czekoladek. - Ufuk - powtórzyła. Chłopak, odwrócił się w jej stronę, wciąż ją nie poznając.

- Ciii - powiedział. - W czym mogę pani pomóc?

Anna przez chwilę zastanawiała się, czy powinna się przedstawić, i zdecydowała, że lepiej nie.

- Szukam jednego manuskryptu - wyjaśniła.

Ufuk spojrzał na nią z zainteresowaniem.

- Proszę zapytać tam, przy biurku - powiedział, wskazując listę dwudziestu jeden zasad.

- Ale tam czeka się tak długo. Może mógłbyś mi pomóc. Chciałabym zajrzeć do azerskich dokumentów, dotyczących głównie relacji pomiędzy: Wysoką Portą a Baku.

118

- Przykro mi, ale nie są dostępne. Te papiery nie są dostępne.

- Ale je macie?

- Proszę zapytać przy biurku - powtórzył Ufuk. Do diabła z nim, pomyślała Anna. Postanowiła najpierw napić się her-

w herbaciarni Basbakanlik. Była to miła, niewielka salka, w której pała atmosfera dziewiętnastowiecznej bałkańskiej stacji kolejowej. Tu-także nic się nie zmieniło. Miejsce to skupiało taką samą grupę napalonych doktorantów, łysiejących profesorów, szalonych Ormian i śpiących ów. Anna poprosiła o herbatę i słodki rogalik. Nigdzie nie zauważyła ijącego tureckiego profesora, który urozmaicał jej pobyt w Turcji pod-wakacji przed dwoma laty. Za to wyszedł ją trzydziestokilkuletni Nie-"ec, przysiadł się do niej i próbował ją poderwać. Niemiec sprawił wra-ie bardzo gorliwego i dzieciennego zarazem. Anna przez chwilę pozwo-mu się wygadać, po czym przestała zwracać na niego uwagę. Odszedł ezadowolony.

Anna wróciła do hotelu z silnym postanowieniem, że zrobi to, czego tak ę obawiała i zadzwoni do Ascariego do hotelu „Hilton". Usiadła na brzegu z ołówkiem w dłoni. Notes położyła na stoliku obok. Przy pierwszej bież numer Ascariego był zajęty. Przy drugiej udało jej się uzyskać połą-e.

- Marhaba - powiedział Irańczyk po arabsku. Prawdopodobnie spodzie-się telefonu od jakiegoś Araba.

- Pan Ascari? - powiedziała Anna. - Mówi Alison James.

- Kto? - Może to dobry znak. Nie pamiętał jej.

- Alison James, z banku w Londynie.

- Ach tak! Jak się pani miewa? Tak się cieszę, że znowu z panią rozma-am. Gdzie pani jest?

- W Stambule.

- Ya salaam! - wykrzyknął głośno Irańczyk. - Jak to? Czyżby przeby-pani tak wielką odległość, by zobaczyć się ze mną? Ze swoim przyjacie-

Alim Ascarim? To mój wielki dzień! Bogu dzięki! Gdzie się pani zatrzy-

?

- Chciałabym zobaczyć się z panem w interesach - powiedziała Anna. żuła, że serce jej bije coraz szybciej. - Moi przyjaciele z Londynu przysłali

'e tu z bardzo ważną wiadomością.

- Czemu nie. Spotkajmy się tutaj, w hotelu, dziś wieczorem. Będę w kasynie. O dziesiątej.

- Nie. To chyba nie najlepszy pomysł. Może lepiej jutro rano?
- Niemożliwe. Jutro wyjeżdżam do Dubaju. Jeżeli chce pani ze mną porozmawiać, musi to być dzisiaj wieczorem.
- Dobrze - zgodziła się Anna. - Ale nie w kasynie. Tam będzie zbyt tłoczno. Powinniśmy spotkać się w jakimś innym miejscu. Może w kawiarni?
- Pani nie rozumie. Jestem tutaj w interesach. Przyjaciele zaprosili mnie na kolację, potem będą razem ze mną w kasynie. Może pani wtedy przyjść. Najpierw spotka pani przyjaciół Alego. Potem możemy pogadać.
- Woląabym spotkać się w kawiarni.
- W takim razie może pani wracać do Londynu. Jeżeli chce się pani ze mną zobaczyć, musi pani przyjść właśnie wtedy. W przeciwnym razie może pani zapomnieć o spotkaniu.

Anna zastanawiała się przez chwilę. Raczej nie blefował. Może przebywając wśród znajomych będzie się lepiej zachowywał.

- W porządku - powiedziała w końcu. - W kasynie o dziesiątej.
- Proszę się ładnie ubrać, kochana. Moi przyjaciele są bardzo bogaci.
- Hej! Chwileczkę! - zaprotestowała Anna, ale Ascari już się rozłączył
-

Anna zaczęła prawie do jedenastej. Nie miała najmniejszego zamiaru siedzieć w tureckim kasynie, wysłuchując obłych propozycji obcych mężczyzn i czekając, aż Ali Ascari łaskawie się zjawi. Nie chciała czuć się jak tania dziwka. Długo zastanawiała się, co ma na siebie włożyć i w końcu zdecydowała się na prostą czarną sukienkę i zakieci od jednego z jej służbowych kostiumów - trochę dziwne połączenie, ale właśnie o to jej chodziło. Jedynym dodatkiem do jej stroju tego wieczoru była skórzana teczka zawierająca: tysiąc dolarów w gotówce i podniszczoną książkę napisaną w azerskiej odmianie tureckiego.

Ascari siedział przy stole do gry w blackjacka w towarzystwie dwóch przyjaciół. Przedstawił ich. Abdel-Aziz z Arabii Saudyjskiej, okrągły czło wieczek w białej szacie, który wyglądał jak chodząca wata cukrowa, i Sam z Libanu, mężczyzna o zapadłych policzkach, ubrany w jedwabny garnitur Ascari miał na sobie czarną marynarkę, która udawała frak. Wszyscy trzej sprawiali wrażenie lekko wstawionych.

Co za banda! Trzy modele rajdowców z siedemdziesiątego dziewiątego roku - uprawiający hazard, pijący i wynajmujący prostytutki za swój niewielki udział w setkach milionów dolarów, które z ropą wypływały na powierzchnię. W tym sezonie w całej Europie można było spotkać podobnych - w Mont Carlo, w Paryżu, w Londynie i w Atenach. Brali pięć procent od czyichś pięć procent i mimo to zarabiali jak gangsterzy.

- Zapraszamy z nami do blackjacka - powiedział Ascari, rzucając Ar nie żetony wartości dwustu dolarów.

- Nie, dziękuję - odparła. - Wolę popatrzeć.

Grali z entuzjazmem pijanych mężczyzn, którzy starali się zrobić wrażenie na bardzo trzeźwej kobiecie. Saudyjczyk wykladał się na wszystkim, h

120 *

Itnaście, na siedemnaście, raz nawet na osiemnaście. Przez ten krótki czas, Kedy Anna ich obserwowała, przegrał prawie sto dolarów. Ascari był ostrożniejszy. Podzielił swoje asy: wyłożył się na czternaście, ale nie na piętnaście; Idwajał stawkę, kiedy miał dobrą kartę. W pewnym momencie miał prze-Hgę pięciuset dolarów, ale stracił większość z tego. Kiedy wygrywał, krzyła: „Ya Salaam!”. Kiedy przegrywał, mlaskał językiem i mruzczał jakieś Irskie przekleństwa. Tylko Libańczyk stale wygrywał. Anna miała wrażenie, że był on jedynym, który liczył punkty.

■ - Panie Ascari-powiedziała w końcu ostro. Grali już prawie czterdzie-li pięć minut. Anna wskazała na zegarek.

- Tak, kochana - odezwał się Irańczyk. - Już idę. Już idę. - Podał Anie ramię.

- Do zobaczenia, chłopaki - powiedział. Mrugnął do Abdela-Aziza i Sa-liego. Puścił oko do krupiera przy stole blackjacka i dał mu pięćdziesiąt-dolarowy żeton. Wszyscy mężczyźni przewrócili oczami. Saudyjczyk połał Annie całusa. Niech sobie myślą co chcą, postanowiła. Kiedy byli już za lzwiami, uwolniła rękę i odsunęła się od korpulentnego Irańczyka.

I - Może napijemy się czegoś - zaproponował Ascari. I - Pan już chyba ma dosyć - stwierdziła Anna. - Lepiej chodźmy do ja-liejś kafejki.

■ - Już zamknięte. - Irańczyk wskazał na zegarek. Dochodziła północ.

■ - Muszę z panem porozmawiać. Na osobności.

■ - W takim razie chodźmy do pani pokoju.

■ - Nie. To wykluczone.

I - No to może do mojego pokoju. Mam apartament. Bardzo wygodny. I - Nie - powiedziała Anna. I - W takim razie dokąd chce pani iść?

■ Anna myślała przez chwilę. Nie mogła mu dać tysiąca dolarów w hotelo-lym lobby.

I - Jeżeli pójdziemy do pańskiego pokoju, nie życzę sobie żadnych problemów. Rozumie pan?

I - Ależ oczywiście. Rani pani moje uczucia. - Ali położył dłoń na sercu. I - Żadnych nieprzyzwoitych aluzji ani dotykania kolan. W przeciwnym razie dzwonię na policję i do amerykańskiego konsulatu. Narobię panu wię-łej kłopotów, niż może pan sobie wyobrazić.

- Oczywiście, oczywiście. Rozumiem panią. Ali Ascari jest dżentelmenem.

Okazało się, że Ascari miał w pokoju butelkę whisky. Od razu nalał sobie drinka. Potem na chwilę przeprosił Annę i zniknął w sypialni. Miała możliwość rozejrzeć się po pokoju. Wypełniały go przedmioty charakterystyczne

dla ludzi z kręgu petrodolarowego: paczki papierosów na każdym stoliku, otwarte, ale wypalone tylko do połowy; podarunki otrzymane i przygotowane do rozdania: cukierki, jedwabne krawaty, perfumy, pudełko cygar marki Davidoff. Był to bałaganiarski pokój bałaganiarskiego człowieka. Anna sprawdziła, gdzie jest telefon, w myślach zmierzyła odległość do drzwi i przesiadła się z kanapy na krzesło, aby Ascari nie mógł usiąść przy niej.

Irańczyk powrócił po pięciu minutach. Miał uczesane włosy i brodę, włożył jedwabny smoking połyskujący brokatem i skropił się jeszcze większą ilością swojej ohydnej wody kolońskiej.

- To nie powinno zabrać nam wiele czasu - powiedziała Anna.
- Jestem do pani usług.
- Jak zapewne spodziewał się pan, moi przyjaciele z ambasady byli bardzo przejęci wiadomościami o zamachu, które przekazał mi pan podczas naszego ostatniego spotkania.
- O tak - przyznał Ascari. - Spodziewałem się.
- Chcieliby panu podziękować za pomoc.
- Bardzo dobrze. - Ascari patrzył na teczkę, którą Anna trzymała przy sobie. - Ma pani może niespodziankę dla Alego?
- Może. Ale najpierw mam kilka pytań.
- Dobrze. Czemu nie?
- Moi przyjaciele chcą wiedzieć, kto przeprowadzi zamachy.
- Ludzie Chomeiniego, już to pani powiedziałem. Zrobią to ludzie Cho meiniego.
- Tak - zgodziła się Anna. - Jednak to nie wystarczy. Przecież dla Cho meiniego pracują tysiące osób.

Ascari zastanawiał się przez moment; przechylił głowę na bok i wpatrywał się w przestrzeń przed sobą. Anna nie miała pojęcia, czy właśnie szuka czegoś w pamięci, czy też uruchamiał wyobraźnię.

- Ci będą z Qom - powiedział.

Anna wyjęła swój notes i zapisała: Qom.

- I chyba także z Isfahanu. - Anna zapisała: Isfahan. - No i może z Te heranu też.

Tym razem Anna nic nie zanotowała.

- Z tych trzech miejsc? - spytała.

- Tak. Chyba.
- Czy ludzie ci będą współpracowali ze swoimi kontaktami w Ameryce? A może osobiście przyjadą do Stanów?
- Kontakty - stwierdził Ascari w zamyśleniu. - Wykorzystają swoje kontakty.
- To znaczy kogo?

Ali rozejrzał się po pokoju, po czym przymrużył oczy i powiedział ci chutko:

122

- Mafię.
- Mafię? - zdziwiła się Anna. - Jaką? Włoską mafię?
- Ciii. Nie tak głośno.
- Ależ to jest absurdalne. Po co mafia miałaby współpracować z grupą irskich rewolucjonistów? Przykro mi, panie Ascari, ale to nie ma najmniejszego sensu.

Irańczyk opróżnił szklanekę do dna, wstał z kanapy i chwycił podszedł stolika z telefonem, na którym zostawił butelkę whisky. Napełnił szklanekę, rozlewając więcej alkoholu poza jej brzegi niż do środka.

- Napijmy się. Dobra?
- Panu już wystarczy - stwierdziła Anna. - Nie powinien pan pić więcej lisky.
- Hej, paniusiu, idź do diabła. Nikt nie będzie mówił Alemu, co ma robić. - Upił spory łyk, mocząc przy tym brodę.
- Jakie ma pan dowody na to, że w sprawę zamieszana jest mafia?
- Żadnych dowodów. Zapomnijmy o tym. To taki nudny temat. Lepiej >gadajmy o czymś innym.
- Chwileczkę. To bardzo ważne. Przyjechałam tutaj aż z Londynu, aby rozmawiać z panem na temat planowanych zamachów. Muszę uzyskać więcej informacji.
- Ich już złapano! - wyszeptał Ascari, idąc niepewnym krokiem ku kabinie.
- Kogo?
- Tych zamachowców. Ludzi Chomeiniego. Po naszej rozmowie w Londynie złapano ich. Teraz siedzą w więzieniu.
- Kto ich złapał?
- Inni ludzie Chomeiniego. Ci dobrzy. Moi przyjaciele. Oni łapią tych takich. Dzięki mnie!
- Dlaczego nie powiedział mi pan tego wcześniej?

Ali usiadł na kanapie. Jego oczy miały marzący, nieprzytomny wyraz.

- Podoba się pani mój smoking? - spytał. - Jest jedwabny. Bardzo rogi.
- A co z mafią? Czy pan to zmyślił?
- Ali Ascari niczego nie zmyśla!
- Moi przyjaciele mają sposoby, aby dowiedzieć się, czy pan mówi prawdę. Wie pan o tym, prawda? Mają taką maszynę. Im nie można kłamać.
- Proszę zdjąć żakiet - powiedział Ali. - Niech pani wygodnie usiądzie. Ja bardzo się pani przejmuję. Dostanie pani zawału i umrze.
- Dość tych bzdur, na litość boską! - powiedziała Anna głośno. - Potrzebne mi są fakty!
- Proszę, nie powinna pani używać imienia Boga nadaremno. Nigdy nie należy tego robić. Proszę! Alego może to zdenerwować. Niech się pani od-

pręży, a zdradzę pani bardzo wielkie tajemnice. Proszę zdjąć buty. Może bołą panią stopy.

- Nie bołą mnie stopy. Co to za wielkie tajemnice?
- O Związku Radzieckim - powiedział Ascari, uśmiechając się z wyrachowaniem. - O muzułmanach w Związku Radzieckim.
- Zamieniam się w słuch.
- Ach, widzi pani! Wiedziałem, że to panią zainteresuje. Teraz proszę uważnie słuchać tego, co powie Ali. W Związku Radzieckim jest wielki problem. Wielki wybuch! Muzułmanie będą walczyli przeciw Rosjanom. Może dojdzie do wojny domowej.
- O czym pan mówi? - Anna obawiała się, że to kolejny z szalonych pomysłów Ascariego.
- Hej! Lepiej niech pani słucha. Ali wie, co mówi. Muzułmańska ludność w Związku Radzieckim jest gotowa do walki! Wysyłamy im broń. Wysyłamy im Koran.
- Kto wysyła im broń?
- Ludzie Chomeiniego. Ludzie z Afganistanu. Z Pakistanu i Arabii Saudyjskiej. Wszyscy muzułmanie chcą pomóc swoim braciom w walce z Rosjanami.
- Zaraz, zaraz. Twierdzi pan, że Iran przemyca broń przez granicę do Związku Radzieckiego?
- O tak! Cała armia muzułmańskich braci przechodzi przez granicę. To wielki sekret!
- A skąd pan o tym wie?

Ascari pochylił się ku niej i ściszył głos.

- Już pani mówiłem. Pochodzę z Azerbejdżanu! Mój ojciec jest z Baki Mam tam kuzynów. Proszę mi wierzyć. Ja to wiem.

- Broń przewożona przez granicę? - powtórzyła Anna. W tej samej chwili przypomniała sobie kogoś, kogo ta informacja bardzo by zainteresowała. Pan Edwarda Stone'a, głównego oldboya wysyłającego jej niezrozumiałe mani skrypty tureckie, mężczyznę o niewiadomej pozycji w agencji hierarchi
- Tak, broń. I inne rzeczy.
- Jakie inne rzeczy?
- No, sama pani wie. Taśmy wideo. Radia. Wideoodtwarzacze. Czem nie? Jesteśmy kupcami w naszej części świata, więc handlujemy.
- Wiem - stwierdziła Anna. - Prawdę mówiąc, zdążyłam to zauważyć Niech pan posłucha, panie Ascari, lepiej, żeby nie było to kolejne z pań kłamstw. W przeciwnym razie jest pan skończony!
- Proszę mi wierzyć! - powiedział z oburzeniem i położył dłoń na se cu. - Może nie wszystko, co powiedziałem pani o zamachach, jest prawdą. Tak. Może nie wszystko. Ale chciałem tylko, aby zwróciła pani na mnie uwagę. Bo ja wiem wiele. Mam własnych szpiegów. Takich jak ci, których pa

124

ś poznała. Abdel-Aziz i Sami. Oni wiedzą dużo. Wszystko, czego pani się dowiedzieć o Arabii Saudyjskiej i o Libanie, oni mogą pani powiedzieć. Kto jest nową kochanką saudyjskiego władcy? Kto płaci komu w Lilie za sprawianie kłopotów? Oni powiedzą mi, a ja pani. Łatwizna! Mogę być pani pomocnikiem. Na pewno pani wie, że potrzebna jest pani pomoc. r, Amerykanie, robicie naprawdę sporo bałaganu. Ali Ascari pomaga wam posprzątać. I co pani na to?

- Nie wiem - powiedziała Anna. - Muszę najpierw omówić wszystko z moimi przyjaciółmi w ambasadzie.
- Aha - mruknął Irańczyk. - Pani tylko przekazuje wiadomości, ja em. - Puścił do niej oko i po raz kolejny spojrzał na teczkę. - A zatem co pani przynosi, ha? Jaką niespodziankę ma pani dla Alego?

Anna podniosła teczkę z podłogi. Przez chwilę zastanawiała się, czy Ascari ogólnie zasłużył sobie na te pieniądze. Nie miała pojęcia, która wersja wyjaśnienia sprawy zamachów była prawdziwa, o ile w ogóle którakolwiek. Nie wiedziała też, czy powiedział prawdę o przemycańcu broni przez irańską granicę, ale przywiozła pieniądze aż do Stambułu i nie zamierzała zabierać ich z powrotem.

Otworzyła zamki teczek. Ascari wyprostował się jak zaintrygowany szkielet. Perspektywa otrzymania pieniędzy miała zbawienny wpływ na jego stan.

- Najpierw chciałabym panu przekazać prezent. - Podniosła skórzaną kopertę, wyjęła podniszczoną książkę o świętych miejscach w Azerbejdżanie i podała ją Irańczykowi.
- Co to takiego?
- Książka.
- Ach tak, to bardzo miło. Co jeszcze ma pani dla mnie?
- Moi przyjaciele uznali, że prezent spodoba się panu. To rzadkie wydanie.

- Bardzo ładne, dziękuję pani. Ale Ali nie czyta zbyt wiele. - Ascari worył książkę na stronie tytułowej bardziej z grzeczności niż z ciekawości. Wtedy zauważył cyrylicę i słowo „Baku”. - Chwila, moja pani - powiełał.

- Tak?

- To książka ze Związku Radzieckiego. O co, do diabła, chodzi? Czy mi jest z KGB?

- Nie, oczywiście, że nie. Książka mówi o islamie na terenie Azerbej-anu. Moim przyjaciołom wydawało się, że spodoba się panu, ponieważ st pan człowiekiem religijnym.

- Oczywiście. Dobrze. W porządku. Przeczytam ją później. Co jeszcze a pani dla Alego?

- Przywiozłam także nagrodę od moich przyjaciół z ambasady w Lon-mie - powiedziała Anna spokojnie. - Są wdzięczni za informacje, jakich

125

im pan udzielił. Oczywiście będą musieli upewnić się, czy są prawdziwi i być może w Londynie poproszą pana, aby poddał się pan testowi! z urządzeniem, o którym już wspomniałam, aby mieć pewność, że mówi pan prawdę.

- Pieniądze - stwierdził Ascari. - Pieniądze.

Anna ponownie otworzyła teczkę zawierającą dziesięć cienkich paczek banknotów dziesięciodolarowych. Ascari przyglądał się jej chciwie. Agent-I ka podała mu teczkę. Pieniądze nie zakrywały nawet skózanego dna. Irań-I czyk ocenił zawartość i z pomrukiem niezadowolenia cisnął teczkę na zie-I mię. I

- To obraza! - powiedział, wymachując jednym z wątlých zwitków przed twarzą Anny. - To obraza. Przecież to jest tysiąc dolarów. I

- Zgadza się. Tysiąc dolarów. Specjalna premia za informacje, jakicł pan udzielił. Moi przyjaciele sądzili, że będzie pan zadowolony. I

- Zadowolony? Czy pani oszalała? Z tysiąca dolarów? Ali Ascari wydał je tyle w jeden wieczór! Tyle płacę za ten pokój w hotelu! Te pieniądze to dla mnie obelga. To tak jakbym usłyszał od was: „Idź do diabła!”. I

- Proszę się uspokoić - powiedziała Anna, ale jej słowa nie przyniosł! żadnego rezultatu. Irańczyk, przekonany, że został śmiertelnie obrażony, wpsł dał w coraz większy gniew.

- Tysiąc dolarów! - wykrzykiwał, ciskając teczkę w drugi kąt pokoju. I Lepiej byłoby, gdybym nie dostał nic. - Cienkie paczki pieniędzy rozsypał! się po dywanie.

- Mogą zapłacić więcej, jeżeli informacje okażą się prawdziwe - pa wiedziała Anna, ale Ascari jej nie słuchał.

- Czy pani rozumie, że to dla mnie zniewaga? Potrafię zapłacić tyle kil biece za jedną noc! I to dobrej kobiecie! Nie takiej taniej dziwce z CIA i KGH

- Wychodzę - oznajmiła Anna. Wstała szybko z krzesła i ruszyła do drzwi, ale Ascari okazał się szybszy, niż myślała. Ze zwinnością właścicieli grubasom dotarł do drzwi przed nią, zasłonił je i założył łańcuch.

- Dokąd się pani wybiera? Ali Ascari jeszcze nie skończył. Ali Ascari chce otrzymać to, co mu się należy! - Oddychał ciężko, na jego czoło wystąpił pot. Wyciągnął ku Annie tłuste palce.

Dziewczyna zamarła. Zmroził ją strach i zdumienie, iż ten mały żółty człowieczek wyobrażał sobie, że zaciągnie ją do łóżka. Chciała krzyknąć, a głos uwiązł jej w gardle. Irańczyk rzucił się nagle gwałtownością pijanego człowieka, złapał jej bluzkę i rozerwał zapięcie odsłaniając koronkę stanika. To przywróciło Annie głos.

- Odczep się ode mnie, ty tłusty, mały gnoju! I

Sięgnęła po torebkę, w której miała chemiczny spray kupiony w londyńskim sklepie.

Jednak i tym razem Ascari okazał się szybszy i wytrącił jej telefon z ręki. Cholera, pomyślała Anna. Czuła, że ma zawroty głowy. Jedyne

126

co jej przychodziło na myśl, było wołanie o pomoc, ale nie miała ochoty wyjaśniać hotelowej ochronie ani tym bardziej tureckim żandarmerom, co robiła w pokoju Ascariego. Zachowaj spokój, powtarzała sobie. I, na święcą boską, nie płacz.

- Proszę mnie natychmiast wypuścić! - powiedziała, przytrzymując bluzkę. Starła się, aby jej głos zabrzmiał spokojnie i trzeźwo. - Amerykański konsul wie, gdzie jestem. Jeżeli cokolwiek mi się stanie, dopadną pana. trzegam. Proszę odsunąć się od drzwi i pozwolić mi wyjść.

- Zamknij się - powiedział Ascari. Konfrontacja z Anną tylko wzmogła

jej brawurę. Podeszedł do biurka stojącego niedaleko wyjścia, sięgnął do niej szuflady i wyjął z niej krótki nóż z zakrzywionym ostrzem. Służył do wierania kopert, ale sprawdzał się też doskonale jako broń. - A teraz lepiej żmija dla Ali Baby!

O Jezu, pomyślała Anna. Co mam robić? Błyskawicznie rozejrzała się po pokoju, szukając czegoś, czym mogłaby się obronić. Irańczyk odciął jej drogę ucieczki. Okna znajdowały się za wysoko, aby skoczyć. Jej wzrok spoczął na telefonie i stojącej obok, do połowy opróżnionej butelce whisky.

- Jak paniusia z CIA wygląda bez ubrania? - spytał Ascari, przysuwając się do niej z nożem. - Zobaczmy, czy jesteś warta tysiąc dolarów. - Załamywał ostrzem i wydawał z siebie dziwne gruchające dźwięki.

Patrząc, jak Ascari idzie w jej stronę, Anna wycofała się w kierunku stołu. Irańczyk mówił teraz w farisańskiej odmianie tureckiego. Nazwał ją żmiją i matką dziwki. Anna czuła, jak uginają się pod nią kolana. „Zrób” - powtarzała w myślach. Kiedy dotarła do stołu, błyskawicznie chwyciła butelkę jedną, a słuchawkę drugą ręką. Jej ciało poruszało się bardziej zdecydowanie, niż zdawało jej się to możliwe.

- Stój! - powiedziała, grożąc mu butelką. Irańczyk, zaskoczony jej nagłym ruchem, cofnął się o krok.

- Nie ruszaj się! - nakazała mu. Próbowała wybrać zero na tarczy dźwiękowej, w której trzymała słuchawkę, ale palec ześliznął jej się z klawiatury, idąc to Ascariego roześmiało się. Anna podjęła jeszcze jedną próbę. Wykorzystując jej chwilową nieuwagę, rzucił się ku niej z zakrzywionym nożem, krzyjąc coś po persku.

Anna wypuściła telefon i instynktownie przybrała pozycję obronną, którą nauczyła się kilka miesięcy wcześniej podczas szkolenia w motelowym pokoju w Arlington. Pochyliła się w jedną stronę, a gdy Ali rzucił się w to miejsce, gdzie jeszcze przed chwilą była, szybko się cofnęła. Kiedy zwrócił

1 z nią, Anna podniosła butelkę whisky i uderzyła. Nie trafiła Ascariego głowę, ale zadała mu cios w prawe ramię, tuż ponad łokciem. Irańczyk idł na podłogę zaskoczony siłą uderzenia.

Anna patrzyła na niego przez chwilę, zdumiona tym, co właśnie zrobiła, miała wrażenie, że przez dłoń, w której trzymała butelkę, przepływał prąd

127

elektryczny. Ascariego próbował się podnieść. Na co czekała? Gdyby ruszyła w tej sekundzie, prawdopodobnie zdołałaby dotrzeć do drzwi. Wiedziała jednak, że Irańczyk nie przestanie jej gonić, a ona czuła, że ma już dość uciekania jak na jedno życie. Raz jeszcze uniosła butelkę. Energia wypełniała teraz jej całe ciało, tak jakby po raz pierwszy ktoś włączył niewidzialny pstryczek.

Gdy Ascariego odwrócił ku niej twarz, Anna uderzyła go butelką w czoło, wystarczająco mocno, aby go posiniaczyć, ale na tyle słabo, że nie zabiła szkła. Ascariego krzyknął i opadł na podłogę ogłuszony ciosem. Wtedy Anna zrobiła coś, co wielu spośród jej kolegów uznałoby za zbyt skuteczne. Kopnęła Irańczyka w jego tłusty brzuch, a gdy jęknął, kopnęła go raz jeszcze.

Korzystając z tego, że jej przeciwnik wciąż leży na ziemi, dziewczyna szybko zebrała tyle pieniędzy, ile zdołała, wcisnęła je do teczki, chwyciła z podłogi swoją torebkę i ruszyła do drzwi. Po odblokowaniu zamka po raz ostatni odwróciła się, aby spojrzeć na Ascariego. Leżał bez ruchu. I

- Więcej tego nie rób! - powiedziała. I

Zamknęła za sobą drzwi i pobiegła do windy. Irańczyk jej nie gonił. Miał nadzieję, że zdechł, pomyślała Anna jadąc windą. Szybko wyszła z hotelu i pokonała długi podjazd. Wciąż ani śladu Ascariego. Ruszyła wzdłuż Alei Cumhuriyet. Przeszła kilkaset metrów do następnego hotelu i zatrzymała się przy drzwiach. I

Na początku portier pokręcił głową; nie chciał jej wpuścić. Uświadomił sobie, jak dziwnie musi wyglądać - w poszarpanym stroju, ociekająca potem i śmierdząca whisky, którą przypadkiem wylała na siebie, kiedy uderzała Ascariego.

Dopiero gdy odezwała się po angielsku, odzwierzy ustąpił jej z drogi. Wskazał jej, gdzie w hotelowym lobby znajduje się telefon. Anna wybrała domowy numer szefa placówki w Stambule, Alana Taylora.

Dochodziła druga, gdy zadzwonił telefon. Taylor odebrał go z cieniem niecierpliwości w głosie. W tle Anna usłyszała głos kobiety mówiącej coś «turecku».

- Mówi Wera. - Anna użyła kodu rozpoznawczego, który został opiewany, zanim jeszcze opuściła Londyn. Mężczyzna miał odpowiedzieć „Witam w Stambule”, a potem, nadal posługując się kodem, ustalić czas spotkania.

- Kto? - spytał Taylor, gwałtownie próbując odnaleźć wśród zapamiętanych nazwisk, pseudonimów i kryptonimów to właściwe.

- Wera - powtórzyła Anna. - Mówi Wera.

- Czy ja panią znam?

- Tak, do cholery! - Anna czuła narastającą złość. - Jestem gościem

128

- Aha. - Taylor przypomniał sobie depeczę zawiadamiającą go, że ktoś niedługo przyjeżdża do Stambułu. - Rozumiem.

- Dzwonię dlatego, że dziś w nocy miałam kłopoty - wyjaśniła Anna. Taylor zaczął słuchać uważnie.

- Czego pani potrzebuje? Gdzie pani teraz jest? Zaraz przyjadę.

- Nie. - Anna wiedziała, że to nie było bezpieczne rozwiązanie. Co więcej, oznaczałoby to oddanie się pod opiekę mężczyzny, której w tej chwili

*_o pragnęła, a jednocześnie jej nie chciała.

- Na pewno? - naciskał Taylor.

- Z tym możemy poczekać. Spotkajmy się o drugiej.

- Co takiego? - Taylor wiedział, że jego rozmówczyni używała kodu, zapomniał, co to oznaczało. Takich szyfrów było mnóstwo, inny dla każ-

go rodzaju agentów czy informatorów. W tym akurat przypadku, „o pierw-j” oznaczało natychmiast, a „o drugiej” - następnego dnia.

- Spotkajmy się o drugiej - powtórzyła Anna.

- Och, chrzanić to wszystko - zachnął się Taylor. - Spotkajmy się jutro o.

- Dobrze. Gdzie? - Wiedziała, że skoro zapomniał kodowych oznaczeń czasu spotkania, to na pewno nie pamiętał też tych, które miały oznaczać miejsce.

- U mnie - powiedział Taylor.

Anna odłożyła słuchawkę. Spotkanie w konsulacie było mało profesjonalnym posunięciem, ale akurat w tej chwili Anna uznała, że jest jej wszyst-jedno.

Była zmęczona. Nie miała zamiaru wracać do swojego hotelu, gdzie As-' mógł ją znaleźć. Po prostu zameldowała się w tym, w którym się znalazła. Policzyli jej o wiele więcej niż powinni tylko dlatego, że

pokój wynaj-owała o tak późnej porze samotna kobieta. Było jej wszystko jedno. Czuła enaturalny spokój. Irański agent próbował ją zgwałcić. Pobiła go i zostawiła w pokoju hotelowym. Mógł nie żyć. Może powinna płakać, ale czuła jedyne zmęczenie. Wzięła prysznic i wsunęła się pod kołdrę. Spała mocno aż do a.

A nna czekała na Taylora prawie godzinę. Kiedy wreszcie przybył do kon-r\ sulatu, wyglądał jak ktoś, kto zeszłej nocy za dużo wypił i za mało spał. Anna siedziała w pokoju recepcji na pierwszym piętrze Palazzo Corpi i czy-

✓

9-Siro

129

tała książkę. Najpierw Taylor minął ją, nie zwracając na nią uwagi. Najwidoczniej nie pasowała do jego wyobrażenia „Wery”. W telefonie słyszał mocny, ostry i opanowany głos. Ciemnowłosa i zielonooka kobieta na kanapie wyglądała na znacznie młodszą i wrażliwszą.

- Co się, do diabła, stało? - spytała Anna, kiedy recepcjonistka wskazała ją Taylorowi.
- Miałem ciężką noc.
- Nie tak ciężką jak ja. Proszę mi wierzyć.
- W takim razie wejdź i opowiedz mi o wszystkim. - Taylor podał jej ramię i poprowadził przez dziedziniec do swojego biura w dobudówce. W gabinecie piętrzyły się pudła z podaniami Irańczyków o przyznanie wize. Taylor przeglądał je w nadziei, że znajdzie ludzi, którzy przedstawiliby jakąś wartość dla wywiadu. Zdjął jedno z pudeł z kanapy i gestem zaprosił Annę aby usiadła, po czym zamknął drzwi.
- Przykro mi z powodu zeszłej nocy — powiedział. - Na pewno przysłał mi depezę, że przyjeżdżasz, ale zupełnie nie pamiętam, co w niej było. Kin ty w ogóle jesteś?
- Amy L. Gunderson - powiedziała Anna. - Czy to ci coś mówi?
- Nie - przyznał Taylor. - Ale moja pamięć do pseudonimów nie jest najlepsza.
- Pracuję jako tajna agentka. W Londynie.
- A jak naprawdę się nazywasz?
- Nie wiem, czy powinnam to zdradzać.
- Pewnie. A co tam.
- Anna Barnes. Jestem nowa.
- A zatem, co się stało, Anno Barnes?

- Zeszłej nocy miałam nieprzyjemną przygodę z Irańczykiem, którego próbowaliśmy zwerbować.
- Głos miała spokojny, może odrobinę zmęczony. Energia, która przepełniała ją w nocy, opuściła ją zupełnie.

- Jak on się nazywa?

- Ali Ascari. Wczoraj w nocy miałam z nim spotkanie w jego pokój hotelowym w „Hiltonie”. Ascari upił się i zaczął agresywnie zachowywać. Musiałam go uderzyć butelką whisky. Obawiam się, że mogłam go poważnie zranić.

- Co on robił?

- Próbował mnie zaatakować. - Celowo nie użyła słowa „zgwaltić”. Miałam cicho, jakby znajdowała się w szpitalu. - Miał nóż. Naprawdę nie miałam wyboru.

Taylor uśmiechnął się.

- Co w tym takiego zabawnego?

- Mówisz tak, jakbyś tego żałowała - stwierdził Taylor. - Przecież ten sukinyś sam się o to prosił.

130

- No, tak. Ale wynikało z tego niezłe zamieszanie, prawda? Uderzyłam dość mocno, zwłaszcza za drugim razem. Być może nie żyje. Bóg jeden wie, co na to powiedzą w centrali. Pewnie uznają, że zachowałam się bardzo profesjonalnie.

- Pieprzyć centralę. Anna uśmiechnęła się.

- Łatwo powiedzieć. Ja dopiero zaczynam w wywiadzie.

- No to dalej. Powiedz to.

- Pieprzyć centralę.

- Wspaniale. Prawdę mówiąc, szczerze wątpię w to, że go zabiłaś. Oczywiście nie znaczy to, że nie doceniam twoich umiejętności posługiwania się

butelką whisky, ale trzeba naprawdę niezłe grzmotnąć, aby załatwić kogoś ten sposób.

- Ja go też kopnęłam. Dwa razy.

Taylor spojrział na nią z ukosa. Amy L. Gunderson zaskakiwała go pod każdym względem.

- Moje gratulacje - powiedział. - Wciąż jednak uważam, że go nie załatwiłaś.

- To chyba dobrze.

- Nie bądź rozczarowana. Może jeszcze nadarzy się okazja.

- Nigdy. - Anna poczuła, jak po jej ciele przebiega dreszcz. - Mam już ść tego faceta. Nie powinnam była w ogóle tu przyjeżdżać. Jestem niewła-iwą osobą. Między nami zupełnie nie zaiskrzyło.

- Mam nadzieję - powiedział Taylor. Anna uśmiechnęła się mimo oli. - A tak poważnie - ciągnął Alan - poślę kogoś do „Hiltona”, żeby

badał sprawę. Jeżeli okaże się, choć to mało prawdopodobne, że znaleź-¹ martwego Irańczyka, wyślemy cię ze Stambułu jak najszybciej i spróbu-my jakoś tu posprzątać. Jeżeli gość poszedł do lekarza, dowiemy się, jak owaźnie go uszkodziłaś, a jeśli siedzi w swoim pokoju z potężnym kacem guzem na głowie, poślemy mu aspirynę. Zajmiemy się tym, więc przestań ę martwić.

- Jeżeli żyje, na pewno jest wściekły.

- To jego problem.

- Ale może próbować odegrać się na agencji i na mnie.

- Czy wie, kim jesteś?

- Nie zna mojego prawdziwego imienia. Została irynu przedstawiona jako Alison James.

- A wie, że pracujesz dla agencji?

- I tak, i nie. Wie, że mam kontakt z ludźmi z agencji w Londynie i nazywał mnie „panią z CIA”. Mam jednak wrażenie, że nie brał mnie na poważnie. Pewnie jego ciasny mózg nie potrafił pojąć tego, że kobieta może naprawdę być oficerem wywiadu.

- Być może wczorajszej nocy przyczyniłaś się do tego, że zmienił zdanie. Zresztanie ma się czym przejmować. Radzimy sobie na co dzień z większymi gnojami niż on.

Anna uśmiechnęła się. Bardzo pomagały jej pocieszenia Taylora. Bardziej niż chciała przyznać.

- Potrzebny mi będzie kontakt z agencją - powiedziała. - Powinnam natychmiast poinformować Londyn i centralę o tym, co się stało.

- Nie ma sprawy - stwierdził Taylor.

- Ktoś także musi pójść do hotelu, w którym najpierw się zatrzymałam i zabrać stamtąd moje rzeczy.

- Oczywiście.

- Potem chyba powinnam stąd wyjechać. Kiedy mam następny samolot linii Pan Am do Londynu?

- Za godzinę. Nie zdążysz.

- Polecę jutro.

- Może po tym, jak wyślesz depeszę, miałabyś ochotę pobyc trochę w moim towarzystwie? Na pewno będziesz się trochę bała, choć z butelką radzisz sobie świetnie.
 - Prawdę mówiąc, chętnie skorzystam. Oczywiście, jeżeli nie jesteś zbyt zajęty. - W ogóle nie zastanawiała się nad etykietą, przyjmując jego propozycję. Taylor był kolegą. Znał sekrety jej świata, a to oznaczało, że mogła się odprężyć.
 - Co powiesz na krótką wycieczkę po okolicy Anatolii kuloodpornym chevroletem? - spytał. Anna nic nie odpowiedziała. Zamknęła tylko powieki, przesłaniając błyszczące, niebieskozielone oczy.
- Nadawanie depeesz skończyła zaraz po dwunastej. Opisywanie wydarzeń i przyznanie się przed licznymi szefami do tego, że jej wycieczka do Stambułu okazała się katastrofą sprawiło, że znowu się zdenerwowała. Kiedy wróciła do gabinetu Taylora, wyglądała dość blado.
- Dobra wiadomość - zawołał. - Twój irański przyjaciel wciąż żyje.
 - Dzięki Bogu! - westchnęła. Zdążyła już pozbyć się morderczych fan tazi, które ją prześladowały. Przygotowując depesze, zastanawiała się nad perspektywą procesu o morderstwo przed tureckim sądem i uznała, że ten pomysł zupełnie jej się nie podoba.
 - Nawet nie jest zły. Jest skruszony.
 - Żartujesz. Skąd o tym wiesz?
 - Jakies czterdzieści minut temu mężczyzna nazwiskiem Ascari za dzwonił do hotelu z wiadomością dla Alison James. Czyli dla ciebie, zgłaska się?
 - Tak. Z jaką wiadomością?

132

I - „Proszę podziękować Alison James za książkę i powiedzieć, że Ali Hcari bardzo przeprasza”. O jaką książkę mu chodziło?

I - O prezent. Przewodnik po muzułmańskich świętych miejscach w Azer-Bdżanie. Jego rodzina pochodzi z Baku. ■ - Niezłe posunięcie. I - Co powiedziano mu w hotelu?

I - Powiedzieli, że nie mają pojęcia, o kogo mu chodzi. Nie znali żadnej Alison James.

I - Ten facet naprawdę się nie poddaje. - Anna pokręciła głową. I - W tej części świata - wtrącił Taylor - mężczyzna nie darzy kobiety Bacunkiem, dopóki ona nie trzaśnie go w głowę butelką whisky.

I Samochód czekał na nich o dwunastej trzydzieści. Taylor odesłał kierowcę i sam usiadł za kierownicą.

- No to ruszamy w Azję - powiedział, z piskiem opon skręcając w ulicę ■esrutiyet. Jego wycucie stylu było znacznie lepsze niż orientacja w terenie. Po przejechaniu przez most Bosforski zgubił się. - Nie ma sensu pytać I drogę - powiedział Annie. - Turcy nie umieją się przyznać, że nie wiedzą gdzie coś się znajduje i wolą zmyślić odpowiedź.

Przez jakiś czas krążyli po uliczkach Beylerbey, Cengelkoy i Vanikoy. wreszcie Taylor zorientował się, gdzie jest - w Anadoluhisari, w górę od Bos-Łru - kiedy natrafił na znajomą restaurację. Zatrzymali się tam na lunch i wy-lili butelkę wina. Anna zaczęła się odprężyć. Opowiedziała swojemu towa-Łyszowi więcej o obrzydliwym Alim Ascarim. Przedstawiła zmienne koleje Łsu oficera wywiadu w Londynie, a przy ostatnim kieliszku wina zaczęła Łowić o tym, jak to przed rokiem postanowiła wstąpić do najbardziej ekskluzywnego męskiego klubu na świecie. Taylor tylko uśmiechał się i pił. I Zaplanował, że zawiezie j ą do Polonezkóy, sielankowej małej wioski położonej dwadzieścia mil na wschód od Bosforu, wyróżniającej się głównie Łym, że jej mieszkańcy mają niebieskie oczy i blond włosy. Byli Polakami, Łotomkami polskich ŁoŁnierzy, którzy walczyli po stronie tureckiej podczas lwojny krymskiej. Otrzymali wówczas od sułtana ziemię i osiedlili się na niej Łe swoimi Łonami i dzieŁmi*. Zachowywali się jak porządni polscy chŁopi -Łudowali solidne obejŁcia i kopulowali ze sob ą na skalę przemf sfow ą. W rezultacie okolice byŁy rozkosznie zielone, a tutejsi mieszkańcy mieli wspólnych przodków.

* Autor nieściŁe podaje historię powstania wsi Polonezkoy (Adampol). Osada została zaŁożona w 1835 roku przez księcia Adama Czartoryskiego, który po powstaniu listopadowym zlecił MichaŁowi Czajkowskiemu kupno ziemi niedaleko StambuŁu dla polskich emigrantów (przyp. red.).

Od pokoleń gospodarze z Polonezkóy uzupełniali dochody swoich gospodarstw, zapewniając jedzenie i krótkoterminowe lokum (bardzo krótkoterminowe, bo liczone na godziny) bogatym dŁentelmenom ze StambuŁu i ich kochankom, aby mogli się spotykać z daŁa od ludzkich oczu w miejscu należ ącym do ciemnych chreŁcijan i sycić się swoimi nieprawymi zwi ązkami. ByŁo to doŁć niezwyŁte, niczym pradawna wersja burdelu. Taylor sam nieraz przywoziŁ w to miejsce swoje przyjaciółki.

Kilka kilometrów w gŁ ąb l ądu krajobraz bardzo się zmieniŁ. Podmiejski Łcisk i zgięŁ wokół Bosforu ustąpił miejsca dzikiemu, górzystemu krajobrazowi Anatolii - krainy suchej, piaszczystej i niemal pozbawionej mieszkańców.

Europa zaczęła się o krawędź Azji na wschodnim brzegu Bosforu, ale nie posunęŁa się dalej niż kilometr lub dwa w gŁ ąb l ądu. Taylor postanowił złamać swoją zasadę i zatrzymał się zaraz za Beykoz, aby spytać o drogę. -Polonezkóy? - zapytał wychudzonego Turka. MęŁczyzna s ądz ąc, że chodź mu o Polskę, wskazał na póŁnocny zachód, w kierunku Warszawy. W koŁci Taylor znalazł kogoś, kto udzielił mu właŁciwych wskazówek. SamochóŁ podskakiwał na wyboistej jednopasmowej drodze, podczas gdy kierowca usiŁował złapać jakąś stację radiow ą.

- Nie jesteŁ żonaty - zauważyŁa Anna, patrząc na lew ą dŁoń Taylora gdy skręcił kierownicę w jej kierunku.
- Juź nie. Żona zostawiŁa mnie szeŁć miesi ęcym temu.
- Dlaczego? Jeźeli mogę oczywiście spytać.
- NiezgodnoŁć charakterów.
- To znaczy?
- Juź do siebie nie pasowaliśmy. Moja żona chciaŁa, żebyŁm spowaźnia przyjąŁ posadę w centrali, zostaŁ ojcem i zwyczajnym facetem. W koŁcu jed nak poddaŁa się.

- Dlaczego?
- Ponieważ rozumiała, że jestem przypadkiem beznadziejnym. Moja żona należała do gatunku ulepszcaczy. Chciała wszystko poprawiać. Nigdy nie rozumiała najważniejszego.
- Czyli?
- Że ja nie zamierzałem się zmieniać. Podobało mi się to, jaki byłem i co robiłem. Jej wysiłki nie dały żadnych rezultatów.

Anna skinęła głową. Nie miała pojęcia, czy ma współczuć jemu, czy raczej jego byłej żonie. Taylor znowu zaczął kręcić gałką radia.

- Próbuję złapać stację policyjną - wyjaśnił. Szumy w odbiorniku stały się na przemian głośne i ciche, a na ich tle wybijał się głos tureckiego spikera, który wygłaszał polityczne slogany na ten dzień. „Pamiętajcie, zadi

134

! policji jest ochrona praw człowieka"-powiedział głos. Rozległy się im marszowe kroki oddziału policyjnego, po których podano ostrzeżenie-Powinieneś zostać takim policjantem, którego ludzie nazwą przyjaciele-

Uwielbiam tę stację - stwierdził Taylor. - W Ameryce też powinni mieć radio policyjne.

piker rozpoczął streszczanie incydentów terrorystycznych tego dnia. Mówił spokojnym tonem, jak sprawozdawca sportowy przedstawiający wyniki grywek piłki nożnej. „W Izmirze jedna strzelanina; w Trabzonie dwie aniny i jedna eksplozja bomby; w Ankarze cztery strzelaniny". Co się dzieje w tym kraju? - stwierdziła Anna, nie zważając na to, że ciągnął wyliczankę. - Jedno wielkie zamieszanie. Tak jak zwykle. Nie ma już centrum politycznego. Tylko ekstrema, go cały kraj schodzi na psy.

W Konyi" - ciągnął radiowy głos - jedna strzelanina i jedna eksplozja. W Stambule sześć strzelanin i dwie eksplozje". Taylor wyłączył

Czy my coś w tej sprawie robimy? - zapytała Anna. Kto? Chłopcy i dziewczęta z RTACTION?

ona przytaknęła. RTACTION było jednym z kryptonimów, jakich CIA używała dla określania samej siebie.

Chyba żartujesz. My przecież nie bierzemy udziału w grze.

!hevrolet z hałasem kontynuował podróż. Co kilka kilometrów mijali ska betonowych domków, z których każdy miał gliniany taras i swoje

0 kur, owiec oraz kulawą krowę lub nawet dwie. Wszędzie roiło się od lookich dzieci, których było więcej niż domowych zwierząt. Każdy dom miał standardowy zestaw dorosłych - ciężką kobietę w chuście na głowie i jego mężczyznę w znoszonym płaszczu, takich samych, jakich widy się w każdej tureckiej wsi. Anna przyglądała się kobietom, niezgrab-

1 bezkształtnym. Tak wyglądała jedna z niezmiennych smutnych prawd mu klasowego w krajach Trzeciego Świata: biedne kobiety stawały się :, a bogate - chude.

Kto wczoraj mówił coś po turecku, kiedy rozmawiałam z tobą przez m? - spytała Anna.

- Nie twoja sprawa.

- O, jaki tajemniczy.

- Ma na imię Tina. Jest krupierką w „Etap Marmara". Tak naprawdę lazywa się Tuna, ale miała dość głupich dowcipów na temat tuńczyków, więc zmieniła imię.

- Czy ona jest z branży?

- Nie. Już mówiłem, jest krupierką.

- Co cię w niej pociąga?

Taylor spojrzał na Annę i uśmiechnął się.

- Dziki seks.

Anna zamrugała powiekami.

- Tina jest bardzo ładna, choć urodą w pewnym sensie banalną - wyjaśnił. - Wszystkim grającym w blackjacka mówi, że ma najszybsze ręce w Turcji.

- Daruj sobie takie opowieści. Nie o to mi chodziło. Chciałam tylko wiedzieć, czy nie jest ci trudno odprężyć się w towarzystwie kogoś, kto nie wie, czym naprawdę się zajmujesz.

- Nie - stwierdził Taylor. Anna przez szybę obserwowała stadko świń. -Prawdę mówiąc, od Tiny wiele się nauczyłem. Zwłaszcza o tureckich kobietach.

- Na przykład czego?

- Naprawdę chcesz wiedzieć? Tina opisała to dość malowniczo.

- Myślę, że jakoś wytrzymam.

- Opowiadała mi wiele na temat tego, jak to jest być samotną dziewczyną Turcji.

- Słucham.

- No więc dobrze. Po pierwsze, tureccy mężczyźni mają fioła na punkcie dziewictwa. Muszą poślubić dziewczynę, bo w przeciwnym razie wpadają w szal. Dlatego kobiety bardzo starają się utrzymać dziewictwo nawet do dwudziestego piątego roku życia. Wcześniej oczywiście robią prawie wszystk* ze swoimi chłopakami. Obciążanie, seks analny, wszystko oprócz penetracji pochwy. To jest

absolutnie wykluczone. Każda dziewczyna zachowuje to n noc poślubną. Jeżeli odda swoje dziewictwo mężczyźnie, który potem jej ni poślubi, no to ma wielki problem.

- To żałosne, nie sądzisz?
- Nie mam opinii na ten temat. W takich sprawach wolę pozostać obsei watorem.
- A co się dzieje, jeżeli dziewczyna ma więcej niż dwadzieścia pięć lat
- Według Tiny, w tym wieku tureckiej kobiecie przestaje już tak bardz zależeć. Zakłada najgorsze, to znaczy, że nigdy nie wyjdzie za mąż, i zaczyna żyć tak jak chce. Uważa, że ten, który poślubi taką starą pannę, nawet ni zauważy, czy ona jeszcze jest dziewicą czy nie.
- Ile lat ma Tina?
- Dwadzieścia trzy.
- To dlaczego z tobą sypia? A może ty jesteś gejem?
- Oczywiście, że nie! - zaprzeczył Taylor. - Tina dowiedziała się o is nieniu rewolucyjnej metody medycznej, która odmieni życie w tej część świata.

136

- Co to takiego? - spytała Anna, choć wcale nie była pewna, czy na-awdę chce wiedzieć.
- Rekonstrukcja błony dziewiczej. Najdrożsi ginekolodzy w Stambule ż oferują to w swoich usługach za odpowiednią opłatą. Według Tiny stan-rdowo płaci się sześćdziesiąt dolarów. Na dwa dni przed ślubem cena ro-ie do dziewięćdziesięciu. Jeżeli, broń Boże, chce się to wykonać w dzień ssela, trzeba zapłacić sto pięćdziesiąt dolarów. Oczywiście oferta kierowa-i jest głównie do tych z Arabii Saudyjskiej i Kuwejt.
- Fuj. - Przez dłuższą chwilę oboje milczeli, podczas gdy wóz podska-wał na wybojach, zmierzając w kierunku krainy Polaków. Wreszcie do-zegli zielone pola Polonezkoy, odcinające się niczym jasne znamię na ciem-:j skórze Azji.

Niebieskoocy blondyni stali przed każdym z dużych domów we wsi, ichęcając turystów, aby wstąpili do nich i odpoczęli. Taylor zatrzymał ę przy domu na szczycie wzgórze. Właścicielem był krępy mężczyzna imieniu Tadeusz. Powitał ich entuzjastycznie i pospiesznie wprowadził

0 środka.

- Góra czy dół? - spytał Tadeusz.

Taylor spojrział na Annę, jakby chciał od niej uzyskać odpowiedź. Dziew-zyna, odprężona i spokojna, nie zwracała na nich uwagi. Patrzyła na plakat olskich linii lotniczych przypięty do ściany.

- Może nas pan oprowadzi - zaproponował Taylor.

Tadeusz ruszył skrzypiącymi schodami na górę. Kiedy stanęli w długim orytarzu, otworzył pierwsze drzwi po lewej stronie. Prowadziły do niewiel-iego pokoju z pojedynczym łóżkiem ustawionym pod

jedną ścianą i małym tolikiem z dwoma krzesłami pod drugą, obok okna, które wychodziło na lajobraz z Polski rodem.

Anna pierwsza weszła do pokoju. Podeszła do okna, potem do łóżka, wlała metalową ramę zawieszoną nisko nad podłogą. Przykrywała je szorstką sztruksową narzutą i bezkształtną poduszką. Brakowało prześcieradeł. Jaki naleńki ten pokój, pomyślała.

- Możemy przynieść na górę jedzenie - powiedział cicho gospodarz - albo zostawić was samych.

Anna spojrzała na Taylora. O co chodziło? Czy mężczyzna, którego poznała zaledwie kilka godzin temu, miał nadzieję przespać się z nią na tym akropnym, wąskim łóżku? Taylor nic nie powiedział. Wyglądał przez okno

1 udawał, że nie słyszy.

- Może najpierw obejrzymy dół - powiedziała Anna szorstko. - Jeżeli mogę decydować. - Taylor odwrócił się w jej stronę. Na twarzy miał nieśmiały uśmiech chłopca, który nabroił.

Tadeusz zaprowadził ich z powrotem po skrzypiących schodach na dół do jadalni, w której stało kilka stołów. Pomieszczenie miało niskie sufity i zdawało się zbyt małe, aby swobodnie pomieścić mnóstwo ustawionych w nim mebli. Było ciasne i gorące.

- A na zewnątrz? - Anna wskazała na ogród, gdzie wokół winorośli także stało kilka stolików. - Czy możemy usiąść na zewnątrz?

- Jak sobie państwo życzyte - powiedział Turek polskiego pochodzenia. Wyprowadził ich do ogrodu i kilka chwil później powrócił z dwiema ogromnymi butelkami piwa.

- Czy właśnie tutaj przywozisz swoje kobiety? - spytała Anna.

- Czasami. - Uśmiezek wciąż jeszcze nie schodził z jego ust.

- Podoba im się tutaj?

- Czasami.

- Mnie też próbujesz zaciągnąć do łóżka?

- Niekoniecznie. Po prostu sądziłem, że ci się tutaj spodoba.

Anna rozejrzała się wokół. Powietrze było chłodne, świeże i czyste, zupełnie inne niż w Stambule. Czerwony kogut wędrował po ogrodzie w poszukiwaniu okruchów.

- Rzeczywiście, podoba mi się - powiedziała. - Ale jestem tu tylko prze jazdem.

Taylor skinął głową.

- Jak uważasz.

Palili papierosy, pili piwo i rozmawiali. Ponieważ perspektywa seksu n! razie się oddaliła, Taylor trochę przystopował. Mięśnie jego twarzy stały się mniej napięte, rytm mowy wydawał się wolniejszy i bardziej łagodny. Ali ten spokój Taylora miał jakąś ciemną stronę, przypominającą szum wiatru wiejącego przez puste podwórze.

- Jak ci się podoba praca? - zapytał.
- Do wczoraj podobała mi się nawet bardzo.
- Walenie ludzi po głowach butelkami to i tak dobra część tego zawodu Poczekaj, aż dojdiesz do tej złej.
- A jaka jest ta zła?
- Wypełnianie dokumentów wyjaśniających, dlaczego zbiłaś butelkę.

Anna roześmiała się.

- A tak poważnie, to jaka jest ta zła strona?

Taylor zastanawiał się przez chwilę.

- Chcesz usłyszeć prawdę? - Anna przytaknęła. - Zła strona jest taki iż nie opuszcza cię wrażenie, że marnujesz czas.
- Jak często przytrafia się to tobie?
- Ostatnio? Niemal ciągle.
- Przecież nie możesz być aż tak pozbawiony złudzeń. Nie jesteś przrt cież stary.

138

- Ani młody. W cynizm bawią się młodzi.
- I co zamierzasz zrobić?
- Nie wiem. Może odejdę, jeżeli po tej stronie świata nie znajdę już nic :resującego. Coraz częściej jestem przekonany, że tam, w domu, mająja-ś wielkie problemy, ale nie mam pojęcia, o co chodzi. Czasem mam wra-icie, że wysłali wszystkich do szkoły eunuchów.

Anna skinęła głową. Przez chwilę milczeli.

- Właściwie nie ma to żadnego znaczenia - powiedziała - ale chciała-n ci wyjaśnić, że historia nie zna czegoś takiego jak „szkoła eunuchów”.
- O czym ty mówisz?

- O Turkach osmańskich. Pałacowa szkoła przeznaczona była dla jan-irów. Eunuchowie pozostawali w haremie. Główny eunuch, kishar aga, »wił wszystkim, co mają robić. Żadna szkoła nie istniała.'
- A kim ty jesteś z zawodu, eunuchologiem?
- Zanim zostałam tajną agentką, specjalizowałam się w historii impe-m osmańskiego.
- Nie chrzaniisz?
- Nie chrzanię.
- Czy w ramiona CIA pchnął cię jakiś życiowy kryzys? Za długo prze-ymałaś książki w bibliotece?

Anna odpowiedziała tak samo spokojnie:

- Nie było żadnego kryzysu. Po prostu nudziłam się. Taki był główny »wód.

Taylor przyjrzał jej się sceptycznie.

- Byłaś mężatką? - spytał.
- Nie, ale mało brakowało.
- Za mało?

Anna przytaknęła.

- Miał na imię Tom. Wykładał angielski na Harvardzie. Bardzo inteli-:ntny, bardzo delikatny, bardzo kochający. Kiedy go poznałam, wydawało ii się, że oto spotkałam mężczyznę moich marzeń.
- A nie był nim?
- Prawdę mówiąc, był. To może się wydawać śmieszne. On naprawdę ył mężczyzną moich marzeń. Lubił tę samą muzykę co ja, te same miejsca a półwyspie Cod, tych samych pisarzy, te same smaki lodów. No i traktował obietę poważnie.
- Słowem mężczyzna Nowej Ery.
- Wypchaj się. Możesz sobie z tego żartować, ale te rzeczy naprawdę lają znaczenie. Zanim spotkałam Toma, widywałam się z tyloma niedoro-ionymi, samolubnymi facetami. Nie mogłam uwierzyć, że wreszcie pozna-am kogoś inteligentnego, kto w dodatku zainteresował się mną.
- Brzmi jak sielanka. I co się stało?
- Tom miał jedną okropną wadę. Jako intelektualista uwielbiał rzeczy abstrakcyjne. Po jakimś czasie zaczęło do mnie dochodzić, że woli abstrakcyjną wersję mojej osoby niż mnie prawdziwą.
- To błąd - stwierdził Taylor.

- Poza tym okazało się też, że jest samolubny. Pomimo całej swojej delikatności był równie egoistyczny co pozostali. Słuchał tego, co miałam do powiedzenia, a potem mówił to, co sam chciał. Ja byłam tylko rekwizytem. Podobałam mu się, ponieważ byłam wystarczająco inteligentna, aby go rozumieć. Tylko że po jakimś czasie stało się to nudne. Potrzebowałam odmiany

- To znaczy czego?

- Chciałam takiego człowieka, z którym mogłabym się porozumieć, fa ceta, który podszedłby do mnie w barze, spojrzał mi w oczy i powiedział „Hej, laleczko, może się zabawimy”.

Taylor uśmiechnął się.

- Hej, laleczko, może się zabawimy.

- Nie pozwalaj sobie. - Anna szczerzej otuliła się płaszczem. Słońce schodziło coraz niżej i powietrze stawało się coraz chłodniejsze.

- I kogo znalazłaś po Tomie?

- Nikogo.

- Nikogo?

- Byłam za bardzo zajęta przez ostatni rok, aby poważnie myśleć o jakimkolwiek związku. Poza tym, chyba trudno być uczciwym i otwartym wobec kogoś, przed kim ma się tak wiele sekretów.

- A kto twierdzi, że trzeba być uczciwym? - spytał Taylor. - Wielu spośród moich kolegów kłamie, a mimo to zawsze mają towarzystwo na noc.

- Może i tak, ale mnie to nie podnieca.

Taylor przez chwilę zastanawiał się nad czymś.

- Widzę, że mamy przynajmniej jedną wspólną cechę - powiedział.

- Jaką?

- Oboje szybko się nudzimy.

O zmierzchu wrócili do Stambułu. Po piwie i długiej rozmowie oboje czuli się odprężeni i spokojni. Atmosfera seksu unosiła się w powietrzu, a wilgoć przed burzą. Nikt o niej nie mówił ani się nią nie kierował, po prostu była. Kiedy wracali przez Beykoz, Anna rozpoznała jeden z domów i szturchnęła Taylora.

- Byłam tutaj - powiedziała. - Odwiedziłam ten mały domek nad wodę z zielonymi okiennicami.

- Kiedy?

- Dwa lata temu. Jako doktorantka przyjechałam tu zbierać materiały < pracy.

- Kto tam mieszka?
- Zabawna starsza pani, Natalia Terno.
- Jak ją poznałaś?
- Przedstawił mnie pewien turecki profesor. Sądził, że staruszka ma ja-:ś stare dokumenty, które go interesowały, ale okazało się, że nic nie miała.
- Jakie dokumenty? Może wyjaśnisz to laikowi w sprawach historii Tur-w osmańskich.
- Prawdę mówiąc, zapowiadały się niezłe. Ta kobieta była wnuczką al-iskiego lekarza, Ibrahima Temo, który należał do założycieli Komisji Jed-ści i Postępu powstałej w latach osiemdziesiątych dziewiętnastego wieku.
- Zwykłym ludziom znanej jako Młodoturcy.
- Zgadza się - przyznała Anna. - Temo interesował mnie, ponieważ brał udział w pierwszym spotkaniu tej grupy w Stambule w tysiąc osiemset osiem-iesiątym dziewiątym roku, wraz z trzema innymi studentami: Kirgizem z gór Iukazu, Mehmedem Residem, Kurdem z Arabkir, Abdullahem Cevdetem Lurdem z Diyarbakir, Ishakiem Sukutim. To był złoty wiek Młodoturków.
- Jak ty to wszystko pamiętasz?
- Mam dobrą pamięć do danych historycznych. Właśnie na tym polega-dawniej moja praca. A wracając do staruszki, chciałam zdobyć dokumenty ntej grupy. Potrzebowałam ich do rozdziału mojej pracy mówiącego o tym, c Młodoturcy zatracili swój idealizm. Chciałam dowiedzieć się, co poszło w jaki sposób członkowie tak postępowej organizacji do tysiąc dziewięć-t piętnastego roku zamienili się w bandę zabójców. Dlatego właśnie połam do Natalii Temo. Usłyszałam od niej zadziwiającą opowieść, przypo-inającą powieść kryminalną.
- Opowiedz mi ją - poprosił Taylor. - Lubię kryminały. Tam akcja toczy ę z taką szybkością jaka mi odpowiada.
- Dobrze. Tylko to trochę skomplikowane. Wszystko zaczęło się, kiedy erwsi członkowie grupy postanowili wysłać swoje papiery do Sukutiego, óry miał zostać ich archiwistą. Temo wysyłał mu wszystkie dokumenty aż 3 swojej ucieczki do Rumunii w tysiąc osiemset dziewięćdziesiątym piątym »ku. Po jakimś czasie również Sukuti musiał opuścić kraj. Wszystkie papie-r zabrał ze sobą do San Remo, na włoskiej riwierze.

Anna spojrzała na Taylora.

- Czy to cię nie nudzi?
- Nie - odparł. - Wręcz przeciwnie. Nie wyobrażasz sobie, jaka to przy-:mność porozmawiać o czymś innym niż nasze rzemiosło.

- No dobrze - powiedziała i podjęła opowieść. - Sukuti został w San Remo do roku tysiąc dziewięćset piętego. Wtedy poważnie zachorował. Prawdopodobnie wiedział, że umiera, bo postanowił wysłać najważniejsze dokumenty do Temo, do Rumunii. Włożył je do kufra i napisał do Temo, że wysyła mu dokumenty. Zmarł jednak, zanim zdążył je nadać.

- Co za historia. Przypomina Sokoła maltańskiego.

- Poczekaj, zaraz zrobi się jeszcze ciekawiej. Turecki konsul w San Remo obserwował Sukutiego przez wiele lat. Kiedy dowiedzieli się o jego śmierci, przekupili policję, ukradli kufer i wysłali go sułtanowi Abdulow Hamidowi do pałacu Yildiz w Stambule. Kufer pozostał tam do roku tysiąc dziewięćset dziewiątego, w którym to MłodoTurcy w końcu pozbyli się Abdula Hamida. Wtedy to Ibrahim Terno udał się do Yildiz, odnalazł kufer i zabrał go ze sobą do Rumunii.

- Gdzie pozostaje do dziś.

- Nie. Właśnie w tym cały problem. Ibrahim Terno zmarł w czterdzieści piątym roku. Kufer pozostawił swojemu synowi, a kiedy syn zmarł wszystkie dokumenty powinny były trafić do jego córki, Natalii. Gdyby ta się stało, trafiłyby również do mnie, bo Natalia Temo mnie lubiła, a ja mogłbym je wykorzystać w swojej pracy.

- Tylko że ona nie miała tych dokumentów?

- Nie.

- A gdzie się teraz znajdują?

- W Albanii - Anna westchnęła.

- W Albanii?

- Jakimś cudem rząd albański dowiedział się o dokumentach w latach pięćdziesiątych, po tym jak Natalia próbowała emigrować do Turcji. Chciała pozyskać je do albańskich archiwów narodowych, prawdopodobnie dlatego że Temo był Albańczykiem. Natalia powiedziała mi, że pewnego dnia przyszedło dwóch Albańczyków, aby zabrać kufer, i nigdy potem już go nie widzieli. Prawdopodobnie tkwi teraz w Tiranie przykryty warstwą kurzu.

r- I nigdy nie dowiedziałaś się, dlaczego z idealistów zmienili się w morderców?

- Nie. Między innymi właśnie dlatego zarzuciłam pisanie pracy. Doszła do wniosku, że i tak nigdy się tego nie dowiem.

- A co się stało z Natalią?

- Rumuni w końcu ją wypuścili. Przybyła do Turcji pod koniec lat sześćdziesiątych i zamieszkała w małym domku z zielonymi okiennicami w Belek. Teraz jest już pewnie bardzo stara, rozgoryczona i smutna.

- Co było w tych dokumentach? Czy kiedykolwiek zdołałaś się tego dowiedzieć?

- Wiem tylko tyle, ile powiedziała mi Natalia. Jeszcze jako młoda dziewczyna przeglądała papiery i rozmawiała o nich z dziadkiem. Z tej co mi opowiadała, były naprawdę interesujące. Znajdowała się tam między innymi cała korespondencja pomiędzy poszczególnymi oddziałami Konfederacji Jedności i Postępu, pisana specjalnym szyfrem dla zmylenia szpiegów sułtana.

- Jaki to był szyfr?

142

- Nie wiem. Natalia pamiętała jedynie, że każdy członek i każdy oddział miały własny numer. Powiedzmy Paryż był szóstką, więc jeśli było się ewiędziesiątym pierwszym członkiem oddziału paryskiego, korespondencja oznaczała się sześć/dziewięćdziesiąt jeden.

- Nic dziwnego, że Albańczycy tak się tym interesowali. Oni mają bzik punkcie szpiegowania.

- Mógł też istnieć inny powód. Z tego co mówiła Natalia, w papierach to coś, co mogło zainteresować ludzi z Moskwy.

- Czyli co?

- Na przykład fakt, że w tysiąc dziewięćset piątym roku, kiedy zmarł król, MłodoTurcy stanowili część ogromnej sieci obejmującej tereny całe-Kaukazu i Azji Środkowej. W Tbilisi byli Młodzi Gruzini, w Taszkien-i - Młodzi Turkiestanie, w Baku - Młodzi Azerowie, w Erewaniu - Młodo-i Ormianie. Wszyscy współdziałali ze sobą, aby obalić dawne imperia.

- I co z tego.

- Chodzi o to, że historia w tej części świata nie rozpoczyna się od roku «ięd dziewięćset siedemnastego, tak jak lubią twierdzić Sowietci. Przedtem miał inny świat. Inna wizja Azji Środkowej.

- Interesujące - przyznał Taylor. - Ale to zamierzchnie dzieje. Nasi w domu nie pamiętają nawet, co się zdarzyło w zeszłym tygodniu. Kogo obchodzi, co miało miejsce siedemdziesiąt pięć lat temu?

- Nikogo, przykro to mówić. Właśnie dlatego postanowiłam, że nie zo-inę historykiem, specjalistą od dziejów imperium osmańskiego. Uznałam, ! czas wyjść z archiwów.

- A zatem witaj w prawdziwym świecie, takim jaki jest - powiedział Taylor. Rękę, którą trzymał na oparciu fotela, przesunął tak, że obejmowała raz ramiona Anny. Przyciągnął dziewczynę do siebie i pocałował w policzek, a dłonią dotknął piersi. Anna pozwoliła jej tam zostać przez chwilę, istanawiając się, jak by się czuła, gdyby przespała się z Taylorem, co przerwałaby czując jego dłonie na swojej skórze. Taylor ujął mocniej pierś, żując jej krągłość pod palcami. Najwidoczniej należał do tego typu mężczyzn, którzy brnęli przed siebie, dopóki ktoś nie powiedział im, żeby prze-ali.

- Daj spokój - poprosiła Anna. Taylor uśmiechnął się. Nie było sprawy.

Cisza otoczyła samochód. W zimowym chłdzie nad czarnymi wodami fosforu tworzyły się cienkie pasma mgły. W drodze powrotnej, prowadząc, Taylor myślał o tym, co Anna powiedziała o Młodych Azerach, Młodych Turkiestanie i całej sieci w Azji Środkowej, która istniała na tych terenach rzekomo blisko wieki. Gdy tak się nad tym zastanawiał, nagle przyszła mu do głowy dziwna myśl.

Przypomniał sobie niespodziewane spotkanie sprzed kilku /godni, kiedy w barze natknął się na Kanadyjczyka, który twierdził, że jest

143

filmowcem, ale wykazywał niezwykle zainteresowanie emigrantami z krajów Azji Środkowej.

- Chciałbym cię o coś zapytać - powiedział do Anny. - Czy kiedykolwiek spotkałaś tajnego agenta, który nazywa się Jack Rawls?

- Nie. Ale tajni agenci nie kontaktują się między sobą. Mamy pozosta' anonimowi. A kim jest ten Jack Rawls?

- Prawdopodobnie nikim. Widziałem go w barze kilka tygodni temu Jeszcze jeden pomyłony na punkcie Azji Środkowej. Sądziłem, że może na leży do twojego bractwa.

- Nie mam pojęcia, ale pamiętaj, że ja jestem nowa.

Taylor patrzył przed siebie, na drogę biegnącą wzdłuż brzegów Bosforu Nie mógł przestać myśleć o Rawlsie. Nie, postanowił w końcu. To niemożli we. W centrali nie byli aż tak przebiegli.

- Zapomnij o Rawlsie - powiedział na głos - Nasz tłumek nie chce żad nych kłopotów w Taszkencie. Chcą tylko utrzymać się na powierzchni. Zres Azja Środkowa to nie nasz region działania.

- Tak słyszałam - przyznała Anna. - Tylko że nie jestem pewną c wszyscy tak sztywno trzymają się zasad.

- Co masz na myśli?

Anna najpierw długo nie odpowiadała. Dopiero po chwili spojrzała Taylora.

- Pozwól, że teraz ja zadam ci pytanie. Czy spotkałeś kiedykolwi Edwarda Stone'a?

- Tę wielką szychę z centrali?

Anna skinęła głową.

- Nie. Tylko o nim słyszałem, ale nigdy nie poznałem go osobiście. Dl czego o to pytasz?

• - Ponieważ on też interesuje się Azją Środkową.

- Naprawdę? - zdziwił się Taylor. - Naprawdę? Powiedz mi o nim więcej.

- Nie mogę. Nic więcej nie wiem.

- Niezły z niego aparat. - Taylor pokręcił głową. - Może w tym s cielsku tli się jeszcze życie.

- Pewnie nie powinnam ci tego mówić. - W myślach Anna zanotow sobie, że musi wysłać Stone'owi wiadomość po powrocie do Londynu, stre czając wszystko, co powiedział Ali Ascari o przemycie broni przez radzi ką granicę. Może w ten sposób mogłaby odpokutować swoją niedyskrecj

- Nie - zgodził się Taylor. - Chyba nie powinnaś, ale właśnie to mi w tobie podoba. - On także zapisał coś sobie w pamięci. Chciał zabrać tę rzecz z bloku przy ulicy Jeniceriler.

144

Do Stambułu wrócili tuż po ósmej. Poszli jeszcze na drinka do hotelowe-aru. Taylor pochylał się nisko nad Anną i mówił do niej szeptem. Były to iainiane gadki, ale do sypialni nie dotarli. Tuż przed dziesiątą Anna poże-ła się z nim. Następnego dnia rano chciała zdążyć na samolot i jakoś po-ążyć podarte nitki kariery w Londynie. Nie zamierzała zakochać się k niesamowitej postaci, jaką był Taylor, po jednej nocy spędzonej wspól-w Stambule.

-Siro

IV

RTACTION v Stambuł

marzec - maj 1979

17

aylor zabrał taśmę z podłuchu założonego u Rawlsą w dzień po wyjeździe Anny Barnes. Nie miał pojęcia, co zawierało nagranie ani tym ej co z nim robi. Magnetofon wciąż działał po miesiącu, tak jak za-wniał George Trumbo. Jedynym problemem okazała się transkrypcja ta-

y-

Taylor nie chciał dawać jej do jednego z techników Timmonsa w Anka-e; obawiał się, że ten zacznie zadawać mu pytania. Uznał również, że jego kretarka nie powinna szczytywać materiału z tego samego powodu. Po krót-ej rozmowie telefonicznej z George'em w Atenach, po otrzymaniu zaszywanej rady, sam zabrał się za spisanie wielu godzin konwersacji nagra-ych w ciągu minionego miesiąca.

Jak już zaczął pracować nad taśmą Rawlsa, nie mógł przestać. Tkwił nad "ą przez całą noc, aż do następnego ranka, słuchając i ręcznie zapisując te "gumenty, które interesowały go najbardziej. To, co usłyszał siedząc na podł-e swojego mieszkania w Arnavutkoy, zaskoczyło nawet takiego negatywa ak on, choć dawniej z założenia niczemu się nie dziwił. Pan Jack Rawls, zekomy producent filmowy z British Columbia, organizował coś na kształt rywatnej armii emigrantów Azji Środkowej.

Rawls każdą rozmowę zaczynał w ten sam sposób: dziękował gościowi za przybycie, chwilę gadał bez sensu na temat filmu dokumentalnego o radzieckich emigrantach, po czym stopniowo przechodził do dyskusji o historii i polityce Azji Środkowej.

Najpierw starał się wy badać stopień zaangażowania każdego z odwiedzających go ludzi. W miarę jak Rawls z coraz większąpasją wygłaszał swoje kazanie głosem telewizyjnego kaznodziei, a goście żywo reagowali na to, co mówił, sesja nabierała charakteru misji odrodzeniowej.

149

Na pierwszym takim spotkaniu był obecny mężczyzna podający się za Abdallaha. Taylor wyobraził go sobie jako niskiego i ciemnowłosego faceta z szeroko rozstawionymi kośćmi policzkowymi i zapadniętymi oczami. Rawls zaczął łagodnie - od żartów, powoływania się na Allaha i rozmowy o swoim fdmie. Potem, kiedy dowiedział się, że rodzina jego gościa pochodziła z Taszkientu, miasta położonego w centrum rozległych terenów Azji Środkowej, dawniej zwanych Turkiestanem, przystąpił do właściwego ataku.

- Rosjanie podzielili Turkiestan - mówił swoim szkolnym tureckim. Taylor mocniej przycisnął do uszu słuchawki, starając się wyłowić z szumu taśmy każde słowo. - Moskiewscy Rosjanie zagarnęli wspaniałą ziemię Turkiestanu, która ciągnęła się od Morza Czarnego aż po Chiny, i co z nią zrobili? Skolonizowali ją!

- O tak! - zawtórował Abdallah.

- Właśnie, mój przyjacielu - podjął Rawls. - Rosjanie pocięli wielki Turkiestan na małe kawałeczki. Wspaniałe imperium Czyngis-chana i Timura podzielili na pięć małych części, które mogli przełknąć. Uzbekistan Tadżykistan. Kazachstan. Turkmenia. Kirgizja. Małe kraje, zbyt małe, abj walczyć. A potem, kiedy już wielki Turkiestan został osłabiony, Rosjanie zniszczyli meczety! Stalin próbował zataić tę zbrodnię, aleja mam wszystkie dane.

- Tak?

- Proszę posłuchać! W tysiąc dziewięćset siedemnastym roku w całym Turkiestanie i Kaukazie było dwadzieścia sześć tysięcy meczetów. W czterdziestym drugim zostało jedynie tysiąc trzysta dwanaście!

- Hańba! - powiedział Abdallah. Jego głos drżał.

- Czy wiecie, jak Rosjanie nazywają dziś synów szlachetnego Turkie stanu? Mówią na nich czernożopy, co oznacza „czarne tyłki”

- Nie!

- Wołają też na nich czurka, czyli „wióry”! Rozumiecie mnie? Rosjani uważają że wasi chłopcy są głupi jak drewniane wióry.

- OAllahu!

- Synowie waszej ziemi! Czarne tyłki i wióry!

- Och! Musimy dać im nauczkę!

- Tak, ale trzeba postępować bardzo ostrożnie.

- Co mamy robić? - Głos emigranta przybrał nutę charakterystyczną dla ludzi, którzy nie tracąc wiary czekają na dobrą nowinę.

- Być może moi przyjaciele będą mogli wam pomóc - powiedział Raw powoli.

- Kim są ci przyjaciele?

- To przyjaciele z Ameryki.

- CIA?

150

| ■ Nigdy nie wspominaj tej nazwy. Już mówiłem, że musimy być bardzo izni.

- Czyja snię? - zawołał Abdallah. - Czy to naprawdę oznacza, że nam lożecie? Całe życie czekałem na taką chwilę!

- Mój przyjacielu, wielki Turkiestan jest ostatnią kolonią na ziemi. Kie-olono Algierię? Dwadzieścia lat temu. I Kenię, i Kongo, i wszystkie

ale kraje afrykańskie. Tylko wielki Turkiestan wciąż czeka, ale i jego nadejdzie.

- O Allahu! - zagrzmiął Abdallah. - Wreszcie zsyłasz nam pomoc! Przez resztę rozmowy Rawls kazał Abdallahowi przysięgać, że dochowa

icy i ostrzegął go, aby nie wspominał nikomu - ale to absolutnie niko-

- o ich spotkaniu.

- Wolny Turkiestan! - powiedział do gościa na pożegnanie.

- Wolny Turkiestan!-powtórzył Abdallah.

Taylor przewinął taśmę do następnej sesji. Tym razem gość Rawlsa nie iał podać swojego imienia, ale w miarę postępu rozmowy stało się jasne, był jednym z Turków, których rodziny deportowano z Gruzji do Uzbeki-u w tysiąc dziewięćset czterdziestym czwartym roku. Rawls zagrał tę partię wirtuoz.

Taylor słuchał taśmy z rosnącym podziwem dla umiejętności Rawlsa jako cera wywiadu.

- Skąd pochodzi twoja rodzina? - Rawls rozpoczął bardzo ostrożnie.

- Z okręgu Akalkali w południowej Gruzji.

- I mówicie tam po turecku?

- Tak, po turecku. Zawsze po turecku. Aż do tysiąc dziewięćset trzy-iestego piątego roku, kiedy powiedzieli nam, że jesteśmy Azerami i kazali żyć się azerskiego. Nikt nie wiedział dlaczego. W tamtych czasach nie zawało się pytań.

- A co się stało w czterdziestym czwartym?

- Moja rodzina została zesłana.

- Dokąd?

- Do Uzbekistanu, w pobliże Fergany. Pojechali tam wozem.

- Ilu umarło w drodze?

- Bardzo wielu. Moja ciotka umarła. I mój brat. - Turek przerwał na chwilę i wziął głęboki oddech. - Moja matka też umarła. I to wszystko na iic. Co ona takiego zrobiła? Czym my wszyscy zasłużyliśmy sobie na taki os? Dlaczego wygnali nas w środku noc£,i zabrali tysiąc kilometrów od naszych domów, bez żadnej przyczyny?

- To ludobójstwo.

- Tak - zgodził się gość. - Ale świat nic o nim nie wie.

- Mylisz się. My wiemy i nie zapomnieliśmy o tym, co się stało.

- Kto?

151

- Moi przyjaciele w Ameryce. Mamy wszystko zapisane. Wiemy, że dwie ście tysięcy ludzi deportowano w nocy piętnastego listopada czterdziestegc czwartego. Wiemy, że w drodze do Uzbekistanu i Kazachstanu zginęło cc najmniej pięćdziesiąt tysięcy. I wiemy dlaczego.

- Naprawdę? - Turek był tak oszołomiony, jakby Amerykanin nagle za proponował mu, że rozwiąże zagadkę jego przyszłego życia.

- Twoją rodzinę i tysiące muzułmańskich Turków deportowano, ponie waż Stalin przygotowywał się do zagarnięcia prowincji wschodniej Turcji -Karsu i Ardahanu - które, jak twierdził, należały do Związku Radzieckiego Nie chciał, żeby wasi ludzie, etniczni Turcy, utrudniali mu to zadanie. Wła śnie dlatego zostaliście zesłani. Wysiedleni w ciągu jednej nocy. To, że pięć dziesiąt tysięcy spośród was zmarło po drodze, nic Stalina nie obchodzi ło. Byliście przecież tylko biednymi Turkami! Na taką stratę mógł sobie po zwolnić.

- Co za potwór! Zbrodnia!

- Moi przyjaciele mówią, że jest na to rada.

- Jaka?

- Wolny Turkiestan!

Turek gwałtownie wciągnął powietrze, tak jakby sam pomysł wydał m się zbyt niebezpieczny i odurzający, aby przyjąć go normalnie.

- Wolny Turkiestan! - powtórzył te dwa słowa, które odtąd miały sta się dążeniem jego życia.

- Być może właśnie to jest sposób, by pomścić tamto ludobójstwo Tui ków i chronićprawa tych, którzy zostali.

- Wolny Turkiestan! - powtórzył raz jeszcze nieznamy.

- Ale tylko potężna organizacja może wyzwolić Turkiestan spod władz radzieckiej i zapewnić bezpieczeństwo jego ludowi od Morza Czarnego a po Chiny!

- Czy to w ogóle możliwe?

- Nie wiem. Lecz może moi przyjaciele z Ameryki nam pomogą.

I tak było z każdym spośród odwiedzających bezpieczny dom Rawls w Bayezit. Amerykanin tylko odrobinę zmieniał taktykę ze spotkania na spotkanie. Tatarowi krymskiemu mówił o stalinowskim postanowieniu, aby cała naród - synów i córki Krymu - napiętnować mianem zdrajców Związku Radzieckiego. Z Czeczenem płakał nad nieszczęściem jego utraconej i splądowanej ziemi ojczystej. Z Uzbekiem wściekał się na Rosjan z Moskwy, którzy zniszczyli piękne Jezioro Aralskie, klejnot Azji Środkowej.

W każdej z tych rozmów pojawiał się jeden stały element. W pewnym momencie Rawls zawsze zadawał te same pytania: „Czy należysz do jednego z bractw sufickich? Czy jesteś z Nakszbandi, z Kadarija, Jasawi albo Kubr

152

Czy odwiedzałeś święte miejsca? Szach-i-Zindeh w Samarkandzie, grobowiec Abbasa I Wielkiego, «żywego świętego», któremu podczas bitwy to głowę, a on wziął ją ze sobą do studni, skąd później dokonywał cudów, by ulżyć swoim wiernym? Albo kazachską świątynię Ahmada Jаса-go, założyciela bractwa, które nazwano jego imieniem? A grobowiec, ówym spoczął Ali Szach-i-Mardan, w Kotlinie Fergańskiej, w Uzbekii? I jeszcze groby wielkich: Bahaeddina Nakszbanda w pobliżu Bu-y i Jakuba Sharkiego w Dagestanie?" Goście Rawlsa zwykle odpowiadali „nie”. Ale to niewiele znaczyło. Sufiści zawsze zaprzeczali, że są członkami jakiegokolwiek bractwa. Liczyło się tylko to, że Rawls zadał im pytanie.

- O co tu, do cholery, chodzi? - powiedział Taylor na głos, gdy skończył słuchanie taśm. Najpierw postanowił odwiedzić Stanleya Timmonsa.

ef placówki miał akurat na to popołudnie zaplanowaną grę w golfa, ale na ślub Taylor przelożył ją na później. Taylor przyleciał do Ankarę z taśmą wisa w teczce. Timmons czekał na niego w biurze, w towarzystwie swojego zastępcy.

- Czy moglibyśmy porozmawiać na osobności? - spytał Taylor.

- Chyba tak - powiedział Timmons, przepraszając zastępcę i odprowadzając go do drzwi. Kiedy tamten wyszedł, szef odwrócił się do Alana. - Co

ego wielkiego się stało? Po co to nagłe spotkanie?

- Stanley, chciałbym, żebyś uczciwie odpowiedział mi na jedno pytanie.

- Dobrze - odparł Timmons. —Jeżeli tylko będę mógł.

- Czy prowadzisz operację z tajnym agentem w Stambule, o której nie wiem? Chodzi mi o faceta używającego nazwiska Rawls i podającego się za

kanadyjskiego producenta filmowego z Vancouver.

- A jak nazywa się naprawdę?

- Skąd mam wiedzieć?

- Mmm - mruknął Timmons. - Nie, raczej nie. Przynajmniej nic takie-o nie pamiętam. Oczywiście, nie mógłbym ci powiedzieć nic, gdyby taka peracja rzeczywiście była prowadzona, bo gdybyś miał o niej wiedzieć, to uż by cię zawiadomili. Ale nie, to nazwisko nic mi nie mówi.
- W takim razie mam dla ciebie złą wiadomość. Sądzę, że ktoś prowadzi tę operację za twoimi plecami.
- Niemożliwe.
- Jesteś pewien? - głos Taylora brzmiał ostro i sceptycznie. Timmons podrapał się w głowę.
- Prawdę mówiąc, nie. Niezupełnie. W rzadkich przypadkach chyba mogą mnie o niczym nie powiadamiać.
- Na przykład w jakich?

153

- Kiedy mają problemy z przykrywką. Jeżeli z centrali wysyłają tajnego agenta, aby przeprowadził wyjątkowo delikatną akcję, mogą uznać, że lepiej utrzymać to w tajemnicy przed konsulatami. Mogą nawet zataić to przed szefem bazy w danym regionie. To możliwe. Czasami centrala nieoficjalnie deleguje kogoś do ambasady, na przykład człowieka z USIA, i ze względu na bezpieczeństwo jego misji osoba ta nie ma żadnego kontaktu z bazą CIA. To się zdarza.

Timmons zakaszlał nerwowo i zapalił papierosa. Ogarniał go coraz większy niepokój. Wyobrażał sobie różne scenariusze i przyczyny, dla których wyłączyli go z kręgu poinformowanych.

- Może lepiej będzie - powiedział - jeżeli zdradzisz mi więcej szczegółów na temat tej operacji, która, jak twierdzisz, jest prowadzona za moimi plecami.
- Bardzo chętnie. Ale najpierw musisz mi coś obiecać.
- Co?
- Nie powiesz w centrali, w jaki sposób się tego dowiedziałem.
- Jak mogę ci to obiecać? Może zrobisz to w sposób sprzeczny z etyki zawodową.
- Nie.
- No dobrze. W takim razie obiecuję. Teraz powiedz mi o... jak on si< tam nazywa?

- Rawls. Takiego nazwiska używa. Natknąłem się na niego miesiąc temu w barze Om ara Gaspraly w Bayezit.
- Kim, do diabła, jest Omar Gaspraly?
- To Tatar, którego rodzina zbiegła z Krymu dawno temu. Jego loka jest miejscem skupiającym emigrantów z Azji Środkowej. Wszyscy się tar zbierają upijają i udają że będą wyzwalać swoją ojczystą ziemię.
- Mów dalej. - Timmonsa zaciekały te wyj aśnienia i teraz chciał usł) szeń więcej szczegółów. Był jak zdradzony mąż, który koniecznie chce si dowiedzieć, co dokładnie zrobiła jego żona.
- Wybrałem się tam pewnego wieczoru razem z George'em Trumb< technikiem z Aten, który przyjechał, żeby mi pomóc w tej akcji z Kunaj(wem.
- Pamiętam - powiedział Timmons niepewnie.
- Próbowałem załatwić George'owi panienkę, kiedy podszedł do ni Omar i powiedział, że w barze jest jeszcze jeden Amerykanin. Ten gość Rawls, gadał z dwoma dzikookimi Uzbekami. Zaciekało mnie to, wif wysłałem George'a, żeby go wybadał. Facet twierdził, że jest filmowce z Kolumbii Brytyjskiej i zajmuje się kręceniem filmu dokumentalnego o en grantach ze Związku Radzieckiego. Dał mu nawet swoją wizytówkę.
- Wygląda na to, że gość jest od naszych. Kanadyjczycy nie mają za nych interesów w Turcji.

154

- Tak właśnie pomyślałem. Cholernie mnie to wkurzyło, więc postano-sm bliżej zbadać, co się dzieje. Byłem trochę pijany i prawdę mówiąc, mie właśnie dlatego odważyłem się na taki krok.
- To znaczy na co?
- Poszedłem za nim do domu i kazałem George'owi założyć u niego pod:-h. Postąpiłem niezbyt mądrze. - Taylor starał się wyglądać tak, jakby 3 żałował.
- I to wszystko? Czy właśnie o tym miałem nikomu nie wspomnieć?
- Tak.
- W takim razie możesz się nie obawiać. Nikogo to nie obchodzi. A te-do rzeczy: co było na taśmie?
- Dziwne historie. Rawls co kilka dni spotyka się z emigrantami - Uz-ami, Kazachami i Bóg wie z kim jeszcze - i namawia ich do wyzwalaia ii ojczystych. Opowiada, jacy to Rosjanie są źli dla radzieckich muzułmany, tak jakby tym ludziom trzeba było o tym przypominać. Potem sugeruje, ac wyrażnie tego nie stwierdza, że Wuj Sam może im pomóc.
- Pomóc w czym?

- Nigdy tego nie wyjaśnia, ale mówi: „Wolny Turkiestan!”, tak jakby to slogan jakiegoś podziemnego ruchu.
- Zapomnij o tym. - Timmons pokręcił głową. - Już się takimi rzeczami zajmujemy. Są ściśle zakazane.
- Ja też tak myślałem. Jeżeli mi nie wierzysz, sam przesłuchaj taśmę.
- Nie ma mowy.
- Posłuchaj tej cholерnej taśmy!

Timmons uległ. Zupełnie porzucił plany gry w golfa tego dnia. Siedział rętwiały i słuchał wybranych fragmentów nagrania. Abdallah z Taszkien-Turek, Uzbek, Tatar.

Za każdym razem kiedy Rawls wspominał o „swoich przyjaciółach Ameryce”, Timmons mruczał: „O cholera!”.

Gdy wysłuchali wszystkiego, co przygotował Taylor, Timmons ukrył twarz dłońmi. Sprawiał wrażenie zdruzgotanego.

- Nie mam pojęcia, o co w tym wszystkim chodzi - wyznał. - Wiadomo pewno, że sprawa jest delikatna.
- Właśnie.
- Powiem szczerze, nie chcę się w to mieszać. Gdyby ktoś uważał, że owinięciem o tym wiedzieć, to bym wiedział. Ale skoro nikt mnie nie powiadomił, rozumiem, że to nie mój interes.
- Tylko że teraz już wiesz.
- Niepotrzebne mi to - stwierdził Timmons spokojnie. - W następnym roku dchodzę na emeryturę i zamierzam zrobić to cicho i bez wstrząsów. Jeżeli chcesz »bić wokół tego szum, twoja sprawa. Ja trzymam się od tego z daleka. Nie moja zecz, co się tam dzieje. Wszystko w twoich rękach. Rób, co zechcesz.

155

- Dzięki - powiedział Taylor. Mimo woli współczuł Timmonsowi, staremu, zmęczonemu i obawiającemu się wszystkiego, co mogło zakołysać łodzią, w której siedział.
- Proszę tylko, żebyś informował mnie na bieżąco o rozwoju sprawy -zaznaczył Timmons. - Chcę także, żebyś wiedział, iż jeszcze dziś wieczorem zamierzam wysłać do centrali depeszę z informacją, że złożyłeś mi rapor w pewnej delikatnej sprawie, na którą się natknąłeś, a ja poradziłem ci, aby; dalej w to nie brnął.

Taylor podziękował szefowi i uściśnął mu dłoń. Miał takie uczucie, jak by przed chwilą był świadkiem, jak Timmons własnoręcznie się powiesił.

Samowola była u Taylora czymś w rodzaju biologicznego instynktu. Z nie jasnym przecuciem, że sprawi kłopoty przede wszystkim samemu sobie, jesz cze tej nocy przygotował depeszę do centrali.

Najpierw chciał wystąpić do LWSURF prosto do dyrektora, aby pociągając za najmocniejszy sznurek od razu dostać się na najwyższy szczebel. Jednak takie posunięcie byłoby głupie. Hinkle prawdopodobnie zignorowałby informację albo, co gorsze, przekazałby sprawę jednej z kongresowych komisji do spraw wywiadu. Droga możliwość polegała na zawiadomieniu zastępcy dyrektora operacyjnego. Ten jednak też odrzucił jako nierozważną. Moglibyśmy pomyśleć, że chce rozpuścić bitwę, a przecież Taylor zawsze kierował się zasadą, że nie należy wchodzić w bójkę, jeżeli nie zna się przeciwnika.

Zdecydował, że chce jedynie trochę podrażnić biurokratów, aby wiedzieli, iż odkrył ich mały plan w Stambule, po prostu i w grzeczny sposób powiadamiając ich „pieprzcie się”. Przygotował więc najbardziej niewinną depeszę zwyczajną prośbę o jakiegokolwiek ślad czy stosowne informacje dostępne w rejestrze na temat niejakiego Jacka Rawlsa, filmowca, ze szczególnym uwzględnieniem pytania o to, czy pan Rawls działał z ramienia CIA, tak i Taylor mógł ewentualnie pomóc w uwiarygodnieniu jego przykrywką. Potem powrócił do codziennych rutynowych zajęć w placówce i czekał na odpowiedź.

Wyglądała praca w CIA w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym dziesiątym

roku. Patrzyło się, jak tkanina potęgi amerykańskiej powoli pęknie się w różnych zakątkach świata. Czasem nawet można było zrozumieć

156

czego tak się dzieje, ale nie dało się tego powstrzymać. Jeżeli ktoś sucho podchodził do swojej pracy, właśnie wtedy zaczynał się czuć źle, zym strażak, który musi patrzeć na płonący wysoki budynek, ponieważ o drabiny i węże nie sięgają płomieni. A zimą siedemdziesiątego dziewięćsetnego roku na świecie ogłaszano alarm co najmniej trzeciego stopnia. Płonął n. Ogień rozprzestrzeniał się, a agencja zdawała się robić wszystko poza areną płomieni.

Nowe plany pojawiały się co kilka tygodni. Na początku marca ktoś w centrali postanowił, że należy zwerbować więcej kurdyjskich agentów, aby zażłodzić Chomeinemu bunt z strony Kurdów. Genialny pomysł! Wici poszli do wszystkich baz i placówek w regionie legionów imperium i kilka dni później Taylor udał się w odwiedziny do bezwzględnie szakala z Diyarbakir, jego polecił mu baza w Los Angeles (wyglądało na to, że w południowej dzielnicy znajdowało się centrum kurdyjskiej diaspory) jako człowieka, który mógłby poprowadzić armię Kurdów na wygnanie. Staruszek jeszcze niepełnie stracił kontakt ze światem. Zażądał, aby w zamian za jego udział kurdyjskiej wojnie wyzwoleniczej natychmiast wpłacono znaczną sumę na jego konto w Szwajcarii. Taylor posłusznie przekazał jego żądanie centrali, informacją aby przestali wiadomość do Los Angeles.

Najwięcej kłopotów sprawiało Taylorowi werbowanie irańskich agentów. Centrala zdecydowała, że może wymieniać wize za informacje, wydano więc dekret, że Irańczycy mogli otrzymywać wize o specjalnym statusie tymczasowym, ale to wyłącznie wtedy, gdy prezentowali jakąś wartość dla wywiadu, rzucając irańskich uchodźców przybyły do Stambułu. Wszyscy chcieli wyjechać do Ameryki, aby zakładać tam salony piękności albo prowadzić małe i różnorodne sklepy czy jeździć taksówkami w okolicach lotniska Dulles. Każdy lich gotów był opowiadać najbardziej niestworzone historie, byleby tylko rzucić upragnioną złotą wizę. Taylor miał dość wysłuchiwanie tak wielu amstw, więc zlecił przeprowadzanie rozmów swojej sekretarce. Uznał, że łącznie bardziej sensownym warunkiem przyznawania wiz

byłoby wymu-anie na Irańczykach obietnicy, że nigdy nie będą udzielali informacji wy-iadowi Stanów Zjednoczonych.

W połowie marca odkryto niewielkie uchybienia w procedurze. Okazało ę, że pewien Irańczyk, pracownik departamentu wiz, sprzedawał swoim omkom miejsca w kolejce do ambasady za kwoty dochodzące do dziesię-u tysięcy dolarów. Z Waszyngtonu wysłano inspektorów, którzy sukcesyw-ie sprawdzali każdego, na kogo się natknęli. Bez wątpienia było to prze-ępstwo z rodzaju tych, jakie najbardziej rajcowały biurokratów - mało istotna orupcja. Turcy w końcu zgodzili się pociągnąć do odpowiedzialności urzęd-ika, który popełnił uchybienie. Biedni Irańczycy, którzy dali mu łapówki, ostali skreśleni z listy oczekujących. Taylora, który o całym przedsięwzię-iu nic nie wiedział, ale nieopatrznie wspomniął jednemu z inspektorów, że

157

Irańczyk ma żyłkę do interesów i na pewno świetnie dałby sobie radę na Wall Street, oficjalnie uznano za niewinnego. Nieoficjalnie jednak wiadomo było, że szychom z centrali nie spodobało się to.

Alan brnął dalej. Waszyngton wciąż najbardziej interesował się Bułgara mi i ich domniemanym przemylem broni do Turcji. Taylor nie znalazł żad nych dowodów na prawdziwość tych przypuszczeń. Niestety, broń napływa ła do Turcji ze wszystkich kierunków - z Libanu, Syrii, Iranu, Grecji i oczy wiście z Bułgarii - ale prawdziwym problemem okazał się popyt na broń a nie to, kto j ą dostarczał. Nie zważaj ąc na to, centrala co kilka tygodni wysy łała ponaglenia, domagając się nowych wiadomości na temat bułgarskiej broni Taylor doszedł do wniosku, że po prostu musi czymś nakarmić tę żarłocz ną kozę. Regularnie przeprowadzał dochodzenia, dzięki którym miał zapewnio ny stały dopływ bezużytecznych informacji.

Sytuacja w Turcji niepokoiła go, choć nie mógł nic w tej sprawie zrobi Jego obawy zaczęły się wkrótce po tym, kiedy zdał sobie sprawę z tego, : potrafi odróżnić lewicowców od prawicowców tylko na podstawie ich głądu. Pewnego razu, gdy wychodził z metra, na które mówiono tunel, stacji w Istiklal dostrzegł grupę nastoletnich chłopców po przeciwnej str nie.

- Lewicowcy - powiedział do siebie, nawet się nad tym nie zastanawia jąc. Mieli na sobie parki, dżinsy i wojskowe buty. Tak właśnie ubierali s lewicowcy. Prawicowcy wyglądali zupełnie inaczej. Nosili długie, wełni płaszcze i ciemne okulary. Taylor przyjrzał się uważniej grupie młodych, pewno lewicowcy. Nawet wąsy mieli lewicowe. Oczywiście wszyscy t mężczyźni nosili wąsy, ale u lewicowców były one krzaczaste, czasem wchodziły do ust. Wąsy prawicowców były cienkie i starannie przycięte. 1 pomiwały sznurki. W chwili gdy Taylor uświadomił sobie, że podział T jest widoczny nawet w sposobie ubierania się, postanowił, że musi zwe wać agenta z ruchu studenckiego. Tylko dla celów wywiadu, zapewniał T: monsa. Żadnych tajnych operacji.

Jego wysiłki podczas pierwszej wyprawy po nowy narybek zostały wynagrodzone. Znalazł nieśmiałego tureckiego profesora wykładającego nauki polityczne. Otrzymał on kryptonim EXCHASE/1. Oznaczono go jako n jeden w nadziei, że sam zwerbuj swoich własnych agentów, staliby EXCHASE/2, EXCHASE/3 i tak dalej. Niestety, profesor nie okazał się najlepszym agentem. Jego „wywiad" nie wykraczał poza to, co działo się w gazetach, po prostu sam starał się pozostać przy życiu. Taylora nie przeszkadzało. Pomimo jego licznych wad, EXCHASE/1 i tak wi więcej niż turecka policja. Jeżeli gdzieś

w Stambule dochodziło do eksplo na policji kapitan potrafił jedynie powiedzieć: „Proszę się nie martwić, sprawa nie dotyczy Amerykanów”. Tylko tyle. EXCHASE przynajmniej wszystkie plotki.

158

I Naprawdę nazywał się Bulent. Według planu Taylor miał się z nim spotkać raz w miesiącu w bezpiecznym domu w Kadikoy, po stronie azjatyckiej. Zastępca Taylora, który zajmował się wszystkimi sprawami administracyjnymi, takimi jak wynajmowanie bezpiecznych domów, chyba darzył azjatycką stronę szczególną sympatią. Może uważał, że było tam bezpieczniej niż po stronie europejskiej, bliżej konsulatu. Taylor miał odmienne zdanie, Inieważ jedynymi Amerykanami płaczącymi się po Kadikoy w zwykłe popołudnia byli handlarze narkotyków i szpiedzy. Nie przejmował się tym jednak. Przynajmniej w Kadikoy mniej się płaciło za czynsz.

I Taylor przepłynął promem cieśninę Bosfor do Uskudar. Na chwilę wyrosło słońce, przebijając się przez mgłę i smog końca zimy. Ta krótka podróż przypominała mu, dlaczego Stambuł, pomimo wszystkich swoich okropności, pozostał wspaniałym. To miasto należało oglądać z wody. Widok linii budynków na tle nieba, gdy prom odbijał od nabrzeża w pobliżu mostu Galata, był jednym z najbardziej spektakularnych widoków na całej planecie. Taylor leżał na pokładzie i liczył strzeliste wieżyczki pięciu wielkich meczetów, oświetlonych na różowo przez poranne słońce. Prom sunął po atramentowoczarach wodach cieśniny.

[- Salep! Salep! Salep! - wołał handlarz, przeciskając się wśród pasażerów tłoczących się na pokładzie rufowym. Sprzedawał ciepły, pienisty napój rzyrzędzony z mleka, korzenia salepu i przyprawiony cynamonem.

- Salep - poprosił Taylor. Przez resztę podróży wdychał aromat cynamonu i przypraw patrząc, jak wspaniały wrak Stambułu znika w oddali, a nowoczesny zamęt Anatolii coraz bardziej zbliża się od strony dziobu.

EXCHASE, poważny młody mężczyzna o rudawych włosach, rumianej cerze i wielkich, trochę smutnych oczach, nosił lewicowe wąsy, choć była to dość przerzedzona wersja. Jego problem polegał na tym, że po skończeniu studiów doktoranckich w dziedzinie nauk politycznych na uniwersytecie w Wyoming przed kilku laty, stał się za bardzo zamerykanizowany. Po powrocie do kraju zaczął prowadzić wykłady na uniwersytecie w Stambule czuł się z tego powodu niepewnie oraz niegodnie. Chciał mieć pewność, że nie da się wciągnąć w nędzne życie Turków i dlatego zaczął szpiegować dla CIA.

- Spóźniłeś się, Bulent - stwierdził Taylor, gdy młody agent wreszcie tawił się w bezpiecznym domu. Przyszedł jedynie kwadrans później, ale Taylor i tak go upomniał. Agenci nie powinni się spóźniać.

- Boję się - powiedział Turek.

- Dlaczego?

- Na uniwersytecie robi się coraz niebezpieczniej.

- Dla kogo?

- Dla wszystkich. Moi studenci boją się nawet wyjść po gazetę. W niektórych miejscach ja też boję się kupować gazety.
- Jak to? - Taylor zastanawiał się, czy EXCHASE przypadkiem nie zaczyna się łamać.
- Bo jak kupię niewłaściwą gazetę w niewłaściwym miejscu, mogę mieć kłopoty. Jeżeli poproszę o lewicową gazetę „Cumhuriyet” w rejonie, gdzie królują prawicowcy i jakiś prawicowiec mnie zobaczy, zostanę zaatakowany. Dlatego w kiosku tylko pokazuję, którą chcę, a kiedy sprzedawca mi ją poda, szybko składam, żeby nikt nie widział, co kupiłem. Tak jest bezpieczniej.
- Przecież to idiotyczne.

Bulent wyglądał na urażonego.

- Tak się zdarzyło w zeszłym tygodniu - powiedział z powagą. - Nie daleko terenów uniwersyteckich w Bayezit. Prawicowiec kupował egzemplarz „Tercuman”, lewicowiec to zobaczył i zastrzelił go.
- Zastrzelił?
- Właśnie tak. Na uniwersytecie każdy teraz nosi broń. Oprócz kobiet.
- Rozumiem.
- O, przepraszam, pomyliłem się. Kobiety maoistów też mają broń. Al to są dziwne kobiety. Niskie i brzydkie, i śpiątylko z innymi maoistami. Mam takie powiedzenie na uczelni: „Im bardziej na lewo, tym brzydsze kobie i tym łatwiej zaciągnąć je do łóżka”.
- U nas mówiło się podobnie, kiedy jeszcze chodziłem do szkoły - stwie dził Taylor.

Bulent nawet się nie uśmiechnął. Był bardzo poważnym młodym czł wiekiem.

- A co do tej broni - przyciskał Taylor - wiem, że już cię o to pytałem ale sprawa jest bardzo ważna. Skąd ona pochodzi?
- Z Bułgarii - oświadczył Bulent. Z poprzednich rozmów na ten temat zorientował się już, że to była właściwa odpowiedź.
- Skąd wiesz? Zapisywałeś numery seryjne, tak jak prosiłem podczas naszego ostatniego spotkania?

Bulent pokręcił głową.

- Dlaczego nie?
- Bo to niemożliwe.
- Jak to nie, do diabła?

Turek wyglądał na przerażonego. Dolna warga zaczęła mu drżeć.

- To dla mnie zbyt niebezpieczne - powiedział cicho.
- Taki był układ między nami.
- Wiem, ale jeżeli będę za bardzo interesował się bronią, inni dom się, że jestem szpiegiem i zabiją mnie.
- Boisz się.
- Tak, boję się. Przepraszam.

160

Taylorowi zrobiło się żal Turka. Wyglądał żałośnie.

- Głowa do góry - pocieszył go, klepiąc Bulenta po ramieniu.
- Dobrze, dobrze.

Taylor postanowił zmienić temat. Do diabła z bułgarską bronią.

- A co nowego u twoich lewicowych przyjaciół na uniwersytecie?
- Aach! - westchnął Bulent zadowolony, że w końcu może przekazać teczną informację. - Mam bardzo ważną wiadomość. Nastąpił rozłam jdry Dev-Yol i Dev-Sol.
- Przypomnij mi tylko, która partia jest która.
- Oczywiście. Ci z Dev-Yol wierzą że rewolucja rozpocznie się na wsi, otem obejmie miasta. Ci z Dev-Sol uważają, że rozpocznie się w miastach jpiero potem obejmie wieś. Teraz obie strony są bardzo skłócone i strzelało siebie.
- I co na to policja?
- Która? Pol-Bir czy Pol-Der?
- Och, daj spokój, Bulent.
- Pol-Bir to prawicowy odłam policji. Pol-Der - lewicowy.
- Rozumiem. No i jak mają zamiar rozwiązać ten problem?
- Żadna ze stron nie robi nic w sprawie Dev-Yol i Dev-Sol. Obie my-t, że wszystko kontroluje CIA. - Spojrzał na Taylora z wyczekiwaniem, iwet osoba tak dobrze wykształcona jak Bulent wciąż miała złudzenia co amerykańskiej wszechpotęgi, pomimo oczywistych dowodów na to, że ło zupełnie odwrotnie. Taylor nie chciał rozczarowywać swojego roz-Dwcy.
- Ciii! - powiedział, mrugając do niego. Bulent pokiwał głową. Napę-;ała go wyłącznie myśl o potężnej, odległej Ameryce, która zechciała przy-; go do grona swoich agentów. Amerykanin spojrział na zegarek.

- Jeszcze tylko jedno pytanie, potem otrzymasz swoją zapłatę - stwierdził. - Co na uniwersytecie mówi się o Iranie? Czy ktokolwiek przyłącza się do islamskiego stowarzyszenia studenckiego?
- Kilka osób. Głównie biedacy ze wsi i brzydkie dziewczyny. Nimi nie zeba się przejmować. Oni są przegrani.
- Ile pieniędzy islamskie stowarzyszenie daje swoim członkom?
- Trochę. Mniej niż rozdają lewicowcy. Prawie tyle samo co prawica.
- Skąd te pieniądze pochodzą?
- Z Iranu. - Bulent prawdopodobnie miał rację, ale nie wiedział tego na swego. To strata czasu, pomyślał Taylor. Sięgnął do kieszeni i wyjął z niej opertę.
- Oto twoje stypendium - powiedział, podając Turkowi pieniądze. W kołnierzu znajdowało się osiemdziesiąt dolarów.
- Dziękuję. - Turek był bardzo wdzięczny. O wiele za bardzo jak na taką niewielką sumę, którą płaciła mu agencja. Taylor już dawno temu przekonał

[-Siro

161

się, że skąpstwo bardzo pomagało w tym zawodzie. Zasada polegała na tym aby nigdy nie zapłacić nikomu zbyt dużo, ponieważ nagłe wzbogacenie się mogło ściągnąć na taką osobę podejrzenia. Ta część szpiegowskich interesów zawsze śmierdziała zgnilizną. Nie dało się nawet zarobić porządnie na sprzedawaniu sekretów.

Następnego dnia Taylor miał zwykłe spotkanie kontaktowe z Serifei Osmanem z tureckiego wywiadu. Turek wyglądał nędznie. Jego zwykła pewność siebie i duma bizantyjskiego mistrza szpiegostwa znikły gdzieś bez śladu. Przypominał raczej wymizerowanego policjanta otoczonego ludźmi, na którymi nie potrafił zapanować. Nawet jego kozia bródka, zwykle idealnie przystrzyżona i uczesana, wyglądała tego dnia dość niechlujnie.

- Co się stało? - spytał Taylor.
- Kłopoty we wschodnich prowincjach - odparł Turek. Był to szyi Osmanowi chodziło o Kurdów. Tureckie służby bezpieczeństwa wolały nie wymawiać tego słowa na głos.
- Co się dzieje we wschodnich prowincjach?
- Zagraniczni się zamęt. - To także był szyi. Turek mówił o Związku Radzieckim. Tureckie służby bezpieczeństwa wierzyły, że Moskwa popiera ku dyjskich rebeliantów, aby w ten sposób przyczynić się do rozłamu w Turcji.
- Czy stało się coś szczególnego?
- Kolejny pogrzeb. Lewicowi agitatorzy wykorzystali to do swoich celów. Armia zmuszona była interweniować.

- Co teraz zamierzacie?
- Oczywiście zastosujemy sankcje dyscyplinarne.

Serif podszedł do okna swojego gabinetu. Wychodziło na park Yild w którym pod koniec dziewiętnastego stulecia sułtan Abdul Hamid ukrywał się przez kilkadziesiąt lat przed problemami rozpadającego się imperium.

- Jedno przyznam Abdulowi Hamidowi - powiedział Serif, wskazując na pałac Yildiz. - Umiał radzić sobie z Kurdami.
- Pozwolił, aby wytlukli Ormian - zauważył Taylor.

Turek zmrużył oczy.

- Tylko żartowałem.
- Sułtan miał wiele wad, ale na wiele sposobów był też pierwszym nowoczesnym szefem wywiadu.
- Mmm - mruknął Taylor. Co za wyróżnienie. Tak naprawdę Abdul Hamid był dziwakiem. Tak bardzo obawiał się spiskowców, że rzadko opuszczał Yildiz. Na terenach pałacowych trzymał sto papug w klatkach, aby ostro gęły go przed intruzami. W każdej komnacie miał naładowaną broń, aby w razie czego zastrzelić zamachowców. Pił mleko tylko od swoich krów, który strzeżono dwadzieścia cztery godziny na dobę. Jego brat, Izzet, pierwszy

162

Biały szaty przeznaczone dla sułtana, aby mieć pewność, że nikt nie pochwyci ich trucizną. Słowem, był szaleńcem.

I - Znasz tajemnicę Abdula Hamida? - ciągnął Serif. - Była nią technika. I Taylor otworzył szeroko oczy, ale nic nie powiedział. I - To prawda! Abdul Hamid za pośrednictwem telegrafu sprawował kontrolę nad siecią swoich szpiegów w całej Europie. Wysyłał całe zespoły fotografów, aby przeprowadzali inwigilację jego imperium. Mam nawet jeden album tutaj, w biurze.

- Naprawdę? - Udawanie zainteresowania należało do głównych aspektów takich spotkań z przedstawicielami lokalnego wywiadu: oglądanie albumów ze zdjęciami, wysyłanie kartek z życzeniami na urodziny Ataturka, wyłuchiwanie wiekowych opowieści o niepodległości.

I - Chciałbyś go zobaczyć? - spytał Serif z nadzieją.

- Oczywiście.

Turek wyjął z szuflady biurka grubo album starych fotografii, z których każdą otoczono ramką z tughrą Abdula Hamida zapisaną ozdobnym osmańskim pismem. Prawdziwy katalog systematyczności i porządku, wszystko było tylko zadowolić sułtana-paranoika. Taylor zauważył, że zdjęcia przedstawiały prawie wyłącznie ludzi w mundurach: strażaków, policjantów, żołnierzy i marynarzy, wszystkich pozujących dumnie w strojach galowych; Buczniowie w tunikach ze złotymi guzikami i w czerwonych fezach dziecięcych rozmiarów; szermierze i gimnastycy podczas zawodów; studenci medycyny

płaszczach o dwurzędowym zapięciu ustawieni za rozkładającymi się Bwłokami. Taylor uznał, że album ten odzwierciedlał głównie zamiłowanie Burków do porządku: katalogi i listy, równe rzędy, zawsze taki sam układ na Btronie. Prawie nie miało znaczenia, co przedstawiały fotografie, ważne, aby wszystko ustawione było w jak największym porządku. Wystarczy odwie-Bzić tureckiego sprzedawcę ryb, aby ujrzeć dokładnie to samo: ryby ułożone lówniuteńko, duże i małe w idealnych rzędach, głowy i ogony jak pod linii-Bę. Turcy byli zdyscyplinowanym narodem o silnej woli. Czasem jednak sta-lwali się paranoikami.

I - Piękne fotografie - powiedział Taylor. - Ale kiepski wywiad. Jeżeli lułtan widział tylko tyle, mógł myśleć, że imperium jest w idealnym stanie.

- On w to nie wierzył - odparł Serif. - Przekonywało go to jedynie, że ego wrogowie byli bardziej przebiegli, niż myślał. Dlatego werbował więcej »zpiegów.

Taylor skinął głową. Tak brzmiała standardowa odpowiedź każdego Tur-ca, nawet teraz. Jeżeli ich wywiad, MIT, nie zdobywał wystarczającej liczby informacji o terrorystach, zatrudniano kilkudziesięciu nowych informatorów, aby przesiadywali w kafejkach, w których zbierała się lewica, i dobrze nadstawiali uszu. Zwykle też „przesłuchiwa-no” kilku lewicowców i Kurdów. Tak wyglądał kolejny stały punkt działania tureckiej tajnej policji. Przesłuchiwa-

163

nie więźniów, teraz tak samo jak w czasach Abdula Hamida, należało do ulubionych czynności władz.

- My, Turcy, mamy takie powiedzenie - oznajmił Serif. - Lepiej łoić skórę swoim dzieciom, niż potem żałować.

- Postaram się to zapamiętać - obiecał Taylor. - Posłuchaj, zanim pójde, muszę cię jeszcze o coś zapytać.

- Tak? O co takiego?

- Czy kiedykolwiek słyszałeś hasło „Wolny Turkiestan”?

Serif spojrział na Taylora z ukosa.

- Jakie hasło?

- „Wolny Turkiestan”. Czy słyszałeś o jakiejś grupie emigrantów, któn używałaby takiego sloganu?

- Oczywiście. Jest mnóstwo takich grup. Dawniej każdy kelner w re stauracji „Rejans” miał swoją grupę. Dziś już nie ma ich tak wiele.

- Czy Turkom wciąż jeszcze zależy na Turkiestanie?

- Oczywiście, że nam zależy! - Serif uznał, że jego duma została urażo na. - Moja rodzina pochodzi z Krymu. Z Bakczysaraju.

- Żartujesz.

- Tutaj w takich sprawach się nie żartuje. Każdy Turek pamięta nasz« utracone imperium. Mamy nawet specjalne powiedzenie.

- Jakie?

- Mawiamy: „Człowiek może podróżować od Morza Śródziemnego p< Ocean Spokojny i porozumiewać się po turecku przez całą drogę”.

- No i ciągle jeść kebaby.

- Słucham?

- Nic takiego.

- Dlaczego pytasz mnie o Turkiestan?

- Po prostu jestem ciekaw. Słyszałem ten slogan „Wolny Turkiestan kilka dni temu i zastanawiałem się, czy chodzi o coś poważnego.

- Dla nas? Dla MIT?

Taylor przytaknął.

- Oczywiście nie mogę ci tego wyjawić.

- Wiem, że nie możesz, ale pewnie mógłbyś mi zdradzić, co ty o tym sądzisz?

- Mmm - mruknął Turek. Kąciki jego ust wykrzywiły się w górę. Ni był to uśmiech, ale prawie. - Powiedziałbym, że to nie jest poważne. To gi dla staruszków i kelnerów z „Rejans”. My nie mamy już z tym nic wspó nego.

Na początku kwietnia zwyczajną rutynę zajęć szpiega przerwało poj< wienie się odpowiedzi, na którą czekał Taylor. Otrzymał z centrali dość ni<

164

kłędępeszą. Nadano ją specjalnym kanałem „wiadomości zastrzeżonych”, oznaczało, że otrzymała status wyjątkowo poufnej i traktowana była ina-j niż zwykłe agencyjne wiadomości opatrzone etykietką „ściśle tajne”, dał ją Edward Stone. Stone informował, że przylatuje do Stambułu za ty-eń, zamierza zatrzymać się tu na jedną noc i chciałby spotkać się z Taylo-. Musieli porozmawiać w jakimś bezpiecznym miejscu.

ażda rządowa agencja amerykańska miała kilku takich ludzi jak Edward Stone. Uważano ich za stałych podsekretarzy, mistrzów biurokracji, któ-przetrzytywali kolejne fale entuzjastycznych polityków i przypominali encji o jej misji historycznej. Część potęgi takich Stone'ów brała się stąd, byli oni pomnikami świata, w którym powstawały ich agencje, ucieleśnia-kulturę biurokratyczną każdej z tych instytucji, jej mity i tradycje. Dla większości federalnych agencji okresem początków były lata trzy-este, lata kultury liberalizmu i nowego ładu. Wystarczy nawet dziś odwie-ć większe ministerstwa w Waszyngtonie - rolnictwa, spraw wewnętrznych, rawiedliwości - a znajdzie się tam fizyczne pozostałości tamtych lat: wiel-"e freski przedstawiające zwykłych Amerykanów, robotników i rolników, licjantów i sprzedawców, tworzących obraz amerykańskiej socjaldemokra-'i. Gdyby

Ameryka kiedykolwiek postanowiła zerwać ostatecznie z etosem alta Whitmana, Feliksa Frankfurtem i Franklina Delano Roosevelta, ktoś usiałby zamalować mury nowego ładu.

Centralna Agencja Wywiadowcza była produktem nieco odmiennych zasów i etosu. Mit jej założenia sięgał lat czterdziestych - okresu drugiej wojny światowej i jej następstw. Miała tradycje patrycjuszowskie, a nie pro-etariackie. Kiedy mandaryni CIA wznieśli swoją siedzibę przy rzece Wirnina, postanowili, że ma ona wyglądać jak obóz ekstraklasy - chłodny i su-owy, niczym jeden z nowoczesnych budynków Yale albo Harvardu. Nikt CIA nigdy nie wpadł na pomysł, żeby ozdobić którąkolwiek ze ścian fre-kciem spoconego robotnika w ogrodzie wywiadu. Uznano by to za zbyt wulgarnie. Zbyt publiczne. Gdyby agencja pragnęła uhonorować swoje tradycje, zamówiłaby grawerowaną srebrną tacę u Tiffany'ego. CIA była inna od pozostałych. Powstała w Ameryce, która rozwijała się w pośpiechu, zostawiając w tyle idealizm i zamieszanie lat trzydziestych. W ciągu kilku lat stała się mocna, pewna siebie i cyniczna. Powołano ją do życia, aby ratowała Amerykę nie przed problemem ubóstwa czy niesprawiedliwości, ale

przed Niemcami i Japończykami. Potem zaś, już na zawsze, przed Rosjanami.

To wyjaśniało wyjątkową pozycję Edwarda Stone'a w agencji. W tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym dziewiątym roku był on jednym z niewielu weteranów pokolenia założycieli, który pozostawał jeszcze w Langley. Jakc jeden z maleńkiej garstki ludzi wciąż pamiętał, że „przepustka Q” oznaczała iż miało się wstęp do budynku Q, jednego z czasowo adaptowanych domów rozrzuconych po tak zwanym Dnie, w którym agencja mieściła się pierwotnie. Z budynku do budynku jeździło się wówczas małymi autobusami, które nazywano „zielonymi żuczkami”. Najważniejsze jednak, że Stone nadal pamiętał, jak niepewne były tamte czasy, kiedy nie obowiązywały jeszcze żadne zasady i agenci musieli radzić sobie niezależnie od sytuacji.

Pochodzenie Stone'a, według terminologii agencyjnej, było w części brytyjskie, a w części niemieckie. Oznaczało to, że miał rodowód najlepszy z możliwych. Przyjechał do Londynu na początku wojny jako młody oficer, który dostał przydział do oddziałów specjalnych i wspólnie z Brytyjczykami zaczął rozpracowywać sieć nazistowskiego wywiadu. Po zakończeniu wojny; udał się do Niemiec i tam kontynuował pracę - badał nazistowską sieć wywiadowczą sięgającą na wschód, w kierunku Związku Radzieckiego, a nie na zachód, ku Wielkiej Brytanii i Ameryce. Czerpiąc z doświadczeń dwóch gasnących imperiów, Wielkiej Brytanii i Niemiec, Stone i jego koledzy zbudowali amerykańską agencję wywiadowczą. Od Brytyjczyków przejęli fach oraz tak zwany élan-, od Niemców wzięli wielu spośród ich agentów. W wyniku tego powstała niezwykła mieszanka, ale wtedy nie było czasu, aby o tym rozmawiać.

Nauka tamtych lat wryła się głęboko w pamięć Stone'a: Sowieci należą do nieobliczalnych i obłudnych przeciwników; Europejczycy byli konformistami bez charakteru i woli; Amerykanie i Brytyjczycy pozostali ostatnią wiską nadzieją tego świata - oczywiście nie wszyscy spośród nich, ale ten właściwy rodzaj, ludzie, którzy nie szli na żaden kompromis. W siedemdziesiątym dziewiątym roku minęło ponad trzydzieści lat, odkąd Stone opuścił wojsko, ale wciąż jeszcze nosił strój przypominający angloamerykański mundur urzędnika państwowego: eleganckie angielskie garnitury z tweedu i faneli; mocne buty z woskowanymi sznurowadłami; brązowy kapelusz filcowy na co dzień, a na specjalne okazje - szary o sztywnym rondzie. Zupełnie nie interesowały go jakiegokolwiek zmiany. Gdy jeden z jego garniturów zaczął się wycierać i świecił tak, że Stone nie mógł go dłużej nosić, zamawiał u krawca identyczny, o takim samym kroju i kolorze. Podobnie traktował sprawę agencji.

Stone nie doświadczył „okresu przejściowego” podczas wielkiej amerykańskiej rewolucji kulturalnej w latach siedemdziesiątych. Prawdę mówię;

absolutnie nie akceptował tego, czym agencja stała się pod koniec tej dekadę»

\

166

Konceptowi było to tanie i niegodne - wszyscy ci kongresmeni biegający spotkania i ludzie z agencji wszystko potulnie przyjmujący - nie wspomnieli już o niebezpieczeństwach, na jakie narażało to sztukę wywiadowczą. Bzdurę uznano za znakomite rozwiązanie wszystkich problemów. Być może kongresmeni uważali, że jeśli czysti ludzie, tacy jak oni sami, zanurzą ręce w brudnym interesie, to interes ten samą rzeczą też stanie się czysty. Wspaniałomyślnie. Tylko że Stone, po trzydziestu pięciu latach spędzonych w agencji wiedział, że jedynym sposobem na oczyszczenie pracy agencji wywiadowczej byłoby zaprzestanie jej w ogóle.

Stone zupełnie nie mógł pojąć, dlaczego agencja przystąpiła na tak niedoświadczony układ. Oczywiście, kongres mógł sobie gadać o komisjach nadzoru, Bywilejach prawnych i amerykańskich tradycjach oraz wartościach. Właściwie od tego był, ale dlaczego agencja podpisała się pod tymi bzdurami z czwartego lipca? Czy wszyscy nagle postradali zmysły? Za każdym razem, kiedy Stone widział, jak Charles (Chuck) Hinkle oprowadza nową grupkę kongresmenów po siedzibie agencji, czuł, że żołądek zawiązuje mu się w węzeł. Barbarzyńcy stali u bram. Mury świątyni zostały obalone. W połowie lat siedemdziesiątych Stone postanowił, w miarę postępującego szturmego kongresmanów, że nadszedł dobry moment na zniknięcie. Zaczęła się właśnie wielka czystka w służbach wywiadowczych; dziesiątki biurokratów, takich jak Evan albo Nevin, zwalniano co kilka miesięcy. Kontrolerzy i kierownicy zgadzali się co do tego, że dyrektorów operacyjnych było zbyt wielu. W pewnym sensie mieli rację. Służby wywiadowcze, w każde dobrze odżywiane zwierzę, w ciągu trzech dziesięcioleci odłożyły grubą warstwę ochronnego tłuszczu. Tkwiło w nich zbyt wielu starszych mężczyzn, rasowych szpiegów, którym trzeba było płacić. Aby mieć jakieś łącznie, wymyślali oni wątpliwą wartość plany. Ale nie tylko o nich chodziło - tym, którzy zarządzili wielką czystkę. Stawką była władza - tajna broń jądrowa, który

prowadził swoje własne sprawy (oraz sprawy wielu innych lu-Łi) bez żadnych ograniczeń przez trzydzieści lat. W tym okresie popełnił łyt wiele błędów i narobił sobie zbyt wielu wrogów. Teraz znalazł się na łce tych samych ludzi, których przez te wszystkie lata trzymał w szachu, ■ongresmani, dziennikarze, biurokraci - wszyscy czatowali na skalpy.

Edward Stone, który przez ponad dziesięć lat kierował działem Bliskie-Ło Wschodu i stał się kimś w rodzaju przewodniczącego lobby oldboyów, tał się oczywistym celem takiej nagonki. Postanowił, że powinien się usu-ąć z drogi. Wolał jakiś czas przeczekać, nie wychylając się zbyt, w na-ziei, że ludzie w końcu odzyskają rozum.

Jak postanowił, tak zrobił - pewnego dnia po prostu zniknął ze swojego użego gabinetu z mapami i sejfami i pojechał dokądś, nikt nie wiedział do-ładnie dokąd. Ponieważ organizowane przez Hinkle'a czystki w obozie old->oyów nasilały się, mówiono, że również Stone został zwolniony. To nie była

prawda. Niektórzy spośród jego przyjaciół wyobrażali sobie, że niczym st jeleń-przewodnik stada Stone doszedł do wniosku, iż nadszedł czas i na nie go. Dlatego wybrał się na jakiś biurokratyczny wierzchołek góiy, aby tan umrzeć z godnością. Jednak to też nie do końca odpowiadało rzeczywistości Stone nie umarł ani nie wybrał się na żaden szczyt. Bliższe prawdy byłob stwierdzenie, że zapadł się pod ziemię, co w przypadku tajnych służb, takie jak CIA, równało się w pewnym sensie zasadzie podwójnego przeczenia.

Kiedy Taylor otrzymał wiadomość od Stone'a, najpierw pomyślał, że pełnił największy błąd w swojej karierze. Nie miał pojęcia, dlaczego jeg prośba o informacje trafiła właśnie do Stone'a. Nie wiedział też, co ten z mierzał z nią zrobić. Miał tylko przecucie, że nieświadomie rozpoczął wa kę z niewłaściwym przeciwnikiem. Teraz musiał natychmiast znaleźć be pieczne miejsce, w którym mogliby się spotkać. Baza w Stambule miała be pieczną salę konferencyjną ostawioną „bańkę", lecz była ona duszna, cias i zupełnie nieinteresująca. Dlatego „bańkę" Taylor wykreślił od razu. Mó wybierać spośród wielu restauracji, ale tam zbyt łatwo można było zało~ podsłuch, zatem restauracje także odpadały.

Łódź, postanowił w końcu. Podróż łodzią w górę Bosforu wydała mu s wystarczająco dramatyczna. Jeżeli jego kariera miała lec w gruzach, mog się to przynajmniej odbyć w dobrym stylu. Tylko jaka łódź? Ambasador mi wspaniały jacht, „Hiawathę", którą trzymał na przystani w Stambule. Nies ty, był tak opętany myślą, że jakiś kongresowy inspektor dowie się o r' i zarekwiruje ją, że nigdy by jej nikomu nie pożyczył. Kolejne wyjście \ kluczone. Taylor złożył wizytę podoficerowi marynarki, który oficjalnie leżał do turecko-amerykańskiego dowództwa logistycznego, TUSLOG, jego prawdziwa praca polegała na zajmowaniu się łodzią ambasadora.

- Łódź Ali Kaptana będzie odpowiednia - doradził mu marynarz.
- Kim u diabła jest Ali Kaptan?
- Skiperem na „Hiawacie", kiedy ambasador przebywa w mieście, c niezbyt często. Ma własną, niedużą łódź, „Teodorę". Może on panu pomo
- Można mu zaufać?

- Nawet więcej. Ten człowiek nie mówi po angielsku.
- Chyba mi się spodoba - stwierdził Taylor. Kilka godzin później jął wspaniałą łódź „Teodorę” i jej kapitana.

Taylor wyjechał po Stone'a na lotnisko późno po południu. Stone pociągnięty czarterowym lotem z Frankfurtu. Sam niósł swoją walizkę. Taylor witał się. Starsi oficerowie CIA zwykle podróżowali jak królowie: latali w prywatnych samolotach i nie ruszali się nigdzie bez swych bagażowych i "

168

ch. Szefowie miejscowych baz prześcigali się w wyszukiwaniu najbardziej zotycznych restauracji i nocnych klubów dla swoich królewskich gości, niektórzy zrobili poważne postępy w karierze dzięki temu, że znaleźli odpowiednią restaurację serwującą ryby w Pireusie, najlepsze potrawy dimsum Hongkongu albo najbardziej fascynujący klub ze striptizem w Bangkoku, wystarczyło jednak jedno spojrzenie na Stone'a, aby wiedzieć, że żadne noc-kluby nie wchodzi w grę. Starszy mężczyzna miał na sobie swój zwykły nowy strój: trzyczęściowy wełniany garnitur i brązowy kapelusz z filcu, itając się z nim, Taylor przyjrzał się twarzy gościa, szukając jakichkolwiek wskazówek co do celu jego wizyty w Stambule. Jednak twarz Stone'a była mechaniczną maską, nie zdradzającą żadnych emocji.

- A zatem to ty jesteś Taylor. - Tylko tyle na początek. Alan wziął torbę Stone'a i poprowadził go do czekającej limuzyny, którą pojechali od razu na obojętny meczetu Dolmabahce. Stone wydawał się zadowolony z powodu spotkania na łodzi. Wyjaśnił, że przyjechał właśnie z Berlina, gdzie odwiedził okropny ziąb.

W Stambule był przyjemny wczesnowiosenny wieczór. Zachodzące słońce zedzierano się przez mgłę i smog nadając niebu różowawy odcień. Nad Bosporosem, na lewo od doków, jaśniały białe marmury Dolmabahce, pałacu tak wielkiego, że jego budowa niemal zrujnowała imperium osmańskie. Sułtan Abdul Aziz wydawał dwa miliony funtów rocznie na samo utrzymanie tego miejsca i pięcioletniego personelu. Mówiono, być może z pewną dozą przesady, że przywiązywał on fortepiany do pleców swoich służących, aby usłyszeć muzykę także w ogrodach. Jak wiele innych budowli w Stambule, Dolmabahce wznosił się niczym ostrzeżenie przed szaleńczą próbą podlegania Wschodu z Zachodem.

Ali Kaptan czekał na przystani. Pochodził z wioski nad Morzem Czarnym i podobnie jak wielu biednych chłopaków z tamtych okolic, zarabiał na życie jako przewoźnik. Kiedy Taylor i Stone weszli na pokład, Ali Kaptan isalutował im pręźnie.

- Oto i nasza „Teodora” - powiedział Stone, podziwiając łódź. - Co za spaniała nazwa. Czy kapitan nadał jej może imię swojej córki?

Taylor przetłumaczył Alemu pytanie Stone'a.

- Hayir! - burknął Ali Kaptan. - Nie! - Taylor odniósł wrażenie, że ta jego przypuszczenie obraziło go.
- Mówi, że nie - powiedział na głos.

- A na czyją cześć nazwał tak swoją łódź? - zapytał Stone przyjaźnie, aylor posłusznie przetłumaczył.

- Na cześć władczyni Teodory - odparł Turek, celując palcem w star-zego ze swoich gości. Taylor przewrócił oczami. Wyjaśnił Stone'owi, że

ch. Szefowie miejscowych baz prześcigali się w wyszukiwaniu najbardziej zotycznych restauracji i nocnych klubów dla swoich królewskich gości, ektórzy zrobili poważne postępy w karierze dzięki temu, że znaleźli odpo-iednią restaurację serwującą ryby w Pireusie, najlepsze potrawy dimsum Hongkongu albo najbardziej fascynujący klub ze striptizem w Bangkoku. rystarczyło jednak jedno spojrzenie na Stone'a, aby wiedzieć, że żadne noc-: kluby nie wchodzą w grę. Starszy mężczyzna miał na sobie swój zwykły mowy strój: trzyczęściowy wełniany garnitur i brązowy kapelusz z filcu. ritając się z nim, Taylor przyjrzał się twarzy gościa, szukając jakichkolwiek skazówek co do celu jego wizyty w Stambule. Jednak twarz Stone'a była imiechniętą maską nie zdradzającą żadnych emocji.

- A zatem to ty jesteś Taylor. - Tylko tyle na początek. Alan wziął torbę one'a i poprowadził go do czekającej limuzyny, którą pojechali od razu na olo nieopodał meczetu Dolmabahce. Stone wydawał się zadowolony z po-ysłu spotkania na łodzi. Wyjaśnił, że przyjechał właśnie z Berlina, gdzie inował okropny ziąb.

W Stambule był przyjemny wczesnowiosenny wieczór. Zachodzące słońce rzedzierało się przez mgłę i smog nadając niebu różowawy odcień. Nad Bos-)rem, na lewo od doków, jaśniały białe marmury Dolmabahce, pałacu tak delkiego, że jego budowa niemal zrujnowała imperium osmańskie. Sułtan bdul Aziz wydawał dwa miliony funtów rocznie na samo utrzymanie tego liejsca i pięciotysięcznego personelu. Mówiono, być może z pewną dozą rzesady, że przywiązywał on fortepiany do pleców swoich służących, aby ieszyć się muzyką także w ogrodach. Jak wiele innych budowli w Stambu- „

Dolmabahce wznosił się niczym ostrzeżenie przed szaleńczą próbą połą-zenia Wschodu z Zachodem.

Ali Kaptan czekał na przystani. Pochodził z wioski nad Morzem Czar-ym i podobnie jak wielu biednych chłopaków z tamtych okolic, zarabiał na ycie jako przewoźnik. Kiedy Taylor i Stone weszli na pokład, Ali Kaptan ;asalutował im prężnie.

- Oto i nasza „Teodora” - powiedział Stone, podziwiając łódź. - Co za vspaniała nazwa. Czy kapitan nadał jej może imię swojej córki?

Taylor przetłumaczył Alemu pytanie Stone'a.

- Hayirl - burknął Ali Kaptan. - Nie! - Taylor odniósł wrażenie, że ta-de przypuszczenie obraziło go.

- Mówi, że nie - powiedział na głos.

- A na czyją cześć nazwał tak swoją łódź? - zapytał Stone przyjaźnie. Taylor posłusznie przetłumaczył.

- Na cześć władczyni Teodory - odparł Turek, celując palcem w starszego ze swoich gości. Taylor przewrócił oczami. Wyjaśnił Stone'owi, że

V

Teodora była znaną rozpustnicą, która w czasach bizantyjskich podobno cudzołżyła z kilkunastoma mężczyznami, czasem aż z trzema jednocześnie.

- Niezwykle - przyznał Stone. - Mam nadzieję, że teraz wszystkie jej otwory są już szczelnie zatkane.

Po tych słowach odbili od przystani i ruszyli w górę Bosforu w delikatnym świetle zmierzchu.

i

Stone nie marnował czasu.

- Powiedz mi o twoich kontaktach z panem Rawlsem - poprosił, gdy tylko łódź ruszyła.

Taylor powtórzył całą historię mniej więcej w takiej wersji, w jakiej ją przedstawił Timmonsowi. Wyjaśnił, w jaki sposób on i George spotkali Rawlsa w barze „U Omara”; jak śledzili go w drodze do domu; jak założyli podsłuch w jego mieszkaniu i co znajdowało się na taśmie. Stone przez cały czas kiwał głową i stukał palcem w podbródek. Gdy Taylor skończył, przez chwilę się dzielił w milczeniu. Zbliżała się wieczorna godzina szczytu i po wodach Bosforu sunęło mnóstwo łodzi - dużych promów i małych łódek.

- Z tego, co usłyszałeś i zaobserwowałeś, co możesz wywnioskować o temat pracy pana Rawlsa?
- zapytał Stone.

- Próbuje zorganizować rosyjską sieć na emigracji.

- Hmm. A to po co?

Taylor zastanawiał się przez moment.

- Chyba po to, żeby narobić Rosjanom kłopotów.

- Tak. Z całą pewnością tak. Tylko w jakim celu?

- Twierdzi, że jego celem jest wolny Turkiestan.

- No tak, ale obaj wiemy, że to tylko takie gadanie.

- Zgadza się. Więc po co to robi?

- To proste - stwierdził Stone. - Chce ocenić antysowieckie podziemie. Przetestować ich siłę oraz przekonania. Nawiązać kontakty.

Taylor przytaknął.

- Tak. Rozumiem. - Zauważył, że kiedy Stone mówił, miał na twa ślad uśmiechu, choć Taylor nie miał pojęcia dlaczego.

- W naszej pracy zawsze warto mieć sporo kontaktów. Nigdy nie wia mo, kiedy nadarzy się okazja skorzystania z nich.

- To pewnie nie moja sprawa, ale czy nie ma niebezpieczeństwa, że 1 operacja wyniknie się spod kontroli? Niektórzy z Uzbeków i Kazachów | nieobliczalni.

- Niebezpieczeństwo jest niewielkie - stwierdził Stone. - A na pev warto podjąć takie ryzyko. - Znowu się uśmiechał.

Taylor pokiwał głową. Taka słowna szermierka denerwowała go. Kie Stone zamierza zdradzić mu, po co przyjechał?

170

I Ali Kaptan krzyknął coś z mostka. „Teodora” przepływała właśnie obok Bśniaczych fortec - Rumeli Hisar i Anadolu Hisar - które strzegły przeciw-Błych brzegów cieśniny Bosfor w jej największym punkcie. I Taylor wskazał je Stone'owi.

I - W tym miejscu Europa i Azja zbliżają się do siebie najbardziej - wy-

I - Niezbyt blisko, co? - zauważył Stone. Przez moment przyglądał się »obrazowi, a potem powrócił do pytań.

I - Śledziłeś jeszcze pana Rawlsa, już po przesłuchaniu taśmy? I - Nie - odparł Taylor. I - Czy wymieniał taśmę?

I - Dlaczego nie? I - Z bardzo oczywistego powodu. ■ - To znaczy?

I - Uznałem, że wdepnąłem w coś, w co nie powinienem był się zaplątać, ■»wiedziałem się rzeczy, których nie powinienem wiedzieć, mimo że dzieją B na moim terenie. I Stone spojrział na niego uważniej. I - Co takiego?

I - Uznałem, że natrafiłem na jedną z naszych operacji - powiedział Tay-Ir z cieniem zniecierpliwienia w głosie. Stone zaśmiał się.

- Co w tym takiego zabawnego?

Weteran CIA przez chwilę bawił się czymś, co trzymał w kieszeni, wresz-le zmienił pozycję i spojrział przed siebie.

I - Mam rację, czy tak? - spytał Taylor głośniej. Przez chwilę miał ochotę iferzyć Stone'a w jego mądrą, starannie ogoloną twarz.

- Nie musisz krzyczeć.

- Mam rację? - powtórzył Taylor. - Rawls jest tajnym agentem, prawda? I - Rawls?

I - Tak, Rawls, do diabła.

- Nie, prawdę mówiąc nie jest.

- Nie?

- Nie - Stone roześmiał się na cały głos. - Interesujące. To wcale nie jest nasza operacja. Bardzo dokładnie wszystko sprawdziłem i mogę cię zapewnić, że nie zajmujemy się w tej chwili niczym podobnym.

- A Kanadyjczycy? Albo Brytyjczycy?

- Nie jest też od nich. Sprawdziłem.

Taylor wstrzymał oddech. Poczł się tak, jakby przed chwilą ktoś go spo-iczkował.

- Rawls nie jest naszym człowiekiem?

171

tc

- Oczywiście, że nie jest. Już od lat nie robiliśmy nic takiego.

- O Jezu.

Stone raz jeszcze się zaśmiał. Cała ta sytuacja wydawała mu się bardzo zabawna.

- Jeżeli Rawls nie jest od nas ani od Kanadyjczyków, ani od Angoli, od kogo?

- Przypuszczam, że od Rosjan.

- Żartujesz.

- Zapewniam cię, że nie. Postawiłbym sporą sumę na to, że Sowiec prowadzą operację pod nie swoją flagą. Niestety, w tym przypadku chodzi o naszą, z gwiazdkami i paskami, z niewielkim kamuflażem z klonowego ścia.

- Dlaczego akurat oni to robią?

- Już ci o tym wspomniałem, ale nie słuchałeś uważnie. A może po prostu słuchałeś, ale nie usłyszałeś.

- W takim razie proszę o powtórkę. Widać jestem mało inteligentny.

- Robią to z tego samego powodu co my, tylko im chodzi o odwrotny rezultat. Chcą nawiązać kontakty, zbadać teren, poznać zakres i siłę antynazistowskiego podziemia. Potem, oczywiście, będą chcieli nim manipulować« Oni mają na tym punkcie kompletnego braku.
- Ale po co ten cały kamuflaż?
- Jak inaczej Sowieci mogliby spenetrować antynazistowskie podziemie? Przecież nie mogli ogłosić, że są z KGB. To standardowa procedura. Kiedy Izraelczycy chcą zwerbować szpiega z armii syryjskiej, rekrutujący udaje, jest radzieckim oficerem wojskowym. Cel zaczyna mu ufać; może nawet uważać to za znak patriotyzmu. Tutaj jest tak samo.

Taylor pokręcił głową. Czuł się zakłopotany.

- Rawls jest Rosjaninem?
- Prawdopodobnie tak. Bardzo dobrze przeszkolonym, jak widać. Mieszkańców północnych regionów Ameryki najtrudniej naśladować. Można dłużej praktycznie doszlifować akcent; istnieje też wiele niuansów, ale ci świat zna je chyba na pamięć. Oni dorastają, oglądając nasze filmy i programy telewizyjne. Wiedzą, jak mówimy i jak chodzimy, jak zapalamy papierosa i jak się śmiejemy. Mimo wszystko wygląda na to, że pan Rawls odwykłał świetnej roboty.
- Zdolniacha.
- Nie wiń o nic siebie. Gdybyście mieli kilka minut więcej albo gdybyście trochę mniej wypili, jestem pewien, że ty i twój przyjaciel nabralibyście w końcu podejrzeń. Słowo lub gest, który niezupełnie by wam pasował reszty. Rawls miał szczęście. Myślał, że będzie musiał przekonywać jedyni Uzbeków i Tatarów.
- Ale po co Rosjanie mieliby zadawać sobie aż tyle trudu?

172

V

Mój drogi chłopcze, oni są jak tajna policja, a tajna policja właśnie tak łączy. Szuka ewentualnych wrogów. W tym akurat przypadku mają powody do spokoju. Doskonale wiedzą, że jedynym zagrożeniem dla jedności Związku Radzieckiego jest przetrwanie i usamodzielnienie się jego etnicznych relikwii.

- Chyba nie boją się zgrai Uzbeków.
- Nie tylko Uzbeki im zagrażają, także ci, którzy znajdują się pomiędzy nimi.
- Na przykład?
- Na przykład Stany Zjednoczone.

- Dlaczego mieliby tak myśleć?
- Och, w zeszłym roku mieli kilka niewielkich wskazówek z Waszyng-u. Kilka małych szpileczek. Wystarczająco dużo, aby zaniepokoić mądre-oficera KGB.
- Co to były za wskazówki?
- Nie mogę ci zdradzić - powiedział Stone przyjacielsko. - Przynajmniej zcze nie teraz. Może innym razem.

Taylor przyglądał się swojemu rozmówcy z rosnącym zdumieniem. Miał ażenie, że złapał za rękę, w której znalazł same puste karty.

- Sowieci są bardzo ostrożni - ciągnął Stone. - Kiedy uznają, że mają zymś problem, szukają sposobów zapanowania nad nim i usunięcia go. tę szczególną grę w polityce emigracyjnej bawią się już od lat dwudzie-ch naszego wieku. Słyszałeś może o Truście?
- Oczywiście. - Taylor miał ochotę powiedzieć: ad nauseam. Była to na z operacji radzieckiego kontrwywiadu, o której słyszeli chyba wszyscy agencji. Dyrektor działu badań kontrwywiadu spędził większą część trzy-estu lat pracy na studiowaniu tej sprawy. Pod nazwą Trust Sowieci stwo-li w latach dwudziestych sieć antyradzieckiego podziemia i przez nie prze-ali fałszywe informacje do wszystkich służb wywiadowczych w całej Eu->ie. W rezultacie stworzyli swoją własną opozycję. To samo powtórzyli na czątku lat pięćdziesiątych, kreując fałszywy ruch wyzwoleńczy w republi-ch nadbałtyckich, z którego Wielka Brytania i Ameryka zbyt skwapliwie orzystały.
- To dość skomplikowana operacja - przyznał Stone. - Rawls bez wąt-;nia podlega oficerowi operacyjnemu, komuś nie rzucającemu się w oczy, 3 utrzymuje z nim kontakt i wysyła jego raporty do Jasenewa. Pewnie jest osoba, której nikt nigdy by o to nie podejrzewał.
- Cholera. - Taylor pokręcił głową.
- O co chodzi?
- Chyba wiem, kogo Rosjanie wykorzystują jako kontaktowego dla iwlsa.
- Kogo?

173

- Pewną miłą litewską kobietę, która jest żoną radzieckiego konsula ge neralnego i większość czasu poświęca na studiowanie obyczajów i kultur} Azji Środkowej.
- Wzruszające - przyznał Stone.
- Bardzo. Ta kobieta ma zwyczaj znikania nam z oczu i nigdy nie do wiedzieliśmy się, dokąd się wtedy udaje.
- Być może jest to właściwa odpowiedź. Taylor raz jeszcze pokręcił głową. Wstał i chwiejąc się lekko podszec do burty niewielkiej łodzi.

- Czuję się jak gówno - stwierdził.
- Nie powinienes. Prawda jest taka, że dałeś nam raczej niezwykłą oks
zję.

Słońce już zaszło, a nad czarną wodą zawisła lekka mgła. Bosfor wydi wał się teraz spokojniejszy, pływało po nim tylko kilka łódek - wodnych t sówek - kursujących między Yenikoy i Beykoz. Powietrze stało się chłodn | W oddali rozległ się sygnał dużego statku wpływającego w cieśninę od sti ny Morza Czarneego.

- Czas na drinka - ogłosił Stone. Taylor wyjął butelkę whisky i zapr ponował toast na cześć ich fikcyjnego przyjaciela, pana Jacka Rawlsa.
- A tak przy okazji - powiedział Stone, kiedy rozpoczynali drugą wij sky. - Dlaczego tak głupio ryzykowałeś zakładając podsłuch u Rawlsa?
- Byłem ciekawy. No i facet mnie wkurzył.
- Ale postąpiłeś wbrew zasadom. Nie miałeś upoważnienia.
- To prawda - przyznał Taylor. - Jednak przez tych kilka lat zdążył się nauczyć, że zanim otrzyma się upoważnienie do czegoś, to coś nie 1 już pewnie nic warte.
- Lepiej mi to wytłumacz - powiedział Stone, mierząc wzrokiem mł<J szego kolegę. Taylor spojrział na niego zastanawiając się, czy powinien i śnić wszystko zgodnie z prawdą.
- W takim razie muszę udać, że jesteśmy przyjaciółmi - powiedział
- Nie ma tu nic do udawania.
- Opowiem ci pewną historię, która pomoże ci zrozumieć, o co mi < dzi. Kiedy byłem w Somalii, zanim przyjechałem do Sztambułu, miałem age który zajmował wysokie stanowisko w rządzie. Prawdę mówiąc na i szczycie, bo był ministrem spraw zagranicznych.

Stone skinął głową.

- Mieliśmy sporo informacji, które bardzo by mu się przydały, na te Etiopii, na temat Sudanu, a nawet wewnętrznej opozycji w jego własnym j stwie. Technicznie nie mogłem przekazać mu żadnej z tych wiadomej Wszystkie były oznaczone jako ORCON albo NOFORN, czyli absolu

174

le. Wydawało mi się to idiotyczne, więc mu powiedziałem. Kilka razy ililem mu w ten sposób tyłek.

Stone przysłuchiwał się biernie.

- Czasami oficer operacyjny musi zaufać swojej ocenie sytuacji - ciął Taylor. - W przeciwnym razie, jaki byłby sens wysyłania nas tutaj? >glibyście prowadzić sobie wszystkie sprawy z oficjalnego biura. Choć :go co wiem, takie myślenie nie bardzo odpowiada panu Hinkle.

Starszy mężczyzna upił łyk alkoholu.

- Gardzę Hinkle'em - powiedział po kilku chwilach. - A co do sprawy Somalii, czytałem o tym, zanim tu przyjechałem i uważam, że załatwiłeś zystko odpowiednio. Lepiej niż odpowiednio. Postąpiłeś tak, jak ja bym to)bił będąc na twoim miejscu.

Taylor zdziwił się, nie po raz pierwszy tego wieczoru i na pewno nie tatni.

- Kusi mnie, żeby powiedzieć ci komplement - stwierdził Stone. - Otóż iypominasz mi mnie samego sprzed lat. Tylko że w tamtych czasach ła-iej było ufać własnym osądom. Po prostu nie miało się innego wyjścia.

Taylor przyjrzał się starszemu koledze: gładka, nie zdradzająca emocji arz, zmęczone oczy, wygląd człowieka, który za bardzo poświęcił swojej acy i w pewnym sensie sam stał się tą pracą. Spróbował wyobrazić sobie sbie w wieku sześćdziesięciu lat, ale jego myśli stały się niewyraźne, a po-m zupełnie mu umknęły.

- Ja też mogę ci opowiedzieć pewną historię - stwierdził Stone. - Chcia-yś posłuchać opowieści o dawnych wojennych czasach?

Taylor przytaknął.

- Kiedy wojna się skończyła, w czterdziestym piątym roku, miałem dwa-zieścia siedem lat. To były zwariowane czasy. Właśnie skończyliśmy studia świat leżał nam u stóp. Byłem wówczas w wojsku, pracowałem jako oficer ywiadu w kwaterze Stanów Zjednoczonych w Heidelbergu. Już wtedy mieliśmy kontakt z generałem Gehlenem i postanowiliśmy spróbować utrzymać igo siatkę agentów w Europie Wschodniej. Najzabawniejsze było to, że ni-ogo nie prosiliśmy o zgodę. Bo niby kogo? Wojna się skończyła, w kraju ikogo to nie obchodziło, więc po prostu zrobiliśmy to na własną odpowiedzialność. Mieliśmy tylko jeden problem.

- Jaki?

- Jak zapłacić agentom Gehlena. Ponieważ nie mieliśmy oficjalnej zgo-y, nie mieliśmy też pieniędzy.

- I skąd je wzięliście?

- Z czarnego rynku. - Stone rozjaśnił się na samo wspomnienie swojej zalonej młodości. - Do Niemiec przyjeżdżały całe wagony kawy i papiero-ów dla stacjonujących tam żołnierzy amerykańskich. Odciągaliśmy z tego wystarczająco dużo, aby po sprzedaniu towaru na czarnym rynku wystarcza-

ło nam na stypendia dla agentów Gehlena. Dzięki temu nie musieliśmy nikogo prosić o fundusze. Postąpiliśmy oczywiście słusznie, a załatwianie wszystkich koniecznych zezwoleń zabrałoby nam zbyt wiele czasu. Poza tym jui wtedy nienawidziłem biurokracji. Zrobiliśmy to tak po prostu.

- Co by się stało, gdyby was złapano?
- Pewnie stanęlibyśmy przed sądem wojskowym. A może nie. Wtedy były inne czasy.
- Kiedy przestaliście używać czarnorynkowych pieniędzy?
- Dopiero po roku czterdziestym ósmym, kiedy utworzono CIA - wyja śnił Stone. - Wysłali wtedy do nas prawnika i kazali podpisywać całą masę papierów. Pewnie powinienem być potraktować to jako przestrożę.

Taylor nalał kolejnego drinka Stone'owi i sobie. Pasma mgły zbierały się ponad wodą, by po chwili rozpuścić się bez śladu. Co kilka chwil linia brzozy ukazywała się ich oczom, to znów znikwała za białą chmurą.

- A czym zajmujesz się teraz? - zapytał Taylor.
- Czym się zajmuję?
- Tak. Oczywiście jeżeli mogę o to spytać.
- Doszły do ciebie jakieś plotki?
- Niewiele. Według jednej z nich zapuszkowali cię.
- Jak widzisz, to nieprawda.
- Mówili też, że robisz coś bardzo dziwnego i tajemniczego gdzieś w operacyjnym.
- To już bliższe prawdy.
- Zrób mi przysługę, dobrze? Albo udzielaj prostych odpowiedzi, albo każ mi iść do diabła.

Stone roześmiał się.

- Działam przy Departamencie Bloku Radzieckiego. Zajmuję tam sto nowisko dyrektora operacji specjalnych.
- Co to oznacza?
- Absolutnie nic. Podlegam pod zastępcę dyrektora operacyjnego i z jego błogosławieństwem mogę mieć dostęp do wymiany informacji z terenów które szczególnie mnie interesują. Można by mnie nazwać niezależnym p dżegaczem.
- I do czego zamierzasz podżęgać w Stambule?

- Jeszcze nie jestem pewien. Muszę to sobie w nocy przemyśleć. Ma jakieś plany na jutrzejszy rano?
- Wszystkie mogą poczekać.
- W takim razie może się spotkamy i omówimy parę spraw, dobrze?
- Tak jest - zgodził się Taylor. Było to dość niezwykle odezwanie jak niego, ponieważ zwykle nie używał wojskowych formułek.

Znowu dobiegł ich dźwięk syreny. Tym razem znacznie bliżej. Ali Ke tan dodał gazu i skierował łódź ku zatoczce po stronie azjatyckiej.

176

W

- Rosjanin! - wrzasnął, przekrzykując ryk silnika. Taylor i Stone spojli ku końcowi Bosforu i oczom ich ukazał się niesamowity widok. Ra-ecki krążownik płynął cieśniną od strony Morza Czarnego z powiewającymi flagami i załogą stojącą w szyku na pokładzie. Nie odstępowała go mała łańka tureckiego wywiadu wojskowego, z której robiono zdjęcia i raporty.

W półmroku, z dogodnego miejsca, w którym znajdowała się niewielka "eodora", sowiecki statek wydawał się jeszcze większy i groźniejszy, niż był w rzeczywistości. Przyglądali się tej olbrzymiej i przerażającej maszynie mrożonej w pełnej gotowości bojowej. Każdy centymetr jej powierzchni jmowała sowiecka ambicja prześcignięcia Stanów Zjednoczonych. Syrena wyła raz jeszcze, ogłuszająco. Krążownik minął ich i popłynął ku Morzu Śródziemnemu. W kilwaterze tego gigantycznego statku „Teodora” i jej pałazowie unosili się na powierzchni wody niczym korek.

Spotkali się w konsulacie następnego ranka o ósmej. Taylora po raz pierwszy widzano w pracy tak wcześnie. Stone czekał na niego w głównym Holu Palazzo Corpi, który zwano „Salą Missouri” na cześć przybycia do Turcji w tysiąc dziewięćset czterdziestym szóstym roku okrętu wojennego USS „Missouri”. W tamtych czasach Turcji zagrażał Stalin i podobno gdyby wielki okręt ze świstem parą wpłynął do portu, kierując ogromne działa na stronę Odessy, Turcy zaczęli wiwatować. To była inna epoka.

Stone, również pomnik tamtego minionego okresu, siedział na kanapie czytając książkę o architekturze Bizancjum, którą znalazł na zakurzonych ółkach. W świetle poranka wyglądał na starszego i bardziej kruchego. Był tak pochłonięty lekturą że z początku w ogóle nie zauważył Alana. Taylor »oprowadził go na górę pomiędzy satyrami z kutego żelaza i nimfami zdołającymi klatkę schodową do pokoju komunikacyjnego ze ścianami z szarego stiuku, a stamtąd do bezbarwnej, przejrzystej bieli sali konferencyjnej.

Na stole czekał na nich dzbanek z kawą i talerz rogalików zawiniętych w folię.

- Jesteś żonaty? - spytał Stone, rozwijając swój rogalik.
- Nie - odparł Taylor. - Już nie.

Stone skinął głową. Właśnie taką odpowiedź miał nadzieję usłyszeć.

- Jak podoba ci się praca tutaj, w Stambule?
- Nic specjalnego. Lubię, kiedy dzieje się coś interesującego.

12 - Siro 177

- Jak często to się zdarza?
- Nie za często.

Stone ponownie skinął głową.

- Rozumiem zatem, że zainteresowałoby cię coś, co wiązałoby się z większymi wyzwaniami.
- Na pewno.
- Mmm. Czy masz kompetentnego zastępcę, który poradzi sobie ze sprawami administracyjnymi podczas twojej nieobecności?
- Tak sądzę. On uwielbia takie rzeczy. Papierkowa robota, wynajmowa niebezpiecznych domów.
- Czy jesteś taki niecierpliwy, na jakiego wyglądasz?

Taylor spojrzał na pustą, białą ścianę „bańki” i pomyślał o bezużytecznych tajemnicach, które zwykle zawierała. Przypomniał sobie ostatnie dni i tygodnie, podczas których zakładał podsłuchy i spotykał się z agentami takimi jak EXCHASE.

- Tak, jestem taki niecierpliwy, na jakiego wyglądam. Może nawet bardziej.

To chyba także była właściwa odpowiedź, bo Stone zwrócił się do Taylor

ra i spojrzał mu w oczy.

- Przepraszam, że zadaję te wszystkie pytania, ale nie chciałbym omylić z tobą sprawy Rawlsa nie mając pewności, że jesteś właściwą osobą, która mogłaby ją ze mną przeprowadzić. Rozumiem, że jesteś tym zainteresowany.

Taylor szybko przeprowadził w myślach rachunek sumienia. Robił systematyczną karierę, stale piął się po kolejnych szczeblach drabiny, ale coraz jaśniejsze stawało się dla niego, że ta drabina prowadziła donikąd.

- Pewnie - powiedział. - Czemu nie.
- W takim razie myślę, że jesteś właściwym człowiekiem.
- Do czego?

- Do operacji, o którą mi chodzi. W nocy przemyślałem kilka spraw i ir dłużej zastanawiałem się nad Rawlsem, tym bardziej byłem przekonany, i oto trafia nam się niezwykła szansa. Powiedziałbym, że szansa, z której truc no nie skorzystać.
- I co mielibyśmy robić?
- Oto jest pytanie, prawda? Co mielibyśmy robić? A jak według ciebie powinniśmy postąpić z Rawlsem?
- Pytasz niewłaściwą osobę. Jeszcze wczoraj myślałem, że on pracu dla nas.
- No tak, ale na pewno masz jakieś sugestie.

Taylor zastanawiał się przez chwilę. Odpowiedź nasuwała się sama.

- Można go wykluczyć z gry - powiedział. - Odsłonić przed Turkar jako człowieka Sowietów. Niech Turcy załatwiajągo i tę babę agentkę, i koi sula generalnego, i jeszcze innych, jeżeli będą mieli ochotę.

178

- No tak, oczywiście. Taka odpowiedź zawsze jest właściwa, prawda? lić kogoś. Wykluczyć go z gry. Ale co dałoby to tobie?
- Cholernie popsułoby szyki Sowietom, bo ich mała sieć zostałaaby znisz-na.
- Kuszące, ale czy nie sądzisz, że po prostu spróbowaliby raz jeszcze? ć może nie w Turcji, ale gdzie indziej. Musielibyśmy zaczynać wszystko nowa, zakładając oczywiście, że mielibyśmy wystarczająco dużo szczę-a, aby na tę nową sieć natrafić.
- W takim razie jak brzmi właściwa odpowiedź? Stone spojrział na swój kubek. Był pusty.
- Moglibyśmy dostać jeszcze trochę kawy, jak myślisz? - Taylor we-ał szyfianta, a ten po chwili przyniósł jeszcze jedną kawę dla Stone'a.
- No to jaka jest właściwa odpowiedź? - powtórzył Taylor.
- Czy mogę wyjaśnić ci to w trochę okrężny sposób?
- Oczywiście. Zaczynam się już do tego przyzwyczajać.
- Zacznę od pytania. Czy martwi cię fakt, że Sowiesi działają tak agre-~:e w tej części świata? W Iranie, w Afganistanie, a nawet w Turcji?
- No pewnie. To mnie wkurza.
- Zastanawiałeś się może, w jaki sposób moglibyśmy przechylić szalę swoją stronę? Jak moglibyśmy podkopać się pod Sowietów i naszą obec-słabość zamienić w siłę?
- Tak, ale nie wymyśliłem nic poza tym, że możemy założyć podsłuch radzieckich dyplomatów.

- W takim razie - Stone lekko bębnił palcami w blat dla podkreślenia gi swoich słów - czy nie byłoby miło, gdybyśmy rzeczywiście zdołali do-

onać tego, co twój pan Rawls tylko markuje? Moglibyśmy stworzyć rzeczy-istą, opłacaną przez CIA sieć w Azji Środkowej.

- Pewnie, że tak, gdyby to zadziało.

- Sieć agentów, którzy tworzyliby komórki wywiadowcze wewnątrz azjatyckich republik, dostarczaliby wywrotową literaturę, przemycali broń przez granicę.

- Wspaniale - stwierdził Taylor, choć wciąż jeszcze miał duże wątpliwości.

- Stworzylibyśmy podziemie, które sprawiłoby, że na Kremlu zaczęliby się bać. Mało tego, byłiby przerażeni. Podziemna sieć zupełnie zamroziłaby Sowietów, każąc im przypuszczać, że istnieje niebezpieczeństwo rozpadu ich państwa. Czy to nie wspaniale?

- Owszem.

- Niestety, nie możemy tego zrobić.

- Dlatego, że to nielegalne? - Taylor zaczynał się irytować.

- Technicznie nie ma mowy o nielegalności. Tylko że taka operacja wymagałaby zgody prezydenta na sfinansowanie jej. Gdyby się zgodził, choć to

179

mało prawdopodobne, należałoby jeszcze powiadomić Kongres. A nawet gdyby i Kongres wyraził zgodę, to i tak nie moglibyśmy tego zrobić.

- Dlaczego nie, do cholei? - Taylor tracił cierpliwość do zagadek Stone'a.

- Ponieważ sprawa wykracza poza nasze możliwości, mój przyjacielu. Taka jest smutna prawda. W tej części świata nie mamy bazy, aby przeprowadzić tak ambitną operację. Nigdy takiej nie mieliśmy.

- W takim razie wracamy do punktu wyjścia.

- Niezupełnie. - Stone uśmiechnął się. - Niezupełnie. Właśnie to uświadomiłem sobie zeszłej nocy. Prawdą jest, że sami nie jesteśmy w stanie stworzyć prawdziwej organizacji podziemnej, ale możemy stworzyć coś równie dobrego. Iluzję takiej organizacji.

- Jak, na litość boską? \

- Czy to nie oczywiste? Wykorzystamy twojego pana Rawlsa. Nakarmimy go informacjami, które przekonają Rosjan, że robimy dokładnie to, czego tak bardzo się obawiają i co sami próbują symulować. Jeżeli przeprowadzimy wszystko sprytnie, możemy przekonać ich, że natknęli się na dowody, iż CIA organizuje antyradzieckie podziemie od Baku po Taszkient.

Taylor uśmiechnął się. Pomysł był bardzo prosty.

- Uwierzą w to?
- Tak, jeśli pozwolimy, aby to oni sami odkrywali dowody, krok po kroku.
- A co będziemy robić w tej naszej wymyślonej sieci?
- Będziemy prowadzili operacje. A mówiąc ściślej, stworzymy iluzję tych operacji. Pozwolimy, aby Rawls i jego koledzy odkryli podziemną organizację wysyłającą broń do Azerbejdżanu. Potem sprawimy, że szef KGB w Baku znajdzie taką broń. Przekażemy Rawlsowi, że podziemie szmugluje tysiące kaset z nagraniami religijnymi do działających w podziemiu mułłów z Uzbekistanu. I wystarczy, że jeden z ludzi KGB w Samarkandzie znajdzie kilka tuzinów takich kaset, aby uwierzyli w prawdziwość tej informacji.

Taylor starał się nie pokazać po sobie zmieszania.

- No, nieźle - stwierdził.
- Na tym właśnie polega piękno tego planu. Widzisz, to nie musi być podziemna organizacja. Musi tylko na taką wyglądać.
- Panie Stone, niezły z pana sukinsyn.
- Dziękuję. Ponieważ ty to mówisz, przyjmuję twoje słowa jako wielki komplement.
- Jak mamy zacząć?
- Potrzebny będzie mały zespół. Najwyżej kilka osób. Według mnie, większość z nich powinniśmy zatrudnić z zewnątrz. Ważne, aby cała akcja pozostała niewidzialna nawet dla służb wywiadowczych. A nawet zwłaszcza dla służb wywiadowczych. Szczegóły omówimy już w kraju. Możesz przyjechać do Waszyngtonu za dwa tygodnie?

180

- Nie wiem. Co na to powiedzą w centrali?
- Och, nie przejmuj się tym za bardzo. W pewnym sensie ja także jestem entrali. Zorganizuję wszystko co trzeba.
- W takim razie przyjadę.
- Czy chciałbyś coś jeszcze powiedzieć?

Taylor zastanawiał się przez chwilę nad życiem, z którego zrezygnował i nad , które właśnie zaczynał i wpadła mu do głowy pewna myśl. Przypomniał sobie rozmowę z młodą kobietą, agentką operacyjną z Londynu. Posiadała ona ezwyczajną wiedzę na temat życia i historii ludów Azji Środkowej.

- Mam kandydatkę do zespołu - powiedział.
- Kto to taki?
- Tajna agentka. Nazywa się Anna Bames. Przed przyłączeniem się do encji studiowała historię Turków osmańskich. Świetnie zna tę część świata.

- Anna Barnes - powtórzył Stone. Znowu uśmiechał się w ten dziwny sposób, jakby ktoś przytapał go w trakcie jednej z jego gier.

- Zgadza się. Anna Barnes.

- To interesujące, że wspomniałeś właśnie ją. Tak się składa, że panna Barnes już znajduje się na mojej liście. Prawdę mówiąc, zamierzam

otkać się z nią jutro w Londynie. Jeżeli będziemy mieli szczęście, dołączymy do nas w Waszyngtonie. Razem zastanowimy się nad planem działania.

Stone jednak niczego nie pozostawiał szczęściu. Papiery delegacji Anny Barnes do Waszyngtonu już dotarły do odpowiednich ludzi, zanim wylądował tego wieczoru na lotnisku Heathrow.

V

Karpetland Waszyngton/Brooklyn Ateny

maj 1979

»V <

i ■

:

J'

- .y 'v.-- * - .. • :j.-' -v r .

• . - •

• • .

21

a drzwiach wisiała tabliczka z napisem „Karpetland” i dopiskiem mniejszymi literami: „Świat u twoich stóp”. Biuro mieściło się na drugim trzecim budynku bez windy, w pobliżu Rockville Pike, w jednym z niewielu centrów handlowych zbudowanych w latach sześćdziesiątych, które tamtej pory zaniedbywano. Nowsze sieci sklepów i podmiejskich butików unikały takich miejsc. Prócz „Karpetlandu” w tym samym budynku mieściła się agencja ubezpieczeniowa, sklep z pączkami, sklep z towarami łaznymi i hurtownia materiałów. Było to miejsce poza czasem, bez żadnych widocznych

związków z większym środowiskiem Waszyngtonu i właśnie dlatego Stone je wybrał. Chciał, aby jego nowe przedsięwzięcie narodziło się w tajemnicy, jak najdalej od fizycznej i psychicznej orbity kwatery głównej.

Anna Barnes przyszła punktualnie o dziesiątej. Miała na sobie jasną wiosenną sukienkę z jedwabiu, zebraną w talii paskiem. Zadzwoiła do drzwi odziewając się, że otworzy jej Stone, ale zamiast niego ze schodów ciężko szła kobieta w średnim wieku. Przyjrzała się Annie uważnie i otworzyła

— Jestem Marjorie - powiedziała, tak jakby to wyjaśniało wszystko. - _szę zaczekać na górze.

Anna weszła o poziom wyżej i rozejrzała się po biurze. Było niewielkie trochę zniszczone. We frontowej jego części ustawiono trzy szare metalowe biurka z czarnymi aparatami telefonicznymi, kołonotatnikami, długopisami papierem listowym. Za biurkami ułożono niewielki zbiór orientalnych dywanów, a na stole - próbki wykładzin. Na ścianach biura wisiały tylko zegar, calendarz z warsztatu samochodowego i plakat linii lotniczych TWA. W drugiej części pomieszczenia stały dwie kanapy, niewielki stolik i chłodziarka.

185

\

Pokój oświetlały dwie długie jarzeniówki zwisające z sufitu i wypełniającą przestrzeń mdłym, basenowym światłem.

- Proszę usiąść. - Marjorie wskazała jedną z kanap. Na stoliku leżał egzemplarz „People” oraz „Better Homes & Gardens” sprzed kilku miesięcy. Anna przejrzała artykuł na temat sprawy wytoczonej sławnemu aktorowi przez jego byłą dziewczynę, Michelle. Po dziesięciu minutach zadzwoni dzwonek i Marjorie raz jeszcze podreptała na dół. Przyszedł Alan Taylor. Był opalony i gładko uczesany, miał na sobie dwurzędowy niebieski blazer ze złotymi guzikami.

- Fajnie, że znowu się spotykamy - powiedział Taylor. W oczach miał ten sam figlarny wyraz, który Anna zapamiętała ze Stambułu. Zanim zdążył mu odpowiedzieć, dzwonek odezwał się po raz kolejny. Widać ktoś czeka aż zbierze się reszta grupy, zanim sam pojawił się na scenie. Ostatni gość nie czekał na Marjorie, aby otworzyła mu drzwi. Miał własny klucz.

- Witajcie, przyjaciele - zawołał Edward Stone, wchodząc na górę. Był w przebraniu, a przynajmniej w jego wersji przebrania. Zamiast swojego zwykłego szarego garnituru i brązowego filcowego kapelusza, włożył czerwony koszulę w kratę, robocze spodnie khaki, żeglarskie buty i czapkę z daszkiem na której widniał napis „Redskins”.

- Witam w Karpetlandzie - powiedział uroczyście.

- Czym, do diabła, jest ten Karpetland? - spytał Taylor.

- Nie zauważyłeś szyldu? To wasza nowa baza operacyjna. Mam nadzieję, że wam się podoba, ponieważ spędzicie tu sporo czasu przez następne kilka tygodni.

- Jestem zachwycony - stwierdził Taylor, biorąc papier firmowy Karpę landu z jednego z szarych biurek. - Skąd taka nazwa?

- Aby ludzie do nas nie dzwonili. Nikt przy zdrowych zmysłach, szukając dywanów nie będzie sprawdzał pod „K”. A jeżeli ktokolwiek okaże się r tyle głupi, Maijorie się nim zajmie. - Stone wskazał starszą kobietę. - Pi znaleźcie już Maijorie, prawda? Wypożyczono ją nam z działu służb specjalnych.

- Rozumiem, że nieoficjalnie - powiedziała Anna, wyciągając dłoń (uścisku. Właśnie miała się przedstawić, ale Stone jej przerwał.

- No, no, no. Żadnych prawdziwych imion. Maijorie będzie was zna jako Lucy Morgan i Williama Goode'a, dwoje pracowników naszego skro nego przedsiębiorstwa. Paszporty i pozostałe dokumenty otrzymacie w p niedziątek.

Taylor rozejrzał się po pokoju.

- Chyba nie będziemy sprzedawali dywanów?

- Oczywiście, że nie - odparł Stone. - Co za niemądry pomysł.

Taylor odetchnął z ulgą. Usiadł przy jednym z biurek i wypróbował te

fon. Działał.

186

!Chodźcie, zacznijmy już. - Stone podszedł do kanap w kącie pomiesz-- Maijorie, nie będziemy cię potrzebowali przez kilka godzin. Możesz)bie na zakupy i wrócić po obiedzie. Powiedzmy o drugiej trzydzieści. Dobrze, proszę pana - powiedziała Maijorie, biorąc torebkę. Stone za-aż drzwi frontowe się zamkną.

Zieszę się, że widzę was oboje - powiedział, gdy starsza kobieta wymierzę, że mieliście miłą podróż i że podobają wam się hotele, w któ-is zakwaterowano. viotel - sprostował Taylor.

Jewnie zastanawiacie się po przebyciu takiej odległości, co zamierza-iic w tym uroczym miejscu w Rockville. Jednak zanim zacniemy, was prosić o podpisanie czegoś. - Wyjął z kieszeni koszuli dwie kart-sru i podał je im. Do to takiego? - spytała Anna.

Jmowa o tajności, tak to można nazwać. Dotyczy tej konkretnej ope-f skrócie mówi o tym, że zobowiązujecie się nigdy nie ujawniać szcze-aaszej działalności nikomu poza osobami upoważnionymi do uzyska-ich informacji.

\ kto jest do tego upoważniony? - spytał Taylor.

Ta - odparł Stone. -1 nie jestem pewien, kto jeszcze. Raczej nikt.

To proste. - Taylor wziął długopis i podpisał dokument.

Zy mogłabym najpierw to przeczytać? - spytała Anna.

Oczywiście.

na uważnie przestudiowała pismo.

Mie ma tu ani słowa o agencji - stwierdziła po kilku chwilach.

Zgadza się. Nie ma.

Dlaczego?

To szczegół techniczny. Nasza działalność jest odrębna od zwykłych urzędów administracyjnych działu operacyjnego. Tak jest łatwiej. I znacznie ;zniej.

Potrzebujesz prawnika? - spytał Taylor z cieniem ironii w głosie. Nie - odparła Anna. Podpisała formularz i oddała go Stone'owi. Cudownie! A teraz możemy zacząć. Obojgu wam przedstawiłem już »ż«a», tego, co mam zamiar przeprowadzić, a teraz nadszedł czas na wypełnienie luk w waszej wiedzy. Najprostszym wstępem będzie określenie na-jej misji jako uprawianie pewnego rodzaju alchemii.

- Alchemii? - zdziwiła się Anna, niepewna czy dobrze go usłyszała.

- Tak, w rzeczy samej. Tylko że my zajmiemy się tworzeniem czegoś łącznie cenniejszego od złota. Ze słabości, a zwłaszcza z obecnej politycz-:j i militarnej słabości Stanów Zjednoczonych stworzymy siłę. Tę magicz-:l sztuczkę osiągniemy dzięki jednemu narzędziu, jakiego używa alche-ik: sprytnie obmyślanym sztuczkom.

187

/

- Przepraszam - wtrąciła Anna - ale nie mam najbledszego pojęcia; o czym mówisz.

- Na razie nie, ale bądź cierpliwa. Obiecuję, że wkrótce wszystko si wyjaśni. Na początek naszej rozmowy chciałbym wyjaśnić, w jaki sposób zwykle spędzam czas. Czy to wam odpowiada?

Anna i Taylor skinęli głowami. Od chwili kiedy oboje poznali Stone' każde na swój sposób zastanawiało się, czym naprawdę się zajmował.

- Chyba już wam wspominałem, każdemu z osobna, że zajmuję stan< wisko dyrektora do spraw projektów specjalnych przy sekcji bloku radziekiego. Z czym to się wiąże? Na pewno zastanawialiście się nad tym. Cóż za „projekty specjalne", którymi kieruję? Odpowiedź jest prosta. Otóż rob to, co uważam za słuszne. Od jakiegoś czasu koncentruję się nad pewną szcz gólną formą czegoś, co z braku lepszego określenia możemy nazwać osz stwem.

- A ta szczególna forma to co? - spytał Taylor.

- Zaraz do tego dojdę. Proszę o cierpliwość. Nie musimy się tak spieszyc. Może napijecie się kawy? Albo herbaty? Maijorie powiedziała, że z stawi nam jedno i drugie.

Oboje pokręcili głowami.

- Mów dalej - powiedział Taylor. - Zamieniamy się w słuch.

- No dobrze. Moja forma oszustwa, stawiając sprawę jasno, ma na celu przekonanie Sowietów, że operacje CIA są znacznie większe i bardziej aktywne, niż to ma miejsce w rzeczywistości. Moja misja, jeśli mogę to tak nazwać, polega na kamuflowaniu słabości i demoralizacji amerykańskich służb wywiadowczych, które znacie aż za dobrze, i na malowaniu zupełnie odmiennego obrazu tych służb jako organizacji silnej i nieugiętej. Sp. wiem, że Sowieci uganiają się za cieniem tej siły i potęgi, który rzucam pod nogi.

- Jak to możliwe? - zapytała Anna. - Przecież Rosjanie nie są przecież głupi.

- Nie, w rzeczy samej. Są inteligentni i skrupułowymi, ale są także parazytami, a to są dokładnie te cechy, które wykorzystuję. Tajemnica polega na zrozumieniu sposobu, w jaki oni działają. Czy mam wam podać jakiś przykład?

- Tak - poprosiła Anna.

- Weźmy operacje CIA w Moskwie. Prawda jest taka, że w obecnych czasach mamy ich tam bardzo niewiele. Niewielu rzeczywistych agentów, niewiele rzeczywistych operacji. Możliwe jest jednak stworzenie iluzji, jesteśmy tam o wiele bardziej aktywni. Wystarczy przycisnąć kilka guzików. Prawdę mówiąc, Sowieci nam to bardzo ułatwiają. Widzicie, KGB po prostu nie wierzy, że jesteśmy aż tak bierni i niekompetentni, na jakich wyglądał. Dlatego posuwają się bardzo daleko w swoich próbach odkrycia tego,

188

/

- Przepraszam - wtrąciła Anna - ale nie mam najbłedszego pojęcia; o czym mówisz.

- Na razie nie, ale bądź cierpliwa. Obiecuję, że wkrótce wszystko się wyjaśni. Na początek naszej rozmowy chciałbym wyjaśnić, w jaki sposób zwykle spędzam czas. Czy to wam odpowiada?

Anna i Taylor skinęli głowami. Od chwili kiedy oboje poznali Stone'a! każde na swój sposób zastanawiało się, czym naprawdę się zajmował.

- Chyba już wam wspominałem, każdemu z osobna, że zajmuję stanowisko dyrektora do spraw projektów specjalnych przy sekcji bloku radzieckiego. Z czym to się wiąże? Na pewno zastanawialiście się nad tym. Cóż? Za „projekty specjalne”, którymi kieruję? Odpowiedź jest prosta. Otóż rob to, co uważam za słuszną. Od jakiegoś czasu koncentruję się nad pewną szczególną formą czegoś, co z braku lepszego określenia możemy nazwać oszustwem.

- A ta szczególna forma to co? - spytał Taylor.

- Zaraz do tego dojdę. Proszę o cierpliwość. Nie musimy się tak spieszyć. Może napijecie się kawy? Albo herbaty? Maijorie powiedziała, że zawiąże nam jedno i drugie.

Oboje pokręcili głowami.

- Mów dalej - powiedział Taylor. - Zamieniamy się w słuch.

- No dobrze. Moja forma oszustwa, stawiając sprawę jasno, ma na ce przekonanie Sowietów, że operacje CIA są znacznie większe i bardziej agi sywne, niż to ma miejsce w rzeczywistości. Moja misja, jeśli mogę to t nazwać, polega na kamuflowaniu słabości i demoralizacji amerykański służb wywiadowczych, które znacie aż za dobrze, i na malowaniu zupch odmiennego obrazu tych służb jako organizacji silnej i nieugiętej. Sp wiam, że Sowiesi uganiają się za cieniem tej siły i potęgi, który rzucam pod nogi.

- Jak to możliwe? - zapytała Anna. - Przecież Rosjanie nie są przecież głupi.

- Nie, w rzeczy samej. Są inteligentni i skrupulatni, ale są także parai ikami, a to są dokładnie te cechy, które wykorzystuję. Tajemnica polega zrozumieniu sposobu, w jaki oni działają. Czy mam wam podać jakiś pr kład?

- Tak - poprosiła Anna.

- Weźmy operacje CIA w Moskwie. Prawda jest taka, że w obecn; czasach mamy ich tam bardzo niewiele. Niewielu rzeczywistych agenti niewiele rzeczywistych operacji. Możliwe jest jednak stworzenie iluzji, jesteśmy tam o wiele bardziej aktywni. Wystarczy przycisnąć kilka guzik Prawdę mówiąc, Sowiesi nam to bardzo ułatwiają. Widzicie, KGB po pre nie wierzy, że jesteśmy aż tak bierni i niekompetentni, na jakich wygląda Dlatego posuwają się bardzo daleko w swoich próbach odkrycia tego,

188

ług nich naprawdę robimy. Robią to, zawsze trzymając się określonych d. Trzeba tylko wiedzieć, jakie to zasady.

- Na przykład? - spytał Taylor.

- Na przykład: jeżeli amerykański dyplomata wchodzi do budynku, órym mieszka Rosjanin mający dostęp do sekretów państwowych, ów iecki obywatel jest automatycznie obejmowany nadzorem na okres mini-n roku. Czasem po prostu zostaje przeniesiony na mniej odpowiedzialne owisko aż do chwili, gdy KGB zyska pewność, że nie kontaktował się dną : zachodnich organizacji wywiadowczych. Oczywiście ten rodzaj tego nadzoru znacznie zwiększa trudności, jakie mamy w werbowaniu detów. Ale dostrzegacie zapewne, jak możemy to wykorzystać?

- Zalewając cały system - stwierdził Taylor.

- Właśnie tak - przyznał Stone. Uśmiechał się szeroko. - Kiedy ofice-ie moskiewskiej bazy dzwonią do mnie do Waszyngtonu, sugeruję im, odwiedzali niektóre budynki mieszkalne w Moskwie od czasu do czasu, itarczy, że wsadzą głowę w drzwi albo tylko zadzwoniący postojąw ciem-alejce przez kilka minut, gdzieś na murze zrobią nic nie znaczący znak lą, aby w moskiewskim centrum rozdzwoniły się alarmy. Od razu otwarta aje nowa sprawa kontrwywiadu skierowana przeciwko biednemu towa-»zowi X, który zajmuje mieszkanie numer trzy B.

- Czy oni naprawdę się na to nabierają? - Taylor uznał, że brzmi to zbyt wnie.

- Tak, jeżeli odpowiednio przeprowadzi się akcję. Nie może być zbyt ywista, no i trzeba ją trochę ozdobić innymi technikami. Czy mam wam jeszcze jeden przykład?

- Tak, proszę - powiedziała Anna. Taylor tylko kręcił głową i uśmieł się, rozmyślając o fortelu Stone'a.

- KGB ma określoną zasadę postępowania z tak zwanymi martwymi kłami komunikacyjnymi. Wiedzą, że nasi ludzie w Moskwie wiele czasu wędcają na szukanie takich potencjalnych punktów, dlatego Sowietci bar-uważnie śledzą Amerykanów, a kiedy zauważą, że jeden z naszych zbli-ię do miejsca, które mogłoby być takim punktem, na przykład do jakiejś ówno ułożonej cegły w bocznym murze budynku, albo sęku drzewa w par-Gorkiego czy nawet luźnego kamienia w ścianie gdzieś na Wzgórzach lina, zajmujaje.

- Co to znaczy? - spytała Anna.

- Oznacza to, że prowadzą stałą obserwację takiego miejsca, zwykle y użyciu kamer telewizyjnych, dwadzieścia cztery godziny na dobę przez ynajmniej rok. Jak widzicie, są niezmordowani. Taki mają styl działa-. I co ma robić dyrektor do spraw projektów specjalnych w konfrontacji ik wielką pajęczyną bez śladu żadnego szwu czy łączenia? Co ty byś biła, Anno?

* 189 &

- Wysłałabym całą bazę CIA na poszukiwanie wielkanocnych jajek. Mi] ę-ajjliby znaleźć takie fałszywe punkty komunikacyjne. - Tak, oczywiście, ale nie tylko to - stwierdził Stone. - Czasami do takich fałszywych miejsc wkładałabyś fałszywe wiadomości do fałszywych agentów. I niektóre z tych wiadomości byłyby ze sobą powiązane, tak at kreśliły obraz większych operacji, których celów moskiewskie centrum m«J głoby się jedynie domyślać.

- Bardzo sprytnie - przyznał Taylor - ale co to wszystko nam daje? 1 cieź nikogo w ten sposób nie werbujemy. Nie zbieramy też informacji, któ| miałyby znaczenie dla celów wywiadowczych. Prawdę mówiąc, wrzuca jedynie klucz francuski w tryby sowieckiej maszyny.

- A co w tym złego? Sowietci bardzo ciężko pracują aby Moskwa poz stała środowiskiem przez nich kontrolowanym, w którym mogą zgrać ka wydarzenie i wykorzystać je do swoich celów. Nasza praca czasami pole po prostu na sabotowaniu tej maszyny. Niestety, nasi koledzy z Departamentu Stanu nigdy nie potrafili tego zrozumieć.

- To znaczy czego?

- Tego, jak bardzo przenikliwy jest system kontroli. Nie zdajęsobie sp wy, że KGB monitoruje każdego obcego dyplomatę i dziennikarza w 1 skwie, a poza tym skłóca ich między sobą. Ci, którzy godzą się na wsp cę, zostająnagrodzeni: otrzymująpozwoleńie na obecność przy negocjacja zgodę na specjalny wywiad. Tych, którzy stawiają opór, spotyka kara.

* mogą znaleźć mieszkania; ich toalety stale się zatykają ich samochody | chcą zapalić. W końcu nawet ci najbardziej uparci poddają się i wracają domu. Najbardziej przygnębiający jest sposób, w jaki nasi dyplomaci 1 tak, jak im zagrają w tym teatrze iluzji. Liberalny młody oficer służb dy matycznych wyobraża sobie, że w Moskwie awansuje, ponieważ jest roz nym i sumiennym pracownikiem, a jego bardziej upartemu koledze bę się wiodło się znacznie gorzej, ponieważ nie rozumie ani Rosjan, ani

języka wystarczająco dobrze. Przecież to bzdura! Tacy ludzie chyba nie f mują że Moskwa jest jak wielkie pudło Skinnera zaprogramowane do] woływania określonych zachowań. A korpus dyplomatyczny Stanów] noczonych jest żywym dowodem na to, że ten system działa! Jestem sa żystą. Chcę sabotować tę maszynę. Prawdę mówiąc, tylko tyle możemy t zrobić.

- Prowadzisz to wszystko z Waszyngtonu? - spytała Anna. Wciąż j cze nie mogła zrozumieć, jak Stone rozwiązał wszystko od strony bi | kracji.

- Tak. I wszystkim zajmuję się osobiście przy współpracy oficerów i skiewskiej bazy, którzy przyjeżdżają do mnie w odwiedziny. Jeżeli ch o nasze operacje, oczekuję, że nie będzie żadnych dyskusji ani żadnycj pesz na ich temat na terenie bazy.

190

Dlaczego?

Ponieważ moskiewska placówka nie jest bezpieczna. Nawet na tych zwanych bezpiecznych kanałach komunikacji wcale nie można pole-

- Dlaczego? - spytała ponownie.

- Tego nie mogę zdradzić - odparł Stone szorstko. - Przykro mi, mogę o powiedzieć, że wierzą, iż w Moskwie Sowietci czytają nasze depesze, le pozostaną tylko te operacje, które będziemy prowadzić wyłącznie stąd, oficjalnie.

- Czy w centrali zgadzają się na to?

- Ci rozsądni koledzy, owszem. Tylko głupcy są przeciwni. Prawdą mó-.c, nie mogą z wami omawiać tych spraw. - Stone zwrócił się do Anny tylora, który cicho bił mu brawo.

- Panie Stone, jak już mówiłem, niezły z ciebie numerant.

- Wcześniej powiedziałaś „sukinsyn”. Oszczędź sobie tych oklasków, są. Dopiero dochodzą do tego, co ma największe znaczenie dla naszych ów. Mniej więcej rok temu przyszło mi do głowy, że moglibyśmy wyko- stać różnojęzyczne rozgłoszenie Radia Liberty, aby umocnić nasz teatr cie-Dzięki pomocy dawnego kolegi w Monachium udało mi się puścić w eter chę dziwnych rzeczy.

- Na przykład j ákich? - spytał Taylor.

- Kilka ciekawostek. Wariacji na temat standardowego wzorca opera-nego. Rzeczy, które wprawny analityk mógłby odczytać jako wiadomo-skierowane dó jednego z niewidzialnych szpiegów, których rzekomo

zymujemy w Moskwie. Na przykład jeżeli codziennie rano, przed wia-nościami o dziewiątej, puszcza się ten sam fragment tematu musica-vego, wystarczy zmienić go raz, tylko raz, aby inteligentny analityk uznał za sygnał. Można też puszczać jakieś bezsensowne wiadomości. „Niebo t zielone”. „Tołstoj żyje”. Spiker może także celowo podać złą godzinę wnego popołudnia. Wszystko, co tylko przyjdzie do głowy. Bez względu to, jak jest głupie, można mieć pewność, że w moskiewskiej centrali dą drapać się w głowy. I właśnie to mi dało do myślenia. - Stone zawie-głos.

- Myślenia o czym? - zapytała Anna.
- O radzieckich nacjonalistach, najbardziej odsłoniętym nerwie w całej askwie. Zastanawiałem się, jak wykorzystać stały lęk KGB, że ludność mieszkująca krańce imperium: Uzbekistan, Tadżykistan, Gruzję czy Ar-;nię, gardzi państwem sowieckim, a Stany Zjednoczone gotowe są pomóc i w odzyskaniu wolności.

Anna spojrzała na niego ostrożnie. Przypomniała sobie ich rozmowę rzed kilku miesięcy. Ijak to zrobieś?

191

- Najpierw korzystając z rozgłośni radiowych. Mój przyjaciel w Mon chium zgodził się wprowadzić drobne zmiany w programie. Drobne dla n ale na tyle wyraźne, aby zaniepokoiły Sowietów. Przeczytano przedrewol cyjny esej w rozgłośni uzbeckiej. Rozgłośnia czeczeńska uczciła roczni urodzin Nadzmuddina z Hotso, który na początku lat dwudziestych naszego wieku niemal w pojedynkę walczył z Armią Czerwoną w północnych góra Kaukazu. Były też inne rzeczy. Małeńkie szpilki. Igiełki, które z czasem ~ czną przeszkadzać Moskwie tak bardzo, że przestanie na jakiś czas bawić s w zagraniczne eskapady i więcej czasu poświęci | &fta pilnowanie własne podwórka. Było też parą innych rzeczy.

- Jakich innych rzeczy? - spytał Taylor.

- Wspomniałem pewnemu znajomemu senatorowi, jak bardzo się ci szą z tego, że agencja znowu zająła się problemem narodowości. Jestem wien, że potem napomkną o tym paru osobom. Prawdą mówiąc, najlepszą gąbką wciągającą fałszywe informacje na temat operacji CIA są konse tywni członkowie Kongresu. Są tacy chciwi i tacy naiwni.

Taylor zamknął oczy.

- A więc o to ci chodziło w Stambule.

- Jak to?

- Kiedy zapytałem cię, dlaczego Sowietci w ogóle uważają że Stany Zj noczone mogłyby współpracować ze zgrają szalonych Uzbeków, powii teś, że kilka plotek zaniepokoiło Moskwą.

- Powiedziałem tak w Stambule? Nie powinienem był, ale rzeczywiś pojawiło się kilka wzmianek na temat zainteresowania Ameryki narodo ściami Związku Radzieckiego. I owszem, wzmianki te wyszły ode mnie. A dziwniejsze, że wcale się nie spodziewałem, iż taki plan w ogóle przejdzie i to w jakikolwiek zauważalny sposób. Przekonałem się o tym dopiero twojej małej przygodzie w Stambule z jakimś panem Rawlsem. Potem re stała się już jasna.

- Kim jest Rawls? - spytała Anna.

- Człowiekiem KGB - wyjaśnił Taylor. - Na początku myślałem, że z CIA.

- Aha.

- I dlatego właśnie znaleźliśmy się tutaj - stwierdził Stone.
- To znaczy dokładnie gdzie? - spytał Taylor. - To wszystko wydaj się szalenie fascynujące, panie Stone. Ja na pewno należę do twojego klubu, ale wciąż nie rozumiem, co robimy właśnie tutaj, w Rockville.
- Jesteś bardzo niecierpliwy. Właśnie to mi się w tobie podoba. Z jednak przejdziemy do dalszej części rozmowy, mamy do załatwienia w punkt programu. - Stone spojrzął na zegarek.
- To znaczy co? - chciał wiedzieć Taylor.
- Lunch.

192

Kto zapewnia zaopatrzenie?

Chyba ty. - Stone sięgnął do kieszeni roboczych spodni koloru khaki ijął z niej łańcuszek z dwoma srebrnymi kluczami. - Samochód stoi na pngu. Biała furgonetka z napisem „Karpeland” z boku. To klucz do wozu, i jest do drzwi frontowych. |- Jakie jedzenie mam przywieźć?

W okolicy jest dość dużo jadłodajni - powiedział Stone. - McDonal-I Burger King. Wendy's. Hardee's. I - Ja głosuję za Burger Kingiem - odezwała się Anna. 1 - Mnie to odpowiada - zgodził się Stone. | - W takim razie Burger King. Co mam dla was zamówić?

Whoppera z serem, bez ogórka i cebuli. Małą porcję frytek i dietetyczną E - poprosiła Anna.

- Jakiegoś hamburgera z takimi przyprawami, jakie tam mają - dodał me.

A piwo? Dobrze jest czymś zalać jedzenie.

- Wspaniały pomysł - przyznał Stone.

Taylor wyruszył na podmiejskie ulice białą ciężarówką. Zatrzymał się na igu Burger Kinga i zamienił kilka słów z ładną dziewczyną. Piwo kupił łałym sklepiku na rogu. Wprawnym okiem ocenił, że szóstak im wystar-

22

amiętaj, nigdy nie zostawaj szpiegiem - powiedział Annie jej ojciec na kilka miesięcy przed swoją śmiercią. W tamto niedzielne popołudnie, niego przed jego drugim i ostatnim zawałem, Anna czytała mu fragmenty iążki Osmańska dyplomacja, która, jak sądziła, powinna podobać się ojcu. yła to w pewnym sensie lewantyńska wersja Machiavellego, napisana w sie-imnastym wieku przez człowieka imieniem Sari Mehmed Pasha. Anna po-isywała się, tłumacząc tekst z tureckiego.

- U szpiegów - czytała - idealna czujność i ostrożność są niezbędne, iagroda należy się tak temu, który przynosi wieści pomyślne, jak i temu, żyje informacje budzą niepokój. Szpiega nie można karać za to, że przynosi łe wieści, ważne jest bowiem, by nie obawiał się przekazywać wiadomości godnych z prawdą.
- Nigdy tego nie rób wtrącił nagle jej ojciec.

- Czego?

3-Siro

193

- Nigdy nie zostawaj szpiegiem. - Ostry ton i zdecydowanie w jego głosie zaskoczyły Annę.

- Dlaczego nie?

- Wierz mi, jeżeli interesuje cię świat, spróbuj raczej swoich sił w dyplomacji - stwierdził ambasador Barnes. Wtedy ta rozmowa wydała się Ani nie dziwna. Jakie wydarzenia w długiej i pozornie wspaniałej karierze dyplomaty wzbudziły w nim taką nieufność wobec szpiegów? I skąd przyszedł mu do głowy, że Anna chciałaby wstąpić w ich szeregi? Pragnęła zostać prawnikiem, a nie agentką wywiadu.

- Może przystąpisz do egzaminu dla służb dyplomatycznych - zaproponował ojciec Anny jeszcze tego samego dnia wieczorem.

Poczuła się dowartościowana. Kiedy jednak zastanowiła się nad jego propozycją doszła do wniosku, że prawdopodobnie oznaczała ona tylko tyle, że ojciec zrezygnował z planów co do brata Anny i porzucił nadzieje, że to on będzie kontynuował rodzinne tradycje. Prawdę mówiąc, starszy brat Ani był chodzącym przykładem samodestrukcyjności męskiej połowy establishmentu w latach siedemdziesiątych. Mieszkał w Nowym Meksyku, na życie zarabiał jako na wpół artysta, na wpół guru stadka kobiet Nowej Ery, które jakimś cudem nie potrafiły mu się oprzeć. W rzadkich przypadkach, kiedy jeszcze przed śmiercią ojca przyjeżdżał do domu, zawsze robił coś okropnego. Zrzucał na podłogę salonu chińską wazę podczas przyjęcia albo stawiał rodzinie kabałę tylko po to, aby udowodnić, że wcale nie ma zamiaru się poprawiać. Brat Anny z pewnością nie był odpowiednim kandydatem do służb dyplomatycznych, i na pewno nie do CIA.

Ojciec przeniósł swoje ambicje na Annę, ale ona jeszcze wówczas chciała kontynuować zajęcie, które, jak wierzyła, było niezrealizowanym powołaniem ojca - zamierzała poświęcić się karierze naukowej. Uwielbiała witać książki, zwłaszcza te, które on zabrał ze sobą na niszczyciela podczas wojny: dzieła zebrane Szekspira, Księcia Machiavellego, O marce sennym Freuda, noszący ślady wielokrotnego czytania egzemplarz Ulisa Jamesa Joyce'a, zbiór poezji T.S. Eliota. Słowem, najważniejsze dzieła modernizmu. Młody oficer marynarki pracowicie opatrzył każdą z książek notatkami, zupełnie jakby zakuwał do najważniejszego w życiu egzaminu który mógł nadejść z kolejną falą nalotów japońskich samolotów. „Poró naj to z teorią Junga na temat archetypów,” zapisał w dziele Freuda. „Czasz nowoczesny książkę musi być aż tak cyniczny?” - pytał na marginesie Machiavellego, a na jednej ze stron Króla Leara zanotował: „Tak! Dojrzał jest wszystkim”.

Każda młoda kobieta na pewnym etapie życia poszukuje kontaktu z światem i próbuje znaleźć drzwi do jego świata. W przypadku Anny pragnienie to było szczególnie silne. Wtedy chciała tylko jednego - pozostać w bibliotece na zawsze. Dopiero po śmierci ojca dowiedziała się od jednego z jej

194

aciół, że swą rządową karierę ojciec rozpoczął niejako dyplomata. Był młodym urzędnikiem w Niemczech. Jak się okazało, niezrealizowane powołanie ojca było zupełnie inne.

Siedząc w nieprzyjemnym jarzeniowym świetle i czekając, aż Taylor po-óci z lunchem, Anna rozmyślała o ojcu, który nie ufał szpiegom. Stone rosił ją i poszedł do łazienki. Anna zajęła miejsce przy jednym z metach biurka i starała się jakoś uporać z tym, co ją gnębiło. Czuła się zdezentowana, choć nie wiedziała, czy wywołały to słowa Stone'a, czy też wno pochowane wspomnienia o ojcu. Starła się czymś zająć: poukładała :zy na biurku, przestawiła czarny telefon, ułożyła papier firmowy Karpe-du w równy stosik.

W końcu Stone wyszedł z łazienki. Siwe włosy zaczesał gładko do tyłu, jak zwykle. Połączenie roboczych spodni i koszuli drwała z patrycjuszow-ą fizyrą wydawało jej się rażące.

- Nie powinienes się tak ubierać - powiedziała.
- Dlaczego nie? Mnie się to podoba.
- Chcesz wiedzieć, co naprawdę o tym myślę?
- Tak, oczywiście.
- To wygląda głupio.
- Jak to?
- Ubrania mężczyzn są jak ich uniformy. Kiedy któryś decyduje się zdjąć ój albo włożyć cudzy, wygląda śmiesznie.
- Dobrze. Zapamiętam to sobie.

Anna powróciła do porządkowania biurka. Pochyliła głowę. Stone przy-ądał jej się przez chwilę; wyczuwał, że coś ją gnębiło.

- Co sądzisz na temat mojego porannego wykładu? Mam nadzieję, że ie zanudził cię?
- Wcale nie. Był fascynujący. Tylko zrozumiałam, że muszę się jeszcze ele nauczyć.
- Czy coś z tego, co mówiłem, zaskoczyło cię?

Anna zawahała się przez moment. Jeżeli w ogóle mogła sobie pozwolić a szczerość, taka okazja właśnie się nadarzyła.

- Tak - powiedziała. - Było tam coś, co według mnie nie miało sensu.
- Co takiego?
- Wiem, że to pewnie zabrmi bardzo głupio, ale nie rozumiem, dlaczego tak ważne jest, aby CIA wyglądała na bardziej agresywną niż jest w rzeczywistości. Czy przez to nie będzie nam trudniej radzić sobie z Sowietami?
- Och, Anno. Wiedziałem, że jesteś właściwą osobą do tego zadania -stwierdził Stone. - To bardzo mądre i wnikliwe pytanie. Mogę ci odpowie-

dzieć, że owszem, na krótką metę Rosjanie staną się bardziej nieufni i wojowniczo nastawieni, ale z czasem doprowadzi to do ich zguby.

- Skąd ta pewność?

- Nie wiem dokładnie, a raczej nie potrafię tego udowodnić. Tutaj chodzi o przekonanie. Wierzę, że w kontaktach między narodami słabość pociąga za sobą klęskę, a siła prowadzi do sukcesu. Oto intelektualna podstawa mojego życia. Nie mógłbym w nią wątpić, podobnie jak nie wątpię w to, że słońce wschodzi. I dlatego uważam, że skoro nie możemy teraz być silni powinniśmy przynajmniej takich udawać.

- Może, ale to wciąż przypomina według mnie kopanie gniazda szerszeni. Po co mamy niepokoić Sowieców? Dlaczego nie zostawimy ich w spokoju?

- Jak mogę ci to wyjaśnić? Pozwól, że skorzystam z analogii do historii która zapewne jest ci znana. Otóż przez ostatnich kilka tygodni czytałem trochę książek z dziedziny twojej specjalizacji i zastanawiałem się nad pytaniami, które najbardziej mnie interesuje, a zarazem dotyczy naszej rozmowy

- Czyli jakim?

- Moje pytanie brzmi następująco: „Dlaczego w siedemnastym wieku imperium osmańskie upadło tak błyskawicznie?”

- Niech pomyślę - powiedziała Anna, nagle przenosząc się ponownie w świat bibliotek. - Przyczyn było wiele. Sułtani stawali się coraz słabsi i coraz mniej kompetentni. Narody europejskie rosły w siłę. Janczarowie z wojowników zmienili się w skorumpowanych biurokratów. Dochody z podatków nie wystarczały na utrzymanie administracyjnej struktury imperium. Sama przyczyna, która z przyczyn przeważała szale.

Stone pokręcił głową.

- To na pewno jakaś część prawdy, ale odpowiedź, o którą mi chodzi jest o wiele prostsza. Można ją streścić w dwóch słowach: „Klatka Księżca”.

- Proszę, mów dalej. - Anna ciekawa była, dokąd zaprowadzi ich w wód Stone'a.

- Popraw mnie, jeżeli się mylę, ale z tego co zrozumiałem, Klatka Księżca pierwotnie uważana była za instrument oświecenia i postępu. Do początku siedemnastego wieku każdy kolejny sułtan kazał dusić wszystkie swoich braci, zgadza się? Robił to, aby nie mogli zagrozić jego rządowi. Tę raz pewnie uznalibyśmy, że to potwornie okrutne. A jednak wówczas by dość skutecznym sposobem eliminacji rozmaitych intryg i rywalizacji, które doprowadziły do upadku wielu imperiów.

- Takie postępowanie wyszło z mody - powiedziała Anna. - I przez problemy Turków osmańskich w siedemnastym stuleciu tylko urosły. O wciąż pozostawali wierni swoim dawnym praktykom, a Europa stawała się nowoczesna.

i Właśnie tak. Bratobójstwo przestało być modne. Zatem oświeceni i nośni sułtani przestali dusić swoich braci, a zaczęli zamykać ich w miejscach przypominających wspaniałe więzienie w wielkim seraju. W Klatce Książ-

Zgadza się - przyznała Anna. - Oni nazywali to „Kafes”. Bardzo cywilizowane podejście. Tego typu postępowanie odpowiada ewnie członkom Kongresu. Jaką cenę przyszło im zapłacić za to oświe- Książęta osmańscy przestali wędrować po imperium i poznawać rze-) wojenne, tak jak robili to ich poprzednicy; zamiast tego zamykano ich w więzieniu, aby nie szkodzili interesom państwa. Osman Trzeci przebywał w klatce przez pięćdziesiąt lat, zanim został sułtanem, prawda? A Su-i Drugi spędził w niej trzydzieści dziewięć lat, przez większość czasu co przepisując Koran. Kiedy ci biedacy w końcu zostali wyciągnięci z tych klatek, nie wiedzieli absolutnie nic o świecie. Byli żałośni, ale nie ich tło za to winić. System dosłownie gwarantował brak kompetentnego

Widzę, że czytałaś lorda Kinrossa - zauważyła Anna.

one uśmiechnął się z zakłopotaniem, jak uczeń, którego przyłapano na niu.

Ale przecież on ma rację, prawda?

Kinross ma rację w tym, co pisze, choć powody upadku imperium osmańskiego były znacznie bardziej skomplikowane, niż on twierdzi. Załóż-inak, że ty i Kinross macie rację, ale co to ma wspólnego z moim pyta- d Karpeland?

Czy to nie jest oczywiste? - zdziwił się Stone. - Siły oświecenia osmańskiego i CIA jest niemożliwym i nieskutecznym reliktem przeszłości, dlatego zczono nas w współczesnej Książęcej Klatce. Ja próbuję tylko znaleźć sposób, abyście wy, a raczej abyśmy my wszyscy mogli wydostać się stąd, zanim będzie za późno.

Anna skinęła głową, jeżeli nie na znak zgody, to z szacunku dla potęgi Stone'a. Zastanawiała się zarazem, czy rzeczywiście chodziło mu wła- to. Czy naprawdę wierzył, że świat stałby się lepszym miejscem, gdy książęta CIA zostali uwolnieni z „klatki” i mogli robić to, co chcieli, po- wać decyzje, pociągając za sznurki, bez ingerencji ludzi takich jak sędziowie, senatorowie czy prezydenci? Uznała, że nie mówił tego poważnie. To był szalony pomysł, a Stone nie był szaleńcem.

- Pora na lunch - oznajmił Taylor, kiedy wrócił do biura zjedzeniem sześcioma puszkami piwa Iron City. Anna i Stone siedzieli w milczeniu, wciąż chwytając się w myślach strzępów wcześniejszej rozmowy. W pokoju panowała atmosfera głębokiego skupienia. Taylorowi to nie odpowiadało.

197

- Dajcie spokój, ludziska, zabierajmy się do jedzenia! - powiedział głośno, kładąc torby na jednym z biurek. Otworzył jedno piwo i podał je Stone'owi. - Hej, kobieto! - zawołał do Anny. - A ty?
- Zamawiałam dietetyczną colę.
- Nie mieli. Chcesz piwo?
- Może być - zgodziła się. - Czemu nie.

Taylor podał jej puszkę i otworzył jeszcze jedną sobie.

- Serefel - powiedział.
- Co to znaczy? - spytał Stone.
- „Pocałuj mnie w tyłek” po turecku.
- Co takiego?
- Żartowałem. To znaczy po prostu „na zdrowie”.
- Na zdrowie - powiedział Stone podnosząc swoją puszkę.
- Na zdrowie - dołączyła do nich Anna.

•

Kiedy już sprzątnęli wyciśnięte opakowania po ketchupie oraz pudełko po fiytkach i hamburgerach, Stone raz jeszcze zajął centralne miejsce na scenie. Pełny żołądek pomógł mu w koncentracji myśli. Już nie był kluczącym dialektykiem, który posuwał się krok do przodu, to znowu krok w tył od mi gającego w oddali celu. Mówił teraz tonem operacyjnego projektanta, zmi rzał prosto w kierunku, jaki sobie wyznaczył.

- Lepiej zabierzmy się do pracy - powiedział. - Za godzinę wróci M jorie, a chciałbym przedtem przydzielić wam konkretne zadania.

Anna wyjęła notes, aby robić notatki. Taylor położył nogi na biurku.

- Podstawowe elementy tej operacji powinny już być wam znane, nieważ to wy sami je odkryliście. Moim skromnym wkładem będzie zasug rowanie kreatywnego sposobu wykorzystania tych elementów. To jest ła część. Potem wy dwoje będziecie musieli zrealizować ten plan; wprowa wymyślony scenariusz pomiędzy prawdziwych ludzi z krwi i kości, tak a zaczął żyć i oddychać.
- Mam nadzieję, że ty się jeszcze nie wymeldowujesz - powiedział Ta lor.
- Absolutnie nie, ale ja już nie jestem operatorem. Można mnie naj żej uznać za reżysera.
- No to jaki jest ten plan?
- Nasza operacja, tak jak ja ją sobie wyobrażam, będzie miała dwa p płatające się ze sobą wątki. Po pierwsze, postaramy się stworzyć iluzję ni podległościowego ruchu w Azji Środkowej; po drugie, postaramy się w snąć tę iluzję Sowietom w taki sposób, że uznają ją za wiarygodną. W przedsięwzięciu pomogą nam dwie sprawy: odkrycie przez Alana tajnej o racji Sowietów, zmierzającej do penetracji podziemnych organizacji w

198

(Inej, które według nich już istnieją; no i oczywiście poznany przez rańczyk z Azerbejdżanu, który twierdzi, że należy do takiego właśnie mia. Mamy już instrumenty, teraz musimy na nich zagrać albo

raczej ś odpowiednich ludzi, którzy na nich zagrają. Alan - ciągnął Stone - twoje zadanie jest dość skomplikowane. Mu-ależć sposób na przekazanie informacji agentowi KGB, który podaje »zpiega CIA, tak aby on ani przez chwilę nie podejrzewał, że karmisz żywymi wiadomościami. Zastanawiałeś się może, jak dokonać takiej

Trochę - przyznał Taylor. - Oczywiście musimy znaleźć pośrednika, jś Azjatę, który może dostarczać nasz materiał Rawlsowi. Wątpię jed-y uda nam się wyszukać takiego osobnika w Stambule. Sowietci mają ch chyba w całym mieście.

Zgadzam się - przytaknął Stone. - Zwerbowanie właściwego pośred-st kluczowe, być może najważniejsze w całej tej operacji. Takiej oso-iej nie znajdziemy w Turcji. Tak się składa, że mogę kogoś zapropo-

Kto to taki?

Dawniej w naszym bractwie mieliśmy bardzo niezwykłego człowieka ikistanu. Podczas wojny pracował dla Niemców, a my przejęliśmy go :zątku lat pięćdziesiątych. To naprawdę zdumiewająca postać. Mówi ntem uzbecko-rosyjskim, o ile potraficie sobie taki wyobrazić. Wła-kiego człowieka nam potrzeba, chyba żeby nie zgodził się wziąć udziału racji. Tak, z tym może być problem. Odszedł z agencji w dość niefor-;h okolicznościach pod koniec lat pięćdziesiątych. Przypuszczam, że jeszcze ma do nas żal. Jak się nazywa? Munzer Ahmedow.

W jaki sposób mogę się z nim skontaktować?

Obawiam się, że będzie to trochę niepewne. Zapisany w rejestrze stały tego człowieka to adres meczetu w Brooklynie. Podobno tam najczę-rzesiaduje.

Nie miałem pojęcia, że tam w ogóle jest jakiś meczet.

Jak widać jest. - Stone wziął kartkę firmowego papieru Karpetlandu ;ał na niej adres meczetu.

Aleja Fort Hamilton czterdzieści dziewięć zero pięć - odczytał Taylor i głos. - Gdzie to jest, do diabła?

- Z tego co wiem, w Parku Borough, niedaleko centrum medycznego Iaimonidesa - wyjaśnił Stone.

- Chyba żartujesz. Przecież to żydowska okolica.

- Zapewniam cię, że nie żartuję. Mogę ci tylko życzyć szczęścia w po-zukiwaniu Ahmedowa. Dam ci list polecający.

199

- Od kogo? Od ciebie?

- Wielkie nieba, nie ode mnie. Od tureckiego mułły z New Jersey, któ jest naszym przyjacielem, a zarazem przyjacielem Ahmedowa. Należą do teg samego bractwa sufi, jak słyzałem.
- I pewnie do tej samej drużyny kręglarskiej, co? Mogę wziąć wóz?
- Czemu nie, jeżeli panna Bames się zgodzi.
- Wóz jest twój - powiedziała Anna. - Nie przepadam za furgonetk
- A teraz ty, Anno. - Stone odwrócił się do niej. - Dzięki tobie n naszym stole znalazła się niezwykle cenna karta: dżentelmen, który prze stawia się jako Ali Ascari. Pierwszą kwestią, jaką powinniśmy omówi jest sprawa osoby, która go poprowadzi. Jak sądzisz, możesz się tym zaj sama?
- Absolutnie nie. To byłby bardzo poważny bład. Prawdę mówiąc, n cierpię faceta. Taki układ nie byłby bezpieczny.
- Jestem skłonny zgodzić się z tobą. A zatem ty również potrzebuj pośrednika. I tu także mam pewną propozycję.
- Tylko nie jeszcze jeden Irańczyk, proszę.
- Człowiek, o którym myślę, jest moim dawnym przyjacielem, z któ pracowałem w Niemczech w latach pięćdziesiątych. Był szefem stacji w B rucie, ale przed siedmioma laty rozstał się z agencją obrażony. Bywa tn. nym partnerem. Zgryźliwy, wybuchowy. Tylko on jeden spośród znanych agentów zawsze nosił broń. Ale był wspaniałym operatorem, jednym z n lepszych, jakich znałem. Nazywa się Frank Hoffman.
- Czym się teraz zajmuje?
- Prowadzi prywatną agencję ochrony w Atenach. Do jego klientów leżą głównie bogaci Arabowie. Często podróżuje nad Zatokę, a to b przysłuży się naszym celom.
- Brzmi wspaniale - przyznała Anna.
- I tak jest - przyznał Stone. - W jego przypadku mamy taki sam p blem jak z Ahmedowem: może się nie zgodzić na współpracę z nami.
- Dlaczego nie?
- Zrobił się z niego dziwak. Uważa, że wszyscy jesteśmy niekom tentni.
- Pytałeś go?
- Nie. To nie byłoby stosowne.
- Dlaczego?
- Ponieważ gdybym ja go poprosił, odmówiłby. Tak się niefortunnie da, że odszedł z agencji częściowo przeze mnie.
- Rozumiem - powiedziała Anna cicho.

- I dlatego sama musisz się z nim skontaktować. Nie będzie go łatwo zwerbować, ale jeżeli się zgodzi, będzie idealną osobą do poprowadzenia Ascariego. Nie powinnaś mieć trudności z odnalezieniem go w Atenach.

200

9

Hie zapisał na kartce numery telefonów do domu i biura Hoffmana i podał Annie.

H - No dobrze - powiedziała - ale muszę was przestrzec. Nie jestem pewna - Czy Ascari będzie dobrym agentem. Nie ma dowodów na to, że jego informacje są prawdziwe, a poza tym jest wstrętnym gnojkiem. ■ - Nie martw się, będzie znośny, zwłaszcza jeśli Frank Hoffman dostanie w swoje ręce. Zdradzę ci mały sekret, który zdaje egzamin przy werbowaniu takich jak Ascari. Nazywam go zasadą odwrotności Stone'a. I - Co to za zasada?

I - Brzmi następująco: jeśli po wejściu do jakiegoś pomieszczenia poczujesz natychmiastową niechęć do jakiegoś wyjątkowo obrzydliwego czy bałaganego osobnika, możesz mieć niemal całkowitą pewność, że właśnie jego powinno się zwerbować na agenta Stanów Zjednoczonych. I - Cały Ascari.

I - Sama widzisz - stwierdził Stone. - Wy dwoje możecie rozpocząć pracę od skontaktowania się z ludźmi, o których wam wspomniałem. Jeżeli się zgodzą, zastanowimy się, co robić dalej. Na pewno na kolejnym etapie będziemy musieli wzbogacić naszą orkiestrę o kilka instrumentów, ale na początek tyle wystarczy. Pozwolę sobie przypomnieć, jak bardzo ważne jest zachowanie wszystkiego w ścisłej tajemnicy. Jedno nieprzemysłane słowo może nasz projekt diabli wezmą. - Stone spojrzał poważnie na Annę i Taylora.

I - A pośrednicy? - spytał Taylor. - Ile możemy im powiedzieć? I - Pozostawiam to wam. Zdajcie się na własny osąd. Ludzie, o których wam wspomniałem, są raczej dyskretni. Jeżeli w końcu nawiążemy współpracę, uważam, że możecie powiedzieć im co nieco na temat tego, czym się zajmujemy. Sami na pewno będziecie wiedzieli, co nie zagrazi bezpieczeństwu operacji. Coś jeszcze?

- Co z pieniędzmi? - zapytała Anna.

- Wszystko załatwione. Konta zostały otwarte. Matjorie da wam książeczki czekowe. Klucze już macie.

- Tak jest. - Taylor wyłowił z kieszeni łańcuch z kluczami.

- Muszę już iść. Powiniennem zachować pozory mojej pseudopracy w kwaterze głównej. Matjorie ma wam we wszystkim pomagać. Od niej dowiedziecie się o wszystkim, o czym ja zapominałem. Będę tu się pojawiać regularnie, ale nie wahajcie się dzwonić do mnie natychmiast, jeżeli pojawią się jakieś problemy. Matjorie ma mój domowy numer.

Stone uściśnął dłoń obojga i ruszył w dół po schodach. Anna miała jeszcze jedno, ostatnie pytanie, które nie dawało jej spokoju przez cały dzień. Kto dał polecenie prowadzenia tej operacji? Kto był za nią odpowiedzialny? Początkowo wstydziła się je zadać, a teraz, uwikłana w sieć tak elegancko uprzedzoną przez starszego pana, uznała, że to tylko drobny tech-

niczny szczegół. Zresztą było już za późno. Stone zszedł po schodach i zamknął za sobą drzwi.

Po wyjściu Stone'a pokój Karpetlandu wydawał się im dość pusty - nawe

gdy Maijorie wróciła z lunchu. zaproponowała, że przyrządzi im kawę a kiedy podziękowali, usiadła przy biurku stojącym najbliżej drzwi i wyjęła grubą książkę w miękkich okładkach. Czytała w wielkim skupieniu, przerywając co kilka minut i z poczuciem obowiązku spoglądając na czarny telefon.

Taylor wybrał biurko najdalej od drzwi, usiadł i położył nogi na blacie tak jakby przez całe życie pracował w podupadającym sklepiku z dywanami w Rockville. Środkowe biurko pozostało dla Anny. Usiadła prosto, dołacie nie pośrodku krzesła, tak jakby chciała zakotwiczyć się w czasie i przestrze ni. Miała ochotę odsunąć się od biurka i oprzeć o nie stopy, tak jak Taylor, al miała na sobie sukienkę i obawiała się, że Maijorie uzna taki gest za oznak braku profesjonalizmu. Taylor pochylił się ku niej; pewnie chciał porozmawiać, ale Anna go zignorowała. Zaczęła już robić plany.

- Maijorie, proszę, sprawdź dla mnie połączenia z lotniska Dullesa d Aten, proszę.
- Na kiedy, panno Morgan?
- Na wtorek wieczorem, jeżeli jest bezpośredni lot z Dulles. Jeśli ni ma, to w środę wieczorem.
- Dobrze, proszę pani - powiedziała Maijorie, odkładając książkę.
- Potrzebny mi będzie także pokój w hotelu.
- W jakim hotelu chciałaby się pani zatrzymać?
- W „Hiltonie” - wtrącił Taylor.
- Tak, „Hilton” mi odpowiada - stwierdziła Anna.
- Jaki pokój?
- Wszystko mi jedno. Co będą mieli wolnego.
- Apartament - zawołał Taylor.

Anna roześmiała się.

- Czemu nie. Bardzo proszę o apartament, Maijorie.

Sekretarka zaczęła dzwonić, rezerwować i organizować. Przysłuchuj! się tym negocjacjom, Taylor wstał z biurka i zwałił się na stos orientalnych dywanów na pościłdzie pośrodku pokoju. Wyglądał tak, jakby zasnął, ale ki dy Anna podeszła bliżej, żeby mu się przyjrzeć, przewrócił się na bok i oparł głowę na dłoni.

B- Zabierajmy się stąd - powiedział. - Tu jest nudno. B- Nie możemy. Mamy pracę.

B- Wcale nie. Stone już zajął się całą robotą a my tylko marnujemy czas, Bząc tutaj.

B Anna nie mogła się nie zgodzić.

B Dokąd chciałbyś pójść? - spytała.

B- Nie wiem. Chodźmy na spacer. Pozwiedzajmy okolicę.

B- Rockville?

B - Dlaczego nie?

f1 - A Marjorie?

■ - Nic jej się nie stanie. Nie jesteśmy jej do niczego potrzebni.

I Miał rację. Maijorie działała tak, jakby ktoś włączył jej autopilota.

I - Wezmę torebkę - powiedziała Anna.

I Taylor podszedł do biurka Maijorie.

I - Wychodzimy na jakiś czas. Możesz iść o której chcesz.

1-0 nie, panie Goode. Pracuję tutaj do piątej, od poniedziałku do piątku.

I - W porządku. Jak chcesz. Jeżeli nie wrócimy do tej pory, zgaś wszyst-

I światła.

I - Oczywiście.

I W Rockville Pike w piątkowe popołudnie gęstniał ruch. Toyoty, datsuny lony niczym małe wodne żuczki sunęły obok swoich dużych, posępnych łerykańskich kuzynów. Akurat pod tym względem autostrada prezentowała obraz Ameryki w erze automobilizmu. Była to jedna z tych podmiejskich fcg, które upodabniały do siebie amerykański krajobraz sprawiając, że okolę każdego ośrodka miejskiego wyglądały mniej więcej tak samo. Można ją było odkleić od ziemi razem z jej barami szybkiej obsługi, sklepami sprzedającymi opony oraz centrami handlowymi w kształcie litery L i przykleić w zupełnie innym miejscu - na przykład w Atlancie albo w St. Paul - i nikt nie luważyłby różnicy. Taka była nowa Ameryka. Kawałki narodowego pat-lworku - niegdyś różnorodnego i bogatego, z charakterystycznymi cechami i obsesjami różniącymi poszczególne regiony - teraz wyglądały wszystkie tak samo. Ułatwiało to, ale zarazem utrudniało orientację.

- Poszukajmy jakiegoś baru - zaproponował Taylor, kiedy wyszli z buraku w hałas i kurz późnego popołudnia.

- Tutaj?

- Pewnie. Przecież na przedmieściach też mają bary. Wszystkie noszą izwy „PJ's" albo „TJ's", mają takie same wiszące rośliny i zwariowane sta-icia na ścianach. Ale drinki wszędzie smakują tak samo. Chodź.

Taylor objął ją ramieniem po przyjacielsku, delikatnie, a ona równie de-katnie uwolniła się od jego ręki.

203

Kilka przecnic dalej natrafili na knajpką o nazwie „McGillicuddy". W pojęciu właściciela sieci restauracji tak właśnie wyglądał irlandzki pub ze starymi plakatami Guinnessa i Harpa na ścianach, z mosiężnymi latarniami w holu i wielką głową łosia nad barem z napisem „Pocałuj mnie, jesteś Irlandczykiem" zwisającym z jednego z rogów. Barman miał na głowie zieloną czapkę krasnoludka. Z jego plakiety wynikało, że nazywa się Sacłowski.

- Co ma być? - spytał.

Anna spojrzała na zegarek. Była dopiero czwarta trzydzieści.

- Czy nie jest jeszcze za wcześnie na alkohol? - spytała.

- Nie, jeżeli działa się według czasu stambulskiego.

Anna poprosiła o piña coladę bez cherry. Taylor zamówił martini z gremem.

- Co sądzisz na temat operacyjki Stone'a? - spytała Anna. Pytanie chciała zadać Taylorowi przez cały dzień.

- Podoba mi się.

- Naprawdę?

- Tak. Przynajmniej dzieje się w rzeczywistości. Od lat czekałem na podobną okazję.

- Nie uważasz, że operacja jest trochę za duża?

- Nie. Myślę, że mogłaby być jeszcze większa.

- A nasz pan Stone? Wierzysz, że załatwił wszystko z dyrektorem agencji?

Taylor pokręcił głową.

- Nie wiem i prawdę mówiąc, nic mnie to nie obchodzi. Dyrektor jest idiotą. Jestem pewien, że Stone powiedział wszystko tym, którzy powinni o operacji wiedzieć. Jest zawodowcem. Nie popełnia błędów.

- Ale mam wrażenie, że on z nikim nie musi niczego uzgadniać.

- Tym lepiej - stwierdził Taylor.

Przyniesiono im drinki. Niespokojne oczy Anny złagodniały.

- Czy według ciebie możemy ufać Stone'owi?
- A czemu nie? Komuś trzeba ufać. Wolę stawiać na niego niż na kogoś z tych leni, z którymi pracujemy.

Anna przypomniała sobie Howarda Hambleya, Dennisa i pozostałych chłopców w Londynie. Różnica między nimi a ludźmi takimi jak Taylor (Stone poległa na... właśnie, na czym? Na nieustępliwości. Swobodzie działania. Chęci podejmowania ryzyka.

- Chcę tylko mieć pewność, że postępujemy właściwie - powiedziała
- Tym się nie przejmuj. Oczywiście, że robimy dobrą robotę. Gorczy projekt, praca z facetem takim jak Stone. Żadnych papierzyśk, nieograniczone wydatki. Szansa zaimponowania grubym rybom. Czego jeszcze możesz pragnąć?

t

204

- Nie o to mi chodzi. Myślałam raczej w kategoriach dobra i zła.
- To nie moja działka - powiedział Taylor.
- A jaka jest twoja działka?
- Mechanika stosowana.
- Och, daj spokój. Nie wierzą ci. Nie zrobiłbyś świadomie czegoś, co byłoby złe.
- Może i nie. Tak naprawdę, gdzieś w głębi duszy, jestem sensualistą. Chcę, żeby ludzie powinni robić to, co im pozwala czuć się dobrze. Anna pokręciła głową.
- Nie sądziłam, że jeszcze ostały się typy takie jak Jack Kerouac. Ludzie 3 rodzaju już dawno wyszli z mody.
- Przykro mi - powiedział Taylor uprzejmie - ale do mnie to nie do-o.

Anna przymknęła jedno oko i przechyliła głowę na bok.

- Postaw mi jeszcze jednego drinka - poprosiła.

Taylor przyjrzał jej się uważniej. Po raz pierwszy tego dnia wyglądała na jęzozoną. Patrząc na nią, Taylor stwierdził, że jej strój jest nie tylko elegancki, ale też drogi. Suknia z jedwabiu doskonałego gatunku, z wycięciem i szyją; buty z włoskiej skóry na wysokim obcasie; jasne pończochy, świetle późnego popołudnia jej skóra wydawała się równie delikatna jak liście magnolii stojące wazonie na jednym ze stolików. Spojrzał jej w oczy. Ich barwa pasowała do zielonego wzoru na sukience Anny, ale kiedy wróciła głowę i światło padło na jej twarz pod innym kątem, przybrały samowitą, akwamarynowy odcień błękitu.

- Wyglądasz pięknie - powiedział. Zastanawiał się, jak zareaguje na komentarz: zaprzeczy, zmieni temat czy upomni go mówiąc, że zachowuje się profesjonalnie. Nie zrobiła nic podobnego.
- Dziękuję - powiedziała tylko. Oparła się o poręcz barowego stołka, zrywała nogi i wyjęła papierosa. Taylor zapalił zapałkę, a Anna delikatnie przyciągnęła jego rękę ku sobie.
- Bez wątplenia - szepnęła Taylor. Nie musiał nic wyjaśniać.

Rozmawiali przez całe popołudnie, zamawiając kolejne drinki. Gdy zał zmrok i bar zaczął wypełniać się stałymi bywalcami, witającymi barmana. Sadłowskiego przyjaźnie sprośnymi odzywkami, Taylor zaproponował, >y przenieśli się do łoża w rogu sali. Nie próbował obejmować Anny ramieniem, tylko pochylił się nad nią, poświęcając jej całą uwagę. Wcisnęła się do namiotu jego słów i gestów. Mijały godziny, a oni wciąż tkwili w zacienionym kącie baru „McGillicuddy's". Zamówili kolację, a po kolacji drinki, potem następne. Nawet barowe jedzenie smakowało niebiańsko. Po bardzo długim czasie, kiedy zbliżyli się do siebie tak bardzo, jak jest to możliwe

205

w przypadku dwojga całkowicie ubranych ludzi w knajpie, padło pytanie jakiego od początku można się było spodziewać. I oczywiście zadał je Taylor.

- Chodźmy do mnie - zaproponował. - A może wolisz do siebie?
- No, nie wiem - zawahała się Anna.
- Dlaczego nie?
- Nie wiem, czy jestem na to gotowa.
- Och, daj spokój - powiedział marzycielsko. - Jesteś gotowa. Jest przecież dorosła. Masz trzydzieści lat.
- Dwadzieścia dziewięć... zresztą nie o to mi chodziło. Nie wiem, i jestem gotowa na związek z tobą. Przestraszyłeś mnie trochę tamtego popołudnia w Stambule, kiedy zabrałeś mnie na wycieczkę po okolicy.
- Dlaczego? Usiłowałem tylko trochę cię rozweselić.
- Pamiętam, co powiedziałaś o tureckich kobietach. Mówiłaś jak i piezca. Jak facet z Zachodu, którego spuszczone ze smyczy w haremie, a ma ochotę pieprzyć wszystko, na czym tylko zatrzyma się jego wzrok.

Taylor próbował udawać skruchę.

- Przykro mi, że tak to zabrzmiało. Wcale nie mam ochoty pieprzyć wszystkiego, na czym zatrzymam wzrok. Działam bardziej wybiórczo. P< tym nie jestem typem haremowca.
- Skąd wiesz?

Taylor spojrzał na nią zainteresowaniem, zastanawiając się, czy to b z jej strony zachęta, czy raczej próbowała go zniechęcić.

- Czy to podchwytliwe pytanie?
- Wcale nie. To raczej kwestia natury historycznej.
- No dobrze. Więc jak było?
- Co? - Anna skromnie przymknęła oczy.
- Chodzi mi o harem. Jak tam było? - Taylor zmierzył Annę wzrokiem. Na przykład jak ubierają się kobiety w haremie?

Pochyliła się ku niemu.

- Ubierają się tak, aby zadowolić sultana - powiedziała miękko. - stroje są lekkie i przejrzyste. Prawdę mówiąc, ciała mają właściwie nie < nięte. Luźna bluzka, luźne lniane spodnie związane w talii paskiem i jedw na suknią rozpięta z przodu tak, aby nie ostaniała zbyt wiele.
- Rozumiem. Czy istniały tam jakieś szczególne zwyczaje? Oczywiście chodzi mi wyłącznie o historię.

Anna zastanawiała się przez chwilę.

- Goliły sobie ciała.
- No i co? Kobiety robią to także teraz.
- Ale one goliły się wszędzie.
- Wszędzie? - zdziwił się Taylor. Jego wzrok zatrzymał się na • Anny.

206

Wszędzie - powtórzyła dziewczyna, jednocześnie uśmiechając się larszcząc brwi. - Tak zwana łaźiebna brała do siebie każdą kobietę i goliła a potem nakładała jeszcze specjalne mazidło, usuwające wszystkie włosy-które zostały pominięte. Później niewolnica oglądała dokładnie ciało lonej kobiety, centymetr po centymetrze, aby mieć pewność, że jest ideal-gładkie. Potem perfumowano ją płatkami róż. Kobieta musiała siedzieć ;o na podłodze łaźni, podczas gdy niewolnice nacierały ją kwiatami. Włoszyję i ramiona, piersi, uda, palce i kostki.

- Niezwykle - powiedział cicho Taylor. Zamknął oczy i odetchnął głę-o. Wyobrażał sobie, jak Anna wyglądałaby leżąc nago w łóżku, przykryta o płatkami róż.
- Ale nie to było najdziwniejsze.
- Tak? A co? - Taylor nie miał pewności, czy w głosie Anny usłyszał urzenie, czy też droczyła się z nim tylko, a może było to dziwne połączenie-
obu tych rzeczy.

- Najgorsze było to, w jaki sposób kazali kobiecie iść do łóżka.

- To znaczy w jaki? Błagam, zdradź mi. Kazali jej się czołgać. Turcy osmańscy uważali, że uwłaczałoby to ich

ości, gdyby kobieta tak po prostu położyła się w łóżku obok mężczyzny, ogłaby sobie wyobrażać Bóg wie co! Zasada była taka, że kobiety zaczynały u stóp łóżka, całując przykrycie, po czym powoli czołgały się wyżej, obok óp i kolan, aż do głowy mężczyzny. Czy to nie dziwne?

- Dziwne - powtórzył Taylor.

- Ale ty chyba taki nie jesteś, prawda?

- Nie. Nie jestem. Lubię kobiety. Nie chcę widzieć w nich niewolnic, obają mi się takie, jakie są.

- Naprawdę?

- Możesz mnie wypróbować. - Taylor delikatnie objął Annę ramieniem irzyciągnął ku sobie. Jej ciało nie stawiało oporu. Pochylił się nad nią i pocało-

ją w usta, powoli i czule; nie wpychał na siłę języka między wargi. Kiedy ją ił, poczuł, że dziewczyna drży. Po chwili opanowała się i usiadła prosto.

- Chcesz iść ze mną do łóżka, tak?

- Tak - przyznał - Czy to źle?

- Nie wiem. Przecież mamy razem pracować.

- No to co?

- Kobiety powinny być twarde. Nie mogą tak po prostu oddawać się ażdemu atrakcyjnemu mężczyźnie, który stanie im na drodze. W przeciwnym razie skończyłyby tak jak te wykorzystywane branki w haremie. Wiesz, okąd wysyłano stare konkubiny, kiedy na tron wstępował nowy sułtan? Do miejsc, które nazywano Domem Łez.

- Dlaczego? Myślałem raczej, że powinny się cieszyć, iż udało im się wydostać z tego więzienia.

207

J

- Wcale nie. Te kobiety nie były prostytutkami, one były artystkami. Studiowały sztukę uwodzenia i mfiżyły o urodzeniu dziecka sułtana, ale tyl ko te najpiękniejsze i najbardziej inteligentne mogły przyciągnąć jego uwa gę. Te miały władzę, pozycję społeczną i pieniądze. Niektóre inwestowały w nieruchomości albo w handel jedwabiem czy w klejnoty, ale one wszystkie były ostrożne. Umiały czekać.

- I dlatego nie chciały opuszczać haremu?

- Nie podobało im się, że traciły władzę. Pewna dziewczyna z haremi Roxolana, zdołała przekonać sułtana, że potrafi czytać w jego myślach. Pc trafiła nawet go rozśmieszyć! Zakochał się w niej tak bezgranicznie, że pc rzucił cały harem i poślubił ją.

- Który to był sułtan?
- Sulejman Wspaniały. Największy i najmądrzejszy ze wszystkich.
- A ci źli sułtanowie? Jacy oni byli?
- Niektórzy z nich odpychający. Chyba nie chciałbyś tego słuchać.
- Ależ chcę. Może podłapię kilka wskazówek.
- Nie żartuj - powiedziała. - Jeżeli naprawdę chcesz wiedzieć, jak sz leni potrafią być mężczyźni, opowiem ci pewną historię. Ale wcale nie je zabawna.
- Dobrze.
- Pewien z sułtanów panujących w siedemnastym wieku miał ulubioi grę. Zabierał swoje konkubiny do ogrodów seraju. Eunuchowie rozwij. dywany na gałęziach pobliskich drzew i krzewów, tak aby ludzie nie moją podglądać. Sułtan kazał kobietom rozebrać się i stanąć rzędem przed ni] Jak sądzisz, co robił później? Otóż brał muszkiet i strzelał do niewiast śi tem. To go właśnie podniecało. Potem brał te kobiety, które chciał.

Taylor odwrócił się. Anna miała rację. Ta opowieść nie była zabawna

- Ten sam sułtan lubił jeszcze inną grę. Chcesz o niej usłyszeć?

Taylor nie odpowiedział.

- Zabierał z haremu swoje kobiety i kazał im stać nago w pustym ba; nie w ogrodach. Potem kazał eunuchowi otwierać rury doprowadzające wo i silny potok zalewał branki. Większość z nich nie umiała pływać, więc tyl miotały się i krzyczały, próbując utrzymać się na powierzchni. Sułtan koc się z tymi, które nie utonęły.

Taylor ostrożnie objął Annę. Na początku jej ciało stawiało opór, ale chwili rozluźniło się. Pozwoliła, aby ją przytulił i pocieszył. Zgodziła nawet na pocałunek w policzek. Tuląc ją nucił kotysankę cichym, tro(zachrypniętym od alkoholu głosem. Pozostała w jego ramionach długo. Us szeli, jak barman woła: „Ostatnie zamówienia”. Anna wyprostowała < przeciągnęła niczym kot i spojrzała na Taylora dużymi niebieskozielonj oczami.

- Jeszcze nie jestem gotowa - powiedziała. - Ale niedługo będę.

208

H - Masz jakieś plany na jutro? - spytał Taylor pół godziny później Hłrzwiach jej pokoju motelowego. I

- Nic - odparła. - Jakieś propozycje? I - Przygotuję dla ciebie niespodziankę. I - Jaką?

I - Co byś powiedziała na kochanie się na trawie? I - Dobranoc - powiedziała Anna, zamykając drzwi. I

- Przyjdę po ciebie o dziesiątej - zawołał Taylor. Nie odpowiedziała, ■ aylor nie mógł zobaczyć uśmiechu na jej twarzy.

Przyjechał o dziesiątej trzydzieści białą furgonetką Karpelandu. Zrobił łkupy. Z nowego magnetofonu płynęła kantata Bacha; z tyłu samochodu lał kosz z bochenkiem francuskiego chleba, szynką i salami, kilkoma rodzajami sera, słoikiem musztardy i butelką białego burgunda. Nie zapomniał też Ikocu.

I Anna czekała przed motelem. Miała na sobie letnią sukienkę - wyglądała jak pęk kwiatu, który długo piękniał i lada chwila miał się otworzyć. Powikła Taylora całusem.

- Wskakuj - powiedział. - Wybieramy się na przejażdżkę.
- Dokąd jedziemy, dywaniarzu?

I - Do tajemniczej kryjówki, gdzie nawet poważne kobiety, myślące tylko o karierze, mogą robić to, czego naprawdę pragną.

I Pojechali do Beltway, na drugą stronę rzeki Potomac, a potem ruszyli na lachód drogą numer sześćdziesiąt sześć w kierunku Winchester. Otaczał ich lajprawdziwszy krajobraz Wirginii: niskie krzewy po obu stronach drogi ustępujące zielonym polom i wysokim drzewom, a w oddali grzbiety wzgórz Blue Ridge. Mijali wielkie stadniny i zacięzione kotliny upstrzone krzywymi chałami. Wyglądało na to, że Taylor wie, dokąd jedzie, a Anna nie miała zamiaru p nic go pytać. Oparła stopy o deskę rozdzielczą i pozwoliła, aby wiatr targał jej włosy. Nuciała kantatę Bacha razem z taśmą.

f Właśnie minęli małe miasteczko Marshall. Taylor skręcił z głównej drogi i ruszył dalej dwupasmówką, która niebawem zmieniła się w jednopasmową drogę, a potem w pnącą się coraz bardziej stromo żwirówkę, z obu stron otoczoną gęstymi krzakami i winoroślą. Furgonetka brnęła przez zarośla jak myśliwy przedzierający się przez dżunglę. Na szczycie wzgórza Taylor zatrzymał samochód. Nad nimi zwieszały się gałęzie drzew rosnących tak gęsto, że pod nimi było niemal ciemno.

- Gdzie jesteśmy?- spytała Anna.
- Zobaczysz.

Taylor wziął piknikowy koszyk w jedną rękę, a drugą ujął dłoń Anny.

Poprowadził ją między krzewami, odchylając gałęzie, aby utworować sobie

*

14-Sin. 40} 209

drogę. Po kilkudziesięciu metrach doszli do ogrodzenia z łańcuchów, zakończonego kolczastym drutem. 6

- A teraz co?
- Chyba możesz przejść przez płot, prawda?
- Pewnie, ale nie przez taki z kolczastym drutem.
- To nie problem - powiedział Taylor. Sięgnął do koszyka i wyjął nożyce do cięcia drutu. Trzymając je w jednej ręce podszedł do ogrodzenia, wspis się na nie i zaczął ciąć.

- Nie możesz tego robić!
- No to popatrz - Taylor wyciął dużą dziurę i zsunął się z ogrodzeni* Podniósł koszyk i przeszedł przez płot. - Teraz twoja kolej - powiedział zde cydowanie.

Anna była gibka i sprawna; kiedy zrozumiała, że nie ma innego wyjścia jak tylko przejść przez ogrodzenie, zrobiła to prawie tak szybko jak Taylor Kiedy schodziła po drugiej stronie, sukienka zahaczyła się o wystający dn i Taylor wspinał się trochę wyżej, żeby ją odczepić. Potem przytrzymał Ann w talii i ostrożnie opuścił na ziemię. Gdy dotknęła trawy, poczuł jej piei przy swojej i bicie jej serca. Oboje ciężko oddychali po krótkiej wspinaczce Trzymając dziewczynę blisko siebie, Taylor poczuł, jak rośnie jego podnii cenie.

- Dokąd mnie zabierasz? - wyszeptwała Anna.
- Na zakazane terytorium - odparł. Znowu wziął ją za rękę i poprowi dził na niski pagórek. Zarośla wciąż jeszcze tworzyły gęstą zasłonę i Anr nic poza nimi nie widziała. Dopiero po chwili ujrzała powód, dla którego Taylor jątu przyprowadził. U ich stóp rozciągała się niewielka zielona dolina, ukryta w krajobrazie. Na zboczu stał dom o oknach i drzwiach zabitych deskami.
- Kto tutaj mieszka?
- Nikt, tylko my.
- Co to ma znaczyć?
- To bezpieczny dom. Własność agencji. Trzymają takich wiele na wszel wypadek, ale nikt z nich nigdy nie korzysta. Pomyślałem, że możemy go si bie na chwilę przywłaszczyć.
- Tu jest pięknie - powiedziała Anna. Szybko przeszła przez wysol trawę, a gdy zbocze zaczęło bardziej stromo opadać w dół, puściła się bi giem. Taylor podążył za nią z kocem i koszykiem. Kiedy dotarli do domku obojgu brakowało tchu. Za domem płynął niewielki strumyk, który w je nym miejscu tworzył mały wodospad. Uszy wypełnił im plusk spadając wody.
- Oto i tożę - powiedział Taylor. Zdążył już zdjąć buty i skarpetki.

Anna spojrzała na niego. Usiadła na kocu, pośrodku zielonej trawias przestrzeni. Pożądanie na jego twarzy pasowało do dzikości tego zakątka.

210

- Czy naprawdę powinniśmy to zrobić?
- Oczywiście, że tak.
- A co potem?
- Nie wiem. To nie ma znaczenia.
- Ale przecież musimy ze sobą pracować.

- I co z tego? Pracuję z ludźmi, których nienawidzę. Czy nie mogę pra-wać z kimś, kogo kocham?
- Nie mów tak.
- Dlaczego nie? Przestań tak bardzo się temu opierać. Poddaj się choć . - Wstał i zrobił kilka kroków w jej kierunku. Pod stopami czuł wilgotną lię i źdźbła traw. - Chodź do mnie - powiedział.
- Od tak dawna się nie kochałam...
- Chodź do mnie - powtórzył Taylor.

Anna powoli zbliżyła się do niego, po drodze zrzucając buty. Jeszcze lim znalazła się obok, poczuł ogromne podniecenie. Rozpiął zamek jej ienki i zsunął ramiączka. Nie miała na sobie stanika. Dotknął jej nagich liersi.

- Pragnę cię - wyszeptła.

Taylor wsunął palce pod gumkę jej majteczek i zsunął je na uda. Języ-liem badał ścieżkę jej nóg aż po stopy. Anna drżała. Kiedy Taylor wzrokiem bjął całe jej ciało, powiedziała miękko:

- Teraz.

Błyskawicznie rozebrał się i podniósł jej sukienkę.

- Tylko powoli - poprosiła. - Ja już tak dawno... Nie musiała się obawiać. Była tak podniecona, że kiedy Taylor lekko ją

niósł, z łatwością wśliznął się w nią. Oddychała tak ciężko, że Taylor bał się, aby nie zemdłała, więc delikatnie położył ją na kocu i wszedł w nią do lcońca. Czując pod sobą twardą ziemię, Anna zaczęła poruszać się razem : nim, zamykając go w sobie, drząc i krzycząc, jeśli posuwał się za daleko. Stopniowo zaciskała się wokół niego z taką siłą, jakby za moment miała pęknąć, tak że z trudem mógł się w niej poruszać; w końcu pociągnęła go za abąpoza krawędź.

24

Proszę odejść! - powiedział Munzer Ahmedow, kiedy Taylor podszedł do niego na rogu ulicy w Brooklynie w następny piątek. Przechodził dalej, w dwupiętrowym ceglany budynku z napisem „Korporacja Bractwa Uz-

becko-Kazachskiego", właśnie skończyła się południowa msza. Munzer wra cał do swojego samochodu, wymijając ortodoksyjnych Żydów w długich czai nych płaszczach, których pełno było w|ej okolicy. Taylor siedział w kafejc naprzeciwko meczetu przez prawie godzinę, czekając, aż pojawi się Munzei Od razu go rozpoznał; wyglądał tak samo jak na zdjęciu, które Alan dostał o Stone'a. Był niskim, mniej więcej pięćdziesięcioletnim mężczyzną o okrą głęj twarzy, wysoko umieszczonych kościach policzkowych i wąskich oczach które naznaczały go nieomylnie jako syna Azji Środkowej. Jego twarz przy pominą Taylorowi oblicza, które widywał w połowie drogi pomiędzy Tui cją a Chinami. Wydawała się równie tajemnicza jak zakapturzony kupie wędrujący drogami Jedwabnego Szlaku.

Taylor podał Munzerowi swoją wizytówkę.

- Nazywam się Goode - powiedział. - Zajmuję się sprzedażą dywanów. W chwili gdy skończył mówić, po moście kolejowym przejechał pociąg, zmie rzając w kierunku Coney Island.
- Proszę odejść! - powtórzył Munzer. - Nie interesują mnie żadne dywany. - Mówił głębokim głosem, z gardłowym akcentem, który przypomina zarazem rosyjski i uzbecki, dokładnie tak, jak mówił Stone.
- Chciałbym z panem porozmawiać - nalegał Taylor.
- Tu jest Ameryka. Nikt z nikim nie rozmawia. Do widzenia. - Munze otworzył drzwiczki samochodu.
- Mam dla pana list - powiedział Taylor w chwili, gdy Uzbek właśnie zamierzał zatrzaskać drzwi. - Od szejka Hassana.

Munzer opuścił szybę.

- Jakiego szejka?
- Szejka Hassana.
- Od tureckiego szejka Hassana z Rahway w New Jersey? O niego pan chodzi?

Taylor przytaknął. Podał Munzerowi dwuzdaniowy list polecający prze otwarte okno. Uzbek przeczytał go i oddał Alanowi, patrząc na niego przez praszającym wzrokiem.

- Ach! Bardzo mi przykro, mój przyjacielu - powiedział, wysiadając z auta i ściskając dłoń Taylora. - Nie wiedziałem, że pan jest w przyjaźni z szejkiem Hassanem z Rahway w New Jersey. W czym mogę pomóc?
- Chciałbym porozmawiać - powtórzył Taylor.
- O dywanach?
- Nie.
- A zatem o czym, panie... - spojrzał na wizytówkę - ...Goode?
- Czy jest tu gdzieś jakieś spokojne miejsce, gdzie moglibyśmy poga dać?
- Tak. Oczywiście. Turecka restauracja. Bardzo ładna.
- Gdzie?

212

<

I - Przy Ocean Parkway. Zaraz przed aleją J. Wie pan gdzie to jest?

- - Trafie - stwierdził Taylor. - O której?
- - Może od razu?

- Alan wrócił do białej furgonetki Karpetlandu. Kiedy mijał fasadę budyn-
- Korporacji Bractwa Uzbecko-Kazachskiego, przyszło mu na myśl, że przy-■mina staromodny tor do gry w kręgle, taki, na którym kręgle ustawiano łącznie ręcznie. Budowlę z cegły wciśnięto pomiędzy sklep meblowy o nazwie Rubinstein & Cohen a budynek z witryną, w której widniał malowany ■cznie szyld z napisem: „Eretz Realty”. Rzeczywiście, rzadko wznoszono ■eczety w takiej okolicy.

!'

! Odnalazł turecką restaurację przy Ocean Parkway, obok parkingu z dużym znakiem: „Masada - Komis samochodowy, sp. z o.o.”. Restaurację udekorowano oszczędnie i prosto: biała podłoga z linoleum, od razu przy wejściu przeszklona lada z kebabami i zakąskami, które oferowano tego dnia; na ścianach plakaty z Izmiru, Konyi i innych najczęściej odwiedzanych miejsc w Turcji. Prawdę mówiąc, kafejka wyglądała niemal identycznie jak te, które można było odwiedzić w samym Izmirze. Munzer siedział przy stole w głębi sali i palił nargile. Pomachał do Taylora i gestem zaprosił go do swojego stoika.

! - Lubi pan nargile, przyjacielu?

! - Pewnie - odparł Taylor. W takich sytuacjach zawsze chętnie robił to, co sugerowała osoba, z którą przebywał. Jadł baranie jądca w Mogadiszu. tułł qat w Adenie. Wypił butelkę araku w Erzurumie. Teraz przytknął ustnik fajki do warg i zaciągnął się głęboko. Skwierczenie w łulce i słodki aromat łznaczały, że ktoś włożył do środka razem z tytoniem kilka okruchów haszyszu. Alan zaciągnął się raz jeszcze i odsunął ustnik. ! - Dobrze - powiedział. - Skąd pochodzi? Z Afganistanu? ! Munzer uśmiechnął się tylko.

! - Co chciałby pan zjeść?

- To pana restauracja. Proszę coś dla mnie wybrać. Munzer zawołał kelnera i wytrajkotał długą listę potraw. Słuchając go, [Taylor zastanawiał się, jak ma rozegrać tę partię. Nie chciał łamać zwyczajów i omawiać interesów przed posiłkiem, ale z drugiej strony, nie przejechał takiej drogi tylko dla kebabów. Przez chwilę nic nie mówił.

Już dawno nauczył się sztuki werbowania ludzi do wykonania konkretnych zadań. Po pierwsze należało się postarać, aby cel przekroczył pewną granicę. Na samym początku właściwie nie miało znaczenia, jaka to granica, chodziło o przełamanie pierwszej bariery. Jeżeli był to akurat oficer obcej armii, który nie mógł oficjalnie przyjmować Amerykanów w domu, wtedy agent naciskał, aby zaprosił go do siebie; jeżeli mieszkał w kraju, który zaka-

213

zywał przyjmowania pieniędzy od obcokrajowców, dawało mu się bardzo drogi prezent, aby wyszło na to samo. Jeżeli był to emigrant z jednego z państw Azji Środkowej, który nie chciał rozmawiać na jakiś temat, należało znaleźć sposób, aby go do tego nakłonić. Bariera była czysto psychologiczna. W chwili gdy cel ją przekraczał, reszta zależała głównie od czasu i uporu osoby, która go prowadziła.

- Jest pan z Uzbekistanu, prawda? - powiedział Taylor po dłuższej chwili
- Tak - potwierdził Munzer, wyjmując fajkę z ust. - Z Taszkientu.

- Ale wyjechał pan stamtąd już dawno.
- Tak. Bardzo dawno.
- Kiedy? ✓
- Och, jeszcze podczas wojny, w trzydziestym dziewiątym.
- Wrócił pan tam kiedyś?
- Dokąd?
- Do Uzbekistanu.
- Nie mogłem. To zbyt niebezpieczne.

Taylor ponownie ujął ustnik fajki i zaciągnął się kilkakrotnie. Nie chciał aby Uzbek pomyślał, że się spieszy.

- Dlaczego? - spytał w końcu. - Co jest takie niebezpieczne?
- Wiele lat temu robiłem rzeczy, które nie podobały się Rosjanom. Ruc 'wyzwoleńczy. Dlatego, jeśli kiedykolwiek wrócę, ciach. - Przesunął palcer wskazującym po gardle.
- Czym pan tak bardzo rozgniewał Rosjan?

Munzer nie odpowiedział. Z zadowoleniem pykał fajkę, jakby w ogół nie słyszał pytania. Z ustnikiem fajki wystającym z kącika ust jego twarz przj pomiwała krzywego grejpfruta.

Taylor spróbował z innej strony.

- Panie Ahmedow, czy sądzi pan, że Rosjanie będą rządili Taszkier tem?

Munzer spojrzał na niego z zainteresowaniem i odłożył fajkę.

- Może tak. Może nie. Skąd mam wiedzieć?
- Na pewno ma pan jakieś zdanie.

Uzbek pokręcił głową.

- Dlaczego zadaje mi pan te wszystkie pytania na temat Uzbekistanu1;
- Interesuje mnie to.
- Też coś. - Munzer lekceważąco machnął ręką.
- To prawda. Interesuje mnie Uzbekistan. To jedno z moich hobby. Chci łbym dowiedzieć się więcej na temat tego, w jaki sposób pańscy rodacy przj ciwstawiają się Rosjanom.
- To bardzo smutna historia, przyjacielu. Zbyt smutna dla mnie. Poro mawiajmy lepiej o czymś innym, proszę. - Położył dłoń na sercu, jakby ro mowa o ojczyźnie sprawiała mu ból.

Taylor nic nie powiedział. Uznał, że gdyby Munzer Ahmedow naprawdę ał zmienić temat, sam mógł to zrobić, ale Uzbek powrócił do swojej faj-Przez kilka minut żaden z nich się nie odzywał. Kelner przyniósł jedze-, a oni wciąż milczeli. W końcu Munzer przerwał ciszę. Zwrócił się do erykanina i przyjrzał się jego twarzy, ubraniu, dłoniom.

- Pan nie sprzedaje dywanów - powiedział.
- Nie.
- Nie jest pan też prawdziwym przyjacielem szejka Hassana.
- Nie.
- Jest pan z CIA.
- Pracuję dla rządu - odparł Taylor.

Munzer pokręcił głową. Wziął głęboki oddech, jakby przez nagły .po-uch silnego wiatru zabrakło mu tchu.

- Wy nie wróżyce nic dobrego - powiedział. - Proszę, wracaj do Wa-gtonu, przyjacielu. I nie przychodź więcej do Munzera.
- Chciałbym z panem porozmawiać. To ważne.
- Tak. To samo mówili mi trzydzieści lat temu, i co z tego wyszło? Nic. jestem mądrzejszy.
- Przejechałem kawał drogi, żeby się z panem spotkać, panie Ahme-w. Jak już mówiłem, chodzi o bardzo ważną sprawę. Musi mi pan uwie-ć. Popęni pan wielki błąd, odsyłając mnie. Nie tylko pan za to zapłaci, ~e pana lud.
- Tak. Pewnie. To też już wcześniej słyszałem. Po co znowu wracacie achodzicie Munzera po tylu latach?
- Ponieważ potrzebujemy pana pomocy.
- W czym?
- Chcemy, aby pracował pan dla swojego ludu.
- Phi!
- Mówię prawdę. Chodzi o poważną sprawę. To nie to samo co kiedyś, iele się zmieniło w Waszyngtonie.
- Co się zmieniło? Co teraz robicie dla Uzbeków?
- Chodźmy w jakieś odosobnione miejsce, gdzie będziemy mogli o tym rozmawiać. Nie tutaj.
- Teraz zjemy - powiedział Munzer. - Zastanowię się.

Jedli w milczeniu. Uzbek powoli przeżuwał każdy kęs, jakby razem z nim zgryzał smutną historię swojego narodu. Wzrok utkwiał w niewidzialnym lunkcie w oddali, gdzieś poza parkingiem komisum samochodowego. Na Tay-ora spojrzął dopiero, gdy skończył jeść i rozmyślać.

- Zapraszam do mojego domu - powiedział w końcu. - Tam porozmawiamy.
- Kiedy?
- Dziś. O szóstej. ¿T'

215

- Gdzie pan mieszka?
- Sześćdziesiąta Ósma ulica, numer domu dwadzieścia jeden trzydzieści osiem, Brooklyn. Pomiędzy Dwudziestą Pierwszą aleją a Bay Parkway. -Wyjął długopis i równym, pochyłym pmem, którego uczono go dawno temu w rosyjskiej szkole w Taszkencie, zanotował adres na serwetce.
- Dziękuję panu - powiedział Taylor, ściskając dłoń Uzbeka. - Ciesz się, że zechciał pan umówić się ze mną.
- Spotkam się z panem, ale nic więcej. Dziś wyjaśnię historię mojego narodu i sam pan zrozumie, dlaczego nie chcę pracować z wami... z CIA. już nigdy więcej. - Skinął głową, uśmiechnął się uprzejmie i zaczekał, a

Taylor wyjdzie. Potem usiadł i ponownie zapalił nargile.

>

« / .

25

Munzer mieszkał w jednym z domów stojących w równym rzędzie i skraju Bensonhurst. Front obłożono nowym, aluminiowym sidingiem a na podjeździe stał cadillac rocznik siedemdziesiąt pięć. Taylor zauważył; równo skoszony trawnik i perkalowe zasłony w oknach. Według niego wyglądał tak samo jak wiele innych w okolicy, zamieszkaną przez średnio zamożnych imigrantów.

Mimo niechęci i goryczy wobec rządu Stanów Zjednoczonych, Munz Ahmedow pod wieloma względami odniósł w Ameryce sukces. Codziennie rano jeździł do pracy w Queens swoim prawie nowym cadillakiem. Pracował w niewielkim sklepie w Astorii, gdzie sprzedawał sprzęt elektroniczny. Otworzył go sklepiki innych imigrantów, którzy, podobnie jak on, wybrali amerykańsko brzmiące nazwy. „Delta Fashion”, „Sklep jubilerski Clovera”. Mu zer nazwał swoją firmę „Przedsiębiorstwo Handlowe Utopia”.

Uzbek założył interes na początku lat sześćdziesiątych, gdy jego ser przepełniały ból i poczucie zdrady. Jego specjalnością stały się małe, z nie tanie przedmioty - baterie, filmy, nieduże odtwarzacze stereo i odbiorniki telewizyjne - rzeczy, które mogły zaginąć w przepastnym ładowni frachtowca albo spaść z ciężarówki podczas transportu. Sam Munzer był bardzo uczciwy, ale nie zadawał zbędnych pytań.

Rozwinął swój interes sporych rozmiarów, kupując po najniższych cenach, jakie udało mu !
wytargować i naliczając sobie najwyższą marżę, jaką mógł. Taka była An ryka.

Z czasem stał się filarem uzbecko-ormiańskiej społeczności. Już daw temu zyskał amerykańskie
obywatelstwo. Czytał książki o Jeffersonie i L

216

ie, które jego dzieci przynosiły ze szkoły do domu. Wysłał swoich trzech ów do college'u, a dwóch
jeszcze potem na studia. Co piątek chodził do zetu, a raz w tygodniu dawał mulle kopertę pełną
pieniędzy na szczytne . Poznał najważniejszy sekret amerykańskiej klasy średniej: trzymaj ją-za
zębami, trzymaj się z dala od kłopotów, rany lecz w samotności. Przez wie dwadzieścia lat - to znaczy
aż do tego właśnie dnia - owa strategia wdziała się znakomicie.

Taylor zadzwonił do drzwi i Munzer natychmiast mu otworzył. Nie uści-dłoni gościa, nie przywitał go,
nie powiedział ani słowa. W milczeniu rowadził go do piwnicy, zamykając za sobą drzwi. W
pomieszczeniu unosił lekki zapach pleśni, niczym w starej bibliotece. Półki z książkami stały dłuź
dwóch ścian. Zapetniały je tomy dzieł tureckich, uzbeckich, rosyj-ch, niemieckich i angielskich. W
słabym świetle, w odległym krańcu piw-y Taylor dostrzegł coś, co wyglądało jak mały ołtarz. Był to
duży, opra-ony w ramy portret mężczyzny o orientalnej urodzie, z cienkimi wąsami, ranego w płaszcz.
Wąskie mongolskie oczy i wysokie kości policzkowe mylnie wskazywały na mieszkańca Azji
Środkowej. Po każdej stronie rtretu stała zapalona świeca. Taylor podszedł bliżej, aby lepiej przyjrzeć
mężczyźnie.

- Kto to? - spytał.

- Przywódca naszego ruchu, Mustafa Chokay. Wielki człowiek. Zapra-am tutaj. Proszę usiąść, a
opowiem panu o nim i o wielu innych rzeczach, ego się pan napije? Herbaty? Kawy? Może piwa?

- Kawy.

Mustafa krzyknął coś gardłowym głosem. Chwilę później po schodach ze-przysadziła kobieta, niosąc
dzbanek z turecką kawą i dwie filiżanki. To wnie pani Ahmedow, pomyślał Taylor. Munzer nie
przedstawił jej. Z wpra-nałała gęstą kawę do małych naczynek i wróciła na górę.

- Za Turkiestan - powiedział Taylor, podnosząc swoją filiżankę. Oczy unzera zwiężyły się. Nic nie
powiedział. Wziął swoją czarękę, upił trochę

ęstej, czarnej piany, po czym wskazał na oświetloną migoczącymi świecami arz na portrecie.

- Mustafa Chokay był przywódcą wszystkich narodów Turkiestanu. Uz-ków. Kazachów.
Tatarów. Wszystkich narodów. Jeżeli zrozumie pan histo-

ię Mustafy Chokaya, zrozumie pan wszystko.

- Bardzo chciałbym zrozumieć.

- No to proszę słuchać. Zapali pan?

- Tak.

Munzer raz jeszcze krzyknął coś do kobiety na górze, która po chwili Jowróciła z całym kartonem marlboro. W uzbeckim domu nie wystarczała edna paczka; gościnność nakazywała inaczej. Munzer wyjął kilka paczek wcisnął je Taylorowi do ręki.**'

217

- Dziękuję - powiedział Amerykanin, zapalając jednego.

- A więc Mustafa Chokay był Kazachem, pochodził z bardzo szlachetnego rodu należącego do Hordy Średniej. Zna pan Kazachów? Mają Więk szą Hordę, Średnią Hordę i Mniejszą Hordę. Chokay był z Orta Zhuz, Śrec niej Hordy. Rozumie pan? W tysiąc dziewięćset szóstym roku, kiedy był jes2 cze młodym, szesnastoletnim chłopcem, Chokay przeczytał słynny poem< Mir-Jakuba Dulatowa „Obudź się, Kazachstanie”. Mówił on prawdę nie ty ko o Kazachach, ale i o wszystkich ludach Turkiestanu. Zna pan ten wiersz

- Nie - odparł Taylor.

- Mam tłumaczenie na angielski. Proszę przeczytać. - Munzer wycii gnął jeden z tomów stojących na półkach i podał go Taylorowi, który prz< czytał poemat na głos:

Co roku nasze ziemie i wody kurczą się. Zabierają je rosyjscy wieśniacy Groby naszych wspaniałych przodków są teraz pośrodku ulic w ich wioskach Rosyjscy wieśniacy niszczą, zabierają kamienie i drzewo do domów. Kiei

0 tym myślę, me serce pożera smutek, palący niczym ogień.

- To bardzo smutny wiersz - powiedział, gdy skończył czytać.

- Ach! - Munzer położył dłoń na sercu. - Tak, smutny. I kiedy Chokay usłyszał go, tak jak wszyscy ludzie Turkiestanu zapragnął wolność

1 niezależności. Miał nadzieję, że może jacyś dobrzy Rosjanie pomogą 1 dziom Turkiestanu stać się narodem oświeconym. Poszedł więc do rosyjskiego gimnazjum w Taszkencie i do Rektorki, na wydział prawa w Ftersburgu, żeby stać się takim jak Rosjanie. Potem wstąpił do rosyjskiej Dumy i był tam sekretarzem do spraw Turkiestanu aż do wybuchu rewolucji w tysiąc dziewięćset siedemnastym. To była pierwsza wielka tragedia ludów Turkiestanu, bo Chokay i inni wierzyli Rosjanom, gdy ci obiecywali im pomoc. Kiereński obiecał w tysiąc dziewięćset szesnastym, podczas wielkiego powstania w Turkiestanie, że wprowadzi reformy. Ale kiedy w tym siedemnastym roku doszedł do władzy, co zrobił dla naszych ludzi. I wtedy Chokay zwrócił się do muzułmanów i Turków. Założył gaz „Ulug Turkestan”, Wielki Turkiestan - i jeszcze inną, którą zatytułował „Birlik Tuuy” - Jedność.

- „Chorągiew Jedności” - poprawił Taylor.

- O Allahu! Pan mówi po turecku?

Taylor skinął głową.

- W takim razie zna pan też historię Mustafy Chokaya.

- Nie. Nie znałem jej aż do teraz. Proszę mówić dalej.

- Dobrze. W październiku siedemnastego roku wybuchła rewolucja i deszła druga tragedia ludzi Turkiestanu. Bolszewicy ustanowili Radę I misarzy Ludności Turkiestańskiej w Taszkencie, ale wszystkich piętra

i

218

nisarzy było Rosjanami! Żadnego muzułmanina. Jak to się mogło stać? i wtedy, tego pamiętnego dnia - dwudziestego drugiego listopada tysiąc ewięćset siedemnastego roku - muzułmanie spotkali się w Kokandzie, Uzbekistanie, na kongresie ludów muzułmańskich z całego Turkiestanu. vorzyli tam rząd wolnego i niepodległego narodu turkiestańskiego. Mufa Chokay został wybrany na prezydenta!

Ale wkrótce ten wspaniały sen się skończył. Wolny Turkiestan przetrwał ko dwa miesiące. Bolszewicy wysłali Armię Czerwoną i ormiańską mili-do Kokandy w lutym tysiąc dziewięćset osiemnastego, aby nas zniszczyć, rkiestański naród nie miał wojska. Bolszewicy i Ormianie urządzili rzeź Izułmanów i palili miasto przez trzy dni. Połowa ludności Kokandy zginę-w masakrze. Ludzie zastanawiają się, dlaczego my tak bardzo nienawidzi-Y Ormian. Mówią: co oni wam takiego zrobili, że nienawidzicie ich tak rdzo? Teraz już pan wie. Na szczęście Mustafa Chokay - Bogu dzięki! -iknął śmierci i zbiegł do Tbilisi w wolnej Gruzji. A kiedy Armia Czerwo-najechała na wolną republikę Gruzji w dwudziestym roku, Mustafa uciekł i Turcji, aby nadal walczyć. W Stambule założył nowe pismo, „Jeni Turki-in” - Nowy Turkiestan. A potem przeniósł się do Europy i w tysiąc dzie-ięćset dwudziestym dziewiątym roku zaczął wydawać magazyn „Yash Tur-stan”.

- Młody Turkiestan - przetłumaczył Taylor.

- Tak, bardzo dobrze. Może teraz uczą ludzi z CIA lepiej mówić po tu-cku.

- Może.

- Tak więc Mustafa Chokay żył na wygnaniu, a w Turkiestanie jego dzie umierali. W latach trzydziestych zginęło ponad milion Kazachów, yszał pan? To prawie połowa narodu Kazachstanu! Zabijano wszystkich, ażdego pisarza, nauczyciela, wszystkich szlachetnie urodzonych, wszyst-ch przywódców. Nikt nie pozostał. Biedny Mustafa Chokay! Serce mu -wawiło, ale nic nie mógł zrobić. Najpierw Brytyjczycy powiedzieli, że smogą walczyć z komunistami. W latach dwudziestych wysyłali nam broń Kaszgaru w Sinciang-Ujgur, żeby pomóc muzułmańskim rebeliantom alczyć z Armią Czerwoną. Ale Brytyjczycy zdradzili lud Turkiestanu. Za-rarli umowę z Rosjanami, że przestaną pomagać wojownikom turkiestań-rim, jeżeli Rosjanie przestaną podjudzać rewolucjonistów w Indiach. Niezła mowa dla nich, ale nie dla moich drogich turkiestańskich braci. I to była zecia zdrada.

- Zdradzili Brytyjczycy.

- Tak, i nigdy nie zapomnimy tego, jak wsadzili nam nóż w plecy. Po-:m jednak wreszcie ktoś dał Mustafie szansę dokonania czegoś, co przerwałby gwałt na narodzie Turkiestanu, a on z tej szansy skorzystał. I to była zwarta tragedia.

219

- Kto to był?

- Niemcy. Kiedy rozpoczęła się wojna, Niemcy aresztowali Mustafę Chokaya w Paryżu i przewieźli go do Berlina. Na początku nazisci nazywali na „azjatyckimi Żydami”, ponieważ wszyscy turkiestańscy muzułmanie byli oł rzezani. Ale po rozmowie z Mustafą zdecydowali, że może azjatyccy Żydj wcale nie są tacy źli. Uznali, że możemy im pomóc w znalezieniu tylneg wejścia do Moskwy. W Kaukazie i w Azji Środkowej zorganizowali komitf ty narodowe i legiony, po jednym w każdym regionie. Był legion gruzińsk legion ormiański, legion azerski, legion dagestański, tatarsko-baszkirski, ka mucki.

Utworzono także legion turkiestański, a Mustafa Chokay został przewo niczącym Narodowego Komitetu Turkiestanu. Mówiono nam, że kiedy Nien cy zwyciężą turkiestański naród będzie wolny!

Ale Mustafa Chokay umarł w grudniu czterdziestego pierwszego rok i nigdy nie dożył klęski tej wojny. Nowym przywódcą Narodowego Komit tu Turkiestanu został przyjaciel i zastępca Mustafy Chokay. Niestety, post wiliśmy na złą kartę. Niemcy nigdy nie dotarli do Moskwy, a Stalin zniszcz miliony muzułmanów. Nazwał nas zdrajcami, ponieważ pomagaliśmy Nier com. Wszystkich Tatarów z Krymu zesłał w ciągu jednej nocy. Wszystki< z Republiki Czeczeńsko-Inguskiej. Wszystkich z Kałmuckiej. Wszystkie zabito.

- A pan? - spytał Taylor. - Gdzie pan był, kiedy to wszystko się dział

- Walczyłem o wolność ludu Turkiestanu.

- Razem z niemiecką armią?

- Tak - powiedział Munzer cicho. - W legionie turkiestańskim. Nie 1 bię o tym rozmawiać z Amerykanami, bo wy tego nie rozumiecie. Może p rozumie?

- Tak. Oczywiście, że rozumiem.

- To dobrze! Po wojnie nasz naród był zrujnowany. Nasz wspaniały pn wódca Mustafa Chokay nie żył. Nie mieliśmy nic. A zwłaszcza Munzer r miał nic. Żyłem w obozie deportowanych w Niemczech, w sektorze bryt skim. Pewnego dnia, w czterdziestym siódmym roku, jakiś Brytyjczyk pn szedł się ze mną zobaczyć. Był bardzo miły: „Jak się pan miewa, panie Mi zer. Miło spotkać takiego dżentelmena jak pan, panie Munzer”. Powiedzi że Brytyjczycy są gotowi pomóc mi walczyć o wolny i niezależny Turk stan, jeżeli pojedę do Anglii i zacznę z nim pracować.

- I co pan na to?

- Oczywiście odmówiłem. Brytyjczycy już raz nas zdradzili. Najpie pomagali wojownikom Turkiestanu, a potem zawarli umowę ze Stalinem, i ich zniszczyć. Po co mieliśmy to przeżywać raz jeszcze? Dlatego odmó'łem. Grzecznie podziękowałem panu Brytyjczykowi i powiedziałem, że ma dość ich sztuczek.

220

I

- Kto to był?

- Niemcy. Kiedy rozpoczęła się wojna, Niemcy aresztowali Mustafę Chokaya w Paryżu i przewieźli go do Berlina. Na początku nazisci nazywali nas „azjatyckimi Żydami”, ponieważ wszyscy turkiestańscy muzułmanie byli o rzezani. Ale po rozmowie z Mustafą zdecydowali, że może azjatyccy Żyd wcale nie są tacy źli. Uznali, że możemy im pomóc w znalezieniu tylnej wejścia do Moskwy. W Kaukazie i w Azji Środkowej zorganizowali komitety narodowe i legiony, po jednym w każdym regionie. Był legion gruziński, legion ormiański, legion azerski, legion dagestański, tatarsko-baszkirski, kirgizski.

Utworzono także legion turkiestański, a Mustafa Chokay został przewodniczącym Narodowego Komitetu Turkiestanu. Mówiono nam, że kiedy Nieci zwyciężą, turkiestański naród będzie wolny!

Ale Mustafa Chokay umarł w grudniu czterdziestego pierwszego roku i nigdy nie dożył klęski tej wojny. Nowym przywódcą Narodowego Komitetu Turkiestanu został przyjaciel i zastępca Mustafy Chokay. Niestety, posiliśmy na złą kartę. Niemcy nigdy nie dotarli do Moskwy, a Stalin zniszczył miliony muzułmanów. Nazwał nas zdrajcami, ponieważ pomagaliśmy Nieciom. Wszystkich Tatarów z Krymu zesłał w ciągu jednej nocy. Wszystkich z Republiki Czeczeńsko-Inguskiej. Wszystkich z Kałmuckiej. Wszystkich zabito.

- A pan? - spytał Taylor. - Gdzie pan był, kiedy to wszystko się działo?

- Walczyłem o wolność ludu Turkiestanu.

- Razem z niemiecką armią?

- Tak - powiedział Munzer cicho. - W legionie turkiestańskim. Nie będę o tym rozmawiać z Amerykanami, bo wy tego nie rozumiecie. Może pan rozumie?

- Tak. Oczywiście, że rozumiem.

- To dobrze! Po wojnie nasz naród był zrujnowany. Nasz wspaniały przywódca Mustafa Chokay nie żył. Nie mieliśmy nic. A zwłaszcza Munzer i miał nic. Żyłem w obozie deportowanych w Niemczech, w sektorze brytyjskim. Pewnego dnia, w czterdziestym siódmym roku, jakiś Brytyjczyk przeszedł się ze mną zobaczyć. Był bardzo miły: „Jak się pan miewa, panie Munzer. Miło spotkać takiego dżentelmena jak pan, panie Munzer”. Powiedz; że Brytyjczycy są gotowi pomóc mi walczyć o wolny i niezależny Turkistan, jeżeli pojedę do Anglii i zacznę z nim pracować.

- I co pan na to?

- Oczywiście odmówiłem. Brytyjczycy już raz nas zdradzili. Najpierw pomagali wojownikom Turkiestanu, a potem zawarli umowę ze Stalinem, a ich zniszczyć. Po co mieliśmy to przeżywać raz jeszcze? Dlatego odmówiłem. Grzecznie podziękowałem panu Brytyjczykowi i powiedziałem, że mam dość ich sztuczek.

220

Teraz najgorsza część mojej historii. Najsmutniejsza dla mnie, ponieważ idzie o Amerykę. W tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym roku wciąż jeszcze jestem w Niemczech i zastanawiałem się nad tym, co powinienem zrobić. I w końcu odwiedził mnie pewien Amerykanin. Bardzo miły. Szczery. Porządny. Ładne ubranie. Trochę tak jak pan. I on mi powiedział, że Amerykanie chcą pomóc ludowi Turkiestanu

walczyć o wolność. Pomyślałem, że to (rt piękne, aby mogło być prawdziwe. Thomas Jefferson. Statua Wolności, Ipire State Building! Ten wspaniały kraj chciał pomóc małemu Turkiesta-ivi? Jak to możliwe? Ale on mi na to, że właśnie tak, że Ameryka bardzo ważne o tym myśli. Powołali komitet walki z bolszewizmem, utworzyli itrum wyzwolenia republik radzieckich. Amerykanie bardzo poważnie ichodzili do sprawy.

- Ale to nie była prawda.

- Nie, proszę pana. Owszem, na początku traktowali nas poważnie. Nadali w radiu audycje uzbeckie, tatarsko-baszkirskie i czeczeńsko-inguskie perskie. Robili też inne rzeczy. Tajne operacje.

- Jakie tajne operacje?

- Szkolili agentów. Wyszukiwali ludzi w obozach deportowanych Niemczech. Tych, którzy walczyli w legionie Turkiestanu albo w armii asowa i którzy pragnęli wyzwolenia swoich ludów spod władzy Stalina, zkolili ich. A ja im pomagałem.

- Na czym polegała pana praca?

- To tajemnica.

- W porządku. Mnie może pan powiedzieć.

- Pomagałem im w obozach. Wyszukiwałem ludzi z Turkiestanu, któ-mogli być dobrymi agentami.

- A potem?

- Wysyłali tych ludzi do Związku Radzieckiego. CIA i Brytyjczycy wy-ali ich przez granicę afgańskądo Uzbekistanu i Kazachstanu, przez grani-irańską do Azerbejdżanu i przez granicę z Turcją do Gruzji. A na północy syłali broń Leśnym Braciom na Litwie i ludziom Stepana Bandery na Ukra-

Latali małymi samolotami, których nie wyłapywały radary. Zrzucali agen-v i dostarczali potrzebne materiały. Ale sam pan wie, co było dalej. Wie i, jak to się skończyło. Taylor skinął głową.

- Tak. Znam tę historię.

- Wszyscy agenci nie żyją. Aresztowano ich, jak tylko stanęli na ziemi

0 w kilka dni po lądowaniu wyłapywano ich w lesie jak zwierzęta. Było, że sami się poddawali i przyznawali do wszystkiego KGB, tak bar-) się bali. Wszyscy nie żyją. Ci z CIA mówili, że im bardzo przykro, rdzo przykro. Wciąż wysyłali kolejnych ludzi, a ci ludzie ginęli. Sam

1 wie, jak było.

221

- Tak. Wiem.

- Okazało się, że Rosjanie o wszystkim wiedzieli. Mieli swoich szpi gów w obozach deportacyjnych. Mieli szpiegów w organizacji generała Ge lena. Mieli szpiegów w wywiadzie biytyjskim. Pewnie nawet mieli szpiegów w CIA.
- Może i tak.
- Prawdę mówiąc, panie... Przepraszam, zapomniałem, jak pan się żywa.
- Goode.
- Prawdę mówiąc, panie Goode, nie to złamało serce Munzera, nie że wszyscy agenci zginęli. Nawet CIA popełnia błędy, ale to, że Amery zdradziła naród Turkiestanu, to zupełnie inna rzecz.
- A o co chodziło, panie Ahmedow?
- CIA mówiła, że popiera wspaniałą walkę turkiestańskich ludów o w ność i niezależność. Wierzyliśmy w to. Munzer w to wierzył. Statua Wo ści. Thomas Jefferson. A to wszystko było wielkim kłamstwem. Ameryk chcieli tylko, żeby Ruscy rządili w Azji Środkowej już zawsze. Różn polegała tylko na tym, że chcieliście, aby to wasi Ruscy kierowali p wieniem w Taszkencie, a nie komuniści.
- Proszę to wytłumaczyć. Nie bardzo pana rozumiem.
- Pewnie. Wytłumaczę. W pięćdziesiątym drugim roku byłem w szynktonie. CIA powiedziała mi, żebym w Głosie Ameryki przedstawił dycję poświęconąKiereńskiemu. Odmówiłem. Kiereński, ha! On złamał ob nicę daną naszemu przywódcy, Mustafie Chokayowi, w siedemnastym Powiedział, że nam pomoże, ale kiedy doszedł do władzy, zapomniał o Powiedziałem im, że teraz my zapomnimy o Kiereńskim. Lepiej mówić dziach z Turkiestanu. O Mustafie Chokayu, o masakrze w Kokandzie, o ności i niezależności. Ałe oni odmówili. Powiedzieli, że im przykro, ale będzie żadnych rozmów o niepodległości narodów radzieckich. Poza lu bałtyckimi. Tylko o nich można było mówić. Nawet Ukraińcy nie mogli wić o niepodległości. Nam, Uzbekom, nie pozwolili nawet używania nych uzbeckich nazw na antenie radia. Myśleli, że Rosjanie mogą się zd wować. A potem mówili: „Przepraszamy, przykro nam, popełniliśmy błąd”, i w ogóle zdjęli audycję uzbecką. I to był koniec.
- Przykro mi - powiedział Taylor.
- Przykro panu? Oni, ci Amerykanie, złamali mi serce. Złamali mi ce. Może teraz pan rozumie, panie Goode, dlaczego odmówiłem panu w tej tureckiej restauracji. Cały świat zdradził naród Turkiestanu. Pięć nie. Munzer ma już dość. Nie ufam nikomu. Pozostały tylko ły.

Uzbek objął dłońmi głowę. Taylor długo nic nie mówił. Patrzył n mienie świec migające przy twarzy Mustafy Chokaya; równo przycięte osobliwy zachodni płaszcz i krawat; wąskie oczy z oczekiwaniem wpa

222

się w obiektyw aparatu. Taylor wstał z krzesła, podszedł do portretu imuchnął świece. Miał wrażenie, jakby w ten sposób zapewnił turkiestań-emu patriotcie godny pochówek.

- Dziękuję, przyjacielu - powiedział Munzer, spoglądając na niego. Miał :zerwienione oczy. Taylor wrócił na swoje miejsce i przez chwilę milczał, itanawiając się, jak powinien postąpić.

- Co moglibyśmy zrobić, aby przywrócić wam szybko nadzieję? - spy-w końcu.
- Nic. Przykro mi, przyjacielu, ale taka jest prawda. Nadzieja się wy-:rpała.
- Ale lata pięćdziesiąte minęły dawno temu. Wiele się zmieniło. My się ieniliśmy. Jak mamy was o tym przekonać?
- Nie ma sposobu. Już przecież mówiłem.
- A gdybyśmy zrobili coś bardzo szczególnego, by pokazać, że traktuj e-r sprawę poważnie, panie Ahmedow? Coś, co dowiodłoby jak bardzo zmie-y się czasy.
- Nie możecie. To niemożliwe. Proszę nie grać ze mną w żadne gierki. ;tem za stary i za mądry, przyjacielu.

Taylor zapalił papierosa. W myślach powtarzał sobie, że musi stąpać bar-3 ostrożnie, ponieważ właśnie teraz nadszedł najważniejszy moment. Nie-iściwa sugestia i Munzera mógł uznać za straconego. Gdyby strzał okazał celny, Uzbek mógłby postawić stopę za linią graniczną którą wyznaczył >ie dwadzieścia pięć lat wcześniej.

- Panie Ahmedow - zaczął powoli - wcześniej poprosił pan, abym przestał ten wiersz. - Taylor podszedł do półki i wziął książkę. - Wiersz z tego nu, zatytułowany „Obudź się, Kazachu”.
- Tak. Napisany przez Mira-Jakuba Dulatowa, jednego z naszych wspa-Jych turkiestańskich patriotów. O co panu chodzi? Chce pan zabrać tę książ-? Proszę bardzo, może ją pan zatrzymać. Kupię sobie drugą.
- Proszę mnie posłuchać, panie Ahmedow. Co by pan powiedział na to, yby wiersz ten odczytano w tureckiej sekcji Radia Wolność, i jeszcze w ka-;hskiej, uzbeckiej, tadżyckiej, tak aby mogła go usłyszeć cała Azja Środ-wa? Czy wtedy zmieniłby pan zdanie?
- To zakazane.
- Kto tak powiedział?
- Znam zasady. To niedozwolone. Wiersz jest antyradziecki, a w amery-ńskiej rozgłośni nie można nadawać antyradzieckich wierszy. Wszystko lno, czy to Głos Ameryki, czy Radio Wolność. Mówię panu, takie są zasa-. W tym tkwi problem. Czy pan tego nie rozumie? Właśnie dlatego się ddałem.
- A jeśli te zasady już nie obowiązują?
- Ach! Proszę pana, zasady to zasady.

223

- Przecież to my ustalamy zasady dla rozgłośni, panie Ahmedow. I jef postanowimy je zmienić, zostaną zmienione. Mówię panu, reguły gry już s zmieniają. Próbowałem to panu powiedzieć przez cały dzień, ale pan tak b dzo uzał się nad sobą, że w ogóle mnie pan nie słyszał.

Munzer spojrział na Taylora niepewnie, z maleńką iskierką zaintereso nia w oku.

- No dobrze, powiedzmy, że mówi pan prawdę i zasady rzeczywi' się zmieniły. Jaki Munzer ma na to dowód?

- Proszę tylko słuchać radia. Albo poprosić kogoś, aby słuchał.

- Kiedy?

Taylor zawahał się przez moment. Zastanawiał się, czy może polegać Edwardzie Stone'ie i jego tajemniczym bezimiennym przyjacielu i Mo chium, a potem błyskawicznie podjął decyzję - a co, do diabła - i skoczył głęboką wodę.

- Obiecuję coś panu, panie Ahmedow. Proszę mnie słuchać bardzo nie. W następnym tygodniu w tureckiej rozgłośni przeczytają ten wiersz M ' -Jakuba Dulatowa „Obudź się, Kazachu". Niech pan każe swoim ludzi słuchać, a kiedy usłyszysz go pan na antenie, tak jak panu obiecałem, prosz mnie zadzwonić i wtedy wrócimy do rozmowy. Dobrze?

Taylor wręczył Munzerowi wizytówkę Karpelandu z numerem telefoni biura w Rockville.

- To chyba sprawiedliwy układ?

Nie dał Uzbekowi czasu do namysłu. Wyciągnął rękę i uściśnił m dłoń Munzera. Teraz umowa została przypieczętowana.

- A przy naszym następnym spotkaniu, panie Ahmedow, opowiem p jak przygotujemy prawdziwe uderzenie - pan i ja - aby Turkiestan w ko odzyskał wolność i niezależność. Zgoda?

Munzer nie odpowiedział. Wyglądał na zdezorientowanego. Pilnował ich spraw, żył anonimowo i całkiem szczęśliwie, i nagle pojawił się ten mężczyzna namawiając go, by znowu chwycił za broń.

- Zgoda? - powtórzył Taylor.

- Tak. Dobrze - przytaknął Munzer.

- Myślę, że uda nam się pozyskać tego twojego Munzera - powi Taylor Stone'owi, gdy wrócił do Waszyngtonu następnego dnia. Spo się na krótko na parkingu apteki przy Alei Wisconsin, niedaleko domu ne'a w Georgetown. Furgonetka Karpelandu stała kilkanaście metrów nich. Taylor przyjechał prosto z Nowego Jorku i od razu zadzwonił d ne'a.

- Świetna robota - stwierdził Stone, ściskając dłoń Alana. - Z te pamiętam, to niełatwy orzech do zgryzienia.

224

- Jest jak większość emigrantów. W kółko nawija o swoim starym kra-Poza tym całkiem miły z niego facet.

- W takim razie w czym ja ci mogę pomóc w to sobotnie popołudnie, ire zamierzałem spędzić na korcie tenisowym?

- Przepraszam, że ci w ogóle zawracam głowę, ale żeby załatwić do końca awę z Ahmedowem, muszę natychmiast prosić cię o przysługę.

- O co chodzi?
- Chciałbym, żeby coś poszło na antenę tureckiej rozgłośni Radia Wolność, spominałeś, że masz przyjaciela w Monachium, który w przeszłości pomagał Duszczać różne kawałki, więc pomyślałem, że mógłbyś go o to poprosić.
- To się da zrobić. Co masz do nadania?
- Wiersz. Patriotyczny utwór pod tytułem „Obudź się, Kazachu”. Mam aj tekst. - Podał Stone'owi książkę, którą zabrał z domu Munzera.
- Nie powinienem mieć z tym żadnych problemów.
- Ten wiersz znajduje się na liście największych życiowych przebojów imedowa. Ponieważ jest antyradziecki, Ahmedow uważa, że nadanie go ;t niemożliwe. Mówiłem mu, że możemy zmienić obowiązujące zasady, imyślałem, że na to powinien pójść, więc jeżeli plan się nie powiedzie, ęę. Będę musiał poszukać kogoś innego.
- Nic się nie martw. Tak jak mówiłem, nie powinienem mieć z tym żad-ch problemów. Nikt tych rzeczy nie sprawdza wnikliwie. A nawet jeżeli to bią, zawsze jest sposób na zatarcie śladów. Jak szybko ma ten wiersz poja-ić się na antenie?
- Najlepiej od razu. Powiedziałem Munzerowi, że pójdzie w ciągu na-jpnego tygodnia.
- W takim razie może w ten wtorek? Za trzy dni.
- Możesz to zrobić tak szybko?
- Czemu nie.
- To świetnie - powiedział Taylor. - Naprawdę świetnie.
- Coś jeszcze? - Stone spojrział na zegarek. - Chciałbym zdążyć na mój ecz tenisa.
- Nie. To już wszystko - odparł Taylor.

\nna zadzwoniła do Franka Hoffmana od razu po przylocie do Aten. Użyła pseudonimu, z którego korzystał jeszcze podczas pracy w agencji - Oscar i. Fabiolo. To był pomysł Stone'a. Uznał, że to pomoże im przełamać pierw-

-Siro

225

sze lody. Na szczęście Hoffman akurat był w domu, a nie w jednej ze swoic licznych podróży do klientów z Arabii Saudyjskiej, Kuwejt u czy Abu Dhab albo w rezydencjach, jakie ci ludzie posiadali w znacznie przyjemniej szyc zakątkach ziemi, takich jak Monte Carlo, Genewa, Paryż lub Londyn. Pec chciał, że Hoffman był akurat w fatalnym humorze.

- Czy mogłabym rozmawiać z panem Oscarem D. Fabiolo? - poprosi Anna.
- Nie — odburknął. - On nie żyje.

- Pan Fabiolo? - nie dawała za wygraną dziewczyna.
- Kto mówi?
- Przyjaciółka dawnego przyjaciela.
- Bzdura. Ja już nie mam żadnych dawnych przyjaciół. Mam tylko s mych nowych. Kto mówi?
- Lucy.
- Nie znam żadnej Lucy.
- To wspaniale - powiedziała Anna. - W takim razie jestem pana nov przyjaciółką.
- Widzę, że bardzo zależy ci na rozmowie ze mną.
- Tak. Rzeczywiście. Przejechałam szmat drogi, żeby się z panem sp tkać.
- Jesteś ładna?

Anna przez moment zastanawiała się, jak powinna odpowiedzieć.

- Niezła - powiedziała w końcu.
- O, kurczę - burknął Hoffman. - Skoro tak, to możesz wpaść, złocika. Mam widok za milion dolarów i nikogo, z kim mógłbym go podziwiać Hoffman szybko się wściekał, ale jego wybuchy nigdy nie trwały zbyt dłużej „Złociutka” odparła, że już do niego jedzie.

Frank Hoffman znał się na ochronie. Jak tylko zaczął się ten cały zan z ropą naftową na początku lat siedemdziesiątych, wiedział, że świeżo wzięci gaceni książęta z pustyni będą potrzebowali kogoś, kto pomoże im pozostawić przy życiu i zachować niezbyt uczciwie zdobyty majątek. Dlatego w tys: dziewięćset siedemdziesiątym drugim roku Frank odszedł z agencji i założył firmę ochroniarską.

Najpierw zamierzał ją nazwać AA Arabsko-Amerykańscy Konsulci do spraw Bezpieczeństwa, aby tym sposobem znaleźć się na pierwszym miejscu w książce telefonicznej w Rijadzie, ale nie wiedział, że w Rijadzie nie ma jeszcze książki telefonicznej, a nawet gdyby ją miał, to przecież nie wydałby jej w języku angielskim. Teraz Hoffman był już tak bogaty, że nie do niego dzwonił do niego lub do firmy. Mieszkał w przestronnym apartamencie w dzielnicy Kolonaki w Atenach, u stóp Lykabettos. Jego o wychodziły na Akropol, dzięki czemu Frank miał, jak lubił się chwalić, dok za milion dolarów.

226

Być może przez ten podziw dla swojego otoczenia, w ostatnich latach Hoffman coraz bardziej zaczął przypominać greckiego krezusa. Był niemiłym, krępy męczyzną - mówiąc bez ogródek, grubasem - ale zupełnie stał się tym przejmować. Miał fryzurę za pięćdziesiąt dolarów, nosił je od Gucciego i rozpięte pod szyją, jedwabne koszule. Na szyi wieszał grubą złotą obróżę w kształcie litery „O”. Z dawnych lat zachował je - e zwyczaj noszenia przy sobie krótkiej broni; w tym celu musiał przekupić odpowiedniego oficjale z greckiego Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, zdobyć konieczne pozwolenie.

Anna zadzwoniła do drzwi mieszkania Hoffmana zupełnie nie wiedząc, go może się spodziewać. Stone powiedział jej, że Frank to ekscentryk i że gencji odszedł obrażony, kiedy uznał, że jeden z byłych dyrektorów - i po-dnio także Stone - za bardzo się wtrącają w sprawę pewnego palestyń-ego agenta działającego w Bejrucie. Poza tym nie wiedziała o Hoffmanie c. Należał do barwnych postaci, na które lubili pozować oldboye, ale któ-ch nikt już zbyt dobrze nie pamiętał.

- Wejdz, kochana - powiedział Frank otwierając drzwi. Był wczesny eczór i przez olbrzymie okna salonu Anna dostrzegła wspaniałe filary Akro-lu, pięknie oświetlone. Obok okna stał duży kolorowy telewizor, który kon-

ował z widokiem Akropolu, nadając kolejny odcinek serialu Starsky utch.

- Nieźle, co? - stwierdził Frank, prowadząc ją bliżej okien. - Nie kła-em, prawda? Czy to nie jest widok wart milion dolców?

- Może nawet dwa miliony - przyznała Anna.

- Nie. Dolar wciąż jest tutaj mocną walutą. Milion wystarczy. Siadaj bie. Czego się napijesz?

- Białego wina.

- Słabizna. Ja nalewam sobie whisky.

- Dziękuję, ale pozostanę przy białym winie.

- Jak chcesz, złociutka.

Kiedy przygotowywał drinki, Anna wskazała na ryczący telewizor.

- Czy mogłabym to odrobinę ściszyć? Ledwie pana słyszę.

- To Starsky i Hutch. Dobiły odcinek. Starsky udaje tancerzą żeby zła-' gang szantażystów.

- Obejrzę go sobie innym razem - stwierdziła Anna.

- Zostaw chociaż wizję, co?

Hoffman przyniósł jej wino, usiadł naprzeciwko i pochylił się ku niej.

- To kim ty tak właściwie jesteś?

- Nazywam się Lucy Morgan.

- Ach, tak. To twój pseudonim roboczy?

- Tak. Zgadza się.

- W takim razie powiedz mi, jak się nazywasz naprawdę, złociutka.

227

- Chyba nie powinnam tego zdradzać.

- Jak chcesz. - Odchylił się na oparcie kanapy i zaczął z uwagą oglądać Starsky'ego i Hutch'a bez fonii.

- Anna Bames - powiedziała.

Hoffman odwrócił się do niej.

- Czy to kolejny pseudonim?

- Nie. Tak się nazywam.

- Skąd znasz moją starą ksywkę?

- Jestem agentem operacyjnym w Londynie. Pana imię i nazwisko otrzymałem od kolegi z kwatery głównej, który twierdził, że będzie nam pan mógł pomóc w pewnej sprawie.

- Jaki to kolega?

- Wolabym nie mówić.

- Aha. A po co wysłali cię tutaj z Londynu, Waszyngtonu czy skąd tam jeszcze, skoro mają pełno bezimiennych agentów, którzy stale na siebie wpychają w ambasadzie? Mogłbym im odmówić równie łatwo jak tobie.

- Chodzi o wyjątkowo delikatną sprawę. Prowadzą ją bezpośrednio z kwatery głównej.

- I dlatego wysłali ciebie.

- Właśnie.

- A ty jesteś żeńskim agentem operacyjnym. - Słowo „żeński” wypowiadał tak, jakby znaczyło tyle co „ułamny”.

- Tak jak widać.

- Równouprawnienie, co?

- Zgadza się.

- Ja też uważam, że wysyłanie kobiet w teren to wspaniały pomysł. Chętnie o tym wiedziałam. Przykro by mi było, gdyby narodowe interesy Stanów Zjednoczonych stały na drodze równouprawnieniu. Wierz mi.

- Co to ma znaczyć?

- Nic. - Hoffman był albo nieco wstawiony, albo bardzo opryskliwy. Słuchaj, opowiem ci dowcip. Spodoba ci się. Jest fajny.

Anna nic nie powiedziała. Zastanawiała się, jak szybko może załatwić sobie powrotny bilet do Stanów.

- To szło jakoś tak: amerykański agent ląduje ze spadochronem w Związku Radzieckim. Facet jest absolutnie idealny. Mówi znakomicie po rosyjsku bez żadnego akcentu. Nosi rosyjskie ubrania

uszyte z takich samych kiejskich materiałów, jakich tam używają. Pali te same obrzydliwe papierosy c
oni. Jego papiery są bez zarzutu, nawet mają rdzawe ślady od zszywek i środkowych stronach. Facet
ma po prostu wszystko co trzeba! Kiedy więkuje i ukrywa swój spadochron, idzie do miasta,
wchodzi do kawiarni i pro o piwo, miejscowy browar, tak jak trzeba, idealny Rosjanin, żadnego obcej
akcentu. A kobieta za barem mówi mu na to: „Pan pewnie z CIA”.

228

- Chyba nie powinnam tego zdradzać.
- Jak chcesz. - Odchylił się na oparcie kanapy i zaczął z uwagą ogli dać, Starsky 'ego i Hutch'a bez fonii.
- Anna Barnes - powiedziała.

Hoffman odwrócił się do niej.

- Czy to kolejny pseudonim?
- Nie. Tak się nazywam.
- Skąd znasz moją starą ksywkę?
- Jestem agentem operacyjnym w Londynie. Pana imię i nazwisko otrę; małam od kolegi z kwatery głównej, który twierdził, że będzie nam pan mó pomóc w pewnej sprawie.
- Jaki to kolega?
- Wolałabym nie mówić.
- Aha. A po co wysłali cię tutaj z Londynu, Waszyngtonu czy skąd ta jeszcze, skoro mająpełno bezimiennych agentów, którzy stale na siebie wp dają w ambasadzie? Mógłbym im odmówić równie łatwo jak tobie.
- Chodzi o wyjątkowo delikatną sprawę. Prowadzą ją bezpośrednio z kwatery głównej.
- I dlatego wysłali ciebie.
- Właśnie.
- A ty jesteś żeńskim agentem operacyjnym. - Słowo „żeński" wyp wiedział tak, jakby znaczyło tyle co „ułamny”.
- Tak jak widać.
- Równouprawienie, co?
- Zgadza się.
- Ja też uważam, że wysyłanie kobiet w teren to wspaniały pomysł. Che żebyś o tym wiedziała. Przykro by mi było, gdyby narodowe interesy Stano Zjednoczonych stały na drodze równouprawieniu. Wierz mi.

- Co to ma znaczyć?

- Nic. - Hoffman był albo nieco wstawiony, albo bardzo opryskliwy. Słuchaj, opowiem ci dowcip. Spodoba ci się. Jest fajny.

Anna nic nie powiedziała. Zastanawiała się, jak szybko może załatw sobie powrotny bilet do Stanów.

- To szło jakoś tak: amerykański agent ląduje ze spadochronem w Zwią ku Radzieckim. Facet jest absolutnie idealny. Mówi znakomicie po rosyjsk bez żadnego akcentu. Nosi rosyjskie ubrania uszyte z takich samych kie skich materiałów, jakich tam używają. Pali te same obrzydliwe papierosy i oni. Jego papiery są bez zarzutu, nawet mają rdzawe ślady od zszywek i środkowych stronach. Facet ma po prostu wszystko co trzeba! Kiedy wi ląduje i ukrywa swój spadochron, idzie do miasta, wchodzi do kawiarni i pre o piwo, miejscowy browar, tak jak trzeba, idealny Rosjanin, żadnego obce] akcentu. A kobieta za barem mówi mu na to: „Pan pewnie z CIA”.

228

- Już słyszałam ten dowcip.

- I wtedy ten gość pyta: „Po czym to pani poznała? Jestem idealnym jjaninem. Ubranie, akcent, dokumenty, papierosy”. A kobieta odpowia-nu:„No tak, tylko u nas nie ma zbyt wielu czarnych Rosjan”. Śmieszne,

- Nie bardzo. Poza tym już to słyszałam.

- Kobiety nie mają poczucia humoru.

- Chyba będzie lepiej, jeżeli sobie pójdę.

- Chwileczkę. Zostań. Przecież to tylko żart, na litość boską.

- Niech pan posłucha, panie Hoffman. Nie przyjechałam tutaj wysłuchi-ć rasistowskich dowcipów ani dyskutować z panem na temat feminizmu, wdę mówiąc, guzik mnie obchodzą pana poglądy. I w ogóle wszystko inne

- Dobra, dobra. Spokojnie. W takim razie po co przyjechałaś zobaczyć z wujem Frankiem? Dzwonisz do niego nie wiadomo skąd, używasz jego vnego pseudonimu... No, jak to jest?

- Ktoś w kraju uznał, że może będzie pan chciał nam pomóc w pewnej żnej sprawie.

- Ale dlaczego akurat moja mała i skromna osoba? Przecież odszedłem na emeryturę. Rozleniwiłem się. Nic mnie już nie obchodzi. Nie mówili

tego?

- Prawdę mówiąc, mówili.

- Tak? W takim razie mam ich gdzieś. Chociaż to prawda. Rzeczywi-e stałem się nierobem. Mam za dużo pieniędzy i za dobrze się bawię, nie ce mi się już placować z ludźmi niekompetentnymi albo z łamagami. Pew-: przez to stałem się malkontentem.

- To bardzo prawdopodobne.
- Ciebie też mam gdzieś. A w ogóle przestańmy już owijać gównem w bańkę. Z jaką to sprawą do mnie przyjechałaś?
- Nie jestem pewna, czy w takiej sytuacji warto o czymkolwiek wspo-nać. Jeżeli mam być szczerą, wygląda mi pan na człowieka, który już się opalił. Nie potrzebujemy nikogo takiego.
- Rzeczywiście się wypaliłem. I jestem z tego dumny. W swoim czasie robiłem sporo dymu, a tego nie da się powiedzieć o większości twoich tak /anych kolegów. Oni nigdy się nie wypalą bo w ogóle nigdy nie zapłoną, pijesz się jeszcze?
- Nie. Muszę już iść.
- Po co ten pośpiech? To być może twoja jedyna szansa zobaczenia praw-iwego reliktu z epoki dinozaurów. Zaczekaj chwilkę, zaraz wrócę.

Poszedł do łazienki, a po chwili powrócił z kolejną szklaneczką whisky.

- Przestańmy już z tymi gierkami, co? Powiedz mi, z jaką sprawą przy-lodzisz i w czym według ciebie ja miałbym pomóc.

229

i

- Chodzi o narodowości w granicach Związku Radzieckiego.
- Nie chrzanisz?
- Nie chrzanię. Moi zwierzchnicy uważali, że warto z panem porozm wiać, ponieważ kierował pan przerzutami przez granicę w latach pięćdzi siątych.
- Rzeczywiście. Z tego co pamiętam, wszystko zostało zupełnie zaw lone. Wielu niewinnych ludzi zginęło. Tylko mi nie mów, że chcą to jescz: raz powtórzyć,
- Niezupełnie.
- To znaczy?
- Nie mogę panu zdradzać szczegółów.
- A jakie są ogóły?
- Nie będziemy prowadzić żadnych operacji przerzutów przez granic Będziemy tylko udawali, że to robimy. Rozumie pan?
- Wprowadzenie przeciwnika w błąd.
- Tak.
- Chcecie, żeby myśleli, że macie w ręce cztery asy, podczas gdy dos ła się wam para dwójek.

- Właśnie.
- Chwila, chyba już wiem, o co tu chodzi.
- O co?
- To musi być jeden z popisowych numerów Stone'a.

Anna nic nie powiedziała.

- Edward Stone, tak? Mam przeliterować, żebyś zrozumiała?

Dziewczyna wciąż milczała.

- To jedna z jego podstępnych gier. A kuku. Raz mnie widzisz, a nie. I on chce, żebyśmy pomogli w tej gównianej robocie. Tylko że facet jest 1 jaj i nie ma odwagi sam mnie o to poprosić, więc wysłała panienkę z okien. Pewnie mniej więcej się zgadza, co?

- Pana czas się skończył - powiedziała Anna, wstając.

- Hej, daj spokój. Siadaj. Przepraszam. To znaczy nie powinienem rwać na ciebie panienka z okienka. Żartowałem tylko.

- Jest pan gorszy niż mi mówiono. Czy pan aby nie przesadza? Dlaczego oni aż tak bardzo pana złością?

- Może rzeczywiście coś mi przeszkadza. Mam dość patrzenia na jak kopia nas w dupę na całym świecie. To mnie wprawia w zły humor i dlatego wygaduję te wszystkie okropne rzeczy do miłych pań takich ty. Jak chcesz wiedzieć, co mnie aż tak złości, to przeczytaj sobie którąś gazetę z tych pieprzonych gazet. Czy w kwaterze głównej wciąż jeszcze tym zajmują? Czytają gazety? Teraz pewnie już mają maszynę, która to im robi.

Anna milczała.

230

- Oto wieści z dnia dzisiejszego, kochana - powiedział Hoffman, podszedł z niskiego stolika egzemplarz porannego wydania ateńskiego „Po-”, miejscowej anglojęzycznej gazety.

- Co widzisz na pierwszej stronie? „Irański oddział egzekucyjny wykołał wyrok na dwudziestu jeden urzędnikach szacha”. Szkoda. Pewnie na to znałem kilku spośród nich. No dobra, spapraliśmy robotę. Co możemy to poradzić? Spójrz na dół pierwszej strony. Wielki nagłówek: „Lewicow podkładają bomby w Turcji i we Włoszech”. Oto i całe NATO. Ojej, znów coś spapraliśmy. Zajrzyj do środka. I co widzisz? „Agenci CIA w Grecji armii. Doniesienia członka parlamentu z ramienia socjalistów”. Fajnie było, gdyby mówił prawdę, ale tak nie jest. A tu, na trzeciej stronie masz iwdziwy klejnot. Przeczytaj to sobie. - Podał gazetę Annie, pokazując artykuł pośrodku strony.

- „Sowieci obwiniają CIA o rozruchy we Włoszech”.

- Czytaj dalej.

- „Moskwa. Jedna z radzieckich gazet uważa, że Centralna Agencja Wyadawcza Stanów Zjednoczonych ponosi odpowiedzialność za obecną falę zemocy politycznej we Włoszech, Dziennik «Sowietskaja Rossija» donosi, agenci CIA namawiali grupy ekstremistyczne lewicy i prawicy do podkła-nia bomb i urządzania strzelanin na ulicach, na których mieszkają demo-łtyczni liderzy".
- Rozumiesz? „Bomby i strzelaniny". Skończ czytać.
- „Podobno w kwaterze głównej CIA w Langley, w stanie Wirginia, sek-i tajnych operacji agencji pracuje dniem i nocą nad planami prowokacji, Drderstw i podziałów politycznych we Włoszech".
- Wspaniale! Lokalna gazeta w Atenach, stolicy jednego z naszych ATO-wskich sojuszników, drukuje surowy materiał prasowy KGB. A co n, kolejna wpadka. Co możemy zrobić? Zobaczmy lepiej, co się dzieje naszym kochanym kraju, skoro świat zamienia się w bagno, a my jesteśmy to pociągani do odpowiedzialności. Mam, artykuł na stronie szóstej. Ten się spodoba. „Policjantki lesbijki wygrywają odszkodowanie", to nagłó-ek. A teraz słuchaj: „Sześć byłych policj antek zwolnionych przez radę miej -ą w 1977 roku za rzekome praktyki homoseksualne otrzymało odszkodo-anie w wysokości stu trzech tysięcy dolarów oraz zwrot kosztów sądowych", zy to nie miłe? Nie cieszysz się widząc, że nasze praworządne społeczeń-svo martwi się naprawdę ważnymi rzeczami?
- Jest pan skończonym kretynem, panie Hoffman - powiedziała Anna. rstała z krzesła.
- Hej, siadaj. Przecież dopiero zaczynamy poważnie mówić o intere-ch.
- Ja niczego nie zaczynam. Wychodzę.
- Uspokój się.

231

- Jestem spokojna. - Podeszła do drzwi i otworzyła je. - Stone pom; lił się co do pana. Twierdził, że jest pan dziwakiem, ale mimo to war z panem pracować. Prawdę mówiąc, współczuję panu. Jest pan naprawi żałosny.

Hoffman zrewanżował się jej przekleństwem, ale to już nie miało zn czenia. Anna wyszła.

Następnego dnia o siódmej trzydzieści rano w pokoju Anny zadzwonił telefon. - Budzenie - powiedział męski głos.

- Nie zamawiałam budzenia.
- No dobra, to nie żadne budzenie, tylko Frank Hoffman. Dzwonię, p nieważ powinienem cię przeprosić.
- W porządku - powiedziała Anna. - Może pan o tym zapomnieć. I widzenia.
- Proszę się nie rozłączać. Mówię szczerze. Zjedzmy razem śniadar i pogadajmy o tym.
- Nie.

- Przecież musisz zjeść śniadanie, złociutka.
- Wcale nie muszę.
- Owszem. Musisz. Już je zamówiłem.
- Co takiego?
- Już zamówiłem dla ciebie śniadanie. Mam nadzieję, że lubisz jajec nicę.
- Nie może pan tak robić.
- Ale już zrobiłem. Znam kilka osób w tym hotelu. Śniadanko będ w twoim pokoju za jakiś kwadrans. Ja też.
- Nie może pan przyjść do mojego pokoju.
- Dlaczego nie? Masz apartament, zgadza się?
- Skąd pan to wie? *
- Już ci wcześniej mówiłem, mam przyjaciół w tym hotelu. Do zol czenia wkrótce.

Anna, zmęczona spieraniem się, po prostu odłożyła słuchawkę. *

Hoffman oprócz tacy ze śniadaniem przyniósł także kwiaty. Nie by zwyczajny bukiet, lecz cały wózek orchidei, gladioli i tulipanów. Anna czątkowo nie chciała mu otworzyć, ale on zaczął śpiewać. Brzmiało to improwizacja fragmentów „Kiss Me, Kate”, choć melodię ledwo dało rozpoznać, ponieważ Hoffman miał strasznie zachrypnięty głos i opuszt wiele słów. Anna postanowiła go wpuścić razem ze śniadaniem, kwiatami muzyką Cole'a Portera i wszystkim innym. Nie miała wyboru.

232

'W __

- Wczoraj wieczorem miałś rację - powiedział Hoffman, siadając i za-irając się do swojej części śniadania. - Rzeczywiście zachowywałem się palant. Przepraszam. Naprawdę. Czuję się z tego powodu okropnie.
- Proszę nie przepraszać - przerwała Anna. - Przez to zaczynam się czuć nna.
- To dobrze - wymamrotał, zmiatając jajecnicę kawałkiem tostu. - Chcę, yś czuła się winna. Wystarczająco winna, aby ponowić ofertę.
- Jaką ofertę? Jeszcze żadnej nie przedstawiłam.
- Tę, którą chciałaś mi złożyć. Miałem pomóc tobie i Stone'owi w wa-ym małym szwindlu z Rosjanami.

Dlaczego chce pan nam pomóc?

Ponieważ nudzę się tutaj. No i poza tym jestem patriotą. A wy mnie trzebujecie.

- Myślałam, że nie lubi pan Stone'a.

- Stone jest w porządku. Trochę za mądry dla takiego dumia jak ja. Ale nie jego wina, że ten świat jest zupełnie popieprzony.

Anna uważnie przyjrzała się potężnemu mężczyźnie siedzącemu przed ą w salonie hotelowego apartamentu i z wielkim entuzjazmem pałaszują-mu śniadanie. Wciąż miał na szyi tę niezwykłą złotą ozdobę, którą zauwa- rła poprzedniego wieczoru. Wyglądała jak małe koło ratunkowe.

- Co to takiego? - spytała wskazując obręcz, aby zmienić temat i zyskać Dchę czasu do namysłu.

- Obwarzanek - odparł Hoffman.

- Jak to?

- Bardzo lubię obwarzanki.

- Ach tak.

- Niektórym spośród moich saudyjskich przyjaciół mówię, że to nagro-, którą dostałem od agencji. Tłumaczę, że „O” oznacza operacje. Podoba

n się to.

- Ale przecież to nie jest nagroda.

- Nie, to obwarzanek. Zresztą, nie ma znaczenia co to jest. Arabom się odoba, bo jest duże, ciężkie i drogie. Oni mająbzika na punkcie rozmiarów, eden nawet zaproponował, że odkupi to ode mnie. Możesz w to uwierzyć? ak można w ogóle szanować takich ludzi?

- Rozumiem - powiedziała Anna.

- No to jak tam, jaką robotę macie dla mnie?

- Nie mówiłam nic o żadnej robocie.

- Wiem, ale gdybyś mówiła, to o co by chodziło? Kiedy mówił, Anna pomyślała, że odkąd zaczęła pracować dla agencji,

potkała tylko jedną osobę równie okropną co Hoffman, choć chyba znacznie rardziej nieprzyjemną i niebezpieczną. Był to właśnie Ali Ascari. Nagle uświa-lomiła sobie, że ci dwaj panowie mogli stworzyć idealną parę. Frank i Ali.

- Mogę zdradzić panu kilka szczegółów naszej operacji - powiedziała. - Reszta jest tajemnicą.
- Tak, tak. Pewnie. Tajemnicą.
- Mamy pewnego Irańczyka. Jego rodzina pochodzi z Baku w Azerbejdżanie. Twierdzi, że zna ludzi, którzy organizują przerzuty przez granicę Szmuglują radio, wideoodtwarzacze, egzemplarze Koranu. Może nawet bron. Chcielibyśmy wkręcić się w jego sieć i wykorzystać ją.
- Do czego?
- Do naszych operacji. I
- Przypomnij mi, o co w tych operacjach chodziło. Niewiele pamiętarz z zeszłego wieczoru. I
- Niewiele panu powiedziałam. I
- W takim razie powiedz mi więcej. A tak przy okazji, czy mogę wziać twoją galaretkę? I
- Proszę. - Anna podała mu miseczkę. I
- No dalej, mów. A ja jeszcze pożyczę sobie kawałek twojego tostu. I

Dziewczyna roześmiała się. Hoffmana nie można było nie lubić, przynajmniej rano, kiedy był trzeźwy. I

- Prawdę mówiąc, Stone zaczyna od tego samego, co pan. I
- Naprawdę? I
- Tak. Uważa, że agencja tonie. I
- Ma rację. I
- Twierdzi, że teraz możemy zrobić tylko jedno, postarać się przestąpić szyc Rosjan i zyskać na czasie. I
- W jaki sposób? I
- Wykorzystując ludzi takich jak ten Irańczyk, o którym panu wspomni łem, aby Sowieci myśleli, że Azja Środkowa i Kaukaz chcą się oddzielić. I
- I szukacie kogoś, kto poprowadzi tego Irańczyka i przemytników? I
- Właśnie.
- Dziki pomysł. To mi jednak nie wygląda na robotę Stone'a. Jest zifl szalone.

- No, nie wiem. Może Stone też się wypalił.
- Co za wspaniała myśl.
- No to jak? Co pan na ten temat sądzi?
- Operacja jest dziwna i niebezpieczna. Mam też niejasne podejrzenia że nie do końca legalna. Ale kto by się tym przejmował? Mnie się podobają
- Co pan ma na myśli mówiąc, że jest nie do końca legalna?
- Zapomnij o tym. Co ja mogę wiedzieć? Nie jestem prawnikiem. Ważniejsze, że mi się podoba. Możecie na mnie liczyć.
- Jeszcze o nic pana nie prosiłam.
- Wiem, ale zaraz to zrobisz. Pogódź się z tym. Potrzebujecie starożydnego sukinaśa takiego jak ja.

234

- Pomyślę nad tym.
- Jak nazywa się ten Irańczyk?
- Ali Ascari.
- Gdzie mieszka?
- W Londynie i Teheranie. Ale często podróżuje. Ma trzy paszporty, a jeden z nich jest grecki.
- Naprawdę? Ten mały szczegół może nam się bardzo przydać.
- Jako punkt przewagi?
- Cholerna racja. Kiedy możesz zorganizować nam spotkanie?
- Wciąż jeszcze nie zaproponowałam panu tej pracy.
- No to może pomyślisz o tym, a ja sprzątnę naczynia po śniadaniu.

Hoffman niezgrabnie podniósł tacę, przewracając przy tym filiżankę

> kawie, i ruszył do drzwi. Zostawił wszystko na korytarzu i wrócił do łonu. Anna nie miała zbyt wiele czasu do namysłu. Uznała, że niezwykła tergia Hoffmana - ten niepowstrzymany, szalony, dopalający się gniew ęczyzny - pasuje doskonale do stylu działania dziwnego małego przedsiębiorstwa o nazwie Karpetland. Firma operowała nieoficjalnie, podobnie jak Hoffman.

- I jaki zapadł werdykt?
- Czy chciałbyś dla nas pracować, Frank?
- Chyba się zakochałem - odparł Hoffman.

k i a szczęście Hoffman musiał jeszcze tego popołudnia wyjechać na spotkanie w interesach do Dubaju. Rozstali się, zanim zdążył zrobić coś, rzez co Anna mogłaby zmienić decyzję. Tak nagłe zakończenie zadania ■ Atenach sprawiło, że Annie pozostał jeden wolny dzień przed powrotem o Waszyngtonu. Najpierw pomyślała, że mogłaby go spędzić, opalając się rzy basenie ateńskiego „Hiltona”, ale po krótkim spacerze pomiędzy leża-ami, na których wylegiwały się tłumy mężczyzn w za małych kąpielówkach kobiet, których piersi wylewały się ze skąpych bikini, uznała, że basen „Hil->na” nie jest odpowiednim dla niej miejscem.

Wolałaby coś w rodzaju czytelnicy. Po przestudiowaniu mapy miasta ru-iyła na piechotę w kierunku Biblioteki Narodowej, którą chciała odwiedzić iż podczas swojej ostatniej wizyty w Atenach, ale nie starczyło jej czasu, linęła plac Syntagma pełen biur linii lotniczych i podrzędnych knajpek ze :olikami na ulicy, i skierowała się na plac Omonia.

235

r

Biblioteka mieściła się w ogromnym budynku w stylu neoklasycystycz-l nym, zaraz za uniwersytetem i Akademią Hellenistyczną. Mały człowieczek w uniformie stojący przy punkcie informacyjnym spytał ją, dokąd zmierzaj Anna nie zastanawiając się odparła, że chciałaby obejrzeć zbiory dotyczący historii imperium osmańskiego. Zdążyła już zapomnieć o ciężarze studiov podyplomowych na tyle, aby czytać znowu chętnie o osmańskich dziejach Na uniwersytecie tematem jej bezużytecznej specjalizacji był koniec wiek dziewiętnastego w historii Turcji. Mężczyzna skierował ją do innego strażni| ka, w górę po schodach, a potem długim korytarzem do końca. Ten z kole posłał ją do sowiookiego mężczyzny siedzącego w cienistym, przypominają cym kryptę gabinecie. Mężczyzna był kuratorem zbiorów działu historii ic perium osmańskiego. Nazywał się Jannos.

- Czego pani szuka? - spytał przyglądając się Annie z powątpiewanieri Mówił bardzo poprawnym angielskim, wyraźnie zaznaczając końcówki1 razów.
- Chciałabym się po prostu rozejrzeć.
- Tutaj się nie rozgląda, proszę pani. Trzeba mieć ogromną wiedzę, chc by po to, aby wiedzieć, czego się szuka.

Anna postanowiła skłamać.

- Jestem doktorantką z wydziału historii osmańskiej na Harvardzie.j Nie było to wielkie kłamstwo. Po prostu użyła czasu terażniejszego zamiast przeszłego.

Rozumiem - powiedział kurator, wciąż jej nie dowierzając. - Na ja temat pisze pani pracę?

- Praktyki administracyjne u schyłku imperium osmańskiego, ze szcz gólnym uwzględnieniem działań w przypadku konfliktów etnicznych.
- Rozumiem - powtórzył mężczyzna. Chyba dał się w końcu przek nać, że Anna nie kłamie.
- Jak dużym zbiorem państwo dysponują?

- Bardzo obszernym, proszę pani.
- Czy są jakieś nowe pozycje? - spytała.
- Nie. Mamy tylko materiały albańskie, które wypożyczono nam na 1 okres.

Anna myślała, że się przesłyszała.

- Przepraszam, powiedział pan materiały albańskie?
- Tak, proszę pani. Z Biblioteki Narodowej w Tiranie.
- Chyba pan żartuje!

Kurator poczuł się urażony.

- Zapewniam panią, że wcale nie żartuję. Dlaczego panią tak to dźni? Mamy umowy na wymianę z wieloma bibliotekami narodowymi. Może je czy nie dorównujemy Uniwersytetowi Harvard, ale jesteśmy dość no\| cześni.

236

ś.

- Nie chciałam, żeby moje słowa zabrzmiały jak krytyka. Po prostu je-:m zaskoczona. Albańczycy mają dokumenty, których poszukiwałam... to acy poszukują do mojej pracy doktorskiej.
- O jakie dokumenty pani chodzi?
- Zbiory Ibrahima Temo. Był jednym z założycieli Komitetu Jedności ostępu.
- Ach! Niezmiernie mi przykro.
- Nie macie ich?
- Już nie, proszę pani.
- Jak to?
- Mieliśmy część dokumentów Temo, ale przez bardzo krótki czas. Mu-liśmy oddać je do Tirany już miesiąc temu.
- Och, nie! To okropne.
- Sama pani rozumie, nasza biblioteka jest dość nowoczesna.
- Teraz pewnie już nigdy nie uda mi się do nich dotrzeć. Albańczycy nie ją wiz Amerykanom.
- Niezmiernie mi przykro.

Anna była niepokieszona. Czula ten szczeg6lny cięzar żalu, który wyni-z odkrycia - zbyt p6źnego, niestety - że mogło się coś zdobyć, gdyby wiadomość o tym dotarła do nas wcześniej. Nawet oschły kurator zauważył, że inę wytrąciło to z równowagi.

- Proszę pani, jeżeli mogę coś zasugerować... może chciałaby pani spojrzeć z pewnym greckim uczonym, który pracował ze zbiorem Temo, gdy zcze mieliśmy tutaj te materiały?

Oczy Anny zabłyśły.

- Tak, chciałabym, jeżeli jest to możliwe.

- Proszę usiąść i poczekać, sprawdzę, czy jest dziś obecny.

Kurator zniknął w mrocznym korytarzu i nie było go przez ponad dzieć minut. Wrócił w towarzystwie wysokiego, szczupłego, młodego mężczyzny o bezbarwnej cerze i zapadniętych, pozbawionych wyrazu oczach, >re świadczyły o tym, że należał do stałych bywalców biblioteki.

- Lucy Morgan - przedstawiła się Anna. Młody bibliofil lekko zadrżał, kieściskał jej dłoń. Nazywał się Andreas Papadopoulos i, jak się okazało, sam że był doktorantem, a jego rozprawa - o ile mógłjakiedykolwiek skończyć -ała dotyczyć wyłącznie życia i pracy Ibrahima Temo. Anna zaczęła wypytyć młodego Greka o dokumenty, ale sowiooki kurator położył palec na ustach.

- W bibliotece obowiązuje cisza - powiedział.

Anna nie zamierzała jednak rezygnować z takiej okazji uzyskania, choć z pośrednika, informacji na temat archiwów Temo. Delikatnymi sugestiami udało jej się namówić bojaźliwego pana Papadapoulosa na wspólny lunch.

237

- Naprawdę miał pan dostęp do kufra Sukutięgo? - spytała, kiedy usie] dli na powietrzu przy stoliku kafejki w pobliżu uniwersytetu.

- Słucham? - Młody Grek spojrział na nią tak, jakby za chwilę miał wy| skoczyć ze swojej bladej skóry.

- Och, przede mną nie musi pan udawać, panie Papadapoulos. Dobr pan wie, o czym mówię. Ten kufer, w którym Ishak Sukuti trzymał najwcze| śniejsze dokumenty Komitetu Jedności i Postępu. Ten sam, który potem pr bował posłać Temo, i który Temo w końcu zabrał z Pałacu Yildiz do s woj eg domu w Rumunii, skąd potem trafił do Albanii.

- Ach, ten - powiedział Andreas. - Skąd pani tak dużo wie o kufrze Si| kutięgo?

- Całe lato spędziłam poszukując go w Stambule. A dokładnie w Bej koz, gdzie mieszkała córka Temo. Myślałam, że może ona go ma.

- Natalia Temo.

- Tak, Natalia. - Skinęła głową. Grek najwyraźniej znał całą historię, -i wiedziała, że nie ma podstaw do zazdrości. Już nie była przecież doktorant] Nie musiała starać się o żadną specjalizację naukową. Mimo to przykro jej by| że ktoś inny - ten przerażony grecki naukowiec, o którym wcześniej w ogóle i słyszała - odnalazł i przywłaszczył sobie coś, co powinno dostać się jej.
- Proszę mi o nim opowiedzieć. Jestem ciekawa, co zawierało s; archiwum Temo.
- Trudno powiedzieć - odparł ostrożnie. - Wciąż jeszcze nie zakończ łem badań.
- Proszę się nie obawiać, panie Papadapoulos. Nie skradnę pańsk materiałów. Jeżeli chce pan znać prawdę, to nie jestem już doktorantką.] ciąm to.
- Och. - Grek miał już nieco różniej szą minę. - Mogę pani powie
- 0 kilku sprawach. Albańczycy nie udostępnili mi wszystkich dokumen
- 1 miałem tylko kilka miesięcy na przestudiowanie ich. Znalazłem jednak ka interesujących rzeczy.
- Proszę powiedzieć mi wszystko, co pan wie. Szczerze mówiąc, < ram z ciekawości.
- Tak. Myślę, że trochę mogę pani zdradzić. - Młody naukowiec ba chciał być miły, zwłaszcza dla tak atrakcyjnej, choć odrobinę onieśmielaj Amerykanki. - Dokumenty Temo zawierały większą część międzyna wej korespondencji Młodoturków począwszy od roku tysiąc osiemset osi dziesiątego dziewiątego, czyli od chwili założenia tej organizacji, aż do [tysiąc osiemset dziewięćdziesiątego piątego.
- To już wiem, panie Papadapoulos. Właśnie ten okres badałam j pracy nad swoim doktoratem.
- Tak, oczywiście. Z dokumentów tych wynikało, że Młodoturcy mie kontaktów we wszystkich prowincjach imperium osmańskiego, a nawet w j

238

■ t

igionach imperium rosyjskiego cara. W papierach natrafiłem na wiele listów ymienianych między filiami albo oddziałami Komitetu Jedności i Postępu. Mieli voich ludzi w miejscach takich jak Saloniki, Izmir, Paryż czy Londyn.

- A organizacje na Wschodzie?
- Tak, znalazłem również korespondencję do nich. Listy do grup w Ba-1, w Taszkencie i w Bucharze. Wszystkie te miejsca w tamtym okresie znaj-)wały się pod panowaniem cara. A najbardziej

interesujące jest to, że natra-em także na korespondencję z grupami na terenach chrześcijańskich. Z Ere-anem w Armenii i z Tbilisi w Gruzji.

- A zatem komitet stworzył sieć obejmującą cały Kaukaz i Azję Środkową? - spytała Anna. Mówiąc to, zastanawiała się nad inną siecią. Tą która i dotąd istniała wyłącznie w wyobraźni Edwarda Stone'a.

- Tak, właśnie.

- I sieć ta przecinała granice etniczne.

- Słucham?

- Chodzi mi o to, że do tej sieci należeli ludzie, którzy w innych sytuacjach i okolicznościach nie dogadywali się między sobą. Ormianie i Azerowie. Gruzini i Tatarzy. Grecy i Turcy.

- Tak, to chyba prawda.

- Chwileczkę. Jak to chyba? Prawda czy nie?

- Tak. Na pewnym poziomie owszem, jest to prawda. Komitet Jedności ostępu głosił równość wszystkich etnicznych grup żyjących na terenach imperium osmańskiego. Ormian. Kurdów. Greków. Bułgarów. Koptów. Na-et Żydów.

- Ale na innym poziomie nie była to prawda?

- Musi pani zrozumieć, panno Morgan, że ludzie należący do Komitetu Jedności i Postępu byli szpiegami. Zawsze działali na wielu różnych płaszczyznach. *

- Nie pojmuję.

- Po prostu byli szpiegami. Występowali przeciwko Abdulowi Hamidowi i jego tajnej policji. Prowadzili tajne operacje.

- Wiem, kim są szpiegowie, panie Papadopoulos.

- Ci, którzy należeli do Młodo Turków, zajmowali się dziwnymi rzeczami. Zaczynali na przykład wydawać gazetę w Paryżu albo w Londynie oczekując, że agenci Abdula Hamida spróbują ich przekupić, aby tę gazetę zaopieł. Dostawali dziesięć tysięcy franków, aby zakończyć wydawanie jednej gazety w Paryżu, brali pieniądze i zakładali kolejną gazetę. Przekupywali

wielkie europejskie wydawnictwa, takie jak „Figaro” czy „Le Matin”, y zamieszczały okropne historie o sułtanie. Celowo przekazywali fałszywe informacje do jednej z europejskich stolic, aby ludzie Abdula Hamida aniali się za nimi, po czym w innej stolicy przekazywali zupełnie co innego, pędzą Młodo Turków byli bardzo, bardzo przebiegli.

239

- A cała sieć? Mówił pan, że komitet na pewnym poziomie popiera równość Ormian, Turków, chrześcijan i muzułmanów, i wszystkich pozostałych. Jaki był ten drugi poziom?

- Ach, bardzo mi przykro. To istota mojej pracy doktorskiej. Naprawdę nie mogę tego z panią omawiać.
- Proszę. - Anna dotknęła dłoni Greka. - Wszystkie dokumenty są pana. Ja niczego nie wykorzystam. Naprawdę. Jestem po prostu ciekawa.
- Naprawdę nie powinienem o tym z panią rozmawiać. - Naukowiec i czynił już mięknięć. Grecy mężczyźni, zwłaszcza tacy, którzy prawie nie wychodzili z biblioteki, nie potrafili długo opierać się prośbie kobiety.
- Proszę - powtórzyła Anna.
- Powiem pani, ale pod warunkiem, że nikomu pani tego nie zdradzi. |
- Obiecuję. - Podniosła dłoń jak do przysięgi.
- No dobrze. Prawda jest taka, że Komitet Jedności i Postępu był tylko kamouflażem. Mówili o jedności, ale to wszystko nie było prawdą. Mieli czoi ków, a nawet całe oddziały wśród Greków, Ormian, Koptów czy Bułgarów. I od samego początku istniał też pewien wewnętrzny krąg kontrolowany przez muzułmanów. Nazywano go Merkezi Umumi. Komitet Centralny.
- Skąd pan to wie?
- Ponieważ o tym mówią dokumenty Ibrahima Temo, panno Morga
- Jak to? Czyżby opisano w nich oba poziomy?
- Nie tak dokładnie, ale też i nie musieli tego robić. Ci ludzie wszyscy pisali szyfrem. Odkryłem, że istniały dwa różne szyfry. Jeden dla wszystkich, włączając w to chrześcijan, a drugi tylko dla wewnętrznej grupy, i której należeli wyłącznie muzułmanie. Znalazłem na przykład list, któ w zakodowanej postaci wysłano do oddziału w Kairze. Ostrzegał on o ludziach, którzy byli muzułmanami, aby żadnych dokumentów nie przekazali Koptom.
- Dlaczego muzułmanie byli tacy podejrzliwi?
- Ponieważ po prostu nie ufali wszystkim pozostałym. Nie wierzyli niemuzułmańscy poddani imperium naprawdę pragnę nowoczesnego i nowoczesnego państwa osmańskiego. Podejrzewali, że Grecy walczą, tak jak i prawdę o niepodległość Grecji, Ormianie o niepodległość Armenii, Bułgarii - Bułgarii, i tak dalej.
- I mieli rację.
- Tak, oczywiście. Mieli rację.
- Czy Ormianie i Grecy wiedzieli, że komitet traktuje ich inaczej?
- Prawdopodobnie tak.
- Z tego, co pan mówi, wynika, że od samego początku członkowie szlachetnej rewolucyjnej sieci skakali sobie do gardeł.

- Niezupelnie do gardeł, ale nienawiść została zasiana „od Adriatyk Morze Chińskie”, jak zwykli mawiać. Proszę pamiętać o swojej obiet

240

ino Morgan. Nikomu nie może pani powiedzieć o tym, co zawierają doku-jnty Temo.

- Kochany panie Papadapoulos, przyrzekam z całego serca, że nikomu : powiem, czego się właśnie dowiedziałam. Ja interesuję się terażniejszo-ą, nie przeszłością. Chciałabym znaleźć sposób, który pozwoliłby nam iknąć powtórzenia się tej historii, a nie ją rozpowiadać.

6-Siro

VI

William Goode Waszyngton/Ateny Stambuł/Taszkient

czerwiec - wrzesień 1979

%

-

/I

28

" ego lata prawdziwa wojna zaczynała się w kraju, którego narodowym

sportem była gra w polo głową owcy. Krajem tym był Afganistan. Po-bnie jak Wietnam i Algieria, już wkrótce miał się stać sławny z powodu aleństwa, do którego skusił większe mocarstwo. W takich krajach istniało iś, co zaprzeczało zwykłej logice i zdrowemu rozsądkowi; coś, co pchało zysłego zdobywcę do zrobienia pierwszego śmiałego i ryzykanckiego ru-iu, którego skutki nie trwałyby długo, gdyby nie ruch następny, a potem szcze jeden, aż całą reputację i skarby wielkiego mocarstwa narażało się jdczas polowania na geopolityczny odpowiednik komara.

Przez wiele dziesięcioleci Afganistan pozostawał obojętny dla reszty rata, również dla Związku Radzieckiego. W latach sześćdziesiątych Kor-is Pokoju poświęcał temu krajowi więcej czasu i wysiłku niż KGB. Na-et Brytyjczycy, którzy dawniej uważali Afganistan za podporę, która po-ylała zrównoważyć imperium rosyjskie i brytyjski raj w Indiach, nie wracali już nań uwagi. Jednak pod koniec lat siedemdziesiątych Sowieci irazili się wirusem, który czasami dopada wielkie narody i osłabia ich ivyklą odporność na głupotę i absurd. Radzieckie media snuły mroczne yskusje na temat amerykańskiego wtrącania się w sprawy tej części świa-i, twierdząc, że wymaga to zdecydowanej

odpowiedzi ze strony Sowie->w. Wspominano o „wrogich spiskach”, za które winą obarczono „pewne achodnie agencje”.

Zdawało się, że szaleństwa nie da się już powstrzymać. Moskwa powołała w Kabulu w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym ósmym roku komuni-tyczny rząd, w nadziei, że uda się jej przełamać opór islamskich organizacji owstających w rolniczych regionach kraju. Jednak afgańscy komuniści sprarili tylko tyle, że opór muzułmanów wzrósł, przez co Moskwa została posta-

245

wioną przed koniecznością wyboru. Mogła albo zdecydować się na bardziej drastyczną interwencję, albo przyznać do porażki. Jakże znajomo brzmiał to dla wszystkich ludzi z CIA, którzy obserwowali dawniej rozwój sytuac w Wietnamie. Wiosną siedemdziesiątego dziewiątego roku zwiększyła się lic; ba radzieckich żołnierzy stacjonujących w Afganistanie. Sowieckich dorae ców wojskowych, ubranych w mundury armii afgańskiej, widywano w a tym kraju. Pewnego letniego dnia kabulska stacja CIA wysłała jednego 2 swoich agentów, aby policzył wszystkich jasnoskórych mężczyzn grających w siatkówkę na terenie bazy lotniczej Bagram. Agent przestał liczyć, gc doszedł do czterystu.

Komuś, kto zajmował się studiowaniem ludzkiego szaleństwa, a za tal osobę Anna Barnes uważała się od ponad dziesięciu lat, nietrudno by przewidzieć naturę zbliżającego się konfliktu w Afganistanie, nawet b(czytania agencyjnych doniesień. Podstawowe fakty znalazły się w krótki artykule prasowym, który przeczytała w samolocie, w drodze z Aten do St nów. Opisywano w nim losy wielu radzieckich doradców, których pojmi mudzahedini. Afgańscy rebelianci rozpowiadali, że swoim sowieckim wię niom odcinają uszy i jądra, po czym zdzierają skórę z ich ciał, pasek j pasku.

Annę uderzyło nie wyjątkowe barbarzyństwo opisywanych wypadków lecz ich zwyczajność. To samo można było napisać o jakiegokolwiek i nr wojnie na świecie w ciągu ostatniego tysiąclecia, historia tego zakątka ziei na najprostszym poziomie zawsze stanowiła bowiem teatr grozy i bólu. Ni szczęśny radziecki żołnierz, który w Afganistanie krzychał w męce, gdy o rywano mu kolejny płat białej skóry, mógł w swoim oprawcy rozpoznać osmańskiego generała Lala Mustafę.

Po bitwie pod Famagustą w tysiąc pięćset siedemdziesiątym roku wie Mustafa pojmał swojego weneckiego wroga, odciął mu prawe ucho i nos, czym żywcem obdarł go ze skóry i poćwiartował. Potem oczyścił skórę, w pchał ją słomą i kazał obnosić po całym mieście. Ból nie zna czasu. B może muzułmański rebeliant widział w swoim radzieckim przeciwniku tw< Ryszarda Lwie Serce, który kazał uśmiercić całą ludność Akry - dwa tysii siedmiuset mężczyzn, kobiet i dzieci - po tym, jak miasto poddało się w siac sto dziewięćdziesiątym pierwszym roku.

Były chwile, gdy Anna czytając historyczne książki podejrzewała że t tury stanowiły istotę władzy na Bliskim Wschodzie i w Azji Środkowej. Zd ność zadawania bólu tworzyła z sułtana silnego przywódcę, a takiego, kt< tego nie potrafił, uznawano za słabego człowieka. Na tym polegała trage osmańskiej historii. Ten szlachetny i cywilizowany lud potrafił zarazem o zać aż takie okrucieństwo. Ta sama nieszczęśna historia powtarzała się panowania każdego kolejnego sułtana, zupełnie jakby spadkobiercy osm skiego tronu wszyscy musieli raz po raz przeżywać ten sam krwawy ko

246

ar. Panujący w czternastym wieku sułtan Murad Pierwszy tak bardzo, rozlewał się na swojego buntowniczego syna Gunduza, że wybił mu oczy idciał głowę; po czym kazał to samo zrobić swoim namiestnikom z ich sy-mi, by w ten sposób dowiedli władcy swojej lojalności. Prawie wszyscy lich usłuchali. Sto lat później Mehmedowi Drugiemu spodobał się przy-)jny czternastoletni syn jednego z jego ministrów i zażądał, aby chłopca >n przyproawdzono. Kiedy minister odmówił, Mehmed ściął głowy ojcu ynowi, po czym kazał je sobie podać na stół. Kiedy w tysiąc pięćset dwu-stym roku Selim Pierwszy doszedł do władzy, na wstępie kazał udusić swo-1 dwóch braci - według standardów osmańskich był to dość powszechny yn - oraz ich pięciu synów, wśród których byli też pięcioletni malcy, a sam sdział w sąsiedniej komnacie, słuchając ich krzyków. Jego następca, nie-ównany Sulejman Wspaniały, zapisał w swoim dzienniku, iż rutynowo ka-ł ścinać głowy swoim żołnierzom za przewinienia takie, jak „wypasanie mi na polach, z których nie zebrano plonów”. Wyrachowane okrucieństwo morzyło istotę przywództwa. Murada Czwartego, na przykład, powszechnie ważano za silnego i odnoszącego sukcesy sułtana. Kiedy pewnego dnia prze-kodziła mu grupa kobiet tańczących w pobliżu wody, kazał je wszystkie opić; a gdy jego główny muzyk przez pomyłkę zagrał perską melodię, na-chmiast ścięto mu głowę. I tak ciągnęła się historia Bliskiego Wschodu \zji Środkowej - od masakry do masakry, od tortur do tortur. Od czasu do :asu „oświecone” siły Zachodu wtrącały się w bieg wydarzeń, poczynawszy 1 wypraw krzyżowych aż po wyczyny Armii Czerwonej. Oni zwykle woleli ibijać na odległość, z łuków, strzelb, potem z samolotów, ale też zostali plątani w ów krwawy łańcuch bez końca.

\ nna Bames wróciła do motelu w Bethesda. W recepcji czekały na nią "V dwie wiadomości, obie tej samej treści: „Zadzwoń jak najszybciej”. Jed-a była od Alana Taylora, druga od Margaret Houghton. Anna nie miała po-:cia, skąd Margaret wiedziała, gdzie ją znaleźć, ani że w ogóle przebywała r Waszyngtonie. Jednak nad ciekawością górę wzięła tęsknota za Taylorem, rię najpierw zadzwoniła do niego. Zastała go w biurze w Rockville, a pół godziny później był już w łóżku obok niej.

- Tęskniłam za tobą za bardzo - powiedziała Anna, kiedy już skończyli ę kochać. Delikatnie bawiła się włosami na jego piersi.

- Niemożliwe - odparł Taylor. - Nie można za kimś tęsknić za bardzo.

247

- Owszem. Kobieta może.

- Ja nie. Tęskniłem za tobą w sam raz.

- W sam raz, żeby nie przespać się z inną podczas mojego wyjazdu?

- Właśnie.

Anna spojrzała na jego nagie ciało wyciągnięte na pościeli.

- Wiesz, że Arabowie mają trzydzieści siedem nazw na to?

- Na co?

- Na penis.

- To typowe. Eskimosi mają pięćdziesiąt różnych słów na określenie śniegu, Arabowie trzydzieści siedem określeń penisa.
- Poważnie. Przeczytałam o tym kiedyś w książce napisanej w szesnastym wieku przez szejka Nefzawiego z Tunezji.
- Chryste! Skąd ty bierzesz te wszystkie dziwaczne książki?
- Z boku X.
- Brzmi interesująco.
- Nie tak bardzo. To po prostu dział w bibliotece, w którym ukryto wszystkie niecenzuralne książki. Trzeba mieć klucz i pozwolenie od dyrektora biblioteki.
- To typowe dla Harvardu. No to jak brzmiały tych pięćdziesiąt siedem określeń? Pamiętasz jakieś?
- Trzydzieści siedem. Owszem, pamiętam kilka, ale wszystkie są dość śmieszne.
- Daj spokój, chcę je usłyszeć.
- No dobrze. Miech, ponieważ zwiększa i zmniejsza objętość. Jedno oko, z przyczyn oczywistych. Łysy, także nie muszę chyba tego wyjaśniać! Śpiący. Pukacz. Łamacz. Beksa. Oszust. Można by wymieniać i wymieniać!
- Którym ja jestem?
- Jeszcze nie wiem. W bibliotece powiedziałabym, że trzeba to jeszcze bliżej zbadać.
- A co sugerowałby szejek Nefzawi?
- Powiedziałby, że kobieta jest jak kwiat, który pachnie tylko wtedy, gdy dotykają go delikatne dłonie. Twierdził, że pod tym względem kobiety przypominają liście bazylii, ale to nie brzmi zbyt seksownie.
- Jako uczeń, chętnie wypróbuję jego metody - powiedział Taylor. Ona uśmiechnęła się i wzięła go za rękę.

Poświęcili się więc dalszym badaniom, przez większą część nocy kochając się albo odpływając w sen i budząc z ochotą na następną porcję. To była długa noc, podczas której dwa obce ciała stopniowo stawały się sobie coraz bliższe, a ich kontakt coraz bardziej intymny. W północy ocierali się o siebie nadzy, aż jedno z nich wyciągało dłoń i pieściło tę drugą osobę, całował w ucho albo opowiadało jakiś głupi dowcip. Oboje obudzili się niewyspani.

mn szczególnie uczuciem wyczerpania i szczęścia, które zawsze towarzyszy zakochującym się w sobie. Zamówili śniadanie do pokoju, zjedli wszystko i natychmiast znowu poszli spać. Anna obudziła się około południa.

- Czy nie powinniśmy pójść do pracy?
- Pieprzyć to - odparł Taylor.

Annie najzupełniej to odpowiadało. Zasnęła jeszcze na dwie godziny, mdyła ją szelest przewracanych stron gazety. Taylor przeglądał „The New York Timesa”.

- Czy mogę cię o coś spytać? - powiedziała, gdy już umyła zęby, wzięła mydło i znalazła się z powrotem w łóżku. - Z iloma kobietami spałeś?
- Nie wiem. Z pięćdziesięcioma. Może ze stoma. Czy to ważne?
- Nie, ale to sporo.
- Wcale nie, jeśli się nad tym zastanowisz.

Anna zastanawiała się chwilę nad tym, co powiedział. Wciąż wydawało się, że to spora liczba. Ona w swoim życiu spała z ośmioma mężczyznami. Pamiętała ich wszystkich, każdy szczegół. Kiedy teraz patrzyła wstecz, nci wydawali jej się chłopcami. Uświadomiła sobie, że Taylor jest być może pierwszym mężczyzną - prawdziwym, dorosłym mężczyzną - z którym się »chała. Była bardzo ciekawa. Chciała poznać tajemniczą historię i geografię jego życia w taki sam sposób, w jaki poznawała jego ciało. Wiedziała, że e lubi o sobie opowiadać, ale mimo to nie mogła przestać o tym myśleć.

- Dlaczego wstąpiłeś do CIA? - spytała po chwili.
- Bo wyglądało mi to na niezłą zabawę, a nie mogłem wymyślić sobie c lepszego do roboty.
- Naprawdę?
- Naprawdę. W głębi serca jestem nihilistą. Sentymentalnym nihilistą. odołała mi się agencja, ponieważ wydała się romantyczna, ale tak naprawdę nic dla mnie nie znaczyła. Uznałem, że lepsze to niż Wietnam.
- Jakie było twoje pierwsze zadanie?
- Wietnam.
- O-o! Co tam robiłeś?
- Byłem oficerem kontrwywiadu w Sajgonie. Pracowałem jak idiota, żeby tylko znaleźć szpiegów z Północnego Wietnamu. Później okazało się, że to wszystko żart. Wtedy jeszcze nie mieliśmy o tym pojęcia, ale większość kra-1 pracowała dla OWP, również wielu spośród naszych tak zwanych agentów.
- A potem?

- Trafiłem do Arabii Saudyjskiej, potem do Somalii, potem do Turcji, otem do Rockville i wreszcie z tobą do łóżka.

- Podobała ci się praca w agencji? - naciskała Anna. Nie chciała po-wolić, aby Taylor tak szybko zmienił temat.

249

i

- Coraz mniej. Prawdę mówiąc, zaczęła już mnie nudzić. W dodał ku ożeniłem się z kimś, kogo niespecjalnie lubiłem, a to jeszcze pogarsza sprawę.

- Doktor Marcus twierdzi, że takich jak ty najłatwiej zwerbować do KGE

- Kim jest doktor Marcus?

- To agencyjny psycholog. Był jednym z instruktorów podczas mojego szkolenia.

- Tak? W takim razie to palant.

- A teraz? Czy teraz praca bardziej ci się podoba?

- Jeszcze kilka tygodni temu chciałem odejść. Teraz mi się podoba. O rana krew szybciej krąży.

- Dlaczego? Co się zmieniło? Przecież praca jest ta sama.

- Mam wrażenie, że w końcu udało mi się trafić do wewnętrznego kr gu, do prawdziwego CIA, które tkwi pod wieloma warstwami śmiecia. Trz ba zobaczyć, jak wszystko się wali, aby przekonać się, że jądro wciąż je nienaruszone. Ja sądziłem, że było martwe.

- A co chcesz robić potem, po sprawie z Karpetlandem? Chcesz zost w Stambule?

- Przestań zadawać mi tyle pytań. Przypominasz moją byłą żonę. - P chylił się ku niej i chwycił za gumkę majteczek, które dopiero co włożyła. Lepiej chodź się kochać - powiedział.

- Wszystko mnie boli.

- Na to jest tylko jedno lekarstwo - stwierdził, zdejmując jej figi. M rację. Był tak delikatny i kochający, że chwilami Anna drżała na myśl, jak by było bez niego.

Margaret zadzwoniła następnego dnia rano do biura Karpetlandu. Am było głupio. W ciągu trzydziestu sześciu godzin od chwili, gdy otrzym wiadomość Margaret, zupełnie o niej zapomniała. Głos starszej koleżai brzmiał płasko i był pozbawiony emocji, jakby jej myśli zajmowały spra\ o których chciała porozmawiać, ale nie przez telefon. Margaret zapropoi wała wspólną kolację tego samego dnia wieczorem. Anna zgodziła się, cł wolałaby spędzić ten wieczór sam na sam z Taylorem w łóżku. Na miej spotkania wybrały skromną włoską restaurację w Bethesda. Na środku knajpki stała fontanna z gipsowymi cherubinkami, a właściciel na prośbę kii tów śpiewał „That's Amore”.

Anna cieszyła się, że zobaczy Margaret, poza tym była więcej niż cie wa, w jaki sposób ciotka Margaret, dystygowana stara panna służb wyv dowczych, odkryła, że Anna jest w Waszyngtonie. Od

kogo dostała nui telefonu biura w Rockville, które podobno miało pozostać wielką tajemni
Dziewczyna miała ochotę zapytać starszą kobietę, kto zdradził jej ten sek

250

; jednocześnie nie chciała tego wiedzieć. Zamiast tego zaczęła opowiadać o Londynie. Margaret w końcu nie wytrzymała.

- Martwię się o ciebie - powiedziała, kiedy kelner przyniósł im butelkę liego włoskiego wina. - W co ty się wplątałaś?
- Naprawdę nie mogę o tym rozmawiać. To sekret.
- Czyżby? No, no! Jak teraz dzieciaki szybko dorastają.
- Daj spokój, ciciu. To nie fair. Ty przez całe życie miałaś swoje tajem-|ce.
- Nie chcę się wtrącać, ale muszę ci powiedzieć, że to, co słyszałam waszej działalności, bardzo mnie niepokoi.
- A co słyszałaś?
- Podobno trafiłaś do jednego ze schematów Edwarda Stone'a.
- Jakim cudem to do ciebie doszło? To, co robimy, miało być otoczone isłą tajemnicą.
- Nie bądź naiwna, kochana. W agencji nie ma prawdziwych sekretów, naszej pracy sekrety są towarem. Produkuje je, konsumujemy, a czasu-

1 wymieniamy na coś innego. Anna zapaliła papierosa.

- Co dokładnie o tym wiesz? Albo co wydaje ci się, że wiesz?
- Pracujesz dla Stone'a w projekcie związanym z narodowościami so-ieckimi.
- Bez komentarza.
- No i jeszcze ten przeciek. To zwróciło uwagę Anny.
- Jaki przeciek? Nic o tym nie wiem.
- Istnieje pewna międzyagencyjna komisja, która nadzoruje operacje CIA jtyczące Związku Radzieckiego. Nazywa się radziecką grupą roboczą albo coś podobnie.
- Nigdy o niej nie słyszałam.
- Stone powinien ci o niej powiedzieć, ale nie zrobił tego z oczywistych rzyzyn.

- Z jakich oczywistych przyczyn?
- Ta interagencyjna komisja powstała po to, aby takich jak Stone podtrzymywać przed przekraczaniem pewnych granic.
- Przestań mnie zwodzić. To poważna sprawa. Mówiłaś, że jest jakiś rzeciek. O co chodzi?
- Na razie o nic wielkiego. Ktoś z Departamentu Stanu usłyszał plotki, że jencja prowadzi tajne operacje związane z narodami Związku Radzieckiego, rzeźli się tym, ponieważ Departament Stanu nie aprobeuje takich działań.
- Wiem o tym.
- W takim razie nie zaskoczy cię to, że Departament Stanu wysłał do gencji zapytanie swoim kanałem, czyli za pośrednictwem owej radzieckiej

251

grupy roboczej, a oficjalna odpowiedź, jaka do nich wróciła, mówiła, że plotki są fałszywe. Agencja nie prowadzi żadnych nowych operacji z sowieckimi narodowościami.

- Rozumiem - powiedziała Anna.
- Ale to przecież bzdura, prawda?
- Proszę, ciociu. Nie naciskaj. Powiedziałabym ci o tym, gdybym tyłk mogła.
- Uważaj na siebie, kochana. Tylko tyle chciałam ci przekazać. Bądź bardzo ostrożna. To naprawdę jest znacznie bardziej niebezpieczne niż ci zdaje. Nie tylko dla ciebie i twojej kariery, ale też dla innych, którzy na tob polegają.
- Myślę, że martwisz się tym bardziej niż powinnaś - powiedziała Ani łagodnie. -Nie mogą powiedzieć ci nic o tym, czym się zajmują, ale przyrzekam, że Stone nie prowadzi żadnego „rzeczywistego” tajnego programu z i dzaju tych, o jakich wspomniałaś.
- Jak to, „rzeczywistego”? Czyżby wymyślił tajną operację na niby?
- Przykro mi. Już ci mówiłam, że nie mogą o tym rozmawiać.
- W takim razie powtórzę tylko ostrzeżenie: bądź ostrożna.
- Dlaczego jesteś taka zdenerwowana, Margaret?
- Ponieważ masz to wypisane na twarzy. Spojrzenie twoich oczu, kol skóry. Zachorowałaś, kochana, na podniecenie jakimś bardzo tajemniczym i bardzo egzotycznym zadaniem. Cieszę się, że to

właśnie ty. Tylko mus cię uprzedzić: mężczyźni tacy jak Stone są najbardziej atrakcyjni, gdy lek wymykają się spod kontroli. Jednak są wtedy również najbardziej nieb« pieczni.

- Doprawdy, ciociu, chyba trochę przesadzasz. Jeżeli nie można ul takim ludziom jak Stone, to komu można?

- Moja droga - Margaret pokręciła głową. - Obawiam się, że jesteś st eona w tej grze. Jesteś w branży dopiero od sześciu miesięcy, a już zaczyni mówić tak jak Stone. Lepiej zamówmy coś do jedzenia, dobrze?

- Straciłam apetyt - powiedziała Anna ponuro.

Odzyskała jednak humor kilka minut później, po kolejnym kieliszku wi

słuchając jak Margaret opowiada długą historią młodej agentki, której n zginął na służbie. Kierując się rozpaczą i pragnieniem zemsty, kobieta ta uczyła się rosyjskiego i zgłosiła na ochotnika do służby w moskiewskiej a basadzie. Mandaryni bardziej niż chętnie dali jej tą pracę. Akurat tego rc szukali kobiet, aby zastąpić te, które wykruszyły się w „zakazanych reg nach", takich jak Moskwa. Ta kobieta nie miała tylko pojęcia, że centr moskiewskie obserwowało ją od chwili, gdy wylądowała na lotnisku Sz(metiewo. W końcu ją przyskrzynili, kiedy próbowała zwerbować agei Zwołali wtedy konferencją prasową i pokazali zdobycze: jednorazowa pi pustka, tajny sprzęt szyfrujący, a nawet kapsułka z trucizną. To było ws

252

—

/

grapy roboczej, a oficjalna odpowiedź, jaka do nich wróciła, mówiła, że plotl są fałszywe. Agencja nie prowadzi żadnych nowych operacji z sowieckin narodowościami.

- Rozumiem - powiedziała Anna.

- Ale to przecież bzdura, prawda?

- Proszę, ciociu. Nie naciskaj. Powiedziałabym ci o tym, gdybym tyłk mogła.

- Uważaj na siebie, kochana. Tylko tyle chciałam ci przekazać. Bąc bardzo ostrożna. To naprawdę jest znacznie bardziej niebezpieczne niż ci s zdaje. Nie tylko dla ciebie i twojej kariery, ale też dla innych, którzy na tob polegają.

- Myślę, że martwisz się tym bardziej niż powinnaś - powiedziała Ani łagodnie. - Nie mogę powiedzieć ci nic o tym, czym się zajmuję, ale przyrz kam, że Stone nie prowadzi żadnego, rzeczywistego" tajnego programu z r dzaju tych, o jakich wspomniałaś.

- Jak to, rzeczywistego"? Czyżby wymyślił tajną operację na niby?

- Przykro mi. Już ci mówiłam, że nie mogę o tym rozmawiać.
- W takim razie powtórzę tylko ostrzeżenie: bądź ostrożna.
- Dlaczego jesteś taka zdenerwowana, Margaret?
- Ponieważ masz to wypisane na twarzy. Spojrzenie twoich oczu, ko skóry. Zachorowałam, kochana, na podniecenie jakimś bardzo tajemniczy i bardzo egzotycznym zadaniem. Cieszę się, że to właśnie ty. Tylko mus cię uprzedzić: mężczyźni tacy jak Stone są najbardziej atrakcyjni, gdy lek wymykają się spod kontroli. Jednak są wtedy również najbardziej niebi pieczni.
- Doprawdy, ciociu, chyba trochę przesadzasz. Jeżeli nie można u takim ludziom jak Stone, to komu można?
- Moja droga - Margaret pokręciła głową. - Obawiam się, że jesteś st eona w tej grze. Jesteś w branży dopiero od sześciu miesięcy, a już zaczyn mówić tak jak Stone. Lepiej zamówmy coś do jedzenia, dobrze?
- Straciłam apetyt - powiedziała Anna ponuro.

Odzyskała jednak humor kilka minut później, po kolejnym kieliszku wi słuchając jak Margaret opowiada długą historię młodej agentki, której c zginął na służbie. Kierując się rozpaczą i pragnieniem zemsty, kobieta ta uczyła się rosyjskiego i zgłosiła na ochotnika do służby w moskiewskiej i basadzie. Mandaryni bardziej niż chętnie dali jej tę pracę. Akurat tego n szukali kobiet, aby zastąpić te, które wykruszyły się w „zakazanych rej nach”, takich jak Moskwa. Ta kobieta nie miała tylko pojęcia, że centi moskiewskie obserwowało ją od chwili, gdy wylądowała na lotnisku Sz metiewo. W końcu ją przyskrzynili, kiedy próbowała zwerbować age Zwołali wtedy konferencję prasową i pokazali zdobycze: jednorazowa p pustka, tajny sprzęt szyfrujący, a nawet kapsułka z trucizną. To było w;

252

e przedstawienie. Biedna kobieta wróciła do domu potwornie zawsty-na.

- Ktoś powinien był ją ostrzec - powiedziała Anna.
- Przed czym?
- Żeby nie dała się złapać.

30

I / olna przestrzeń w biurze Karpetlandu po jakimś czasie zapełniła się V segregatorami, pudłami, taśmami, manifestami i ulotkami drukowa-mi w rozmaitych językach ludów Azji Środkowej, które codziennie przy-ano z tajnych drukarni i studiów nagrań z całego Waszyngtonu. Pocho-enie tych materiałów było okryte tajemnicą. Nie zamówili ich Taylor ani ma, a już z pewnością nie zrobiła tego Maijorie. Pozostał więc tylko Sto-który jak zwykle był niewidzialny.

Maijorie usunęła pudła z kanap w tyle pokoju, robiąc miejsca do siedze-, Stone miał wkrótce przybyć na spotkanie, aby omówić coś, co niejasno reślił jako „fazę drugą”.

Anna pierwsza weszła na schody. Taylor pojawił się kilka minut później. e musieli się wysilać, Maijorie była tak zajęta sprzątaniami, że w ogóle nie uważała, czy przyszli osobno, czy razem. Usiedli na różnych kanapach, słońce- ci pudłami z egzemplarzami Koranu, które tydzień wcześniej przy-ino z Paki- stanu.

Anna wyglądała na zmęczoną i zamyśloną. W ciągu kilku dni, które upły-y od wspólnej kolacji z Margaret, zastanawiała się nad swoim życiem oso-:tym i zawodowym. W tamtej włoskiej restauracji robiła dobrą minę do złej y, ale rozmowa z ciotką przerwała w niej jakąś tamę. Od tamtej pory spała spokojnie - wciąż przewracała się w z boku na bok, rozmyślając nad tym, cąd prowadziły jej kroki. Większą część zeszłego tygodnia Taylor spędził 'fowym Jorku, co dało Annie więcej czasu na przemyślenia i rozważania Id światem w chłodnym, płaskim świetle dnia. Żeby jakoś zabić czas, czyta o służbach wywiadowczych Abdula Hamida, czyli tak zwanych hami-ye, w nadziei, że lektura podsunie jej pomysły, jak zorganizować siatkę Azji Centralnej. Jednak czytając odnosiła wrażenie, że jedynym widocz-rm sukcesem Abdula Hamida było organizowanie pogromów Greków i Or-ian. Wprawiło ją to w jeszcze gorszy nastrój.

Anna nie bała się ani nawet za bardzo nie przejmowała sytuacją; przede szystkim nie wiedziała, co ma o niej myśleć. Podczas jednej z niespokoj-

253

nych nocy uznała, że nadszedł czas, aby opowiedzieć o swoich obawach obij kolegom i współpracownikom. A gdyby to, co miała powiedzieć, nie spodo bało się im albo gdyby uznali, że jest typową słabą kobietką, bo zadaje pyta nia, to trudno.

- Witajcie, przyjaciele - powiedział wesoło Stone, wchodząc do biura |
- Cześć, szefie - odparł Taylor.

Anna nie odezwała się. Do jej wielu obaw dołączyło zmęczenie niezmie ną grzecznością i uprzejmością Stone'a.

- A zatem dziś nadszedł ten dzień - stwierdził Stone, gdy wszyscy troj| zajęli miejsca na dwóch wielkich kanapach w głębi pomieszczenia.
- Jaki dzień? - spytała Anna.
- Dzień ustalenia porządku bitwy, moja droga, i obrania dalszej dróg Nadszedł czas na omówienie wielu spraw, jak mawiał inspektor Mors kogoś tam.
- Do Cieśli - podpowiedziała Anna.
- Dziękuję ci. A zatem, Alanie, jak wygląda sprawa pana Munzera?
- Munzer wszedł na pokład - odparł Taylor. - Odbyłem trzy podróże < Brooklynu, żeby się z nim zobaczyć i udało nam się dojść do porozumieć
- Co postanowiliście?

- Zostanie naszym agentem kontraktowym na sześć miesięcy. Zapła my mu sześć tysięcy miesięcznie plus wydatki.
- A ostateczne rozliczenie?
- Dostanie rentę tysiąc dolarów miesięcznie po skończeniu sześć sięciu lat, czyli za rok, pod warunkiem, że podpisze odpowiednie papid i będzie trzymał język za zębami. Twierdzi, że i tak jesteśmy mu to winni| to wszystko, co dla nas robił w latach pięćdziesiątych, chociaż Maijorie i wiła, że personalny nie znalazł w aktach nic na temat wypłacanej mu i pensji. Według mnie powinniśmy to chrzanić i po prostu zapłacić mu.
- W porządku. Obiecywałeś mu coś jeszcze?
- Nie w kwestii finansów.
- A w kwestii duchowej?
- Nawijałem tak jak zwykle, wciskałem mu gadki na temat dobrej spraj
- Czyli dokładnie co?
- Mówiłem o wyzwoleniu Turkiestanu spod władzy Rosjan i o tym,| to my go nigdy nie zdradzimy. Takie tam. Był zadowolony kiedy usł w radiu ten wiersz, ale mimo to zaczął pękać, kiedy musiał podjąć decyzję o ponownej współpracy z agencją. Dlatego odstawiłem dla niego małe pr stawienie przy pomocy kumpla z wydziału Bliskiego Wschodu, który by winien przysługę. Przedstawił on Munzerowi raport o sytuacji w Azji! kowej. Nagadał, jak to muzułmanie łączą się, aby pokonać ateistów i| wiernych. Munzerowi bardzo się to podobało.
- Jak sądzi, co będzie dla nas robił?

254

- Będzie wyzwał Turkiestan.
 - I przypuszcza, że wszystko dzieje się naprawdę?
 - Oczywiście.
 - Czy zacznie głośno krzyżeć, kiedy wyciągniemy korek i wszystko dzie na jaw?
 - Pewnie go to nie uszczęśliwi, ale co z tego? Twierdził, że CIA już go zdradziła dwadzieścia pięć lat temu. Po co więc ktoś miałby zawracać ie nim głowę teraz?
 - Mmm - mruknął Stone. - Według mnie to wygląda dość rozsądnie, ękuje ci.
- Anna ugryzła się w język. Chciała coś powiedzieć, ale jeszcze nie nade-i jej kolej, a Munzer Ahmedow nie był jej agentem. Stone chyba wyczuł)okój dziewczyny, bo zwrócił się do niej.
- A ty, droga Anno? Czy z Frankiem Hoffmanem wszystko załatwione?

- Tak sądzę. Podpisał kontrakt, ale odmawia przyjęcia od nas jakichkolwiek pieniędzy. Mówi, że jest już wystarczająco bogaty.
- Kiedy przekażesz mu pana Ascariego?
- Za tydzień, w Atenach. Ascari przyleci tam z Londynu.
- A co ty sądzisz o Hoffmannie?
- Podoba mi się bardziej, niż się spodziewałam na początku. Nie owija zęgo w bawełnę. - Chciała, żeby zabrzmiało to uszczypliwie, ale Stone ścił jej uwagę mimo uszu.
- A zatem wszystkie kawałki układanki trafiły na swoje miejsce. Ozna-to, że już czas, abyśmy przeszli do następnego etapu.
- Przepraszam... - wtrąciła Anna. Czuła, jak mocno wali jej serce.
- Tak, moja droga?
- Chciałabym o coś zapytać.
- Oczywiście. O co chodzi?
- Jaka jest opinia Departamentu Stanu na temat naszej operacji?
- Departamentu Stanu? Dlaczego pytasz?
- Zastanawiałam się tylko. Sądziłam, że ich polityka sprzeciwia się wtrą-niu w sprawy narodowości Związku Radzieckiego. Prawdę mówiąc, pa-iętam nawet, jak podczas pierwszej rozmowy, jaką odbyliśmy w motelu zy autostradzie międzystanowej, padło zdanie, że Departament Stanu oba-ia się, iż wszystko, co jest związane z tamtejszymi mniejszościami, może >ciągnąć za sobą problemy z Moskwą.
- Powiedziałem chyba wtedy o wojnie nuklearnej. Owszem, obawiają ę, że mogłoby to doprowadzić do wojny atomowej, ale to oczywiście non-įns. Masz jednak zupełną rację. Takie właśnie jest ich zdanie.
- Tak. I biorąc to pod uwagę, uważasz, że sprzeciwiliby się naszej operacji?
- Jestem pewien, że zrobiliby to, gdyby o niej wiedzieli. Na szczęście e mają o niczym pojęcia.

255

Jt

Anna czuła, że jest coraz bardziej spięta. Bała się, że jeżeli będzie nala gała zbyt mocno, Stone skłamię, a wtedy ona zostanie zmuszona do podjęci | decyzji. Musiała jednak spytać. Przyrzekła to sobie.

- Czy to pewne, że dotąd Departament Stanu nie wyraził swojego sprzeciwu?

- Niech pomyślę - odparł Stone, uważnie studiując twarz dziewczyn| Anna wstrzymała oddech.
-Przypomina mi się tylko jedna sprawa. Podobno jeden z ich ludzi słyszał plotki, że agencja coś planuje i zapytał o to nas. oficjalne biuro, które z absolutną szczerością odpowiedziało, że to bzdura. Dlaczego o to pytasz? Zastanawiasz się, kto zlecił całą tę operację?

- Trochę.

- To naturalne - powiedział łagodnie. - Powinnaś się tym przejmować ale wiesz, że nie jesteśmy sami. Zapewniam cię, że nie prowadzimy tej operacji samodzielnie. Działamy na wyraźne zlecenie Białego Domu.

- Czyli prezydenta?

- Jego doradcy do spraw bezpieczeństwa narodowego, a to właśnie I samo. Mamy pełnomocnictwo najwyższego szczebla. Nie w linii prostej, f prawda, ale gwarantuję ci, że prawdziwe.

Anna wydała z siebie długie westchnienie ulgi.

, - To wspaniale. Nie miałam pojęcia.

- Przepraszam, myślałem, że wcześniej o tym wspominałem.

- Nie, nie sądzę.

- W takim razie cieszę się, że poruszyłaś tę sprawę. Musimy zachować wielką ostrożność co do legalności naszych działań. Niestety, żyjemy w 1 inie pigmejów, którzy bardzo pragnęliby przytąpać nas na naruszaniu ich zasad. Dlatego musimy być bardzo ostrożni, zwłaszcza teraz. Koniecznie specjalnymi prośbami o transmisje radiowe z Monachium. Alan na krótko potrzebował pomocy mojego przyjaciela, który pracuje w tamtejszej służbie ale obawiam się, że już tego nie powtórzymy.

- Dlaczego? - zapytał Taylor. - Radio mogłoby nam bardzo pomóc

- Niestety, rząd w Monachium wydał nowy przepis zabraniający i wania jakichkolwiek antyradzieckich materiałów.

- W jaki sposób się dowiedzieli?

- Ktoś okazał się zbyt nieostrożny, a może to Rosjanie zaprotestowali. Nie wiemy. Ktoś jednak musiał dmuchnąć w gwizdek. Sprawa stała się | cjalna.

- Czego jeszcze nie wolno nam robić? - chciał wiedzieć Taylor.

- O, nieba! - Stone wyrównał krawat, upewniając się czy oba końce tej samej długości. - Pozwólcie, że się zastanowię. O jednej fazie tej operacji nie wspominałem żadnemu z was, ponieważ jest ona zbyt nudna. Chi o zbieranie danych o mniejszościach narodowych Związku Radzieckiego! Chciałem dotrzeć do religijnych i politycznych materiałów podziemia f

Kłkovej i Kaukazu, które pozwoliłyby nam lepiej zorientować się, co już działo w tym regionie, tak aby nasze materiały propagandowe pasowały reszty. Obawiam się jednak, że teraz już nie będzie to możliwe.

- Dlaczego nie? - spytała Anna.

- Z tych samych powodów co zawsze. Ktoś w biurze zaczął zadawać ania.

- Ale co w tym złego? Dlaczego oficjalne biuro nie może o niczym wie-eć, skoro projekt zyskał aprobatę Białego Domu?

- Ponieważ jest to tajny program, moja droga. Poza tym sprawa jest jzwykle drażliwa i dlatego zajmujemy się nią poza zwykłymi kanałami żbowymi. Jak już wam mówiłem, mamy upoważnienie, ale wszystko chę się chwieje. Niektórzy o wszystkim wiedzą, a inni, ci, którzy właści-e powinni zostać poinformowani, nie mają o niczym pojęcia. Rozumie-

- Chyba tak - odparła Anna.

- To dobrze. W takim razie zabierajmy się do pracy. - Stone wstał z kapy i ręką wskazał pomieszczenie biura zastawione pudłami. - Na pewno stanawialiście się, skąd w waszym biurze tyle śmieci. Otóż zamierzam was az krótko oprowadzić po wszystkim.

Podeszli do wieży z sześciu pudeł stojącej pośrodku pokoju, obok skrom-j kolekcji orientalnych dywanów Karpelandu. Stone otworzył jedno i wy-1 z niego niewielką broszurę, dwanaście na siedemnaście centymetrów. Na tułowej stronie widniał tytuł napisany cyrylicą. Stone podał jąTaylorowi.

- To dla ciebie, Alan.

- Co to jest, do diabła?

- To, mój przyjacielu, klasyka. Manifest zatytułowany Turkiestan pod iwieckim jarzmem, napisany w tyśiąc dziewięćset trzydziestym piątym roku zez niejakiego Mustafę Chokaya. Pozwoliłem sobie powielić go w rozmia-e, który zmieści się do kieszeni kurtki przewoźnika na Morzu Kaspijskim jasterza owiec w dzikich górach Tien-Szan.

- Skąd wiesz o Mustafie Chokayu? - spytał Taylor.

- Po prostu wiem. Nie jestem kompletnym idiotą.

- Chokay to bohater Munzera. Jerzy Waszyngton i Abraham Lincoln jednej osobie. Wiedziałaś o tym?

- Owszem, słyzałem.

- Od kogo?

- Lepiej nie traćmy czasu na szczegóły. Chyba nie sądzisz, że jesteś pierw-zym agentem, który pracuje z Munzerem Ahmedowem?

- W takim razie co mamy zrobić z tymi materiałami? - Taylor wskazał tertę pudeł.

- Chciałbym, abyś wspólnie z panem Munzerem wziął jedno pudło do tambułu. Tam zajmiecie się ich dystrybucją w taki sposób, aby kilka wpa-

7-Siro

257

dło w ręce twojego przyjaciela, pana Rawlsa. To będzie przynęta, niewielki ślad antyradzieckiej propagandy. Gwarantuję ci, że Rawls popłynie za ni jak ryba za światłem.

- I co potem?

- Potem nastąpi trudniejsza część zadania, więc oczywiście zamierza pozostawić ją tobie. Rawls musi natrafić na Munzera sądząc, że natknął się na turkiestańską organizację podziemną, wcześniej mu nie znaną. Muru powinien rozgłosić, że jego „organizacja”, prócz wielu różnych działań, zajmuje się także szmuglowaniem takich broszur na teren Turkiestanu. Sa dopracujesz wszelkie szczegóły. Jestem pewien, że w takich sprawach ma znacznie więcej sprytu niż ja. Dam ci tylko jedną radę: nie podtykaj nic Rawlowi pod sam nos. Każ mu trochę pogłótkować. Niech sam złoży element układanki. Inaczej nigdy nie uwierzy, że to prawda.

- A co z resztą pudeł? Mówisz, że do Stambułu bierzemy tylko jędr ale zostaje jeszcze pięć.

- Reszta, drogi chłopcze, pojedzie do Związku Radzieckiego.

- Jak?

- Prawdopodobnie przez Afganistan. Mamy w Pakistanie przyjaciół, którzy współpracują tamtejszymi rebeliantami. Współdziałają już od wielu miesięcy. Nie powinni mieć żadnych problemów z przetrzuceniem ulotek po granicę afgańską. Jedno pudło do Duszanbe w Tadżykistanie. Drugie do Taškentu w Uzbekistanie. Pudło do Aszchabadu w Turkmenii. Słyszałem, afgańska granica jest dość przepuszczalna. A jeżeli Sowieciom uda się złać naszych małych przemytników w drodze, tym lepiej dla nas.

- Zręcznie.

- Dziękuję. Chyba możemy kontynuować zwiedzanie, prawda? - Stc przeszedł kilka kroków w kierunku mniejszej sterty pudełek, obok stołu, którym leżała kolekcja próbek wykładzin Karpelandu. Tak jak poprzednio otworzył jedno z nich i wyjął książkę. Miała te same rozmiary co broszura ale na okładce arabskim pismem wykaligrafowano pierwszą surę Korana. Poniżej widniał tytuł książki zapisany cyrylicą w języku tureckim.

- Proszę. - Stone podał książkę Annie. - Ta jest dla ciebie. Przecz) nam tytuł, jeśli mogę cię prosić.

- Przewodnik po świętych miejscach Azerbejdżanu i północnego Kazachstanu - przeczytała Anna.

- Książki przeznaczone są dla twojego przyjaciela, pana Ascariego. to przewodniki po islamskich świątyniach. Cudowne miejsca! Skała w w sce o nazwie Buznowa w Azerbejdżanie, na której podobno

widnieje ode stopy Alego. Góra Szalbusz Dagh w Dagestanie, po której prorok miał koi wjechać do nieba, pozostawiając za sobą ślady kopyt. Wspaniałe! Książka zawiera też listę grobów różnych męczenników sufi, którzy zginęli w walce z Sowietami. To naprawdę świetna pozycja. Ulepszona wersja tej, którą

258

m

rowałaś Ascariemu w Stambule kilka miesięcy temu, a która, jak sądzę, rdo mu się spodobała.

Anna przytaknęła.

- Ascari chciałby uchodzić za bardzo religijnego.
- W takim razie ta również przypadnie mu do gustu. Mamy pięć tysięcy zemplarzy. Chciałbym, abyście razem z Frankiem załatwili z Ascariem prze-lcienie ich przez irańską granicę do Azerbejdżanu. Człowiekowi o kupiec-ch zdolnościach pana Ascariego nie powinno to przysporzyć wielu proble-ów. I tutaj także, jeśli złapią go z towarem, może to nawet pomóc nam osiągnięciu celu.
- A co poza tym? - spytała Anna.
- Będziemy wysyłać osobnymi kanałami ulotki nawołujące do demon-acji i rozrzucac je w wielu świątyniach w Azerbejdżanie. To samo zrobi-y w Uzbekistanie, Alan.
- Czy ludzie rzeczywiście zdecydują się demonstrować? - chciała wie-rieć Anna.
- Mam nadzieję, że przynajmniej część tak. Wystarczająco wielu, aby yglądało to wiarygodnie.
- Co się z tymi ludźmi stanie?
- Podejrzewam, że zostaną aresztowani.
- Czy to was nie martwi?
- Nie. A powinno?

Zanim Anna zdążyła odpowiedzieć, Stone otworzył kolejne pudło i po-ał kilka tuzinów ulotek Taylorowi.

- Będą ci potrzebne w Stambule, Alanie. Munzer może zostawić kilka v miejscach, gdzie odkryje je ktoś przedsiębiorczy.
- Dobry, stary Munzer. Pomyśli, że umarł i poszedł do nieba - stwier-ził Taylor.
- A teraz niech się zastanowię, co jeszcze mam tutaj dla was? - Stone lodszedł do kupy mniejszych kartonów ustawionych przy bocznej ścianie liura. Otworzył jeden i wyciągnął dwie kasety zapakowane w tanie plastiko-ve pudełka z rosyjskimi naklejkami. - Te wam się spodobają - powiedział, wręczając po jednej każdemu z nich.
- Syberyjski Chór Ludowy - powiedziała Anna, tłumacząc napis na na-dejce. - Chyba żartujesz.

- Oczywiście, że tak. Taśmy te zawierają nagranie kazania wygłoszonego przez mułłę Wahhabitów w Rijadzie na temat upadku komunizmu. Wspaniały materiał! Piekielnie dobry. Grzesznicy na łasce rozgniewanego Boga. Moi pa-dstańscy przyjaciele wezmą do siebie tysiąc takich taśm i przerzucą przez Afganistan. Mam też kilka dla ciebie, Alan. Masz je zabrać do Stambułu.

- Allahu-akhbar! - powiedział Taylor. Anna wzdygnęła się. Islamska strona tej operacji zaczynała jej przeszkadzać.

259

- Koran! - wykrzyknął Stone. - O mało nie zapomniałem! Mamy Konny w małym formacie, z Pakistanu. Tysiące egzemplarzy. Trochę w tym ma pułk naszych saudyjskich przyjaciół, którzy potajemnie wysyłali Koran do muzułmańskich republik przez ostatnie kilka lat. Chyba robili to głównie za pośrednictwem muzułmańskich marynarzy, chociaż nie jestem pewien czy kiedykolwiek spotkałem jakiegoś muzułmańskiego marynarza. Tak czy inaczej, Saudyjczycy zwiększą dostawy w ciągu następnych kilku miesięcy. W Moskwie pomyślą, że ktoś wypowiedział świętą wojnę.

- Edwardzie - przerwała mu Anna. - Przepraszam, ale coś mi tutaj nie pasuje.

- Co znowu? - Tym razem Stone nie powiedział tego łagodnie.

- Dlaczego mamy współdziałać wyłącznie z muzułmanami mieszkającymi w Związku Radzieckim? Jest jeszcze wiele innych narodów, które chcą odzyskać niezależność.

- Pracujemy z nimi, ponieważ to oni są naszymi atutami, Anno. Ten gra się toczy kartami muzułmańskimi. Sowietom utrudniają nam życie w Iraku, Afganistanie, Pakistanie, Turcji i na całym nieszczęsnym terytorium arabskim. Chcemy im przypomnieć, że kartą islamską gra się w obie strony.

- Ale to obrzydliwa gra!

- Słucham? - Stone przyłożył dłoń do ucha.

- Nie chcę tutaj wygłaszać kazania, ale w tej części świata ekstremizm religijny jest problemem, a nie rozwiązaniem. Chrześcijanie i muzułmanie już od wieków skakali sobie do gardeł. Powód jest taki, że każda grupa - niczna zawsze decyduje się na jednostronne rozwiązania. Turkiestanie muzułmanom zależy wyłącznie na Turkiestanie. Ormiańskim chrześcijanom wyłącznie na Armenii. Nikt nigdy nie próbował ich pogodzić.

- Jestem pewien, że masz rację, moja droga. To potworna sprawa, pomyśl i tak dalej. Niestety, nie widzę nic, co my moglibyśmy w tej sprawie zrobić.

- Możemy wciągnąć w naszą operację kilku Ormian. Albo Gruzinów choć lepiej byłoby znaleźć ludzi z Armenii.

- To nierealne.

- Dlaczego nie?

- Ponieważ Uzbegy i Azerowie nie lubią Ormian.

- I co z tego? Jeżeli sprzeciwimy się tradycyjnym podziałom, tym lepi Tym bardziej przestraszymy Sowietów.
- Dlaczego tak sądzisz? - spytał Stone, patrząc na nią coraz bardz błyszczącymi oczami. Był skłonny wziąć pod uwagę wszystko, co tylko n głoby wywołać u Sowietów zgagę.
- Ponieważ Moskwa najbardziej obawia się tego, że pewnego dnia etniczne grupy zjednoczą się i zaczną strzelać do Rosjan. Dlatego właśi KGB tak bardzo stara się, aby narody te pozostały w stosunku do siebie [

260

rzliwe. Turcy osmańscy postępowali dokładnie tak samo. Dzielili i rzą-li. Jeżeli naprawdę chcemy napędzić strachu moskiewskiemu centrum, vinniśmy udowodnić im, że istnieje podziemny ruch, który łączy Ormian żerów.

- Co masz na myśli?
- Musimy odtworzyć złoty okres sprzed roku tysiąc dziewięćset czter-tego. Wtedy wszystkie ludy w tej części świata wspólnie powstały prze-ko swoim imperialistycznym władcom. To nie jest niemożliwe. Historia takie przypadki.
- Brzmi to dość... utopijnie. - Stone wymówił ostatnie słowo tak, jakby ało ono kwaśny smak.
- A co w tym złego? Jeżeli dążymy do stworzenia wyimaginowanej sie-dlaczego nie mielibyśmy stworzyć idealnej? Tak jak mówiłam, to najlep-y sposób, żeby zafundować Rosjanom atak serca.
- Kuszący pomysł. Niestety, trochę już za późno, aby dodać coś do opra-wanego zestawu. Zachowajmy to na inny raz.
- Nie będzie innego razu.

Stone pokręcił głową niczym surowy ojciec. Spojrzał na zegarek.

- Mamy jeszcze inne sprawy do omówienia. Czy naprawdę aż tak bar-o ci na tym zależy?
- Tak. Ten problem nie daje mi spokoju już od niemal dziesięciu lat. Ma dla mnie wielkie znaczenie. I wiem, co robię.
- Dobrze. - Stone'a ta dyskusja zaczynała już męczyć. - Przypuśćmy, dostaniesz kierownictwo działem ormiańskim. Odpowiadałoby ci to?
 - Co by to oznaczało?
 - Mogłabyś wymyślić jakiś skuteczny sposób wciągnięcia Ormian w na-ą małą szaradę. Potem ja spróbuję we wszystko cię wprowadzić. Czy to idług ciebie sprawiedliwa propozycja?
 - Chyba tak.
 - Masz jakieś wątpliwości, Alan?
 - Nie.

- Jak mam znaleźć nazwiska Ormian, których mogłabym zwerbować?
- Poproszę Marjorie, żeby załatwiła ci wszystkie aktualne sprawy, które amy w rejestrze. Wyciągniemy akta wybranych osób i dostarczymy ci naj-ażniejsze dane. To zajmie kilka tygodni. Możesz się wszystkim zająć, kie-

wrócisz z Aten. Czy to ci odpowiada?

- Tak - odparła Anna. Czują, że odniosła przynajmniej chwilowe zwycięstwo; zyskała szansę namalowania własnego płótna, a nie tylko nanoszenia na niego projektu Stone'a. Przeprosiła obu panów i na chwilę wyszła do izienki.

- Alan - powiedział Stone, gdy miał pewność, że dziewczyna już ich nie usłyszy. - Mógłbyś wpaść do mnie do domu dzisiaj wieczorem?

261

- Nie ma sprawy. A o co chodzi?
- Chciałbym z tobą na osobności omówić pewien mały interes.
- Gdzie mieszkasz?

Stone zapisał swój adres przy ulicy N w Georgetown i dał kartkę Taylorowi.

- Wpadnij około siódmej. To pora w sam raz na koktajl.

Anna wróciła, wciąż uśmiechnięta od ucha do ucha. Usiadła na kanapie a stopy po raz pierwszy oparła o niski stolik.

- Mam jeszcze jedną małą niespodziankę dla was, a potem muszę iść zacząć Stone.
- No, no! - powiedziała Anna.
- Nie ma się czym przejmować. Ta niespodzianka na pewno się wam spodoba. Myślałem nad nią już od tygodni.
- Strzelaj.
- Alan, czy pamiętasz ten osmański fotel zakupiony przez radzieckiej konsula generalnego w Stambule, w którym razem z tym technikiem z At zainstalowaliście podsłuch?
- Oczywiście, że go pamiętam. Jak mógłbym zapomnieć o tym pieprzonym, idiotycznym fotelu? Co za strata czasu.
- Zaraz, zaraz. Nie oceniaj tego zbyt pochopnie. Dzięki temu fotelo dziś razem pracujemy. Z tego, co pamiętam, konsul wysłał go do domu, < Alma Aty.
- Zgadza się. Podarował go pierwszemu sekretarzowi partii w Kazać stanie jako pewien rodzaj łapówki.

- A ty postanowiłeś o wszystkim zapomnieć.
- Pewnie. Co moglibyśmy zrobić? Przekaznik miał zasięg zaledwie lometra. Zresztą kogo obchodzi, o czym gada pierwszy sekretarz w Ałr Acie?
- Nas - powiedział Stone. - A przynajmniej ludzie powinni myśleć, nas to obchodzi. Moglibyśmy na przykład chcieć, aby myśleli, iż tajna operacja w Azji Środkowej jest prowadzona na tak szeroką skalę, że CIA zad sobie wiele trudu, aby zainstalować wyjątkowo skomplikowany mikrofon w biurze lidera kazachskiej partii. Ludzie zaczną się zastanawiać, jakim < dem urządzenie tam trafiło, a to rzuci podejrzenie na radzieckiego konsula w Stambule i na jego żonę. Wtedy będziemy mogli powiedzieć, że się dobi spisaliśmy.
- Diabelski plan - stwierdził Taylor.
- Pochlebiasz mi. Tak czy inaczej, przyjaciele, oto moja propozycja: zakończenia naszego przedstawienia. Za kilka miesięcy, w odpowiedniej chwili, wymyślimy jakiś sposób, aby KGB odkryło podsłuch w Ałma Acie. 1 zwolimy, aby wykonali resztę roboty za nas, a my będziemy się wszystkie przyglądali.

262

- Mam nadzieję, że z bezpiecznej odległości - wtrąciła Anna.
- Oczywiście, moja droga - powiedział Stone. - Inaczej sam nie chciałem tego robić.

Tego wieczoru Taylor wolno przejechał korytarzem ulicznych świateł Alei Onsin. Białą furgonetkę Karpelandu zaparkował kilka przecznic od domu e'a i resztę drogi pokonał pieszo. Gdy dotarł pod wskazany adres, za-ał się i uważnie przyjrzał domowi. Był on architektonicznym odpowiednikiem samego Stone'a: elegancki budynek z czerwonej cegły, czteropiętrowy wzniesiony przynajmniej przed dwustu laty, ale świetnie utrzymany, jak-a przekór upływającemu czasowi.

Taylor zajrzał do środka przez okno z ołowianymi szprosami. Elegancki nik zdobiły antyki. W pomieszczeniu w głębi domu, które wyglądało na inet, siedział Stone, wygodnie rozparty w skórzanym fotelu. Taylor za-onił do drzwi i starszy mężczyzna ruszył mu otworzyć.

- Proszę, wejdz - powiedział. Miał na sobie rozpinany sweter i palił cy-. Zaprowadził Taylora do zastawionego książkami gabinetu, którego okna

chodziły na ogród. Kiedy usiedli, Stone zaproponował gościowi cygaro, re Taylor chętnie przyjął. Były to cygara marki Davidoff Numer J.eden, ugwłowane zapewne przez jednego z licznych przyjaciół gospodarza.

- Anna Bames to cudowna kobieta, prawda? - powiedział Stone, kiedy lor zapalał swoje cygaro.
- Absolutnie tak - zgodził się Alan. - Wspaniała z niej babka.
- I radzi sobie naprawdę świetnie, zważywszy, jak niewiele miała prawwego doświadczenia w pracy, zanim do nas dołączyła.
- Tak. Od razu ruszyła biegiem.

- Uważasz, że ona nie ma żadnych wątpliwości co do naszej operacji? tanawiałem się nad tym, słuchając dzisiaj jej uwag.

- Dziewczyna jest w porządku. Miała kilka problemów, ale kiedy je z sie-e wyrzuciła, od razu się rozjaśniła. Nie przejmowałbym się nią za bardzo.

twarda sztuka. Na pewno się na nas teraz nie wypnie.

- Cieszę się, że tak uważasz - stwierdził Stone. - Jest na pewno kobietą, óra wie, czego chce. Ma własne poglądy na to, jak należy postępować: łoże to właśnie dobrze dla naszej sprawy.

- Jak najlepiej, bez wątpienia - zgodził się Taylor. O co mu chodzi? -istanawiał się jednocześnie w myślach. Stone jak zwykle kluczył, zamiast prost powiedzieć, co ma na myśli.

- Co sądzisz o jej uzasadnianiu konieczności doprowadzenia do poro-umienia między chrześcijanami i muzułmanami?

- Nikomu to nie zaszkodzi - stwierdził Taylor. - Ja bym się tym nie pizej-łował. Może się nawet okazać, że pomysł jest całkiem dobry.

263

- Na pewno ma jedną zaletę: dziewczyna będzie zajęta, co da ci moż wość załatwienia innych spraw.

Taylor przechylił głowę na bok.

- Na przykład jakich?

- Jak mam ci to wyjaśnić? W kierowaniu tą operacją nie powinienesz czy się ograniczony do tych kilku konkretnych działań, które dziś omówiliśmy.

- Chyba nie do końca rozumiem, panie Stone.

- Chodzi mi o to, że nie musisz ograniczać się do rzeczy, które przesłałe do Karpetlandu. Do książek, broszur i kaset. Możesz razem z Munzerem spr bować także innych chwytów, jeżeli oczywiście wydadzą ci się sensowne.

- Czyli jakich? - Taylor podejrzewał, że Stone za chwilę otworzy prz nim tajemne drzwi do wewnętrznej komnaty, ale zupełnie nie miał pojęć dokąd go to zaprowadzi.

- Prawdę mówiąc, nie ma żadnych ograniczeń. Tworząc tę wyimagin wanąpodziemną sieć, możesz korzystać z wszelkich materiałów, z jakich rzysta prawdziwe podziemie.

- Nie tylko z ulotek i kaset, lecz także z innych rzeczy?

- Tak. Także z innych.

Taylor wreszcie zaczynał rozumieć.

- Takich jak na przykład broń - powiedział.
- Tak. Takich jak broń. I jeszcze innych.
- Materiały wybuchowe?
- W rzeczy samej. To byłoby nawet stosowne w przypadku organiza podziemnej, która chciałyby poszerzyć swoje wpływy w Azji Środkowej.

Taylor przez moment przyglądał się swoim paznokciom, dając sobie t samym czas do namysłu. Był człowiekiem impulsywnym, ale nie głupce Wiedział, że Stone proponuje mu coś niezwykłego, nawet jak na standai wewnętrznego kręgu.

- Brzmi to tak, jakbyśmy mieli zamiar wypowiedzieć wojnę - pow dział w końcu.
- Ja chcę tylko, żeby zrobiło się bardziej gorąco - odparł Stone. - Pn dę mówiąc, zmęczyła mnie Zimna Wojna. W tym tempie będzie to trw wiecznie.

Taylor przyjrzał się twarzy swojego zwierzchnika. Wiedział wystarcz co dużo na temat działań rządu, aby domyślać się, że ta operacja nie zosi zatwierdzona przez nikogo i nigdzie.

- Co się stanie, jeżeli nas złapią? - zapytał.
- Kłapa. Ale my się nie damy złapać.
- Zgadza się, ale przypuśćmy, że tak właśnie się stanie.
- Zaufaj mi. Mam w tym mieście więcej przyjaciół niż którykolwiek z lityków. Nic ci się nie stanie pod warunkiem, że nie masz ambicji zostać (18, zanim skończysz pięćdziesiątkę. Tego nie mogę ci obiecać.

264

Stone znał swoich ludzi. Zawsze znajdowali się młodzi chłopcy, którzy dy nie cofali się przed wyzwaniem, wszystko jedno jak szalonym, i za-e byli mężczyźni w średnim wieku, którzy woleliby raczej zginąć niż przy-ać, że weszli już w to stadium życia. Ostatnia uwaga Stone'a sprawiła, że ylor stracił resztę wątpliwości co do ich projektu. Pochylił się ku starsze-koledze.

- W jaki sposób moglibyśmy się do tego zabrać, zakładając, że cała rzecz sens?
- Ty i Munzer moglibyście rozpowiedzieć w Stambule, że ta sieć w Azji dkowej to nie tylko zgraja fanatyków religijnych, że istnieje także frakcja

litarna. Potem ja bym to przejął.

- Gorąca sprawa.
- Bardzo gorąca - przyznał Stone.

- Kto organizowałby przerzuty?
 - Część poszłaby przez Pakistan, a Frank Hoffman z tym Ascarim zaję-y się resztą. Mam jednak wrażenie, że z dzisiejszej rozmowy wynikało, iż
- a Barnes nie jest w stu procentach przekonana do tej części operacji.
- I dlatego chciałbyś, żebym ja się tym zajął?
 - Właśnie tak. Uznałem, że może powinienes udać się do Aten i spotkać Frankiem już po jego spotkaniu z Anną. Czy to byłoby możliwe?
 - To byłoby nie fair wobec Anny. Nie chciałbym, żeby pomyślała, że hcejąwypieprzyć z góry.
 - Och, to nie problem - powiedział Stone, mrugając do Alana. - Chyba czynasz się już do tego przyzwyczajając, co?

Taylor zamierzał zaprotestować. Stone mógł sobie wysadzić w powie-e nawet połowę Azji Centralnej, jeżeli miał na to ochotę, ale wtykając nos jego życie prywatne posuwał się za daleko. Taylora martwiło również to, Anna w umyśle Stone'a przestała być, jedną z zespołu" i została przesu-ęta na jakieś inne, bliżej nie określone stanowisko. Chciał coś powiedzieć, rzynajmniej wyrazić swoje zaniepokojenie tą sytuacją, ale właśnie w tym omencie Stone po raz kolejny mrugnął do niego konspiracyjnie i podał mu

klaneczkę dobrej starej brandy.

✓

Anna nie spała tego wieczoru, do późna czekając na Taylora. Nie ustalili, której się spotkają. Taylor mruknął tylko, że wybiera się na drinka z przyjacielem, a ona powiedziała, że w takim razie zobaczą się po jego powrocie. Solidność w tego typu sprawach nigdy nie należała do zalet, które Anna oceniała wysoko u mężczyzn. Była to taka zwyczajna cecha facetów średniej klasy. Godny zaufania, obowiązkowy, zawsze na czas. Zaledwie krok od nudy. Dentyści musieli być obowiązkowi. Bankierzy musieli być obowiązkowi. Prawnicy musieli być obowiązkowi. Solidność ją zniechęcała. Annie podo-

265

bali się niedoszli poeci i podróżnicy, ci, którym strzępiły się kołnierzyki ko szul i którzy w oczach nieśli cień samozagłady. Oni nie mieli czasu na nie spóźnianie się.

Teraz jednak, gdy spotkała właśnie takiego mężczyznę, zastanawiała się czy nie powinna zmienić poglądów. Zbytne zamiłowanie do czystości nii dodawało mężczyźnie atrakcyjności; ale zupełne niechlujstwo też nie. Punk tualność nie była seksy, ale spóźniałstwo też jej się takie nie wydawało. A ju na pewno nic seksownego nie było w czuwaniu do północy w motelowym pokoju w oczekiwaniu na Romea.

Taylor w końcu pojawił się o wpół do pierwszej, zupełnie zalany. Ga dał bez ładu i składu o jakimś planie, który wymyślili razem ze Stone'en nad szklaneczkami brandy. Podobno zamierzali jechać na polowanie na dzik do wschodniej Anatolii. Taylor ucałował Annę soczyście w usta, położył dłoń na jej piersiach i wydawało się, że chociaż był kompletnie pijany zamierza się z nią kochać. Kiedy jednak

położyli się do łóżka, a Anna cze kała, aż zacznie ją pieścić, uświadomiła sobie, że natychmiast zapadł w głę boki sen.

Lato rozkwitło pełnią kiedy Taylor powrócił do Stambułu. Miasto kąpał

się w jasnej mgiełce lipca. Kiedy jego samolot podchodził do lądowania morze Marmara poniżej lśniło niczym spokojne słońce jezioro. W drodze z lotniska Taylor poprosił kierownicę konsulatu, aby podwiózł go tylko do portu promowego w Eminonu na półwyspie Seraglio, zaraz za Pałacem Topkapı. Było to ulubione miejsce Taylora w Stambule, a być może i na całej pianie cie - kilkaset metrów kwadratowych nieopanowanej ludzkiej komedii - szcze kający chór sprzedawców losów i chleba; strumień podróżnych zapełniając pokłady popołudniowych promów do Skutari i Besiktas; czarna kipiela woda otaczająca statki pchające się ku brzegowi, plujące dymem i czekające r znak, że mogą wpłynąć do portu; a po drugiej stronie Złotego Rogu stromy wzgórze starej Pery uwieńczone neonem reklamującym tureckie banki i japońskie telewizory. Jeżeli gdzieś na świecie istnieje czarna dziura, miejsc do którego materia wszechświata jest niezmiennie przyciągana, by potem zniknąć w niepamięci i wieczności, na pewno jest nią port promowy w Eminonu.

Taylor poruszał się w tłumie ze zwinnością ryby, którą wrzucono z powrotem do jej ulubionego stawu. Przeszedł na drugą stronę mostu Galata, m

266

W szereg restauracji rozłożonych przy przejściu pod głównym przęsłem, ciągnąc w nozdrza zapach świeżej ryby smażącej się na prowizorycznych żelaznych grillach. W wąskim przejściu tłoczyli się ludzie zmierzający w przeciwnych kierunkach, Taylor zgubił się wśród tych idących na wschód, by po kilku minutach wyjść po stronie Pery. Zaczął wspinać się pod górę, ciągnąc niesiony przez falę ludzi. Dołączył do Turków przyciskających twarze ■ szyby małych sklepików sprzedających radia, baterie, urządzenia hydrauliczne, płytki linoleum, elektryczne przełączniki, wiertarki, sprzęt wideo - i handlowa Arka Noego w każdym z lokali. Tłum przeczekał się znacząco i zmierzał teraz ku najbardziej stromemu podejściu. Młodzi mężczyźni przyspieszali kroku i ruszali ku ulicy Żyrafy i dzielnicy czerwonych latarni. W szczytu wzgórza strumień ludzi rozpułynał się. Taylor samotnie przeszedł pozostałą część drogi do konsulatu, odświeżony ponownym zanurzeniem się w Orient, smakując poczucie anonimowości i poddania się woli losu, które Brzozyły prawdziwą religię Wschodu.

W koledzy Taylora cieszyli się, że powrócił do biura. Wszyscy poza jego zastępcą, który zasmakował w biurokracji i z prawdziwą chęcią zajmował się łapiącami podczas nieobecności Taylora. Martwił się chyba, że teraz szef fcejmie mu wygodne kajdany odpowiedzialności, do których zdążył się przyzwyczaić. Taylor wezwał go na krótko do „bańki" i zapewnił, że jego zastępcze zadanie nie skończyło się i najprawdopodobniej potrwa jeszcze kilka miesięcy, co oznaczało, że zastępca mógł nadal pełnić obowiązki szefa bazy. Rozchmurzony, przekazał Taylorowi równy plik papierów, które zebrał. Więk-łości w ogóle nie warto było czytać. Na samym wierzchu leżało zaproszenie na pożegnalne przyjęcie Stanleya Timmonsa, które miało się odbyć za kilka tygodni w klubie golfowym w Ankarze.

Munzer Ahmedow przyleciał następnego dnia z Nowego Jorku i udał się prosto do mieszkania w Aksaray. Taylor dostarczył mu wcześniej adres i klucze. Było to bezpieczne miejsce na uboczu. Dojeżdżało się tam od Bulwaru Atatürk w wąską, piaszczystą uliczką. Baza CIA w Stambule nabyła to

miejsce przed dziesięciu laty jako bezpieczny dom, ale w ostatnim czasie lżywała go niezmiernie rzadko z obawy, że lokal może być spalony. W przypadku Munzera nie miało to najmniejszego znaczenia; przeciwnie, strony zainteresowane mogły uznać, że powiązania Ahmedowa z agencją były częścią gry.

Taylor przeciwzył cały układ z Munzerem jeszcze przed wyjazdem z Ameryki. Mieli spotkać się w mieszkaniu w Aksaray o dziesiątej rano następnego dnia po przylocie Ahmedowa, a potem widywać się w regularnych

267

odstępach czasu w miejscach i godzinach podawanych przez Taylora. Gdyb) Munzer musiał pilnie się z nim skontaktować, mógł dzwonić do jego domu w Arnavutkoy i zostawić na automatycznej sekretarce wiadomość, że pan Su kru dzwonił i dywan czeka już na odbiór. Wtedy Taylor miał się z nim spotkać następnego ranka w ogrodach meczetu Sultanahmet. W bardzo nagłych przypadkach Taylor miał odbierać telefony w konsulacie. Munzer mógł za wsze wykorzystać fakt, że ma amerykańskie obywatelstwo.

Taylor przekazał mu, iż jego praca w Stambule miała polegać na zorganizowaniu kwatery głównej nowego turkiestańskiego ruchu niepodległościowego. Uzbek przyjechał dobrze przygotowany do tego zadania. Przywiózł z sobą z Nowego Jorku oprawiony portret Mustafy Chokaya i podobny portret Alego Merdana Topcubasi, jednego z przywódców muzułmańskich rebeliantów, którzy w latach dwudziestych walczyli z Armią Czerwoną. Ahmedo\ powiesił obydwa na ścianach swojego nowego mieszkania tego samego wieczoru, kiedy przyjechał do Stambułu. Przymocował tam też dużą mapę prz>wiezioną z domu, przedstawiającą turkiestańską wersję słynnego rysunku Saula Steinberga pokazującego świat kończący się za Manhattanem, po drugiej stronie rzeki Hudson. Mapa Munzera przedstawiała Azję Centralną z wielką przestrzenią oznaczoną jako Turkiestan i znacznie okrojony Rosją i Chinami. Ostatni element dekoracji nowej kwatery Ahmedowa wyglądał na dziwny. Był to jego ulubiony cytat, słowa wypowiedziane przez Uzuna Hadi szejka Nakszbandi z północnego Kaukazu, który niezmiernie zwalczał Rosjan - obie strony, tak Czerwonych, jak i Białych - w pierwszych latach rewolucji. Cytat zapisano arabskim językiem Koranu, a mówił on: „Plotę szni aby powiesić inżynierów, studentów i w ogóle wszystkich, którzy piszą (lewej do prawej)".

Taylor zapukał do drzwi mieszkania następnego dnia rano.

- Czy zastałem pana Jakuba? - spytał zgodnie z ustalonym wcześniej: scenariuszem.
- Nie, tu jego brat - usłyszał niemal poprawną gramatycznie odpowiedź

Taylor odczekał kilka chwil, próbując sobie przypomnieć, czy w kodzie

rozpoznawczym nie było jeszcze jednego zdania. Wydawało mu się, że n ale niestety wyrzucił kartkę, na której zapisał treść dialogu. Ponownie zapukał do drzwi, ale one ani drgnęły.

- Proszę otworzyć - powiedział spokojnie. Słyszał, jak ktoś porusza i po drugiej stronie, ale drzwi pozostały zamknięte.
- Otwórz te cholerne drzwi.

Munzer uchylił je nieznacznie, tylko tyle, aby sprawdzić, czy to rzec: wiście Taylor. Amerykanin szybko wszedł do mieszkania i zamknął za sc drzwi.

268

Uzbek patrzył na niego z wyrzutem.

- Nie powiedział pan hasła - stwierdził z wyrzutem.
- O czym zapomniałem?
- Zapomniał pan powiedzieć na koniec: „Czy mogę wejść?”
- O, cholera. Miałem tak powiedzieć?
- Tak, przyjacielu. Ja miałem powiedzieć: „Nie, tu jego brat”, a potem n: „Czy mogę wejść?” I wtedy ja miałem otworzyć drzwi. Może pan zapo-iał?
- Może - przyznał Taylor - ale to już nie ma znaczenia. Jakoś z tego /brnęliśmy. Miło mi pana widzieć w Stambule. Cieszę się, że dotarł pan tu bezpiecznie. - Uścisnął dłoń Ahmedowa.
- Witam w domu Munzera - powiedział Uzbek. Uprzejmym gestem za-osiał Taylora do pokoju ozdobionego niedawno powieszonymi portretami. -itam w nowej kwaterze głównej Turkiestańskiego Frontu Wyzwolenia.
- Nieźle - przyznał Amerykanin, rozglądając się wokół. Z szacunkiem inął w stronę portretów Mustafy Chokaya i Alego Merdana Topcubasi, po ym wskazał cytat. - Wygląda interesująco. Co to oznacza?
- Ach, to - Munzer uśmiechnął się ostrożnie, w sposób, który Taylor zpoznałby, gdyby znał Munzera trochę lepiej, a który oznaczał, że Uzbek a zamiar skłamać. - To znaczy: „Niech żyją bohaterowie walczący za lud irkiestanu”.
- Brawo.
- Proszę, panie Goode, niech pan usiądzie. Jest pan moim gościem. Przy-o mi, ale nie mam herbaty ani kawy, przepraszam. Może napije się pan ody? Albo mogę iść i kupić kawę. A może papierosa?
- Dziękuję, nic nie chcę. - Taylor uśmiechnął się widząc, jak Munzer ara się odgrywać gościnnego gospodarza. - Musimy pogadać o interesach.
- Tak. W porządku. Munzer jest gotów.
- Najlepiej zacznijmy od ustalenia czasu i miejsca naszego >otkania. Tym sposobem, jeśli będziemy musieli nagle przerwać, później ez problemu skontaktujemy się ponownie.

Munzer przytaknął.

- Spotkamy się za trzy dni, dokładnie o tej samej porze, o dziesiątej rano, parku Yildiz. Wie pan, gdzie to jest?

- Tak. Znajdę.

- Będę czekał przy fontannie niedaleko wejścia. Kiedy mnie pan zobaczy, a ja założę ręce, o tak - Taylor skrzyżował ręce na piersi - to znaczy, że mamy problem. Ktoś mnie śledzi albo coś się stało. Wtedy nie może pan do mnie podejść. Ma pan wrócić na to samo miejsce następnego dnia, godzinę później. Czy to jasne?

- Nie ma problemu. Munzer pamięta takie szpiegowskie sprawy jeszcze przeszłości.

269

- Po drodze musi pan upewnić się, czy nikt pana nie śledzi - ostrze Taylor. Pominął zwykłe upomnienie, aby Munzer nie rozglądał się za swoim ogonem w sposób zbyt oczywisty. W tym przypadku nie miało to żadnego znaczenia.

Uzbek z powagą pokiwał głową.

- Dobrze, dobrze.

- Wygodnie panu tutaj?

- O, tak!

- Udało się panu znaleźć kogoś na zastępstwo w pańskim sklepie w Qeens na czas pana nieobecności?

- Moi synowie wszystkim się zajmą. Jeden jest inżynierem. Wziął urlopu. Jeden uczy się na prawnika i akurat ma wakacje. Jeszcze jeden jest w szkole medycznej. Jemu pozwoliłem zostać u siebie. Interesy na tym nie ucierpią. Nie ma problemu.

- To dobrze. A teraz chciałbym z panem porozmawiać o pana zadaniach.

- Jestem gotów na wszystko. Mogę wspinać się na szczyty, przepłynąć Morze Czarne. Wszystko co pan powie. To wielka szansa. Mogę pomóc jemu ukochanemu narodowi.

- Cieszę się, że pan tak mówi. Na razie jednak chcę tylko, aby znał pan sposób na skontaktowanie się z paną dawnymi turkiestańskimi przyjaciółmi tutaj, w Stambule. Może pan to zrobić?

- Tak. Nie ma problemu.

- Z kim się pan spotka?

- Wydawca magazynu „Great Turkestan” jest przyjacielem Munzera jeszcze z dawnych lat. Nazywa się Hasan Khojaew. Może zobaczę się z nim?

- A można mu zaufać?
- Oczywiście. Przecież jest przyjacielem Munzera. Co mogę mu powiedzieć o nowym turkiestańskim ruchu?
- Na razie niewiele - powiedział Taylor. Wiedział jednak, że to nie. Ahmedow musiał powiedzieć temu wydawcy cokolwiek, Alan miał jaką nadzieję, że będzie to dość niewyraźne i zagmatwane, a to mu na etapie jak najbardziej odpowiadało.
- Zachowam ostrożność - obiecał Munzer.

Taylor sięgnął do teczki i wyjął z niej kilka ulotek o Mustafie Chok

które Stone przygotował w Waszyngtonie.

- Proszę dać swojemu przyjacielowi Khojaewowi kilka tych broszur powiedział, podając Uzbekowi egzemplarze Turkiestanu pod sowieckim j mem.
- O Allahu! Co to? - zdziwił się Munzer, kartkując jeden z nich.
- To część naszych materiałów. Teraz należą do pana.
- Przecież to książka Mustafy Chokaya! Zrobiliście to dla Munze

Taylor skinął głową.

270

v

- Proszę pokazać to temu wydawcy i innym przyjaciołom, którym pan a. Niech powiedzą, co o tym myślą.
- Pokażę to Kirdarowi i Nemirowi Bey. To dwaj uczciwi ludzie. Nie szukają.
- Dobrze. Niech pan robi to, co pan uważa za słuszne.
- Co mam im powiedzieć o książce Mustafy Chokaya?
- Proszę uprzedzić, że bardzo dużo takich broszur jest już w drodze do wiązku Radzieckiego.
- Czy mogę im powiedzieć, skąd pochodzą?
- Niech pan mówi, że z Rijadu - zaproponował Taylor, mrugając do niego.
- Dobrze, tak. Z Rijadu - powtórzył Munzer, próbując także puścić oko) swojego rozmówcy. Miał małe oczka i rezultat był taki, jakby zrobił zeza.
- Na dziś tyle wystarczy - uznał Taylor. - Proszę się tu zadomowić i po-izmawiać z przyjaciółmi. Zobaczymy się za trzy dni w parku Yildiz.

Wracając od Munzera Taylor pojechał ulicą Jeniceriler. Przyjrzał się miesz-uuiiu na trzecim piętrze, szukając jakichś oznak życia, ale nie dostrzegł nic,) świadczyłoby, że ktokolwiek w ogóle tam mieszka.

Następnym punktem planu Taylora było spotkanie z Sonią - kirgiskąpię-k-aścią, która śpiewała orientalne pieśni w barze „U Omara”. Uznał, że lepiej ostawić na nią niż na właściciela knajpy, który zasługiwał na uznanie, ale za użo mówił. Sonia była inteligentna, dyskretna, a co najważniejsze, kiedyś ochąła Taylora i być może nadal coś do niego czuła. Zadzwoił do niej jesz-ze tego samego popołudnia i zapytał, czy nie mógłby wpaść do jej mieszka-ia w Cihangir. Była zaskoczona, ale i zadowolona.

Kiedy otworzyła mu drzwi, Taylor pocałował ją w usta. Gest ten wyda-ał się zupełnie spontaniczny, tak jak większość wyrachowanych gestów lana. Sonia wyglądała jeszcze piękniej, niż pamiętał. Była szcuptą kobie-lekką jak piórko i tak delikatną, że zdawała się płynąć kilka centymetrów ad podłogą. Trudno się dziwić, że przez czterysta lat sułtani często do swo-go łoża zapraszali właśnie Kirgizki. Na Wschodzie miały one opinię naj-ękniejszych kobiet świata. Taylor zerwał z Sonią, gdy uświadomił sobie, że aczyna się w niej zakochiwać; było to w tym odległym życiu, jeszcze zanim igo żona spakowała się i wyjechała ze Stambułu. Wtedy wdawał się w roianse pod warunkiem, że nie zmieniały się one w nic poważnego.

- Potrzebuję twojej pomocy - powiedział, gdy już usadowił się na kana-ie Soni ze szklaneczką wódki w ręku. Kiedy z nią romansował, spędził wie-; szczęśliwych godzin, pijąc wódkę i wyglądając z jej okna na nie kończący ię sznur łodzi i ludzi na Złotym Rogu.

- Mam nadzieję, że nie chodzi o to, abym towarzyszyła jeszcze jednemu twoich amerykańskich przyjaciół.

271

Taylor pokręcił głową.

- Zrobiłabym to, gdybyś mnie poprosił, ale mam nadzieję, że tego nie zrobis;

- Nie tym razem. Chodzi o coś dużo prostszego. Pewien mój znajom; Uzbek, właśnie przyjechał do Stambułu. To miły, starszy facet, uwielbi wszystko, co mu przypomina jego dawną ojczyznę. Na pewno któregoś wi< czoru pojawi się u Omara. Kiedy tam przyjdzie, zajmij się nim, dobrze? P< traktuj go jak kogoś wyjątkowego. Spodoba ci się. Nazywa się Munzer.

- Jest twoim przyjacielem?

- Tak. Szczególnym przyjacielem. Walczy o wolność.

- Dobrze, kochany. Ale to wydaje mi się trochę za proste. Czego jeszci ode mnie oczekujesz? - Światło wpadające strumieniem przez okno rozj śniało jej twarz tak, że wyglądała jak bizantyjski anioł.

- Niczego - odrzekł Taylor.

- Proszę, chciej czegoś. Pragnęłabym cię uszczęśliwić. Taylor pokręcił głową. Ta decyzja sprawiała mu ból, bo nie chciał rez

gnować z Soni. Niemal czuł szczupłe i lekkie ciało dziewczyny w ramionach

- Dlaczego trzymasz się ode mnie z daleka? - spytała cicho.
- Dlatego - odparł.
- Jak to dlatego?
- Ponieważ cię lubię i nie chcę cię zranić. Sonia zamknęła oczy. Wiedziała, że nigdy nie usłyszy od niego nic bliższego

go wyznaniu miłości niż te słowa. Taylor pochylił się, ale nie ku niej, le w stronę swojej teczki. Wyjął z niej zdjęcie Munzera i pokazał je dziewczynie

- To właśnie jest mój przyjaciel. Jeżeli pojawi się u Omara, potraktuj dobrze, ale nikomu nie wspominaj, że jest moim przyjacielem.

Taylor położył palec na ustach. Sonia zrobiła to samo.

- Pssst - powiedzieli jednocześnie. Kilka minut później Alan wysze Na pożegnanie pocałował dziewczynę w policzek.

Późnym popołudniem wysłał depeszę do kwatery głównej, prosząc o formację o Hasanie Khojaewie, wydawcy pisma „Great Turkestan”. Odpowiedź nadeszła jeszcze tego samego dnia. Na takie nazwisko otwarto akta przed dwadzieścia jeden laty, ale w miesiąc później zamknięto je, ponieważ tylko sporadycznie kontaktował się z agentami wywiadu tureckiego, a być może także z innymi wywiadami. Hasan Khojaew wyglądał na domokrążcę, człowieka, który bardzo starał się utrzymać kontakty ze wszystkimi i każdemu sprzedać trochę kawałki tego, co wiedział. Wydawał się idealnym kandydatem.

Munzer pokazał się trzy dni później w parku Yildiz, tak jak ustalili. Włożył okulary przeciwsłoneczne w czarnych oprawkach. Pewnie sądził, że dzi

272

**

nie zwróci nikomu uwagi. Wyglądał w nich jak mucha z bajki dla dzieci. Kiedy usiedli na ławce, zdjęli szkła i Taylor dostrzegł w jego oczach błysk kawości i podejrzliwości.

- Najpierw interesy - stwierdził Taylor. - Następnym razem spotkamy we wtorek, za pięć dni od dzisiaj. Rozumie pan? W następny wtorek.

Drugiej po południu, w porcie promowym w Kadikoy, po stronie azjatyckiej. Dam panu ten sam znak, jeżeli pojawi się jakieś niebezpieczeństwo i plan awaryjny też pozostaje ten sam. Dobrze?

- Munzer musi to sobie zapisać - powiedział Uzbek. Wyjął długopis i ważne zanotował: wtorek, Kadikoy, druga. Taylor powinien kazać mu to „amiętać”, ale podejrzewał, że Munzer rzeczywiście mógłby zapomnieć zegóły, gdyby nie miał kartki.

- I jak panu idzie? - zapytał, gdy Munzer skończył pisanie.
- Dobrze. Pokazałem książkę Mustafy Chokaya przyjaciołom i oni bar-3 się ucieszyli. Mówili: dziękujemy panu, panie Munzer, dziękujemy, nasz cie. Ta książka jest pewnie częścią wielkiego planu.
- Jakiego wielkiego planu?
- Właśnie o to Munzer chciał zapytać. Proszę posłuchać, panie Goode, :ch pan nie nabiera Munzera, dobrze?
- O czym pan mówi?
- Czy aby Munzer na pewno wszystko wie? - Pochylił się ku Taylorowi soplepał go po ramieniu.
- Wszystko, co powinien pan wiedzieć. Dlaczego? Co pana martwi?
- Ja zadam pytanie, tak? Nie musi pan odpowiadać, ale może odpowie.
- Dobrze.
- Czy w Stambule jest grupa CIA?
- Grupa? Co pan ma na myśli?
- Może z panem pracujeszczce inni Amerykanie?
- Dlaczego pan pyta? - Taylor musiał powstrzymać się od uśmiechu, migania czy w ogóle oznak, które mogłyby zdradzić, że jest zainteresowany (tn tematem.
- Ponieważ mój przyjaciel Khojaew mówił, że inny Amerykanin czasa-li spotykał się z Turkmenami w Stambule.
- W jakiej sprawie?
- Mówił o Wolnym Turkiestanie. Zawsze o Wolnym Turkiestanie. Dla-ego pomyślałem, że może on pracuje z panem.
- Jak wygląda ten Amerykanin?
- Khojaew mówił, że jest wysoki i ma jasne włosy.
- To bardzo możliwe. Będę z panem szczery, panie Ahmedow. Nad tym irojektem pracują także inni ludzie, ale ja ich wszystkich nie znam. Gdzie eraz jest ten drugi Amerykanin?
- Khojaew mówił, że wyjechał.

18-Siro

273

O cholera, pomyślał Taylor.

- A Khojaew mówił, czy on wróci?
- Może wróci. Khojaew nie jest pewny.
- Czy Khojaewowi ten człowiek się podobał?
- Khojaew nigdy go nie widział. Jego przyjaciel, pan Abdallah z Taszkentu, spotkał się z nim i powiedział o tym Khojaewowi. Ten Amerykanin mówił podobno o wolności i niezależności turkiestańskich ludów, mówił o pomocy od Ameryki, ale kazał nikomu nie mówić. Munzerowi przypomniało to dawne dni, ale od swojego przyjaciela, pana Goode, wie, że to są nowe dni.
- Panie Munzer - Taylor zniżył głos. - Bardzo chciałbym zdradzić panu wszystkie szczegóły, ale nie mogę. Niektórych nawet sam nie znam. Musi pan zaufać.
- Tak. Dobrze. Zaufać.
- Świetnie. Wszystko dobrze się ułoży. Proszę mi wierzyć.
- A co Munzer powinien wiedzieć? Khojaew mówił, że Munzer powinien porozmawiać z tym drugim Amerykaninem kiedy on wróci, ale Khojaew nie wie, że Munzer już pracuje z panem Goode.
- Zgadza się i proszę mu o niczym nie mówić. Proszę mnie powiadomić, kiedy ten drugi Amerykanin znowu się pojawi i może wtedy ustalimy czy powinien pan się z nim zobaczyć.
- Dobrze. Munzer rozumie szpiegowski interes. Nikt nic nie wie.
- Właśnie - przyznał Taylor. - A teraz proszę na razie zapomnieć o tym. Chciałbym, żeby zrobił pan coś bardzo ważnego. Dla mnie.
- Munzer jest gotowy.

Taylor sięgnął do kieszeni i wyjął dość zniszczoną ulotkę wydrukowaną cyrylicą w uzbeckiej odmianie języka tureckiego. Podał ją Uzbekowi.

- Co to takiego?
- To ulotka zapowiadająca demonstrację w świątyni sufi niedaleko Taszkentu za dziesięć dni. Jeden z naszych ludzi w Moskwie natrafił na nią po czasie podróży w tamten region i wysłał mi kopię.
- O Allahu! Demonstracja? Uzbecki ludzie bardzo odważni, ale to panu zbyt niebezpieczne. Proszę powiedzieć Munzerowi, co to oznacza.
- Jeszcze nie mamy pewności. Jeżeli informacja jest prawdziwą powinniśmy spróbować podłączyć się pod to. Proszę poprosić znajomych, może któryś z emigrantów cokolwiek o tym wie. Podczas następnego spotkania oczekuję raportu.

Munzer złożył ulotkę uważnie, niemal z miłością i schował ją w kieszeni, w pobliżu serca.

Gdzie, do diabła, podziewa się Rawls? Tej nocy Taylor raz jeszcze przejechał obok jego starego mieszkania w Bayezit. Było ciemne i najwyraźniej puste. W ciągu następnych kilku dni Alan wracał w to miejsce, ale po Rawlsie

■ nie było nawet śladu. Może zmienił mieszkanie. Może opuścił Stambuł na łre. Taylor mógł jedynie wrzucić więcej przynęty do wody i czekać, aż coś Bvreszcie chwyci.

I - Nikt nic nie wie o tej demonstracji w Taszkencie - zakomunikował Munzer podczas kolejnego spotkania. Zrezygnował z okularów, a włożył tra-Hcyjną uzbecką czapkę haftowaną białymi i czarnymi nićmi. Tkwiła na jego Lwie niczym pokrywka od pudełka. I - To źle - stwierdził Taylor. I - Nie. To dobrze.

■ - Dlaczego? Chciałem zdobyć informacje na temat tych ludzi w Tasz-Hencie, abyśmy mogli zdecydować, co z tym zrobić.

I - Nie, nie. To zupełnie odwrotnie. Jeżeli ludzie gadają w Stambule, to Bedobrze. Wtedy wiadomo, że może fałszywa wiadomość. Jeśli nikt nie wie, Btedy może sprawa jest prawdziwa. Tutaj nikt o niczym nie wie, więc Mun-Br jest szczęśliwy. Proszę powiedzieć przyjaciołom, że może ta demónstrala w Taszkencie to sprawa prawdziwych muzułmanów.

■ Szli powoli ulicą, oddalając się od portu w Kadikoy. Na północ od nich Bi aj do wała się stacja kolejowa Haydarpasa, dawne wrota do Azji. Po prze-Bwnej stronie stała niewielka karawana autobusów czekających, aby zawieźć Basażerów na zatłoczone przedmieścia po azjatyckiej stronie. Hałasowały i wy-■ziały chmury spalin nawet wtedy, gdy stały w miejscu. Po obu stronach ■rogi mknęły taksówki. Większość taksówkarzy prowadziła świetnie utrzy-łane stare buicki i chevrolety, wieszając na lusterkach wstecznych kolorowe Botemy, które miały odstraszyć złe oko. Munzer czuł się wyjątkowo swobodnie w takiej scenerii, niczym Azjata z każdym krokiem zbliżający się do domu.

■ aylor szedł obok, niosąc w jednej ręce plastikową torbę.

- Panie Munzer - odezwał się - należy pan do bractwa sufi, prawda? I - Wie, że to prawda, więc po co pyta?

I - Do Nakszbandi, tak?

■ - Przykro mi, ale dla mnie nie jest to coś, o czym mogę rozmawiać. Pan Bna tajemnice i Munzer ma tajemnice.

- Oni są dość silni w Azji Środkowej, tak? Chodzi mi o bractwa sufi.

- Najsilniejsi. Tylko oni to prawdziwy islam. Oficjalne meczety to bujda, kieruje nimi KGB. Jedyne prawdziwy islam jest podziemny, z tariqat. Ale proszę kogo innego pytać o to. Munzer nic nie powie.

- Dobrze, jeszcze tylko jedno pytanie. Dlaczego oni są tacy silni?

- Ponieważ są prawdziwym bractwem. Zamkniętym dla outsiderów. Nigdy nie zdradzają tajemnic. Gdyby Nakszbandi dowiedzieli się, że jeden z członków jest informatorem KGB, ten człowiek skończony. Nikt z nim nie rozmawia. Nikt nie żeni się z jego córkami. Zostaje sam. Już lepiej umrzeć.

To samo, jeśli członek bractwa zdradzi sekrety CIA, mój przyjacielu, dlatego Munzer nie chce już słyszeć więcej pytań o tariaat.

- Przepraszam. Poruszyłem ten temat, ponieważ chciałbym dać panu co: co zainteresuje pana braci z Nakszbandi.

- O czym pan mówi?

Taylor sięgnął do plastikowej torby, którą przyniósł ze sobą, wyciągnął z niej kasetę i podał ją Munzerowi.

- To dla pana. Mam ich o wiele więcej. Tysiące.

Munzer przeczytał rosyjską etykietę: „Syberyjski Chór Ludowy”. Parsknął

- A po co mi to?

- To nie jest nagranie syberyjskiego chóru ludowego, panie Munzer. 1 kazanie wygłoszone przez szejka Nakszbandi w Arabii Saudyjskiej. Mówi on o tym, że wszyscy muzułmanie, a zwłaszcza członkowie bractwa Nakszbandi mają obowiązek wyzwolić Samarkandę, Bucharę i Ferganę spod panowania ateistów.

Munzer uważnie przyjrzał się taśmie, jakby spodziewał się w środku zobaczyć małego szejka.

- I jest tego więcej?

- Tysiące.

- Czy Munzer może to wziąć i posłuchać?

- Pewnie. Nawet kilka. Przyjaciele może też zechcą posłuchać.

- Co zamierzacie z tym zrobić?

- Chcemy wysłać je tam, gdzie się przydadzą do czynienia dobra. Do Samarkandy, Buchary i Fergany.

- Teraz zaczynamy na poważnie, mój przyjacielu.

- Tak - potwierdził Taylor. - Teraz zaczynamy na poważnie.

Frank Hoffman przycupnął na kanapie w pokoju hotelowym Anny Barni w Atenach niczym hydrant gotowy za chwilę trysnąć wodą. Czekał, i Ali Ascari łaskawie raczy się pokazać. Tym razem Anna wynajęła apartament w „St. George”, mniejszym i nie tak rzucającym się w oczy hotelu ni daleko placu Syntagma. W pokoju było ciemno i głośno dzięki staraniu Hoffmana. Najpierw uważnie sprawdził całe pomieszczenie, upewniając się że nie ma w nim założonego podsłuchu, potem na wszelki wypadek wyłączył telewizor i światła, odkręcił mikrofon słuchawki telefonicznej i włączył małe przenośne urządzenie zagłuszające. Wszystkie te środki ostrożności spraw

To samo, jeśli członek bractwa zdradzi sekrety CIA, mój przyjacielu, dlatego Munzer nie chce już słyszeć więcej pytań o tariaat.

- Przepraszam. Poruszyłem ten temat, ponieważ chciałbym dać panu co co zainteresuje pana braci z Nakszbandi.

- O czym pan mówi?

Taylor sięgnął do plastikowej torby, którą przyniósł ze sobą, wyciągnął z niej kasetę i podał ją Munzerowi.

- To dla pana. Mam ich o wiele więcej. Tysiące.

Munzer przeczytał rosyjską etykietę: „Syberyjski Chór Ludowy”. Parsknął

- A po co mi to?

- To nie jest nagranie syberyjskiego chóru ludowego, panie Munzer. 1 kazanie wygłoszone przez szejka Nakszbandi w Arabii Saudyjskiej. Mówi on o tym, że wszyscy muzułmanie, a zwłaszcza członkowie bractwa Nakszbandi mają obowiązek wyzwolić Samarkandę, Bucharę i Ferganę spod panowania ateistów.

Munzer uważnie przyjrzał się taśmie, jakby spodziewał się w środku z« baczyc małego szejka.

- I jest tego więcej?

- Tysiące.

- Czy Munzer może to wziąć i posłuchać?

- Pewnie. Nawet kilka. Przyjaciele może też zechcą posłuchać.

- Co zamierzacie z tym zrobić?

- Chcemy wysłać je tam, gdzie się przydadzą do czynienia dobra. E Samarkandy, Buchary i Fergany.

- Teraz zaczynamy na poważnie, mój przyjacielu.

- Tak - potwierdził Taylor. - Teraz zaczynamy na poważnie.

Frank Hoffman przycupnął na kanapie w pokoju hotelowym Anny Barni w Atenach niczym hydrant gotowy za chwilę trysnąć wodą. Czekał, i Ali Ascari łaskawie raczy się pokazać. Tym razem Anna wynajęła apartament w „St. George”, mniejszym i nie tak rzucającym się w oczy hotelu ni daleko placu Syntagma. W pokoju było ciemno i głośno dzięki staraniu Hoffmana. Najpierw uważnie sprawdził całe pomieszczenie, upewniając się że nie ma w nim założonego podsłuchu, potem na wszelki wypadek wyłączył telewizor i światła, odkręcił mikrofon słuchawki telefonicznej i włączył małe przenośne urządzenie zagłuszające. Wszystkie te środki ostrożności spraw

Bże w pokoju panowała teraz atmosfera nie z tego świata, ponura i mroczna bez elektrycznych świateł, rozbrzmiewająca echem niezidentyfikowane-łhałas.

■ Anna ze zdziwieniem stwierdziła, że Hoffman wygląda na zdenerwowanego. Wiercił się, bez przerwy poprawiając marynarkę i dwa rewolwery, które trzymał w kaburach pod pachami i przez cały czas sprawdzał, czy rzeczywiście tam są Anna spostrzegła, że Frank z bronią chodził zupełnie inaczej, łąchając dwiema rękami do przodu jednocześnie, a nie na przemian, tak jak łwyczał. Być może chciał mieć możliwość wyciągnięcia obu pistoletów

I Po chwili Hoffman zostawił broń w spokoju, a zaczął chrupać orzeszki (czekoladzie, wrzucając do ust po jednym z torebki, którą trzymał w kieszeni marynarki. W pięć minut skończył całe opakowanie i sięgnął do teczki i następne. W kieszonce, zwykle zarezerwowanej na przybory do pisania, lał jeszcze pół tuzina takich paczuszek ułożonych rzędem. Otworzył jedną i powrócił do chrupania.

W końcu rozległo się pukanie do drzwi.

- Czy to pokój panny Bigelow? - zapytał śpiewny, nosowy głos.

I - Przyszedł pan wcześniej - odparła Anna. Prawdę mówiąc, Ascari spóźnił się, ale taki mieli kod rozpoznawczy.

Anna otworzyła drzwi i wpuściła do pokoju Irańczyka, który jak zwykle lezecznie kiwał głową. Ubrał się bardzo poważnie, stosownie do okazji, i marynarkę w drobne prążki z szerokimi kłapami i krawat w paski, który [dołu miał przynajmniej kilkanaście centymetrów szerokości. Jego broda luży wyglądała tak samo kosmato jak przedtem.

- Witam miłą panią - powiedział do Anny, stając na palcach i ze stuleni łącząc pięty.

Hoffman wstał z kanapy i podszedł do Irańczyka, poruszając ramionami i ten dziwny sposób, niczym dwuskrzydłowe drzwi wahadłowe.

- To jest pan Błock - przedstawiła go Anna. - Właśnie o nim panu mó-

- Bardzo się cieszę, że mogę pana poznać, panie Błock. - Ascari wyciągnął przed siebie miękką dłoń.

| - Proszę siadać - powiedział Hoffman.

- OK. Z przyjemnością usiądę.

Frank burknął coś i usiadł z powrotem na kanapie.

- Jest pan z CIA, panie Błock?

- Bez komentarza.

- Ta miła pani, panna James, mówiła mi, że następnym razem zobaczę ogoś z CIA. No to myślę, że właśnie pan nim jest.

- Posłuchaj, mój przyjacielu - odezwał się Hoffman. - Zanim zacznie-ny, powinniśmy sobie coś wyjaśnić. Tutaj ja zadaję pytania. Ty na nie od-

powiadasz. Rozumiesz? W przeciwnym razie lepiej od razu idź sobie i spacer.

- Dobrze - powiedział Ascari ostrożnie. - Mówi pan jak człowiek z CL To Alemu wystarczy.
- Zostaw ten temat.
- Dobrze. Nie ma sprawy.
- Masz paszport? Chciałbym mieć pewność, że naprawdę jesteś tym, kogo się podajesz.
- Oczywiście. Nie tylko jeden.
- Daj mi je.

Ascari sięgnął do kieszeni marynarki i podał Hoffmanowi irański pas port. /

- A gdzie są pozostałe?

Irańczyk wyciągnął hiszpański paszport z bocznej kieszeni.

- Przestań mnie denerwować - warknął Hoffman. - Gdzie masz grec
- Nie ma sprawy - odparł Ascari z nieznacznym uśmiechem i kiwani* głową. Wstał i wyjął z tylnej kieszeni spodni trzeci dokument.
- Dziękuję - powiedział Frank. Ułożył wszystkie paszporty na stoli w równy stosik, z greckim na samym wierzchu. - Później się im przyjrę

Anna uznała, że teraz jej kolej.

- Opowiedziałam panu Blockowi o naszych wcześniejszych spotkaniu panie Ascari. Przedstawiłam mu wszystko ze szczegółami, wspomniałam tal o pana okropnym zachowaniu w Stambule. Pan Błock wcale nie uznał t(za zabawne.

- Nie - dodał Hoffman. - Prawdę mówiąc, uważam, że straszny z cie gnój.
- Proszę, panie Błock - zaprotestował Ascari. - Nie lubię takich \ rażeń.
- Ach, tak? No to, jak mówimy w USA, gówniana sprawa.

Ascari sprawiał wrażenie obrażonego.

\ - Nie podoba mi się ta rozmowa. Może powinienem wyjść.

- Zostań jeszcze chwilkę. Dopiero zaczynam się relaksować.
- Aleja się nie relaksuję. - Irańczyk obejrzał się przez ramię w kier ku drzwi.
- Hej, rozchmurz się. Zdejmij marynarkę. Trochę tu gorąco, nie s! pani, panno James? Może ja też zdejmę swoją.

Hoffman wstał i powoli zsunął marynarkę, rękaw po rękawie, najpi odstawiając jeden rewolwer, a potem drugi. Ascari pokręcił głową wziął boki oddech. Teraz wyglądał na naprawdę przerażonego.

- Chwileczkę, proszę - powiedział, wyciągając przed siebie i w obronnym geście. - To chyba jakaś wielka pomyłka. Bardzo mi przykr to, co stało się w Stambule. Mam przeprosić? Więc przepraszam. Nie

278

wy. Dobrze? - Jego twarz wykrzywił uśmiech z serii „może zostaniemy yjaciółmi”.

- Dziękuję - powiedziała Anna chłodno - ale trochę już na to za późno.

- Oszczędź sobie tych przeprosin, koleś - warknął Hoffman. - Prawdę wiąc, gównu mnie to obchodzi, czy jest ci przykro czy nie. Interesuje mnie ko jedno.

- Co takiego?

- Moja przyjaciółka, panna James, mówiła mi, że masz znajomych, któ-szmulują broń przez irańską granicę do Azerbejdżanu. Zgadza się?

- Owszem. Tak powiedziałem tej miłej pani.

- Jeżeli jeszcze raz nazwiesz ją „miłą panią”, odetnę ci kutasa i zatkam nim gardło. Lepiej przestań! Denerwuje mnie to.

Ascari obronnym gestem osłonił krocze.

- Bardzo przepraszam. Proszę.

- A teraz opowiedz nam o tej broni.

- Co chcecie wiedzieć?

- Wszystko.

- Kupujemy broń. Przerzucamy ją przez granicę. Zostawiamy w Azer-ijdżanie. To wszystko.

- Dokładniej, palancie.

- Słucham?

- Chcę poznać pieprzone szczegóły.

- A co Ali będzie z tego miał? - zapytał Ascari wyczuwając, że zainteresowanie szalonego Amerykanina (Mo mu chwilową przewagę w negocjacjach.

- Pieniądze - odparł Hoffman.

- Ile?

- Zależy, czy dostarczycie towar. Jeżeli tak, to dużo.
- Co to znaczy?
- Pieprz się. Dobrze wiesz, co znaczy „dużo”.
- Może ja nie zainteresowany.
- Owszem, jesteś zainteresowany, nawet bardzo. Próbujesz tylko trochę mnie naciskać. Musisz jednak zrozumieć, mój przyjacielu, że pracowałem takimi parszywcami jak ty przez większość mojego życia.

Irańczyk skrzyżował ręce.

- Ali nie jest pewien, czy chce robić z tobą interesy.
- Nie posuwaj się za daleko - powiedział Hoffman. Zgarnął ze stolika rrecki paszport i pochylił się w kierunku telefonu. Szybko wkręcił mikrofon la miejsce i zaczął wykręcać numer.
- Hej, co pan robi?
- Dzwonię do mojego greckiego przyjaciela z Ministerstwa Spraw We-wnętrznych. Będzie bardzo zainteresowany tym, że irański oszust podróżuje i greckim paszportem.

279

- Panblefuje.
- Tak sądzisz? W takim razie się przekonajmy. - Podniósł słuchawk tak, żeby Ascari wszystko słyszał. Telefon odebrał ktoś mówiący po grecki
- Halo, Mikos? Mówi Frank. Natknąłem się na coś, co może cię zaints resować.

Ascari, przekonany teraz, że Hoffman wcale nie blefował, wstał nag i wydawało się, że ma zamiar rzucić się do drzwi. Anna ruszyła, aby przecii mu drogę, ale Frank okazał się szybszy. Jedną dłonią przesłonił słuchawk a drugą błyskawicznie wyciągnął z kabury pistolet.

- Siadaj, gnoju - powiedział. Ascari wycofał się z powrotem na swo miejsce, a Hoffman powrócił do rozmowy.
- Mikos? Jesteś tam jeszcze? Układ jest taki, że słyszałem o gościu, kt ry podróżuje na fałszywym greckim paszporcie. Wygląda mi to dość pode rzanie. Obrót bronią, szmuglowanie. Tego typu sprawy.

Ascari przerażony gestykulował gwałtownie, ale Frank ignorował go prz chwilę.

- Tak, właśnie tak. Fałszywy grecki paszport... Nie, nie mam pojęć skąd go ma... Jak się nazywa?
- Spojrzał na Ascariego.

- Proszę! - szepnął Irańczyk. - Wszystko powiem.

Hoffman mrugnął do niego, po czym powiedział do słuchawki:

- Przykro mi, Mikos, ale jeszcze nie znam nazwiska tego faceta. W śnie w tym tkwi problem. Chciałem tylko wiedzieć, czy byłbyś ewentualnie zainteresowany. Jak dowiem się czegoś więcej, natychmiast cię powiadom. Dobra?... W porządku. Do usłyszenia. Ciao. - Rozłączył się.

- A teraz już bez żadnych numerów, proszę - powiedział Frank. - J już pewnie zdążyłeś się przekonać, trzymam cię mocno zająka. Miał wielką frajdę, oddając cię w ręce greckiej policji.

- Zostańmy przyjaciółmi, proszę. Zagram w waszą piłkę. - Ascari wglądał naprawdę na wstrząśniętego.

- Posłuchaj - zaczął Hoffman, kładąc mięsistą dłoń na ramieniu Irańczyka. - Tak naprawdę nie jestem aż takim łajdakiem. Czasem tylko tak zachowuję. Polubisz mnie, kiedy się bliżej poznamy.

- Czy teraz odłoży pan broń? Proszę.

- Przepraszam. Zapomniałem. - Frank wsadził rewolwer z powrotem kabury.

Ascari nieznacznie się odprężył.

- Dziękuję. Trochę pan Alego przeraża. Myślałem, że ludzie z CLA ją według zasad, ale pan nie.

- Właśnie. Mam nad moimi kolegami jedną wielką przewagę. Otóż stem szalony. Gównu mnie obchodzą jakieś tam zasady, więc lepiej uwa

- Rozumiem. Na pewno będę.

280

- To dobrze. No to może zaczniemy od początku o tej broni.

- Tak. Teraz mogę rozmawiać.

- Kochana - Hoffman zwrócił się do Anny. - Proszę, zostaw nas na chwile-samych, dobrze? Teraz będziemy gadać o interesach agencji.

Anna skinęła głową. Jej wyjście zostało zaplanowane w scenariuszu, który ześniej razem opracowali. Uzgodnili, że kiedy Hoffman zapanuje nad sytuacją ona zejdzie ze sceny - w nadziei, że pozwoli jej to zatrzymać chociaż eń przykrywki. Nie chciała opuszczać rozmowy w chwili, gdy w końcu czynali rozmawiać o interesach, ale pocieszało ją jedno. Przy odrobinie częścią już nigdy nie będzie musiała oglądać Alego Ascariego.

- No dobra, kolego - powiedział Hoffman, gdy Anna wyszła. - Zaczynaj-y od samej góry.

- Ali wie zbyt wiele. Co dokładnie ma powiedzieć?

- Wszystko po kolei. Chcemy przerzucić parę rzeczy przez granicę i my-eliśmy, że może dobrze by było podczepić się pod to, co wy robicie. A żarn chcę usłyszeć wszystko.

- Nie ma tak wiele do mówienia. Większość przerzutów organizuje się z Ta-izu, na północy. Część idzie przez Khwoy do Nachiczewanu. Inne przez Ardebil góry do miast Astara i Masally, i jeszcze do Puszki. Niektóre statkami przez 'orze Kaspjskie, od Bandar-i-Anzali do tajnych portów w Azerbejdżanie.

- Jak się przedostają?

- To zależy. Większość przemytników to tamtejsi ludzie. Połowa rodzi-y mieszka po jednej stronie granicy, połowa po drugiej, i cały czas kursują, ni wszyscy to Azerowie, więc dla nich ta granica to nic. Tak samo nienawi-ą Rosjan i Irańczyków.

- Łapią ich?

- Nie tak często. Oni znają specjalne przejścia w górach, mają swoje ówki i drogi ucieczki przed granicznymi patrolami KGB. Zajmują się

rzemytem od bardzo dawna. Czasami j est to interes rodzinny od kilku poko-eń. Zostawiają kilku kuzynów w Azerbejdżanie, ale oni to płotki.

- A kim są wielcy przemytnicy?

- To oszuści. Oni działają inaczej.

- To znaczy jak?

- Pieniędźmi. Opłacają sowieckich urzędników. Opłacają straż graniczną albo jej komendanta, albo szefa miejscowej sekcji KGB, albo przywódcę lokalnej partii, który jest szefem wszystkich. Zdarza się, że od czasu do czasu kogoś złapią aby udawać, że wykonują swoją pracę. To wielki interes. Proszę mi wierzyć.

- Mnie podobają się ci mali. Interesy rodzinne. Znasz takich ludzi?

- Pewnie. Niektórzy są moimi kuzynami.

281

- Czy twoi kuzyni mogliby dla nas przewieźć spory ładunek?

- Czemu nie. Interes to interes. Co macie?

- Głównie książki.

- Książki? Książki to nic! Lepiej posłuchać Alego. Jeżeli jesteście sprytni wysyłajcie wideoodtwarzacze i kasety pomo. Oni właśnie tego chcą w Baki Na przykład Debbie załatwia Dallas.

- My wysyłamy książki, ty napalony sukinsynu. Książki i taśmy. Maté riaty religijne i nacjonalistyczne.

- Po co?

- Żeby wywołać pieprzoną rewolucją, właśnie po to!
- Dobra, ale lepiej przemycać kasety pomo. Naprawdę. Nawet te stan Głębokie Gardło. Za zielonymi drzwiami.
- Przestań gadać o tych cholernych kasetach! Jak szybko twoi kuzyi mogą zorganizować dostawę?
- Od razu. Możecie dać towar Alemu. Za kilka tygodni będzie na mię scu. Ale będzie to was kosztowało. Taka operacja nie tania. Moi kuzyini ba dzo chciwi.
- Założę się, że tak. Ile za to chcesz?
- A ile to dla was warte?
- Przestań chrzanić. Podaj cenę.
- Sto tysięcy dolarów.
- Wal się, kolego. Dam ci dwadzieścia tysięcy i to dopiero jak tow dotrze na miejsce.
- Ali nie może prosić kuzynów, żeby ryzykowali życiem za mniej n siedemdziesiąt pięć tysięcy. Z góry.
- Trzydzieści tysięcy. Więcej nie dam.
- Dla was Ali zrobi to za sześćdziesiąt pięć. Po tej cenie nic nie zostań dla Alego, ale trudno. Jesteśmy partnerami.
- W takim razie zapomnij o sprawie.
- Ach, jak to Alego boli. Sześćdziesiąt tysięcy.
- Może mógłbym dać trzydzieści pięć, jeżeli obiecacie, że towar bęc b na miejscu w dwa tygodnie.
- Nie. Przykro mi. Proszę poszukać kogoś innego. Proszę bardzo, c dajcie Alego w ręce greckiej policji. Wszystko jedno. Została mi tylko w sna duma.
- Czterdzieści tysięcy. To moja ostateczna oferta.
- Pięćdziesiąt pięć.
- Czterdzieści pięć. I to absolutnie ostateczna cena. Zatrzymam twój gn ki paszport jako gwarancję.
- Dlaczego nienawidzicie Alego? Pięćdziesiąt tysięcy. To najlepsza ce Możecie wyjąć broń i od razu zastrzelić Alego, ale nie będzie mniej niż pii dziesiąt.

- Mój drogi przyjacielu - Hoffman wyciągnął dłoń do Irańczyka - uśmiechnął się.

Anna wróciła po kilku godzinach. Ascariego już nie było, a Hoffman na kanapie. Na stoliku, obok kilku pustych butelek po piwie, stała taca resztkami jedzenia. Hoffman najwyraźniej świętował zwycięstwo.

- Obudź się, Frank - powiedziała Anna.

- Aaaa?

- Obudź się!

Hoffman dźwignął się na łokciu i usiadł.

- Byłeś wspaniały - stwierdziła dziewczyna, całując go w policzek.

- O czym ty mówisz?

- O Ascarim. Podręcznikowa lekcja na temat kontrolowania sytuacji, arto było przejść przez cały rok szkoleń tylko po to, żeby zobaczyć ciebie akcji.

- Bzdura. Taka taktyka jest skuteczna wyłącznie w przypadku takich ro-ów jak Ascari. U innych nie zdaje egzaminu.

- Daj spokój! Jak to ktoś kiedyś powiedział: kiedy pociągniesz ich za aja, ich serca i umysły podążą w tym samym kierunku.

- Głupie gadanie. Nie słuchaj tych wszystkich gadek twardzieli. Strach o beznadziejny sposób motywowania ludzi.

- Jesteś zbyt skromny. Co zatem jest lepsze niż strach?

- Pozytywna kontrola. - Hoffman sięgnął po jedną z opróżnionych butelek piwa i wysączył kilka ostatnich kropeł. To go trochę odświeżyło.

- Co to znaczy?

- To znaczy, że kiedy starasz się kogoś zwerbować, to chcesz, żeby ten oś robił pewne rzeczy, ponieważ uważa taki układ za korzystny dla siebie,

a nie dlatego, że ściśniesz go za jaja. Tylko w przypadku takich jak ten Ascari to działa, bo on jest kretyńcem i zależy mu wyłącznie na pieniądzu.

- Może wyda ci się to zabawne, ale mówisz zupełnie jak pewna agentka, którą znam. Kilka miesięcy temu próbowała powiedzieć mi dokładnie to samo.

Hoffman uśmiechnął się.

- Margaret Houghton - powiedział.

- Zgadza się. Jakim cudem zgadłeś?

- Kochana, nie mamy aż tak wielu agentek. Przynajmniej takich, które znają się na rzeczy. A ty skąd znasz Margaret?

- Od dawna jest przyjaciółką rodziny. Znała mojego ojca wiele lat temu, kiedy zaczynał pracować w służbach dyplomatycznych. Odkąd pamiętam, była z nami.

Hoffman zastanawiał się przez dłuższą chwilę.

»

283

- Przypomnij mi, jak naprawdę się nazywasz. Zawsze mam kłopoty z zapamiętywaniem prawdziwych nazwisk.

- Barnes. Anna Barnes.

- Tak właśnie myślałem.

- Dlaczego pytasz?

- Znałem kiedyś gościa w agencji, który nazywał się tak samo. To był(w Niemczech. Nie pamiętam dokładnie tylko jego imienia. Chyba Fryderyk Albo Filip.

- Mój ojciec miał na imię Filip.

- Może to ten sam facet.

- Raczej nie. Mój tato pracował w Departamencie Stanu.

- Mianowali go ambasadorem, tak?

- Zgadza się. Najpierw w Kuala Lumpur, potem w Helsinkach.

- To ten sam. Pracowaliśmy razem zaraz po tym, jak agencja została utworzona, w czterdziestym ósmym czy dziewiątym. Potem przeszedł do sek tora w pasiastych portkach.

Anna pokręciła głową. Podejrzała to. Wyobrażała sobie taką sytuację ale jednak odczuła wstrząs, słysząc te słowa z ust innej osoby.

- Mój ojciec był w CIA?

- Tak!

- Czym się zajmował?

- Miał główniane zadanie. Dlatego odszedł.

- Co to było? Zawsze chciałam wiedzieć, co mój ojciec robił po wojni. Nigdy o tym nie rozmawiał.

- Nie dziwi mnie to. Wysłał wielu biednych rosyjskich sukinsynów i śmierć.

- O czym ty mówisz?

- To nie była jego wina. Na tym polegało jego zadanie. Poszukiwaliśn rosyjskich agentów w obozach zesańców, takich ludzi, którzy po powroc do Związku Radzieckiego mogliby zagrać po naszej stronie. Rosjanie bj przerażeni. Wielu z nich walczyło razem z Niemcami w armii Własowa. Ni którzy dopiero co zdezerterowali. Stalin chciał ich widzieć z powrotem u si bie. Właśnie na tym polegała praca twojego ojca. Jeśli dobrze pamiętam, on musiał decydować, których z nich mogliśmy użyć do swoich celów.

- A co się stało z resztą?

- Zostali wysłani z powrotem do kraju.

- Aby zginąć?

- Większość z nich tak. Działy się wtedy okropne rzeczy. Ci biedni dzie przyczepiali się do nas, błagali i szlochali. Robili wszystko, byle tyl nie wsiąść do tego pociągu. Wielu wołało rzucić się pod koła niż wracać Związku Radzieckiego. To była okropna robota.

- I co zrobił mój ojciec?

284

- Po jakimś czasie uznał, że to wszystko jest potworną bzdurą. Mam na rśli agencję. Dlatego odszedł. Nigdy ci o tym nie mówił?

- Tylko raz coś wspomniał. Niedługo przed śmiercią.

- Co powiedział?

- Ostrzegł mnie, abym nigdy nie została szpiegiem, ale nie miałam poję-dlaczego.

- No to po jakiego diabła wstąpiłaś do agencji? Powinnaś była wiedzieć. Anna zastanawiała się przez moment.

- Chciałam zrobić coś dobrego.

- Zmienić świat na lepszy i bardziej bezpieczny?

- Chyba tak. Wiem, że to pewnie brzmi śmiesznie.

- Nie, wcale nie śmiesznie - odparł Hoffman. - Raczej niebezpiecznie.

Stambule Taylorowi kończyła się przynęta. Wciąż spotykał się z Mun-

zerem przynajmniej raz w tygodniu, dostarczając mu broszury i ulotki swoich kurczących się zapasów i czekał, aż Sowieni wypłyną na powieizch-ę. W połowie lipca z Waszyngtonu przybyło kolejne pudło przysłane zwy-ą pocztą. Zawierało egzemplarze dodruku jeszcze jednej pozycji ze środ-woazjatyckiej biblioteki Stone'a. Ta nosiła tytuł Dar ul-Rahat Musulma-ri, czyli „Muzułmańska kraina szczęścia", a była napisana przez krymskiego itara Ismaila ben Gaspraly. Pierwsze wydanie ukazało się w Bakczysaraju tyśiąc osiemset dziewięćdziesiątym pierwszym roku. Była to swojego ro-:aju

muzułmańska powieść science fiction, opisująca życie w idealnym is-mskim państwie przyszłości. Munzer zachwyił się tym kolejnym przykła-:m literatury wywrotowej i z dumą rozdał książki swoim przyjaciołom. Nie-ety, „Muzułmańska kraina szczęścia" nie przyciągnęła niczyjej uwagi.

Termin taszkienckiej demonstracji nadszedł i minął. Munzer był ciekaw,) się tam wydarzyło. Prawdę mówiąc, Taylora także to interesowało. Wysłał stanie do Stone'a, a ponieważ zakazał on korzystania z depesz, list poszedł wyczejną pocztą- czyli tym, co w dawnych czasach, zanim opłaty za listy iędzynarodowe wzrosły, nazywano „dziesięciocentową torbą". Według Sto-:'a wciąż była to najbezpieczniejsza metoda komunikacji międzyna-:ej. Tydzień później Taylor otrzymał odpowiedź. Stone nie wyjaśniał, w jaki >osób zdobył informacje, ale Taylor, sądząc po bogactwie szczegółów rela-i, podejrzewał, że staruszek miał swojego agenta w Taszkencie przez cały as trwania zamieszek. Mógł też oczywiście wszystko zmyślać.

285

Według relacji Stone'a, mała grupa mniej więcej dwudziestu osób ze brała się po piątkowych modłach przed muzułmańską radą religijną Azj Środkowej, niedaleko od placu Chorsu w starej islamskiej dzielnicy mia sta. Rada była opłacana przez Sowietów i dlatego zwykli ludzie zawsze odnosili się do niej podejrzliwie. Kilka ulotek informujących o demonstra cji krążyło po bazarze w poprzedzającym wydarzenie tygodniu, ale więkl szość ludzi zebranych za bramami przyszła tam z ciekawości, a nie po td aby wziąć czynny udział w demonstracji. Podobno miejscowe biuro KG1 oraz milicja także otrzymały kopie ulotki i dlatego licznie przybyli i czeka li w pobliżu. I

Kolorowa grupa demonstrantów przemaszerowała od bram siedziby radl do ruin meczetu, oddalonych o sto metrów. Meczec ten był świątynią Abl Bakr Mohammeda Khafala Szasti i dla członków bractwa Kadarija stanowi święte miejsce. Kiedy mała grupka dotarła do świątyni zarośniętej zielskiem jeden z nich - prawdopodobnie prowokator - rozwinął prosty afisz, na ktl rym po arabsku napisano: „Nie ma Boga prócz Allaha, a Mahomet jest je J prorokiem". Protestujących natychmiast aresztowano - razem z przynajrl niej dziesiątką innych ludzi. Partyjna gazeta w Taszkencie następnego dni nie wspomniała ani o demonstracji, ani o aresztowaniach. Stone pisał, że biedl Uzbegy wciąż tkwili w więzieniu, podczas gdy miejscowe KGB starało » dojść, co się właściwie wydarzyło.

Podczas kolejnego spotkania z Munzerem Taylor streścił mu wydarzerl w świątyni bractwa Kadarija, tylko nieznacznie upiększając relację Stonel Namawiał Munzera, żeby jego przyjaciel Khojaew, emigracyjny dziennikał zbadał historię dokładniej i opublikował jąna łamach „Great Turkestan". Gcl by dało się to zrobić, Taylor obiecał, że może przeszmułować trochę egzeł plarzy do Związku Radzieckiego. To wzbudziło ciekawość Munzera.

- Jak to zrobisz, mój przyjacielu? - spytał Uzbek. - Sowiecka gran« to nie rogatki New Jersey.
- Zgadza się, ale nie jest to także berliński mur. Istnieją sposoby na prfl dostanie się.
- Tak, pewnie. Jakie sposoby?
- Przez Pakistan. ■
- Jak to, przez Pakistan? I

- Peszawar - powiedział Taylor konspiracyjnym tonem. - W Peszą* rze można kupić wszystko, co tylko się chce. I

- I stamtąd przez granicę? I

- Tak. Ciężarówką. Na koniu. Pieszko.

- Munzer rozumie. Już nie ma pytań.

Taylor zamierzał to tak zostawić, ale przyszło mu do głowy, że MurB nie powinien zadawać aż tak konkretnych pytań na temat operacji. Tol było w jego stylu. Alan podejrzewał, że Uzbek powtórzył tylko pytania, ■

286

rtoś inny mu przekazał. A to oznaczało, że ktoś gdzieś wreszcie zaczynał denerwować.

Dlaczego pytałeś mnie o transport przez granicę? Czy ktoś chciał użyć od ciebie takie właśnie informacje?

- Och. Wiesz, jest wiele pytań.

- Nie, nie wiem. Chcę to usłyszeć od ciebie.

- Khojaew mnie pytał. Mówił, że jego przyjaciel Abdallah z Taszkientu :e dowiedzieć się czegoś o ulotkach, które dostajemy.

- Naprawdę? A dlaczego Abdallah chce to wiedzieć? Czy ktoś go o to tał? Może ten inny amerykański przyjaciel?

- Może. Ale Munzer uważa, że to nie ma sensu. Po co Amerykanin prosi-Abdallaha z Taszkientu, żeby spytał Khojaewa, żeby spytał Amerykanina?

- Nie przejmuj się, Munzer - powiedział Taylor, uśmiechając się nie-acznie. - To ma sens.

Munzer był bohaterem dnia u Omara. Pojawił się tam w pewien czwart-wy wieczór tuż przed świętem, kiedy muzulmanie lubią wychodzić do mia-. Sonia od razu zauważyła dość przystojnego mężczyznę o okrągłej twa-siedzącego w kącie z coca-colą. - Pan Munzer? - spytała.

Munzer skinął nieśmiało głową. Nawet po dwudziestu pięciu latach spę-onych na Brooklynie wciąż nie był przyzwyczajony do tego, żeby niezna-me kobiety przedstawiały mu się w barach. Kiedy jednak Sonia wspomnia-iż słyszała o jego bohaterskiej działalności bojownika o wolność i spyta-czy mogłaby przysiąc się do niego na kilka minut, aby posłuchać opowieści starym kraju, Munzer poczuł się zupełnie swobodnie. Zamówił piwo, po-m następne, a kiedy godzinę później przyszedł Khojaew, butelkę szampa-. Sonia przedstawiła Munzera Omarowi i stałym bywalcom baru - kilku azachom i Turkom oraz ciemnookiemu Czeczenowi, który wyglądał, jak-miał za chwilę podciąć komuś gardło. Bawili się wspaniale, rozmawiali ipiewali. Starsi mężczyźni siedzieli pod ścianą trzymając się za ręce, prze-lwając paciorki i rozmawiając o polityce. Po północy Sonia zaintonowała irkiestańską pieśń i dołączył do niej chór głosów. To był wspaniały wieczór. f barze zjawili się wszyscy prócz wysokiego blond filmowca z Kolumbii rytyjskiej.

Jack Rawls wrócił do Stambułu pod koniec lipca. Taylor tylko przypadkiem dowiedział się, że blondyn znowu jest w mieście. Podczas tygodni cze-ania Alan poprosił Turków, aby obserwowali Silwanę Kunajewą, żonę sowieckiego konsula generalnego. Nie zaprowadziła ich ona bezpośrednio do

Rawlsa; była na to zbyt ostrożna. Ale pewnego dnia złożyła wizytę biznes menowi w Beyoglu, niejakemu panu Guztepe, który prowadził dobrze prc sperującą firmę importowo-eksportową z krajami bloku wschodniego. Te szacowny dżentelmen następnego dnia udał się do biura agencji nieruchomości w pobliżu placu Taksim. Właściciel tego biura, zastraszonej przez jedn go z tureckich agentów Serifa Osmana, zdradził, że jeden z jego sprzedawców właśnie wynajął apartament w dzielnicy Zejtinburnu, z /idokiem n morze Marmara. Była to dość dobra kryjówka. W rejonie tym mieściły s: garbarnie i w całej okolicy unosił się zapach chemikaliów i padliny.

Kiedy Taylor zdobył już adres, łatwo było mu założyć stałą obserwację mieszkania. W końcu pewnego ranka kamera zarejestrowała wysokiego blo dyna wkładającego klucz w zamek i otwierającego sobie drzwi. Wreszcie mi Rawlsa, ale, na szczęście, Rawls jeszcze nie miał ich.

Następny ruch Taylora polegał na założeniu podsłuchu w nowym b piecznym domu w Zejtinburnu. Najpierw próbował zrobić to łatwym spo bem - wynajmując sąsiednie mieszkanie i montując mikrofon sondowy. Ni stety, okazało się to niemożliwe. Mieszkania na górze, na dole i po obu s' nach były już zajęte, a próba przekupienia mieszkańców albo ich eksmi wydawała się zbyt ryzykowna. Taylor znalazł puste mieszkanie po przeci nej stronie ulicy - z oknami w tej samej linii co okna pokoju Rawlsa - i k swojemu zastępcy natychmiast wynajmując je przez tureckiego pośrednika.

Teraz Alan potrzebował technika. Stone zabronił korzystania z perso lu agencji, ale tym razem sytuacja była inna - zwłaszcza że Taylor miał p jaciela, który potrafił rozwiązywać różne problemy techniczne i trzymać zyk za zębami. Kazał sekretarce zadzwonić do George'a Trumbo w Aten z wiadomością, że Sonia z baru Omara bardzo pilnie chce się z nim zo czyć. George podejrzewał, że to tylko bajer, ale i tak zgodził się przyjechać. Następnego dnia Taylor zabrał go prosto z lotniska do Zejtinburnu i pok układ obu mieszkań

- Śmierdzi tu psim gównem - taka była pierwsza uwaga technika.
- Zapomnij o zapachu, powiedz mi lepiej, jak założyć podsłuch.
- To łatwe, jeżeli ma się sprzęt - stwierdził grubas.
- Wyjaśnij to swojemu mało inteligentnemu przyjacielowi - pop Taylor.
- Po prostu użyjemy okna tego gościa jako mikrofonu. Z tego mies nia trzeba poprowadzić promień lasera, tak aby odbił się od szyby fa-i wyłapać go na odpowiednim sprzęcie optycznym, po czym przekazać gnały do odbiornika audio. I bach! Można odczytać wibracje szyby two, jakby to była igła i gramofon z płytą.
- Wspaniale - powiedział Taylor. - Na kiedy możesz to zrobić?

288

- Chyba żartujesz? Nie mam takiego sprzętu.

- To wróć do Aten i załatw wszystko.
 - Al, ty mnie nie rozumiesz. W Atenach też nie mam nic takiego. Tego rzeczy nie rozdają technikom pracującym w terenie. Trzymają to w kwaterze głównej. Sprzęt uważany jest za tak tajny, że nawet nie można przeby-
- ' z nim w tym samym pomieszczeniu samemu. Nie dostałbym tego bez tych papierów do wypełnienia.
- A nie masz przyjaciół w biurze działu technicznego, którzy pomogli ci to wydostać bez całej tej papraniny?
 - Może i mam, ale nie jestem pewien, czy chcę ich prosić o takie rzeczy jemnicy. Pewnie o tym nie wiesz, ale ja wciąż tkwię w głównej po tam-wysokoku z tobą przed kilkoma miesiącami.
 - Co takiego?
 - Ktoś z biura inspektora generalnego przyjechał kilka tygodni temu i zadał pytania o ciebie, o to, nad czym pracujesz, czy ostatnio coś dla ciebie
- miałem i czy przypadkiem nie byłbym zainteresowany regularnym otrzymywaniem czeków.
- I co mu odpowiedziałeś?
 - Nic, poza tym co już wiedział.
 - Dzięki. Jestem twoim dłużnikiem.
 - Zapomnij o tym. Zresztą co ty takiego robisz, że aż ci z biura generalnego tak się tobą interesują? Tacy faceci nie wróżą nic dobrego.
 - Wolałbyś nie wiedzieć, George. Wierz mi.
 - Dlaczego nie załatwisz tego zwykłymi kanałami i nie poprosisz kogoś z kwatery głównej, żeby przyjechał i ci to zainstalował? Dla nich to jeden
- dzień roboty. Przecież to nie problem, co?
- Właśnie tego nie chcesz wiedzieć, Georgie.
 - OK, Al. Przepraszam, że w ogóle zapytałem. Posłuchaj tylko jednej rady: uważaj na swój tyłek. Ktoś w kraju bardzo interesuje się tym, co robisz.

Taylor podziękował przyjacielowi za ostrzeżenie. Nie miał pojęcia, co ę działo - dlaczego biuro inspektora generalnego pytało o niego - ale tak rękę to go nie obchodziło. Wiedział już, że założenie podsłuchu w mieszkaniu Rawlsa nie opłacało się. Musiał jeszcze trochę poczekać, aż Rosjanin Vancouver sam się pokaże.

Na następnym spotkaniu Munzer powiedział, że Khojaew wreszcie przedstawił go tajemniczemu panu Abdallahowi z Taszkentu. Taylor już od kilku tygodni miał nadzieję, że dojdzie do takiego spotkania, ale Abdallah zwlekał. Najwidoczniej ktoś go przestrzegł, aby zachował jak największą ostrożność w kontaktowaniu się z obcymi. Oczy Munzera błyszczały, kiedy opisywał spotkanie.

19-Siro

289

- Abdallah zapytał mnie o literaturę - poinformował.
- Dałeś mu ją?
- Tak. Dałem mu, tak jak mnie prosiłeś. Powiedziałem mu: „Jesteś pi triotą Uzbekistanu. Chcesz zobaczyć, co robi Munzer, więc ci pokażę. Wszj scy pracujemy dla tej samej sprawy”.
- Co dokładnie mu dałeś?
- Turkiestan pod sowieckim jarzmem. I Muzułmańską krainę szczęści< Dałem mu też „Syberyjski chór ludowy”, zamiast którego mówił szejk Ni kszbandi. I ten specjalny pakistański Koran, mały. Bardzo ładny.
- I co jeszcze? Pokazałeś mu ulotkę z Taszkientu i powiedziałaś, co s tam wydarzyło?
- Tak. Abdallah smucił się razem ze mną.
- Dałeś mu nową ulotkę o demonstracji w Baku?
- Nie. Munzer tej nie dał.
- Dlaczego?
- Bo Abdallah nie jest z Azerbejdżanu. Munzer też nie jest z Azerbe dżanu. Co nas to obchodzi? To trzeba zostawić Azerom.
- Na litość boską, przecież wszyscy działacie razem. Abdallah, Khoj ew i pozostali twoi przyjaciele powinni wiedzieć, że ten ruch obejmuje zi mie znacznie większe od Turkiestanu. Inne radzieckie narody też chcą odz skać wolność. Azerowie, Ormianie, Łotysze, Ukraińcy.
- Kogo obchodzą Ormianie i Azerowie?
- Nas. Następnym razem, jak zobaczysz się z Khojaewem, pokaż n ulotkę o Baku i powiedz, że może wszystko powtórzyć Abdallahowi. D brze?

Munzer skinął głową, niezbyt uszczęśliwiony tym, że niepodległość\ ruch Turkiestanu musi współistnieć, choć przez chwilę, z pragnieniami wc ności innych narodów na naszej planecie.

W pierwszy wtorek sierpnia do konsulatu przybył postaniec z całkie nowym ładunkiem. Mężczyzna nie należał do dyplomatycznych organiza kurierskich mających siedzibę we Frankfurcie, które zwykle zajmowały s transportem tajnych materiałów z Moskwy i innych miejsc. Prawdę mówii człowiek ten w ogóle nie przedstawił się jako pracownik amerykańskie rządu, kiedy przechodził przez główną bramę konsulatu. Powiedział tyli że ma ważną przesyłkę, którą musi osobiście dostarczyć Alanowi Tayloro\ Strażnicy zamierzali go wysłać do wszystkich diabłów, ale wręczył im zak joną kopertę z wydrukowanym nazwiskiem Alana prosząc, aby natychmi mujądostarczyli.

Kiedy Taylor kilka minut później otworzył kopertę, znalazł w niej jec ze swoich wizytówek z Karpetlandu.

290

- Przyślijcie go na górę z tym, co ma do przekazania - polecił. - I nie wdajcie paczki.

Kurier w towarzystwie strażnika przeniósł przesyłkę przez dziedziniec, potem po schodach na górę do gabinetu Taylora, mieszczącego się w anek- . Pudło miało pokaźne rozmiary. Poślaniec wiozł je przez cały lot liniami American z Nowego Jorku na zarezerwowanym obok siebie miejscu, i odprawił strażnika i zamknął drzwi. Kurier w tym czasie przyglądał się, porównując jego twarz z tą którą widział na fotografii. Kiedy miał pewność, że właśnie jemu miał dostarczyć ładunek, postawił pudło na ku Taylora.

- To dla pana - powiedział. Był silnym, niskim mężczyzną wysportowanym niczym cyrkowicz, zachowującym się jak człowiek, który potrafi bez

ńca trzymać swój mózg na jałowym biegu.

- Kto pana przysłał? - zapytał Taylor.

- Szef z Karpetlandu

- Tak? A kim pan w ogóle jest?

- Pracuję dla szefa.

- Proszę to udowodnić - zażądał Taylor. - Nigdy o panu nie słyszałem. Kurier wyjął z kieszeni drugą zaklejoną kopertę, także zaadresowaną do

aylora, i podał mu ją.

Był to list od Stone'a, napisany jego równym charakterem pisma. „Ala-e, wysyłam ci to pudło przez kuriera. Kiedy je otrzymasz, daj mu jedną ze oich stambulskich wizytówek z twoim podpisem, która posłuży nam jako wód przyjęcia. Instrukcje znajdziesz w pudle. Powodzenia". Wiadomości ikt nie podpisał.

Taylor postąpił zgodnie z instrukcją: wręczył pośtańcowi podpisaną wi-ówkę w zaklejonej kopercie. Potem odprowadził go do bramy konsulatu uściskał mu dłoń. Poślaniec odwrócił się i ruszył ulicą Mesrutijet. Skąd Sto-e bierze takich ludzi? - zastanawiał się Alan.

Kiedy wrócił do biura, zamknął za sobą drzwi i otworzył pudło, bardzo dokładnie zapakowane i owinięte. Wewnątrz znajdowało się mniejsze pudełko i duża koperta zabezpieczona woskiem. Taylor złamał pieczęć i wyjął kolejny list od Stone'a, także napisany odręcznie. Czytał go w zdumieniu: „Mój drogi Alanie, nadszedł czas, aby pociągnąć za łańcuch tak mocno, jak to tylko jest możliwe. Właśnie w tym celu przesyłam ci wiele nowych rzeczy. Pierwszą znajdziesz w kopercie razem z listem. Jest to zestaw ośmiu ręcznie rysowanych map, które pokazują miejsca potencjalnych celów w Związku Radzieckim".

Taylor przerwał czytanie i wyjął z koperty pozostałe papiery. Było tak, jak pisał Stone. Osiem dokładnie naszkicowanych map z listami i legendą

291

rzządzoną tureckim pismem używanym w Azji Środkowej. Taylor wrócił > lektury:

„Lista celów uwzględnia kwaterę główną muzułmańskiej rady religijnej w Taszkencie; biuro milicji na przedmieściach Samarkandy; tadjycką siedzibę partii w Duszanbe; baraki wojskowe w Margelanie, w dolinie Fergany; turkmeńskie biuro KGB w Aszchabadzie; związkowe centrum kulturalne w Baku; rurociąg ropy naftowej w Sumgaicie; siedzibę milicji na przedmieściach Ałma Aty”.

Taylor przeliczył wszystko, aby mieć pewność, że otrzymał wszystkie osiem map. Potem czytał dalej.

„Poza mapami w przesyłce znajdziesz małe kartonowe pudełko. Zawierają pewien rodzaj materiałów wybuchowych, bardzo potężnych i cieszących się dobrą opinią wśród ludzi znających się na tym fachu. Włożyłem tam cztery torby. Mają służyć wyłącznie do demonstracji, więc pod żadnym pozorem nie używaj ich. Ktoś mógłby zostać przy tym ranny. Chciałbym, aby te mapy i materiały wybuchowe w jakiś sposób dostały się w sowieckie ręce w Stanach. Pewnie zechcesz przekazać je Ahmedowowi, ale dopracowanie szczegółów pozostawiam już tobie. Nie trać czasu, ponieważ za kilka tygodni naprawdę wybuchnie bomba w jednej, a może w kilku republikach radzieckich, choć oczywiście nie stanie się to w żadnym z zaznaczonych miejsc.

Ostatnią rzeczą jest neseser z listem do Franka Hoffmana. Mogę cię poinformować, że zawiera on pod podszewką sporą ilość tego samego wybielającego plastiku. Nie przejmuj się tym neseserem. Materiału nie da się wykryć i na pewno nie wybuchnie. Proszę, dostarcz ten list i neseser Frankowi najszybciej jak będziesz mógł. Powodzenia!”

Ten człowiek postradał zmysły - taka była pierwsza myśl Taylora. Później była jego druga myśl. Potem uznał, że powinien zabierać się do roboty.

Jeszcze tego samego popołudnia złożył niezapowiedzianą wizytę w mieszkaniu Munzera w Askaraj. Wziął jeden z samochodów konsulatu i zabrał i swoje pudełko z materiałami wybuchowymi oraz kopertę z mapami. Jakoś przebrnął przez uliczny ruch na moście Atatiirka i ruszył bulwarem w kierunku bloku Ahmedowa. Samochód zaparkował na rogu małej uliczki, przy której mieszkał Munzer. Właśnie zaczął zapadać zmierzch. Wóz zdradzał go, ale nie miało to znaczenia. Taylor domyślał się, że Sowieci już założyli podsłuch w mieszkaniu Uzbeka.

Alan głośno zapukał do drzwi Munzera.

- Kimo? - usłyszał. - Kto tam?
- Arkadas - odparł Taylor. - Przyjaciel.
- Jaki przyjaciel? - spytał Munzer już po angielsku.
- Daj spokój, na litość boską! Otwieraj te drzwi!

Munzer usłuchał. Miał na sobie spodnie od piżamy i podkoszulek z rękawów. Wyglądał na zaskoczonego.

sporządzoną tureckim pismem używanym w Azji Środkowej. Taylor wróci do lektury:

„Lista celów uwzględnia kwaterę główną muzułmańskiej rady religijnej w Taszkencie; biuro milicji na przedmieściach Samarkandy; tadjycką siedzibę partii w Duszanbe; baraki wojskowe w Margelanie, w dolinie Fergany turkmeńskie biuro KGB w Aszchabadzie; związkowe centrum kulturalne w Baku; rurociąg ropy naftowej w Sumgaicie; siedzibę milicji na przedmieściach Ałma Aty”.

Taylor przeliczył wszystko, aby mieć pewność, że otrzymał wszystkie osiem map. Potem czytał dalej.

„Poza mapami w przesyłce znajdziesz małe kartonowe pudełko. Zawierają pewien rodzaj materiałów wybuchowych, bardzo potężnych i cieszących się dobrą opinią wśród ludzi znających się na tym fachu. Włożyłem tam cztery torby. Mają służyć wyłącznie do demonstracji, więc pod żadnym pozorem nie używaj ich. Ktoś mógłby zostać przy tym ranny. Chciałbym, aby te mapy i materiały wybuchowe w jakiś sposób dostały się w sowieckie ręce w Stare Bule. Pewnie zechcesz przekazać je Ahmedowowi, ale dopracowanie szczegółów pozostawiam już tobie. Nie trać czasu, ponieważ za kilka tygodni na prawdę wybuchnie bomba w jednej, a może w kilku republikach radzieckich choć oczywiście nie stanie się to w żadnym z zaznaczonych miejsc.

Ostatnią rzeczą jest neseser z listem do Franka Hoffmanna. Mogę cię poinformować, że zawiera on pod podszewką sporą ilość tego samego wybuchowego plastiku. Nie przejmuj się tym neseserem. Materiału nie da się ukryć i na pewno nie wybuchnie. Proszę, dostarcz ten list i neseser Frankowi najszybciej jak będziesz mógł. Powodzenia!”

Ten człowiek postradał zmysły - taka była pierwsza myśl Taylora. Pod nią była jego druga myśl. Potem uznał, że powinien zabierać się do roboty.

Jeszcze tego samego popołudnia złożył nie zapowiedzianą wizytę w mieszkaniu Munzera w Askaraj. Wziął jeden z samochodów konsulatu i zabrał z sobą pudełko z materiałami wybuchowymi oraz kopertę z mapami. Jakoś przebrnął przez uliczny ruch na moście Atatiirka i ruszył bulwarem w kierunku bloku Ahmedowa. Samochód zaparkował na rogu małej uliczki, przy której mieszkał Munzer. Właśnie zaczął zapadać zmierzch. Wóz zdradzał go, ale to nie miało znaczenia. Taylor domyślał się, że Sowieci już założyli podstęp w mieszkaniu Uzbeka.

Alan głośno zapukał do drzwi Munzera.

- Kimo? - usłyszał. - Kto tam?
- Arkadas - odparł Taylor. - Przyjaciel.
- Jaki przyjaciel? - spytał Munzer już po angielsku.
- Daj spokój, na litość boską! Otwieraj te drzwi!

Munzer usłuchał. Miał na sobie spodnie od piżamy i podkoszulek bez rękawów. Wyglądał na zaskoczony.

- Dlaczego przychodzisz? - spytał trochę zaspanym głosem. - Wszyst-porządku?
- Tak. W porządku. Tylko muszę z tobą o czymś porozmawiać. Chcę u ciebie przechować, bo tutaj będzie to bezpieczne.
- Co to takiego?
- Może najpierw usiądź, Munzer. To bardzo ważna sprawa.
- Dobrze, dobrze. - Uzbek wszedł do pokoju i usiadł na krześle.
- A teraz posłuchaj, mój przyjacielu. Już w Brooklynie powiedziałem że poważnie myślimy o wyzwoleniu Turkiestanu. Mówiłem serio. Nie za-
aj, że właśnie tego pragnąłeś.
- Nie zapominam. Co tam masz? - Wskazał na pudełko.
- Niespodzianki. Dla Rosjan. - Alan bardzo ostrożnie otworzył pudełko jął grubą torbę zawierającą białawą substancję.
- Co to?
- Materiał wybuchowy - szepnął Taylor.
- O Allahu! - Senne oczy Munzera nagle rozbłysły. Alan nie miał poję-czy ze strachu, czy może z radości.
- Nie dotykaj tego. Nie patrz na to. Nawet o tym nie myśl. Po prostu howaj to gdzieś. Masz szafę?
- Tak. Tutaj jest szafa. - Munzer otworzył drzwi w końcu pokoju.
- W takim razie tu to położymy.
- Do czego to? - spytał Munzer, kiedy Taylor przeniósł pudełko i ostroż-e położył je w szafie.
- Będzie potrzebne podczas naszych operacji.
- Gdzie?
- Czy potrafisz dochować tajemnicy, mpj przyjacielu, aż do śmierci? Munzer stuknął się w pierś i wymamrotał niezrozumiałą przysięgę.
- Ufam ci, Munzer, więc pokażę ci kilka celów. Wziął dużą kopertę i wyjął z niej rysunki, podając je jeden po drugim
zbekowi. Biorąc do rąk kolejne strony, Munzer wydawał z siebie westchnie-ia zachwytu, dodając od czasu do czasu jakiś okrzyk.
- Pokazuję ci to, ponieważ potrzebna mi jest twoja pomoc. Nie mogę ać tego w konsulacie. Tam jest zbyt niebezpiecznie, dlatego chciałem

stawić je tutaj na kilka dni. Nie masz nic przeciwko temu?

- Absolutnie nie.
- Jakie jest najbezpieczniejsze miejsce w tym mieszkaniu? Munzer zastanawiał się przez chwilę.
- Pod materacem - powiedział.

Był to dość oczywisty schowek, pierwsze miejsce, które sprawdziłby złodziej znajdujący się na rzeczy, ale Taylorowi to nie przeszkadzało. Z powagą poszedł za Munzerem do sypialni, podniósł materac o kilka centymetrów i wsunął kopertę pod spód. Kiedy spojrzał na Ahmedowa, zauważył,

293

że ten niewysoki Uzbek o okrągłej twarzy stanął równo niczym żołnierz n warcie.

- Zaraz muszę iść - oznajmił Taylor. - Masz jeszcze jakieś pytania?
- To bardzo wielka tajemnica?
- Tak. Bardzo wielka.
- Czy Munzer może o niej komuś powiedzieć?
- Nie.
- A moim turkiestańskim braciom? Proszę! Mogę im powiedzieć prz] najmniej, że teraz mamy prawdziwą armię?
- Ufasz im?
- Mojemu przyjacielowi, Khojaewowi, chyba tak.
- Ale on jest dziennikarzem. Tacy za dużo gadają.
- Jest jeszcze Kirdarow.
- Skąd pochodzi jego rodzina?
- Z Kirgizji.
- To zbyt niebezpieczne. Może mieć kontakty z Chińczykami.
- A może Abdallah? On potrafi dochować wielkiej tajemnicy, tak myśl
- Jesteś pewien, że możesz mu ufać?
- Tak, dlaczego nie?
- Dobrze. W takim razie możesz powiedzieć Abdallahowi, że planuj my kilka akcji. Ale tylko tyle. Żadnych szczegółów.
- Dobrze. Obiecuję.

- Jeszcze tylko jedno, Munzer. Chodź tutaj na chwilę. - Taylor rusz do łazienki.

Weszli obaj do pomieszczenia i Taylor odkręcił wodę. Potem pochylił i ku Uzbekowi i zaczął mówić cicho, aby szum wody zagłuszał jego słowa.

- Nie dotykaj tych rzeczy, pod żadnym pozorem. Rozumiesz mnie? Oznaczyłem każdą z nich i rozpoznam, czy ktoś je otwierał. Jeżeli to będziesz jesteś skończony. Jasne?

■ OK. Munzer rozumie.

Taylor zakręcił wodę i wrócił do przedpokoju. Przy drzwiach Munzer uściskał go i ucałował w oba policzki.

Wystarczył tydzień. W kolejny wtorek Taylor wrócił do mieszkania Mi zera ze specjalnym urządzeniem, które pokazywało, czy ktoś ruszał paczkę. Ku wielkiemu zadowoleniu stwierdził, że otwierano obie. Ręcznie szkicowane mapy z pewnością sfotografowano, jedną po drugiej. Otwarto także jec z toreb z materiałem wybuchowym, prawdopodobnie po to, by pobrać próbkę do analizy w moskiewskim laboratorium. Alan nie zdradził, kto ruszał paczki. Ostrzegł tylko Munzera, aby zachował ostrożność. Chciał mieć pewność, że to nie Uzbek pofolgował swojej ciekawości.

294

- Wszystko w porządku? Nikt nie ruszał?

- Nic się nie zmieniło - odparł Taylor. - Nie ma problemu. Teraz zabiorę je ze sobą.

- Dlaczego? Czy rozpoczyna się operacja?

- Tak, nadszedł już czas. Muszę dostarczyć ten towar do ludzi, którzy użyją.

- Munzer może to zrobić?

- Nie, mój przyjacielu. Jeszcze nie teraz.

- Ale wkrótce, proszę. Munzer chce tam być, kiedy wybuchnie wojna.

34

W pierwszej bombie trafiła do Taszkientu pod koniec lata, w podręcznym bagażu hinduskiego biznesmena z Delhi. Spędził on w mieście pięć dni, negocjując umowę kupna bawełny z dużych spółdzielni produkcyjnych na północnym zachodzie Uzbekistanu. Miał opuścić Taszkiemt tego wieczoru i polecieć do Kabulu, a stamtąd do Delhi. Dla Stone'a i jego przyjaciół był on po prostu QRCOMFORT. Paszport miał wystawiony na nazwisko Ramchandra Desai.

Popołudnie było jasne i ciepłe, w takie dni uzbecki przywódcy partii lu-ili chętnie się stolicą swojej republiki. Taszkiemt, miasto szerokich bulwarów, ulic obsadzonych drzewami i wspaniałych parków otaczających centrum, miał też piękne różane ogrody i wdzięczne fontanny. Można je było uważać za uzbeckim Paryżem. Taszkiemt miał tę przewagę nad innymi miastami związku Radzieckiego, że wszystkie ohydne budynki wzniesione za czasów talina runęły podczas trzęsienia ziemi w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym pierwszym roku. Władze donosiły, że zginęło wówczas tylko dziesięć osób - dowód wielkiej wartości systemu socjalistycznego. W rzeczywistości 11 tysięcy ofiar znalazło się

prawie dwieście nazwisk, co i tak było zaskakująco niewielką liczbą. Być może władze nie mogły nic na to poradzić. Musiały cichać. System tego wymagał. Hinduski podróżny opuścił swój pokój w ho-teu „Uzbekistan” tuż przed piątą po południu. Na ramieniu niósł niewielką torbę podróżną. Sprawiał wrażenie spokojnego. Niewysoki, starannie ubrany z tą niezwykle mieszaniną usłużności i arogancji, którą przejawia wielu Hindusów podróżujących za granicę. Przez cały tydzień traktował swoich rajskich rozmówców z wyszukaną grzecznością, a Uzbeków protekcyjnie. Tolerowali jego zachowanie, ponieważ był kupcem płacącym prawdziwymi pieniędzmi, nie rublami. Poza tym, Hindusów znano z tego, że płacili

295

„prowizję”, jeżeli udało im się wynegocjować korzystną cenę. Pomogło to, że był wybredny i wymagający, bo choć w miarę upływu dni tygodnia stawał się coraz bardziej nerwowy, nikomu nie przyszło do głowy, żeby z niego stanąć się dlaczego. Tak właśnie zachowywali się drobiazgowi Hindusowie zajmujący wysokie stanowiska.

Wychodząc frontowymi drzwiami hotelu pan Desai czuł wyraźny niepokój. Już wcześniej robił różne rzeczy dla Amerykanów, ale tym razem sprawa wyglądała inaczej. Mężczyznę, który przekazał mu torbę w Delhi, nie był agentem, z którym Hindus zwykle się kontaktował. Samo zadanie też było niezwykle. Miał dostarczyć torbę o nieznanym zawartości innemu kurierowi którego nie znał - w obcym mieście, kojarzącym mu się z niewielkim przysieczem na plecach Azji.

Skóra Hindusa najpierw zaczęła swędzieć, potem stała się wilgotna i w końcu zdrętwiała. Mężczyzna miał ochotę wyjść z niej i ukryć ciało w jej skorupce, niczym krab pustelnik. Przez krótką chwilę myślał, że zrobił chyba wszystko, by nie musieć kończyć tego zadania. Mógł na przykład wejść pod jadący samochód. W końcu promenady prowadzącej od hotelu auta śręgały po ulicy okalającej park Karola Marksa. Hindus wiedział jednak, że nie rozwiązywało niczego; i tak znaleźliby torbę, potem by go torturowali a w końcu zabili.

Z rezygnacją zrobił to, co mu kazano - skręcił w prawo i przeszedł krótki odcinek z hotelu do metra. Tak powiedział agent. Taszkient miał metr i to bardzo dobre; idealne miejsce, żeby na chwilę zniknąć wszystkim z oczu Hindus zapłacił pięć kopiejek - które trzymał w spoczonej dłoni od chwili gdy opuścił hotel - i wsiadł do metra na przystanku nazwanym na cześć Rewolucji Październikowej. Było to wymyślne, pozłacane cudo, zupełnie jak metro w Moskwie. Niezwykle stosowne, pomyślał Desai. Sowieci potrafili kompetentnie budować tylko to, co jest pod ziemią.

- Nie oglądaj się przez ramię, nie patrz czy ktoś cię śledzi - ostrzegł go agent. - Tym możesz się zdradzić.
- Hindus opanował pragnienie zrobić dokładnie tego, czego nie powinien; zamiast tego wbił wzrok w swoje buty a potem zaczął przyglądać się twarzom Uzbeków czekających na pociąg. Wszyscy wyglądali jak policjanci. Po kilku minutach metro z rykiem wjechało na stację i Hindus pospiesznie wszedł do środka.

Przejechał jeden przystanek do stacji Lenina, całej udekorowanej kryształowymi żyrandolami, i podszedł do drzwi, aby wysiąść. Zrobił krok na zewnątrz i w chwili gdy drzwi zamykały się, cofnął się do wagonu, dokładnie tak jak poinstruował go agent w Delhi. Nie zauważył żadnego małego z KGB walącego w zamykające się drzwi, ale przecież się nie rozglądał.

Przejechał jeszcze dwa przystanki i wysiadł na stacji Nawoje, udekorowanej okropnymi symbolami sierpa i młota. Przeszedł przez peron na drugą stronę zwracając w najmniej spodziewanych momentach, aby mieć pełny

296

Wiedząc, że nikt za nim nie idzie. Kiedy przyjechał pociąg zmierzający w przeciwnym kierunku, Hindus rozejrzał się wśród wsiadających pasażerów sprawdzając, czy żaden z nich przed chwilą z nim nie wysiadł, po czym wskoczył środkiem. Teraz, teoretycznie, był już „czysty”.

Jeszcze dwa przystanki i pan Desai wysiadł. Czuł ciężar torby. Agent nie wiedział mu, co wszyto pod podszewkę - ani słowa; zresztą Hindusowi to wszystko jedno. Chciał się pozbyć bagażu, wsiąść do samolotu i wracać do domu.

Pan Desai wyszedł na popołudniowe słońce i ruszył wzdłuż Prospektu imienia Marksa tak swobodnie, jak tylko potrafił. Szedł szeroką, trójpasmową aleją dla pieszych, wzdłuż której ciągnęły się restauracje ze stolikami powietrzu, teatry i sklepy. Tłoczyli się na niej spacerujący Uzbeki. W tłumie nikt nie zwróciłby uwagi na niepozornego Hindusa z torbą na ramieniu, pragnącego po raz ostatni przyjrzeć się miastu, z którego dziś znowu wyjeżdżał. Powoli mijał kawiarnie. Miał wrażenie, że nogi chwieją się jak szczypta. Rozglądał się w poszukiwaniu pewnej szczególnej relikwii pod gołym niebem. Nosiła nazwę „Krokodyl”. Właśnie tam miał jeść obiad.

W końcu ją znalazł. Stał w kolejce po specjalność zakładu, a prawdę mówiąc, jedyne danie, które serwowano tego dnia, czyli pilaw - porcję gotowanego ryżu z marchewką, przyprawami i kilkoma kawałkami żółtego sera. Zapłacił rubla, wziął talerz i usiadł przy pustym stoliku z brzegu. Od odnalazły go muchy. Starając się zachować godność, Hindus wyjął z kieszeni chusteczkę i wytarł do czysta talerz. Być może miał niedługo trafić do więzienia na Łubiance, ale nie zamierzał jeść brudną talerz. Torbę postawił stołem, zgodnie ze scenariuszem, i zaczął jeść. Od zapachu tłuszczu w powietrzu zrobiło mu się niedobrze. Kilka minut później przy sąsiednim stoliku usiadł gruby Uzbek i zaczął rować wielką górę pilawu, mlaskając, jakby nie jadł od tygodnia. Hindus uznał, że to na pewno nie ten mężczyzna, na którego czekał. Ten właściwie pojawił się niedługo potem. Powłócząc nogami podszedł do Hindusa i ciszy zapytał po angielsku: „Czy mogę do pana dołączyć?” - dokładnie według planu. Hindus zdołał wykrztusić: „Proszę, ja już kończę”. Wszystko zgodnie z instrukcjami. Tyle tylko, że pan Desai nie mógł opanować zdumienia. Mężczyzna, który okazał się jego partnerem w tym sekretnie zorganizowanym spotkaniu, ten, któremu Hindus zwierzał swoje życie, był Afrykaninem - czarnym jak muł na dnie rzeki Ganges. No to już nie żyję, pomyślał hinduski biznesmen. Nie ma wątpliwości, jestem martwy. Patrzył w swój talerz przez dwadzieścia sekund, po czym wstał i wyszedł, pozostawiając torbę pod stołem.

297

Afrykanin był studentem z Tanzanii. Nazywał się Władimir Iljicz Mbanje. Został zwerbowany przez szefa placówki w Dar es Salaam przed trzema laty, kiedy wybierał się na studia do Związku Radzieckiego. Nabytek tej uważano za całkiem niezły - zawsze dobrze było mieć jedną osobę więcej w Moskwie, Leningradzie czy Kijowie. Tylko że w Związku Radzieckim tanzańczyk trafił do Taszkentu i przez dwa lata siedział tam bezczynnie, a w końcu tamtejszy oddział agencji skreślił go z listy płac.

Wtedy właśnie zwrócił na niego uwagę Edward Stone i chłopak rozpoczął nowe życie, znacz nie bardziej interesujące.

Mbane wolno zjadł obiad z całkowitym spokojem. Należał do tego rodzaju ludzi, którzy nadawali się na idealnych kłamców i idealnych agentów Tam, gdzie u normalnych ludzi znajdowały się zakończenia nerwów, on miał chyba sam syrop i bawełnę. Można go było teraz podłączyć do wykrywacza kłamstw, a otrzymałoby się odczyt równy jak wody Jeziora Wiktorii w bezwietrzny dzień.

Tanzańczyk skończył jeść, założył pasek torby na ramię i ruszył alej Karola Marksa w stronę skweru Lenina. Mogłoby się wydawać, że czarny mężczyzna na ulicach Taszkientu będzie się bardzo wyróżniał, ale wyglądał to zupełnie odwrotnie. Na tym polegało największe błogosławieństwo ras zmu. Uzbęcy i Rosjanie nie zwracali uwagi na Afrykanów, ponieważ byli 01 bagażem socjalistycznego internacjonalizmu. Czarny mężczyzna na ulicach stawał się w pewnym sensie niewidzialny. Ludzie nie patrzyli na niego, nie rozmawiali z nim, nie potrafili w ogóle sobie wyobrazić, że mógł robić coś, co miało jakiegokolwiek znaczenie.

Mbane szedł aleją, mijając setki niewidzących par oczu. Zatrzymał się dopiero na szerokim placu ograniczonym łukiem fontann. Przez plac przebiegał dziesięciopasmowy bulwar - uroczysta droga, którą maszerować w pochodach pierwszomajowych - a w drugim jego końcu wznosił się pałac Lenina, wysoki na prawie trzydzieści metrów. Ów taszkiencki Lenin miał bardzo szczególny wygląd. Podobnie jak każda społeczność chrześcijańska nadaje postaci Jezusa odrobinę narodowego charakteru - kolor włosów, odcień skóry, rozstaw oczu - ten Lenin był azjatycki. Miał lekko skośne oczy i ludzie Wschodu, kości policzkowe równie wysoko i mocno zaznaczone jak u Mongoła. W dłoni trzymał skrypt, niczym wódz socjalistyczny wyciągający cy zapisany firman ku swojemu ludowi.

Afrykanin miał pozostawić torbę w krzakach tuż za jedną z marmurowych tablic stojących po obu stronach pomnika. Właśnie szedł w tamtych kierunkach, kiedy dżip wiozący dwóch milicjantów zatrzymał się dokładnie przed statua. Mundurowi wysiedli i jastrzębim wzrokiem ogarnęli cały budynek. Jeden z nich powiedział coś do krótkofalówki. To był zły znak. Wiele osób wpadłoby w panikę - na pewno tak stałoby się z hinduskim bhisnemenem - i zrezygnowała z wykonania zadania, uciekła i ukryła się gdzieś.

298

Jednak młody Afrykanin został ulepiony z zupełnie innej gliny. Wiedział, dla niego niebezpieczni mogli być agenci KGB w cywilu, a nie panowie w ebieskich mundurach. Nie patrząc na milicjantów przeszedł od niechcący bulwarem, mijając budynek administracji partii, na którym wisiły wielkie portrety Marksa i Engelsa. Zszedł po długich schodach do parku poniżej. Mbane dostrzegł pustą ławkę stojącą przy rzędzie krzewów i usadowił na niej swoje długie ciało. Nie zastanawiając się zbyt długo, zdając się zupełnie na genialny instynkt, przerzucił torbę do tyłu za oparcie ławki i pozwolił zsunąć się z ramienia w zielone krzewy. Wyjął z kieszeni papierosa, zapalił i zastanowił się nad sytuacją.

Ławka znajdowała się zaledwie kilkadziesiąt metrów od wejścia do stałki imienia Lenina. Z tego miejsca, w którym siedział, Tanzańczyk widział całą płaskorzeźbę zdobiącą wejście. Przedstawiała Lenina wyzwolającego Wschodu. Wielkiego wodza otaczały postacie o orientalnych rysach -- Turków kujących metal i młócących zboże; mużulańskie kobiety stały czymś trzymając Gracje unoszące w górę miotły.

Tu jest chyba wystarczająco blisko, pomyślał młody Tanzańczyk. Jeżeli 'e da się uderzyć w pomnik Lenina, trzeba celować w stację metra imienia cnina. Skończył jednego papierosa i leniwie wypalił drugiego czekając, aż tnie niebo trochę pociemnieje. Dopiero wtedy wstał z ławki, upewniając ę, że torbę kryły zwieszające się gałęzie krzewów. Władimir Iljicz Mbane okojnie i powoli ruszył na stację metra, trzymając w dłoni pięć kopiejek, wtopił się w letni wieczór.

I tak pierwszy akt sabotażu na terenie Związku Radzieckiego, dokonany ez agenta z Zachodu, doprowadził do wysadzenia sporej ilości krzaków, lkudziesięciu różanych krzewów, czterech ławek, betonowej alejki i czap-jednej z figur na płaskorzeźbie. Wybuch nastąpił w środku nocy, wiele odzin po tym, jak Taszkient ułożył się do snu i wiele godzin po tym, jak "duski biznesmen wylądował w Kabulu. KGB ogłosiła, że doszło do prze-ania linii gazowej. Agenci KGB zaczęli przesłuchiwać czarnych studen-'w na uniwersytecie, ponieważ wielu ciemnoskórych widziano w dzień przed buchem w okolicy, w której podłożono bombę. Młody Tanzańczyk wysłał awet anonimową wiadomość wskazującą pewnego podejrzanego kolegę Kampali, który mieszkał w sąsiednim akademiku.

Misja Taylora była zdecydowanie mniej niebezpieczna niż sprawa w Taszkencie. Rano wyleciał ze Stambułu, przechodząc przez odprawę z neseserem, który przysłał mu Stone. Nikt go nie zatrzymał ani w Stambule, ani na lotnisku w Atenach - nie wyglądał przecież na takiego, który mógłby przewozić bomby -więc udał się wprost do mieszkania Hoflmana u stóp wzgórza Lykabettos. Taylor przypuszczał, że Hoffman się go spodziewa, ponieważ poprosił Maijorie, rezy-

299

dującą w Rockville, aby powiadomiła Franka o jego przyjeździe. Zadzwoił do drzwi, trzymając w dłoni neseser naładowany materiałem wybuchowym.

- A coś ty za jeden, do cholery? - spytał Hoffman, kiedy otworzył drzwi Był nie ogolony i miał na sobie niebieski j edwabny szlafrok z czarną lamów-ką, podobny do tych, jakie nosili zapaśnicy.
- William Goode - przedstawi się Taylor.
- Tak? - Frank obejrzał przybysza od stóp do głów. - No i co?
- Nikt pana nie uprzedził, że mam przyjechać?
- Nie. - Hoffman wyglądał tak jakby za chwilę zamierzał zamknąć drzwi
- Mieli do pana zadzwonić.
- Kto?
- Ludzie Stone'a.
- Bujda.
- Nie. Naprawdę.

Hoffman zmrużył oko. Taylor nie podobał mu się. Był zbyt przystojny.

- Bujda - powtórzył.

- Pieprz się. - Taylor dał sobie spokój z grzecznymi formami. - Otwórz te cholerne drzwi.

To się Frankowi bardziej spodobało.

- Kto cię przysłał?

- Stone, przecież już mówiłem. Edward Stone.

Hoffman przez moment rozważał sytuację i wreszcie postanowił ustąpić»

- Może i próbowali dzwonić - powiedział. - Zdjąłem słuchawkę z w dełek na jakiś czas.

- Na jak długo? ' \

- Nie wiem. Chyba ze dwa dni. Co to ma za znaczenie? Skoro już t trafiłeś, to może wejdiesz.

- Dzięki. - Taylor wniósł do mieszkania neseser i położył go delikatnie na stoliku w salonie Hoffmana.

- A to co, do diabła? - spytał Hoffman, wskazując neseser.

- Stone kazał mi to tutaj dostarczyć. W środku jest list, który wszystko wyjaśnia.

- Oszczędź sobie takich gadek, chłoptasiu. A tak naprawdę to jak się nazywasz?

- Taylor.

- No to oszczędź sobie takich gadek, Taylor. Co jest w tej pieprzonej walizce?

- Materiały wybuchowe.

- Co takiego?

- Materiały wybuchowe. No wiesz, wielkie bum!

- Jezu. Bomby! Czy Stone stracił rozum? Wydaje mu się, że co on robi? Zaczyna nową wojnę światową?

300

- Przeczytaj list. Może on wszystko wyjaśni.

- Nie muszą czytać żadnych cholernych listów. I tak wiem, co w nim pisał. Chce, żebyśmy dał tę przenośną bombę atomową czy co to jest temu ińskiemu kretynowi Ascariemu i kazał mu to przetrzymać do jakiegoś za-hłonego miasta pośrodku Kaukazu albo Azji Centralnej, żeby Wielki Iwan Moskwie pomyślał, że Wuj Sam to wciąż twardy gość. I co, zgadza się niej więcej?

- Pewnie tak. Nie czytałem tego listu, ale brzmi to prawdopodobnie.

- Oczywiście, że tak. Przecież to niemal żywcem wzięte z książki. Zamów się, jak można śmiertelnie przestraszyć ruskich. Oto nowy sposób, omby!

- Nie podoba ci się?

- O nie, podoba mi się, owszem. Tylko myślą, że jest trochę szalony. Co stało się w tego Stone'a? Kiedyś był taki konserwatywny.
- Nie mam pojęcia - stwierdził Taylor. - Może znudziło mu się to całe jiejprzanie się i postanowił trochę sobie zaszaleć. Ma strategię.
- Czyżby? A cóż to za strategia?
- Uważa, że jeżeli popchniemy Sowietów wystarczająco mocno, prze-rócą się.
- Mam nadzieję, że się nie myli. Właśnie tak. Bo w przeciwnym razie edzimy w gównie po uszy.
- Jak to? Wojna?
- Nie, do diabła. Nic aż tak trywialnego. Mówią o kłopotach prawnych.
- O jakich kłopotach prawnych?
- Ktoś w Atenach przyszedł do mnie kilka dni temu i zadawał kupę py-ii. Czy znam Edwarda Stone'a? Co on robi? Czy znam niejaką Annę Bar-es? Pewnie o tobie też wspomnieli.
- I co im powiedziałaś?
- Żeby się odpieprzyli. Już nie pracuję dla agencji. Powiedziałem, że jak chcą ze mną rozmawiać, to muszą najpierw załatwić dla mnie wezwanie do ądu.
- I co się stało potem? Próbowali skontaktować się z tobą ponownie?
- Nie wiem. Właśnie dlatego wyłączyłem telefon. Nie miałem ochoty wysłuchiwać więcej bzdur. Kiedy ty się pokazałaś, myślałem, że doręczasz wezwanie.

Taylor roześmiał się i pokręcił głową.

- Nie. Ja jestem współsprawcą.
- To brzmi dość znajomo - przyznał Hoffman. - Napijmy się.

Frank upewnił się, że telefon wciąż jest rozłączony i otworzył nowąbu-elkę szkockiej. Zanim późnym wieczorem ją skończyli, wypili wiele toa-tów za szacownego Edwarda Stone'a oraz przysięgli lojalność sobie i sprawie, jakakolwiek by była. Hoffman zaproponował nawet Taylorowi pracę

301

w swojej firmie arabsko-amerykańskich doradców do spraw bezpieczeństwa gdyby kiedykolwiek miał trudności z obecnym pracodawcą.

Druga bomba wybuchła w uzbeckiej Samarkandzie. Trafiła tam w bagażu pewnego irańskiego architekta, a przynajmniej człowiek ten za takiego się podawał. Na pewno miał duży perski nos i mówił w słodko i melodyjnym brzmącym języku perskim. Powtarzał Uzbekom, że jego rodzina wywodzi się od perskiego architekta, który wznosił meczet Bibi Khanum w Samar! dzie - ogromne, rozsypujące się ruiny nieopodal bazaru, które zawaliły się pod własnym ciężarem wiele wieków temu. Uzbeki słysząc to śmiali się i pytali, czy zna opowieść o tym, co się stało z owym architektem.

O tak, odpowiadał Irańczyk, owszem, znał tę opowieść. Timur zatra architekta, aby zbudował wielki meczet na cześć jego pięknej chińskiej żony Saray Mulk Khanum.

Potem wyruszył na jedną ze swoich wypraw. Żona chciała go zaskoczyć i zakończyć budowę meczetu jeszcze zanim powróci, dlatego poprosiła go, aby przyspieszył prace. Architekt zgodził się pod jednym warunkiem. Chciała pocałować cudowną królową w policzek. Władczyni zgodziła się, ale kiedy Pers przytknął usta do zaovalowanej twarzy kobiety, wypaliły one dziurę w materiale i pozostawiły czerwony znak hańby na skórze królowej. Tym oczywiście nie był zadowolony, kiedy powrócił z wyprawy. Niewierną żonkę kazał zrzucić z najwyższej wieży nowego meczetu i zamierzał po prostu tak samo z perskim architektem, ale legenda głosi, że gdy Persa przyprowadzono na szczyt minaretu, wyrosły mu skrzydła i odleciał na nich do Persji.

Irańczyk uwielbiał opowiadać tę historię swoim domniemanym krekom. Wygłaszał ją w wielu miejscach bazaru. Przedstawił ją ze wszystkimi szczegółami w małej księgarni przy ulicy Akhunbabajew, naprzeciwko demika uniwersyteckiego i tuż przy barakach milicji. Potem długo przesłuchiwał właściciela tej księgarni, a on wszystko dokładnie pamiętał. Mógł być Irańczykiem, architektem. Wszedł do środka i poprosił o fachową książkę o inżynierii. Taką można było znaleźć w każdej księgarni w Związku Radzieckim. Irańczyk przyjrzał się jej, a potem powiedział, że już ma i wyciągnął ze swojej torby identyczną na dowód, że to prawda.

Nie, kierownik księgarni nie sądził, że Irańczyk mógł zamienić księgarnię. Przecież obserwował klienta uważnie, ponieważ był on z zagranicy. Chociaż wszystko było możliwe. W sklepie byli też inni kupujący. Sam sprzedał odłożył książkę o inżynierii na półkę przy tej ścianie sklepu, która sąsiadowała z barakami milicji. Oczywiście wcale nie wydała mu się dziwna, pewnie o tym powiedział inspektor. To przecież ten sam podręcznik. W innym razie kierownik nie postawiłby go z powrotem na półce.

302

Bomba zupełnie zniszczyła księgarnię, ale na miejscowej ludności największe wrażenie zrobiło to, że wyrwała również pokaźnych rozmiarów dziurę w ścianie baraku milicyjnego. Milicjanci wyobrażali sobie, że są nietykalni - zechadzali się po ulicach w tych swoich wysokich, skórzanych butach - i wiedzieli, że są powszechnie nielubiani, zwłaszcza w takich miejscach położonych na uboczu jak Samarkanda. Miejscowi niemal cieszyli się z zajścia i więcej niż podziwiali perskiego architekta, który wykonał brudną robotę, a potem - tak jak w legendzie - odleciał.

Perski architekt z całą pewnością zniknął - rozpułnął się w powietrzu, nie odnaleziono go mimo dokładnych poszukiwań. Kiedy władze sprawdziły wszystkie rejestry, ku swojej rozpaczy stwierdziły, że nie mają żadnego zapisu o tym, iż podobna osoba wjechała lub wyjechała z Uzbekistanu. A żart tożsamość Persa okazała się fałszywa.

Mimo to KGB wiedziała, jak postąpić. Po bazarach zaczęły krążyć nowe otki. Podobno bomby w Uzbekistanie - bo każdy wiedział, że wybuchła chociaż jedna w Taszkencie - były dziełem ormiańskiej organizacji terrorystycznej mającej bazę w Erewanie. Ormiańscy kupcy na bazarze chcieli uzyskać wyższe ceny i próbowali zastraszyć uczciwych Uzbeków swoimi bombami. To miało sens. Całą winę zwalano na Ormian.

VII

Lucy Morgan Waszyngton/Pary Stambuł

/

wrzesień - listopad 1979

35

itam, panie Antaramian.

- A witam, witam! Cieszę się, że pana spotkałem. Już tak dawno się 'e widzieliśmy.

- Dokąd się pan wybiera?

- Wybieram się do nowego sklepu Henryka Seigle'a, żeby kupić gami-do pracy. Może zechce pan pójść ze mną?

- Owszem, chyba tak zrobię. Jeszcze nie widziałem tego sklepu.

- To wspaniały budynek. Największy w Bostonie.

- A oto i on. Wejdźmy do środka.

Anna Barnes przeczytała dialog w gramatyce ormiańsko-angielskiej, stając się czytać wersję ormiańską wydrukowaną obok angielskiej. Kupiła tę iążkę wiele lat temu na wyprzedazy w Somerville i zatrzymała jako cieka-ostkę, niezwykłą pamiątkę, która przyplynęła z odległego brzegu. Nigdy ie sądziła, że rzeczywiście z niej skorzysta. Teraz jednak chciała zwerbo-ać ormiańskiego agenta, wybranego spośród dziesiątek nazwisk w aktach i raportach z prywatnych wywiadów, które Maijorie systematycznie składała na jej biurku, więc stara gramatyka mogła się jej przydać. Odwróciła stronę i przeczytała nagłówek: „Spotkanie przyjaciółki na ulicy”.

- Cześć, Agnes, dokąd idziesz?

- Witam, panie Giragosian. Idę do kościoła. Może pan do mnie teraz dołączy?

- Nie, dziękuję. Ja wybieram się na plażę.

- Och, proszę pójść ze mną. W kościele ładnie śpiewają, a pastor dziś wygłosi kazanie na temat „Ceną za grzech jest śmierć”. To bardzo elegancki młody człowiek i wspaniały mówca. Proszę iść ze mną, to przedstawię pana.

307

- Tak, ale ja nie jestem protestantem. Należę do kościoła gregoriańskiego.
- To nie ma znaczenia. Wszyscy jesteśmy chrześcijanami. Niech par przyjdzie dla mnie.

Takie dialogi ciągnęły się przez wiele stron, przedstawiając rady dla nowe przybyłych do Ameryki we wszystkich dziedzinach życia. Autor, niejaki par E.A. Yeran sugerował, co powiedzieć oficerowi urzędu imigracyjnego („Czy zatrzyma się pan pod jakimś konkretnym adresem?” „Tak, jadę prosto do mojego wuja”), jak wynająć umeblowany pokój („Trzy dolary za miesiąc to za dużo, nawet za pokój z trzema oknami, grzejnikiem parowym i elektrycznością”), jak kupić garnitur za mniej niż dziesięć dolarów (powiedz sprzedawcy: „Chciałbym dostać garnitur w ciemnym kolorze, tak żeby nie brudzi się za bardzo, bo będę go nosił do pracy”). Przedstawiał nawet fragment dialogu z chińskiej pralni:

- Witaj, John. Daj mi moje pranie.
- Ma kwit?
- Och, zgubiłem swój kwit. Nie mam go w kieszeni.
- Nie ma kwitu, nie ma koszul. Wy, Amerykanie, zawsze gubicie kwit.

Anna przeglądała akta, szukając współczesnego pana Antaramiana albo pana Giragosiana, których mogłaby wciągnąć w operację. Każdego rank Maijorie przychodziła z następnym zbiorem papierów, które miały zostać zwrócone do Langley po południu, przed czwartą trzydzięci. Anna zastana wiała się, w jaki sposób Stone zdołał załatwić przyływ tych materiałów. Akta zawierające prawdziwe nazwiska i historię agentów, należały do najtajniejszych dokumentów, które agencja trzymała w archiwach. Ich zabranie, na wet tylko na kilka godzin, mogło się odbyć wyłącznie przy współudziale albo za zgodą osób zajmujących najwyższe stanowiska w Dziale Archiwum.

Biuro Karpetlandu świeciło teraz pustkami. Przychodziła tylko Maijorie. Wszystkie pudła zniknęły, wysłane do Stambułu, Peszawaru albo do Dubaji a stamtąd jeszcze dalej, w jakieś tajemnicze miejsca. Taylor także wyjechał a to obchodziło Annę o wiele bardziej niż pudła. Tęskniła za nim. Wcześniej nie pamiętała o tym niewytłumaczalnym aspekcie miłości, o zmianie w chemicznym składzie organizmu, przez co odczuwało się ból, gdy ta druga osoba się oddalała. Annę to drażniło. Jak córka feminizmu lat sześćdziesiątych w ogóle mogła się tak czuć - niczym pusta rękawiczka, bezużyteczna, kiedy nie wypełniała jej czyjeś ciało i życie? Przecież to absurd.

Po kilku tygodniach pustka zmieniła się w tępy ból, który wydawał jej się jednocześnie lepszy i gorszy, bo nie przypominał już miłości. I właśnie w tym nowym, pozbawionym dramatyzmu stanie pojawiło się pytanie o Tajlora. Dlaczego nie zadzwonił ani nie napisał? Dlaczego nie wysłał jej nawet

308

- Tak, ale ja nie jestem protestantem. Należę do kościoła gregoriańskiego.
- To nie ma znaczenia. Wszyscy jesteśmy chrześcijanami. Niech pai przyjdzie dla mnie.

Takie dialogi ciągnęły się przez wiele stron, przedstawiając rady dla nowo przybyłych do Ameryki we wszystkich dziedzinach życia. Autor, niejaki pan E.A. Yeran sugerował, co powiedzieć oficerowi urzędu imigracyjnego („Czy zatrzyma się pan pod jakimś konkretnym adresem?” „Tak, jadę prosto do mojego wuja”), jak wynająć umeblowany pokój („Trzy dolary za miesiąc to za dużo, nawet za pokój z trzema oknami, grzejnikiem parowym i elektryczną nośnią”), jak kupić garnitur za mniej niż dziesięć dolarów (powiedz sprzedawcy: „Chciałbym dostać garnitur w ciemnym kolorze, tak żeby nie brudzi się za bardzo, bo będę go nosił do pracy”). Przedstawiał nawet fragment dialogu z chińskiej pralni:

- Witaj, John. Daj mi moje pranie.
- Ma kwit?
- Och, zgubiłem swój kwit. Nie mam go w kieszeni.
- Nie ma kwitu, nie ma koszul. Wy, Amerykanie, zawsze gubicie kwit

Anna przeglądała akta, szukając współczesnego pana Antaramiana albo pana Giragosiana, których mogłaby wciągnąć w operację. Każdego rank Maijorie przychodziła z następnym zbiorem papierów, które miały zostać zwrócone do Langley po południu, przed czwartą trzydziści. Anna zastana wiała się, w jaki sposób Stone zdołał załatwić przypiływ tych materiałów. Akta zawierające prawdziwe nazwiska i historię agentów, należały do najtajniejszych dokumentów, które agencja trzymała w archiwach. Ich zabranie, na wet tylko na kilka godzin, mogło się odbyć wyłącznie przy współudziale albo za zgodą osób zajmujących najwyższe stanowiska w Dziale Archiwum.

Biuro Karpetlandu świeciło teraz pustkami. Przychodziła tylko Maijorie Wszystkie pudła zniknęły, wysłane do Stambułu, Peszawaru albo do Dubaju a stamtąd jeszcze dalej, w jakieś tajemnicze miejsca. Taylor także wyjechał a to obchodziło Annę o wiele bardziej niż pudła. Tęskniła za nim. Wcześniej nie pamiętała o tym niewytłumaczalnym aspekcie miłości, o zmianie w chemicznym składzie organizmu, przez co odczuwało się ból, gdy ta druga osoba się oddalała. Annę to drażniło. Jak córka feminizmu lat sześćdziesiątych w ogóle mogła się tak czuć - niczym pusta rękawiczka, bezużyteczna, kiedy nie wypełniała jej czyjeś ciało i życie? Przecież to absurd.

Po kilku tygodniach pustka zmieniła się w tępy ból, który wydawał jej się jednocześnie lepszy i gorszy, bo nie przypominał już miłości. I właśnie w tym nowym, pozbawionym dramatyzmu stanie pojawiło się pytanie o Taylora. Dlaczego nie zadzwonił ani nie napisał? Dlaczego nie wysłał jej nawiązanie

308

upięk wiadomości, jak pewien agent z San Francisco, który tłumaczył pionki z musicalu My Fair Lady na chiński i wysyłał je do domu podczas długiego przestoju komunikacyjnego w Pekinie, rozśmieszając tym swoją ukochaną i wprowadzając w zdumienie władze chińskie? Potem Anna zaczęła się zastanawiać, z kim teraz Taylor sypia. Ona wierzyła w zaufanie między ludźmi, ufała zwłaszcza tym, których kochała, ale w przypadku Taylora taka postawa w ogóle nie miała sensu. Żeby jakoś zabić rodzące się w jej głowie /tęsknota/, zajmowała się pracą - narkotykiem nowoczesnych kobiet robiących karierę - wyrażając w ten sposób swój protest wobec niesprawiedliwego losu, który kazał jej tak bardzo tęsknić za drugim człowiekiem.

Na wymyślonym przez siebie stanowisku kierowniczkim działu ormiańskiego Anna musiała zdecydować, czego dokładnie szuka. Najpierw chciała znaleźć ormiański odpowiednik Munzera Ahmedowa - emigranta, który mieszkał na Zachodzie, ale wciąż utrzymywał kontakty z nacjonalistycznymi ichami na ojczyźnie. To jednak okazało się znacznie trudniejsze, niż myślała. Najlepsi kandydaci spośród ormiańskich emigrantów na Zachodzie oświecili się rozsądnej pogoni za pieniędzmi i wydawaniu ich.

Anna sprawdziła różne miejsca ormiańskiej diaspory, szukając odpowiednich kandydatów. Agencja miała w rejestrze kilku libańskich Ormian, którzy pracowali w placówce w Bejrucie w latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych jako agenci kontraktowi. Jeden z nich, handlarz złota z ulicy Hamra, został awenturystycznie zwerbowany do stworzenia sieci w radzieckiej Armenii, wierzył, że podróżował tam raz do roku, aby odwiedzić rodzinę i obiecał »ficerowi wywiadu, że może zwerbować swoich kuzynów - którzy należeli do partii - aby szpiegowali dla Ameryki. Niestety, nic z tego nie wyszło, handlarz złotem, podobnie jak wielu innych Ormian z akt agencji, okazał się lepszy w mówieniu niż w działaniu. Kiedy wrócił z Erewanu do Bejrutu, barłzo przeprosił. Tłumaczył, że jeden z jego kuzynów przeniósł się do Nowo-Jybirsk; drugi akurat chorował. Było mu bardzo przykro. Obiecał, że spróruje w następnym roku.

Agencja przestała się nim interesować. Uznała, że libańscy Ormianie nie są wrogi zachodu. Zresztą ich szeregi na pewno zostały już spenetrowane przez KGB; a co gorsza, prawdopodobnie wielu spośród nich sympatyzowało ze Związkiem Radzieckim - który w pewnym sensie od lat dwudziestych zachował ormiańską ojczyznę. Co więcej, na początku lat siedemdziesiątych wielu libańskich Ormian podążyło w ślady swoich palestyńskich sąsiadów, wstępując na ścieżkę terroryzmu. Anna doszła do wniosku, że libańskich emigrantów najlepiej zostawić sobie samym.

Oczywiście byli także amerykańscy Ormianie, którzy w przeciwieństwie do swoich libańskich braci raczej opowiadali się po stronie konserwatyzmu -

309

w większości byli republikanami - a ich ambicje ograniczały się głównie do udanej asymilacji w Ameryce. Kilku Ormian pracowało nawet dla CIA, nie którzy cieszyli się bardzo dużym poważaniem, ale Stone przecież wykluczył możliwość wykorzystania kogokolwiek innego z agencji. Główne ormiańsko-amerykańskie organizacje także nie wchodziły w grę, z tej samej przyczyny. Ich przywódcy w ciągu wielu lat za bardzo zdołali zbliżyć się do rządu, więc gdyby ktoś się z nimi skontaktował, po pierwsze zadzwoniłby do oficjalnego biura agencji i zapytał, o co chodzi.

W dziale kontaktów wewnętrznych pojawiły się dwie możliwości. Jednym z kandydatów był ormiański fizyk z drugiego pokolenia w Ameryce Mieszkał w Stanford i często podróżował na międzynarodowe konferencje naukowe, dostarczając szczegółowe raporty na temat tego, czym zajmowa się jego radziecki kolega. Niestety, w aktach wspomniano, że nie zna ormiańskiego i nie interesują go zbytnio sprawy narodowe Armenii. Raczej nie nadawał się na osobę, która mogłaby zorganizować podziemie. Drugim kandydatem był dziennikarz pracujący dla jednej z gazet. Agencja otworzyła mu akta, ponieważ na początku lat siedemdziesiątych zgodził się bliżej zbadać sowiecką strukturę COMINT niedaleko Budapesztu podczas jednej ze swoich reporterskich podróży na Węgry. Wykonał też kilka jednorazowych zadań. W ciągu kolejnych lat, po czym przestano go wykorzystywać. Dobrze znał ormiański, a jego poprzedni agent prowadzący twierdził, że Ormianie po kilku drinkach stawali się porywczy. Anna uznała, że byłby idealnym kandydatem, gdyby nie jeden problem nie do

pokonania. Od czasu wielkiej wpad w połowie lat siedemdziesiątych agencja zakazała werbowania ormiańskie dziennikarzy na agentów. Te same zasady na pewno dotyczyły także operae Stone'a.

Pozostawała ostatnia stolica diaspory, ormiańska społeczność we Fra cji. I właśnie tutaj - wśród ormiańskich sprzedawców książek, jubileró i agentów biur podróży - Anna znalazła w końcu kogoś, kto mógłby być d brym kandydatem, niemal idealnym, gdyby niejedna bardzo poważna wad Człowiek, o którego chodziło, nie był emigrantem. Był obywatelem Związł Radzieckiego, lekarzem prowadzącym podyplomowe badania w instytuc medycyny na Sorbonie. Przebywał tam przez ostatnie dwa lata i miał powr cić do Erewanu na jesieni.

Nazywał się Aram Antoyan, a do komputerowych akt CIA trafił rok wcz śniej przez raczej głupi bład. Francuska agencja kontrwywiadu, Direction i la Surveillance du Territoire, rutynowo poinformowała paryską bazę CIA o go przyjeździe w siedemdziesiątym siódmym w celach studiowania „med cyny jądrowej”. Brzmiało to dość ekscytująco, ale tak naprawdę chodzi o wykorzystanie radioaktywnych barwników jako metody efiagnostyczr w monitorowaniu funkcji nerek, pęcherza i innych organów wewnętrznyc Jakiś idiota z paryskiej bazy uznał, że „medycyna jądrowa” musi mieć c

310

m

polnego z bombami. Czym prędzej zbadano go, podszywając się pod obcy wiad i sprawdzono, czy doktora Antoyana można zwerbować. Tajny agent ontaktował się z nim w Paryżu, udając belgijskiego anestezjologa, ale prze-nał się, że radziecki lekarz był tym, za kogo się podawał - badaczem. Nie siadał żadnej wiedzy w zakresie kwestii militarnych.

Agent doniósł, że jedyną niezwykłą rzeczą u młodego doktora Antoyana ło to, że z zaangażowaniem mówił o sprawach Armenii - posuwał się aż krytyki oficjalnej polityki sowieckiej wobec tej narodowości. Akta koń-ły się krótką wymianą depesz pomiędzy Paryżem a kwaterą główną na at dalszego postępowania w sprawie. Antyradzieckie poglądy wydawały ę zachęcające, ale centrala zdecydowała, że doktor Antoyan po powrocie domu nie będzie miał dostępu do tajnych informacji i dlatego werbowanie należało uznać za stratę czasu.

- Chyba znalazłam swojego człowieka - powiedziała Anna Stone'owi dni później, w biurze w Rockville. Stone próbował odłożyć to spotkanie

zgodził się przyjść dopiero, gdy Anna zagroziła, że odwiedzi go w Langley.

- O co ci chodzi, moja droga? - spytał. Tego dnia włożył muszkę w pa-, która nadawała mu wyjątkowo dystyngowany wygląd.

- O mojego ormiańskiego agenta. Znalazłam w Paryżu kogoś, kto ideal-e nadawałby się do tej roli.

- To miło, ale ja wciąż jeszcze nie podjąłem decyzji co do tego, aby zwiększać naszą grupę o kolejną osobę. I tak mamy wystarczająco dużo pro-

lemów z logistyką.

- On nie dołoży żadnych problemów logistycznych. Wręcz przeciwnie, e niezależny.

- Jak to?
- Jest obywatelem Związku Radzieckiego, nie emigrantem. Wkrótce ma cać do Erewanu, więc nie musimy szykować żadnych zabezpieczeń.
- Przykro mi, ale to nie wchodzi w grę.
- Dlaczego, do cholery? - zirytowała się Anna. Projekt ormiański był j własnym małym terytorium, a Stone właśnie zamierzał jej to odebrać.
- Zbyt niebezpieczne.
- Dla kogo? Dla niego czy dla nas?
- Dla obu stron, ale zwłaszcza dla niego. v- Mylisz się.

Stone zjeżył się. Nie był przyzwyczajony do tego, że kwestionowano jego opinie.

- On sam o siebie zadba - wyjaśniła Anna. - Poza tym nie prosimy go o nic, co jest bardzo ryzykowne. Według akt, on otwarcie wyraża swoją sympatię dla spraw Armenii, może więc już w czymś tkwić.

311

- Zastanowię się nad tym. Moja pierwsza odpowiedź jest odmowna.
- Nie ma czasu nad niczym się zastanawiać. Ten człowiek wkrótce poje dzie do domu. Proszę tylko o pozwolenie zbadania go.
- Dlaczego sądzisz, że możemy go zwerbować?
- Podpowiada mi to intuicja.
- To bzdura, moja droga. Nie gniewaj się, że tak mówię.
- Nie będę, jeżeli pozwolisz mi spróbować.
- Bardzo bym chciał, naprawdę. Tylko że wybrałaś akurat bardzo trudn; moment. Jest trudniejszy, niż możesz to sobie wyobrazić. Nie zamierzam za nudzać cię szczegółami, ale mamy pewne kłopoty z oficjalnym biurem. Ni potrzebujemy już więcej balastu.
- Ja nie jestem balastem. - Głos Anny zadrżał od gniewu.
- Nie mówię o tobie, Anno. Mam na myśli tego Ormianina.
- Alan mnie poprze. Frank Hoffman na pewno też, jeśli go o to poproszt
- Muszę przyznać, że jesteś bardzo uparta.
- Dałeś mi słowo, że pozwolisz mi zbadać ten temat. Jeżeli teraz si wycofasz, będę musiała jeszcze raz przemyśleć wiele spraw.
- Co to ma znaczyć?

- Tylko tyle, że chcę jechać do Paryża.
- Rozumiem. - Stone zastanawiał się nad tym dłuższą chwilę, na tyle długą aby zdecydowanie Anny zdążyło osłabnąć, jeżeli było to możliwe. Jednak dziewczyna siedziała przed nim bez ruchu, przekonana o słuszności swojej propozycji. Stone wiedział, kiedy powinien ustąpić.
- Dobrze - powiedział. - Ale zanim to nastąpi, muszę otrzymać ser sowny scenariusz rekrutacji oraz zakończenia. Masz mi dostarczyć te same dokumenty co zwykle plus jeszcze kilka. Potem zostajesz na polu sama.

Anna skinęła głową i pozwoliła sobie na skromny, ale radosny uśmiech triumfu. Stone przyjrzał się jej ładnej twarzy. Gdyby nie czuł się tak zaniepokojony, pewnie dostrzegłby w jej oczach dziki błysk, który na pewno uznąłby za wynik jego własnej szkoły. W pewnym sensie było to zwycięstwo jego metody, kolejny sukces oldboyów.

Ormiański lekarz mieszkał na przedmieściach Paryża, w jednym z akademików dla studentów zagranicznych, w kompleksie zwanym Cité Universitaire. We dnię pracował na wydziale medycznym na Sorbonie, w instytucie mieszczącym się nieopodal bulwaru St.-Germain. Młody doktor Antoyi

312

wł człowiekiem żyjącym według ściśle określonego planu. Codziennie rano o ósmej trzydzieści wsiadał w metro i jechał do Denfert-Rochereau, gdzie K przesiadał. Wysiadał na stacji St.-Germain-des-Prés i stamtąd piechotą łkonywał cztery przecznice do Rue de l'Ecole-de-Médecine. Anna za najważniejsze uznała to, że w jego aktach nie znalazła śladu powiązań z KGB. Był po prostu młodym, prowadzącym badania lekarzem - najwyraźniej bardzo inteligentnym - którego wysłano za granicę na zaawansowane szkolenie.

I Anna postanowiła, że najlepiej będzie, jeśli zastosuje najprostszy i najbardziej zbliżony do prawdy scenariusz rekrutacji. Zamierzała przedstawić się Ormianinowi jako była doktorantka z Harvardu studiująca historię imperium osmańskiego, a obecnie pracująca dla fundacji, która propaguje kulturowe i historyczne badania regionów Bliskiego Wschodu i Azji Środkowej, i oficjalnie chciała poznać jego poglądy na sprawy Armenii i poprosić go, aby przygotował krótki referat (za który sówicie by mu zapłaciła). Potem łapytałaby go, czy nie zechciałby przeprowadzić głębszej analizy jakiegoś zagadnienia już po powrocie do domu, do Erewanu. I gdyby wszystko poszło dobrze, w końcu zadałaby odpowiednie pytanie. Stone nie mógł chyba zaprotestować wobec takiego planu. Był to standardowy scenariusz rekrutacji, wykorzystywany z niewielkimi zmianami przy werbowaniu setek studentów z bloku wschodniego i krajów Trzeciego Świata.

I Na pośrednika w zorganizowaniu spotkania Anna wybrała młodą francuską dziennikarkę, Danielle Marton. Znalazła jej nazwisko w aktach streszczających rozwój prac, które wykonano przed dwoma laty. Marton doskonale nadawała się do roli, którą Anna jej wyznaczyła. Była cenionym pracownikiem paryskiej bazy. Nadano jej kryptonim UNWILLOW. Antoyana poznała poprzez swojego męża, również lekarza, kiedy Ormianin po raz pierwszy przyjechał do Paryża w siedemdziesiątym siódmym. [Pamiętając o wydanym przez Stone'a zakazie korzystania z pośrednictwa miejscowej bazy CIA, Anna po prostu zadzwoniła do Danielle i zaprosiła ją na obiad. Nigdy nie zdradziła, skąd znała imię Marton - ani tego, że sama pracowała dla agencji - pozostawiając wszystko wyobraźni francuskiej dziennikarki, która działała sprawnie, więc kobieta mogła dopowiedzieć sobie o wiele więcej niż Anna mogła jej

zdradzić. Podczas wspólnego obiadu Anna zadała kilka pytań na temat ormiańskiego lekarza; pod koniec Marton sama zaproponowała, że umówi ich ze sobą.

Spotkali się o piątej trzydzieści pewnego popołudnia w cichej kawiarni kilka przecznic od bulwaru St.-Germain. Anria i Danielle przyszły wcześniej i właśnie z żywieniem rozmawiały o jednej z wielkich zagadek dwudziestego wieku - dlaczego Simone de Beauvoir tak niewolniczo zakochała się w mężczyźnie takim jak Jean-Paul Sartre? - kiedy podszedł do nich doktor Aram Antoyan. Był przystojnym mężczyzną po trzydziestce, średniego wzro-

313

stu, śniadym, o kruczoczarnych włosach i gęstej czarnej brodzie. Miał na sobie niebieskie džinsy i tweedową sportową marynarkę narzuconą na niebieski, krótki fartuch lekarski. Można by go wziąć za stażystę jednego z amerykańskich szpitali, gdyby nie charakterystyczna cecha Ormian - duże czarne oczy, przypominające jeziora wspomnień i smutku nawet wtedy, gdy się uśmiechał,

Danielle przedstawiła ich sobie. Młody lekarz, choć zmęczony po całym dniu pracy, starał się zrobić jak najlepsze wrażenie. Flirtował z Danielle, po wiedział komplement na temat sukienki, zapytał o jej ostatni artykuł. W stosunku do Anny zachowywał się z większą rezerwą. Oczywiście zastanawiał go, czego od niego chce, ale czekał, aż ona sama zacznie o tym mówić. Rozmawiali po francusku, lecz nawet w tym trochę zmanierowanym języku jego wypowiedzi wydawały się bezpośrednie i jasne, zupełnie jakby mówił po angielsku. Danielle opuściła ich po kilku minutach, przepaszając i tłumacząc że musi przygotować obiad mężowi - lekarzowi. Anna pozwoliła, aby jeszcze przez dwadzieścia minut rozmowa biegła swoim torem, po czym wykonała pierwszy ruch.

- Interesuje mnie kwestia Armenii - powiedziała wyjaśniając tym samym, dlaczego poprosiła o zaaranżowanie tego spotkania.

- La question arménienne - powtórzył Antoyań, obracając francuski« słowa w ustach. - To zgubny temat. Przypuszczam, że taki już jest los nas Ormian, że nie jesteśmy narodem, lecz tylko kwestią. Dlaczego interesuje pani ten smutny temat? \

- Pracuję dla pewnej fundacji - przyznała Anna.

Antoyan spojrzał na nią sceptycznie, wyginając w łuk gęste czarne brwi

- Moja fundacja zajmuje się współczesnymi problemami Bliskiego Wschodu i Azji Środkowej. Współpracujemy z uniwersytetami, z amerykańskimi korporacjami. Tak to wygląda.

- Czy mógłbym zadać pani pytanie?

- Oczywiście. - Anna miała nadzieję, że jej twarz nie zdradza niepokoju, który ogarnął ją w tej chwili.

- Czy pracuje pani dla Turków?

- Nie - odetchnęła z ulgą, że tylko to go martwiło.

- To dobrze - powiedział z cieniem uśmiechu. - Martwiłbym się, gdyb pracowała pani dla Turków. Ale skoro nie jest pani Turczynką ani Ormianką muszę panią zapytać, dlaczego interesuje się pani kwestią ormiańską?

Anna odpowiedziała szczerze. Mówiła doktorowi Antoyanowi o swoje koleżance z akademika w Radcliffe, Ruth Mugrditchian, i o tym, jak dziewczyna przedstawiła jej historię ciotecznej prababki, która przeczołgała się przez pustynię syryjską z Biblią w ręku, i jeszcze innego krewnego, który przeżył tylko dlatego, że ukrył się na dnie studni. Właśnie te opowieści sprawiły, że zainteresowała się historią imperium osmańskiego.

314

- Tak, tak - powiedział ormiański lekarz. - Właśnie dlatego każdy za-a się interesować Ormianami. Jesteśmy idealnymi ofiarami. - Zamknął

oczy. Podobnie jak wszystkie dzieci ormiańskie, dorastał wysłuchując historii o ludobójstwie. Jednak tego wieczoru, siedząc w kawiarni przy St.-Germain i rozmawiając z atrakcyjną Amerykanką, nie miał ochoty ich przywołać.

- Przepraszam - powiedziała Anna. - Ormianie interesują mnie niejako arcy.

Była na siebie zła, że pozwoliła sobie na zbyt dużą bezpośredniość. Już na samym początku okazała się niezdarą. Starła się przypomnieć sobie rady stmktorów, których wysłuchiwała przed kilkoma miesiącami: „Działaj powoli, pozwól, aby to twój rozmówca nadawał tempo konwersacji. Zaczekaj, aż swój sposób powie ci, co dla niego ma największe znaczenie”. Aram chyba nie zwrócił uwagi na jej potknięcia. Na twarzy miał wymuszony uśmiech spojrzenie człowieka, który postanowił śmiać się mimo wszystko.

- Jeżeli naprawdę interesuje panią kwestia Armenii, powinna pani słuchać Radia Erewan. Oni mają odpowiedź na wszystko.

- Bardzo bym chciała, ale co to za Radio Erewan?

- Niemożliwe! Nie słyszała pani nigdy o słynnym ormiańskim radiu i jego powiedziach na pytania słuchaczy?

- Przykro mi, ale nie.

- Radio Erewan przekazuje pradawną mądrość naszego ludu. Dam pani przykład. Ktoś pyta: „Jakie jest najstarsze i najpiękniejsze miasto w ZSRR?” Radio Erewan odpowiada: „Erewan jest najstarszym i najpiękniejszym miastem ZSRR”. Słuchacz: A jak szybko bomba jądrowa zniszczyłaby Erewan? Ta to radio: „Tbilisi jest także bardzo starym i pięknym miastem”.

Anna zrozumiała, że Ormianin z niej żartuje.

- A co Radio Erewan mówi na temat kwestii Armenii? - spytała.

- Radio Erewan odpowiada, że kwestia Gruzji jest również bardzo ważna. «

Wrześniowy wieczór był dość ciepły, a doktor Antoyan nie spieszył się, zamówili więc jeszcze po jednym drinku i wdali się w rozmowę o Ameryce, filmach, nowoczesnej medycynie, utworach Solżenicyna. Wydawało się, że nie istnieje temat, o którym młody Ormianin nie chciałby rozmawiać. Należał do nowego pokolenia, które pod koniec lat siedemdziesiątych zaczęło podróżować za granicę. Ludzie ci byli ciekawi świata i zadziwiająco pewni siebie - zwłaszcza naukowcy-lekarze, którzy, podobnie jak ich zachodni koledzy, uważali siebie za członków międzynarodowej republiki intelektu i gardzili wszelkimi mało ważnymi regułami. Po dwóch godzinach miłej rozmowy Anna uznała, że powinna nawiązać do tematu, który najbardziej ją intere-

315

sował. Starła się wymyślić jakieś zręczne przejście, ale nic nie przychodziło jej do głowy.

- Proszę mi opowiedzieć o Armenii - poprosiła. - Jaka jest?

Aram uśmiechnął się.

- To bardzo zwyczajny kraj, ze zwykłymi przyjemnościami i problemami tak jak każde inne miejsce. Restauracje, teatry, parki. Według mnie należy to uznać za triumf. Armenia jest normalna i żywa, a nie wyjątkowa i martwa.

- Co ją różni od Moskwy albo Kijowa? Czy nawet od Paryża?

- Jest bardziej skorumpowana.

- Korupcja istnieje teraz wszędzie w Związku Radzieckim, czy nie tak

- Owszem, ale jest to korupcja typowa dla słowiańskich robotników. W Armenii jest ona raczej formą sztuki. Duszą gospodarki.

- Chyba pana nie rozumiem. Mógłby pan dać mi przykład? - Miała na dzieję, że nie zabrzmiało to zbyt nachalnie, tak jakby bardzo jej zależało na informacjach. Ormiański lekarz chętnie jej wyjaśnił.

- Weźmy na przykład fabrykę koniaku w Erewanie - powiedział. - Jest jednym z naszych największych przedsięwzięć gospodarczych. Mieści się w wielkim kamiennym budynku, stojącym na szczycie wzgórza tuż przy wjeździe do miasta. Niektórym wydaje się, że to siedziba parlamentu. Pewni teraz myślą pani, że przedsiębiorstwo to po prostu produkuje dobrej jakości koniak, który znany jest w całym Związku Radzieckim. Ale to niezupełni prawda.

- A jak jest naprawdę?

- Firma ta ma za zadanie wytwarzać nadprodukcję, którą można nielegalnie sprzedawać dla własnych korzyści. Powiedzmy, że miesięczna norma wynosi pięć tysięcy butelek koniaku. Fabryka oświadcza, że wyprodukowała sześć tysięcy, aby mieć produkcję ponad normę i otrzymać przysługujące z tego premie. A w rzeczywistości fabryka wytworzyła siedem tysięcy butelek.

- Co dzieje się z tym dodatkowym tysiącem?

- Właśnie! Co się dzieje z tysiącem butelek? Przypuśćmy, że jestem jednym z kierowników. Wysłałam sto dziesięć butelek do mojego ormiańskiego przyjaciela w Leningradzie. On kwituje odbiór

stu, czyli ilość, którą napraw dę zamówił. Wysłał mi pieniądze za dodatkowe dziesięć i sprzedaje je. J i on możemy także wypracować system wymiany. Ja wysłałam mu koniak; o mnie skórę. Potem mogę tę skórę wymienić u innego ormiańskiego przyjeźdźcę z Taszkientu, na przykład na bawełnę. Ten tysiąc butelek rozchodzi się właśnie w taki sposób. Rozumie pani?

Anna przytaknęła. Myślała o wszystkich znikających butelkach i o trudności w zarządzaniu całą gospodarką, która działa na podstawie podwójnych ksiąg.

- System jest przegniły w każdym miejscu - stwierdził Antoyan. - J(dyną żywą rzeczą jest właśnie ów rozkład.

316

- To fascynujące - powiedziała Anna - i bardzo przydatne dla mojej funkcji. - Ormianin był nierozważnie szczery w opisywaniu działania całego systemu. Anna zastanawiała się, czy powinna pchnąć go jeszcze odrobinę, i przekroczył niewidzialną granicę i przeszedł na jej stronę, ale doktor Itoyan ponownie się uśmiechnął.

- Wie pani, co o tym mówi Radio Erewan?

- Nie, a co takiego?

- Na pytanie: „Czy możliwe jest zbudowanie komunizmu w Armenii?” idio Erewan odpowiada: „Tak, ale wolelibyśmy, aby go budowano w Gru-

n

Anna roześmiała się, ale myślami była zupełnie gdzie indziej. Czuła się c domokrążca, który stara się postawić stopę za progiem klienta. Sama »rzejmość nie wystarczała; w końcu trzeba było po prostu wepchnąć się na

ę-

- Proszę posłuchać, doktorze Antoyan - powiedziała. - Moją fundację irdzo ten temat interesuje.

- Jaki temat?

- Korupcja w Związku Radzieckim.

- Rozumiem.

- Chcielibyśmy dowiedzieć się o tym czegoś więcej. Dobrze by było, żeby napisał pan dla nas krótki referat o sytuacji gospodarczej, ujmując w nim i, co powiedział pan mnie. Wystarczy kilka stron. Oczywiście zapropono-alibyśmy panu niewielkie stypendium na badania, gdyby przystał pan na iszą propozycję.

Aram uśmiechnął się, jakby dokładnie wiedział, czym zajmuje się fundacja Anny. Anna postanowiła drążyć dalej.

- Co pan o tym sądzi?

Ormianin wciąż nie odpowiadał. Po prostu siedział spokojnie i uśmie-łał się nieznacznie.

- Co pan na to? - naciskała Anna. Tym razem pytanie wypowiedziała iemal szeptem.

Lekarz nadal trwał w milczeniu. Po kilku następnych okropnych sekun-ach spojrzął na zegarek i powiedział, że musi wracać do akademika w Cite Fniwersitaire. Kiedy wstał od stolika, Anna poczuła, że robi jej się niedobrze, yła przekonana, że właśnie zaprzepaściła swoją pierwszą i prawdopodobie-ostatnią szansę zwerbowania młodego Ormianina. Uczucia tego nie zła-odziło nawet to, że doktor Antoyan na do widzenia czule i delikatnie poca-iwałjǳaw policzek.

Odpowiedź Arama Antoyana nadeszła następnego dnia. Była to poje-yncza strona zapisana na maszynie i włożona w kopertę, którą zostawił w biu-

317

- To fascynujące - powiedziała Anna - i bardzo przydatne dla mojej fun-cji. - Ormianin był nierozważnie szczerzy w opisywaniu działania całego i temu. Anna zastanawiała się, czy powinna pchnąć go jeszcze odrobinę, y przekroczył niewidzialną granicę i przeszedł na jej stronę, ale doktor ltoyan ponownie się uśmiechnął.

- Wie pani, co o tym mówi Radio Erewan?

- Nie, a co takiego?

- Na pytanie: „Czy możliwe jest zbudowanie komunizmu w Armenii?”

idio Erewan odpowiada: „Tak, ale wolelibyśmy, aby go budowano w Gru-

»

Anna roześmiała się, ale myślami była zupełnie gdzie indziej. Czula się c domokrǳca, który stara się postawić stopę za progiem klienta. Sama irzejmość nie wystarczała; w końcu trzeba było po prostu wepchnąć się na

- Proszę posłuchać, doktorze Antoyan - powiedziała. - Moją fundację rdzo ten temat interesuje.

- Jaki temat?

- Korupcja w Związku Radzieckim.

- Rozumiem.

- Chcielibyśmy dowiedzieć się o tym czegoś więcej. Dobrze by było, lyby napisał pan dla nas krótki referat o sytuacji gospodarczej, ujmując w nim , co powiedział pan mnie. Wystarczy kilka stron. Oczywiście zapropono-alibyśmy panu niewielkie stypendium na badania, gdyby przystał pan na iszą propozycję.

Aram uśmiechnął się, jakby dokładnie wiedział, czym zajmuje się funda-a Anny. Anna postanowiła drǳyć dalej.

- Co pan o tym sądzi?

Ormianin wciąż nie odpowiadał. Po prostu siedział spokojnie i uśmiełał się nieznacznie.

- Co pan na to? - naciskała Anna. Tym razem pytanie wypowiedziała niemal szeptem.

Lekarz nadal trwał w milczeniu. Po kilku następnych okropnych sekundach spojrzał na zegarek i powiedział, że musi wracać do akademika w Cite Jniversitaire. Kiedy wstał od stolika, Anna poczuła, że robi jej się niedobrze, była przekonana, że właśnie zaprzepaściła swoją pierwszą i prawdopodobnie ostatnią szansę zwerbowania młodego Ormianina. Uczucia tego nie złaodziło nawet to, że doktor Antoyan na do widzenia czule i delikatnie pocałował ją w policzek.

Odpowiedź Arama Antoyana nadeszła następnego dnia. Była to pojedyncza strona zapisana na maszynie i włożona w kopertę, którą zostawił w biurze.

317

rze Danielle Marton. Anna zdziwiła się, gdy Danielle zadzwoniła do niej aby powiadomić ją o wiadomości od Ormianina. Myślała, że młody lekarz już nigdy się do niej nie odezwie. Jeszcze większe zdumienie ogarnęło ją gdy przeczytała wiadomość. Brzmiała ona następująco:

Kilka uwag na temat Związku Radzieckiego

1. Pytanie do Radia Erewan: „Co dziwnego jest w pokojach 1714 i 21 14 w hotelu Rossija w Moskwie?” Radio Erewan odpowiada: „Są to pokoje sąsiadujące ze sobą”.
2. Pytanie do Radia Erewan: „Czy komisarz powinien zamykać drzwi do swojego gabinetu, kiedy kocha się z sekretarką?” Radio Erewan odpowiada: „Nie, bo ludzie mogą pomyśleć, że popijają sobie w środku”.
3. Pytanie do Radia Erewan: „Co się dzieje z Włochami, którzy za długo przebywają w ZSRR?” Radio Erewan odpowiada: „Kiedy wracają do ojczystego kraju, wszystkie staniki wydają im się za małe”.
4. Pytanie do Radia Erewan: „Czy kobieta powinna poślubić mężczyznę, który siedział w więzieniu za zamordowanie swojej pierwszej żony?” Radio Erewan odpowiada: „To nie jest żaden problem, mężczyzna jest przecież stanu wolnego”.
5. Pytanie do Radia Erewan: „Czy można kochać się z kobietą na placu Lenina w Tbilisi?” Radio Erewan odpowiada: „Tak, można, ale ludzie będą prawdopodobnie zatrzymywali się i udzielali dobrych rad”.
6. Pytanie do Radia Erewan: „Czy można stworzyć socjalizm we Francji?” Radio Erewan odpowiada: „Być może, ale komu jest on potrzebny?”

Anna najpierw sądziła, że to jakiś szyfr, wiadomość o ukrytym znaczeniu albo zagadka. Nikt przy zdrowych zmysłach nie wysyłałby zwyczajnie listy dowcipów w odpowiedzi na pytanie, które Anna zadała Antoyanowi. Kiedy jednak przypomniała sobie Ormianina i jego uwodzicielskie spojrzenie, uznała za możliwe, że jedynym ukrytym znaczeniem było to, że chce się z nią przespać. Boże, pomyślała, co za

niewinny motyw. Zadzwoiła Danielle i poprosiła, aby dziennikarka umówiła ją z ormiańskim lekarzem raz jeszcze.

- Sama do niego zadzwoń - powiedziała Francuzka. - Zastaniesz go p numerem 537-17-77. - W jej głosie słychać było cień żalu.

Anna zadzwoiła do laboratorium, w którym pracował Antoyan, jeszt tego samego popołudnia i zaproponowała wspólną kolację.

- Czemu nie - odparł Aram.

318

Celowo wybrała ekskluzywną restauracją, na jaką Ormianin z całą pew-iścią nie mógłby sobie pozwolić ze skromnego stypendium naukowego, yła to mała i elegancka knajpka na Ile St. Louis. Miejsce to upodobał sobie cieć Anny wiele lat temu. Wspomniała ambasadora Barnes'a, kiedy robiła zerwację, więc obiecano jej stolik na zewnątrz, z widokiem na Sekwanę, 'łaśnie miała wrócić do hotelu, żeby się przebrać, ale doszła do wniosku, że łudziła się jej cała garderoba w szafie. Zatrzymała się w hotelu „Bristol”, edaleko znajdowały się eleganckie sklepy z odzieżą przy Rue du Faubourg-St.-Honore. Uległa kapiysowi i weszła do jednego z najbardziej stylo-ych butików. Pół godziny później wyszła stamtąd w nowym tweedowym istiumie składającym się z obcisłej spódniczki i krótkiego, dopasowanego ikietu. Dała się też namówić sprzedawczyni na nową jedwabną bluzkę z su-;stywnym dekoltem.

- I

- Dlaczego jest pan wobec mnie taki szczery? - spytała Anna, pijąc pierw-ry kieliszek wina. - Sądziłam, że Rosjanie są bardziej ostrożni wobec ob-ych. \

- Ja jestem Ormianinem, nie Rosjaninem.

- Miałam na myśli „obywateli Związku Radzieckiego”. Zresztą to nie la znaczenia. Nie boi się pan, że ktoś zobaczy, jak pan rozmawia z Amery-anką i złoży donos albo wezwie pana na przesłuchanie?

- Absolutnie nie. Jestem naukowcem. Praca z osobami z zagranicy jest ieodłączną częścią mojego zawodu. Nie znam żadnych tajemnic, więc nikt ię mną nie przejmuje. Zadanie, jakie mam do wykonania w Paryżu, polega a nauczaniu się, jak diagnozować dolegliwość zwaną „refluksem” w drogach moczowych u małych dzieci. Właśnie po to mnie tutaj wysłano. Reszta :st nieważna. Poza tym, tak jak już powiedziałem, jestem Ormianinem. W Mo-kwie wszyscy uważają, że na nas nie można polegać.

- Dlaczego?

Przechylił głowę na bok, jakby nie miał ochoty odpowiadać na to pyta-ie, ale nie zawahał się.

- Jest takie stare przysłowie, które cytował szanowny George Orwell /jednej ze swoich książek: „Bardziej ufaj wężowi niż Żydowi, Żydowi niż irekowi, ale nigdy nie ufaj Ormianinowi”.

- To nie fair.
- Oczywiście, że nie, ale przynajmniej zabawnie brzmi. Poza tym w pe-vien dziwny sposób jest to prawdą. Ormianom nie warto ufać.
- Dlaczego nie? - spytała Anna. Nie miała pojęcia, dokąd zaprowadzi ch ta rozmowa, ale postanowiła, że tym razem to on ma nadawać jej tempo.
- Ponieważ zbyt wiele wycierpieliśmy. Od razu na samym początku za-dadamy, że reszta świata nas nienawidzi, więc jest nam wszystko jedno, czy

319

mamy kilku wrogów więcej, czy mniej. Podejrzewam nawet, że z czasem Ormianie nauczyli się akceptować to, że są obiektem powszechnej pogard) To część naszej narodowej tożsamości.

- Brzmi zupełnie niedorzecznie - stwierdziła Anna. - Lepiej napijm; się jeszcze wina.
- To wcale nie jest niedorzeczne. My, Ormianie, jesteśmy ofiarami pew nego geograficznego przypadku. Nieszczęściem naszym - narodu, któr uwielbia Szekspira i sonety Williama Wordswortha - jest to, że istniejemy n jałowych stepach wschodniej Anatolii i Kaukazu. Proszę się nad tym zastś nowić! Naród rzemieślników, kupców i poetów otoczony przez ludzi, którzy za szczyt nauki uważają wymyślanie nowych rodzajów kar cielesnych, ab torturować swoich więźniów. Co za absurdalny błąd! Ironia losu. Przepn szam panią, zacząłem mówić jak Ormianin.
- Napijmy się jeszcze wina - powtórzyła Anna. - Co znaczy „mówi jak Ormianin”?
- Po prostu mówię jak ofiara. To nasza wielka narodowa wada. My, O mianie, uwielbiamy pozostawać ofiarami. To miłość z rodzaju tej, jakączł< wiek po amputacji darzy swój kikut. Jest naszą wymówką, naszym celei istnienia.

Co za dziwne wyjaśnienie, pomyślała Anna. Przyszło jej do głowy, i prawie wszyscy, których spotkała w ciągu ostatnich kilku miesięcy, byli opi tani takim czy innym szaleństwem. Stone. Taylor. A teraz ormiański lekar Może nawet ona sama.

- Gdyby moja przyjaciółka Ruth Mugrditchian mogła pana słyszeć, pev nie miałaby ochotę pana uderzyć. Opowiedziałaby panu o tym, jak Tun z zimną krwią zastrzelili jej pradiadka i zostawili jej cioteczną prababc w rowie przy drodze do Aleppo. Proszę mi nie mówić, że jej pradiadków uwielbiali być ofiarami. To chore.
- Być może trudno to dostrzec w każdym indywidualnym przypadku przyznał Antoyan. - Należy jednak spojrzeć z dystansu, odgradzając się < tego patosu, i zsumować wszystkie te wydafzenia. Po prostu nie da się znisz czyć miliona ludzi w przeciągu kilku miesięcy, chyba że oni sami godzą s na taki los, akceptują swoje męczeństwo i śmierć. Takie niebezpieczeństw zagraża narodowi romantycznych poetów, jakim jest lud Armenii. Ci lub lubują się w myślach o samobójstwie. Mówię pani, Ormianie kochają s w bólu. Za nic by z niego nie zrezygnowali.

- Ale nie pan?
- Nie, nie ja. Ja nie chcę zostać ofiarą i nie jestem. Mój ojciec nie był męczennikiem, ani mój dziadek. •
- Co robili?
- Walczyli. Mój ojciec bił się w Stalingradzie z Niemcami. Mój dziad walczył z generałem Antranikiem, kiedy ormiańska milicja i Armia Czerw

320

S*

najechały na Baku i Kokandę. Zastrzelił wówczas wielu muzułmanów i jest pewien, że Azerowie i Uzbegy uznaliby go za bezlitosnego ormiańskiego-zabójcę.

- Czy pana martwi to, że on zabił tak wielu muzułmanów?
- Właściwie nie. Wolę, żeby nienawidzili mnie jako zabójcę niż jako arę.
- Przecież ludzie nie darzą nienawiścią ofiar.
- Owszem, darzą - zaprzeczył Antoyan. - Prawdę mówiąc, wobec ofiar czuwają coś znacznie gorszego niż nienawiść. Gardzą nimi, a ja się na to

'e godzę.

Anna zamierzała znowu zaprotestować, ale Ormianin wstał z krzesła. Do uracji zbliżyła się cygańska rodzina, aby sprzedać klientom trochę kwiatów. Maître d'hôtel próbował się ich pozbyć i wymiana zdań stawała się co-głośniejsza. Antoyan minął szefa kelnerów i podał Cyganom dziesięcio-owy banknot, biorąc bukiet wczorajszych goździków.

- Niech pan ich nie zachęca, proszę - powiedział maître d'hôtel. Ormianin zignorował go i powrócił na swoje miejsce. Podał kwiaty Anne.

- W Erewanie, w takie przyjemne wieczory jak dzisiejszy, wzdłuż drogi miasta tłoczyły się kobiety sprzedające goździki ze swoich ogrodów. Kwiaty

były o wiele piękniejsze od tych. Daję pani ten bukiet jako symbol tego, co najlepsze i piękne w moim rodzinnym mieście. Może kiedyś pani tam przyjedzie sama kupić sobie kilka.

- Być może - powiedziała Anna, próbując sobie wyobrazić tę dziwną uroczoność producentów koniaku, sprzedawców kwiatów i tragiczków. - Ale to

raczej mało prawdopodobne.

Anna zapłaciła rachunek bez słowa protestu ze strony Antoyana. Razem poszli na spacer wzdłuż Sekwany. Niewielką Ile St. Louis wypełniał tłum ludzi. Anna i Aram dołączyli do strumienia turystów zmierzających w kierunku katedry Notre Dame oraz placu St.-Michel. Powierzchnia rzeki mieniła się

światłami miasta i odbijała rozjaśnione księżycem niebo. Smukła łódź bateau mouche przepłynęła pod mostem Petit Pont. Aram objął Annę ramieniem. Nie odepchnęła go. Pozwoliła mu wierzyć, że ją uwodzi, jeśli tego właśnie chciał. Mogła potem kontrolować ich związek i wykorzystać go do swoich celów.

Antoyan poprowadził ją w kierunku ławeczki przy Quai des Orfevres, z dala od tłoku wieczornych spacerowiczów. Delikatnie ujął dłoń Anny w swoją i spojrzał na jej wewnętrzną stronę.

- Powrózę pani, droga panno Morgan - powiedział.

- Czyta pan przyszłość z dłoni?

21 -siro

321

- To jedna z moich orientalnych umiejętności. Wróżenie z dłoni. Rzucanie uroków. Wróżenie z wody. Gdybym nie był lekarzem, zostałbym pewnie szamanem. Proszę rozluźnić dłoń i pozwolić mi spojrzeć.

Anna zrobiła to, o co prosił. Uważnie przyglądał się jej liniom papilarnym przecinającym miękką skórę. Kiedy tak pochylał się nad nimi, Anna przyjrzała się jego dłoniom. Wyglądały jak ręce lekarza. Pewne, silne, spokojne. Wyobraziła sobie jego ciało. O ile Taylora można było porównać do smukłego konia czystej krwi, Antoyan przypominał raczej ogiera kaukaskiego, zwartego i silnego, przyzwyczajonego do wąskich, górskich ścieżek.

- Jesteś piękną kobietą - powiedział Aram.

- Dziękuję, ale co to ma wspólnego z czytaniem z dłoni?

- Wszystko. W twojej dłoni i twarzy mogę czytać jak w otwartej księdze.

- No dobrze, ormiański szamanie. W takim razie zaczynaj.

- W twojej dłoni widzę, że miałaś wiele romansów.

- Nie tak znowu wiele - zaprotestowała.

- Tylko że wszyscy mężczyźni okazali się dla ciebie za słabi. Byli samo lubnymi chłopcami. Potrzebowali matki albo siostry, czasem tylko dziewczyny na jedną noc. Nie chcieli kobiety.

Anna miała ochotę wyrwać mu rękę, nie dlatego, że się mylił, lecz dlatego, że miał rację.

- To prawda - powiedziała. - Ale wcale nie czytasz tego w mojej dłoni

- Chcesz zakochać się w mężczyźnie, który jest dojrzały i pewny siebie - ciągnął Aram. - W mężczyźnie, który wie, czym jest miłość.

- Tak.

- Teraz nie jesteś zakochana.

Anna przez długą chwilę myślała o Taylorze.

- To chyba prawda - powiedziała w końcu.

Antoyan przez kolejne dwadzieścia sekund w milczeniu studiował jej dłoń. Słyszeli tylko szum wiatru i odległe dźwięki klaksonów samochodowych dobiegające z placu St.-Michel.

- Martwisz się czymś - powiedział Ormianin. - To ma związek z pracą?

- Tak. - Annę coraz bardziej to intrygowało i ciekawiło. - Ale czym się martwisz?

Przyjrzał się jej dłoni, po czym podniósł wzrok i spojrzał spod czarnych brwi na jej twarz. Na jego ustach pojawił się cień uśmiechu, który nieodmiennie towarzyszył chwilom, kiedy ich rozmowa kierowała się na temat prawdziwej natury pracy Anny.

- Nie wiem - powiedział. - Ale tkwisz w czymś, z czego nie możesz i nie chcesz uciec. Stopniowo staje się to twoim przeznaczeniem.

Anna poczuła dreszcz, jakby wiatr wiejący od rzeki ochłodził się nagi.

322

- Chodźmy już - poprosiła. - Zimno mi.

Ormianin zdjął marynarkę i narzucił ją na ramiona Anny. Przez chwilę li wzdłuż wybrzeża w milczeniu.

- Żaden z ciebie jasnowidz - powiedziała w końcu cudziwczyną. - Poproś - dobrze zgadujesz. To samo mógłbyś powiedzieć o każdym. Wszyscy chcą

się zakochać i każdy martwi się pracą.

- Może to prawda - odparł Antoyan - ale sztuka wróżenia z dłoni polega na przemówieniu do serca tego jednego człowieka. A to nie jest takie łatwe.

e.

Anna spojrzała na niego czule i uważnie. W jakiś niewyjaśniony sposób wyczuła on charakter ich wzajemnych stosunków, przejmując nad nimi kontrolę. Czuli, jak grunt usuwa jej się spod nóg. Chciała przywrócić równowagę ich relacjom.

- Posłuchaj, Aram - powiedziała. - Kiedy wracasz do domu?

- Niestety, już za dwa tygodnie.

- Jak już wrócisz do Erewanu, będziesz chciał pozostać ze mną w koncie?

- Dlaczego pytasz?

- Ponieważ interesuje mnie to, co mówisz na temat Armenii. Moją fundacją także. Chcielibyśmy ci zapłacić za pomoc, jakiej nam udzieliłeś.

Ormianin przez dłuższą chwilę siedł w milczeniu. Idąc patrzył w ziemię, całkowicie zatopiony w myślach.

- Zjedz jutro ze mną kolacją, porozmawiamy o tym - powiedział w końcu. - Ja też chciałbym z tobą omówić kilka spraw. Ale nie mówmy już więcej o pieniądzach, proszę. Chcą od ciebie czegoś, ale nie są to pieniądze.
- Gdzie się spotkamy? W miasteczku uniwersyteckim?
- Nie. To nie jest dobre miejsce. Ktoś mógłby nas zobaczyć. Może lepiej w twoim hotelu.
- Ach, więc jednak przejmujesz się tym, że ktoś nas zobaczy.
- Oczywiście - przyznał Antoyan. - Już ci przecież mówiłem, że nie chcą być ofiarą.

Anna wynajęła niewielki apartament w „Bristolu”. Pokoje były proste i stylowe, urządzone w neutralnych odcieniach beżów z obiciami z materiałów świetnej jakości. Apartament kosztował prawie dwa tysiące franków za noc - mała fortuna w siedemdziesiątym dziewiątym roku - ale pieniądze pły-

323

nęły bez końca z kont bankowych w Rockville. W ciągu kilku miesięcy pracy Anna zdołała przyzwyczać się do podróżowania pierwszą klasą. Była to jedna z niewielkich wygód, które pojawiały się w jej życiu w miarę, jak zagłębiała się w królestwo nie istniejących w żadnych rejestrach tajnych operacji.

Aram Antoyan zadzwonił z recepcji i zaproponował, aby spotkali się m górze. Anna chętnie na to przystała. Miała nadzieję, że tak właśnie postąpi Spotkanie z nim w pokoju wydawało się bardziej bezpieczne, a także bardziej intymne - a Anna uznała, że i jedno, i drugie przyda się do osiągnięcia? celu. Początkowo powylączyła wszystkie światła, tak jak zrobił to Hoffmai w Atenach, ale potem stwierdziła, że jest za ciemno i z powrotem je zapaliła. Uporządkowała pokój i ubrała się w prostą czarną koszulkę kupioną w sklepie przy Rue du Faubourg-St.-Honore. Na koniec otworzyła minibarek i na lała wódkę do dwóch szklanek, jedną sobie i jedną Aramowi.

Czekając, aż Ormianin zastuka do drzwi, po raz ostatni przemyślała plan spotkania. Istota efektywnej rekrutacji polegała na zachowaniu kontroli nad własnymi emocjami oraz nad celem. Pamiętała, co Hoffman powiedział w Atenach i co wcześniej słyszała od Margaret Houghton w waszyngtońskiej restauracji. Zadaniem dobrego oficera wywiadu było wyczucie tego, na czym zależało drugiej stronie, a potem na pomocy w realizacji tych pragnień. Przy pominało to sposób, w jaki uwodzicielska kobieta traktuje mężczyznę: two rzy świat po części składający się z iluzji, w którym on ma szansę zdać sobie sprawę ze swoich najgłębszych nadziei i pragnień. Najpierw Anna uznała, że to bardzo kobieca definicja pracy oficera wywiadu, ale w ciągu tego pierwszego roku przekonała się, że dobre rady Margaret okazały się słuszne. Męskie mity na temat agencji można było włożyć między bajki. Poza zajmowa niem się takimi wyjątkami jak Ali Ascari, praca szpiega wcale nie polegał na „przypalaniu” ludzi, „trzymaniu ich za jaja” ani „dokręcaniu śruby”. Skuteczniejsze okazało się głaskanie wybranych osób, kuszenie ich, wchodzenie w świat ich marzeń i koszmarów i przekładanie tych osobistych wizji na

ję zyk rzeczywistości; chodziło o to, aby ich poprowadzić ścieżką ku wspólnemu celowi, nawet jeżeli czasami droga ta okazywała się bardzo okrężna.

Rozmyślania Anny przerwało gwałtowne pukanie do drzwi. Pomimo wcześniejszych prób i zaplanowania spotkania poczuła nagły niepokój, ja aktorka, która właśnie ma zagrać nową rolę. Nie musiała się aż tak martwić. Choć o tym nie wiedziała, doktor Antoyan przybył do hotelu „Bristol”, aby odegrać scenariusz własnego pomysłu.

Kiedy Ormianin usadowił się już ze szklanką wódki w rękę, pochylił się ku Annie. Z jego twarzy zniknął wyraz zamyślenia. Przeszedł do niej, aby porozmawiać o interesach. Anna zastanawiała się, od czego powinna zacząć, ale to doktor Antoyan odezwał się pierwszy.

- Muszę ci coś powiedzieć - wyznał.

324

- To ciekawe - stwierdziła Anna. - Ja też chciałam powiedzieć coś tobie.

- W takim razie, jeżeli nie masz nic przeciwko temu, ja zacznę. Może to ułatwi zadanie, a może je utrudni. Nie wiem. Nie byłem z tobą całkiem czery.

O cholera, przemknęło Annie przez myśl. Ten szalony Ormianin za chwilę awie mi, że jest agentem KGB i chce mnie zwerbować.

Na szczęście nie chodziło o nic takiego. Antoyan zaczął w trochę okrężny sposób - co prawda nie miał tego w zwyczaju, ale w takich okolicznościach było to zrozumiałe.

- Ile wiesz na temat Związku Radzieckiego?

- Trochę. Niezbyt wiele. - Anna przyglądając się jego twarzy zauważyła, że przyszyty brodę. Już nie wyglądała jak symbol kreatywności, raczej jak kamuflaż.

- Reszta świata prawdopodobnie sądzi, że państwo radzieckie to kolos durny na ciosy i silny - powiedział. - Jednak ci, którzy tam mieszkają wiedzą, że sytuacja przedstawia się zupełnie odmiennie. W naszym kraju łamy ludzi, których na Zachodzie nazywacie „dysydentami”. Wszędzie ich mało. Nie znajdziesz nikogo w moim wieku, kto w głębi duszy nie rozumie, że wspaniały Związek Radziecki to chore umierające zwierzę.

Anna przytaknęła. Przypomniała sobie to, co Edward Stone powiedział jej samemu na początku ich dziwnego przedsięwzięcia. Użył prawie takich samych określeń, opisując rozkład państwa radzieckiego.

- Dysydenci są wszędzie w Związku Radzieckim - ciągnął Aram - i w mojej republice jest ich szczególnie wielu. Tylko że w Armenii nie nazywa ich się dysydentami. Określa się ich jako patriotów.

- A ty jesteś ormiańskim patriotą. - Anna poznała pierwsze sygnały tego, co miało nastąpić.

- Tak. Pomimo tego wszystkiego, co powiedziałem wczoraj wieczorem, jestem ormiańskim patriotą. Nie jestem politykiem i, prawdę mówiąc, nie cierpię polityki, jak każdy uczciwy naukowiec. Kocham jednak swój kraj miłością która istnieje poza polityką.

Anna ponownie skinęła głową.

- Chyba właśnie tego się po tobie spodziewałam - przyznała.

- Właśnie dlatego wracam do kraju za dwa tygodnie. Mógłbym zostać tutaj, na wydziale medycyny, jeszcze przynajmniej przez rok. Jestem dobry w swojej dziedzinie. Czuję jednak, że muszę wracać, muszę być z ludźmi, którzy czują tak samo jak ja.

- Kim oni są ci twoi patriotyczni przyjaciele? Czego chcą?

- Opowiem ci krótką historię, abyś mogła zrozumieć, kim jesteśmy. Nasz dysydencki ruch powstał w kwietniu tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego piątego roku, w pięćdziesiątą rocznicę ludobójstwa naszego narodu. Aparatczycy rządzący naszą republiką nie planowali żadnych uroczystości dla uczcze-

325

nia pamięci tamtych wydarzeń. Jak lubili mawiać Rosjanie, nie byłoby to odpowiednie. Jednak zwykli ludzie nie pogodzili się z tym. Tamten ból stworzył ich tożsamość. Mieli ochotę krzyczeć, aby cały świat dowiedział się, że wciąż istnieją. Wylegli na ulice całymi tysiącami i ruszyli w wielkim marszu żalu i łez, który trwał aż do następnego dnia. Miejscowe KGB i milicja szalały z wściekłości, ale nie zdołały powstrzymać ludzi.

- Czy ty też brałeś udział w tym marszu?

- Tak, oczywiście. Miałem wtedy szesnaście lat. Chciałem krzyczeć tak jak inni. Potem jednak, jak już przestaliśmy wołać, ja i moi przyjaciele zapragnęliśmy zrobić coś więcej.

- Co takiego? ✓

- Postanowiliśmy zbudować prawdziwy kraj. W sześćdziesiątym ósmym roku niektórzy z moich rodaków powołali do istnienia grupę, którą nazwał Ruchem Samostanowienia Ormian. Głosili, iż żaden rząd w Erewanie nie będzie działał zgodnie z prawem, jeżeli nie zostanie wybrany w wolnych wyborach. W tym czasie było to dość rewolucyjne twierdzenie. Wielu z moich przyjaciół trafiło do więzienia. Inni, którzy uniknęli aresztowania, zeszli po ziemię. Niektórzy nawet udali się do Bejrutu, aby przyłączyć się do tajnej ormiańskiej organizacji, która zaczęła tam działać na początku lat siedemdziesiątych.

- A ty?

- Ja działałem uważnie i ostrożnie. Na pewno byłem też przerażony. Udało mi się zdobyć miejsce na uniwersytecie w Moskwie i wszyscy powtarzali że czeka mnie wielka kariera. Nie chciałem niweczyć danej mi szansy. W dzisiejszym świecie, naukowiec w Związku Radzieckim może żyć bardzo dobrze. Czego takiego nie odrzuca się o, tak. Przez cały czas, kiedy studiowałem i później pracowałem, utrzymywałem kontakty z moimi dawnymi przyjaciółmi. Bał się ekscytować ich myśl o

organizowanym zamachu na tureckich dyplomatów. Wszyscy w gorącej wodzie kąpani chcieli zbiec do Damaszku, przyłączyć się do AS ALA i zabijać Turków. Ja uważałem, że to potworny błąd.

- Dlaczego? - Anna poddawała się fali jego opowieści czekając, aż na trafi na źródło, z którego wypływała.

- Z tych samych przyczyn, o których powiedziałem ci zeszłego wieczoru. Jesteśmy narodem tkwiącym w przeszłości. Chcemy, aby świat widział nasze dawne rany, chcemy, aby celebrował z nami nasze cierpienie, aby się miętał i przepraszał. Według mnie jest to niewłaściwe podejście. Przez nie tkwimy przykuci łańcuchem do trupa przeszłości. Doprowadzi to do tego samego tragicznego błędu co kiedyś.

- Jakiego błędu?

- Czekamy, aż świat nas ocali. Chcemy, aby Turcy nas przeprosili. Chcemy, żeby Moskwa nas chroniła. Chcemy, by Ameryka nas wielbiła. Szukam kogoś, kto da naszemu narodowi godność i możliwość samookreślenia.

326

i z tym skończyłem. Odkąd przyjechałem tu, do Paryża, miałem szansę pójść sam za siebie. Wtedy uświadomiłem sobie, że mam dość naszej ormiańskiej przeszłości. Pragnę budować ormiańską przyszłość. Chcę, abyśmy się stali częścią współczesnego świata, tak jak wszyscy inni. Udam się znaleźć grupę ludzi, którzy czują tak jak ja.

- Brawo. Nie możecie jednak działać sami. Potrzebna wam pomoc.

- Wiem. Właśnie dlatego tu przyszedłem. Nie mam pojęcia, czym dokładnie zajmujesz się ty i twoja „fundacja”, ale mam przeczucie, że możecie mi pomóc.

Anna wzięła głęboki oddech. Nadszedł moment, na który czekała. Aram przekroczył tę niewidzialną granicę, nie musiała go do niczego poprosić. Czy naprawdę wiedział, co znajdzie po drugiej stronie?

- Chcę ci o czymś powiedzieć, aby uniknąć jakichkolwiek nieporozumień między nami. Moja fundacja ściśle współpracuje z rządem...

- Nic nie mów - przerwał jej.

- Muszę powiedzieć ci o pewnych rzeczach. Reprezentuję...

- Nie mów mi o niczym! - powtórzył ostro. - Lepiej, żebym niczego nie wiedział.

Anna przerwała i zastanowiła się. Rzeczywiście nikt nie wymagał od niej, żeby zdradzała mu wszystkie szczegóły. Bała się jednak pominąć najważniejszy element relacji między nią a Ormianinem.

- Czasami lepiej dokładnie wiedzieć, w co się wchodzi. Później wiele może się wydarzyć - ostrzegła.

- Ale czasem lepiej pozostać w nieświadomości. Teraz potrzebuję od ciebie czegoś bardzo konkretnego i jeżeli nie uda mi się tego uzyskać, reszta nie ma znaczenia.

Anna czuła się dziwnie zdezorientowana, niczym myśliwy, który jest za-azem ofiarą.

- Czego ode mnie oczekujesz?
- Moi przyjaciele i ja postanowiliśmy, że chcemy, aby Armenia dołączyła do rewolucji.
- O czym ty mówisz?
- O rewolucji jednego świata. Kiedy ze Związku Radzieckiego jedziesz do miejsca takiego jak Paryż, uświadamiasz sobie, że na świecie dzieją się także rzeczy, które nie mają nic wspólnego z kapitalizmem czy socjalizmem mi nawet z polityką. Chodzi mi o łączność. Świat się jednoczy, a my, Ormia-lie, chcemy wziąć w tym udział. Teraz.
- Wziąć udział w czym? Ciągłe jeszcze nie rozumiem, o co ci chodzi.
- Chcemy zasiąść wieczorem przy kominku razem z wami. Chcemy oglądać te same wiadomości w telewizji, widzieć te same filmy w soboty, tańczyć do tej samej muzyki. Chcemy włączyć się do rozmowy. Jeżeli uda nam się to osiągnąć, reszta przyjdzie sama.

327

*

- Jak mam wam w tym pomóc?
- To dość proste. - Aram wyciągnął ku niej otwarte dłonie. - Ch tylko o zdobycie odpowiednich anten.

Przez moment miała wrażenie, że z niej żartuje.

- Jakich anten?
- Telewizyjnych.
- O czym ty mówisz, Aram? Zwariowałeś?
- Proszę! To najpoważniejsza rzecz w świecie. Na Kremlu boją się, pewnego dnia Stany Zjednoczone wprowadzą na orbitę takiego satelitę, z którego będzie można odbierać sygnał w całym Związku Radzieckim. Wiem to mojego przyjaciela z Centralnego Instytutu Badawczego w Bolszewie, pod M skwą. Mówił mi, że kilka lat temu Politbiuro nakazało całemu kompleksowi laboratoryjnemu zaprzestać prac nad wszelką bronią antysatelitarną i znaleźć sposób zapobiegania transmisji obrazu przez satelity telewizyjne.
- Naprawdę? - Anna zanotowała w pamięci nazwę i lokalizację wspomnianego instytutu. -1 co opracowali?
- Nic. Powiedzieli, że to niemożliwe. Można jedynie zestrzelić takiego satelitę.
- Chyba teraz nie ma żadnego satelity telewizyjnego nad Związkiem Radzieckim? /
- Nie, ale jest taki nad Europą i będzie ich więcej.

- Może i tak. Co jednak wy możecie z tego mieć? W Związku Radzi kim nie da się odebrać sygnału z takiego satelity. KGB zauważyłoby ka talerz w ciągu minuty.
- Oczywiście. Dlatego, moja droga panno Morgan, nie można korzys z takiej anteny satelitarnej. Trzeba użyć czegoś innego, urządzenia nie wię szego niż ten blat. - Wskazał na mały stolik stojący przy kanapie.
- Bzdura.
- Popularnie nazywa się to fazerem. Takie urządzenie można dostraj podobnie jak talerz, aby odbierać sygnał satelity. Ustawia się je elektronie nie, a nie fizycznie. Wystarczy powiesić je tuż przy ścianie. Albo położyć dachu. Jest praktycznie niewidoczne
- Mówisz poważnie?
- Najzupełniej. To bardzo proste urządzenie, ale niestety, jeszcze nied stępne w handlu. Pomyślałem, że twoja fundacja mogłaby pomóc nam w go zdobyciu.
- Co byście z nim zrobili?
- Połączylibyśmy Erewan ze światem. Najpierw oczywiście w całko tej tajemnicy. Podłączylibyśmy antenę z magnetowidem gdzieś, gdzie K nie mogłoby jej znaleźć. Co noc monitorowalibyśmy wiadomości z cał świata i wysyłali ich skrót naszym przyjaciołom z erewańskiej stacji teł zyjnej. Po jakimś czasie zaczęlibyśmy im także wysyłać fragmenty maté

328

s

Hv ze zdjęciami miejsc, których dotyczyły wiadomości. Gdyby okazali się Bdni zaufania, otrzymywaliby coraz więcej materiału. W końcu mogliby-Biy im przesyłać całe taśmy, aby puszczałi je w ormiańskiej telewizji. Nie ■ko wiadomości. Nasi ludzie chcą wiedzieć, co świat czyta i co ogląda w ki-■ch. Jakiej muzyki słuca się na salach koncertowych. Chcemy poznać świat ■e ograniczony łańcuchem gór Kaukazu i absurdami komunizmu czy trage-■ami historii osmańskich narodów. Chcemy żyć w terażniejszości, razem ■resztą świata, bez tureckich duchów czyhających za drzwiami. Potem w koń-li będziemy mogli przyłączyć się do świata Europy i Ameryki. ■ - To wspaniałe marzenie, Aramie - przyznała Anna. - Ale nigdy wam lę to nie uda. Władze odkryją wszystko i położą temu kres w chwili, gdy łgraniczne materiały pojawiają się w ormiańskiej telewizji. I - Nie bądź tego taka pewna. Ormianie są patriotami. Tak to jest z naro-lami, które wycierpiały naprawdę wiele. Żaden z nas nie poparłby Moskwy Irzeciwko narodowi ormiańskiemu.

I - W końcu jednak będzie wam potrzebna współpraca wszystkich ludzi współtworzących ormiańską telewizję i tych, którzy ją oglądają. I - No i co? Być Ormianinem to znaczy być członkiem konspiracji. To łkie proste. Jesteśmy gotowi. Potrzebujemy tylko waszej pomocy w zdoby-liu odpowiedniej anteny.

I Anna nie miała pewności, czy powinna brać jego słowa poważnie. Pomysł wciąż wydawał jej się szalony, choć nie tak jak na początku. Patrząc na łrama uświadomiła sobie, że jej opinia o tym całym pomysle nie miała zna-lzenia. To było jego marzenie. Zadanie Anny - oficera wywiadu - polegało lia

tym, aby pomóc mu w realizacji tego marzenia. I - Zakładając, że zgodzimy się wam pomóc, co mielibyśmy zrobić? I - Aha! - powiedział Antoyan. - Miałem nadzieję, że o to zapytasz. -Przez chwilę grzebał w kieszeni marynarki, po czym wyciągnął z niej kartkę papieru z odręcznie narysowanym schematem urządzenia, f - Przygotował to jeden z moich przyjaciół. Podobno to łatwizna.

- Kim jest ten przyjaciel?
- Przykro mi, ale nie mogę tego zdradzić. Powiem tylko, że jest ormiańskim naukowcem, ale nic więcej.
- Czy jest obywatelem Związku Radzieckiego, czy Francji?. A może innego państwa?
- Ciii. Nie mówmy już o tym. Nie musisz nic o nim wiedzieć, ponieważ wystarczy, że otrzymasz produkt jego badań. - Aram wskazał na rysunek z precyzyjnie zaznaczonymi obwodami.
- Każdy z tych punktów to mała antena - wyjaśnił. - Jest ich wiele setek i wszystkie są ze sobą połączone. Kiedy ich koordynację przejmie komputer, można za ich pomocą odbierać telewizyjne sygnały z wielką precyzją nawet wtedy, kiedy antena nie jest ustawiona prostopadle do fal.

329

- Przykro mi, ale to mi nic nie mówi. Oblałam fizykę.
- W takim razie uwierz mi na słowo. Obwody są dość proste. Jedynym trudnym elementem jest komputer. Jeżeli twoi ludzie go skotistrują, urządzenie będzie działało. Największym problemem jest nie zbudowanie go, tylko wwiezienie do mojego kraju. Pytanie brzmi: czy możecie się tego podjąć?
- Może. - Anna próbowała pozostać trudną przeciwniczką, chciała zachować choć odrobinę kontroli.
- „Może” nam nie wystarcza. Zrobisz to?
- Spróbuję. Nie mogę niczego obiecywać. Pracuję dla organizacji i muszę uzyskać zgodę innych osób. W przeszłości już zgadzali się na podobne operacje, ale nigdy nie można mieć absolutnej pewności.
- „Spróbuję” też nie wystarczy. Muszę mieć odpowiedź.

Anna spojrzała przez okno swojego apartamentu na zielony ogródek za mknący na wąskim dziedzińcu. Bardzo chciała powiedzieć mu „tak”. W pewnym sensie o takiej właśnie chwili marzyła od momentu wstąpienia w agentyne szeregi - o chwili, kiedy idealizm łączy się z działaniem.

- Jak brzmi odpowiedź? - naciskał Aram.
- Tak.
- Co oznacza to „tak”?
- Tak, pokażę ten schemat moim kolegom i namówię ich, aby zrobili to o co prosisz.
- A jeżeli odmówią?

- Nie odmówię. Nie jest to warte kłopotów, jakie by wtedy mieli. Ni martw się. Kiedy coś obiecuję, zawsze dotrzymuję słowa.

Aram zamknął oczy. Wyglądał na zupełnie wyczerpanego. Z jego twarz odpłynęły wszelkie uczucia i energia. Powoli wstał i rozejrzał się po pokoju

- Mpszęjuż iść -powiedział.

- Zostań jeszcze trochę - poprosiła Anna cicho. Na samą myśl o tyi czuła zażenowanie, ale pragnęła, aby ten młody mężczyzna z Kaukazu pc siedział przy niej przez chwilę, objął ją. Nie chodziło jej o seks, raczej o co subtelniejszego. Pragnęła dotknąć jego twarzy, wymasować mu plecy, pi trzeć, jak jego duże, smutne oczy zamykają się i czuć, jak on zasypia obo niej.

- Muszę iść - powtórzył Ormianin. - Tutaj nie jestem bezpieczny. 1 też nie.

Anna raz jeszcze spojrzała na zamknięty w murach ogród, po czym ex wróciła się do Antoyana.

- Wiesz, Aram, wydawało mi się, że jest zupełnie inaczej. Myślałam, i ciebie uwodzę, podczas gdy to ty mnie uwodziłeś.

- Mylisz się. Nikt nikogo nie uwodzi. To się dzieje naprawdę.

Anna skinęła głową.

330

- Muszę spotkać się ze swoimi kolegami - powiedziała.

- Tak.

- Zajmie mi to mniej więcej tydzień.

- Tak.

- Jeśli się zgodzą, przygotowanie jednego takiego urządzenia - wskazana schemat - zajmie przynajmniej miesiąc. Wtedy będziesz już w Erewa-

. Jak możemy je do ciebie dostarczyć?

- Jest na to sposób. Twoi ludzie na pewno wiedzą jak to zrobić.

- Powiem ci za tydzień, kiedy się znowu spotkamy. Oczywiście, jeżeli powiedź będzie twierdząca.

Anna westchnęła.

- Dobrze.

- Jak ustalimy szczegóły spotkania?

- Tak jak poprzednio. Zadzwoń do ciebie do laboratorium. Uzgodni-y dzień. Przyjdiesz na spotkanie. Z tą tylko różnicą, że tym razem masz ę zjawić dwie godziny przed wyznaczonym czasem. Jeśli powiem o ósmej,

dzies o szóstej.

Przytaknął i uśmiechnął się czarująco po raz pierwszy tego wieczoru.

- Jesteś cudownym szpiegiem, moja droga - powiedział.

Przy drzwiach objęli się, najpierw ostrożnie, i pocałowali w policzki. Trud-

powiedzieć, które uległo pierwsze, czyje usta się uchyliły i kto najpierw uknął oczy. Był to namiętny pocałunek, który usunął ostatnią barierę między nimi. Aram dotknął dłońmi jej piersi, potem ud i dopiero wtedy - gdy jej iała przylgnęło do niego napięte od pożądania jak struna, która za chwilę knie - odepchnęła go.

Aram uśmiechnął się czarująco po raz ostatni, odwrócił i wyszedł. Anna 'edziała, że popełniła błąd. Nie powinna tak się do niego zbliżyć. Ich kon-:ty nie powinny przekroczyć bariery intymności. Było to poważne naru-enie zasad jej zawodu, niewybaczalne i nieodwracalne. W tej jednak chwi-nie dbała o to. Podobnie jak jej koledzy z Karpetlandu, już dawno temu żyła z utartych szlaków postępowania.

Po powrocie do Stambułu Taylor odkrył, że priorytetem CIA we wrześniu siedemdziesiątego dziewiątego roku było spotkanie na szczycie w Hawanie, na Kubie. Zebranie to uważano za zwykłe ćwiczenie propagandowe,

- Jak?

331

które w poprzednich latach ignorowali nawet członkowie ruchu państw nie zrzeszonych. Ten rok potraktowano inaczej. Wyglądało na to, że prezydent; zainteresowały kwestie stosunków Północ-Południe i kwatery główna stawa ła na głowie, aby dostarczyć wiadomości na ten temat. Rozesłano depesze d< wszystkich baz w Afryce, Azji, Ameryce Łacińskiej i na Bliskim Wschodzie prosząc o szczegółowy wywiad na temat tego, co miało się wydarzyć w Ha wanie na początku września. W branży czasem nazywano to „pracą na akord”

Taylor także dostał zapytanie na temat Hawany, tak jak wszyscy inni Poza tym centrala raczej rzadko komunikowała się z bazą w Stambule, zupełnie jakby dawali mu więcej swobody i czekali, co się wydarzy. Dzięki term miał więcej czasu na zgłębianie ważnych kwestii szczytu państw nie zrzeszonych NAM, które wymieniano w pismach leżących na jego biurku:

- Zidentyfikuj grupy główne i podgrupy NAM, sprawdź ustalone spo tkania i wstępny skład delegacji. Czy są tacy członkowie, którzy zwykle na leżą do grupy wyłączanej z wszelkiego rodzaju szczytów?

- Określ delegacje, delegatów i outsiderów, którzy mają szczególń wpływ w NAM (cieszących się szczególnym autorytetem i władzą) oraz po daj, jakie stanowiska zajmują.

- Zidentyfikuj kubańskie słabe strony w kwestiach NAM oraz kubańskie działania udaremniające wysiłki USA zmierzające do zmiany projektu kubańskiego.

- Jakich członków NAM Kubańczycy starają się sobie zjednać? W jaki sposób?

Taylorowi przypominało to końcowy egzamin na kursie socjologii w college'u, razem z pytaniami, za które zdobywało się dodatkowe punkty. W3 obrażał siebie, jak młodzi karierowicze CIA na całym świecie pracują po godzinach, aby zdobyć najświeższe informacje, na przykład na temat roli S < malii i Indonezji w dyskusjach Konferencji Narodów Zjednoczonych do spraw Handlu i Rozwoju w kwestiach gospodarki.

Taylor początkowo wysłał do kraju depeszę przypominającą, że ponieważ Turcja nie jest członkiem ruchu państw nie zrzeszonych, nie może dostarczyć żadnych informacji na temat szczytu w Hawanie. Nie udało mu się jednak wymigać od pracy. Centrala z kolei wysłała depeszę nakazującą Stanowi wyciągnięcie czego się da od swoich irańskich, kurdyjskich i arabskich informatorów i przypominającą szefowi bazy, iż „kampania ta bardzo interesowała samego prezydenta”.

Po zakończeniu spotkania na szczycie na Taylora zwała się kolejna depesza z kwatery głównej, domagającej się odpowiedzi na tak kluczowe pytanie, jak: „Czy zambijska grupa robocza podjęła jakiegokolwiek działania hamujące, czy też ich operacje są dowodem całkowitego poparcia Kuby?” W pytaniach za dodatkowe punkty pojawiła się następująca kwestia: „Jak można porównać działalność poszczególnych państw w s

332

ach indywidualnych komisji z ich wystąpieniami podczas sesji otwartych? Jak wymiany przeprowadzono? Kto z kim i jakie były ich rezultaty? Najbardziej interesujące: Kuwejt, Nigeria, Somalia, Irak, Tanzania, Mozambik, Meksyk, Peru i Gujana. Jedna noc została przez delegatów określona jako „piekielna”. Co się wydarzyło tej nocy?”.

Taylor właśnie tworzył wymyślną depeszę w odpowiedzi na ostatnie pytanie („«Piekielna noc» rozpoczęła się, gdy jeden z członków delegacji amerykańskiej przybył do centrum konferencyjnego eskortowany przez dwie członkinie Tontons Macoutes...”). W tej właśnie chwili sekretarka zadzwoniła z informacją, że ma telefon z Ameryki. To wydało mu się dziwne. Ludzie rzadko dzwonią ze Stanów. Jeszcze bardziej zdziwił się, gdy podniósł słuchawkę i usłyszał charakterystyczny głos Edwarda Stone'a. Alan miał wrażenie, że ktoś dzwoni z jakiejś budki telefonicznej przy obwodnicy. W tle słyszał szum ulicznego ruchu.

- Wiesz, kto dzwoni? - spytał głos.

- Oczywiście - odparł Taylor.

- To właśnie ta osoba, o której myślisz.

- Właśnie tak myślałem.

- To dobrze. Muszę spotkać się z tobą. Niezwłocznie.

- Co się stało?

- Później wyjaśnię.
- W porządku. Kiedy mamy się spotkać?
- Jutro wieczorem.
- Gdzie? \W domu?
- Nie. Gdzieś w Europie.
- A gdzie dokładnie?
- Dam ci jeszcze znać.
- Powiedziałaś już o tym naszej znajomej?
- Jeszcze nie. Ale zrobię to. Między innymi o nią chodzi.
- Jak to?
- Twoja koleżanka od jakiegoś czasu nęka mnie pewnym problemem. ► niej też musimy porozmawiać.
- Nie ma sprawy. Skąd będę wiedział, gdzie się spotykamy? - spytał iszczę Taylor.

Stone jednak już się rozłączył. Wiadomość dotarła do Stambułu kilka odzin później, najzwyczajniejszą i najprostszą z dróg - przysłano depeszę centrali z nagłówkiem takim samym jak pozostałe: DO WLAD.: DYREK-OR. Treść miała następującą: „Spotkanie omówione dot. A odbędzie się 7 września, 16.30 w cevdet pasa 93, bebek". Oczywiście nie było żadnego Dot. A".

333

Taylor musiał przeczytać depeszę dwukrotnie, zanim zdobył pewność że dobrze ją zrozumiał. Podawała adres podniszczonego hotelu czwartej kia sy pod Stambułem, takiego, w którym farba na ścianach łuszczyła się i nik nie dbał o to, żeby usunąć przypalone ślady po papierosach z dywanów i mebli.

Następnego dnia Stone przywitał Taylora w drzwiach pokoju hotelowe go. Alan nie przypominał sobie, aby kiedykolwiek widział szefa ubranego tak nieporządnie. Jego oczy były przekrwione i podkrążone po bezsennej noc spędzonej w samolocie; garnitur pogniótł się podczas bezskutecznych pró znaleźć wygodnej pozycji w lotniczym fotelu; na krawacie widniała plama, a skóra na twarzy Stone'a wyglądała tak, jakby nakładano ją warstwami. Gdyby to był ktoś inny, można by podejrzewać, że pił. W sąsiednim pokoju Taylor dostrzegł Annę siedzącą w fotelu. W oknie połyskiwały światła statków przepływających cieśniną Bosfor.

- Nie wyglądasz najlepiej - stwierdził Alan.
- Wygląd może mylić - odparł Stone. - Czuję się wspaniale.
- Mów co chcesz, ale wyglądasz tak, jakbyś nie spał przynajmniej mi sięc. \
- Czym jest sen, mój drogi przyjacielu, skoro jesteśmy o krok od zw cięstwa?

- Którą z gier wygrywamy?
- Czyżbyś nie czytał depeesz? W Afganistanie doszło do zamachu. Tai ki, człowiek Moskwy, został zastąpiony przez jeszcze bardziej bezzwzględny go człowieka nazwiskiem Amin.
- No, nieźle. To Sowieci będą się wycofywać?
- Nawet lepiej, mój chłopcze. Będę pograżać się coraz bardziej. Już pi wie mamy ich w sieci.

Taylor miał zamiar poprosić Stone'a o wyjaśnienia, ale starszy kole ujął go za rękę i popchnął w kierunku pokoju, w którym siedziała Ani Dziewczyna powoli wstała i uściśnęła dłoń Alana, chłodno i poprawnie, czym idealna koleżanka. Próbował zajrzeć jej w oczy, ale nie patrzyła niego. Coś się zmieniło, lecz Taylor jeszcze tego nie rozumiał.

- Witam w Stambule - powiedział. - Pozwolę sobie zauważyć, że ci ba powinniście zmienić biuro podróży.
- Wcale nie - stwierdził Stone. - Ten hotel zupełnie odpowiada nasz; celom. Panna Barnes i ja wyjeżdżamy jutro z samego rana. Poza tym to miejsce ma właściwą atmosferę. Podobno agenci Hitlera zatrzymywali się tu podczas wojny.
- Świetne porównanie. A tak w ogóle to dlaczego spotykamy się w Stambule? Czemu nie w Paryżu albo w Londynie?

\

334

- Ponieważ to my kontrolujemy tutejsze środowisko. A ściślej mówiąc, szef bazy w Stambule, je kontrolujesz.
- To dopiero będzie nowina dla Turków.
- Nie chodzi mi o Turków. Mam raczej na myśli naszych tak zwanych olegów z Langley.
- Ach, tamtych.

Anna w milczeniu przysłuchiwała się tej wymianie zdań. Machinacje Stone'a interesowały ją w tej chwili znacznie mniej niż uzyskanie jego zgody na operację z ormiańskim lekarzem, który czekał w Paryżu na odpowiedź, jedy próbowała poruszyć ten problem godzinę wcześniej, zaraz po przyjeździe do hotelu, Stone zbył ją twierdząc, że omówią to w grupie. Teraz, patrząc na Taylora, Anna myślała nie o miłości ani nawet o przywiązaniu, lecz o tym, w jaki sposób może nim manipulować. Gdy Alan spojrzał na nią sypialnianym wzrokiem, doszła do wniosku, że rozwiązanie jest dość proste.

W tym czasie Stone otworzył okno, wpuszczając do pokoju świeży poranny wiatr i wyjął ze swojej walizki mały aparat wydający bulgoczące dźwięki. Brzmiało to tak, jakby w pokoju znajdowało się mnóstwo mówiących jednocześnie Chińczyków. Hałas ten miał utrudnić zadanie tym, którzy logii ich podsłuchiwać. Stone zawsze i wszędzie wyobrażał sobie, że siedzą ni w pokoju obok.

- Przepraszam, że musiałem was wezwać tak nagle - powiedział stara-|c się, aby usłyszeli go mimo bulgotania maszyny. - Niestety, mamy pewien problem.

- Jaki? - spytał Taylor.
- Zakończenie.
- Czego?
- Naszej operacji. Chcę, abyśmy wszyscy całkowicie wycofali się z wszelkich interesów przed końcem listopada. Wszystko ma zostać zamknięte, a dnej kontynuacji któregośkolwiek z wątków, żadnych agentów kręcących ię w poszukiwaniu kłopotów. Nic. Finito la musica.
- Skąd ten pośpiech?
- Nie nazwałbym tego pośpiechem. To raczej środki ostrożności.
- Przestań chrzanić, Stone. Co się święci?
- Pigmeje ruszyli w pościg, moi przyjaciele. Mali człowieczkowie z oficjalnego biura i ich koleisie z prawnego sądzą że odkryli coś bardzo niedo-)rego. Wezwano inspektora generalnego.

Anna spojrzała uważnie na Stone'a. Dziwne, ale czuła, że zagmatwane wyjaśnienia starszego kolegi dodają jej energii. Bynajmniej jej nie przera-ały.

- Co za niedobry interes odkryli? - spytała.
- Coś w Afganistanie.

335

- A co ten niedobry interes w Afganistanie ma wspólnego z nami?
- Pigmeje uważają, że ja jestem w to zamieszany. Nie musicie się ni czym specjalnie martwić. Ale jak zaczną zadawać pytania na jeden temat bez wątpienia będą też wężyć wokóło, sprawdzać kosze z brudną bielizn i liczyć srebra.

Taylor odchrząknął.

- Nie sądzisz, że powinieneś podciągnąć nas do swojego poziomu, jeże li chodzi o posiadane informacje?
- Prawdę mówiąc, nie.
- Jestem tego samego zdania co Alan - stwierdziła Anna. - Powiniene powiedzieć nam, co robięś w Afganistanie.
- Obiecuję, że pewnego dnia opowiem wam o wszystkim, kiedy trafi si kilka spokojnych godzin. To dość interesująca historia, ale teraz nie mam czasu na opowieści.
- Może go jednak znajdziemy - powiedziała Anna chłodno. - Co zasz w Afganistanie?

Stone westchnął.

- No dobrze. Jesteście strasznie uparci. Otóż, moi drodzy przyjaciel tam zaczyna się wojna. Po jednej stronie mamy całą potęgę Armii Radzieckiej. Po drugiej zgromadzenie ludzi w śmiesznych czapkach. Jak sądzicie skąd ta hałastra bierze amunicję i kto ją szkoli przed starciem z Moskwą?

- My?

- Nie bezpośrednio. Nie przez jakikolwiek kanał, który wymagałby podpisu tych smutasów zamieszkujących siódme piętro naszego budynku. Średnio jednak owszem, od nas. Otrzymują poparcie z naszej strony.

- Z twojej strony?

- Z mojej, jeżeli chcecie być aż tak precyzyjni. Lecz także od wielu innych organizacji. Ja jednak jestem właściwym winowajcą.

- Kto zlecił tę operację? - spytała Anna.

- Ach. Błogosławione upoważnienia. Jak wspaniałe pojęcie mamy o niemy, Amerykanie. Każde działanie jest moralnie i prawnie uzasadnione, jeżeli zostało wykonane z czyjegóż „upoważnienia”, a niemoralne, jeżeli takowego się nie posiada. My, Amerykanie, staliśmy się fetyszystami papierów, łowcami oficjalnych stempli i pieczęci.

- Kto zlecił tę operację? - powtórzyła Anna.

- W tym przypadku, jeżeli już musicie wiedzieć, doradca do spraw bezpieczeństwa narodowego poprosił mnie w marcu, abym zrobił wszystko się da, w celu zademonstrowania amerykańskiego poparcia dla mudżahedinów. Jestem pewien, że gdzieś istnieje jakiś papier na poświadczenie moich słów. Choć uważam, że nikt rozsądny o to by nie prosił.

Kiedy Stone mówił, jego zaczerwienione oczy rozszerzyły się, a głos jego donośniejszy. Widząc go tak zmęczonego i zaniedbanego, Anna patr

336

n niego pomyślała, że ten człowiek jest u kresu wytrzymałości fizycznej i psychicznej.

- Inspektor generalny może się tym zainteresować - powiedziała.

- Nie martwiłbym się za bardzo inspektorem generalnym. Tak się składa, że jest on moim dawnym przyjacielem i winien mi jest sporo łez. To nie inspektor jest problemem, lecz dyrektor, pan Hinkle, który łezdurzył sobie, że pracuje dla Kongresu, a nie dla władzy wykonawczej.

- Nie chcę się w to wtrącać, szefie - powiedział Taylor - ale biuro inspektora generalnego już zadawało pytania. Kilka tygodni temu odwiedzili mojego kumpla w Atenach, George'a Trumbo.

I - Wiem o tym - odparł Stone. I - Wiedziałaś, że wezwali George'a?

I - O, tak. Nie mówię tego oczywiście po to, aby się przechwalać, ale wiele jest spraw, które nie docierają do moich uszu w taki czy inny spo-

Kób.

- Powinieneś być mnie uprzedzić.
- Dlaczego? Po co miałem martwić cię czymś, co nie miało znaczenia? Na pewno bym cię zawiadomił, gdyby twój przyjaciel George powiedział coś nieroztropnego, co mogłoby sprawić nam kłopoty. Ale niczego takiego nie łdradził. Zachowywał się tak, jakby absolutnie stracił pamięć.
- Dobry stary George - powiedział Taylor. W myślach zanotował sobie, lżę powinien wysłać Sonię z wizytą do Aten.

I - Czy rozwiązaliśmy już wszystkie kwestie?-spytał Stone. I Nikt się nie odezwał.

- Dobrze. W takim razie porozmawiajmy o zakończeniu operacji. Jak [zapewne młodzi czarodzieje naszego fachu wiedzą powinien to być pierwszy temat dyskusji, zaraz po rozpoczęciu jakiegokolwiek akcji: jak można ją zagasić. My zabieramy się do tego odrobinę późno, ale sytuacja nie jest beznadziejna. Alan, jak tam twój człowiek, Munzer?
- Jest w swoim żywiole. Miejscowa społeczność turkiestańskich emi-[grantów uważa, że jest najlepszym, co mogło przytrafić się temu miastu zaraz po Timurze. Jednak nie powinniśmy mieć żadnych trudności ze zdjęciem go. Kiedy nadejdzie właściwy moment, po prostu powiemy mu, że teraz jest potrzebny w Ameryce i wyślemy go do domu.
- A co z pieniędzmi?
- Sprawił się nieźle. Powiniście bezwzględnie zapłacić mu jego pensję, którą według niego jesteście mu winni, a jeżeli przyjdzie wam ochota na hojność, możecie potrzymać go na umowie jeszcze przez rok. Według mnie nie należy się nim martwić.
- Czy będzie mówił, kiedy ludzie zaczną zadawać pytania?
- Nie. Jeśli mu powiem, że ma trzymać język za zębami, tak zrobi.
- Skąd możesz mieć pewność?

22-Siro

337

- Munzer mnie lubi. I boi się mnie. Myśli, że jestem trochę stuknięty.
- Mądry facet.
- Chciałbym wiedzieć tylko jedno - powiedział Taylor.
- Pytaj.
- Co te nasze wszystkie machinacje działały w Uzbekistanie?
- Zamieszały trochę w garnku.
- To znaczy?

- Chyba sami rozumiecie, że to małe przedstawienie odgrywane jest przez nas na dwóch scenach. Jedna to Azja Środkowa. Druga to Afganistan. Każd z nich wzmacnia efekt tej drugiej. Razem sprawiają, że ludzie na Kremlu myślą, iż mają „problem z muzułmanami”, i to dość poważny. Z naszego punktu widzenia najwspanialsze jest to, że moskiewskie lekarstwo na ten problem tylko pogorszy sytuację.

- A jakie jest to lekarstwo?

- Inwazja na Afganistan. Kiedy sowieckie oddziały wmaszerują do tego kraju, twój pan Munzer dowie się, że zaczęła się prawdziwa walka. A gdy z kilka lat wyjadą stamtąd pokonani, będzie mógł sobie pogratulować odegrania małej roli w jednym z wielkich triumfów dwudziestego stulecia.

On jest opętany, pomyślała Anna. Tak bardzo koncentruje się na swoim celu, że nie dostrzega niczego innego.

- A co się stanie, jeśli Rosjanie wygrają? - spytała.

- Nie wygrają - odparł Stone. - Gwarantuję to.

Pochylił się ku Annie, patrząc na nią tak, jakby była rozbrykanym zwierzakiem, które odkryło, że ma pazury i kły.

- A teraz, moja kochana, powiedz nam, jak wygląda sprawa pana Ascariego, tego Irańczyka. Jak możemy się go pozbyć?

- Nie powinniśmy mieć z nim problemów. Nie lubi mnie i wcale się mnie nie boi, ale Frank Hoffman śmiertelnie go wystraszył. Ascari zrobi wszystko, co Hoffman mu każe. Jak powie, że koniec, to będzie koniec. Jeśli powie, że ma działać dalej, będzie działał.

- A jak ze sprawą spłacenia go?

- Nie ma na co narzekać. Frank płaci mu nieźle za każdą przeprawę przez granicę. To dobre stawki, nawet jak na takiego śmiecia jak Ascari.

- Co mamy powiedzieć w Londynie?

- O czym?

- O tym, czy warto zatrzymać Ascariego jako regularnego agenta. Wiadzą tylko, że przygotowywałaś się do przekazania go innemu oficerowi w wiadomości.

- Chcesz znać moje zdanie?

- Oczywiście.

- Trzeba go wywalić. To kretyn. Najlepiej byłoby rzucić go psom w pożarcie.

- Nie jestem pewien, czyby go chciały - stwierdził Stone, uśmiechając ę uprzejmie. Przez dłuższy czas żadne z nich się nie odzywało i Stone miał łaśnie zamiar zakończyć spotkanie, kiedy Anna mu przerwała.

- Chwileczkę - powiedziała. - A co z moim ormiańskim agentem?

- To ostatni punkt naszej dzisiejszej dyskusji.

- Co to za ormiański agent? - spytał Taylor.

Anna miała zamiar mu odpowiedzieć, ale Stone podniósł dłoń.

- Pamiętasz, kilka tygodni temu uzgodniliśmy, że Anna może zbadać ożliwość zwerbowania ormiańskiego agenta do naszego małego przedsię-zięcia. Właśnie znalazła odpowiednią osobę.

Taylor spojrział na Annę, która siedziała na krześle pochylona, tak jakby chwilę zamierzała skoczyć do przodu. Choć jeszcze nie za bardzo potrafił pojąć, czuł, że była teraz inną kobietą od tej, którą zostawił w Rockville.

- Czy nie za późno na to? - spytał.

- Nie - odparła Anna. -Nie rozumiem, dlaczego miałyby być za późno.

- Ponieważ zamykamy operację w listopadzie, a teraz mamy prawie paź-ernik.

- Mamy wystarczająco dużo czasu, zakładając, że nie skończymy przed ońcem listopada. Chyba nie zamierzamy wcześniej zwinąć interesu?

- Nie - potwierdził Stone. - Nie sądzę.

- W takim razie wystarczy czasu na to, co chcę zrobić.

- Może powinnaś wyjaśnić mnie i Alanowi, co dokładnie zamierzasz.

Anna skinęła głową, zrobiła głęboki wdech i rozpoczęła swoje rozdanie.

- Ormianin jest lekarzem i badaczem. W Paryżu studiuje już od dwóch lat. Należy do niewielkiej sieci ormiańskich aktywistów działających wewnątrz i poza Związkiem Radzieckim. Za dziesięć dni wraca do domu, do Erewanu i chce, abyśmy mu pomogli w czymś, co akurat świetnie pasuje do naszych planów i do tego, co chcemy osiągnąć.

- Czego chce?

- Mamy mu dać urządzenie, które pozwoli jego przyjacielom na odbieranie satelitarnych sygnałów telewizyjnych z Zachodu. Twierdzi, że gdyby ludzie mieli okazję zobaczyć, co robi reszta świata, w Związku Radzieckim wszystko wyglądałoby inaczej.

- Może ma rację. Ale czego dokładnie od nas oczekuje?

- Fazera.

- A cóż to takiego?

Anna wyjęła schemat z torebki i podała go Stone'owi.

- To właśnie - powiedziała, wskazując na papier - jest fazer. - Stone przyglądał się rysunkowi przez chwilę, a potem podał go Taylorowi. Ten przekreślił go w jedną stronę, potem w drugą podniósł kartkę do światła, odwrócił do góry nogami, po czym oddał ją szefowi.

339

- To mi nic nie mówi - przyznał. - Ale znam kogoś, kto połapie się w tym w minutę.

- Kto to taki? - spytała Anna.

- George Trumbo. Mój przyjaciel z biura technicznego w Atenach. Jest geniuszem w tego typu sprawach, kiedy nie jest pijany.

- Czy mógłby zbudować takie urządzenie?

- Pewnie tak. Oczywiście, gdyby ktoś dostarczył mu potrzebne elementy.

- Potrafiłby trzymać język za zębami?

- Na pewno. Ale czy jesteś pewna, że to ma sens?

- Tak. Absolutnie tak.

- A w jaki sposób Ormianin by to zawiózł? Zakładając oczywiście, że George zdoła takie чудо zrobić.

- Mówi, że znajdzie sposób przetrzucenia tego przez granicę. O szczegółach mamy porozmawiać w następnym tygodniu, pod warunkiem, że wyrazimy zgodę.

- No, nie wiem - powiedział Taylor. - Trochę to nieostrożne. Mam wątpliwości.

Stone na razie nie zamierzał wygłaszać żadnej opinii. Raz jeszcze przyjrzał się schematowi, po czym przetaił oczy. Anna spodziewała się, że ostro ją skrytykuje, ale na jego zmęczonej twarzy malował się spokój. Był to zapewne skutek jakiejś nowej idei kiełkującej w jego umyśle.

- Uważam, że pomysł jest intrygujący - powiedział w końcu.

- Naprawdę? - Anna uśmiechnęła się.

- Czy zastosowałaś wobec tego Ormianina formalną procedurę rekrutacji?

- Niezupełnie.

- Co to znaczy?

- Nie powiedziałam mu, dla kogo pracuję.

- Zapłaciłaś mu coś?

- Nie.

- Czy masz z nim jakikolwiek kontrakt albo ugodę?
- Prawdę mówiąc, nie. Spotkałam się z nim zaledwie trzy razy. Nie wydawało mi się to konieczne.
- To niezbyt dobrze - stwierdził Stone.
- Dlaczego?
- Ponieważ więzi między wami są raczej osobiste, a nie zawodowe, a za tem zawierają element moralnego zobowiązania. Kontrakty są o wiele prostsze. Mimo to wciąż uważam pomysł za intrygujący.
- A mnie to martwi - przyznał Taylor.

Anna miała ochotę kopnąć go. Dlaczego zaprzepaszczał jej szansę w chwili, gdy Stone chciał wyrazić zgodę na jej operację? Patrząc na niego nie wie

340

dała, czy naprawdę obawiał się o jej bezpieczeństwo, czy też był po prostu izdrośny.

Stone'a wyraźnie męczyła przedłużająca się dyskusja.

- Jestem głodny - orzekł. - Chodźmy coś zjeść.

Około wpół do dziesiątej poszli na kolację. Taylor zaproponował rybną restaurację o nazwie „Urcan”, w górę Bosforu, w mieście Sariyer. Uznał, że miana otoczenia wszystkim im wyjdzie na dobre. Wsiedli do taksówki i do-schali na miejsce. W „Urcan” panował taki zwyczaj, że goście wybierali obie posiłek spośród ryb pływających w wielkim akwarium przy wejściu. Itone zdecydował się na flądre, która bez ruchu leżała na dnie, próbując podobnie się do piasku. Później twierdził, że była znakomita i długo sie-łział nad talerzem, smakując każdy kęs. Pili wino i grecką brandy. Wieczór »kazał się bardzo wesoły, wszyscy starali się unikać poważnych tematów, ianim opuścili „Urcan”, wszyscy troje byli lekko wstawieni, zwłaszcza Stone. Idąc chwiejnie do swojego apartamentu, ujął Annę za rękę, a przy drzwiach jocałował w policzek.

- Sprawę tego Ormianina rozwiążemy jutro rano, przed wyjazdem. Śnia-lanie w moim pokoju o ósmej trzydzieści - powiedział i zamknął za sobą Irzwi.

Anna spojrzała na Taylora, który stał oparty o ścianę kilka metrów za

- Co powiesz na szklaneczkę czegoś mocniejszego do poduszki? - spytała z nadzieją, że nie zabrzmiało to zbyt wyrachowanie.
- Jestem za.
- Mam pokój numer dziewięć. Daj mi dziesięć minut na przygotowanie.

Kiedy Taylor zapukał do drzwi pokoju Anny dziesięć minut później, uchyliła je tylko trochę. Przez szparę dostrzegł gładką skórę jej policzka i kontur piersi, widoczny pod przejrzystym materiałem koszuli z rodzaju tych, jakie stambulskie damy nosiły po kąpieli.

- Jeszcze nie jestem gotowa - szepnęła. - Może wejdiesz i poczekaś aż się ubiorę.

Gestem poprosiła go, aby wszedł do środka, tak jakby zapraszała go, by przyłączył się do tajemnej uczty. Wchodząc dostrzegł, że ciało Anny jest nagie pod przejrzystymi fałdami koszuli. Natychmiast poczuł podniecenie. Ruszył ku dziewczynie, aby ją objąć.

ną.

341

- Nie dotykaj! - ostrzegła Anna. - Niegrzecznie jest przeszkadzać damie, gdy się ubiera.

Wycofała się w kierunku łóżka, gdzie leżały jej ubrania, równo ułożone na pościeli.

- Może usiądziesz. - Wskazała krzesło. - To zajmie mi tylko moment. -Przez dłuższą chwilę stała przy łóżku. Za nią na nocnym stoliku świeciła lampka, przez co jej strój stał się zupełnie przezroczysty. Taylor widział krągłe piersi, gładkie uda i kilka kosmyków włosów tonowych.

- Niezłe wdzianko, Mato Hari - powiedział.

- To lokalny projektant. Dziewczęta z haremu nosiły podobne w seraju, aby w ten sposób zabawiać sułtana.

- Czuję się zabawiony.

- O ile sobie przypominam, jeden z sułtanów miał zwyczaj kryć się za oknem wychodzącym na łaźnię. Dawał swoim kobietom właśnie takie stroje, ale ze sprutymi szwami. Materiał trzymał się razem tylko dzięki odrobinie mącznego kleju. Kiedy kobiety wchodziły do parowych łaźni, ich stroje opadały.

- I co wtedy robił sułtan?

- Patrzył. - Anna uśmiechnęła się skromnie i podniosła z łóżka majteczki, odwracając je w dłoniach, tak by Taylor dokładnie je sobie obejrzał. Nie można było mieć żadnych wątpliwości co do tego, gdzie był przód, a gdzie tył, ponieważ składały się tylko z niewielkiego trójkąta białej koronki i wąskiego paska materiału. Anna włożyła je, najpierw wsuwając jedną potem drugą nogę demonstrując wszystko Taylorowi.

- Zapomnijmy o drinkach przed snem - powiedział, wstając z krzesła. -Lepiej zacznijmy się kochać.

- No, no, no! - Anna pogroziła mu palcem. - Jeszcze się nie ubrałam.

Wyprostowała smukłą nogę, obciągnęła palce i zaczęła wkładać raj sto

py. Podciągała je po kilka centymetrów aż do końca uda. Potem, równie po woli, wsunęła drugą nogę. Naciągnęła elastyczną siateczkę, wygładziła raj stopy wokół talii i puściła do Taylora oko.

- Przestań! Doprowadzasz mnie do szaleństwa.

- To dobrze.

Odwróciła się przodem do łóżka i zsunęła przezroczystą koszulę. Taylor widział wąski pasek majteczek przedzielający jej napięte pośladki. Podniósł biustonosz, koronkowe cudo niewiele większe od majtek, i włożyła go.

- Mógłbyś mi go zapiąć? - zawołała przez ramię.

Taylor podszedł do niej blisko, tak że dotykał ją całym ciałem. Ręką się gnął nie do zapięcia stanika, lecz do jej piersi. Anna dała mu po łapie nie z mocno, ale tak, by trochę zapiekło.

- Niegrzecznie! - powiedziała. - Będziesz mógł dotknąć dopiero, ja pogadamy.

i

342

Alan posłusznie zapiął biustonosz, walcząc z zapięciem jak wtedy, gdy o nastolatek próbował zdjąć stanik swojej pierwszej dziewczynie na tylnym siedzeniu samochodu.

- Dlaczego mężczyźni mają z tym takie problemy? - spytała Anna ko-etyryjnie, kiedy w końcu mu się udało. - Czy sądzą że taka bielizna jest krowna?

- Przestań - jęknął Taylor. - Co w ciebie wstąpiło? Anna włożyła prostą lnianą sukienkę, pozwalając materiałowi łagodnie ściskać i zasłonić piersi i biodra. Na koniec wsunęła stopy w buty na wysokich obcasach. Potem podeszła do walizki i wyjęła z niej butelkę Johnnie Walker-Black Label, zapakowaną w torbę z bezcłowego sklepu .Aéroports de

___'n

ans .

- Tak się składa, że nie musimy nigdzie wychodzić na drinka - powiedziała. - Przywiozłam butelkę.

Z łazienki przyniosła jedyną szklanekę, którą wzięła z półki pod pękniętym lustrem. Napełniła ją whisky i podała Alanowi.

- Będziemy musieli jakoś się podzielić.

Taylor upił łyk. Spojrzał na Annę siedzącą na łóżku z podwiniętymi nogami i pokręcił głową.

- O co w tym wszystkim chodzi? Czego ode mnie chcesz?

- Chcę, żebyś się zgodził - powiedziała głosem, który przypominał mrużenie.

- Na co?

- Chciałabym, abyś powiedział Stone'owi jutro rano, że według ciebie oja ormiańska operacja to dobry pomysł i ty ją popierasz całkowicie.

- Aleja wcale nie uważam tego za dobry pomysł.

- Dlaczego nie? Jest o wiele bardziej sensowna niż rozdawanie islam-kich materiałów w Uzbekistanie.

- Może i tak, ale to wcale nie oznacza, że powinnaś ją przeprowadzić.
- Dlaczego nagle zrobiłeś się taki pesymistyczny, akurat teraz, kiedy to 'a mam okazję coś zrobić?
- Przestań. To nie ma nic do rzeczy. Anna westchnęła i ukryła twarz w dłoniach.
- Czuję się tak, jakbym grała w „Dżentelmena ze Stambułu”.
- Co to takiego ten „Dżentelmen ze Stambułu”?
- To gra, w którą bawiły się kobiety w haremie. Jedna z nich przebierała się za mężczyznę, malowała sobie wąsy, wkładała skórę od arbuza na głowę zamiast fezu. Pozostałe dziewczęta sadzały ją na ośle przodem do ogona. Potem ktoś dawał zwierzęciu kopniaka i kobieta podskakiwała na jego grzbiecie tak długo, aż spadała.
- I tak właśnie się teraz czujesz?
- Tak. Dokładnie tak.

- Przecież to wariactwo.
- Proszę, Alan. Powiedz Stone'owi, że według ciebie pomysł jest w porządku. On i tak chyba za bardzo się nie sprzeciwia. Pewnie już by się zgodził, gdybyś ty trzymał język za zębami.
- Nie ufaj Stone'owi. On działa na sześciu poziomach naraz. Jeżeli ci ni to pozwoli, zrobi to ze względu na jakieś własne powody, a nie na twoje.
- A jakie są te jego powody?
- Nie mam pojęcia, ale znam Stone'a. Jest przebiegły.
- Nie sądziłam, że ci to przeszkadza.
- Nie przeszkadza.
- Proszę, zgódź się. Pozwól mi być tak szaloną jak Stone, jeżeli zechcę
- Skąd wiesz, że ten Ormianin nie pracuje dla KGB?
- Wiem i już. Jest równie czysty jak śnieg na szczycie góry Ararat.
- Och, przestań.
- Gdyby był fałszywy, na pewno dostrzegłabym, że jego pomysł jest sztyj grubymi nićmi. Niczego jednak nie zauważyłam. Jeżeli to ci pomoże, dwi lata temu CIA go sprawdziła i nie znalazła żadnych powiązań z wywiadem,
- CIA może się mylić. Podobnie jak oficerowie prowadzący agentów.

- Daj spokój, Alan. Przecież wiesz, o co mi chodzi. Sam zwerbowałeś wiele osób. Czy nie wiesz, kiedy ktoś jest autentyczny?
- Czasami. Ale czasem sprawa tak bardzo cię pochłania, że tracisz zdolność trzeźwego myślenia. Mówią, że wtedy „zakochujesz się w swoim agencie”.
- Och, chyba nie zniżysz się do takich argumentów.
- Czyżby? W takim razie wyjaśnij mi, dlaczego tak bardzo ci na tym zależy.
- Ponieważ to dla mnie ważne. Poza tym sprawa jest słuszna.
- Spałeś z nim?
- Co to za pytanie?
- Dobrze słyszałaś. Czy z nim spałeś?
- To oburzające, ale ci odpowiem. Nie.
- Pytam tylko dlatego, że tak dziwnie się zachowujesz. Coś ci się stało. Zmieniłaś się.
- Zmieniło się tylko to, że staram się poważnie traktować moją pracę. Zupełnie nie rozumiem, dlaczego tak bardzo ci to przeszkadza.
- Chodźmy do łóżka - powiedział Taylor łagodnie.

Anna zawahała się. Była wzburzona. Jej uwodzicielski plan podziurawiał wątpliwości Taylora.

- A ty? - spytała. - Spałeś z kimś od naszego ostatniego spotkania? Od razu pożałowała, że zadała mu to pytanie.
- Tak - odparł Alan.

Oddechnęła głęboko.

344

I - Czy czujesz się z tego powodu winny?

- - Nie. Dlaczego? To był tylko seks dla rozrywki. Nie zmienił tego, co do łbie czuję. Jeżeli chcesz, mogę udawać, że czuję się winny.
- - Pieprz się.
- Taylor usiadł obok niej na łóżku.
- - Przykro mi powiedział. - Naprawdę nie chciałem się dzisiaj z tobą łócić.

- Objął ją ramieniem. Najpierw chciała je odsunąć, ale w końcu pozwoliła ■u zostać.
- - Powiedz Stone'owi, że podoba ci się mój pomysł.
- - Dobrze - zgodził się Taylor. - Jeżeli tego właśnie trzeba, żeby zaciągnąć cię do łóżka.

I - Powiedz mu, że to najlepszy pomysł od czasów Allena Dullesa. I Taylor uśmiechnął się. I - W porządku. I - Obiecujesz? I - Tak.

I - Muszę się napić.

I Alan podał jej szklankę whisky. Anna dokończyła drinka i nałała sobie jeszcze jednego. Pijąc uświadomiła sobie, że nigdy dotąd nie czuła się aż taką dziwką.

I - Teraz możesz mnie rozebrać - powiedziała.

I Taylorowi zajęło to znacznie mniej czasu niż jej ubranie się. Pospiesznie ściągnął jej rzeczy, podniósł sukienkę, zdjął koronkowy biustonosz, zsunął raj stopy z nóg i szarpnął skąpe majteczki tak mocno, że ich pasek wbił się w miękkie ciało. Potem położył się na niej, sam tylko do połowy rozebrany, bo wyklekochał się z nią delikatnie, ale dziś po raz pierwszy był gwałtowny. I wszedł w nią zdecydowanie, a kiedy krzyknęła, raz jeszcze pchnął mocno. (Odwrócił Annę, tak że opierała się na dłoniach i kolanach, i wszedł w nią od tyłu, uderzając otwartą dłoń w jej pośladki w rytm, w jakim się poruszał. Kochał się ze złością, jak ktoś, kto chce coś udowodnić. Anna także posunęła się do czegoś, czego wcześniej z Taylorem nigdy nie musiała robić. Udała orgazm.

/

Taylor wyszedł kilka minut po tym, jak skończyli. Mruknął, że musi jechać do domu i przebrać się. Żadne z nich nie mówiło zbyt wiele. Zresztą, co mieli mówić? Taylor pojechał do swojego mieszkania w Arnawutkoy i przespał kilka godzin.

Następnego ranka, przed powrotem do Bebek na spotkanie ze Stone'em, wpadł do konsulatu, aby sprawdzić depeşe z nocy. Jedna z nich zwróciła jego uwagę. Adresowano ją do Amy L. Gunderson. Nadawcą był szef wy-

34

działu europejskiego. Zawierała nakaz natychmiastowego powrotu do Londynu albo skontaktowania się z oficerem prowadzącym w tamtejszej ambasadzie. Taylor przez chwilę zastanawiał się, co powinien zrobić, ale tak naprawdę od początku nie miał żadnych wątpliwości. Dotarł do hotelu w Bebek tak szybko, jak tylko mógł i o ósmej piętnaście zastukał do drzwi pokoju Stone'a.

Szef wyglądał nieco lepiej niż poprzedniego wieczoru.

- Jesteś za wcześnie - powiedział na przywitanie.
- Lepiej to przeczytaj - odparł Taylor, podając mu depeşe. Stone przestudiował treść uważnie, zwracając uwagę na czas, datę i kanał, jakim wiadomość została nadana.
- Sam się tym zajmę - oznajmił spokojnie. - Teraz nie powinniśmy nie pokoić Anny. I tak ma zbyt wiele spraw.

Wziął kartkę i zgniół ją w kulę.

- Muszę to mieć z powrotem - powiedział Taylor. - Do akt.

Stone oddał mu zgniecioną depeszę.

- Wiadomość nigdy nie dotarła do adresata.

Taylor skinął głową.

Anna zastukała do drzwi kilka minut później. Nawet nie spojrzała ni Taylora.

- Dzień dobry, panowie - powiedziała.

- Dzień dobry, moja droga - odparł Stone. Jak zwykle był bardzo uprzejmy. - Dobrze spałaś?

- W porządku.

- Niestety, nie mamy zbyt wiele czasu. Twój samolot odlatuje o dziesiątą tej trzydzieści, mój o dwunastą. Zakończmy więc nasze sprawy. Wciąż chcesz przeprowadzić tę ormiańską operację?

- Tak - przyznała Anna. - Bardzo.

- A ty, Alanie? Czy masz jakieś zastrzeżenia? Wczoraj wieczorem poc chodziłeś do tego nieco sceptycznie.

Przez chwilę w pokoju panowała cisza. Taylor spojrzał na Annę, ale on unikała jego wzroku. Patrzyła przez okno w kierunku Bosforu.

- Ja nic do tego nie mam - stwierdził Alan. - Jeżeli Anna chce to zrobić nie mam nic przeciwko.

- W takim razie zostają tylko ja - powiedział Stone. Anna odwróciła się od okna i spojrzała starszemu koledze prosto w oczy. - Zastanawiałem się nad tym zeszłej nocy i myślę, że twój plan ma sporo sensu. Wykazałaś się dużą inicjatywą. Twój człowiek na pewno będzie narażony na niebezpieczeństwo, ale jak sama mówiłaś, to on prosił o twoją pomoc. My tylko spełniam jego prośbę. Życzę ci więc powodzenia.

3

■ - Dziękuję. - Anna zarumieniła się. Wygrała, ale nie odczuwała z tego powodu ulgi.

I - Kiedy zobaczysz się z tym Ormianinem?

■ Jak tylko wrócę do Paryża.

I - W takim razie możesz mu powiedzieć, że twoi przyjaciele z fundacji Hodzili się poprzeć jego przedsięwzięcie w zakresie międzynarodowej łączności. Dostarczymy mu jeden prototyp urządzenia. Tylko jeden.

■ - Będzie zadowolony.

I - Nie wątpię. A teraz, Alanie, chciałbym, abyś dostarczył ten schemat woj emu przyjacielowi, panu Trumbo z Aten. Na pewno będzie potrzebował B) mocy w szybkim zdobyciu elementów. Dasz mu kontakt na mojego daw-Bgo znajomego z obsługi technicznej. Wszystko załatwię w Ameryce. - Stone Hipisał nazwisko i numer telefonu na kartce i podał ją Taylorowi. - Co do Łstawy, obawiam się, że nie możemy tego zostawić niepewnym układom woj ego ormiańskiego przyjaciela, Anno. Sami musimy się tym zająć. Moja Biajomość geografii Kaukazu nie jest zbyt dobra, ale podejrzewam, że naj-Bpszym rozwiązaniem będzie przerzucenie sprzętu przez granicę z Iranem, Wrzez Nachiczewan. Proponuję więc, abyśmy po raz ostatni skorzystali z usług Iana Ascariego i jego sieci przemytników. Oni nie powinni mieć z tym żad-Bych kłopotów. Powiemy im, że to nowy rodzaj wideoodtwarzacza. I - To chyba rozsądne wyjście - przyznała Anna. Nie podobało jej się, że n przedsięwzięcie nawet w niewielkiej części może zależeć od Alego Asca-ftego, ale nie mogła się spierać.

I - Najdelikatniejszą częścią planu będzie zorganizowanie odbioru urzą-Bzenia. Zanim twój ormiański przyjaciel wyjedzie do domu, musicie ustalić ■okładny czas i miejsce. Zakładam, że Ascar i jego koleisie mogą zaproponować miejsce dostawy, ale mamy mniej niż dziesięć dni na dogranie wszystkich Łczegółów. Dlatego chciałbym, aby Alan spotkał się w Atenach z Hoffinanem I Ascarim i ustalił wszystko co trzeba. Potem Alan przekaże informacje mnie, Ł ja z kolei przedstawię je tobie, abyś mogła powiadomić swojego Ormianina, Łanim wsiądzie w samolot do Erewanu. Czy to odpowiednie rozwiązanie? I Anna i Taylor skinęli głowami.

I - Mam jeszcze tylko jedną prośbę, Anno - powiedział Stone. - Chciał-Łym, abyś w Paryżu zachowała wielką ostrożność. KGB pewnie ma twojego Łrzyjaciela pod obserwacją, dlatego musisz zmienić hotel zaraz po powrocie. Zadzwoń do mnie bezpośrednio do domu i podaj numer telefonu i teleksu nowego hotelu.

- Dobrze.

- Jeszcze kilka dodatkowych środków ostrożności - oznajmił Stone. W jego głosie nie zabrzmiała ani jedna nuta fałszu. - Powinnaś trzymać się z dala od ludzi z paryskiej bazy agencji, a także od tych, którzy mogą mieć z nią cokolwiek wspólnego. Pod żadnym pozorem nie powinnaś kontakto-

34

wać się ze swoim oficerem prowadzącym z londyńskiej ambasady. To było by niebezpieczne. Chciałbym także, abyś przestała korzystać ze starych kai kredytowych i nie wypisywała czeków na konto firmy w Rockville. Zostawi łabyś zbyt wyraźny ślad.

- Skąd mam wziąć pieniądze?

- Stąd. - Stone podszedł do swoich walizek i powrócił z czerwoną tor bą podróżną na której widniał napis „TWA”.

- Co w niej jest?

- Pięćdziesiąt tysięcy. - Stone spojrział na zegarek. Minęła już dziewia ta. - Lepiej już ruszaj, w przeciwnym razie spóźnisz się na samolot - powie dział.

Anna przewiesiła torbę przez ramię i uścisnęła dłoń Stone'a.

Taylor, który przez cały czas przysłuchiwał się tej wymianie z rosnącym uczuciem niepokoju, zwrócił się do Anny.

- Odprowadzę cię - zaproponował.
- Nie trzeba - odparła. - Sama dam sobie radę. - Chłodno uścisnęła ręk Taylora i wyszła z pokoju.

Alan spojrzał na Stone'a.

- Powiniennem pomóc jej z bagażem.
- Sama sobie poradzi. Przecież słyszałeś. Zostań kilka minut. Chciałby z tobą porozmawiać.
- Dobrze.
- Kiedy zobaczysz się z Frankiem w Atenach, powiedz mu, żeby raz z najbliższą przesyłką do Armenii wysłał coś ekstra.
- Co ma dołączyć?
- Materiały wybuchowe.
- Chryste! A po co? Ten ormiański doktor nie będzie wiedział, co z nim zrobić.
- Nie są przeznaczone dla ormiańskiego doktora. Odbierze je kto inny Brytyjczycy mają przyjaciół w Armenii, o ile oczywiście nie myli mnie p mięt. Oni mogą pomóc.
- W czym?
- Jeszcze nie jestem pewien, ale skoro mamy już robić interesy w Armenii, róbmy je porządnie.

Taylor posłusznie skinął głową ale jedna rzecz nie dawała mu spokoju

- Czy mogę o coś spytać?
- Oczywiście.
- Dlaczego zgodziłeś się na ten niedorzeczny plan Anny?
- Ponieważ tego chciała.
- Przestań. Przecież to bzdura.
- Mam swoje powody.
- Jakie?

- Przykrywka.
- Przykrywka dla czego?
- Dla nas wszystkich. W najgorszym przypadku, jeśli wszystko się popie w ciągu następnych miesięcy, dodatkowy kij w mrowisku może się przy-ć. Jeszcze jedna twarz w naszej operacji, która nie wygląda aż tak groźnie, ona Barnes byłaby godnym uwagi świadkiem na zamkniętym posiedzeniu nackiej komisji do spraw wywiadu, gdyby, nie daj Boże, do tego doszło, ogę sobie wyobrazić jej zeznania: jeden świat, telewizja satelitarna, dzielni rmianie. Z oczu wszystkich zebranych popłynęłyby łzy.
- Ale jej może się coś stać.
- Jest dużą dziewczynką. Prawdę mówiąc, ostatnio stała się bardzo sa-odzielna. Niemal zawzięta. Może nie zauważyłeś tej przemiany dlatego, !... interesujesz się nią prywatnie.
- Owszem, zauważyłem.
- Jeszcze jedno skłania mnie, aby pozwolić Annie na robienie tego, co ima chce.
- Co to takiego?
- Nie chciałbym nazwać tego brakiem lojalności, ale ona po prostu nie ie, kiedy powinna się podporządkować. Uważam, że to bardzo kłopotliwa scha u podwładnych. A szczerze mówiąc, szczególnie odpychająca wydaje ii się u kobiety.

Ostatnie spotkanie Anny z doktorem Antoyanem w Paryżu nie trwało dłu-o. Tym razem zatrzymała się w niewielkim hotelu na przedmieściach, nie-podał amerykańskiego szpitala w Neuilly. Z Ormianinem spotkała się od azu po przybyciu do miasta. Potem czekała na wiadomość od Stone'a, który miał jej przekazać wszystkie szczegóły. Od Taylora nie miała żadnych wie-ci, ale ani się ich spodziewała, ani na nie czekała.

Z Aramem umówiła się w podmiejskiej kawiarence niedaleko Lasku Bu-ońskiego. Ormianin całkowicie zgolił brodę. Jego twarz wydawała się teraz zczuplejsza i bardziej wrażliwa. Ubrał się w źle skrojony szary garnitur, który wisiał na nim jak worek. Wyglądał, jakby już był w połowie drogi do domu.

Anna dokładnie wyjaśniła mu procedury dostawy sprzętu. Na początku listopada urządzenie miało zostać przewiezione przez irańską granicę do Na-hiczewanu, do enklawy azerskiej. Dziesiątego listopada Aram miał udać się lo domu niejakiego Sadeka Szirwanszira. Na przywitanie miał powiedzieć: „Przysyła mnie Hamid”.

Anna zapisała adres na kartce, wraz z godziną, datą i hasłem, i poprosiła \ntoyana, by nauczył się wszystkiego na pamięć. Aram studiował to przez rzydzieści sekund, zamknął oczy i kilkakrotnie powtórzył sobie wszystkie nformacje. Anna zabrała mu kartkę i schowała ją do torebki.

349

- Będę tam - powiedział Ormianin.

- Wróć ze mną teraz do hotelu - poprosiła Anna, kiedy skończyli ju omawianie spraw służbowych. - Chciałabym spędzić z tobą jeszcze kilk godzin.
- To nie byłoby rozsądne - odparł Aram miękko.
- Dlaczego? Mam już dość rozsądnego postępowania. Rozsądek jest d staruszków.
- Jeżeli spędzę z tobą więcej czasu, nie będę chciał odejść. Poza tyi naraziłbym nas w ten sposób na niebezpieczeństwo. Mogą mnie teraz obse wować uważniej, bo niedługo wracam do kraju.

Anna poczuła że ogarniają fala smutku.

- Kiedy znowu cię zobaczę?
- Kiedy przyjadę następnym razem na Zachód.
- To znaczy kiedy?
- Nie wiem. Może za kilka lat.
- Skąd będziesz wiedział, gdzie mnie szukać?
- To nie powinno być trudne. Chyba wiem, jak się z tobą skontal tować. - Na jego ustach pojawił się ten chytry uśmiezek, który dawni oczarowywał Annę, ale teraz sprawił, że poczuła jeszcze większy niepok o niego.
- Jak możemy skontaktować się z tobą w Erewanie?
- Na ostatnim spotkaniu chyba ustaliliśmy, że nie będziecie próbowć wykorzystać mnie do żadnych innych zadań.
- Owszem. Chodzi mi tylko o kontakt w nagłych wypadkach.

Antoyan zapisał adres i numer telefonu na papierowej serwetce i pod go jej.

- To szpital, w którym mam podjąć pracę. Pamiętaj jednak, że wszyc którzy zechcą się ze mną skontaktować, muszą zachować wielką ostrożność W Związku Radzieckim jest zupełnie inaczej niż na Zachodzie. Nie istnieje coś takiego jak niewinne spotkanie.
- Masz jakiś adres domowy?
- Jeszcze nie, ale mogę dać ci adres mieszkania moich rodziców. - Wzi od niej serwetkę i dopisał kilka linijek po angielsku i ormiańsku. - Bądź ostre na - przestrzegł raz jeszcze.

Anna starała się nic po sobie nie okazać, ale bardzo się o niego bała. T: ciężko pracowała, aby załatwić tę sprawę Arama, ale teraz, w przeddzi jego wyjazdu, nie chciała go opuszczać. Przyniosła ze sobą czerwoną tor linii lotniczych i próbowała dać mu trochę pieniędzy, aby przynajmniej mó kupić prezenty swoim krewnym, ale on zbył ją machnięciem ręki.

- Nie bądź niemądra - powiedział.

Kelner podszedł do nich i spytał, czy życzą sobie czegoś jeszcze. Ars pokręcił głową.

350

- Pożegnajmy się teraz - poprosił. - W przeciwnym razie będzie nam zbyt ężko. - Objął Annę, ucałował w oba policzki i puścił. Miała łzy w oczach, iedys słyszała, że kiedy Rosjanie nie chcą, aby ktoś wyjechał, siadają na jego rbach na stacji kolejowej i nie chcą się za nic mszyć. Ona jednak nie mogła go zrobić. Była oficerem prowadzącym Arama Antoyana.

- Jeżeli coś pójdzie źle, zawiadomimy cię - powiedziała.

- Wszystko pójdzie dobrze.

- Ale gdyby coś nie poszło, ostrzeżemy cię w porę. Obiecuję.

- Do widzenia, moja kochana. - Aram po raz ostami pocałował ją w po-czek, odwrócił się i ruszył w kierunku stacji metra. Nie obejrzał się ani razu. ik powtarzał wielokrotnie, nie chciał być ofiarą. Nawet ofiarą miłości.

| ■ <

-

r

-

1

- " " V :

f

: ' : , " ' < - • • V

VIII

Anna Barnes Waszyngton/Stambuł

A

Erewan/Boston

październik 1979 - grudzień 1980

/

Siro

*

ach ostrożnie wznoszonego przez Edwarda Stone'a domku z kart zawalił się pewnego ranka w połowie października. Stone jak zwykle był krok przed jego prześladowcami, ale w tym przypadku niewiele mu to dało. Już przed siódmą trzydzieści zadzwonił do niego Harry Peltz, jego przyjaciel i informator z wydziału europejskiego. Peltz powiadomił go, że dostał ynk od sąsiada w Falls Church, który pracował w biurze bezpieczeństwa, o dobio o dziesiątej trzydzieści grupa dochodzeniowa z tego biura miała doonać nalotu na siedzibę nieautoryzowanej własności CIA w Marylandzie, której mieściła się korporacja Karpeland. Peltz twierdził, że ten incydent był częścią większego planu. Bardzo tajnego, prowadzonego w największej tjemnicy. Uznał, że Stone chciałby o tym wiedzieć.

- Bardzo ci dziękuję, stary przyjacielu - Stone tylko tyle zdołał z siebie krztusić. W tym momencie był tak bliski paniki, jak tylko było to możliwe przypadku kogoś tak poukładanego i opanowanego.

Swój garnitur w paski zostawił na wieszaku, zrezygnował też z eleganckich butów z czarnymi noskami. Włożył sztruksy, koszulkę polo oraz sweter i wyszedł.

Przez całą drogę Wisconsin Avenue miasto było zatkane, ale udało mu się dotrzeć do Rockville tuż przed dziewiątą. Trafił tam, jeszcze zanim przyszła Maijorie, która pojawiła się jak zwykle punktualnie.

- Zamykamy sklepik, Maijorie - oznajmił Stone. - Natychmiast.

Kobieta patrzyła na szefa nieprzytomnie. Słyszała słowa, ale ich nie rozumiała. Jeszcze nigdy nie widziała Stone'a tak rozczochranego, ale najbardziej uderzyło ją to, że w ogóle nie włożył skarpetek. Przez dłuższą chwilę przyglądała się jego białym, pomarszczonym stopom.

- Wszystko w porządku, panie Stone? - spytała.

355

- Oczywiście, że tak - odparł, patrząc na zegarek. - Jak najbardziej. Musimy tylko zamknąć to biuro. Teraz. Rozumiesz?

- Kiedy?

Stone zirytował się.

, - Natychmiast! Dziś! Tego ranka! Czy ty jesteś głucha?

Prawie krzyczał. Maijorie, która była jeszcze mniej przyzwyczajona do słuchania podniesionego głosu szefa niż do widywania go bez skarpetek, zaczęła pociągać nosem i wyglądała tak, jakby za chwilę zamierzała wybuchnąć płaczem.

- Weź się w garść - powiedział Stone. - Mamy mnóstwo roboty i bardzo mało czasu.

To ją uciszyło.

- A teraz otwórz biurka i szafkę z dokumentami - nakazał. - Szybko!

Maijorie przez moment walczyła z kluczami, ale w końcu udało jej się

otworzyć wszystkie zamki. Szafka na dokumenty nie zawierała wiele. Plany podróży Taylora i Anny; umowę wynajmu biura; dokumenty ubezpieczenia we na białą furgonetkę Karpetlandu; wszelkiego rodzaju ulotki i materiały reklamowe przysyłane pocztą w przeciągu sześciu miesięcy istnienia firmy które Maijorie skrupulatnie poukładała; wewnętrzne biuletyny „Od ściany do ściany” rozsyłane do producentów i sprzedawców dywanów i wykładzin Stone zgarnął wszystko i wrzucił do dużego kartonowego pudła, które przed tem zawierało pakistańskie egzemplarze Koranu.

- Gdzie sąksiążeczki czekowe? - spytał. Maijorie przyniosła je ze swoje go biurka. - A rachunki kart kredytowych? I rachunki za telefon? - Marjorii posłusznie przyniosła wszystkie te rzeczy.

- Gdzie trzymasz gotówkę?

- W sejfie.

- Ile mamy?

- Osiemdziesiąt tysięcy dolarów.

- Otwórz sejf, proszę. Tylko szybko. - Maijorie pokręciła gałką, wybie rając odpowiednią kombinację cyfr, ale dwukrotnie jej się to nie udało. Drżała jej ręce.

- Do cholery! Podaj mi kombinację, sam otworzę ten pieprzony zamek

Drżącym głosem podała numery. Stone szybko wprowadził je, pociągnął

za rączkę i otworzył drzwiczki sejfu. Wyjął z niego kilkanaście grubych plików banknotów, rejestr wydatków i wpływów, kilka czystych blankietów bi letów lotniczych, zastrzeżony spis telefonów CIA, zastrzeżony raport po tytulem Kurdystan w perspektywie oraz słoik rozpuszczalnej kawy, którą Maijorie z nieznanых przyczyn trzymała zamkniętą w sejfie.

- To pewnie twoje. - Stone podał kawę Maijorie. Zabrał pieniądze i za strzeżone publikacje i wrzucił je do kartonowego pudła. Raz jeszcze spojrzął na zegarek.

I - Jezu Chryste! - jęknął. Dochodziła już dziewiąta trzydzieści. - Będą I za chwilę.

I - Kto? - pisała Maijorie. - Och, panie Stone, co się stało? I Stone zmierzył ją wzrokiem.

- Za niecałą godzinę pojawią się tu nasi wrogowie.

- Kto? - Wciąż nie mogła zrozumieć. - Rosjanie?

I - Nie osobiście - stwierdził Stone. - Ich przyjaciele.

- Błogosławiona Maryjo. - Kobieta wyglądała na przerażoną i wstrząśniętą.

Stone po raz ostami rozejrzał się po pokoju. Pospiesznie przejrzał biurka Inny i Taylora, zabierając z nich całą zawartość. Menu z baru o nazwie „McGillicuddy's” w Rockville; papier listowy z ateńskiego „Hiltona”; słow-lik turecko-angielski; podniszczony egzemplarz książki Czterdzieści dni Musa Wagma.

Stone wrzucił wszystko do pudła. Raz jeszcze zajrzał do szuflad 1/ biurkach, aby upewnić się, że niczego nie przeoczył, po czym zwrócił się do swojej wiernej sekretarki.

- Moja droga Maijorie, może chciałabyś wybrać się na wakacje? I - Już miałam urlop - odparła. - Dwa tygodnie w sierpniu.

- To może chcesz wyjechać raz jeszcze? Co powiesz na wyspy? Albo na Rio? Byłaś już w Rio?

- Ale ja nie miałam szczepień. I - Jakich szczepień?

- Przeciw dyfterytowi. Malarii. Czy tam nie ma wielu chorób? Stone przewrócił oczami.

I - W takim razie może lepiej wybierz się w jakiś zakątek naszego kraju. Dokąd chciałabyś pojechać?

- Mogłabym odwiedzić moją matkę na Florydzie.

- Gdzie mieszka?

- W Lakeland.

- W porządku. Masz jej adres i numer telefonu?

- Tak. Dzwonię do matki w każdą niedzielę. - Maijorie zapisała wszystko na kartce. Kiedy to robiła, Stone sięgnął do pudła i odliczył dziesięć tysięcy dolarów.

- Droga Maijorie, teraz chciałbym, żebyś wzięła te pieniądze i wykorzystała je na bilet na Florydę i inne wydatki. Proszę, nie używaj własnych czeków ani kart kredytowych. Później zajmiemy się zaksięgowaniem tego.

Maijorie posłusznie skinęła głową.

- Masz zostać u matki, dopóki do ciebie nie zadzwonię. Do tej pory nie kontaktuj się z nikim, nawet ze swoją najlepszą przyjaciółką. To może być bardzo niebezpieczne. Nie mogę zdradzić ci szczegółów, ale zaufaj mi.

- Zrobię tak, jak pan mówi. Obiecuję. - Maijorie wzięła pieniądze i zaczęła wpychać je do torebki. Na szczęście była to dość duża torba, a kiedy

357

|

- Jezu Chryste! - jęknęła. Dochodziła już dziewiąta trzydzieści. - Będą za chwilę.

- Kto? - pisała Maijorie. - Och, panie Stone, co się stało? Stone zmierzył ją wzrokiem.

- Za niecałą godzinę pojawią się tu nasi wrogowie.

- Kto? - Wciąż nie mogła zrozumieć. - Rosjanie?

- Nie osobiście - stwierdził Stone. - Ich przyjaciele.
- Błogosławiona Maryjo. - Kobieta wyglądała na przerażoną i wstrząśniętą.

Stone po raz ostatni rozejrzył się po pokoju. Pospiesznie przejrzał biurka Anny i Taylora, zabierając z nich całą zawartość. Menu z baru o nazwie „McGillicuddy's” w Rockville; papier listowy z ateńskiego „Hiltona”; słownik turecko-angielski; podniszczony egzemplarz książki Czterdzieści dni Musy ~)agha. Stone wrzucił wszystko do pudła. Raz jeszcze zajrzył do szuflad v biurkach, aby upewnić się, że niczego nie przeoczył, po czym zwrócił się do swojej wiernej sekretarki.

- Moja droga Maijorie, może chciałabyś wybrać się na wakacje?
- Już miałam urlop - odparła. - Dwa tygodnie w sierpniu.
- To może chcesz wyjechać raz jeszcze? Co powiesz na wyspy? Albo na ftio? Byłaś już w Rio?
- Ale ja nie miałam szczepień.
- Jakich szczepień?
- Przeciw dyfterytowi. Malarii. Czy tam nie ma wielu chorób? Stone przewrócił oczami.
- W takim razie może lepiej wybierz się w jakiś zakątek naszego kraju. Dokąd chciałabyś pojechać?
- Mogłabym odwiedzić moją matkę na Florydzie.
- Gdzie mieszka?
- W Lakeland.
- W porządku. Masz jej adres i numer telefonu?
- Tak. Dzwonię do matki w każdą niedzielę. - Maijorie zapisała wszystko na kartce. Kiedy to robiła, Stone sięgnął do pudła i odliczył dziesięć tysięcy dolarów.
- Droga Maijorie, teraz chciałbym, żebyś wzięła te pieniądze i wykorzystowała je na bilet na Florydę i inne wydatki. Proszę, nie używaj własnych czeków ani kart kredytowych. Później zajmiemy się zaksięgowaniem tego.

Maijorie posłusznie skinęła głową.

- Masz zostać u matki, dopóki do ciebie nie zadzwonię. Do tej pory nie kontaktuj się z nikim, nawet ze swoją najlepszą przyjaciółką. To może być bardzo niebezpieczne. Nie mogę zdradzić ci szczegółów, ale zaufaj mi.
- Zrobię tak, jak pan mówi. Obiecuję. - Marjorie wzięła pieniądze i zaczęła wpychać je do torebki. Na szczęście była to dość duża torba, a kiedy

sekretarka wyjęła z niej grubą powieść Danielle Steel, pieniądze akurat się zmieściły. Stone kolejny raz spojrzął na zegarek.

- Lepiej już idźmy - powiedział. - Masz prosto stąd jechać na lotnisko i kupić bilet na pierwszy lot na Florydę, wszystko jedno: do Miami, Tampa czy Orlando. Stamtąd dotrzesz do Lakeland. Możesz to zrobić?
- Nie mam żadnych ubrań. Muszę jechać do domu i spakować się.
- Nie ma na to czasu. Kupisz sobie ubrania już na miejscu.
- Ale ja nawet nie mam szczoteczki do zębów.
- Kupisz sobie nową, do cholery! - Stone tracił cierpliwość. Znowu podniósł głos i Maijorie właśnie zamierzała powrócić do szlochania, kiedy Stone sięgnął do pudła i podał jej jeszcze trochę banknotów, nawet ich nie przeliczając.
- Zatrzymam rachunki - powiedziała Maijorie.
- Dobrze, zrób to. Zbieraj rachunki. - Ujął ją za rękę i odprowadził do drzwi.
- Daj mi jeszcze klucze, proszę - powiedział. - Dobrze się sprawiłaś.

Razem zeszli ze schodów. Stone uważnie rozejrzał się po parkingu, za

nim otworzył drzwi. Dopiero kiedy stwierdził, że nikt ich nie obserwuje, od prowadził Maijorie do Rockville Pike. Po kilku okropnych minutach udało mu się złapać taksówkę.

- Proszę panią zawieźć na lotnisko - powiedział kierowcy, po czym otworzył przed Maijorie drzwi.
- Pamiętaj, rób dokładnie tak, jak powiedziałem! Nie opuszczaj Lake land ani nie rozmawiaj z nikim, dopóki nie dam ci znać. Liczę na ciebie!
- Tak jest, proszę pana - odparła Maijorie, dając tym wyraz niekwestionowanej i niemal automatycznej lojalności, cechującej każdego zdyscyplinowanego żołnierza.

Taksówka odjechała. Stone pobiegł z powrotem do biura Karpetlandi tak szybko, jak potrafił. Ostatni raz błyskawicznie sprawdził pomieszczenie a potem zaniósł pudło do swojego samochodu. Opuścił parking chwilę przed dziesiątą. Pojechał na zachód, w kierunku rzeki Potomac, do parku od marylandzkiej strony Wielkich Wodospadów. W październikowy ranek park świeci pustkami. Stone zaparkował obok jednego ze stanowisk grillowych. Wyjął wszystkie banknoty, zgniótł papiery i ułożył wszystko w stosik. Pomacał kieszenie w poszukiwaniu zapalek i zaklął głośno, kiedy uświadomił sobie, że nie ma ani jednej. Postanowił użyć zapalniczki samochodowej, która dosko nale nadała się do

tego zadania. W ciągu kilku minut po rejestrach fikcyjne go przedsiębiorstwa o nazwie Karpetland pozostał tylko popiół.

Następnym przystankiem w podróży Stone'a był jego dom przy ulicy > Musiał wykonać dwa pilne telefony. Uznał dzwonienie z własnego aparatu

358

a nieostrożne, więc zastukał do mieszkającej naprzeciwko sąsiadki, statecznej gospodyni z Georgetown. Wyjaśnił, że z niewiadomych przyczyn jego telefon nie działa i spytał, czy mógłby zadzwonić z jej aparatu za granicę, sąsiadka oczywiście pozwoliła mu. Pochlebiało jej, że wspaniały i tajemniczy pan Stone prosił ją o cokolwiek.

Najpierw Stone zadzwonił do Taylora w Stambule. Tam była już późna odzina popołudniowa, ale na szczęście Alan wciąż tkwił w biurze, targując się z urzędnikiem administracji konsulatu o pokrycie kosztów zakwaterowania nowego oficera CIA, który miał przyjechać w grudniu. Taylor nie cierpiał ułatwiania takich spraw, a jego zastępca z niewyjaśnionych przyczyn był nieobecny już ponad półtora dnia.

- Mamy problem - powiedział Stone, kiedy usłyszał w słuchawce głos ilana. Nie zamierzał się przedstawiać.
- O co chodzi?
- Pewien dystrybutor dywanów zakończy działalność wcześniej, niż zamierzał.
- Kiedy?
- Dzisiaj. Prawdopodobnie właśnie w tej chwili spółkę przejmuje nowy zarząd. Firma macierzysta zamierzała przejąć interes dzisiejszego ranka.
- Naprawdę? - Taylor wiedział, że powinien czuć przygnębienie albo »rzynajmniej strach, ale w tej chwili towarzyszyło mu tylko dziwne wrażenie lęku. W końcu nastąpiło to, co nieuniknione. Mimo to wiedział, że powinien w jakiś sposób wyrazić swój niepokój. - O kurczę - powiedział.
- Właśnie tak. Ważne, abyśmy jak najszybciej zrobili wszystko co możliwe, by zlikwidować niedokończone sprawy. Chodzi mi głównie o pewnego szentelmena, twojego znajomego, który na stałe mieszka w Brooklynie.
- Tak, rzeczywiście, znam go dość dobrze.
- Czy wciąż jeszcze przebywa w twojej części świata?
- Z tego co wiem, tak. Widziałem się z nim kilka dni temu.
- Sugerowałbym, abyś natychmiast złożył mu wizytę i namówił na udanie się w podróż, najlepiej pierwszym dostępnym lotem.
- Na jak długo?

- Miesiąc, może dłużej. Potem może wracać do domu. Znajdź dla niego jakieś pieniądze. Potem wszystko ci zwrócę.

Stone rozłączył się. Taylor przeprosił urzędnika administracji mówiąc, że musi załatwić ważną sprawę, a problemem zakwaterowania zajmą się nazajutrz. Potem udał się do mieszkania Munzera w Aksaray. Wolał złapać tu-■ecką taksówkę niż brać któryś ze służbowych wozów.

Spóźnił się. Kiedy otworzył drzwi do domu Munzera, zobaczył krępego, młodego mężczyznę z biura bezpieczeństwa. Stał obok Uzbeka. Przyjechał w przeddzień z Londynu i od zastępcy Taylora otrzymał adres bezpiecznego domu Munzera. Przez ostatnie piętnaście godzin próbował go przesu-

/r

r l

chać. Teraz stał nad starszym Uzbekiem (niczym zastępca szeryfa strzegąc) cennego świadka.

- Allah sukur! - powiedział Munzer na widok Taylora. - Dzięki Bogu że jesteś!

- Kim pan jest? - spytał młody mężczyzna. Rękę wsunął pod marynarkę, jakby sięgał po broń.

- Nie twój zasrany interes - odparował Taylor. - A coś ty za jeden? Oficer otworzył portfel i pokazał jakąś odznakę i legitymację CIA. Wy

glądał na takiego, który do poduszki najchętniej czyta pismo „Broń i amuni

- To dla mnie gównem znaczy - powiedział Taylor. - Takie zabawki moż na sobie kupić w supermarkecie.

- Mam gdzieś to, co myślisz! - warknął oficer. Zrobił krok w stronę Taylora, ale Munzer wysunął się przed niego, wyciągając rękę do Alana.

- Proszę, mój przyjacielu. Ten człowiek mówi o tobie tyle kłamstw Okropnych kłamstw. Musisz mu wyjaśnić, że się myli.

- Co ci powiedział?

- Wczoraj przyszedł tu do mojego domu i mówi, że jest twoim przyjacielem, więc powiedziałem mu trochę. Ale dzisiaj zaczął opowiadać o tobie kłamstwa. Mówi, że nie nazywasz się Goode, tylko Taylor. W porządku. Nii ma sprawy. Rozumiem, że tak trzeba w szpiegowskim interesie. Potem mówi że naprawdę nie pracujesz dla agencji i że wymyśliłeś ten wielki amerykański plan wyzwolenia Turkiestanu. Mówi, że nikt nic nie robi dla Turkiestanu) i żeby o wszystkim zapomnieć. Ale ja mu na to, że nieprawda. To wielki kłamstwo. Mój przyjaciel, pan Goode, obiecał mi. CIA nie może znowu zła mać słowa danego ludowi Turkiestanu. To niemożliwe.

- Chodź ze mną, Munzer - powiedział Taylor, biorąc Uzbeka za ramię. Wszystko ci wyjaśnię. Spakuj trochę ubrań do walizki, resztę powiem ci w drodze na lotnisko.

- Nie tak szybko - odezwał się oficer służb bezpieczeństwa, wyciągając pistolet z kabury pod pachą. - Żaden z was nigdzie nie pójdzie.

- Odłóż broń. - Taylor nie pomyślał wcześniej, że powinien zabrać je den ze swoich rewolwerów. - Ozy wiesz, do kogo mówisz? Jestem szefem bazy w Stambule. Przebywasz na moim terenie.

- Już nie.

- A to co ma znaczyć?

- Od wczoraj szefem bazy jest twój zastępca. Działam na jego zlecenie.

- Ten mały gnojek? - zachnął się Taylor.

Munzer, do którego wszystko powoli zaczynało docierać, wydał niski jęł

- A co z Turkiestanem? - powiedział. - Co będzie z moim drogim tui kiestańskim ludem?

- Zamknij się! - przerwał mu oficer.

cja .

A

Okrągła twarz Munzerapoczerwieniła, a jego migdałowe oczy zwężyły się. Wśród Uzbeków obowiązywało niepisane prawo traktowania starszych z szacunkiem. Ten źle wychowany, młody Amerykanin obraził nie tylko Munzera Ahmedowa, ale też ducha Uzbekistanu. Staruszek zacisnął dłoń w pięść i przez chwilę wydawało się, że zamierza rzucić się na oficera.

- Spokojnie, Munzer - powiedział Taylor.

Uzbek zwrócił się do niego z błaganiem w oczach.

- Powiedz mi, że ten człowiek kłamie. Powiedz, że Turkiestański Ruch Wyzwolenia jest prawdziwy.

Taylor nie odezwał się. Nie mógł już dłużej kłamać.

- Powiedz mu to, proszę. - Duża głowa Munzera znowu zaczęła się kiwać, jakby ktoś ją trącił. - Nie łam serca Munzera po raz drugi w ciągu jednego życia.

Taylor wciąż milczał. Uzbek patrzył na niego najpierw błagalnie, potem niepewnie, a w końcu ze złością. Twarz poczerwieniła mu jeszcze bardziej i zaczął z goryczą przeklinać w swoim ojczystym języku.

- Posłuchaj mnie, Munzer. Nie sprzeciwiaj się temu oficerowi. Nie ponosisz winy za to, co się stało. Bądź z nim szczery. Odpowiedz na wszystkie pytania, które ci zada on i jego przyjaciele, a wszystko się ułoży. Ty nie zrobisz nic złego.

Munzer jednak ledwie go słyszał. Nie przestawał wyrzucać z siebie uzbeckich przekleństw.

Taylor następnego dnia został formalnie wysłany na urlop i kazano mu wracać do Waszyngtonu. Zanim po raz ostami opuścił konsulat, jego zastępca poprosił o rozmowę. Przepraszał go nieszczerze, co tylko dowodziło, jak bardzo jest zadowolony z tego, że udało mu się zająć miejsce Taylora. Coś jednak skłoniło zastępcę do wyjawienia swojemu byłemu szefowi jeszcze jednej wiadomości. Być może zrobił to dlatego, że naprawdę zainteresowała go operacja Taylora, a może chciał tylko zakończyć sprawy byłego szefa. Uznał, iż Taylor i jego przyjaciele powinni wiedzieć, że sowiecki konsul i jego żona zostali nagle odwołani do Moskwy, a specjalna grupa łowców głów KGB zainstalowała się w łososiowym pałacu przy alei Istiklal. Taylor tylko pokiwał głową. Stone w końcu zagrał ostatnią kartę.

Pozostałe telefony, które Stone wykonał tego dnia, dały równie mierne efekty. Próbował skontaktować się z Anną, ale wymeldowała się z paryskiego hotelu przed tygodniem. Asystent kierownika poinformował go, że udała się do Deauville na krótkie wakacje. Uważał to za bardzo dziwne - jechać na wybrzeże Normandii w październiku - ale dodał, że Amerykanka zostawiła

adres i numer telefonu hotelu, w którym zamierzała się zatrzymać. Stone zadzwonił tam i poprosił o połączenie z panną Morgan. Nikt o tym nazwisku nie figurował na liście wynajmujących. Wtedy spytał o Annę Barnes. Owszem, odparł recepcjonista, ta pani zatrzymała się w ich hotelu, ale akurat nie ma jej w pokoju. Stone zostawił swoje nazwisko i powiedział, że zadzwoni później.

Ostami telefon wykonał do Franka Hoffmana w Atenach. Nagrana na taśmę wiadomość informowała, że wszystkie rozmowy przyjmowane są przez asystenta Hoffmana, niejakiego pana Panosa. Stone zadzwonił do niego i bardzo stanowczym tonem spytał, gdzie Hoffman.

- Dzwoni pan z ambasady? - spytał pan Panos.
- Z wyższego szczebla, z Waszyngtonu - odparł Stone.
- Powiem panu to samo, co powiedziałem dziś ambasadzie - odparł Grek. - Pana Hoffmana nie ma. Wyjechał. Jest w podróży.
- Dokąd się udał?
- Pojechał do Arabii Saudyjskiej. Na pewno pan wie, że pan Hoffman ma saudyjski paszport dyplomatyczny.
- Proszę przypomnieć mi, na jakie nazwisko jest ten paszport.
- Rashid al-Fazooli.
- A co z irańskim dżentelmenem, który pracował z panem Hoffmanem? Nazywa się Ascari. Wie pan może, gdzie on przebywa?
- On także wyjechał.
- Dokąd?
- Z powrotem do Teheranu.

- Co się stało?
- Pan Hoffman go zwolnił. Bardzo się rozgniewał.
- Dlaczego?
- Nie jestem pewien, czy powinienem panu mówić.
- Owszem - powiedział Stone cierpko. - Powinien mi pan powiedzieć. Pan Hoffman byłby bardzo niezadowolony, gdyby pan tego nie zrobił. - Jego głos miał w sobie coś hipnotycznego, co wymagało traktowania Stone'a z szacunkiem, nawet przez obcych.
- Pan Ascari chciał więcej pieniędzy - wyjaśnił Grek zniżając głos, choć rozmawiali przez telefon.
- Chciał zostać wicedyrektorem spółki arabsko-amerykańskich konsultantów do spraw bezpieczeństwa i otworzyć biuro w Teheranie. Ale pan Hoffman nie zgodził się.
- I co się potem stało?
- Ascari próbował wyrównać rachunki, ale Grecy się dowiedzieli. Powiedzieli panu Hoffmanowi, że ten Ascari to zła nowina.
- Jak to?
- Zła nowina. Zgniły owoc.
- Skąd to wiedzą? Czy coś przeszkrobał?

362

- Sfotografowali go, jak wchodził do radzieckiej ambasady w Atenach powiedzieli o tym panu Hoffmanowi. Dlatego właśnie go zwolnił. Potem »an Hoffman bardzo szybko wyjechał. Zdecydował, że powinien teraz odpędzić klientów w Arabii Saudyjskiej. Czy mam mu przekazać jakąś wiadomość?
- Nie. Nie będzie wiadomości. Jestem pewien, że pan Hoffman da sobie i wietnie radę.

Stone nadal przychodził codziennie rano do pracy, chowając się w swoim niewielkim gabinecie ukrytym w labiryncie Langley. W dzień po wielkim nalocie wiele osób z biura bezpieczeństwa wpadało, aby zapytać o brakujące akta Karpetlandu. Stone twierdził, że nie ma pojęcia, o co im chodzi. Tego samego popołudnia zatrudnił prawnika z firmy w Waszyngtonie, której główni partnerzy, tak jak on, byli fanatykami tenisa i squasha i być może właśnie dlatego mieli opinię szczególnie zawziętych negocjatorów. Prawnik poradził Stone'owi, aby nic nikomu nie mówił. Wszystko miało ułożyć się samo. Ta porada kosztowała dwieście pięćdziesiąt dolarów za godzinę, po obniżonej stawce, ponieważ Stone zaliczał się do przyjaciół.

Sam inspektor generalny odwiedził go kilka dni później. Wyglądał na bardzo zakłopotanego. Powiedział, że odmówił udziału w tej sprawie ze względu na swoją długoletnią przyjaźń ze Stone'em, ale chciał go poprosić o jedną przysługę. Dyrektor planował poprosić francuską policję, aby wydała nakaz aresztowania Anny Barnes, chyba że Stone zgodziłby się pomóc ją odnaleźć.

- Co za nieprzyjemna sprawa - przyznał Stone. Oczywiście, zgodził się pomóc. Zapisał adres i numer telefonu hotelu w Deauville, w którym zatrzymała się Anna. Następnego dnia rano wracała już do domu w towarzystwie agentki z paryskiej bazy.

Potem na wiele dni wszystko ucichło. Wydawało się, że mędrzy z siódmego piętra zaszli tak daleko, że nie wiedzieli, jaki ma być następny ruch. Słabiej mieli pojęcia, co się odsłoni, jeżeli zbyt mocno pociągną za ten sznurek. Kilku spośród najbardziej lojalnych przyjaciół Stone'a dzwoniło do niego do domu wieczorami i spotykało się z nim na parkingach, aby przekazywać mu wszelkie plotki, jakie usłyszeli.

Z tego, co mu powiedzieli, Stone wywnioskował, że operacja została skompromitowana nie tyle przez jeden nagły przeciek, ile przez stały strumień informacji. W połowie lata biuro dyrektora nakazało inspektorowi ge-

363

neralnemu zbadanie plotek z głównej siedziby Radia Wolność w Monachium, dotyczących nielegalnej operacji CIA w sowieckiej części Azji Środkowej. Początkowo dochodzenie prowadzono bardzo powierzchownie - ludzie rozpatrywali różne wnioski, przeglądali niezbędne akta, ale za bardzo nie starali się dokopać do prawdy. W którymś momencie jednak sprawy przybrały poważniejszy obrót. Podobno jakiś ambitny oficer po czterdziestce, którego niedawno przeniesiono do biura inspektora generalnego po dość pechowej służbie w Ameryce Łacińskiej, dowiedział się o dochodzeniu, zaczął zadawać pytania i wywnioskował, że jak słusznie podejrzewał, nie było wcale mowy

o wnikliwym zbadaniu sprawy. Wywęszył możliwość podlizania się tym z siódmego piętra i wspominał o dochodzeniu jednemu ze szklanookich specjalnych asystentów Hinkle'a.

Być może nawet wtedy udałooby się zatrzymać wszystko na takim etapie, na jakim to pozostawiono, gdyby ów specjalny asystent nie powiedział nic swojej dziewczynie, która należała do personelu komisji wywiadu wewnętrznego. Powtórzyła wszystko szefowi, który zapytał dyrektora podczas swojego wrześniego wystąpienia w sprawie budżetu uzupełniającego na rok tysiąc dziewięćset osiemdziesiąty, czy agencja prowadziła tajną operację w sowieckiej części Azji Centralnej. To wystarczyło. Od tego momentu pełną parą ruszyła machina oficjalnego śledztwa i nieubłagane parła naprzód.

Taylor wrócił do kraju ze Stambułu w tydzień po wielkiej wpadce. Odczuwał kompletną obojętność wobec spraw agencji - przeszłych, teraźniejszych i przyszłych - i już zaczynał zastanawiać się nad nową karierą. Żaden z jego pomysłów nie wykroczył poza standardowe pomysły spalonych agentów w CIA: mógł zostać pisarzem; otworzyć restaurację w północnej Kalifornii; zająć się ocenianiem ryzyka na Wall Street i zarobić kupę pieniędzy. Najbardziej wyraźną miarą jego zmęczenia był fakt, że w samolocie do Waszyngtonu poważnie zastanawiał się, czy nie powinien zadzwonić do swojej byłej żony. Starał się nie myśleć o Annie. Czuł, że wyrządził jej wielką krzywdę, ale nie miał pojęcia, jak to naprawić.

Nie miał ochoty na spotkanie ze Stone'em, lecz wiedział, że musi się na to zdobyć choćby po to, by przekazać informacje od swojego zastępcy o nagłym usunięciu ze Stambułu Kunajewa, sowieckiego konsula generalnego

1 jego żony, Silwany. Jeszcze tego samego wieczoru po przyjeździe zadzwonił na domowy numer Stone'a i umówił się, że następnego dnia przyjedzie do niego do Georgetown na śniadanie.

Stone przyjął Alana ze zwykłą uprzejmością. Był to jeden z tych wspaniałych jesiennych dni w Waszyngtonie, zupełnie wiosenny, tylko powietrze wydawało się chłodniejsze, a niebo bardziej niebieskie. Żona Stone'a nakryła do śniadania w ogrodzie, który otaczały równo przyszczyżone żywopłoty

A -

364

• i

V jego końcu wznosił się stary murek z cegieł, który stał tam chyba od rządów federalistów. Ogród wyglądał jak miejsce gdzieś poza czasem, odgradzone od hałasu i komercji Georgetown.

Stone wcale nie wydawał się przygnębiony ostatnimi wydarzeniami. Przejawnie, wyglądał nawet na zadowolonego. U zmięczeniu kariery postrzegał siebie jako relikwii tego, co najlepsze i najtrwalsze w Ameryce, która tak szybko rozwinęła się podczas drugiej wojny światowej i po niej - a dokładnie, Centralnej Agencji Wywiadowczej. Fakt, że był obiektem ataków ze strony ówczesnego zarządu agencji - ludzi, których on uważał za amatorów i głupców - tylko utwierdzał go w tym, że ma rację i poprawiał mu samopoczucie.

Wcale nie przejmował się, że oskarżano go o sprzeniewierzenie się wartościom i instytucjom, które agencja miała chronić. Takie sformułowania były według niego wyłącznie kwestią punktu widzenia. Te akurat powstały na podłożu wzorca zupełnie odmiennego od tego, który kierował życiem i pracą Stone'a.

Taylor spokojnie przyjął serdeczne powitanie byłego szefa, ale nie potrafił odwzajemnić go ze swoim zwykłym entuzjazmem. Zbyt długo pragnął być jednym ze Stone'ów, ale tego ranka nie wiedział, czy było to jeszcze możliwe ani czy wciąż tego chciał.

- Trzymasz się jakoś? - zapytał gospodarz.

- Ujdzie - odparł Taylor. Wcale nie starał się ukryć niezadowolenia. Postanowił w ogóle przestać udawać cokolwiek.

- Jakoś to przetrzymasz, mój chłopcze! - oznajmił Stone. Taylor nie wiedział, co ma przetrzymać, więc nie odpowiedział. Chciał załatwić sprawę, z którą przyszedł, i wyjść.

- Muszę powiedzieć ci coś ważnego.

- Lubisz jajecznicę? - spytał gospodarz, jakby nie słyszał uwagi młodszego kolegi.

- Nie jadam jajek. Wystarczą płatki śniadaniowe.

- Płatki śniadaniowe? Nie jestem pewien, czy mamy jakieś. Pozwól, że zapytam żonę. - Podreptał do domu i przez chwilę rozmawiał z małżonką.

- Podobno mamy coś, co się nazywa Cheerios, tylko że są już dość stare. Mogą być?

Taylor skinął głową.

- Muszę powiedzieć ci coś ważnego - powtórzył.

Tym razem Stone go usłyszał.

- Mam nadzieję, że to dobra wiadomość.
- Chyba tak. Przewidziałeś to, więc sędzę, że to twoja robota.
- Przykro mi, aleja nic nie zrobiłem. O co ci chodzi? Masz. Poczęstuj się lepiej owocami. - Nałożył Taylorowi na talerz łyżkę jagód.
- Pamiętasz Kunajewa? Sowieckiego konsula generalnego w Stambule? On i jego żona tworzyli zabawną parę.

365

- Ach tak, znikająca madame Kunajewa.
- Odwołano ich do domu. Przypuszczam, że Sowieci zdjęli także Rawl-sa, ale nie mogłem już tego sprawdzić przed wyjazdem. Grupa z KGB pojawiła się w mieście, żeby posprzątać. Najprawdopodobniej dowiedzieli się, że naciągaliśmy ich i teraz próbują się dowiedzieć jak. Stało się dokładnie tak, jak przewidywałeś.

Taylor spodziewał się zobaczyć na twarzy Stone'a wyraz satysfakcji. Zamiast niego ujrzał zdumienie. Starszy mężczyzna próbował doszukać się sensu w tym, co właśnie usłyszał. Alan zastanawiał się, czy przypadkiem staruszkowi nie dokucza skleroza. Uznał, że powinien mu co nieco przypomnieć.

- KGB znalazło mikrofon w osmańskim krześle, które pojechało do Ałma Aty. Jak udało ci się to zaaranżować? Bardzo mnie to ciekawi.
- Słucham? Co takiego?
- W jaki sposób podsunąłeś to Rosjanom? Kilka miesięcy temu wspominałeś, że właśnie tak chciałbyś zakończyć całą operację. Chciałeś pomóc moskiewskiej centrali odkryć, że CIA założyła podsłuch w fotelu należącym do pierwszego sekretarza partii Kazachstanu i pozwolić im wydedukować, w jaki sposób tam się znalazł. Jak zdołałeś tego dokonać? W jaki sposób przekazałeś im wiadomość?

Stone pokręcił głową.

- Właśnie o to chodzi, że ja niczego im nie podsunąłem. Nigdy nie zagrałem tej karty, nie miałem czasu.
- To kto wyciągnął korek? - Do Taylora dotarło, że nie był to triumf Stone'a. - Jak Rosjanie dowiedzieli się, że w Stambule coś się święci?

Stone nalał sobie kawy. Nie zamierzał dać się ponieść emocjom, gdj było już po wszystkim.

- Podejrzewam, że odkryli naturę naszej gry w ten sam sposób, w jak dowiedziała się o niej połowa Waszyngtonu. Ci, którzy mieli trzymać język za zębami, zaczęli plotkować, depesze, które miały pozostać tajne, wcale takie nie były. Pewnie ktoś im jeszcze pomógł.
- Kto?
- Ten odrażający Irańczyk, Ascari.
- Skąd wiesz?
- Podobno Grecy sfotografowali go, jak wchodził do sowieckiej ambasady w Atenach. Wściekł się na Hoffmana.
- O Jezu. Jak wiele powiedział Rosjanom?
- Sądzę, że sporo. Chociaż pewnie nie zdradził nic na temat jego kuzynów przemytników. Oczywiście dla dobra interesów.
- Gdzie jest Hoffman?
- Zapadł się pod ziemię. Przypuszczam, że znowu jest na mnie wściekły

Stone upił tyk kawy i wrzucił do filiżanki jeszcze jedną kostkę cukru

Znikła z pluskiem.

366

- To źle - przyznał Taylor.
- Pewnietał. -Stone z determinacją starał się odzyskać równowagę psychiczną. - Choć mam wrażenie, że to już jest bez znaczenia. Skoro Kongres wie o wszystkim, dlaczego KGB miałyby nie wiedzieć? Zresztą chyba wszyscy nasi ludzie są już bezpieczni.
- Nie wszyscy - zaprzeczył Taylor. - Zapominasz o człowieku Anny. Tym Ormianinie.
- Rzeczywiście.
- Będzie miał problemy, kiedy zgłosi się po przesyłkę za kilka tygodni, zwłaszcza że dorzuciłeś do niej prezent od siebie. Przyskrzynią go.
- Przyznaję, że to bardzo prawdopodobne.
- Może powinniśmy odwołać dostawę Ascarięgo?
- Przypuszczam, że to niemożliwe. Przyjaciele Ascarięgo pewnie już są w drodze. Wątpię, czy udałoby się nam ich zawrócić, nawet gdybyśmy spróbowali.
- Możemy przynajmniej wysłać wiadomość Ormianinowi, ostrzec go, żeby trzymał się z dala od wyznaczonego miejsca.

- Co za okropny pomysł. Każda wiadomość to duże ryzyko. Wtedy moglibyśmy mieć niemal całkowitą pewność, że go złapią a tak ma przynajmniej jakąś szansą.

- Lepiej powiedz o wszystkim Annie. Dla niej to wiele znaczy. Będzie się denerwowała.

Stone spojrział na Taylora pustym wzrokiem pozbawionym jakichkolwiek emocji, który tak wiele osób brało za oznakę jego profesjonalizmu.

- Czy musimy jej mówić o czymkolwiek? - spytał. - Przecież to nie ma znaczenia, a ona na pewno zechce zrobić coś głupiego.

Zaczął smarować tost masłem.

Taylor popatrzył na niego ze zdumieniem.

- Chyba się przesłyszałem..

- Nie przesłyszałeś się. Po prostu robisz się zbyt sentymentalny.

- Mam cię gdzieś.

Ostatnie chłodne stwierdzenie oldboya sprawiło, że coś w Taylorze pękło.

- Nawet gorzej - powiedział Stone. - Nie tylko sentymentalny, ale też nieuprzejmy i nielojalny.

- Mam cię gdzieś - powtórzył Taylor. Zauroczenie osobą Stone'a minęło zupełnie. W tej chwili czuł, że ma dość byłego szefa i jego tajemniczych sprzymierzeńców - ludzi, którzy dla siebie tylko znanych szlachetnych celów stale wykraczali poza ramy moralnej równowagi. Wstał od starannie nakrytego stołu tak gwałtownie, że filiżanki i talerzyki zabrzęczały.

- Siadaj - powiedział Stone.

- Przykro mi, ale nie zamierzam dłużej tego znosić. Znajdź sobie kogoś innego.

- Siadaj - powtórzył gospodarz wibrującym głosem, który przez tak wiele lat robił wrażenie na jego podwładnych. Taylor zignorował go.

- Wychodzę - oznajmił. - Jeżeli nie powiadomisz Anny o sytuacji z Ormianinem, możesz mnie od tej chwili uważać za swojego wroga. Ostrzegam cię, że to ci się nie opłaci. Mną nie możesz sterować do woli tak jak swoimi przyjaciółmi z klubu. Potrafię być równie przebiegły jak ty i gównu mnie obchodzi, co się ze mną stanie. A jeszcze mniej, co będzie z tobą. Lepiej powiedz jej o wszystkim, rozumiesz?

Stone nie odpowiedział, ale Taylor zrozumiał, że osiągnął to, co chciał. Jeżeli mógł liczyć na cokolwiek, to właśnie na to, że Stone zawsze wiedział, co leży w jego interesie i robił wszystko w tym kierunku.

Alan przeszedł przez kamienne patio sąsiadujące z ogrodem i przez furtkę wyszedł na ulicę. Nie był to

dla niego żaden początek. W przypadku człowieka w wieku Taylora i z jego temperamentem raczej nie było to możliwe. Wiedział jednak, że, to już na pewno koniec.

Stone zaproponował Annie spotkanie w miejscu, w którym rozpoczęli swoją znajomość - w „Holiday Inn” przy międzystanowej numer dwieście siedemdziesiąt.

- Jak to miło z twojej strony - powiedziała Anna zgryźliwie, kiedy usłyszała jego propozycję. Przypominało jej to typowy plan Stone'a. Zastanawiała się, czego staruszek chce od niej tym razem, ale kiedy znalazła się w motelowym pokoju ze zbyt jaskrawymi tapetami i tanimi meblami, poczuła coś ni kształt nostalgii. Miała wrażenie, że przyciągnęła ją jakaś siła podobna do tej, która skłania ludzi do uczestniczenia w zjazdach szkolnych; nie obchodziło ich już ani tamto miejsce, ani ludzie, po prostu chcieli sprawdzić, jak daleką drogę przebyli.

Park przemysłowo-handlowy przy międzystanowej wyglądał dokładnie tak samo jak przed rokiem, tylko trochę się rozrósł. Otwarto nową meksykańską restaurację i kilka biurów mieszczących nowe firmy, które powstały przy federalnym żłobie. Wiele z nich specjalizowało się w dziedzinie obrony, a zwłaszcza w najnowszej obsesji znanej jako „K-trzy W”, czyli komunikacja, komenda, kontrola i wywiad. Jedną z nowo powstałych firm, mającą siedzibę dokładnie naprzeciwko „Holiday Inn”, oferowali „wzmocnione” faksy, dzięki którym można było nadawać wiadomości nawet po wojnie atomowej. Maszyny te miały kosztować po kilkaset tysięcy dolarów.

368

w, ale, jak lubili mawiać szefowie firmy, narodowe bezpieczeństwo nie miało ceny.

Kiedy Anna przybyła na miejsce, Stone czekał już na nią w motelowym pokoju. Rok temu wydawał jej się niezwykle tajemniczą postacią. Teraz miał wrażenie, że zna go równie dobrze jak własnego ojca, a nawet lepiej. Z jego twarzy zniknął wyraz wielkiego zmęczenia, który Anna dostrzegła przy pierwszym spotkaniu. Zastąpił go wyraz pustego zadowolenia, przypominający miny emerytów spędzających czas na grze w golfa na Florydzie.

- Wszystko się jakoś uspokoi - powiedział, kiedy uścisnęli sobie łonie.
- Nie jestem tego taka pewna. Zadają zbyt wiele pytań i znajdują więcej odpowiedzi.
- Tak muszą. Chcą zrobić z tego przedstawienie. Kiedy skończą, dojdzie do nich, jak dziwaczne są te sprawy dla wszystkich w nie wmieszanych. >Jie tylko dla mnie czy dla ciebie, ale także dla dyrektora, prezydenta, a nawet dla kilku członków Kongresu. W końcu pójdą po rozum do głowy i cała prawda powoli ucichnie. Uwierz mi na słowo. Już to wcześniej widywałem.
- Tak myślałam.
- Jakie pytania ci zadawali?
- Mam o tym z nikim nie rozmawiać.
- Och, oni zawsze tak mówią. Chcą odizolować ludzi od siebie i zastraszyć ich. Nie przejmuj się tym. Mnie na pewno możesz powiedzieć. Przecież wiem o wszystkim.
- Chcieli, żebym powiedziała im o operacji w Armenii. Znali szczegóły wszystkich pozostałych.

- Co im powiedziałaś?
- Niewiele. Mój prawnik radził, żebym się wstrzymała, przynajmniej na razie.
- Prawnicy zawsze tak mówią.
- Nie mam ochoty rozmawiać o śledztwie. Nie przez prawników, ale dlatego, że ta sprawa mnie przygnębia. Przyszłam tu tylko dlatego, że Alan twierdził, iż masz mi coś do powiedzenia.
- Widziałaś się z Alanem?
- Nie. Nie chcę się z nim spotykać. Rozmawiałam z nim krótko przez telefon.
- Czy mówił ci, o co chodzi?
- Nie. Powiedział tylko, że to ważne. - Spojrzała na Stone'a. Wyglądał jak przedsiębiorca z Palm Beach. Wiedziała, że ma złe wieści.
- To coś, co dotyczy ciebie - powiedział miękko.
- Przestańmy owijać wszystko w bawełnę. Chodzi o tego ormiańskiego lekarza, tak?
- Tak.

369

- Co się z nim stało?
- Jeszcze nic, ale wygląda na to, że Sowietci sporo wiedzą o naszych operacjach. Prawdopodobnie twój przyjaciel Antoyan zostanie zatrzymany gdy spróbuje odebrać od nas przesyłkę.

Anna pokręciła głową tak jakby chciała z siebie strząsnąć to, co właśnie usłyszała, ale słowa Stone'a wisiały w powietrzu. Chwilę trwało, zanim połączyła je ze wspomnieniem tamtego mężczyzny, z jego brązowymi oczami i stanowczym głosem. Pożegnała się z nim w Paryżu kilka tygodni temu. Pierwszy raz, kiedy przyszli do niej w Deauville, Anna miała ochotę płakać. Ale nie teraz, nie w obecności Stone'a. Z trudem zapanowała nad emocjami. Chciała zrobić coś, aby pomóc ormiańskiemu lekarzowi. Odchrząknęła.

- Jak Rosjanie się dowiedzieli?

- Nie jestem pewien - powiedział Stone niezupełnie zgodnie z prawdą. - Może złapali jednego z przemytników Ascariego i ten do wszystkiego się przyznał. Może sam Ascari sypnął. Sama zawsze mówiłaś, że na nim nie można polegać. Prawdę mówiąc, nie wiem co się stało. Słyszałem, że KGI zdjęło swoich ludzi w Stambule i prowadzi teraz dochodzenie.

- Jak możemy pomóc Antoyanowi?

- Niestety, to niemożliwe.

- Bzdura. Wiedziałaś, że tak powiesz, ale to nie może być prawda. Musi istnieć jakiś sposób.

- Nie. Rozmawiałem na ten temat z Hoffmanem. Przesyłka już opuściła Iran. Jest w drodze. Nie ma sposobu, żeby ją zawrócić.

- A baza w Moskwie? Z kwatery głównej mogą wysłać depeszę, żeby ktoś pojechał do Armenii i ostrzegł Antoyana.

- Dyrektor nigdy się na to nie zgodzi. Dlaczego niby centrala miałaby nam pomagać? Zresztą tak czy inaczej, nic to nie da. Może ty byś się lepiej poczuła, ale twojego człowieka naraziłoby to na większe niebezpieczeństwo

- Dlaczego? Dlaczego moskiewska baza nie może przekazać prostej wiadomości, na litość boską? Dlaczego wszystko, co oczywiste, zawsze jest nie możliwe?

- Ponieważ wszyscy nasi oficerowie w Moskwie są spaleni, moja droga. Sowietci wiedzą o wszystkich, co do jednego. Każdy, kto pojedzie do Erewanu, będzie pod ścisłą obserwacją już od chwili, gdy opuści Moskwę. Tylko pogorszyłoby sytuację twojego ormiańskiego przyjaciela. Sowietci uznają, że jest on agentem, a nie tylko młodym dysydem, któremu udało się oczarować nadgorliwą młodą agentkę wywiadu.

Ostatnia uwaga Stone'a sprawiła, że Anna umilkła. Miała ochotę znowu myśleć go, zerwać z jego twarzy tę maskę bez szwów, ale wiedziała, że to, co powiedział, było prawdą. To ona ponosiła odpowiedzialność za zwerbowanie nie Ormianina. Nie mogła prosić ani Stone'a, ani nikogo innego o naprawienie tego, co się nie udało. Sama musiała znaleźć rozwiązanie, bo to był j<

370

problem. Stone mógłby bez końca kluczyć i wozić ją na moralnej karuzeli.)na jednak nie zamierzała dać się przypiąć do tego samego krzeselka co on.

- Muszę zaczerpnąć świeżego powietrza - powiedziała. - Przejdę się rochem.

- Pójdę z tobą.

- Nie. Chcę być przez chwilę sama. Muszę się zastanowić.

- Zaczekam tu na ciebie.

- Jak chcesz.

Nie było jej prawie godzinę. Szła poboczem, wzdłuż między stanowej, zupełnie obojętna na uliczny ruch. Ani na chwilę nie przestawała myśleć o sytuacji, w jakiej znalazł się Aram Antoyan i o tym, w jaki sposób mógłby uciec.

W pewnej chwili stwierdziła, że zastanawia się, jak postąpiłby jej ojciec, ale natychmiast wyrzuciła z głowy tę myśl. Wzór, do którego przymierzała siebie i swoje otoczenie przez większą część życia, już nie wystarczał. Jeszcze kilka miesięcy temu Anna pewnie zadałaby sobie pytanie: „Co zrobiłby Edward Stone? Jak z takim dylematem poradziłby sobie oldboye, złoci spadkobiercy roku czterdziestego piątego?”. Lecz teraz już знаła prawdę o nich. W ciągu tych lat, wznosząc w Klubie Ateńskim toasty na cześć swoich słynnych zwycięstw, porzucali małych ludzi w miejscach takich jak Laos czy Wietnam, w górach Kurdystanu i w Zatoce Świń. Mieli brzydki zwyczaj pozostawiania swoich agentów w zawieszaniu. Anna może była nowicjuską, ale nie zamierzała popełniać tego samego błędu.

Nowy pomysł przemknął jej przez myśl. Był jeszcze źle sformułowany, nieprzemyślany, śmiały w zamiarze, ale trudny - trochę tak jak osoba, którą Anna miała na myśli. Zastanawiała się, co w takiej sytuacji zrobiłby Alan Taylor. A raczej, co uznałby za właściwe, nawet gdyby od realizacji powstrzymał go brak entuzjazmu.

Ani na chwilę nie przestawała iść po nierównej nawierzchni pobocza. Przez cały czas wracała do dwóch głównych faktów: po pierwsze, to przede wszystkim przez nią ormiański lekarz mógł mieć kłopoty; po drugie, musiała go ostrzec, bo w przeciwnym razie, dziesiątego listopada, za niewiele ponad dwa tygodnie od tej chwili, wpadnie w pułapkę. W jej głowie zaczął kiełkować pomysł zrodzony z tych dwóch przesłanek. Trudno to było na razie nazwać planem. Jej myśli wydawały się zbyt mało precyzyjne. Jediną prawdziwą zaletą pomysłu była zuchwałość; nikt przy zdrowych zmysłach nawet nie brałby podobnego rozwiązania pod uwagę, a to, według osądu Anny, oznaczało, że plan ma pewne szanse powodzenia.

Kiedy wróciła do pokoju motelowego, Stone rozwiązywał krzyżówkę z „The New York Timesa”. Spojrzał na nią znad gazety z łagodnym błyskiem

371

i

w oku. Jak zwykle, wyglądał na całkowicie opanowanego, co Annę doprowadzało do szału. Przez dłuższą chwilę przyglądał się jej inteligentnej, młodej twarzy.

- Pojedziesz tam, prawda? - spytał
- O czym ty mówisz?
- Pojedziesz do Erewanu. Postanowiłaś ratować tego ormiańskiego lekarza na własną rękę.
- Dlaczego tak sądzisz? - zapytała Anna niezbyt pewnym głosem. Poczula, że się rumieni.
- To od razu widać, moja droga.
- Nie twój interes. Już dla ciebie nie pracuję. Choć raz jesteś poza kręgiem zainteresowanych.

- W porządku, ale jeżeli planujesz jakąś szaloną przygodę, powinnaś wysłuchać kilku rad.
- Mam dość twoich rad.
- No cóż, nie winię cię za to. Jednak lepiej posłuchaj tych, ponieważ mogą ocalić życie tobie i jemu.

Anna nie odpowiedziała, ale nie spuszczała wzroku ze Stone'a.

- Jeżeli tam pojedziesz, musisz to zrobić całkowicie na własną rękę. Trzymaj się jak najdalej od agencji. Rozumiesz? Trzymaj się też z dala od ambasady.
- O co ci chodzi? - Anna spojrzała na zegarek.
- O to, że nic, co CIA robi w Związku Radzieckim, nie jest bezpieczne. Nic. Nie ma czegoś takiego jak potajemna rozmowa w naszej ambasadzie, nawet w tak dobrze chronionych miejscach jak „bańki” i pokoje komunikacyjne. KGB spenetrowało wszystko. Dosłownie wszędzie założyli podsłuch. Pod ulicą Czajkowskiego mają sieć tuneli. Stamtąd mogą poprowadzić kable po ścianach budynków w górę, instalując mikrofony, a nawet miniaturowe kamery. Potrafią podłączać się do przewodów uziemiających w piwnicy i odczytywać połowę z elektronicznych sygnałów nadawanych z budynku. Słuchając dźwięków elektrycznych maszyn do pisania i cyfrówek - tylko i wyłącznie dźwięków - mogą odtworzyć większość tajnej korespondencji wychodzącej i napływającej do bazy. Nasi ludzie uważają Rosjan za głupków, prostaczków, którzy za dużo piją noszą źle skrojone garnitury. Ale w swoim fachu oni są najlepsi na świecie. Mówię ci, nic nie jest bezpieczne.
- W porządku. Czy chciałeś mi powiedzieć coś jeszcze?
- Zakładam, że chcesz tam pojechać jako turystką z normalną turystyczną wizą. Nie mam pojęcia, czy jesteś czysta, czy Sowieci przypadkiem nie odkryli faktu, że niejaka Anna Barnes z twoim numerem paszportu pracuje dla agencji. To możliwe, biorąc pod uwagę ruch i wymianę depech, jaka ostatnio miała u nich miejsce. Jednak możliwe, że jeszcze o tobie nie wiedzą. Najwidoczniej postanowiłaś podjąć takie ryzyko.

372

N

- Owszem.
- Muszę więc przestrzec cię, że czas ma tu wielkie znaczenie. Uzyskanie wizy turystycznej w radzieckim konsulacie trwa zwykle dwa tygodnie, jeżeli od razu złożysz podanie i wszystko pójdzie gładko, akurat będziesz miała czas, aby dostać się do Erewanu i ostrzec swojego przyjaciela. Musisz działać szybko. Sowieci żądają trzech fotografii, krótkiego podania i ksero-copii paszportu. Musisz też wykupić wycieczkę w Inturisie. Na szczęście, co miesiąc wysyłają całe grupy turystów do Armenii. Połowa Fresno odwiedziła Erewan. Z tym nie powinnaś mieć żadnych trudności.
- Co jeszcze? - Anna już nawet nie starała się udawać, że ma pojęcie, o czym mówi Stone.

- Proponowałbym, abyś zleciła agentowi biura podróży załatwienie wszystkich formalności. Tak właśnie postępują turyści. No i dzięki temu nie powiesz w radzieckim konsulacie niczego głupiego. Wizę dostaniesz pewnie dopiero na dzień przed wyjazdem. To jeden z ich dziecinnych zwyczajów. Pewnie sądzą, że podróżni bardziej się przez to denerwują i łatwiej nimi manipulować. Kiedy już dostaniesz wizę, zniknij. W agencji zorientują się dopiero po kilku dniach, że cię nie ma, a wtedy wszystko powinno już być na prostej drodze. Albo w lesie.

- Tak. - Anna wyjęła długopis i zaczęła robić notatki. - Mów dalej.

- Musisz zachowywać się tak, jakby rola, jaką przyjmujesz była skórą, z którą się urodziłaś. Jesteś turystką, po pierwsze, drugie i ostatnie. Nie jesteś szpiegiem, nigdy nie spotkałaś żadnych szpiegów, nawet nie wiedziałabyś, jak taki ktoś wygląda. Nie rób niczego, absolutnie niczego, co sugerowałoby, że znasz tajniki naszej branży. Nie rozglądaj się, czy ktoś cię śledzi, nigdy. Nawet w żaden z tych trudnych do zauważenia sposobów, jakich nauczyli cię podczas szkolenia. Nie patrz w sklepowe wystawy, obserwując odbicia innych ludzi. Nie odwracaj głowy, gdy przypalasz papierosa i nie sprawdzaj, co się dzieje za tobą. I pod żadnym pozorem nie baw się w gierki kontrwywiadu. Nie zmieniaj taksówek ani autobusów. Nie jedź metrem w kierunku przeciwnym do tego, w jakim powinnaś jechać. Nie zdejmuj słuchawki z widełek ani nie puszczaj wody do wanny, kiedy chcesz z kimś porozmawiać.

- Trochę wolniej. - Anna z trudem za nim nadążała.

- Słowem, nie zachowuj się jak szpieg. Sowietci są za mądrzy, żeby nie zauważyć tych trików. Każdy z nich zdradziłby, że wykonujesz jakieś tajne zadanie, a oni rutynowo biorą pod obserwację wszystkich, którzy wyglądają choć trochę podejrzanie. I nie zapominaj, że oni tam mają praktycznie nieograniczone siły. Znani są z tego, że potrafią jedną osobę śledzić piętnastoma samochodami. Nie staraj się ich pokonać. To niemożliwe. Jeżeli będzie ci się wydawało, że jesteś śledzona, zrezygnuj i wracaj do domu. Każda próba zgubienia ogona tylko pogorszy sprawę. Rozumiesz?

373

- Tak. Jeszcze jakieś rady?

- Już niewiele. Jeśli dostaniesz się do Erewanu, zachowuj się jak najzwyczajniej. Spotkałaś Antoyana w Paryżu. To przystojny, młody mężczyzna. Przyjechałaś do Armenii i pomyślałaś, że mogłabyś go odwiedzić. To najbardziej naturalna rzecz w świecie. Nie próbuj przekazywać mu zaszyfrowanych wiadomości przez telefon. Nie próbuj niczego. Zrób swoje i wyjeżdżaj. Z odrobiną szczęścia uda ci się.

- To wszystko?

- Jeszcze tylko jedno. Trzymaj się z dala od wszystkich w agencji, a zwłaszcza od Alana Taylora.

- Dlaczego akurat od niego?

- Ponieważ on czuje się winny. Jeżeli dowie się o tym, nie puści cię.

- To wprawdzie nie twoja sprawa, ale wiedz, że Taylor byłby ostatnią osobą, której powiedziałabym o czymkolwiek.

- Życzę ci powodzenia. - Ciepło uścisnęła jej dłoń. Anna odwzajemniła uścisk, ale na twarzy wciąż miała niepewną minę.
- Nie rozumiem cię - stwierdziła.
- Dlaczego? Przecież teraz powinnaś we mnie czytać jak w otwartej księdze.
- Niezupełnie. Wracając tutaj byłam niemal pewna, że kiedy powiem ci, co zamierzam, spróbujesz mnie od tego odwieść.
- Dlaczego tak sądziłaś?
- Ponieważ podczas pracy z tobą nauczyłam się jednego: zawsze masz jakiś inny kąt patrzenia na sprawy. Nie robisz ani nie mówisz niczego, co nie pasowałoby do jakiegoś większego planu. Nie mam pojęcia, co to jest tym razem i prawdę mówiąc, jest mi wszystko jedno.

Stone uśmiechnął się.

- Nie myliłem się co do ciebie, Anno. Miałem rację od samego początku. Jesteś naprawdę niezwykłą kobietą. Praca z tobą sprawiła mi wielką przyjemność.

Anna obudziła się nad północnym Atlantykiem z uczuciem, że się dusi.

Z trudem wracała do przytomności, jakby znalazła się pod wodą i próbowała wypłynąć na powierzchnię jak najszybciej, by starczyło jej powietrza. Strach minął dopiero, gdy uświadomiła sobie, że to tylko sen. Ten sam, który prześladował ją przez ostatnie dziesięć lat. Sceny z tego snu pochodzi-

374

r z kart ksiąg o historii imperium osmańskiego. Była to opowieść o szczególnie okrutnym sułtanie, który podejrzewał, że jedna z konkubin go zdradza. Przesłuchiwał wszystkie kobiety w haremie. Kiedy żadna się nie przyznała, zarządził, że wszystkie kobiety z haremu, a było ich ponad dwieście, mają zostać utopione. Pojmano je, zawiązano w workach z kamieniami i wrzucono do Bosforu.

We śnie Anna za każdym razem spadała z Seraglio. Zanurzając się coraz głębiej, słyszała upiorny chór kobiecych głosów. Kiedy opadła na dno Bosforu, zobaczyła wielki podwodny las worków, każdy z ciałem kobiety, lekko hwiejący się z prądem. Anna przerażona płynęła ku powierzchni, patrząc jak z worków błagalnie wyciągają się ku niej ramiona. Jej się zawsze udawało, przedzierała się na powierzchnię wody w chwili, gdy wracała do jawy, ale sen przerażał ją za każdym razem. A tego dnia, w samolocie, w połowie drogi do Moskwy, wydawał się szczególnie potworny - sama zaszyła się w obciążony kamieniami worek i spadała z każdą sekundą głębiej w najgłębszą itchłań.

Anna zrobiła wszystko tak, jak radził Stone. Uzyskała wizę w radzieckim konsulacie w ciągu przepisowych dwóch tygodni. Zarezerwowała najkrótszą możliwą wycieczkę z oferty Inturistu: ośmiodniową podróż z krótkim postojem w Moskwie i przelotem jeszcze tego samego dnia wieczorem do Erewanu. Trzy dni w Erewanie, trzy w Tbilisi, potem z powrotem do Moskwy i do domu. Program był dość napięty, ale możliwy do realizacji. Anna wyjechała z Nowego Jorku po południu siódmego listopada. Oznacza-

0 to, że w Moskwie miała lądować w południe ósmego listopada i złapać lot do Erewanu. To dawało jej cały następny dzień, dziewiątego listopada, na odnalezienie doktora Antoyana.

Pierwszą falę strachu poczuła jeszcze na lotnisku Kennedy'ego, kiedy oddając walizkę stwierdziła, że dostanie ją z powrotem dopiero w Moskwie. Do odlotu zostało jej jeszcze półtorej godziny. Zachowuj się jak turystka, jowtarzała sobie. Spora grupka ludzi zebrała się wokół stoiska z gazetami

1 apteki, wszyscy zaopatrywali się w niezbędne do przetrwania rzeczy. Stała w kolejce kupujących dodatkowo dezodoranty, tampony, gumę do żucia, chusteczki higieniczne, pigułki na sen. Anna kupiła pół tuzina kolorowych pism, zakładając, że jeśli będzie zbyt zdenerwowana, aby skupić się na czytaniu książki, przejrzy sobie magazyn. Jednak kiedy usiadła w holu dla oczekujących na swoje rejsy, z trudem przebrnęła przez „People”. Zamknęła oczy i usłyszała donośne rosyjskie głosy. Nieopodal pojawiła się grupa Rosjan. Wszyscy mieli na sobie skórzane kurtki i niebieskie obcisłe dżinsy. Palili amerykańskie papierosy. Cechował ich jakiś nieokreślony prymitywizm, jak amerykańskich robotników w latach pięćdziesiątych. Może byli sportowcami. Dlaczego niby mieli nie zachowywać się hałaśliwie? W końcu mogła to być ich ostatnia szansa.

375

i, •

Anna na szczęście dostała miejsce przy oknie, a poza nią w jej rzędzie nie siedział nikt. Oznaczało to, że nie musi silić się na żadne rozmowy. Po kolacji wzięła tabletkę nasenną z nadzieją że uda jej się odpocząć, ale przeżyła tylko kolejny bosforski koszmar. Potem już w ogóle nie zasnęła. Wsłuchiwała się w huk silników i myślała o Aramie, o jego muskularnym ciele i o tym, jak przytulił ją w drzwiach pokoju hotelu „Bristol” w Paryżu. Próbowała przeczytać jeden z magazynów, potem zabrała się za książkę Grahama Greene'a o klinice dla trędowatych w Afryce, co wcale nie poprawiło jej nastroju. W końcu podano śniadanie, ale kawa była słaba, a rogalik czerstwy, znak, że zbliżają się do Moskwy.

W pewnym sensie miała szczęście, że nie spała zbyt długo. Zmęczenie zagłuszyło jej niepokój przed pierwszym spotkaniem z radzieckimi urzędnikami przy kontroli paszportów. Nie odczuwała zdenerwowania aż do ostatniej chwili, kiedy podeszła do kabiny i strażnik graniczny KGB zmierzył ją stalowoniebieskimi oczami. Anna odwróciła wzrok, pewna, że jej spojrzenie ją zdradzi. Podała mężczyźnie swój paszport i wizę. Potem pozostało jej już tylko czekać. Kabina, podobnie jak wiele innych rzeczy w Związku Radzieckim została zaprojektowana tak, aby onieśmielać zwykłych ludzi. Oświetlono ją bezlitosną jarzeniówką przy której nawet najbardziej rumiana osoba wyglądała na bladą i zmęczoną. Ponad głową naprzeciwko oficera kontroli paszportów, zawieszono długie lustro. Było lekko nachylone, tak że oficer mógł obserwować pasażerów od tyłu - patrzeć, jak drżą im ręce albo kolana czy jak nerwowo stukają stopą w podłogę.

Anna spocone dłonie mocno zacisnęła w pięści. Oficer nie spieszył się studiować jej paszport, potem przyjrzał się jej twarzy, po czym przeniósł wzrok na wizę. Niechcący ich oczy spotkały się. Anna poczuła dreszcz, chociaż starała się z całej siły zapanować nad swoim ciałem. Oficer KGB raz jeszcze spojrzął w jej paszport, sprawdził jedną z kartek leżących przed nim i wstał z miejsca.

O Boże, pomyślała Anna. Wpadłam. Jestem na czarnej liście. Poczuła jak ogarnia ją potworny strach, niczym nagła zmiana w metabolizmie - jał czajnik z gotującą się wodą. Stone ostrzegł ją przed tym. Nie można było sprawdzić, czy Sowietci mieli ją na liście agentów wywiadu, dopóki nie znała się na ich progu, czyli w kolejce do kontroli paszportowej na lotnisku Szeremietiewo. Młody niebieskooki oficer powrócił w towarzystwie starsze go mężczyzny. Ten sprawdził paszport i wizę Anny, potem spojrzął na nią i szepnął coś do kolegi. Proszę, niech to się stanie szybko, pomyślała Anna. Niech ten starszy powie mi w po angielsku, z akcentem z Radia Moskwa „Przepraszam, panno Barnes, proszę ze mną”. Przynajmniej wtedy szybko byłoby po wszystkim.

Ale oni dopiero zaczęli. Młody urzędnik po raz ostatni zmierzył Anni wzrokiem, przymknął powieki i podstemplował wizę. Oddał jej dokumenty

376

Jego twarz nie zdradzała żadnych emocji. Anna poczuła dziwną lekkość; powstrzymywała się od chichotania, idąc w kierunku punktu odbioru bagażu. Dopiero kiedy wzięła walizkę i ruszyła do odprawy celnej, zrozumiała, że za wcześnie się cieszyła. Oczywiście, że przepuścili ją przez kontrolę paszportów, nawet jeżeli nie mieli wątpliwości co do jej tożsamości. Teraz znajdowała się w ich kraju, a zatem była ich własnością.

Pierwszy zwiastun katastrofy pojawił się od razu przy stanowisku biura Inturistu na lotnisku. Anna miała się tam udać od razu po przylocie, aby ustalić transfer na lotnisko Wnukowo, skąd jeszcze tego wieczoru miał odlecieć samolot do Erewanu. Kobiecie za biurkiem podała swoją książeczkę kwitów podróży. Ta studiowała ją przez dłuższą chwilę, sprawdziła zgodność z listą, po czym podniosła wzrok znad papierów. „Dlaczego jestem na tych wszystkich listach?” - zastanawiała się Anna. Poczuła, że znowu zaczynają dusić niepokoje.

- Chyba mam dla pani fajną wiadomość - powiedziała przedstawicielka Inturistu dziwnym, zbyt potocznym angielskim, którego uczone w rosyjskich szkołach językowych.

- To znaczy?

- Spędzi pani dodatkową noc w Moskwie. W hotelu „Inturist”, przy Placu Czerwonym, bez dodatkowej opłaty.

- Co pani chce przez to powiedzieć? - Anna była odrętwiała ze zmęczenia i stresu, ale wyczuła, że dzieje się coś niedobrego.

- To tylko taki żart. Chciałam powiedzieć, że mamy problem z pani lotem z Wnukowa do Erewanu. Lot numer osiemset trzydzieści siedem został opóźniony.

- O ile?

- Aż do jutra.

Tylko spokojnie, powiedziała Anna w myślach. Panuj nad sobą.

- Do której godziny?

- Może samolot odleci rano.

- O której?
- O dziewiątej, dziesiątej, jedenastej. Nie wiem. Może dopiero po południu.
- Co się stało? Czy nie ma żadnego innego rejsu? Muszę dostać się do Erewanu. Bardzo czekałam na tę wizytę.
- Przykro mi, ale to niemożliwe.
- Jak to niemożliwe? Mam rezerwację na dzisiejszy lot.
- Ten lot jest opóźniony - powtórzyła kobieta uprzejmie.
- Czy mogłabym porozmawiać z kierownikiem?

Anna natychmiast zrozumiała, że popełniła błąd. Rosjanie żywili wielką niechęć wobec Amerykanów i tylko czekali, aż ktoś podważy ich rangę, domagając się szczególnych przywilejów albo w inny sposób dowodząc, iż pro-

377

pagowany w Związku Radzieckim obraz ekspansywnego amerykańskiego kapitalizmu jest prawdziwy. Rozgrywkę należało uznać z góry za przegraną. Jedyнным przywilejem, który w Związku Radzieckim stawiał człowieka na wyjątkowej pozycji, było błogosławieństwo radzieckiego rządu, a tego Anna z całą pewnością nie miała.

- W takim razie - odparła urażona przedstawicielka Inturistu - może pani chyba porozmawiać ze mną, bo to ja jestem kierowniczką. Mogę powiedzieć, jak wygląda pani program. Dziś ma pani nocleg w hotelu „Inturist”. Jutro rano samochód Inturistu zawiezie panią na lotnisko we Wnukowie na pani lot do Erewanu, który jest opóźniony. Teraz samochód zabierze panią do hotelu. - Kobieta skinęła głową w kierunku tęgiego kierowcy, który nie zaproponował na Wet, że weźmie bagaż Anny. Dziewczyna zrozumiała, że jakiegokolwiek dalsze dyskusje są bez sensu. Do Erewanu miała wyjechać dopiero następnego dnia. Dziewiątego listopada.

Anna dostała pokój na siedemnastym piętrze hotelu „Inturist”, z widokiem na ulicę Gorkiego. Lampa na biurku nie działała; okno się nie otwierało; telewizor, owszem, był, ale zepsuty. Rozpakowała torbę i wzięła długi prysznic. Woda pryskała na całą podłogę, bo nie było zasłony prysznicowej. Anna porządnie wytarła wszystko do sucha. Tak działało to miasto, w przeciągu kilku godzin człowiek stawał się pionkiem. Jak kiedyś zauważył Stone, Moskwa przypominała wielkie pudło Skinera, stworzone w celu programowania pewnych zachowań - zarówno wśród gości z zagranicy, jak i wśród obywateli radzieckich.

Anna otuliła się ręcznikiem i zaczekała, aż wyschną jej włosy. Poważnie zastanawiała się, czy nie powinna zrezygnować. Sądząc po przedstawieniu na lotnisku, mogła przypuszczać, że jej tożsamość została rozszyfrowana. Jeszcze gorszym problemem było opóźnienie jej lotu do Erewanu. Gdyby nie udało jej się dotrzeć na czas do doktora Antoyana, cała wyprawa traciła sens. Postanowiła pójść na spacer, przewietrzyć się trochę. Już dawno minęło południe i w powietrzu wisiał listopadowy chłód.

Anna ruszyła aleją Marksa, patrząc na strażników przy Mauzoleum Lenina, stojących w błędnym popołudniowym słońcu. Jakaś świeżo poślubiona para - panna młoda w białej sukni ślubnej -

przyjechała, aby sfotografować się na tle mauzoleum. Co za żalosny start małżeńskiego życia, pomyślała Anna. Pewnie są członkami partii. Szła za młodymi aż do końca placu, do przystanku metra. Pod wpływem impulsu weszła na stację, zapłaciła pięć kopiejek i pojechała do przystanku Komsomolskaja. Tam przesiadła się w pociąg jadący okrężną drogą aż do Parku Kultury w drugiej części miasta, po czym linią czerwoną wróciła na Prospekt Marksa. Nie rozglądała się, czy ktoś jej nie śledzi ani nie starała się nikogo unikać. Po prostu próbowała

378

*» -

wczuć się w atmosferę nieznanego miasta, jak każdy inny turysta. Jednak gdy tak siedziała w prawie pustym wagonie metra, miała przyjemne uczucie, że nikt jej nie śledzi. To wystarczyło, aby w nocy mogła zasnąć.

Obudziła się wcześnie rano następnego dnia. Wyznaczonym samochodem pojechała na lotnisko Wnukowo, na południowy zachód od centrum miasta. Tam udała się do punktu informacyjnego Inturistu i musiała stawić czoło jeszcze jednej matronie o kamiennej twarzy. Nie mieli jeszcze żadnej wiadomości na temat godziny odlotu opóźnionego samolotu do Erewanu. Owszem, był jeszcze jeden lot do tego miasta za pięćdziesiąt minut, ale nie mieli wolnych miejsc na pokładzie. Był to lot specjalny.

- Wszystkie miejsca zarezerwowane - powtarzała kobieta. zaproponowała, aby Anna poszła do kawiarni i zjadła coś; obiecała, że kiedy samolot będzie gotowy, przyjdzie po nią. To przynajmniej przypominało jakiś plan. Jednak po godzinie i kilku filiżankach herbaty Anna wróciła pod drewniane drzwi biura Inturistu.

- Jeszcze nie, jeszcze nie — usłyszała od urzędniczki. Kobieta, widząc zmartwiony wyraz twarzy Anny, zlitowała się nad nią i pozwoliła jej usiąść na kanapie w biurze. Siedziało tam już dwoje Amerykanów - Dickran i Maij Kazanjian z Glendale. Oni także czekali na opóźniony lot do Erewanu.

- Mów mi Dick - poprosił Dickran Kazanjian, po czym dodał, zniżając głos. - Podobno to się stale zdarza w liniach Aeroflotu.

- Mówią że nie da się nic zrobić, można tylko czekać - dodała Maij. Ona przynajmniej wzięła ze sobą robótkę na drutach. Czekali razem przez cały ranek i część popołudnia. Minęła jedenasta, potem dwunasta i pierwsza. Dick i Maij zaproponowali wspólny lunch, ale Anna nie czuła głodu. Kilka minut po drugiej urzędniczka Inturistu powiedziała, że ma dobrą wiadomość. Lot numer osiemset trzydzieści siedem do Erewanu miał wkrótce być gotów.

- To znaczy o której? - spytała Anna.

- O piątej.

- Ale przecież właśnie o tej porze samolot miał odlecieć wczoraj. Dlaczego wczoraj nie powiedziano nam, że lot został odwołany?

- Lot osiemset trzydzieści siedem był opóźniony - stwierdziła przedstawicielka biura turystycznego. Jakiegokolwiek dyskusje nie miały oczywiście sensu. / '

Anna teraz zaczęła się martwić, w jaki sposób mogłaby nadrobić spóźnienie. Lot z Moskwy miał trwać niewiele ponad trzy godziny. W Erewanie dodatkowo trzeba było popchnąć zegarki o godzinę do przodu w stosunku do czasu moskiewskiego. Oznaczało to, że do Erewanu trafią trochę po dziewiątej wieczorem. Droga do hotelu i zameldowanie się mogło jej zająć kolejną godzinę. A zatem dopiero o dziesiątej mogła rozpocząć poszukiwania doktora Antoyana. O tej porze jego biuro na pewno było już zamknięte. Prócz tego miała tylko domowy adres jego rodziców.

379

Samolot w końcu wystartował o piątej trzydzieści. Annie wydawało się, że lot trwa bez końca. Tkwiła na środkowym siedzeniu, pomiędzy ormiańską kobietą po pięćdziesiątce i gadatliwym starszym Ormianinem, który przez cały czas głośno przedstawiał swoje opinie na różne tematy towarzyszkom podróży - również Annie, która nie rozumiała ani słowa. Starła się jakoś zabić czas, czytając powieść Grahama Greene'a o leprozorium, ale po jakimś czasie stwierdziła, że czyta w kółko tę samą stronę. Rosyjska stewardesa zaczęła rozdawać kawałki kurczaka zawinięte w folię spożywczą. Anna zrezygnowała ze swojej porcji. Jej sąsiedzi pochłonęli swoje kawałki i oddali stewardesie kości.

Zorientowała się, że są już blisko Erewanu, kiedy ludzie zaczęli tłoczyć się po jej stronie samolotu. Ormiańska kobieta siedziała z nosem przy szybie, ale cofnęła się, aby Anna też mogła coś zobaczyć. Na lewo od samolotu ciągnął się oświetlony światłem księżyca łańcuch szczytów górskich.

- Ararat? - spytała Anna. Kobieta pokręciła głową. Jeszcze nie. Kilka minut później Anna zauważyła, że sąsiadka znowu wygląda przez okno. Potem złożyła dłonie i wypowiedziała cichą ormiańską modlitwę.

- Ararat - powiedziała, wskazując przez szybę ośnieżony szczyt połyskujący w świetle księżyca, dziwnie wznoszący się spośród równin w kierunku nieba. Anna dostrzegła łzy w kąciakach oczu kobiety, patrzącej na ten symbol Armenii i jej męczeńskiej przeszłości. Oto jestem, pomyślała Anna. Przybyłam do narodu ofiar, w którym ludzie płaczą nawet w samolotach.

Z lotniska Anna pojechała samochodem razem z Kazanjanami, którzy z entuzjazmem rozmawiali o Ormianach powracających do domu. Wszyscy troje zatrzymali się w hotelu „Armenia” przy placu Lenina, w centrum miasta. Anna wyglądała przez okno, podczas gdy małżeństwo rozprawiało o kuzynie Simpadzie i wuju Garabedzie. Miasto wydawało się wysokie i zakurzone. Większość domów zbudowano z podobnego, różowawego kamienia. Powtarzały się w nich motywy architektoniczne - wysokie, zaokrąglone łuki o wdzięcznych kształtach ormiańskiego alfabetu. Wszystkie wyglądały tak jak litery „U” albo „M”.

Do hotelu dotarli o dziesiątej. Kazanjanowie zaprosili Annę na wspólną kolację w hotelowej jadłodajni, ale jakoś się wykręciła. Zanim zaniósł torbę na górę do pokoju, przygnębiającego, niewielkiego pomieszczenia z plamami pleśni na ścianach, minęła dziesiąta dwadzieścia. Zdecydowała, że najszybciej złapie Arama, jeśli od razu pojedzie do jego rodziców i spróbuje dowiedzieć się od nich, gdzie mieszka ich syn. Tylko jak? Głupotą byłoby branie taksówki spod hotelu o tak późnej porze. Każdy taksówkarz hotelowy na pewno był jednocześnie informatorem policji. Anna wyrzała przez okno pokoju na grę świateł i strumieni fontann na placu Lenina. Wciąż

spacerowało tam sporo osób, a to oznaczało, że na ulicach wokół powinno się kręcić trochę taksówek.

380

/ - *

Postanowiła ruszać natychmiast, nie tracąc ani minuty. Kartką z adresem rodziców Arama włożyła do torebki i wyszła. Kiedy opuszczała hotel, przy drzwiach dostrzegła grupą podejrzanie wyglądających mężczyzn. Jeden z nich ruszył za nią. Nie starał się nawet z tym kryć. Gdy zawołał coś, co brzmiało jak „kocham cię, słodziutka,” Anna poczuła ulgę. To tylko jakiś młokos próbujący poderwać dziewczyną z Zachodu. Jeszcze kilka takich odzywek usłyszała od ormiańskich nastolatków siedzących przy fontannach i palących papierosy. Na szczęście ściągnęła także na siebie uwagę kierowcy taksówki. Podała mu adres, który Aram zapisał także po ormiańsku. Taksówkarz pokiwał głową i zaczął mówić coś do niej w swoim języku. Zawiózł Annę na osiedle mieszkaniowe w pobliżu wieży radiowej z widokiem na całe miasto. Łamanym rosyjskim poprosiła, aby na nią zaczekał, ale kiedy mu zapłaciła, natychmiast odjechał.

Tuż po jedenastej zastukała do drzwi mieszkania na drugim piętrze. Siwowłosa mężczyzna w szlafroku, szurając kapciami, podszedł do drzwi. Pomyślała, że to pewnie ojciec Arama. Mieli podobne oczy. Mężczyzna przyglądał się Amerykance stojącej na progu jego domu, jakby była istotą z obcej planety.

- Antoyan Aram jest? - spytała.

- Niet - odparł ojciec. Już zamierzał zamknąć drzwi, kiedy z głębi mieszkania przycłapała jego żona. Miała wygląd intelektualistki, co także przypominało Annie Arama. Żadne z gospodarzy nie mówiło po angielsku, a rosyjski Anny pozostawiał bardzo wiele do życzenia. Na szczęście matka Antoyana jako tako mówiła po francusku, więc porozumiewali się w tym języku.

- Spotkałam syna państwa w Paryżu - wyjaśniła Anna. - Jesteśmy przyjaciółmi.

Pani Antoyan uśmiechnęła się, tak jakby dokładnie wiedziała, co to oznaczało.

- Przyjechałam do Erewanu z wizytą i chciałabym zobaczyć się z Aramem, skoro już tutaj jestem.

- Jestem pewna, że bardzo się ucieszy na pani widok - powiedziała matka. - Często wspomina Paryż i poznanych tam przyjaciół.

- Czy on mieszka razem z państwem? Podał mi właśnie ten adres.

- Och, nie. Teraz jest już dorosłym mężczyzną - wyjaśniła kobieta, znowu uśmiechając się po matczynemu. - Zbyt dorosłym, żeby mieszkać z matką i ojcem.

- Chciałabym zobaczyć się z nim jak najszybciej.

- Oczywiście. Może go pani odwiedzić jutro w szpitalu. Dam pani adres.

- Nie. Mam już ten adres. Prawdę mówiąc, chciałabym zobaczyć się z nim jeszcze dzisiaj, o ile to możliwe.

Taką prośbę pani Antoyan uznała chyba za zbyt bezpośrednią, bo zarumieniła się. Była prawie północ, a jakaś zupełnie nieznaną kobietą próbo-

381

wała wpełznąć się do łóżka jej syna. Najwidoczniej to, co mówili o Amerykankach, było prawdą.

- Dzisiaj jest może trochę za późno - powiedziała Ormianka, starając się zachować przyzwoitość.

Biorąc pod uwagę sytuację, w jakiej się znalazła, Anna nawet się ucieszyła, że pani Antoyan uznała ją za kobietę lekkich obyczajów. Starła się podtrzymać w niej to przekonanie.

- Bardzo proszę - powiedziała wzdychając. - Muszę się z nim zobaczyć. Czy mogłaby pani podać mi jego adres?

W tej chwili wtrącił się pan Antoyan, mamrocząc po ormiańsku coś, co brzmiało jak „daj tej zdzirze adres Arama i chodźmy w końcu spać”.

- Mogę pani dać ten adres - stwierdziła starsza kobieta. - Ale chyba nie zastanie go pani w domu.

- Dlaczego? Gdzie on jest?

- Z przyjaciółmi. Nie powinna pani zadawać takich pytań. Proszę lepiej spróbować jutro.

- Mimo to chciałabym dostać ten adres.

Matka Arama przewróciła oczami. Zapisała coś po dwóch stronach kartki papieru, po rosyjsku i ormiańsku i podała ją Annie.

- Bardzo dziękuję - powiedziała dziewczyna. - Okropnie za nim tęskniłam i nie mogę się doczekać, kiedy znowu go zobaczę. Może wszyscy razem wybierzemy się gdzieś na obiad.

- Może - powiedziała pani Antoyan, ale patrzyła na Annę z powątpiewaniem. Jej syn mógł sobie spać z rozwiązłymi Amerykankami, jeśli chciał, ale obiad to już zupełnie inna sprawa. W ormiańskich domach posiłek by świętością.

- Dobranoc - pożegnała się Anna, machając im ręką pożegnanie. Starszy pan Antoyan przyjrzał się jej nogom i mrugnął do niej, zanim zamknął drzwi.

Dziewczyna wróciła na główną ulicę. Złapanie taksówki o tej godzinie na przedmieściach było raczej niemożliwe, ale Anna podejrzewała, że w Erewanie, jak w większości radzieckich i wschodnioeuropejskich miast, przydatny kierowca zgodziłby się podwieźć ją za kilka rubli. Ruszyła z górki w kierunku większej stacji benzynowej, machając dłonią, aby jakiś przejeżdżający wóz zatrzymał się i zabrał ją z pierwszego, który się zatrzymał, zrezygnowała. Samochód prowadził przyciężki mężczyzna, najwyraźniej pod wpływem alkoholu. Wyglądał tak, jakby miał ochotę ją

przelecieć. W następnym wozie siedziała młoda para. Zamierzali wyminąć Annę, ale ta zaczęła machać tak gwałtownie, że zdecydowali się zatrzymać. Z desperacką miną po dała im adres zapisany przez matkę Arama.

- Pożauta! - poprosiła. Kobieta szepnęła coś do męża, który chwilę się zastanawiał, po czym skinął głową. Mieszkanie Arama znajdowało się bliżej

382

i • va

centrum, w pobliżu budynku opery. Para siedziała na przednich siedzeniach w milczeniu, najprawdopodobniej zastanawiając się, co obca kobieta robiła na przedmieściach Erewanu w nocy, i to w dodatku sama. Anna przez chwilę bała się, że zawiozą ją na posterunek milicji, ale po kwadransie zatrzymali się przed czteropiętrowym budynkiem przy wąskiej uliczce.

- Wasz adres - powiedziała kobieta, wskazując mieszkanie na trzecim piętrze.

- Spasiba, spasiba. - Anna podała kierowcy pięciorublowy banknot.

Wysiadła z samochodu i rozejrzała się wokół. Ulice były puste i ciche.

Miasto spało. Nie zauważyła, aby ktokolwiek ją śledził, ale, posłuszna radom Stone'a, w ogóle nie rozglądała się w poszukiwaniu prześladowców. Spojrzała w górę, w okna mieszkania Arama. Były ciemne. Może spał. Może spędzał czas w towarzystwie innej kobiety. To nie miało znaczenia. Ona musiała powiedzieć mu tylko dwa słowa: „Nie jedź”.

Uważnie obejrzała się najpierw w lewo, a potem w prawo, po czym weszła do budynku. Szła po schodach tak cicho, jak tylko mogła. Kiedy dotarła na trzecie piętro, na chwilę przystanęła na podeście, czekając, aż jej oczy przyzwyczają się do ciemności. Dopiero potem cicho zastukała do drzwi.

Nikt nie odpowiedział. Szybciej, wariacie, otwieraj. Zastukała głośniejszym głosem, starając się nie obudzić sąsiadów, a potem jeszcze głośniejszym. Usłyszała, jak piętro wyżej ktoś otwiera drzwi i w korytarzu zapaliło się światło. Aram jednak wciąż nie odpowiadał. Po raz ostatni głośno zastukała do jego mieszkania, po czym usiadła na schodach, aby rozważyć możliwości, które jej pozostały.

Już prawie postanowiła, że zostanie na tych schodach i zaczeka, aż Aram wróci do domu, ale zaraz wykluczyła taką możliwość, gdy drzwi po przeciwnej stronie holu otworzyły się i wyjrzała z nich wścibska kobieta w postrzępionym szlafroku. Uważnie przyjrzała się Annie. Początkowo Anna chciała zostać, nie zważając na starą sąsiadkę, ale po kilku minutach jej drzwi otworzyły się ponownie. Ta sama staruszka wykonała dłonią gest, jakby chciała, aby Anna odeszła. Dziewczyna podejrzewała, że jeśli tu zostanie, sąsiadka wezwie milicję.

W pośpiechu zapisała wiadomość na jednym ze swoich czeków podróжных, jedynym kawałku czystego papieru, jaki zdołała znaleźć w portfelu. Pisała po francusku, w języku, w którym porozumiewała się z Aramem. Próbowwała tak dobrać słowa, aby Aram bez trudu zrozumiał, o co jej chodzi, ale zarazem aby treść kartki nie była zbyt oczywista i nie wpędziła go w tarapaty, gdyby kto

inny przeczytał wiadomość przed nim. „Cześć kochanie. Przyjechałam na krótko. Osoba, z którą miałeś się jutro spotkać, niestety złapała przeziębienie. Zatrzymałam się w hotelu Armenia. Tęsknię za tobą”. Ostatnie zdanie dorzuciła dla przykrywki, ale pisząc je uświadomiła sobie, że to

383

■ - *V

prawda. Naprawdę za nim tęskniła. Złożyła czek na pół i wsunęła go pod drzwi.

Dochodziła pierwsza w nocy. Dozorczynie, które w hotelu monitorowały wyjścia i powroty wszystkich gości, na pewno już na nią czekały. Gdyby nie wróciła, na pewno wszczęłyby alarm. Jeszcze przez jakiś czas krążyła po przeciwnej stronie ulicy, w nadziei, że Aram się pokaże, ale w końcu dała za wygraną. Gdzie on mógł być? Może właśnie spał z jakąś ormiańską ciemnowłosą kobietą. Ale raczej wraz z przyjaciółmi planował spotkanie, które miało się odbyć następnego dnia.

Wróciła na główną ulicę, czując, że wygląda dość podejrzanie. Na szczęście po kilku minutach udało jej się złapać taksówkę. Do hotelu dotarła wpół do drugiej. Recepcjonista z nocnej zmiany mrugnął do niej porozumiewawczo. Budzik nastawiła na piątą trzydzieści, ale jeszcze przez ponad godzinę leżała, nie mogąc zasnąć. Próbowwała jakoś połączyć fragmenty swojego planu działania.

Dziesiątego listopada Anna wstała o świcie. Wzięła prysznic, ubrała się i kwadrans po szóstej była już na dole. Na szczęście recepcjonista pełnił dyżur sumiennie. W przeciwieństwie do flegmatycznego personelu hotelu „Inturist” w Moskwie, miał przyjazny, trochę zuchowaty wygląd. Dzięki Bogu, że jestem wśród Ormian, pomyślała Anna.

- Dzień dobry - powiedziała.
- Dzień dobry - odparł recepcjonista. - Czym mogę służyć?
- Chciałabym dzisiaj trochę pozwiedzać.
- Inturist - powiedział mężczyzna, wskazując w głąb korytarza. - Biuro otwierają o wpół do dziesiątej.
- Tak, aleja chciałabym raczej coś ekstra. Nie chodzi mi o zwykłą wycieczkę Inturistu.
- Coś ekstra? - Uniósł jedną z brwi.
- Tak. Chciałabym zobaczyć klasztor w Khor Virap, tam, gdzie trzymano pod ziemią świętego Grzegorza.
- To niedobra podróż. Niedozwolona. Khor Virap blisko granicy. Zakazany rejon.
- Tak, wiem - powiedziała Anna słodko. - Ale moi ormiańscy przyjaciele mówili mi, że pewnie mogłabym zorganizować sobie specjalną wycieczkę. Wie pan, za dolary.

384

prawda. Naprawdę za nim tęskniła. Złożyła czek na pół i wsunęła go pod drzwi.

Dochodziła pierwsza w nocy. Dozorczynie, które w hotelu monitorowały wyjścia i powroty wszystkich gości, na pewno już na nią czekały. Gdyby nie wróciła, na pewno wszczęłyby alarm. Jeszcze przez jakiś czas krążyła po przeciwnej stronie ulicy, w nadziei, że Aram się pokaże, ale w końcu dała za wygraną. Gdzie on mógł być? Może właśnie spał z jakąś ormiańską ciemnowłosą kobietą. Ale raczej wraz z przyjaciółmi planował spotkanie, które miało się odbyć następnego dnia.

Wróciła na główną ulicę, czując, że wygląda dość podejrzanie. Na szczęście po kilku minutach udało jej się złapać taksówkę. Do hotelu dotarła wpół do drugiej. Recepcjonista z nocnej zmiany mrugnął do niej porozumiewawczo. Budzik nastawiła na piątą trzydzieści, ale jeszcze przez ponad godzinę leżała, nie mogąc zasnąć. Próbowwała jakoś połączyć fragmenty swojego planu działania.

Dziesiątego listopada Anna wstała o świcie. Wzięła prysznic, ubrała się i kwadrans po szóstej była już na dole. Na szczęście recepcjonista pełnił dyżur sumiennie. W przeciwieństwie do flegmatycznego personelu hotelu „Inturist” w Moskwie, miał przyjazny, trochę zuchowaty wygląd. Dzięki Bogu, że jestem wśród Ormian, pomyślała Anna.

- Dzień dobry - powiedziała.
- Dzień dobry - odparł recepcjonista. - Czym mogę służyć?
- Chciałabym dzisiaj trochę pozwiedzać.
- Inturist - powiedział mężczyzna, wskazując w głąb korytarza. - Biuro otwierają o wpół do dziesiątej.
- Tak, ale ja chciałabym raczej coś ekstra. Nie chodzi mi o zwykłą wycieczkę Inturistu.
- Coś ekstra? - Uniósł jedną z brwi.
- Tak. Chciałabym zobaczyć klasztor w Khor Virap, tam, gdzie trzymano pod ziemią świętego Grzegorza.
- To niedobra podróż. Niedozwolona. Khor Virap blisko granicy. Zakazany rejon.
- Tak, wiem - powiedziała Anna słodko. - Ale moi ormiańscy przyjaciele mówili mi, że pewnie mogłabym zorganizować sobie specjalną wycieczkę. Wie pan, za dolary.

384

- Za dolary? - Mężczyzna rozejrzał się wokół, aby mieć pewność, że likt ich nie słyszał. Anna uznała, że to dobry znak. Już działał jak jej współ-lik.
- Tak. Oczywiście, jeżeli nikt nie ma nic przeciwko temu. Czy zna pan cogoś, kto pomógłby mi zorganizować taką specjalną wycieczkę?

- Mamy samochód - odparł recepcjonista. - Mój brat ma bardzo ładny samochód. Może do niego zadzwonię. Skoro chodzi o bardzo wyjątkową wycieczkę... - Słowo „bardzo” wymówił z naciskiem, jakby oznaczało ono, że cena rośnie z miejsca o dwadzieścia dolarów.
- Czy pana brat mógłby mnie zabrać swoim samochodem? To byłoby wspaniale. Mam przyjaciela, który też może chciałby z nami pojechać. Moglibyśmy wstąpić do niego po drodze i zabrać go.
- Czemu nie.
- I jeszcze jedno. Chciałabym odwiedzić kilka małych wiosek w rejonie Araratu. Słyszałam, że jedna jest szczególnie piękna. Nazywa się Kiarki.
- Czemu nie - powtórzył recepcjonista i ciszej dodał: - Ale nikomu proszę nie mówić. To tylko nasz interes.
- Bez obaw. Nie powiem nikomu.
- Kiedy chce pani jechać?
- Teraz.
- Teraz? - Mężczyzna spojrzał na zegarek.
- Tak, bardzo proszę. Chciałabym zobaczyć Ararat o świcie. Recepcjonista wzruszył ramionami, podniósł słuchawkę i zadzwonił do

brata. Z ich rozmowy Anna zrozumiała tylko jedno słowo: „dolar”. Pół godziny później pojawił się brat w lśniącym czerwonym żiguli. Był dość tęgim mężczyzną z wielkimi wąsami. Mówił trochę po angielsku i podobno pracował w fabryce koniaku. Niezły kanciarz, oceniła go Anna. Miał na imię Samuel.

Anna wsiadła z tyłu, ale zdała sobie sprawę, że w ten sposób będzie tylko zwracała uwagę obcych, więc przesiadła się na przednie siedzenie, obok Samuela. Dała mu adres Arama. Zamierzała najpierw do niego wpaść, aby sprawdzić czy wrócił do domu. Gdyby go nie zastała, sama zamierzała dotrzeć do Kiarki i tam go ostrzec. Miała nadzieję, że wyprawa na południe nie będzie konieczna, że znajdzie Arama w domu - że jej otworzy drzwi i spojrzy na nią oczami zapuchniętymi od nocnego ślęczenia nad planami i wódką. Potem mogłaby spędzić resztę dnia razem z nim. Być może w łóżku.

Proszę, bądź w domu, Aram, myślała, kiedy żiguli skręcało w jego ulicę. Proszę, bądź w domu. Wysiadła z wozu Samuela i weszła trzy piętra w górę. Tym razem zastukała do drzwi mocno, nie dbając o to czy usłyszają sąsiedzi. Niestety, nikt jej nie odpowiedział. Przykucnęła i opierając się dłońmi o podłogę, zajrzała w szparę pod drzwiami. Jej złożony na pół czek wciąż jeszcze leżał na podłodze. Anna uznała, że Aram ze względów bezpieczeństwa ostat-

nią noc przed odbiorem przesyłki spędził gdzie indziej. Wzięła głęboki oddech, zbierając się na odwagę przed tym, co teraz zamierzała zrobić. Wróciła do samochodu i usiadła obok Samuela.

- Mojego przyjaciela nie ma - oznajmiła. - Może wyjechał sam wcześniej. Jedźmy na południe. Jest taka mała wioska, którą chciałabym zwiedzić. Nazywa się Kiarki, potem chciałabym pojechać do Khor Virap.

- Superowo - odparł Samuel. Gdzieś nauczył się kilku takich kolokwialnych zwrotów.

Minęła siódma piętnaście. Ruszyli na południe od miasta, zjeżdżając w dół ze wzgórz Erewanu, w kierunku równin okalających Ararat. Ostre słońce ogrzewało poranne powietrze. Kierowca jechał szybko, mijając niskie podmiejskie domy i spółdzielcze pola z nie kończącymi się rzędami winorośli. Był to ppukładany mały świat - dobrze utrzymane winnice, czyste domy z ozdobnymi metalowymi rynnymi, z których każdą wieńczyła figurka zwierzęcia albo jakiś wzór.

Samuel przez całą drogę wyrzucał z siebie strumień słów w różnych językach. Wyglądał jak ormiański Sancho Pansa, genialny prostaczek. Kiedy minęli posterunek milicji, zwrócił się do Anny i puścił do niej oko.

- Nie mamy na to pozwolenia. Jak nas ktoś zatrzyma, to jesteś moja ormiańska kuzynka z Ameryki. „Bardzo mi przykro, powiesz, przyjechałam aż z Fresno, żeby zobaczyć Khor Virap”. Dasz mi dolary, a ja dam im. Wszystko w porządeczku.

- W porządeczku - zgodziła się Anna. Dała mu banknot dziesięciodolarowy. Ormianin przechylił głowę w geście, który oznaczał „więcej” w każdym języku, więc dołożyła jeszcze dziesięć. Po dokonanej transakcji udało jej się odrobinę rozluźnić. Mknęła pustą drogą w słoneczny dzień, wieziona przez swojego pośrednika.

Jechali czteropasmową szosą szybkiego ruchu, prosto w kierunku wielkiego, sterczącego stożka góry Ararat. Samuel spojrzął na rosnący w oczach szczyt i nagle opadł go poetycki nastrój. Podobnie jak wielu Ormian, miał skłonność do wygłaszania przemówień z byle okazji. Wskazał na Ararat i położył dłoń na sercu.

- Ta góra jest dla mnie jak magnes - oznajmił uroczyście. - W cieniu tego wielkiego szczytu czuję się nieśmiertelny! - Wielki magnes Araratu znajdował się już za granicą w Turcji, ale to nie miało dla niego znaczenia. W Samuelem zagrała liryczna ormiańska dusza. Dał wyraz narodowemu uwielbieniu wielkiego gestu i zgubnego romantyzmu. Anna żałowała, że Aram nie może go słyszeć.

W odległości kilku kilometrów od nich przebiegała granica radziecko--turecka. Zbliżali się do rzeki Aras.

- Niech się pani za bardzo nie przygląda - powiedział Samuel. - Teren wokół granicy zamknięty.

386

Jednak Anna nie mogła się powstrzymać. Co kilkaset metrów wznosiły się wysokie wieże, podobne do wież strażniczych w więzieniach. Kiedy zbliżyli się jeszcze bardziej, Anna dostrzegła samą granicę, w odległości pół kilometra od nich. Zdumiało ją, że drut kolczasty znajdował się od ich strony; oczywiście potrafiła to pojąć, ale mimo to widok ogrodzenia, które skonstruowano tak, aby

powstrzymać obywateli radzieckich przed ucieczką, a nie intruzów przed dostaniem się do kraju, wciąż wydawał się jej przerażający. Najbliżej stało ogrodzenie z ustawionych co kilka metrów betonowych słupków połączonych łańcuchami, z czymś, co wyglądało na przewodniki z prądem elektrycznym. Następna była bariera ze zwiniętego spiralnie drutu kolczastego, znowu ogrodzenie z łańcuchami, pas gładko zaoranej ziemi, tak aby odcisnął się w niej najmniejszy nawet ślad stopy, brukowana droga dla samochodów straży granicznej. Za tą drogą znajdowała się kolejna bariera z drutu kolczastego i ostatni płot zwieńczony tym dowodem kłęski własnego kraju - skierowanym do wewnątrz kolczastym drutem.

Granica wydawała się niemożliwa do pokonania nawet dla najsprytniejszych szmuglerów. Tylko że ludzie Ascariego nie wybierali tej drogi przez równinę z Turcji, przypomniawszy sobie Anna. Przedzierali się raczej przez góry od strony hanu, gdzie nawet strażnicy graniczni potrafili zabłądzić.

- Zbliżamy się teraz do słynnej Khor Virap - oznajmił Samuel. - Może chciałaby pani zatrzymać się najpierw tutaj?

- Nie, wstąpimy tu w drodze powrotnej. Najpierw chcę zobaczyć Kiar-ki, wioskę w pobliżu granicy.

- Ale ta wieś należy do Azerbejdżanu. Tam mieszkają Turcy. Po co tam jechać? Tam brzydko.

- Moi przyjaciele mówili mi, że bardzo ładnie. Chcę to zobaczyć.

Samuel burknął coś pod nosem, ale posłusznie ruszył dalej. Minęła już

ósma trzydzieści. Anna patrzyła teraz na każdy z samochodów, które ich mijały, w nadziei, że w jednym z nich ujrzy twarz Arama. Postanowiła dotrzeć do wioski przed nim, ale z każdą upływającą minutą coraz bardziej martwiła się, że jej plan się nie powiedzie. Samuel przyglądał się, jak dziewczyna nerwowo bębni palcami w deskę rozdzielczą. Ormianie nie lubią, kiedy ktoś w ich towarzystwie się niepokoi. To afront dla ich narodowego charakteru, który bez problemu akceptuje śmiech czy łzy - lecz odrzuca wszystko pomiędzy.

- Zaśpiewam pani pieśń - zaproponował Samuel.

- Ormiańską?

- Oczywiście. Niby jaką inną mógłbym śpiewać? Turecką? - Anna roześmiała się, a Samuel zaintonował głębokim basem, który brzmiał niemal operowo i wypełniał dźwiękiem małe wnętrze samochodu. Zaśpiewał kilka zwrotek przepięknym, prawdziwym, choć może trochę przesadzonym uczuciem.

387

- To bardzo piękna pieśń - przyznała Anna. - Czy mógłby mi pan przetłumaczyć jej słowa?

- Śpiewam o wiosce mojego dziada, która nazywała się Moush. Leżała w tureckiej części Armenii. Teraz już nie ma Moush. Wszyscy ludzie ją opuścili. Umarli. Ale my śpiewamy o niej naszym synom, aby wiedzieli, jak było dawniej.

Wstań, mój chłopcze, wróćmy do naszej ojczyzny

Pić będziemy naszą wodę i mleko.

Ukoimy twą tęsknotę.

Wstań, mój chłopcze, ruszajmy do Moush, krainy naszych ojców.

Choć to tylko w marzeniach, pójdźmy tam, powróćmy.

Anna zamknęła oczy. Wstęga asfaltu ciągnęła się pod nimi, przybliżając ich coraz bardziej do enklawy, gdzie spotykały się granice Turcji, Iranu, Armenii i Azerbejdżanu. Autostrada przykrywająca kości zmarłych.

- Proszę mi zaśpiewać jeszcze jakąś pieśń - powiedziała Anna. - Dzięki nim zapominam o problemach.

- Dobrze, ale to smutna pieśń.

- Nie szkodzi. Lubię smutne melodie.

Tym razem głos Samuela stał się jeszcze głębszy i bogatszy, niczym basowe rejestry organów kościelnych. Zaśpiewał tylko cztery zwrotki i przerwał, przepełniony uczuciem płynącym z pieśni i urokiem tej chwili.

- Przepraszam. Trudno mi to nucić.

- Proszę mi ją przetłumaczyć - powiedziała Anna. Im dłużej przebywała z Samuelem, tym bardziej uosabiał w jej oczach swój lud, zarazem silny i sentymentalny. Ormianie byli jak małe łódeczki ze zbyt wielkimi żaglami, które w każdej chwili mogły zostać zatopione.

- Nie powinienem śpiewać tej pieśni. Jej słowa zawsze sprawiają że robi mi się smutno. To pieśń o śmierci:

Wszędzie dokąd idziesz Śmierć jest taka sama. Ale zazdroszczę temu, Kto może umrzeć za swój kraj.

- Co to za pieśń? Chyba słyszałam, jak mój przyjaciel nucił ją kiedyś w Paryżu.

- To nasz narodowy hymn.

Kilka kilometrów dalej Anna zobaczyła tablicę z rosyjskim napisem, wskazującą kierunek do Kiarki. Rozejrzała się wokół. W oddali, od południowego

388

wschodu, otaczały ich nierówne zęby gór, które wyznaczały granicę z Iranem. W świetle porannego słońca wydawały się niemal purpurowe. Przed sobą mieli granicę z azerską enklawą, Nachiczewanem. Znajdowali się przed skrzyżowaniem z garnizonem wojskowym i dwiema zrujnowanymi winiarniami, stojącymi każda po innej stronie granicy. Anna poczuła, że właśnie odnalazła miejsce, które można byłoby nazwać zanadrem świata, ukryte w cieniu Turcji, Iranu i Związku Radzieckiego.

- To Kiarki - wyjaśnił jej kierowca, jakby Anna nie widziała znaku.

- Proszę zwolnić - powiedziała, kiedy zbliżali się do wioski.

Rozglądała się, poszukując oznak czegoś niezwykłego. Domki wokół

były niewielkie, parterowe, może odrobinę bardziej nieporządne od tych, które stały w sąsiednich wioskach ormiańskich, ale poza tym nie różniło ich nic. W wielu z nich od frontu rosły winorośle, oplatając metalowe rynny ciągnące się od ulicy aż po dachy. W cieniu tych winorośli siedziały kobiety przygotowując posiłki. Mnóstwo dzieci bawiło się na ulicy i w parku położonym bliżej centrum miejscowości.

- Brudno tu - zauważył Samuel, kiedy zbliżali się do rynku miasteczka. - Turcy.
- Czy to jedyna droga z Erewanu?

Samuel przytaknął.

- Jest jeszcze mała dróżka z drugiej strony, ale prowadzi tylko do następnej wioski.
- Proszę zatrzymać samochód - powiedziała Anna. - Chcę tutaj wysiąść. - Samuel skręcił z głównej ulicy i zatrzymał wóz jakieś czterdzieści metrów od placu w centrum. Z miejsca, w którym stali, Anna mogła widzieć każdy samochód jadący drogą od strony Erewanu.

Przykryła włosy chustą i wysiadła z samochodu. Sprawdziła obie strony drogi. W kierunku, z którego przyjechali, widziała tylko kurz. Chyba nikt za nimi nie jechał do tego smaganego wiatrami skrawka Kaukazu. Spojrzała w stronę skweru - z popiersiem Lenina stojącym przy fontannie z pitną wodą - i dalej, na ulice biegnące od niego. Ani śladu milicji, wojska czy KGB. Wszystko wydawało się jej spokojne i zwyczajne - na ile tylko zwyczajne mogło być graniczne miasteczko w odległym regionie świata. Nigdzie nie dostrzegła Arama. Dziwiło ją tylko, jak niewielu dorosłych widziała na ulicach. Może pracowali w spółdzielni produkcyjnej, pomyślała.

- Na co chciała pani popatrzeć? - spytał Samuel. Wciąż uważał, że wybieranie się do Kiarki to głupi pomysł. Po co poświęcać czas na wizytę u Turków, skoro wokół było tylu Ormian? Mimo to starał się być pomocny.
- Chciałabym tylko trochę się tu rozejrzeć - powiedziała Anna.

Teraz zastanawiała się, jak ma przekonać kierowcę, aby pozostali dokładnie w tym miejscu aż do przybycia Arama. Przyszedł jej do głowy pewien pomysł, który jednak wymagał od niej sporych umiejętności aktorskich -

389

zwłaszcza że chciała przekonać takiego aktora jak Samuel. Postanowiła mimo wszystko spróbować. Ostrożnie ruszyła chodnikiem. Skierowała się ku fontannie i pomnikowi Lenina. Wchodząc na kamienne stopnie monumentu nagle potknęła się i upadła - wykręcając lewą nogę w kostce, uderzając biodrem w kamienne podłoże i w końcu przewracając się na ramię.

Samuel przeraził się. Podbiegł do Anny, wołając na przemian po ormiańsku i angielsku. Dziewczyna leżała na ziemi i jęczała trzymając się za kostkę.

- Potrzebny lekarz? - spytał Samuel. - Zabiorę panią do lekarza.

- Chyba nie jest złamana - odparła Anna. - Tylko potwornie boli. Może jakoś spróbuję chodzić.

Wstała i otrzepała ubranie z kurzu. Samuel podał jej ramię, aby się na nim oparła. Anna przytrzymując się go zaczęła kuleć, przy każdym kroku wydając z siebie krótkie „auu” i „och”. Kostka rzeczywiście trochę ją bolała ale prawdę mówiąc, najbardziej ucierpiało biodro. Dotarła do samochodu, dając akurat wystarczające przedstawienie, aby zrobić odpowiednie wrażenie na Samuelu, ale nie na tyle wielkie, aby ściągnąć na siebie uwagę mieszkańców wioski.

- Chciałabym przez chwilę posiedzieć w samochodzie, jeżeli nie ma pan nic przeciwko temu. Kiedy noga przestanie mnie boleć, możemy ruszać do Khor Virap.

- Tutaj pewnie mają ormiańskiego lekarza - zauważył Samuel. - On pani pomoże.

- Nie. Wystarczy, że chwilę tu posiedzę. Mógłby mi pan kupić butelkę mineralnej wody albo coś innego? Chce mi się pić.

- Już się robi. Za kilka minut przyniosę. Proszę sobie zostać w samochodzie. Według obowiązujących zasad nie powinno pani tutaj być, ale w Armenii wszyscy stale łamią zasady, więc proszę się nie martwić. Niech pani nigdzie się nie rusza.

Samuel wyruszył w poszukiwaniu sklepu, a Anna rozejrzała się po ulicach. Od strony Erewanu przemknęło kilka ciężarówek i pół tuzina różnych samochodów. Drogą z turkotem przejechał konny wóz powożony przez azer-skiego rolnika, obok którego siedział jego syn. Potem minęło ją kilka rowerów. Niestety, Anna nigdzie nie dostrzegła nikogo, kto choćby nieznacznie przypominałby Arama Antoyana. W jednej z cienistych uliczek zauważyła wysokiego mężczyznę w szarym płaszczu, który przyglądał się jej, ale kiedy przesunęła się, aby lepiej mu się przyjrzeć, zniknął.

Po chwili wrócił Samuel z gazowanym napojem wiśniowym w butelce. Bardzo ją przeproszał, ale większość miejscowych sklepów była z jakiegoś powodu zamknięta. Stwierdził, że to typowe u Azerów. W ormiańskich wioskach sklepy byłyby otwarte i mógłby w nich kupić pepsi-colę. Anna piła powoli, obserwując jednocześnie drogę. Kiedy opróżniła butelkę, znowu za-

390

zjęła narzekać na ból w nodze i spytała Samuela, czy mógłby przynieść jej coś do jedzenia. Ormianin spojrzął na zegarek. Dochodziła już dziesiąta.

- W ormiańskich wioskach jedzenie lepsze - powiedział. Chciał już jeść.

- Proszę, Samuelu. Muszę coś zjeść, zanim ruszymy.

Mężczyzna pokiwał głową i odszedł. Anna nie odwracała wzroku od drogi i Erewanu i przyglądała się przejeżdżającym od czasu do czasu wozom, wciąż la próżno szukając w nich twarzy Arama. Gdzie on się podziewał? Była na niego zła, a jednocześnie martwiła się o niego. Odwróciła się, aby sprawdzić iliczki Kiarki, zastanawiając się czy przypadkiem nie wybrał innej drogi, dedy zobaczyła coś, co sprawiło, że serce podskoczyło jej w piersi.

W odległości mniej więcej stu metrów dostrzegła postać mężczyzny wysiadającego z samochodu zaparkowanego przy małej uliczce, która prowa-iziała z wioski w przeciwnym kierunku. Rozpoznała jego chód, sposób, w ja-d stawał stopy blisko siebie, niczym górski konik. W Paryżu tak bardzo jej się

to podobało. Mężczyzna kierował się w stronę skupiska domów. Anna przez moment zastanawiała się, co ma robić, a potem po prostu zaufała instynktowi.

Otworzyła drzwiczki samochodu i ruszyła szybkim marszem - zapominając o podobno zwichniętej kostce - w stronę znajomej postaci w oddali. Zdjęła z głowy chustkę, aby nie miał trudności z rozpoznaniem jej. Szedł w jej kierunku i właśnie zamierzał skrócić w lewo. Im bardziej się do niego zbliżała, tym większą miała pewność, że to Aram. On wciąż jeszcze jej nie poznał.

Anna przyspieszyła kroku. Teraz już prawie biegła. Mężczyzna zatrzymał się przed jednopiętrowym domkiem, nieco większym od pozostałych budynków w wiosce. O mój Boże, pomyślała Anna. To na pewno dom przemytnika, Sadeka Szirwanszira. Za chwilę Aram zniknie w środku, a ona straci go bezpowrotnie.

- Aram - zawołała pod wiatr.

Odwrócił się i spojrzał na nią przelotnie. Tak bardzo pochłaniało go to, co robił, że w ogóle nie zwrócił uwagi na to, kto go woła. Zwrócił się w stronę drzwi domu.

- Aram - krzyknęła raz jeszcze.

Tym razem usłyszał. Spojrzał na nią raz i drugi. Nie dowierzał własnym oczom. Wciąż jeszcze byli w odległości czterdziestu metrów od siebie. Anna zaczęła kręcić głową i machać rękami, tak jakby chciała powiedzieć: „Nie wchodź do tego domu. Trzymaj się od niego z dala. Trzymaj się z dala ode mnie”.

Zrozumiał pierwszą część, ale nie drugą. Zaskoczony i uradowany na widok kobiety, którą zostawił w Paryżu, jak sądził na zawsze, zapragnął ją objąć. Podbiegł krótkimi, szybkimi krokami i chwycił ją w ramiona.

i

391

- Qu 'est-ce que c 'est? - Był zachwycony i zdumiony. - O co chodzi? Dlaczego tutaj jesteś?

Anna wzięta go za rękę i szybko odciągnęła od domu Sadeka Szirwan-szira, potem gwałtownie przystanęła i spojrzała na niego. Aram znowu zapuścił brodę. Wyglądał zdrowo. Powrót do domu najwyraźniej mu służył.

- Posłuchaj mnie uważnie, Aramie - powiedziała Anna po francusku. - Jest pewien problem z przesyłką. Nie powinieneś jej odbierać. To niebezpieczne. Kiedy rozstawaliśmy się w Paryżu, obiecałam ci, że jeżeli coś pójdzie źle, ostrzegę cię. Mogłam to zrobić tylko w ten sposób, przyjeżdżając tutaj.

Aram pokręcił głową i uśmiechnął się.

- Przecież nic się nie stało, głuptasie. Wszystko jest w porządku.

- Owszem, stało się coś. Uwierz mi. Ludzie z KGB wiedzą, co robili moi przyjaciele. Pewnie teraz czekają, aż zjawisz się, by odebrać przesyłkę. Nie powinieneś ryzykować. Uznają cię za szpiega.

- Mylisz się. Tutaj nie ma żadnego niebezpieczeństwa - powtórzy Aram. - Mówię ci, jesteśmy bezpieczni.
- Posłuchaj mnie! - Głos Anny brzmiał błagalnie. - Przebyłam pół świata żeby cię ostrzec, a ty mnie nawet nie słuchasz.
- Nie, tym razem to ty musisz mnie wysłuchać. - Aram starał się być opanowany i silny w obecności zaniepokojonej kobiety. - Nie masz się czym martwić. Nie ma żadnego niebezpieczeństwa.
- Skąd wiesz? O czym ty mówisz?
- Już spotkałem się z przemytnikiem, z tym Szirwanszirem. Widziałem się z nim przed trzema godzinami, o świcie. Noc spędziłem u przyjaciół w sąsiedniej wiosce ormiańskiej. Chciałem być w pobliżu, aby móc obserwować co się dzieje i upewnić się, że nie będzie żadnych niespodzianek. Wszystkoc jest tak, jak obiecywałaś. On znał hasło. Nie ma żadnego KGB. Nie mas: racji. Jesteśmy bezpieczni.
- Po co wracasz tu teraz, skoro widziałeś się już z nim rano?
- Mam odebrać sprzęt. Musiał go przynieść z kryjówki poza wioską Powiedział mi, że będzie go miał za trzy godziny. Teraz po niego przysze dłem. Nic się nie martw. Nie ma problemu.
- Chodź ze mną do samochodu - poprosiła Anna. Ulice były puste. Ni< chciała zwracać uwagi miejscowych. - Uważam, że nie powinieneś tam wra cać. To może być pułapka.
- Niemożliwe. Zresztą, jeśli to pułapka, to już w nią wpadłem. Wiedzą kim jestem. Jeżeli tam nie pójde, nie będę miał anteny. Muszę iść. Nie zamie rzam słuhać żadnych argumentów.
- Proszę, Aram. To szaleństwo. Mam złe przeczucie.
- Tym razem się mylisz. To ja umiem przepowiadać przyszłość, pamiętasz? Nie obawiaj się. Możesz iść tam razem ze mną, jeśli chcesz. Sama sii przekonasz.

392

- Nie. To nie jest dobry pomysł.

Już prawie doszli do samochodu, którym przyjechała Anna. Wrócił Samuel. Przyniósł jej kanapkę z pikantnym ormiańskim mięsem zwanym ba-sterma. Poszedł aż do następnej wioski, żeby ją kupić. Zmierzył Arama wzrokiem i spojrzał na Annę porozumiewawczo, jakby chciał powiedzieć: „A więc po to czekaliśmy tyle czasu w Kiarki”.

- Jak tam pani kostka? - zapytał ironicznie.
- Lepiej - odparła Anna. Wskazała Arama. - Spotkałam tu mojego przyjaciela. Ma jeszcze do załatwienia jedną sprawę, chciałabym poczekać kilka minut, aż skończy. Potem pojedziemy.
- Dobrze, dobrze. - Samuel spojrzał na zegarek.

Anna wzięła Arama za rękę.

- Nie powinni nas dłużej widzieć razem. Kiedy odbierzesz paczkę, sam wracaj do Erewanu. Zaczekam tutaj aż do chwili, kiedy będę pewna, że jesteś bezpieczny.
- Kiedy mogę cię zobaczyć w Erewanie?
- Nie powinniśmy się więcej spotykać. To zbyt ryzykowne.
- Bzdura. Przyjdź dziś wieczorem do mnie. Dam ci adres.
- Wiem, gdzie mieszkasz. Twoi rodzice mi powiedzieli.
- W takim razie o dziewiątej. Weź ze sobą szczoteczkę do zębów.

Odwrócił się i ruszył uliczką w stronę domu Sadeka Szirwanszira. Anna usiadła na miejscu obok kierowcy.

- Fajny facet? - spytał Samuel.
- Tak. Fajny.

Przez cały czas patrzyła na sprężysty chód Arama. Ormianin dotarł do domu i zapukał. Drzwi otworzyły się natychmiast i jastrzębiooki mężczyzna wciągnął Antoyana do środka. Anna nic więcej nie mogła usłyszeć ani zobaczyć. Mogła tylko siedzieć i patrzeć w pustą przestrzeń przed tamtym domem.

Cała rozgrywka w domu Szirwanszira trwała zaledwie kilka minut. Azer-ski przemytnik przyniósł dużą wodoszczelną torbę, podobną do tych, jakie można ciągnąć za łodzią płynąc przez Morze Kaspijskie albo przywiązać do grzbietu muła na stromych, ośnieżonych stokach Kaukazu. Gospodarz podał torbę Ormianinowi, który zajrzał do środka i wyjął z niej zabezpieczony przedmiot. Ostrożnie podniósł pokrywę, aby przyjrzeć się elektronicznym elementom wewnątrz i mruknął z zadowoleniem.

- A co z drugą przesyłką? - spytał Azer z półuśmiechem.
- Jaką drugą przesyłką? - Ciepło ulgi, którą poczuł przed kilkoma sekundami, zamieniło się w lodowaty strach. - O czym pan mówi?

393

- O tej drugiej paczce, którą moi kuzyni przywieźli z Iranu. - Szeroko otworzył torbę, aby Aram mógł zobaczyć, co znajduje się na jej dnie. Ormianin dostrzegł mały worek z białawą substancją.

Aram zamrugał niespokojnie. Spojrzał na Sadeka i ujrzał twarz chciwca, przemytnika, który musi utrzymywać dobre stosunki ze strażą graniczną i do tego nieszczęśliwie lubi Ormian. Rozejrzał się po pokoju, ale nie dostrzegł nic niezwykłego. Tylko za drzwiami prowadzącymi do kuchni usłyszał głośne skrzypnięcie podłogi.

- Dla kogo jest ta druga przesyłka? - spytał Sadek. - Kto ją odbierze?
- Nie ma żadnej innej przesyłki. Tylko ta jedna.

- Mylisz się, przyjacielu. - Szirwanszir sięgnął do torby i powoli wyjął z niej paczkę z materiałem wybuchowym. - Sądzę, że planujecie zabić niektórych spośród moich azerskich braci.

- Mój Boże! - szepnął Aram. Anna miała rację. Został przechytrzony. Obrócił się na pięcie i rzucił się do wyjścia. W tej samej chwili drzwi do kuchni otworzyły się i wypadł stamtąd mężczyzna z pistoletem, krzycząc na Ormianina, by się zatrzymał.

Anna obseiwowała ulicę. Bida się nawet mrugnąć. Aram był w środku już minutę, dwie, potem trzy. Liczyła każdą upływającą sekundę. W końcu wzięła głęboki oddech i odwróciła wzrok. Spojrzała na mały plac zabaw niedaleko środka skweru. Z początku nie wiedziała, co się stało, nie zastanawiała się: „Gdzie się podziały dzieci? Co się stało z tymi dziesiątkami maluchów, które jeszcze godzinę temu bawiły się na ulicach Kiarki?” Wszystkie zniknęły. Na drogach też było pusto; cisza stawała się coraz bardziej przejmująca.

Anna spojrzała znowu na dom Szirwanszira. Coś poszło źle. Wysiadła z samochodu i zrobiła krok w kierunku budynku, w którym zniknął Aram, potem jeszcze jeden i jeszcze. Zauważyła, że otwierają się drzwi. Moment później strzał rozdarł ciszę wibrującym hukiem. Później dostrzegła Arama. Jedną rękę wyciągnął do niej, machając, aby nie podchodziła; drugą miał przyciśniętą do boku, do rany postrzałowej.

Wciąż jeszcze trzymał się na nogach. Zgięty w pół próbował biec w jej kierunku krzycząc coś, czego nie mogła usłyszeć. Z domu Szirwanszira wyszli dwaj oficerowie, następni dwaj pojawili się po drugiej stronie ulicy. Próbowali odciąć Aramowi drogę - schwytać go żywego, aby potem móc go przesłuchać. Antoyan ruszył wprost na tego, który stał najbliżej, powalając go na ziemię i zmuszając pozostałych do podniesienia rewolwerów w samoobronie. Nie przestawał biec. Drugi strzał rozległ się echem w całej wiosce, a w chwilę później trzeci. Anna, słysząc je schowała się za kamienny murek. Znajdowała się w połowie drogi między samochodem a domem przemytnika - nie mogła już ocalić ani Arama, ani siebie.

394

Prawa noga Ormianina, rozerwana pociskiem, ugięła się pod nim i mężczyzna padł na ziemię. Oficerowie ruszyli ku niemu, aby go aresztować, ale Aram resztką sił i woli rzucił się na jednego ze swoich oprawców, wyciągając rękę w kierunku broni. Ostatni strzał, który zakłócił ciszę wioski, uwolnił doktora Arama Antoyana od niebezpieczeństwa skompromitowania siebie oraz tych, których kochał. Zginął śmiercią Ormianina. Znalazł ją i przyjął godnie, dodając swoje imię do listy ofiar.

Anna Barnes została zatrzymana w wiosce Kirami dziesiątego listopada, razem ze swoim kierowcą, Samuelem Sarkisianem. Protestowała tłumacząc, że jest obywatelką amerykańską podróżującą po Armenii z wizą tury-styczną i że nie popełniła żadnego przestępstwa. Major KGB, który jąaresz-tował, nie mówił po angielsku, więc jej protesty nie na wiele się zdały. Zabrano ją do Erewanu i przetrzymywano w siedzibie miejscowej KGB przy ulicy Nalbandian, podczas gdy wyżsi rangą próbowali w Moskwie zadecydować, co z nią zrobić.

Następnego dnia przewieziono ją do stolicy Związku Radzieckiego i zabrano do podmiejskiej siedziby KGB w Jaseniewie na przesłuchania. Kiedy odmówiła udzielania odpowiedzi na jakiegokolwiek pytania, została oficjalnie oskarżona o naruszenie radzieckich przepisów granicznych. Zarzuty te mogły mieć poważne konsekwencje w przypadku każdego, kto nie posiadał immunitetu dyplomatycznego,

ponieważ groziła za nie dość długa kara więzienia. Radzieckie Ministerstwo Spraw Zagranicznych powiadomiło ambasadę amerykańską jeszcze tego samego popołudnia, że obywatelka Stanów Zjednoczonych, Anna Barnes, paszport numer A2701332, została aresztowana w Republice Armenii i przewieziona do Moskwy. Sowieci nie przedstawili jednak żadnego oficjalnego oświadczenia o stawianych jej zarzutach. Potem po obu stronach zapadła cisza. Zarówno Sowieci, jak i Amerykanie starali się dowiedzieć, co miało miejsce w Kiarki.

Cztery dni po aresztowaniu Anny pewien pułkownik KGB, który utrzymywał nieformalne kontakty z szefem bazy CIA, odnalazł swojego amerykańskiego odpowiednika na przyjęciu dyplomatycznym. Stwierdził, że sprawa Barnes jest traktowana przez Związek Radziecki niezwykle poważnie jako wydarzenie, które mogłoby okazać się kompromitujące dla Stanów Zjednoczonych. Zdradził, że w tej sprawie toczyło się śledztwo i rząd radziecki na pewno zamierzał już wkrótce podać wszystko do wiadomości publicznej,

395

chyba że udałoby się rozwiązać problemy kanałami dyplomatycznymi. Pułkownik KGB zapraszał w ten sposób stronę amerykańską do zaproponowania układu - być może wymiany więźniów - ale Amerykanie nie odpowiedzieli ani tego wieczoru, ani w ciągu całego następnego tygodnia.

W Waszyngtonie, wśród tego niewielkiego grona, które wiedziało o sprawie Barnes przeważało pragnienie, aby jak najszybciej odeszła ona w niepamięć. Jednak, mimo oficjalnego milczenia Ameryki, depeche stałym strumieniem płynęły pomiędzy ambasadą a Waszyngtonem, a w samej ambasadzie trwała nieprzerwana dyskusja. Sowieci, którzy w sekrecie przysłuchiwali się większej części tej debaty, szybko zaczęli wypełniać układankę brakującymi elementami.

Radzieckie Ministerstwo Spraw Zagranicznych w końcu wydało krótkie, oficjalne oświadczenie w osiem dni po wydarzeniach w Kiarki. Mówiło ono, iż nie wymieniona z nazwiska Amerykanka została aresztowana w radzieckiej Armenii, w strefie przygranicznej, do której wstęp był zakazany. Podlegała tamtejszej jurysdykcji. Departament Stanu natychmiast zaprotestował. Podczas spotkania informacyjnego w południe, rzecznik prasowy nazwał zarzuty Sowietów „absurdalnymi” i stwierdził, że Amerykanka, której one dotyczyły, była zwykłą kobietą interesu przebywającą w Związku Radzieckim w celach turystycznych. Rzecznik zażądał, aby Sowieci bezzwłocznie ją uwolnili. Następnego dnia „The New York Times” cytował „przedstawicieli rządowych” wyjaśniających, iż pewna Amerykanka, którą „bliski związek osobisty” łączył z ormiańskim dysydem spotkanym przez nią w Paryżu, mogła nieświadomie zostać zwabiona w strefę przygraniczną. Prasa pisała o tym incydencie tylko przez dwa dni. Ponieważ nie wymieniono żadnego nazwiska ani innych szczegółów, które pozwoliłyby zidentyfikować kobietę, media szybko straciły zainteresowanie.

Na jakiś czas sprawa poszła w zapomnienie. Sowieci na razie nie mieli żadnego interesu w publikowaniu szczegółów wydarzeń, przy których musieliby poruszyć drażliwy temat kontaktów Zachodu z dysydenckimi ugrupowaniami radzieckimi. Strona amerykańska także była zadowolona, że jak dotąd udało się utrzymać w tajemnicy sprawę, która gdyby została ujawniona w detalach, wywołałaby wielkie poruszenie - kompromitując zarówno CIA jak i Biały Dom - i na pewno doprowadziłaby do wszczęcia dochodzenia z ramienia Kongresu. Poza tym obie strony miały większe

zmartwienia na głowie. Sowieckie oddziały w Azji Centralnej zaczęły się zbierać wokół Sa-markandy, przygotowując się do skoku przez granicę uzbecką do Afganistanu. Co do Amerykanów, w tym miesiącu liczył się tylko jeden problem - z zakładnikami w Teheranie, gdzie grupa radykalnych studentów opanowała amerykańską ambasadę. Tymczasem samotna Amerykanka siedziała w więziennej celi w Moskwie, oczekując na proces.

396

Cela Anny była mała, ale czysta i dość wygodna. Miała lepsze jedzenie wygody w więzieniu niż większość obywateli radzieckich poza nią, o czym jgularnie przypominali jej strażnicy. Przesłuchanie przeprowadzono poprawie i pod kontrolą; KGB nie zwykło stosować brutalnych metod wobec amerykańskich więźniów. Przesłuchujący odwiedzali ją codziennie, czasami spędzili u niej wiele godzin, czasami tylko kilka minut. Fakty nie za bardzo ich interesowały. Natomiast bezustannie pytali o szczegóły z jej życiorysu.

Pytania były sondażowe, miały za zadanie wyciągnąć od niej małe fragmenty informacji, które potem mogli porównać z faktami już sobie znymi. Z kim Anna studiowała? Dlaczego opuściła Harvard przed ukończeniem pracy doktorskiej? Czym zajmował się jej ojciec w służbach dyplomatycznych? Czy wiedziała, że wcześniej pracował dla CIA? Co robiła przez jakiś czas między opuszczeniem uniwersytetu a rozpoczęciem pracy w banku w Londynie? Kim byli klienci Halcyon i jakie usługi wykonywała dla nich Anna? Dlaczego podczas pierwszego roku nie było jej w pracy przez tak długi okres? Ona udzieliła stosownych odpowiedzi na każde z tych pytań. Większość nich została opracowana jeszcze podczas ustalania szczegółów jej przyrywki, ale kiedy zaczęła je powtarzać, wydały się śmieszne nawet jej samej.

Już w chwili gdy została aresztowana, Anna postanowiła przyznać się do tego, co mogli jej udowodnić i zaprzeczyć wszystkim pozostałym zarzutom, próbowała zbudować zadowalającą historię związku z Aramem i teraz portarzała ją jak mantrę. Spotkała go w Paryżu, podczas służbowego wyjazdu. Wiedział, że był dysydentem; między innymi właśnie dlatego wybrał się taki atrakcyjny. Do Armenii przyjechała zobaczyć się z nim. Nie, nie poinformowała go wcześniej, że przyjeżdża, ponieważ chciała zrobić mu niespodziankę. Tak, kochała go.

Oczywiście przyznała się, że napisała wiadomość, którą znaleźli na podłożu jego mieszkania. Nie mogła przecież się tego wyprzeć, skoro użyła jednego ze swoich czeków podróży. Przesłuchujący stale wracał do jednego dania z tej wiadomości: „Osoba, z którą miała się jutro spotkać, niestety łapała przeziębienie”. Co to oznaczało? Od chwili aresztowania Anna zastanawiała się, jak ma to wyjaśnić, w końcu podjęła decyzję i postanowiła wymyślić jedną wersję. Powiedziała przesłuchującemu, iż owa wspomniana w wiadomości „osoba” to ona sama. Podczas podróży do Moskwy dostała ataku i chciała przestrzec Arama, aby nie był zawiedziony. Tłumaczenie było trochę kulawe, ale nic lepszego nie wymyśliła.

Wyjaśnienie, dlaczego pojechała do Kiarki, okazało się najtrudniejsze, łowiła, że gdy spotkała Antoyana w Paryżu, często opowiadał jej o pięknych okolicach doliny Ararat. Namawiał ją, aby zwiedziła klasztor w Khorirap i małe azerskie wioski w pobliżu granicy. Aram opowiadał jej, iż sam

zęsto tam jeździ, aby odpocząć, więc kiedy nie zastała go w Erewanie w wie-zór po przyjeździe, doszła do wniosku, że pewnie pojechał na południe.

397

Dlatego rano postanowiła udać się za nim. Po wielu dniach przesłuchań „przyznała się”, że jednym z powodów, dla których pojechała do Kiarki, była zazdrość. Gdy Aram nie powrócił do swojego mieszkania tej pierwszej nocy, zaczęła podejrzewać, że pewnie jest z inną kobietą a ponieważ tak często wspominał o Kiarki, mogła się spodziewać, że tam na pewno ich znajdzie. Przesłuchujący uprzejmie jej wysłuchał, po czym stwierdził, że jej opowieść jest absurdalna.

Po kilkunastu dniach pozwolili, aby odwiedził ją doradca z amerykańskiej ambasady i potem wpuszczali go do niej dość regularnie. Jednak te wizyty wcale jej nie pocieszały. Anna przypuszczała, że obserwowano każdy ich gest i słuchano każdego słowa, więc kiedy raz oficer z ambasady pochylił się ku niej, jakby chciał coś jej szepnąć albo podać, odsunęła się. Sowieci spróbowali ,nawet podstęp, sadzając ją w celi razem z inną kobietą która miała wyciągnąć od Anny informacje. Ich kandydatka na fałszywą więźniarkę była dość gadatliwą osobą mniej więcej w wieku Anny, z nowojorskim akcentem. Twierdziła, że aresztowano ją w Leningradzie z kilkoma gramami haszyszu. Anną której wcześniej nie pozwalano na kontakt z innymi więźniami, nagle mogła jeść posiłki w towarzystwie tej rozmownej kobiety. Nowa próbowała wszelkich sposobów, aby nakłonić towarzyszkę do zwierzeń, ale bezskutecznie. Rozmawiała o chłopakach, o strojach i makijażu, o CIA. Po tygodniu znikła.

Najgorszą metodą jaką stosowali Sowieci, było po prostu przetrzymywanie jej w nieskończoność. Chcieli, aby Anna myślała, iż nikt nie zamierza jej ratować i że jeśli nie zgodzi się na współpracę, może spędzić wiele lat w radzieckim więzieniu. I rzeczywiście, w miarę upływu tygodni Anna coraz częściej czuła się porzucona i osamotniona. Zaczęła tracić wiarę. Zmagania z KGB początkowo dodawały jej sił i pozwalały na zachowanie tożsamości. Teraz była już tylko zwykłą więźniarką.

W styczniu, po dwóch miesiącach spędzonych w areszcie, Annie przedstawiono nowego przesłuchującego. Nazywał się Wiktor i był zupełnie inny niż funkcjonariusze, którzy dotąd ją odwiedzali. Miał około pięćdziesiątki, krótkie, siwiejące włosy i chłodne maniery profesora matematyki. Mówił po angielsku niemal idealnie. Wcale nie udawał, że bada sprawę i nie krył, że jest oficerem wywiadu. Pierwszą rozmowę rozpoczął bez ogródek.

- Czy zdaje pani sobie sprawę z tego, że Edward Stone poświęcił panią? - spytał.
- Nie mam pojęcia, o czym pan mówi - najeżyła się Anna. Od pierwszego dnia zaprzeczała, jakoby miała jakiegokolwiek powiązania z Centralną Agencją Wywiadowczą Twierdziła też, że nie zna nikogo z personelu tej organizacji.
- Nie oczekuję, iż odpowie pani na to pytanie - powiedział Rosjanin. -Prawdę mówiąc, wolałbym, aby pani nie odpowiadała, ale skoro już pani

398

musi, proszą nie wygłaszać idiotycznych oświadczeń, które obrażają sprawność mojego wywiadu. Czy moglibyśmy się tak umówić?

Anna się nie odezwała. Jak przez mgłę przypominała sobie fragment szkolenia, z którego wynikało, że była to standardowa technika przesłuchań prowadzonych przez KGB - przedstawiano więźniowi szczegóły sprawy, wykorzystując część informacji, aby zdobyć ich więcej - więc próbowała uzbroić się w cierpliwość. Niestety, w tym przypadku zbroja okazała się z aksamitu.

- Stone panią poświęcił - powtórzył Rosjanin. - Dlatego właśnie pozwolił pani jechać do Armenii i ratować tego biednego doktora Antoyana. I dlatego wciąż pani tutaj jest, dwa miesiące później. Już pani nie potrzebował. Przykro mi, że akurat ja to pani mówię, ale takie są fakty i powinna je pani znać.

- Jestem niewinna stawianych mi zarzutów i żądam zwolnienia mnie i przewiezienia do ambasady amerykańskiej - powiedziała ponuro. To była jej standardowa kwestia, wypowiedana przy okazji każdego przesłuchania.

- Tak, oczywiście. Nie omieszkam zapisać tego dla porządku. Skoro powiedzenie tego jest dla pani takie ważne, chętnie wysłucham. Choć przyznam, że mnie to bardzo nudzi.

Zachowanie Wiktora i jego pobłażliwa tolerancja wyprowadziły Annę z równowagi. Miała zamiar powtórzyć resztę swojej codziennej opowieści o tym, że jest turystką, która przyjechała zobaczyć się ze swoim ormiańskim chłopakiem, ale uznała, że to nie ma sensu.

- Napiałaby się pani kawy? - spytał Rosjanin.

- Nie - odparła Anna.

- A to szkoda, bo ja się napiję. - Podszedł do drzwi celi i zawołał na strażnika, który kilka chwil później powrócił z parującym kubkiem prawdziwej kawy, a nie tej rozwodnionej cieczy, jaką serwowali jej w więzieniu. Aromat wypełnił celę.

- Powinna się pani odprężyć - powiedział Rosjanin. - Rozmowa z jednym ze współpracowników Edwarda Stone'a to dla mnie wielka przyjemność. Obserwowanie Stone'a sprawia nam więcej przyjemności niż oglądanie widowiskowego sportu. To taki inteligentny i sprytny człowiek, a jego operacje są zawsze bardzo misternie opracowane. Spotkanie jednego z jego ludzi to tak jak pójście za kulisy do aktorów jednej ze sztuk wystawianych na Broadwayu.

- Proszę sobie darować - powiedziała Anna. Była to odruchowa reakcja na pochlebstwa Rosjanina, ale dziewczyna natychmiast jej pożałowała. Zrobiła krok w kierunku zgody na współpracę. Postanowiła w ogóle się nie odzywać w kwestiach, które miały znaczenie.

- To prawda. Ale nie mówmy już o tym. Stone jest wspaniałym człowiekiem, ale zdradził panią. Takie są fakty. Postaram się powiedzieć pani uczci-

wie, co wiemy na temat pani sprawy, tak aby zrozumiała pani, w jakim położeniu się znalazła. Potem może pani podjąć decyzję.

- Niech pan robi, co chce. Już powiedziałam, że jestem niewinna. Nie jestem szpiegiem. Nie pracuję dla CIA. Nie znam żadnego Stone'a.

Rosjanin tylko się uśmiechnął. Kiedy było jasne, że skończyła, podjął przerwany wątek.

- Analizie pani sprawy poświęciliśmy mnóstwo czasu, jak zapewne pani się domyśla. Zastanawialiśmy się zwłaszcza nad pytaniem, dlaczego Stone postanowił panią poświęcić. Przypuszczamy, że powód był taki, iż obawiał się, że zostanie złapany. Nie przez nas, lecz przez prowadzących dochodzenie z ramienia Kongresu i agencji. Dlatego postanowił stworzyć taką małą dywersję. Właśnie pani nią była. I co pani na to?

Anna patrzyła na niego obojętnie. W tym tygodniu strażnicy dawali jej papierosy. Teraz wyjęła jednego i zapaliła.

- Mówcie sobie, co chcecie.

- Najwyraźniej pani mi nie wierzy. Dlatego zadam pani jedno pytanie: czy wie pani, co pani przyjaciel, Edward Stone, wysłał do Kiarki temu biedakowi doktorowi Antoyanowi?

Anna wypuściła kółko z dymu w stronę Wiktora.

- Jest pani aż tak pewna siebie? Oczywiście myśli pani, że wie, co wysłał Stone. Tę śmieszoną antenę, o którą prosił Antoyan. Nie zna pani tylko jednego bardzo ważnego faktu. Owszem, była tam antena, ale nie tylko. Czy wie pani, co jeszcze było?

Anna zamrugnęła powiekami i odwróciła wzrok. Bała się, że oczy mogą ją zdradzić. Rosjanin pochylił się ku niej.

- Stone wysłał też ładunek materiałów wybuchowych w tej samej przesyłce. Czeskie. Bardzo porządne. Wystarczyłoby tego, żeby wysadzić pół Erewanu.

- Bzdura - powiedziała Anna.

- Biedactwo. To bardzo możliwe, że nic pani nie wiedziała o tych materiałach. Od początku to podejrzewałem, w przeciwieństwie do wielu moich kolegów. Kiedy tak teraz na panią patrzę i widzę, jak bardzo stara się pani być dzielna i nie zdradzić mi żadnych informacji, ale jednocześnie jest pani zaskoczona, mam już co do tego pewność.

- Bzdura - powtórzyła.

- Owszem, zgadzam się. To bzdura, ale niestety także prawda. Mógłbym pani pokazać te materiały wybuchowe, przyprowadzić strażnika, który je odkrył, ale i tak by mi pani nie uwierzyła. Może w takim razie chce pani usłyszeć, jak dowiedzieliśmy się o tej przesyłce dla pani ormiańskiego lekarza?

- Mów sobie, co chcesz. - Anna czuła jak ogarnia ją napięcie i złość.

- Dowiedzieliśmy się o wszystkim od pani dawnego znajomego. Potrafi pani odgadnąć, kto to taki?

400

Anna wypuściła jeszcze jedną chmurę dymu, zamykając jednocześnie zęby.

- To niejaki Ali Ascari - ciągnął Rosjanin - irański dżentelmen. Z tego, i wiem, po raz pierwszy spotkała go pani w Londynie. To niezbyt miły czło-iek. Sprzedajny. Zwykły kupczyk. Mimo to bardzo nam pomógł. Powie-riał nam o pani i o pani grubym znajomym, panu Hoffmanie, który wściekł ę i próbował wywalić Ascarię. Uważam, że to był błąd. Irańczyk powie-riał nam też o innych przesyłkach materiałów wybuchowych do Uzbekista-1 i Azerbejdżanu.

- Proszę więcej nie starać się mnie wrobić! - wybuchła Anna. - Już po-iedziałam, że jestem niewinna. Zaprzeczam wszystkim zarzutom. Proszę iż nie wymyślać tych idiotycznych kłamstw.

- Biedactwo - powiedział Rosjanin. - Tak się zastanawiam, czy to moż-we, że nie wiedziała pani o dostawach materiałów wybuchowych do Uzbe-istanu i Azerbejdżanu? Pani przyjaciel, pan Hoffman, o wszystkim wiedział, o on przekazał wszystko Ascariemu w walizce, ale może pani nic o tym nie owiedziać. Muszę przyznać uczciwie, że bardzo mi pani żal, panno Barnes.

- Niech pan już idzie - powiedziała Anna.

- Naprawdę mi pani żal. Myślę, że nie wiedziała pani, jak niebezpieczne yły pani kryminalne działania. Teraz, kiedy wszystko pani powiedziałem, a pewno pani sama zrozumie, dlaczego tak poważnie traktujemy tę sprawę.

Upił łyk kawy, która zdążyła już ostygnąć. Kiedy odstawił kubek, jego achowanie zmieniło się i nie był już przyjaznym, tolerancyjnym profeso-em.

- Widzi pani, panno Barnes, nie uważamy pani tylko za szpiega, lecz akże za członka siatki terrorystów, która działała na szkodę Związku Ra-Izieckiego. Fakt, że nie znała pani wszystkich szczegółów tego terrorystycz-lego planu, wcale nie umniejsza pani winy. Właśnie z tego powodu wielu noich kolegów chce z pani uczynić przykład, a zarazem ostrzeżenie dla pana >tone'a i jego przyjaciół. Dlatego będą domagali się najwyższej kary, kiedy łojdzie do procesu. W przypadkach terroryzmu radzieckie prawo przewidu-e karę śmierci.

Anna nieświadomie zadrżała. Przez chwilę bała się, że za moment zała-nie się i zacznie szlochać, ale łzy nie napłynęły jej do oczu. Nie litowała się , lad sobą, ale czuła, jak ogarnia ją głęboka, cierpka rozpacz. Złość na Stone'a Taylora równoważyła niechęć wobec własnych błędów. Aram Antoyan zginął przez jej głupotę. Dlaczego ona miała pozostać przy życiu?

- Proszę pozwolić, że powiem pani coś bardzo oczywistego, panno Barnes. Może pani ocalić siebie tylko w jeden sposób, to znaczy godząc się na współpracę z nami. W takiej sytuacji oskarżyciel może przystać na ograniczenie zarzutów, a może nawet na zupełne ich zaniechanie. To pani jedyna szansa.

401

- Proszą wyjść. - Głos Anny łamał się.

- Podziwiam pani lojalność i samokontrolę, ale są one zupełnie nie na miejscu. Koledzy zdradzili panią. Manipulowali panią a potem porzucili. Prawdę mówiąc, współpraca z panią niewiele może nam dać. Już znamy wszystkie najważniejsze aspekty tej sprawy. Mimo to chcemy pani dać taką szansę.

- Proszę wyjść - powtórzyła Anna. - Nic panu nie powiem.

I rzeczywiście nie powiedziała - ani tego dnia, ani w ciągu kilku następnych tygodni. Wiktor wielokrotnie powracał do jej celi, próbując ją skusić i nakłonić do mówienia, przedstawiając coraz to nowe informacje na temat Stone'a, Hoffmana, a nawet Alana Taylora. Potem zaczął jej grozić bardziej bezpośrednio. Z każdą kolejną wizytą coraz bardziej przypominał Annie Stone'a ale to tylko umacniało jej wolę sprzeciwu. Kiedy gładkie insynuacje Rosjanina nie zdołały nakłonić Anny do współpracy, Sowietci stali się nieprzyjemni. Przenieśli ją do mniejszej celi ze śmierdzącą dziurą w podłodze zamiast toalety i z deską zamiast materaca. Zostawiali zapalone światło przez całą noc i budzili ją o różnych porach. Pewnego dnia, po tym jak odmówili jej jedzenia przez dobę, przyniesiono jej kawałek mięsa ruszający się od robactwa. Mimo to Anna wciąż odmawiała współpracy. W pewnym sensie umarła dla świata - wykroczyła poza smutek po śmierci Arama i poza gniew wobec zdrady Stone'a. Wszelkie tłące się w niej jeszcze niedawno płomyki zgasły. ,,

Margaret Houghton wystarczyło kilka tygodni, aby dowiedzieć się, jaki los spotkał Annę. Oczywiście nie powinna tego wiedzieć, ale świetnie radziła sobie z pokonywaniem takich barier. Właśnie dlatego jej kariera rozwijała się tak pomyślnie. Margaret działała na marginesach; stała cicho z boku w kąciakach, gdzie trzymano tajemnice i czekała aż się na coś przyda. Różni ludzie mówili jej wiele. Tym razem poskładała to, co usłyszała od kilkunastu osób na temat wyprawy Anny do Armenii i aresztowania jej tam. Co ważniejsze, dowiedziała się, że agencja nie miała żadnego sprecyzowanego planu wyciągnięcia dziewczyny. Po raz pierwszy oldboye i biurokraci z siódmego piętra zgadzali się ze sobą. Uznali, że najrozsądniej będzie po prostu nie robić nic.

W taki oto sposób Margaret została jedynym adwokatem i przedstawicielem Anny w służbach wywiadowczych. Z rozmów z kolegami, którzy pa-

402

Hętały inne podobne sprawy z udziałem tajnych agentów, wywnioskowała, i uwolnienie Anny kosztowałoby Amerykę sporo - musieliby wymienić ją ■ jakiegoś sowieckiego szpiega albo na coś, czego chciała Moskwa - ale Margaret niezmordowanie trwała przy tej strategii.

I Zaczęła od wizyty u Edwarda Stone'a. Odwiedziła go w pewne sobotnie ■południe w jego domu w Georgetown. Sama mieszkała przy ulicy Q, zalewie trzy przecznice dalej. Dystans ten pokonała pieszo, ubrana w czarne Htro. Jej włosy, uczesane w nienaganny kok, błyszcząły jeszcze po porannej Hi życie w salonie piękności. Był chłodny grudniowy dzień. Stone siedział Bzy kominku w swojej bibliotece i pił herbatę, kiedy Margaret zadzwoniła Ł jego drzwi. Przywitał ją uprzejmie, jak zwykle urządzając pokaz dobrych lanier. Jednak Margaret, która znała go od prawie czterdziestu lat, wydał się lochę zaniepokojony. Zauważyła coś jeszcze, czego nigdy wcześniej nie Łstrzegąa. Wyglądał staro.

- Wstydź się - powiedziała, gdy już usiedli w bibliotece.

- To niezbyt przyjazne powitanie - odparł Stone. - Napij się herbaty?

- Tak, proszę.

Stone zawołał do żony, aby przyniosła dzbanek, ale ona już znikła na łórze. Pani Stone zwykle starała się unikać towarzystwa Margaret Hough-Łn. Przez większość trwania swojego małżeństwa wierzyła, że jej mąż i Mar-Baret byli dawniej kochankami. Stone zaczął, aż jego koleżanka zaproponowała, że sama przyniesie dzbanek, ale skoro tego nie zrobiła, niechętnie wstał B wyszedł do kuchni. Postawił tacę z herbatą przed gościem i pozwolił, aby Margaret sama sobie naląa.

- Bardzo mi przykro z powodu tego, co się stało z Anną, jeżeli po to tu łrzyszłaś - powiedział.

- I powinno ci być przykro. To przecież twoja wina.

- Mogę zrozumieć, dlaczego akurat tak myślisz, Margaret, ale mylisz Kię. Było zupełnie na odwrót. Niestety, nie mogę rozmawiać z tobą o szcze-Łółach sprawy.

| - Juź je znam.

I - W takim razie powinnaś wiedzieć, że sprzeciwiałem się Annie, kiedy łhciała zwerbować tego młodego ormiańskiego lekarza i zgodziłem się tylko dlatego, że bardzo nalegała. Kiedy operacja zakończyła się fiaskiem, ostrze-Łgłem ją, aby nie podejmowała żadnych prób ratowania tego człowieka. I znowu mnie nie usłuchała. Bardzo żałuję Anny. Była moją ulubienicą. Jednak to nie moja wina i obawiam się, że w tej chwili nie mogę nic zrobić, aby jej pomóc. Mogę tylko cicho siedzieć i trzymać się tej wersji, którą ona przedstawiła, podając się za niewinną turystkę.

Margaret pokręciła głową.

- To bzdura. Oczywiście, że możesz coś zrobić. Możesz iść do Hinkle'a i powiedzieć mu, żeby zawarł z nimi taki układ, jaki jest potrzebny, żeby wy-

403

ciągnąć stamtąd Annę. Przecież ona jest w więzieniu, na litość boską! Nie możesz zostawiać jednego ze swoich ludzi na polu bitwy tylko dlatego, że ratowanie go jest ci nie na rękę. I to ty, akurat ty!

- Juź widziałem się z dyrektorem. Uczciwie mówiąc, to on nalegał, aby nic w tej sprawie nie robić. Z jego punktu widzenia jakikolwiek ruch może doprowadzić do katastrofy. Anna jest tajną agentką Jeżeli kogokolwiek na nią wymienimy, przyznamy się Moskwie, że mamy nielegalną siatkę wewnątrz Związku Radzieckiego. Poza tym jest jeszcze pewien aspekt tej sprawy, o którym możesz nie wiedzieć.

- To znaczy?

- Ten szalony ormiański przyjaciel Anny chciał dostać materiały wybuchowe. Były częścią przesyłki. Nie możemy przyznać się Sowietom, że byliśmy zamieszani w taką operację. To by nas drogo kosztowało. I wyobraź sobie, jak zareagowałby Kongres.

- No to co planujesz zrobić?

- Dyrektor twierdzi, że nie powinniśmy robić nic, tylko czekać. Sowietci w końcu ją wypuszczą. Nie są przecież głupi.

- A ty się z tym zgadzasz?
- Tak. Prawdę mówiąc, tak.
- Nieprawdopodobna z was para, ty i Hinkle. Sądziłam, że go nie lubisz.
- Uważam go za głupca. Ale w tym przypadku nie ma to znaczenia.

Margaret spojrzała na Stone'a, skupionego i opanowanego jak zawsze.

Patrzyła na niego nie jak koleżanka ani nawet jak przyjaciółka. Jej spojrzenie było znacznie bardziej intymne. Stone nie odwzajemnił go. Patrzył w podłogę czekając, aż Margaret przestanie. Odwróciła wzrok i popatrzyła na ogień w kominku, teraz jeszcze migający na węglach, który wkrótce przygaśnie, pozbawiony swojego ciepła i światła. Nie miała już nic więcej do powiedzenia. Wstała, podniosła futro i odezwała się do Stone'a dopiero przy samych drzwiach.

- Naprawdę bardzo się na tobie zawiodłam, Edwardzie - powiedziała cicho i wyszła.

W następnym poniedziałek rano Margaret Houghton chciała umówić się na spotkanie z dyrektorem. Usłyszała, że wyjechał na ten tydzień, a następny miał już cały zajęty. Jego sekretarka powiedziała Margaret w sekrecie, że tylko marnuje czas, ponieważ dyrektor nie chce jej widzieć. Margaret i tak przyszła. Pojechała windą na siódme piętro, uśmiechając się i machając po drodze do kilkorga przyjaciół, jakich jeszcze miała w oficjalnym biurze, a innym pokazując swoją przepustkę. Dotarła do sanitariatu przy sekretariacie dyrektora, zanim ją zatrzymano.

404

- Chciałabym zobaczyć się z panem Hinkle'em - powiedziała.
- Jest teraz na konferencji, panno Houghton - odparła główna sekretarka.
- Zaczekam.
- To może długo potrwać.
- Nie szkodzi. Przyniosłam trochę papierów do przejrzania.
- Obawiam się, że nie może pani tu zostać. To niedozwolone.
- Owszem, mogę. Będzie pani musiała wezwać strażników, aby mnie stąd usunęli siłą, co jak sądzę, byłoby dość kłopotliwe dla dyrektora. Nie zamierzam stąd odejść, dopóki się z nim nie zobaczę.

Margaret wyglądała na tak zdeterminowaną i tak niepodważalnie pewną siebie, że sekretarka uznała, iż powinni raz jeszcze przemyśleć obraną taktykę.

- Chwileczkę - powiedziała. Podniosła słuchawkę, zadzwoniła do Hinkle'a i stłumionym, przeproszającym głosem oznajmiła, że panna Houghton czeka w sekretariacie i nie zamierza go opuścić. Margaret usłyszała, jak Hinkle klnie przez telefon.

- Pieprzę tę starą krowę! - powiedział. Jednak piętnaście sekund później wielkie drzwi otworzyły się i stanął w nich mężczyzna o kwadratowej szczęce i okrągłych oczach. Miał marynarkę zapiętą na ostami guzik nawet we własnym gabinecie.
- Daję pani pięć minut - powiedział patrząc na zegarek.
- Przyszłam w sprawie Anny Barnes - wyjaśniła Margaret, gdy zamknęły się za nią drzwi.
- I co z tą Anną Barnes?
- Co zamierza pan zrobić, aby ją wyciągnąć?
- Zastosujemy wszystkie zwykłe procedury.
- Czyli jakie?
- Nie mogę o tym rozmawiać. To tajne. Pani nie ma upoważnienia. Zresztą to pani nie dotyczy.
- Panie Hinkle, znam Annę, odkąd była małą dziewczynką Sama zachęcałam ją by przyłączyła się do agencji. Bardzo mnie martwi sytuacja, w jakiej się znalazła. Sądzę, że robimy za mało, aby jąstamtąd wydostać.
- Pani nie ma upoważnienia. Ta organizacja rządzi się pewnymi zasadami, a pani naruszyła je, przychodząc tutaj. Sprawą Barnes zajmują się ludzie kompetentni. Proszę więc zostawić to im i mnie. Tylko tyle mam do powiedzenia. - Spojrzał na zegarek. - Pani pięć minut dobiega końca.
- Dyrektorze, muszę pana ostrzec. Nie zamierzam się poddawać. Jeżeli pan mnie nie wysłucha, znajdę kogoś, kto to zrobi. Jak pan wie, mam do tego prawo zgodnie z rozporządzeniem 12333.
- Jakie prawo?
- Proszę sobie sprawdzić w regulaminie. Dział o nadzorze kongresowym.

405

- Czy pani mi grozi?
- Tak, owszem.
- Bez szans! - stwierdził. Margaret jego odpowiedź wydała się zupełnie niewłaściwa w sytuacji, w jakiej się znajdowali, ale uznała, że to typowe dla Hinkle'a.

Odczekała kilka dni, aby przekonać się, czyjej groźba odniosła jakikolwiek skutek. Prawdę mówiąc, z niechęcią myślała o wizycie u jakiegokolwiek członka Kongresu. Przypominało jej to skarzenie nauczycielowi. Jednak kiedy przyjaciele donieśli jej, że w sprawie Barnes nie zrobiono zupełnie nic, doszła do wniosku, że Hinkle na pewno uznał, iż blefowała. Dlatego, choć niechętnie, umówiła się z przewodniczącym senackiej komisji do spraw wywiadu, którego, traf chciał, spotkała poprzedniego lata na weselu w East Hampton. Zgodził się spotkać z nią nazajutrz o szóstej trzydzięci wieczorem, w

jego biurze. Kiedy przyszła, już zdążył nalać sobie dużą szklanekę whisky. Może zapamiętał ją z East Hampton jako znacznie młodszą.

Zacząła streszczać szczegóły sprawy, na początku nieśmiało, ponieważ nie była przyzwyczajona do omawiania czegokolwiek z ludźmi spoza wtajemniczonego kręgu. Wyjaśniła, że młoda kobieta, agentka - i, jak się składało, należąca do jego wyborców - tkwiła w radzieckim więzieniu na skutek błędów popełnionych przez oficjalów agencji siedzących w Ameryce. Senator pokiwał głową. Znał mgliste zarysy tej sprawy, ale nic poza tym.

- Sądziłem, że Hinkle zajął się wszystkim - powiedział.
- Nie. On nie zamierza nic robić.
- Dlaczego?
- Ponieważ ta sprawa przypomina pudełko z robakami, a on nie chce go otwierać.
- Co jest w środku? - spytał senator chytrze. Podobnie jak wielu jego kolegów, potajemnie żywił przekonanie, że to on powinien zajmować Biały Dom, a nie jego obecni mieszkańcy. Dlatego ze szczególną przyjemnością utrudniał życie władzy wykonawczej.

Margaret opowiedziała mu o sprawie ze wszystkimi, najgorszymi nawet szczegółami, które sama poskładała w jedną całość. Przedstawiła historię spisku Stone'a z taką zręcznością, że w końcu senator uwierzył, iż właśnie stał u progu konspiracji w samym sercu CIA, której uczestnicy okrutnie manipulowali młodą kobietą - należąca do grona jego wyborców! - przez co teraz tkwiła w radzieckim więzieniu.

- Proszę mi obiecać tylko jedno - powiedziała Margaret, kiedy skończyła swoją opowieść. - Musi pan przeprowadzić dochodzenie w ścisłej tajemnicy tylko w komisji do spraw wywiadu. Jeżeli sprawa zostanie nagłośniona, Anna nigdy się stamtąd nie wydostanie.

406

Senator - rycerski, dworski i bardzo już pijany - położył jedną rękę na sercu, a drugą na ramieniu Margaret i obiecał, że nie spocznie, póki Anna nie wróci bezpiecznie do domu.

W tydzień później szef bazy CIA w Moskwie zadzwonił do swojego kontaktu w KGB i poprosił o pilne spotkanie. Powiedział mu, że właśnie w tej chwili w Nowym Jorku FBI aresztowała radzieckiego obywatela, który pracował dla nowojorskiego oddziału linii lotniczych Aeroflot. Mężczyźnie stawiano zarzut szpiegostwa, a ponieważ nie miał immunitetu dyplomatycznego, miał być sądzony przed trybunałem federalnym - chyba że Sowieci są gotowi negocjować wymianę. Dopracowanie wszystkich szczegółów zabrało tylko trzy dni. Sowieci chętnie zawarli umowę. Sprawa Bames nie dawała spokoju nawet im.

Anna została uwolniona w lutym tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego roku. Jej sprawy nie komentowano w ogóle w prasie radzieckiej. Departament Stanu wydał krótkie oświadczenie, mówiące, iż obywatelka Stanów Zjednoczonych, którą oskarżono o naruszenie bezpieczeństwa strefy granicznej w listopadzie, została zwolniona. W wyniku poruszenia, jakie trwało wokół kwestii Iranu,

prasa całkowicie zignorowała tę historię. Poświęcono jej tylko jeden paragraf w podsumowaniu „Wiadomości ze świata” w „Washington Post”.

Anna wróciła do Waszyngtonu przez Frankfurt. Z lotniska zabrał ją oficer funkcyjny i zawiózł do kolejnego pokoju motelowego na waszyngtońskich przedmieściach w celu złożenia raportu. Motel wyglądał tylko trochę lepiej od moskiewskiej celi Anny. Miał telefon, ale Anna podejrzewała, że założono w nim podsłuch, więc wołała do nikogo nie dzwonić. Zamówiła obiad do pokoju, opróżniła wszystkie małe butelki z minibaru, a następnego wieczoru poderwała dziewiętnastoletniego studenta, który pracował jako goniec hotelowy, i wysłała go do domu dopiero następnego ranka, zupełnie wyczerpanego.

Składanie zeznań wyglądało bardzo chaotycznie, zupełnie jakby agencja wcale nie chciała znać szczegółów. Anna rozumiała, że jej sprawę traktowano jako kłopotliwą. Jej to nie przeszkadzało. Nie zamierzała przeżywać niczego po raz drugi. Pytali ją czy zdradziła Sowiecom podczas przesłuchań jakiegokolwiek tajne informacje. Kiedy powiedziała, że nie, tylko pokiwali głowami i uśmiechnęli się. Przecież była kobietą. Oczywiście, że się załamała. Na ostatnią sesję przybył starszy oficer i wręczył jej medal. Prawdę mówiąc, tylko go jej pokazał - gruby krążek z brązu z wygrawerowanym orłem CIA, spoczywający w palisandrowym pudełku.

407

- Nie możemy pozwolić pani na zatrzymanie tego medalu - przeprosił oficer. Wyjaśnił, że osoby nie upoważnione mogłyby się przypadkiem dowiedzieć, że pracowała dla CIA jako tajna agentka. Dlatego też medal ten, razem z pudełkiem, miał pozostać w Langley. Gdyby kiedykolwiek chciała go zobaczyć, wystarczyło, że wyśle list na numer skrytki pocztowej w Arlington, prosząc o spotkanie.

Potem oficer poruszył niewygodną kwestię kariery Anny, a raczej tego, co z niej zostało. Nie mogła już brać udziału w operacjach zagranicznych, ponieważ zdemaskowano jej przykrywkę. Biuro personalne miało załatwić jej coś w dziale kontaktów lokalnych w jakimś miłym miejscu, na przykład w Bostonie albo w San Francisco, jeżeli oczywiście zechce pozostać w wywiadzie. A może wołałaby pracować jako analityk dla kierownictwa wywiadu? To także było do załatwienia. Jednak, gdyby zdecydowała się opuścić agencję natychmiast, otrzymałaby jednorazowo sporą sumę, powiększoną o hojny wkład z dyrektorskiego funduszu na wydatki specjalne. Wystarczyło, że podpisze rezygnację z zaznaczeniem, że nigdy nie pozwie agencji ani żadnego z jej pracowników, oraz dodatkową umowę o tajności i różne inne dokumenty zrzeczenia się wszelkich pretensji.

Anna podpisała wszystko. Nawet przez chwilę nie myślała o tym, by pozostać w agencji. Na razie zamierzała powrócić na Harvard i dokończyć pisanie pracy doktorskiej. Agencyjny biurokrata raz jeszcze otworzył pudełko, aby Anna mogła obejrzeć swój medal, po czym wyszedł. Godzinę później Anna wymeldowała się z motelu i złapała pierwszy samolot do Bostonu.

Dni Anny wyglądały tak jak dawniej, zanim wstąpiła w szeregi agencji.

Codzienna wspinaczka po schodach Biblioteki Widenera. Niewiele się zmieniło przez te dwa lata, które spędziła z dala od uniwersytetu. Katalog jej pracy pozostał niemal identyczny: The Bildungsroman: Traktat o edukacji, od Fieldingapo Joyce 'a. Teoria stosunków interpersonalnych. Tworzenie nowoczesnej Europy. To była zaleta miejsc takich jak Harvard, ale także ich przekleństwo. Pozostawały obojętne wobec upływającego czasu.

Kamienne stopnie prowadzące do czytelnicy wciąż biegły wzdłuż tej samej dziwacznej płaskorzeźby upamiętniającej śmierć syna fundatora biblioteki, Harry'ego Elkinsa Widenera, podczas pierwszej wojny światowej. Płaskorzeźba przedstawiała kobietę o bardzo pełnych kształtach, wypinającą piersi w stronę martwego żołnierza. „Szczęśliwi ci, którzy w glorii wiary w jednej

408

chwili dostąpili śmierci i zwycięstwa," głosił napis pod spodem. Anna przeczytała te słowa już kilka tysięcy razy, idąc do czytelnicy i wychodząc z niej. Często nie zastanawiała się nawet, co one oznaczały. Teraz, gdy myślała o tym, jak zginął Aram w Kiarki, wydawało jej się, że wie, co autor tych słów miał na myśli. Wciąż jednak wydawały jej się bez sensu. Martwi nie byli szczęśliwi. Byli po prostu martwi.

Dyrektor biblioteki, niejaki Joseph S. Mellanzana, przydzielił Annie nowy stolik, tym razem numer cztery E, w pobliżu działów numizmatyki, heraldyki i grafologii. Przez małe okienko widziała dziedziniec Harvardu i mogła przyglądać się, jak studenci rzucają frisbee i wypróbować swoimi dziewczynami różne pozycje na trawie. Zanim na dobre zadomowiła się w czytelnicy, nastąpiło lato i wśród regałów z książkami panowało okropne gorąco. Anna otwierała swoje małe okienko, ale to nic nie pomagało. Nawet książki zdawały się pocić w swoich okładkach. Zapełniła swoją półkę tymi samymi tomami co dawniej. Jon Turklerin Siyasi Fikrleri 1895-1908. Turkiye Tarih Yayinlari Bibliografyasi, 1729-1955. Al-Arab wal-Turkfi al-Ahd al-Dustur al-Uthmani, 1908-1914. Deutschland und der Islam. Pan Mellanzana przysyłał jej te same grzeczne noty: „Z książkami należy obchodzić się ostrożnie, aby nie zniszczyć ich grzbietów. Jeżeli pragnie pani przedłużyć rezerwację stolika na semestr jesienny, proszę skontaktować się z biurem obsługi biblioteki". Annie zupełnie to nie przeszkadzało. Działała automatycznie.

Dawny szef jej wydziału poprosił, aby zgodziła się prowadzić wykłady w ramach jego kursu przekrojowego z historii Bliskiego Wschodu, który zaczynał się na jesieni. Łatwiej było powiedzieć tak niż nie, więc Anna przyjęła propozycję. Praca ta nudziła ją, ale przynajmniej miała sporo atrakcyjnych studentów. Byli znacznie porządniejsi niż pamiętała. Mieli krótsze włosy i lepiej się ubierali. Prócz tego znacznie bardziej obawiali się kobiet. W pierwszym semestrze przespała się z kilkunastoma i bardzo jej się to spodobało. Traktowała to jako swojego rodzaju rozrywkę. Byli tacy chętni i niezdarni, a ona miała już dość doświadczonych mężczyzn. Wcale się nie obraziła, kiedy jeden ze studentów, po kilku niekontrolowanych minutach namiętności, przyznał, że według niego starsze kobiety są seksowne. Miał rację. Starsze kobiety były seksowne.

Taylor zadzwonił do niej w październiku. Wcześniej wysłał wiele listów za pośrednictwem agencji. Anna rozpoznawała jego pismo i wszystkie wyrzucała do kosza nie przeczytane. Kiedy Alan wreszcie zdobył jej numer, nie była zaskoczona, choć numer był zastrzeżony. Taylor zawsze świetnie się spisywał w takich sprawach.

- Co u ciebie? - spytał lekko zachrypniętym głosem.
- W porządku - odparła Anna.
- Co teraz robisz?

- Uczę. Piszę doktorat. Nie przemęczam się. Zaczynam wszystko od nowa.

409

- Ja też.

Anna nie odezwała się. Niespecjalnie interesowało ją, czym teraz zajmował się Taylor.

- Naprawdę - powiedział. - Ja także zaczynam wszystko od nowa. Odszedłem z agencji. Przeniosłem się do Kalifornii, kupiłem dom w Santa Monica. Miłe miejsce. Powinnaś je zobaczyć.

- Z czego spłacasz hipotekę?

- Wszedłem w kino. Jeden z moich starych przyjaciół jest wicedyrektorem jednego ze studiów filmowych. Lubi słuchać moich szpiegowskich opowieści, więc podpisał ze mną kontrakt na scenariusz.

- Piszesz scenariusze? - Anna roześmiała się głośno. - To świetnie.

. - Po co z tym walczyć? W końcu mamy lata osiemdziesiąte.

- Chyba masz rację.

- Słuchaj, Anno, bardzo chciałbym się z tobą zobaczyć.

- Naprawdę?

- Tak. Naprawdę.

- Dlaczego?

- Nie dostałaś moich listów?

- Nie otworzyłam żadnego. Wszystkie wyrzuciłam. Co w nich pisałeś?

- Że czuję się źle z powodu tego, co się stało. Nie tylko samego zakończenia. W ogóle całości.

- Nie powinieneś. To nie była twoja wina.

- Kocham cię.

- Och, przestań.

- Poważnie. Myślę, że naprawdę cię kocham.

- I co z tego? Miło mi, że tak mówisz, ale to nie ma znaczenia. Przecież każde z nas zaczyna od nowa. Sam tak powiedziałeś.

- Jesteś na mnie zła. I smutna.

- Przykro mi. Próbuję tylko być uczciwa.

- Czy chcesz się ze mną zobaczyć?

- Raczej nie.
- Nienawidzisz mnie?

Anna pokręciła głową. Trochę na to za późno, pomyślała. No, ale przynajmniej próbował się z nią skontaktować. To już coś.

- Nie - powiedziała. - Jest mi tylko ciebie żal. Przypominasz wielkiego dzieciaka.
- Nie winiłbym cię, gdybyś mnie nienawidziła. Powinienem cię ostrzec przed Stone'em. Wiedziałem, że facet wjrmyka się spod kontroli, ale nic nie mogłem na to poradzić. To była moja wina.

Anna miała dość tej rozmowy. Taylor nie miał wstydu, nawet kiedy przeproszał. Chciała się rozłączyć, ale była na to zbyt dobrze wychowana.

- Co cię gryzie, Alan? Czegoś ci brak, ale ja nie mam pojęcia, co to takiego.

410

- Jestem negatywem. Na tym polega mój problem.
- Co to znaczy?
- Nic. To takie określenie ze studenckiej gwary. Nieważne.
- Muszę kończyć - powiedziała Anna.
- Jesteś pewna, że nie chcesz się ze mną spotkać?
- Tak. Jestem pewna. Dzięki za telefon. To miło z twojej strony, ale nie dzwoń już do mnie więcej.

Taylor wziął głęboki wdech. Chciał powiedzieć coś jeszcze.

- Do widzenia - odezwała się Anna i odłożyła słuchawkę. Alan znowu się pomylił. Nie była na niego zła. On należał do tej części jej życia, która umarła. Była zimna jak lód. Ogień się wypalił. Co jeszcze mogła powiedzieć?

W listopadzie odbyły się wybory prezydenckie. Zwyciężył kandydat z ramienia partii republikańskiej, miły konserwatysta, który między innymi obiecywał przywrócić dawną świetność CIA. Anna kilka tygodni później przeczytała w gazecie artykuł na temat „zespołu przemian”. Wśród wymienionych doradców prezydenta elekta, pomagających mu w ożywieniu agencji, zauważyła jedno: „Edward Stone, oficer wywiadu w stanie spoczynku”.

Anna regularnie pisywała do Margaret Houghton, a kiedy rozmawiały przez telefon, zawsze starała się, aby jej głos brzmiał wesoło. Jednak Margaret nie była głupia. Wyczuła, że nie wszystko układa się jak należy i w grudniu, tydzień przed świętami Bożego Narodzenia, niespodziewanie odwiedziła Cambridge. Zaprosiła Annę na obiad w „Locke-Ober's”, swojej ulubionej restauracji w Bostonie. Zwierzyła się jej, że właśnie tutaj dwaj mężczyźni oświadczyli się jej w dwóch różnych dekadach.

Margaret wyglądała jeszcze bardziej dystyngowanie niż zwykle. Lakier przytrzymywał włosy w idealnej ftyzurze, paznokcie miała pomalowane i wypolerowane. Wyglądała jak obraz elegancji zamrożonej w wiecznym średnim wieku. Anna przeciwnie, sprawiała wrażenie lekko zaniedbanej doktorantki. Zapuściła włosy, nie malowała się i miała na sobie prostą białą sukienkę. Już nie ubierała się w ekstra ciuchy ani nawet w takie, które wyglądałyby jako tako. Margaret najbardziej zmartwiło to, że gdy kelner spytał, jakie zamawiają drinki, Anna poprosiła o whisky z wodą sodową.

- To niedopuszczalne - zaprotestowała Margaret. - Nawet nie chcę o tym słyszeć. Jesteśmy w „Locke-Ober's”, na litość boską, a nie w jakiejś podrzędnej knajpie. Poproszę o butelkę szampana. Najlepszego jaki macie.

- Pół butelki - sprostowała Anna. - Nie zamierzam pić zbyt wiele.

Kiedy przyniesiono szampana, posłusznie piła go małymi łykami i pomimo próśb Margaret, aby zamówiła coś porządnego, poprosiła o przegrę z grilla

411

- Jestem negatywem. Na tym polega mój problem.

- Co to znaczy?

- Nic. To takie określenie ze studenckiej gwary. Nieważne.

- Muszę kończyć - powiedziała Anna.

- Jesteś pewna, że nie chcesz się ze mną spotkać?

- Tak. Jestem pewna. Dzięki za telefon. To miło z twojej strony, ale nie woń już do mnie więcej.

Taylor wziął głęboki wdech. Chciał powiedzieć coś jeszcze.

- Do widzenia - odezwała się Anna i odłożyła słuchawkę. Alan znowu i pomylił. Nie była na niego zła. On należał do tej części jej życia, która narąta. Była zimna jak lód. Ogień się wypalił. Co jeszcze mogła powiedzieć?

W listopadzie odbyły się wybory prezydenckie. Zwyciężył kandydat z ramienia partii republikańskiej, miły konserwatysta, który między innymi obiecał przywrócić dawną świetność CIA. Anna kilka tygodni później przeczytała w gazecie artykuł na temat „zespołu przemian”. Wśród wymienionych doradców prezydenta elekta, pomagających mu w ożywieniu agencji, lużyła jedno: „Edward Stone, oficer wywiadu w stanie spoczynku”.

Anna regularnie pisywała do Margaret Houghton, a kiedy rozmawiały zez telefon, zawsze starała się, aby jej głos brzmiał wesoło. Jednak Margaret nie była głupia. Wyczuła, że nie wszystko układa się jak należy i w grudniu, tydzień przed świętami Bożego Narodzenia, niespodziewanie odwiedziła Cambridge. Zaprosiła Annę na obiad w „Locke-Ober's”, swojej ulubionej restauracji w Bostonie. Zwierzyła się jej, że właśnie tutaj dwaj mężczyźni świadczyli się jej w dwóch różnych dekadach.

Margaret wyglądała jeszcze bardziej dystyngowanie niż zwykle. Lakier przytrzymywał włosy w idealnej ftyzurze, paznokcie miała pomalowane i wypolerowane. Wyglądała jak obraz elegancji zamrożonej w

wiecznym średnim wieku. Anna przeciwnie, sprawiała wrażenie lekko zaniedbanej dokto-intki. Zapuściła włosy, nie malowała się i miała na sobie prostą białą sukienkę. Już nie ubierała się w ekstraciuchy ani nawet w takie, które wyglądałyby jako tako. Margaret najbardziej zmartwiło to, że gdy kelner spytał, licie zamawiają drinki, Anna poprosiła o whisky z wodą sodową.

- To niedopuszczalne - zaprotestowała Margaret. - Nawet nie chcę o tym yszec. Jesteśmy w „Locke-Ober's”, na litość boską, anie w jakiejś pod-zędnej knajpie. Poproszę o butelkę szampana. Najlepszego jaki macie.

- Pół butelki - sprostowała Anna. - Nie zamierzam pić zbyt wiele.

Kiedy przyniesiono szampana, posłusznie piła go małymi łykami i pomi-

10 próśb Margaret, aby zamówiła coś porządnego, poprosiła o pstrąga z grilla

411

i sałatkę. Rozmawiała uprzejmie, ale przypominało to raczej konwersacyjny kogel-mogel. Wszystko płynne, bez żadnej treści.

- Co się z tobą stało? - spytała w końcu Margaret. - Zupełnie straciłaś ikrę.

- To chyba prawda - przyznała Anna, wciąż uprzejma i zgodna. - Straciłam ikrę. Już nie muszę nikomu nic udowadniać, co mi jak najbardziej odpowiada. Nawet mi się tak podoba.

- Ale mnie nie. Martwię się o ciebie. Mam wrażenie, że straciłaś także apetyt na życie.

- Może po prostu nie jestem głodna.

- Bzdura. Nie jesteś typem anorektyczki. Problem polega na tym, że przedtem byłaś żarłoczna. Rzucałaś się na wszystko i za bardzo wierzyłaś w to, co inni ci mówili. Teraz, z tego co widzę, nie wierzysz już nikomu.

- Owszem, wierzę sobie samej.

- Według mnie to zupełnie to samo co niedowierzenie innym. Zwykłe samolubstwo. Spodziewałam się po tobie znacznie więcej, kochana.

Annę zabolalo takie stwierdzenie. Choć nie dbała o to, co świat myślał na jej temat, chciała zachować szacunek Margaret.

- To niesprawiedliwe! - powiedziała. Nie zastanawiając się co robi, chwyciła kieliszek szampana i wypiła go do dna.

- Podoba ci się na uniwersytecie? - spytała Margaret.

- Nie za bardzo. Jest tak samo jak przedtem.

- Dlaczego więc nie odejdziesz?

- Ponieważ dzięki temu jakoś upływa czas. Na razie nie potrafię wymyślić nic lepszego do roboty.

- To żałosne, moja droga, jeśli wolno mi tak powiedzieć.
- Niby dlaczego? Większość ludzi tak traktuje swoją pracę. Czemu ja miałabym być inna?
- Ponieważ ty to nie większość ludzi. Masz wyjątkowy talent i dlatego także wyjątkowe zobowiązania.
- Wszystko jedno. - Anna powiedziała to tonem graniczącym z obojętnością.
- Przestań się tak bardzo nad sobą użalać! - Margaret zaczęła mówić ostrzej. - Nie jesteś pierwszą osobą z naszej branży, której się nie powiodło, a na pewno nie jesteś pierwszą, którą manipulował Stone i jego oldboye. Korytarze Langley pełne są takich jak ty, ale oni przynajmniej mają odwagę to okazać.
- Ten człowiek jest niebezpieczny, Margaret. Nie chcę mieć z nim więcej do czynienia.
- Oczywiście, że jest niebezpieczny. Próbowалам ci to powiedzieć już rok temu, ale nie chciałaś mnie słuchać, a teraz wydaje ci się, że wynalazłaś koło.

412

i sałatkę. Rozmawiała uprzejmie, ale przypominało to raczej konwersacyjny kogel-mogel. Wszystko płynne, bez żadnej treści.

- Co się z tobą stało? - spytała w końcu Margaret. - Zupełnie straciłaś ikrę.
- To chyba prawda - przyznała Anna, wciąż uprzejma i zgodna. - Straciłam ikrę. Już nie muszę nikomu nic udowadniać, co mi jak najbardziej odpowiada. Nawet mi się tak podoba.
- Ale mnie nie. Martwię się o ciebie. Mam wrażenie, że straciłaś także apetyt na życie.
- Może po prostu nie jestem głodna.
- Bzdura. Nie jesteś typem anorektyczki. Problem polega na tym, że przedtem byłaś żarłoczna. Rzucałaś się na wszystko i za bardzo wierzyłaś w to, co inni ci mówili. Teraz, z tego co widzę, nie wierzysz już nikomu.
- Owszem, wierzę sobie samej.
- Według mnie to zupełnie to samo co niedowierzenie innym. Zwykłe samolubstwo. Spodziewałam się po tobie znacznie więcej, kochana.

Annę zabolalo takie stwierdzenie. Choć nie dbała o to, co świat myślał na jej temat, chciała zachować szacunek Margaret.

- To niesprawiedliwe! - powiedziała. Nie zastanawiając się co robi, chwyciła kieliszek szampana i wypila go do dna.
- Podoba ci się na uniwersytecie? - spytała Margaret.
- Nie za bardzo. Jest tak samo jak przedtem.

- Dlaczego więc nie odejdziesz?
- Ponieważ dzięki temu jakoś upływa czas. Na razie nie potrafię wymyślić nic lepszego do roboty.
- To żalosne, moja droga, jeśli wolno mi tak powiedzieć.
- Niby dlaczego? Większość ludzi tak traktuje swoją pracę. Czemu ja miałabym być inna?
- Ponieważ ty to nie większość ludzi. Masz wyjątkowy talent i dlatego także wyjątkowe zobowiązania.
- Wszystko jedno. - Anna powiedziała to tonem graniczącym z obojętnością.
- Przestań się tak bardzo nad sobą uzalać! - Margaret zaczęła mówić ostrzej. - Nie jesteś pierwszą osobą z naszej branży, której się nie powiodło, a na pewno nie jesteś pierwszą którą manipulował Stone i jego oldboye. Korytarze Langley pełne są takich jak ty, ale oni przynajmniej mają odwagę to okazać.
- Ten człowiek jest niebezpieczny, Margaret. Nie chcę mieć z nim więcej do czynienia.
- Oczywiście, że jest niebezpieczny. Próbowalam ci to powiedzieć już rok temu, ale nie chciałaś mnie słuchać, a teraz wydaje ci się, że znalazłaś koło.

412

- wir

- On jest bardziej niebezpieczny niż ci się zdaje.
- To prawdopodobne. Ale wiesz co?-
- Co?
- Nasz stary przyjaciel Edward ma na swój sposób rację.

Anna podskoczyła na krześle. Tą uwagą Margaret posunęła się za da-i.

- Czyś ty oszalała? Niby w jakiej sprawie Stone mógł mieć rację?
- W sprawie Związku Radzieckiego. Nie myli się mówiąc, że mimo tego :go zastraszania z ich strony, pod twardą powłoką są bardzo słabi. Ma też ę mówiąc, że powinniśmy ich dobrze popchnąć, a nie tylko się usuwać, większą rację ma zaś w sprawie Afganistanu. Gdyby nie on, mudżahedini aż jeszcze siedzieliby na swoich konikach, robiąc więcej hałasu niż wal-

Może i tak, ale Stone jest także kłamliwym śmierdzielem. Nie chcę ;cej mieć do czynienia ani z nim, ani z jemu podobnymi. Wszystko jedno, wiele mają racji, i tak się myślą.

- O mój Boże, kochana. Znowu zesłaś do poziomu studentów.
- Nieprawda. - Anna opróżniła swój kieliszek i napełniła go ponownie mpanem.

- Owszem, tak. Chcesz, żeby wszystko szło w jednym kierunku, a kie-tak nie jest, postanawiasz wypisać się z gry. W prawdziwym świecie od-jesz, że dobrzy ludzie niejednokrotnie źle postępują a złym zdarzają się)re uczynki. Przez to dokonanie moralnego wyboru jest znacznie utrud-

- Już za długo jesteś w tej branży.

- Nie, moja kochana. Problem polega raczej na tym, że ty w niej byłaś crótko. Właśnie o tym chciałam z tobą porozmawiać.

- To znaczy o czym?

- Chcę, żebyś wróciła.

- Dokąd? - Anna spojrzała na drzwi.

- Do agencji - szepnęła Margaret.

Anna roześmiała się na głos, niezupęlnie spontanicznie i na pewno nie :ekonująco.

- Żartujesz?

- Nie - powiedziała cicho Margaret. - Mówię poważnie.

- Ale przecież właśnie ci powiedziałam, że uważam cały ten interes za loralny. Ludzie, którzy w nim siedzą, są albo oszustami, albo pasożytami, e żeby mnie to specjalnie obchodziło. Teraz to już nie mój problem. Ja ym skończyłam.

- Oczywiście, że cię to obchodzi. Właśnie dlatego jesteś nam potrzebna, steś jedną z tych dobrych, którym starcza siły na robienie dobrych rzeczy, obecnych czasach jest was w centrali o wiele za mało. Niemal wszyscy

413

t

już odeszli. Stara gwardia ustąpiła pola, a nowa jeszcze nie nadeszła. Oni cię potrzebują.

- Przestań.

- Mówię serio. Potrzebują cię. A jeżeli tak bardzo przejmujesz się moralnością, to nie widzę nic godnego podziwu w tym, że zaparkowałaś akurat na uniwersytecie. Tutaj jesteś równie moralna jak roślina w doniczce. Takie życie nie jest ciebie warte. Przecież to po tobie widać. Zanudzisz się na śmierć.

- Wciąż nie pozbyłaś się nawyków werbownika. Sądziłam, że dostałaś już niezłą szkołę. Przynajmniej w moim przypadku.

- Przedtem miałam co do ciebie wątpliwości, teraz już ich nie mam. Wszystkie bzdury w tobie wreszcie się wypaliły i może ci się uda naprawdę coś osiągnąć.
- To śmieszne, Margaret. Zresztą wszystko jedno, co ja zrobię albo czego nie zrobię, oni i tak nie zechcą mnie z powrotem. A na pewno już nie do interesujących zadań. Ze mną wiążą się kłopoty. Brałam udział w katastrofie, o której wszyscy woleliby raczej zapomnieć. Byli zachwyceni, kiedy odeszłam.
- Wcale nie. Hinkle owszem, był, ale on już pakuje walizki. Nowy zarząd powita cię z otwartymi ramionami. Wiedzą, że Stone zrobił ci brzydki numer. Sama im o tym powiedziałam. Uważają cię za bohaterkę.
- W takim razie są głupcami.
- Powiedz przynajmniej, że się zastanowisz. Oni cię potrzebują. I prawda jest taka, że ty potrzebujesz ich. Tutaj zupełnie się zmarnujesz, dobrze o tym wiesz.
- W takim razie zajmę się czym innym.
- Na przykład czym? Pójdiesz na prawo? Zaczyniesz sprzedawać obligacje? Nie bądź głupia. Jak już raz trafisz do wywiadu, nic innego nie wyda ci się wystarczająco dobre. Masz to pod skórą.
- Teraz jestem bardziej gruboskórna. Zostawmy już ten temat. Robi mi się od niego niedobrze.

Margaret westchnęła.

- Dobrze, moja droga. Nie podoba mi się tylko to, że dajesz oldboyom satysfakcję, potwierdzając, że mieli rację.
- W jakiej sprawie?
- W sprawie kobiet w wywiadzie. Teraz wszyscy powtarzają, że twój przypadek dowodzi, iż kobiety nie potrafią znieść stresu, jaki wiąże się z operacjami. Mówią, że najpierw zżera je strach, a potem odchodzą.
- Mnie nie zżerał strach.
- Oczywiście, że nie. Ale wiesz, jacy są oldboye. Wyobrażenie, że kobieta mogłaby świetnie sprawdzić się w tej pracy, rani ich próżność. Twierdzą nawet, że zdradziłaś operacje CIA Sowiecom podczas przesłuchania.
- To pieprzone kłamstwo.

414

- Oczywiście. Dlatego nie jest mi przyjemnie, kiedy widzę, że dajesz im satysfakcję.
- Margaret, doprowadzasz mnie do pasji. Jak mogę się ciebie pozbyć?
- Powiedz tylko, że zastanowisz się nad powrotem. Anna pokręciła głową.

- Dlaczego miałabym wracać do tych wszystkich kłamstw, manipulacji nych bredni? Może mi to wyjaśnisz.

- Dlatego, że chcesz zrobić w życiu coś pożytecznego. No i dlatego, że szęgrę.

- Co przyniosła ona tobie po tych wszystkich latach?

- Moralne wyzwanie. Szansę spędzenia tego wieczoru w twoim towa-itwie. Samo życie.

Anna podniosła butelkę szampana i stwierdziła, że jest już pusta. Zawo-kelnera i zamówiła następną.

- Obiecaj mi, że to zrobisz - poprosiła Margaret.

- Czy zadowolę cię, jeżeli powiem, że się nad tym zastanowię?

- Tak. Absolutnie.

- No dobrze. W takim razie zastanowię się nad tym, ale obie wiemy, a będzie odpowiedź.

WYDAWNICTWO AMBER Sp. z o.o. 00-108 Warszawa, ul. Zielna 39, tel. 620 40 13, 620 81 62
Warszawa 1999. Wydanie I Druk. Zakłady Graficzne w Poznaniu